TOMASZ

MANN

Nowele

TOMASZ

MANN

Nowele

PRZEŁOŻYŁ LEOPOLD STAFF

CZYTELNIK
1956

TYTUŁ ORGINAŁÓW NIEMIECKICH

Enttäuschung, Der kleine Herr Triedemann, Der Bajazzo, Tristan, Tonio Kröger, Ein Glück, Beim Propheten, Schwere Stunde, Das Eisenbahnunglück, Der Tod in Venedig, Herr und Hund, Unordnung und frühes Leid, Mario und der Zauberer

Wyboru dokonał i posłowiem opatrzył
ROMAN KARST

Opracowanie graficzne
JAN S. MIKLASZEWSKI

ROZCZAROWANIE

1896 r.

Wyznaję, że mię słowa tego osobliwego pana wprawiały w zakłopotanie, i lękam się, że i teraz jeszcze nie będę w stanie powtórzyć ich w taki sposób, aby wzruszyły innych w tym samym stopniu, jak mnie samego owego wieczoru. Może działanie ich polegało na dziwnej otwartości, z jaką udzielił mi ich człowiek zupełnie nieznajomy.

Od przedpołudnia jesiennego, gdy po raz pierwszy zauważyłem tego nieznajomego na Piazza San Marco, minęło mniej więcej dwa miesiące. Po wielkim placu snuło się tylko kilka osób, a na różnobarwnej cudownej budowli, której bogate, bajkowe zarysy i złote ozdoby w zachwycającym świetle odbijały od błękitnego nieba, trzepotały w lekkim wietrze morskim chorągwie; przed głównym portalem, dokoła młodej dziewczyny rozsiewającej kukurydzę, zgromadziło się niezliczone mnóstwo gołębi, a wiele innych nadlatywało jeszcze z różnych stron. Widok niesłychanie pogodnej, uroczystej piękności.

Tam go spotkałem i kiedy to piszę, mam go z niezwykłą dokładnością przed oczyma. Był ledwo średniego wzrostu i chodził szybko, zgarbiony, trzymając laskę oburącz na plecach. Miał na sobie czarny sztywny kapelusz, jasną letnią zarzutkę i ciemne spodnie w paski. Z jakiegoś powodu uważałem go za Anglika. Mógł mieć lat trzydzieści, a może i pięćdziesiąt. Twarz jego, o grubym nieco nosie i zmęczonych szarych oczach, była gładko ogolona, a dokoła ust igrał nieustannie niejasny, trochę nieśmiały uśmiech. Tylko od cza-

su do czasu, podnosząc brwi, spoglądał badawczo dokoła, potem patrzył znów w ziemię, wyrzekł kilka słów do siebie i uśmiechał się. Tak chodził wytrwale po placu, tam i z powrotem.

Odtąd obserwowałem go co dzień, gdyż zdawał się nie zajmować niczym innym, tylko tak w deszcz, jak w pogodę, przed południem, jak i po południu, przemierzał trzydzieści do pięćdziesięciu razy tam i z powrotem Piazzę, zawsze sam i zawsze z jednakimi, osobliwymi gestami.

W wieczór, o którym myślę, koncertowała kapela wojskowa. Siedziałem przy jednym ze stolików, które kawiarnia Floriana wystawia daleko na plac, i gdy po skończeniu koncertu tłum, który dotąd gęstymi falami przewalał się tam i z powrotem, począł się rozpraszać, zajął nieznajomy, uśmiechając się jak zawsze w sposób nieprzytomny, miejsce przy właśnie obok mnie zwolnionym stoliku.

Czas mijał, wokoło robiło się coraz ciszej i już na dużej przestrzeni wszystkie stoliki były wolne. Ledwo tu i ówdzie przesuwał się jakiś człowiek; majestatyczny spokój zalegał plac, niebo okryło się gwiazdami i ponad teatralnie wspaniałą fasadą Świętego Marka lśnił księżyc.

Plecami odwrócony do mego sąsiada, czytałem gazetę i właśnie miałem zostawić go samego, gdy byłem zmuszony na pół się odwrócić ku niemu; bo choć dotąd nie posłyszałem nawet szmeru poruszenia z jego strony, teraz zaczął mówić.

— Przepraszam, czy pan jest pierwszy raz w Wenecji? — spytał złą francuszczyzną; i kiedy starałem się odpowiedzieć mu po angielsku, ciągnął w wolnym od dialektu języku niemieckim, głosem cichym i zachrypniętym, który starał się często oczyszczać pokasływaniem:

— Widzi pan to wszystko po raz pierwszy? Dorównuje to pańskim oczekiwaniom? Czy też może nawet je przewyższa? Ach, nie wyobrażał pan sobie tego piękniej? Naprawdę? Nie mówi pan tego tylko dlatego, aby wydawać się szczęśliwym i godnym zazdrości? Ach! — Oparł się plecami i przyglądał

mi się z szybkim mruganiem oczu i z niewytłumaczonym wyrazem twarzy.

Pauza, która nastąpiła, trwała długo i nie wiedząc, jak dalej ciągnąć tę dziwną rozmowę, już miałem wstać, gdy on pochylił się spiesznie do przodu.

— Czy wie pan, drogi panie, co to jest rozczarowanie? — spytał cicho i wnikliwie, opierając obie ręce na lasce. — Nie jakieś drobne i poszczególne nieudanie się lub chybienie, ale ogólne rozczarowanie, rozczarowanie, jakie komuś gotuje wszystko, całe życie? Zapewne, nie zna go pan. Ja jednak wodziłem się z nim całe życie i uczyniło mnie ono samotnym, nieszczęśliwym i trochę dziwacznym, nie przeczę.

Jakże mógłby mnie pan zrozumieć, drogi panie? Może jednak będzie pan mógł, jeśli poproszę pana, posłuchać mnie z dwie minuty. Bo jeśli to można wypowiedzieć, powiem to prędko.

Pozwoli pan, iż zaznaczę, że urodziłem się w malutkim mieście, w domu pastora, gdzie w przesadnie czystych pokojach panował staroświecki, patetyczny optymizm uczonych i gdzie oddychało się osobliwą atmosferą kaznodziejskiej retoryki — pełną wielkich słów o dobrem i złem, pięknie i brzydocie, słów, których tak nienawidzę, bo może one, jedynie one, ponoszą winę mego cierpienia.

Życie składało się dla mnie po prostu z wielkich słów, gdyż znałem je jedynie z ogromnych i nierealnych przeczuć, które wywoływały we mnie te słowa. Oczekiwałem od ludzi boskiej dobroci i podnoszącego włosy na głowie diabelstwa; oczekiwałem od życia piękności i okropności i przepełniało mnie pożądanie tego wszystkiego, głęboka, trwożna tęsknota do dalekiej rzeczywistości, do przygody, mniejsza jakiego rodzaju, do odurzająco wspaniałego szczęścia i niewymownego, nieprzeczuwalnie straszliwego cierpienia.

Wspominam, drogi panie, ze smutną dokładnością pierwsze rozczarowanie mego życia i proszę zauważyć, że nie polegało ono na chybieniu jakiejś pięknej nadziei, lecz na pojawieniu

się nieszczęścia. Byłem niemal jeszcze dzieckiem, gdy w domu ojca mego wybuchł nocą pożar. Ogień rozszerzył się tajemnie i złośliwie, aż do drzwi mego pokoju paliło się całe piętro i także schody już niemal płonęły. Ja spostrzegłem to pierwszy i wiem, że rzuciłem się biegnąc przez dom i wołając raz po razu: „Pali się! Pali się!" Pamiętam te słowa z wielką dokładnością i wiem też, jakie wywołało je uczucie, chociaż nie mogłem sobie tego wówczas uświadamiać. To jest, czułem, pożar; oto przeżywam go! Nie jest gorzej? Więc to wszystko?

Dalibóg, nie była to drobnostka. Cały dom spłonął. Wszyscy uszliśmy z trudem największego niebezpieczeństwa i ja sam odniosłem bardzo poważne obrażenia. Byłoby też niesłuszne rzec, że fantazja moja uprzedziła wypadki i przedstawiła mi pożar w straszniejszych kolorach. Ale żyło we mnie jakieś niejasne przeczucie, bezkształtne wyobrażenie czegoś jeszcze daleko okropniejszego i w porównaniu z tym rzeczywistość wydała mi się mdła. Pożar był pierwszym moim wielkim przeżyciem: straszliwa nadzieja doznała przez to rozczarowania.

Proszę się nie bać, że będę dalej opowiadał szczegółowo moje rozczarowania. Poprzestanę na zaznaczeniu, że z nieszczęsną gorliwością żywiłem jeszcze moje wspaniałe oczekiwania od życia tysiącem książek: dziełami poetów. Ach, nauczyłem się nienawidzić tych poetów, którzy swe wielkie słowa wypisują na wszystkich ścianach i cedrem umaczanym w lawie Wezuwiusza chcieliby je malować, najchętniej na sklepieniu nieba — chociaż ja nie mogę inaczej, tylko każde wielkie słowo odczuwam jako kłamstwo lub jako szyderstwo.

Natchnieni poeci śpiewali mi, że język jest ubogi, ach, tak ubogi — o nie, drogi panie! Język, zdaje mi się, jest bogaty, nadmiernie bogaty w porównaniu z niedostatkiem i ograniczeniem życia. Ból ma granice: cielesny w omdleniu, duchowy w tępocie — ze szczęściem jest nie inaczej. Ale ludzka

potrzeba wywnętrzania się wynalazła sobie słowa, które kłamstwem przechodzą te granice.

Czy to ode mnie zależy? Czyż działanie pewnych słów tylko mnie przebiega takim dreszczem, że budzi we mnie przeczucie przeżyć, których wcale nie ma?

Wstąpiłem w sławetne życie pełen pożądania tego jednego jedynego przeżycia, które odpowiadałoby moim wielkim przeczuciom. Bóg mi świadkiem, nic mi się nie dostało! Wałęsałem się, by zwiedzać najbardziej wysławiane okolice świata, by oglądać dzieła sztuki, dokoła których ludzkość tańczy z największym zachwytem, stałem przed nimi i powiedziałem sobie: to ładne. A jednak: nie jest ładniejsze? To wszystko?

Nie mam zmysłu do faktów: to mówi wszystko. Stałem raz gdzieś na świecie w górach, nad głębokim, wąskim parowem. Ściany skał były nagie i prostopadłe, a w dole pieniła się woda na głazach. Spojrzałem w dół i pomyślałem: „A gdybym się tak rzucił?" Ale miałem na tyle doświadczenia, że odpowiedziałem sobie: „Gdyby się to stało, to spadając powiedziałbym sobie: teraz spadasz, to fakt! Co to jest właściwie?"

Niech mi pan wierzy, że przeżyłem dość, by móc coś o tym powiedzieć. Przed laty kochałem dziewczynę, delikatne i wdzięczne stworzenie, które chętnie poprowadziłbym za rączkę pod moją opieką; ale nie kochała mnie, to nie dziwota, i inny wziął ją w opiekę... Czyż istnieje smutniejsze przeżycie? Czyż jest coś boleśniejszego niż to cierpkie strapienie, zmieszane okrutnie z rozkoszą? Przeleżałem niejedną noc z otwartymi oczami i bardziej smutna i dręcząca niż wszystko inne była myśl: „Oto wielki ból! Teraz przeżywam go! Cóż to jest właściwie?"

Czyż potrzebuję mówić panu i o moim szczęściu? Bo doznałem i szczęścia, także szczęście mnie rozczarowało... Nie trzeba; gdyż to są niezgrabne przykłady, które nie wykażą panu, że to życie w całości i w ogóle, życie w swym prze-

ciętnym, nieinteresującym i mdłym przebiegu rozczarowało mnie, rozczarowało, rozczarowało.

„Czym jest — woła raz młody Werter — człowiek, ten wysławiony półbóg! Czyż nie brak mu sił właśnie tam, gdzie mu ich najbardziej potrzeba? I kiedy wzlatuje w radości lub tonie w cierpieniu, czyż w obu wypadkach nie wtedy właśnie zatrzymać się musi, nie wtedy powrócić do tępej, zimnej świadomości, gdy pragnął zatracić się w pełni nieskończoności?"

Wspominam często dzień, kiedy ujrzałem pierwszy raz morze. Morze jest wielkie, morze jest dalekie, spojrzenie moje mknęło hen, od brzegu i spodziewało się wyzwolenia, ale tam, w dali, był horyzont. Czemuż ten horyzont? Oczekiwałem od życia nieskończoności.

Może horyzont mój jest ciaśniejszy niż horyzont innych ludzi! Powiedziałem, że brak mi zmysłu rzeczowości — a może mam za dużo tego zmysłu? Za szybko ustaję? Za prędko kończę? Znam szczęście i ból tylko w ich najniższym stopniu, tylko w stanie rozcieńczonym?

Nie wierzę w to; i nie wierzę ludziom, wierzę najnieliczniejszym, którzy w obliczu życia wyznają wielkie słowa poetów — jest to tchórzostwo i kłamstwo! Czy pan zresztą zauważył, że są ludzie tak próżni, tak chciwi szacunku i skrytej zawiści innych, iż udają, że przeżyli tylko wielkie słowa szczęścia, ale nie słowa cierpienia?

Jest ciemno i prawie mnie pan nie słucha; toteż chcę sobie dziś raz jeszcze wyznać, że i ja, ja sam, starałem się niegdyś z tymi ludźmi kłamać, aby przybrać wobec siebie i innych postawę szczęśliwego. Ale już niejeden rok minął, jak się ta próżność załamała i stałem się samotny, nieszczęśliwy i trochę dziwaczny, nie przeczę temu.

Umiłowanym zajęciem moim jest patrzeć nocą w gwiaździste niebo, bo czyż nie jest to najlepszy sposób odwrócenia oczu od ziemi i życia? I chyba można mi wybaczyć, że staram się przy tym zachować moje przeczucia? Marzyć o wyzwolonym

życiu, gdzie rzeczywistość rozpływa się w moich wielkich przeczuciach bez dręczącej reszty rozczarowania? W przeczuciach życia, w którym nie ma już horyzontu?

Marzę o tym i oczekuję śmierci. Ach, znam już tak dokładnie śmierć, to ostatnie rozczarowanie. „To śmierć — powiem sobie w ostatniej chwili — oto przeżywam ją! Cóż to jest właściwie?"

Ale zrobiło się chłodno na placu, drogi panie; czuję to, he, he! Polecam się łaskawej pamięci! Adieu!

MAŁY PAN FRIEDEMANN

1897 r.

Mamka była winna. Cóż z tego, że kiedy powstało pierwsze podejrzenie, pani konsulowa Friedemann nakazała jej wyzbyć się tego nałogu? Cóż z tego, że oprócz pożywnego piwa dawała jej co dzień szklankę czerwonego wina? Nagle okazało się, że ta dziewczyna pozwalała sobie pić jeszcze spirytus, który miał służyć do gotowania, i zanim zjawiła się jej następczyni, zanim zdołano ją odprawić, stało się nieszczęście. Gdy matka i jej trzy podrastające córki wróciły pewnego dnia do domu, mały, liczący sobie ledwo miesiąc Janek, spadłszy ze stołu, gdzie był przewijany, leżał za ziemi kwiląc przeraźliwie cicho, a przy nim stała otępiała mamka.

Lekarz, który z ostrożną sumiennością badał członki skrzywionego i drgającego stworzonka, miał bardzo, bardzo poważną minę, trzy córki łkając stały w kącie, a pani Friedemann w serdecznej trwodze modliła się głośno.

Biedna kobieta jeszcze przed urodzeniem dziecka musiała przeżyć to, że jej męża, niderlandzkiego konsula, zabrała równie nagła jak gwałtowna choroba, i była jeszcze zbyt złamana, aby mogła w ogóle żywić nadzieję, że mały Janek utrzyma się przy życiu. Ale po dwóch dniach lekarz oświadczył jej z pocieszającym uściskiem dłoni, że bezpośredniego niebezpieczeństwa wcale już nie ma, że przede wszystkim wstrząs mózgu minął zupełnie, co widać po spojrzeniu, które nie ma już zgoła tępego wyrazu jak z początku... Oczywiście trzeba poczekać, jak się dalej ta sprawa rozwinie, i żywić najlepszą nadzieję, jak się rzekło, najlepszą nadzieję.

Szary, szpiczasty dom, w którym wyrósł Jan Friedemann, stał u północnej bramy starego, ledwo średniej wielkości handlowego miasta. Przez główne drzwi wchodziło się do obszernej, kamiennymi płytami wykładanej sieni, z której schody o biało lakierowanych drewnianych poręczach prowadziły do góry. Tapety pokojów mieszkalnych na pierwszym piętrze przedstawiały wyblakłe krajobrazy i wokoło ciężkiego mahoniowego stołu z ciemnoczerwonym pluszowym obrusem stały meble o sztywnych oparciach.

Tu w dziecięcych latach, przy oknie, przed którym widniały zawsze piękne kwiaty, siadywał często na stołeczku u stóp swojej matki i słuchał jakichś dziwnych historii, spoglądając na jej gładkie, szare ciemię, na dobrą, łagodną twarz i wdychając lekki zapach, który od niej zawsze zawiewał. Albo kazał sobie pokazywać portret ojca, spokojnego pana z siwymi bokobrodami. Przebywał on w niebie, mówiła matka, i oczekiwał tam ich wszystkich.

Poza domem był ogródek, gdzie w ciągu lata zwykło się spędzać większą część dnia, mimo słodkawych wyziewów, które zawsze niemal dochodziły z pobliskiej cukrowni. Stał tam stary, sękaty orzech i w jego cieniu mały Janek siadywał często na niskim drewnianym krześle i rozłupywał orzechy, gdy matka jego i trzy teraz dorosłe już siostry przebywały w namiocie z szarego żaglowego płótna. Jednak spojrzenie matki podnosiło się często znad robótki, przechodząc z smutnym uśmiechem na dziecko.

Mały Janek nie był ładny; i kiedy tak ze szpiczastą, wysoką piersią, z wypukłym grzbietem i z przydługimi, chudymi ramionami siedział na stołku i z pośpieszną zręcznością rozłupywał orzechy, przedstawiał najosobliwszy widok. Jego ręce i stopy były kształtne i wąskie; miał wielkie, brunatne jak u sarny oczy, miękko zarysowane usta i cienkie jasnobrunatne włosy. Choć twarz jego tak żałośnie tkwiła pomiędzy barkami, nazwać go można było niemal pięknym.

Kiedy miał siedem lat, posłano go do szkoły i teraz mijały lata jednostajnie i szybko. Co dzień wędrował komicznie poważnym krokiem, który właściwy jest niekiedy garbatym, wśród szpiczastych domów i sklepów do starego budynku szkolnego o gotyckich sklepieniach; i gdy w domu ukończył swą pracę, czytał książki z pięknymi pstrymi obrazkami na kartach tytułowych lub zajmował się czymś w ogrodzie, gdy siostry prowadziły chorującej matce gospodarstwo. Odwiedzały też znajomych z towarzystwa, gdyż Friedemannowie należeli do najwyższych kół miasta; ale, niestety, nie wyszły dotąd za mąż, bo majątek ich nie był równie wielki, a one same były bardzo brzydkie.

Janek otrzymywał również kiedy niekiedy od swych rówieśników zaproszenia, ale nie znajdował wiele przyjemności w obcowaniu z nimi. Nie mógł uczestniczyć w ich zabawach, a ponieważ zachowywali zawsze wobec niego zakłopotaną powściągliwość, więc nie mogło dojść do bliższego koleżeństwa.

Nadszedł czas, gdy słyszał, jak na dziedzińcu szkolnym rozmawiali często o pewnych przeżyciach; uważnie, ze zdumieniem nasłuchiwał, jak opowiadali o swoich rojeniach, o tej czy owej dziewczynce, i milczał. Te rzeczy, mówił sobie, którymi tamci byli jawnie całkowicie przejęci, należały do tego, do czego się on nie nadawał, jak do gimnastyki i gry w piłkę. To czasem trochę smuciło; ostatecznie jednak przywykł był od dawna wystarczać sobie i nie podzielać zainteresowań cudzych.

Stało się jednak, że kiedy miał szesnaście lat, poczuł do pewnej dziewczynki-równolatki nagłą skłonność. Była to siostra jednego z kolegów z tej samej klasy, jasnowłose, swawolnie wesołe stworzenie; poznał ją u jej brata. Czuł w jej pobliżu dziwną nieśmiałość i powściągliwy, sztucznie przyjacielski sposób, w jaki się doń odnosiła, napełniał go głębokim smutkiem.

Gdy pewnego popołudnia letniego przechadzał się za miastem po wale, doszło go zza krzewu jaśminu szeptanie; nasłuchiwał ostrożnie poprzez gałęzie. Na stojącej tam ławce siedziała owa dziewczynka obok wysokiego rudego chłopca, którego znał bardzo dobrze; chłopiec otoczył ją ramieniem i wycisnął na jej wargach pocałunek, który chichocząc odwzajemniła. Gdy Jan Friedemann to ujrzał, zawrócił i odszedł cicho. Głowa jego tkwiła głębiej niż zwykle między barkami, ręce mu drżały i ostry, przejmujący ból podniósł się z piersi do gardła. Ale on zdławił go i wyprostował się stanowczo, ile mógł. „Dobrze — rzekł sobie — skończone. Nigdy już nie będzie mnie to obchodziło. Innym daje to szczęście i radość, ale mnie może przynieść zawsze tylko smutek i cierpienie. Skończyłem z tym. Załatwione. Nigdy więcej."

Decyzja sprawiła mu ulgę. Wyrzekł się. Wyrzekł się na zawsze. Poszedł do domu, wziął książkę do ręki czy grał na skrzypcach, czego nauczył się mimo swej garbatej piersi.

Skończywszy lat siedemnaście opuścił szkołę, aby zostać kupcem, jak wszyscy młodzieńcy w jego kołach, i wstąpił do wielkiego interesu drzewnego pana Schlievogta, w dole nad rzeką, jako uczeń. Traktowano go ze względami, on ze swej strony był uprzejmy i usłużny i czas mijał spokojnie i jednostajnie. Ale gdy miał lat dwadzieścia jeden, zmarła po długich cierpieniach jego matka.

Był to wielki dla Jana Friedemanna ból, który przechowywał w sobie długo. Rozkoszował się tym cierpieniem, oddawał mu się, jak oddajemy się wielkiemu szczęściu, pielęgnował je mocą tysiąca wspomnień dziecięctwa i żerował na nim jako na pierwszym swym wielkim przeżyciu.

Czyż życie nie jest w sobie czymś dobrym bez względu na to, czy układa się nam tak, że nazywamy je „szczęśliwym"? Jan Friedemann czuł to i kochał życie. Nikt nie zrozumie,

z jaką starannością on, który zrezygnował z wielkiego osiągalnego w nim szczęścia, umiał używać radości, które dlań były dostępne. Przechadzka w porze wiosennej w zamiejskich parkach, zapach kwiatu, śpiew ptaka — nie byłyż to rzeczy, za które można było być wdzięcznym?

A że do zdolności rozkoszowania się potrzeba wykształcenia, ba, że wykształcenie jest zawsze tylko równe zdolności rozkoszowania się — i to też rozumiał. Kochał muzykę i bywał na wszystkich koncertach, które urządzano w mieście. On sam grywał stopniowo, choć wyglądał przy tym niezwykle dziwnie, coraz lepiej na skrzypcach i radował się każdym miękkim i pięknym tonem, który mu się udał. Zdobył też z czasem dzięki obfitej lekturze smak literacki, którego snadź w mieście z nikim nie dzielił. Zaznajomiony był z nowymi zjawiskami w kraju i za granicą, umiał wyczuć rytmiczny czar poematu, poddać się intymnemu nastrojowi subtelnej noweli — ach, można było niemal powiedzieć, że był epikurejczykiem.

Nauczył się pojmować, że wszystko jest godne tego, by się nim rozkoszować, i że jest niemal szaleństwem czynić różnicę między przeżyciami szczęśliwymi i nieszczęśliwymi. Przyjmował z ochotą wszystkie wrażenia i nastroje i pielęgnował tak samo posępne, jak pogodne i także nie spełnione życzenia — t ę s k n o t ę. Kochał je dla nich samych i mówił sobie, że wraz ze spełnieniem minie to, co najlepsze. Czyż słodkie, bolesne, nieuchwytne pragnienia i nadzieje cichych wieczorów wiosennych nie są rozkoszniejsze niż wszelkie spełnienia, które przynieść może lato? — Tak, epikurejczykiem był mały pan Friedemann.

Tego nie wiedzieli ludzie, którzy pozdrawiali go na ulicy w ów sposób współczująco uprzejmy, do jakiego z dawna był przyzwyczajony. Nie wiedzieli, że ten nieszczęśliwy kaleka, który z swą śmieszną powagą, w jasnej zarzutce i w lśniącym cylindrze — dziwnym trafem był trochę próżny — maszeruje

przez ulice, kocha czule życie, które upływa mu łagodnie, bez wielkich wstrząśnień, lecz pełne cichego i słodkiego szczęścia, które umiał sobie stworzyć.

Ale głównym umiłowaniem pana Friedemanna, jego właściwą namiętnością, był teatr. Posiadał niezwykle silną dramatyczną wrażliwość i przy wielkim efekcie scenicznym, przy katastrofie tragedii, całe ciałko jego doznawało drżenia. Miał w pierwszym rzędzie teatru miejskiego stałe miejsce, które regularnie zajmował, i kiedy niekiedy towarzyszyły mu jego trzy siostry. Od śmierci matki prowadziły sobie i bratu gospodarstwo w starym domu, którego posiadaniem z nim się dzieliły.

Za mąż, niestety, wciąż jeszcze nie wyszły; ale były od dawna w wieku, w którym się człowiek uspokaja, bo Fryderyka, najstarsza, była o lat siedemnaście starsza od pana Friedemanna. Ona i siostra jej Henrietta były nieco za długie i za cienkie, gdy Pfiffi, najmłodsza, wydawała się zbyt mała i otyła. Ta ostatnia zresztą w dziwaczny sposób trzęsła się przy każdym słowie i śliniły się jej przy tym kąciki ust.

Mały pan Friedemann nie troszczył się zbytnio o trzy dziewczyny; one jednak wiernie trzymały się razem i były zawsze jednego zdania. Zwłaszcza gdy wśród znajomych ich zdarzyły się zaręczyny, stwierdzały jednomyślnie z naciskiem, że się b a r d z o cieszą.

Brat ich w dalszym ciągu mieszkał z nimi, także gdy opuścił handel drzewem pana Schlievogta i usamodzielnił się, przejmując jakiś mały interes, agenturę czy coś podobnego, co nie wymagało zbyt wielkiej pracy. Zajmował kilka parterowych pomieszczeń w domu, aby mógł tylko na obiady wchodzić po schodach na górę, bo kiedy niekiedy cierpiał trochę na astmę.

W rocznicę trzydziestolecia swych urodzin, w jasny i ciepły

dzień czerwcowy, siedział po obiedzie w szarym namiocie ogrodowym, z nowym wałkiem pod kark, wyszytym dlań przez Henriettę, z dobrym cygarem w ustach i dobrą książką w ręce. Kiedy niekiedy odkładał książkę, słuchał radosnego ćwierkania wróbli siedzących na starym orzechu i patrzył na czysty żwir ścieżki wiodącej do domu i na murawę z pstrym kwieciem.

Mały pan Friedemann nie nosił brody i twarz jego nie zmieniła się prawie wcale, tylko rysy zaostrzyły się nieco. Jego cienkie, jasnobrunatne włosy były z boku gładko przedzielone. Kiedy raz opuścił książkę na kolana i spojrzał w błękitne, słoneczne niebo, rzekł sobie: „Oto już trzydzieści lat. Przyjdzie ich może jeszcze dziesięć, a może też jeszcze dwadzieścia, Bóg wie. Przyjdą i miną ciche i bezgłośne, jak te, co upłynęły, i oczekuję ich w spokoju ducha."

W lipcu tegoż roku zaszła owa zmiana w dowództwie okręgu, która wywołała ogólne podniecenie. Otyły, jowialny pan, który przez wiele lat zajmował to stanowisko, był w towarzyskich kołach bardzo lubiany i niechętnie się z nim rozstawano. Bóg wie, dzięki jakim okolicznościom pan von Rinnlingen dostał się tutaj. Zmiana zresztą wydawała się niezła, gdy nowy pułkownik, żonaty, lecz bezdzietny, wynajął na południowym przedmieściu bardzo obszerną willę, z czego wnioskowano, że zamierza prowadzić dom. W każdym razie wieść, że jest niezwykle zamożny, potwierdzało też to, że przywiózł z sobą czworo służby, pięć wierzchowców i cugowych, lando i lekki wózek myśliwski.

Państwo zaczęli zaraz po swym przyjeździe składać wizyty poważanym rodzinom i nazwisko ich było na wszystkich ustach; główne zainteresowanie jednak nie skupiało się wokół samego pana von Rinnlingen, lecz wokół jego małżonki. Panowie byli zaintrygowani i nie mieli na razie żadnego zdą-

nia, ale panie nie zgadzały się wprost na sposób bycia Gerdy von Rinnlingen.

— Że czuć ją stołecznym powietrzem — wyraziła się pani adwokatowa Hagenström do Henrietty Friedemann — no, to rzecz naturalna. Tak, jeździ konno, zgoda! Ale zachowanie jej jest nie tylko swobodne, jest żakowskie, a i to nie jest jeszcze właściwe słowo. Widzi pani, nie jest wcale brzydka, można by nawet uznać ją za ładną: a jednak brak jej wszelkiego kobiecego uroku, a jej spojrzeniu, jej śmiechowi, jej ruchom zbywa na wszystkim, co lubią mężczyźni. Nie jest kokietką i, Bogu wiadomo, jestem ostatnia, która by nie uważała tego za godne pochwały, ale czyż wolno tak młodej kobiecie — ma dwadzieścia cztery lata — zupełnie się wyzbywać naturalnego, czarującego powabu? Najdroższa, nie jestem wymowna, ale wiem, co myślę. Nasi panowie są teraz jeszcze jakby oszołomieni. Zobaczy pani, że po kilku tygodniach odwrócą się od niej z zupełnym niesmakiem.

— No — rzekła panna Friedemann — jest przecie doskonale zabezpieczona.

— Tak, jej mąż! — zawołała pani Hagenström. — Jakże go ona traktuje? Powinna pani zobaczyć! Zobaczy pani! Ja pierwsza jestem zdania, że zamężna kobieta względem odmiennej płci powinna być do pewnego stopnia odporna. Ale jakżeż ona zachowuje się w stosunku do własnego męża? W jakiś swój sposób patrzy na niego lodowato i mówi współczującym tonem „mój przyjacielu", co mnie oburza! Bo trzeba j e g o widzieć przy tym — poprawny, dziarski, rycerski, wspaniale zakonserwowany czterdziestolatek, świetny oficer! Są już cztery lata po ślubie, najdroższa.

Miejscem, gdzie dane było małemu panu Friedemannowi ujrzeć po raz pierwszy panią von Rinnlingen, była główna ulica, przy której znajdowały się niemal wyłącznie domy

handlowe, i spotkanie to zdarzyło się w południe, gdy właśnie wracał z giełdy, gdzie miał słówko do pomówienia.

Przechadzał się, drobny i poważny, z hurtownikiem Stephensem, niezwykle wysokim i barczystym mężczyzną z okrągło przyciętymi bokobrodami i strasznie gęstymi brwiami. Obaj nosili cylindry i mieli z powodu gorąca rozpięte narzutki. Mówili o polityce uderzając przy tym do taktu laskami o chodniki, gdy doszli jednak prawie do środka ulicy, rzekł nagle hurtownik Stephens:

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli tam nie nadjeżdża Rinnlingenowa.

— To świetnie się składa — rzekł pan Friedemann wysokim, nieco ostrym głosem i spojrzał pełen oczekiwania przed siebie. — Nie widziałem jej jeszcze na oczy. Otóż mamy żółty powóz.

Istotnie był to żółty wózek myśliwski, którego używała dziś pani von Rinnlingen powożąc osobiście parą smukłych koni, podczas gdy służący z założonymi rękami siedział za nią. Miała na sobie obszerną, zupełnie białą kurtkę i takąż spódnicę. Spod okrągłego słomianego kapelusika spływały rudawe włosy, zaczesane na uszy i spadające grubym węzłem nisko na kark. Cera jej owalnej twarzy była matowobiała, a w kącikach jej niezwykle blisko osadzonych brunatnych oczu leżały błękitne cienie. Nad jej krótkim, lecz bardzo delikatnie zarysowanym nosem widniało siodełko piegów, z czym było jej bardzo do twarzy; ale czy piękne były jej usta, nie można było poznać, gdyż wysuwała nieustannie dolną wargę pocierając nią górną.

Hurtownik Stephens ukłonił się niezwykle uniżenie, gdy powóz się zbliżył; mały pan Friedemann również zdjął kapelusz, przyglądając się pani von Rinnlingen wielkimi, uważnymi oczyma. Spuściła bicz, skinęła lekko głową i zwolna przejechała mimo, przypatrując się z lewa i z prawa domom i wystawom.

Uszedłszy kilka kroków rzekł hurtownik:

— Odbyła przejażdżkę i wraca teraz do domu.

Mały pan Friedemann nie odpowiedział, lecz patrzył przed siebie na bruk. Po czym spojrzał nagle na hurtownika i spytał:

— Jak, panie?

I pan Stephens powtórzył swą bystrą uwagę.

W trzy dni później, o dwunastej w południe, wrócił pan Friedemann z swej zwykłej przechadzki do domu. O wpół do pierwszej siadano do obiadu, więc chciał jeszcze na pół godziny zajść do „biura", które leżało tuż na prawo koło drzwi domu, gdy służąca przyszła z sieni i rzekła:

— Wizyta, panie Friedemann.

— U mnie?

— Nie, na górze, u pań.

— Kto taki?

— Państwo pułkownikostwo von Rinnlingen.

— O! — rzekł pan Friedemann — więc muszę...

I poszedł schodami na górę. Tam zrobił kilka kroków i już miał w ręce klamkę wysokich białych drzwi, które prowadziły do „pokoju z krajobrazami", gdy nagle stanął, cofnął się o krok, zawrócił i odszedł powoli, jak przyszedł. I choć był zupełnie sam, rzekł na cały głos:

— Nie. Raczej nie.

Poszedł do swego biura, usiadł przy stole i wziął gazetę do ręki. Ale po minucie upuścił ją i spojrzał w bok przez okno. Tak trwał, aż przyszła służąca oznajmiając, że obiad podany; potem udał się na górę do jadalni, gdzie siostry czekały na niego, i usiadł na swym krześle, na którym leżały trzy tomy nut.

Henrietta, która nalewała zupę, rzekła:

— Wiesz, Janie, kto tu był?

— No? — spytał.

— Nowi pułkownikostwo.

— Tak? To bardzo uprzejmie.

— Tak — rzekła Pfiffi i ślina napłynęła jej w kąciki ust — uważam, że oboje są bardzo mili.

— W każdym razie — rzekła Fryderyka — nie możemy zwlekać z rewizytą. Proponuję pójść pojutrze. W niedzielę.

— W niedzielę — rzekły Henrietta i Pfiffi.

— Chyba pójdziesz z nami, Janie? — spytała Fryderyka.

— Rozumie się! — rzekła Pfiffi i zatrzęsła się. Pan Friedemann nie dosłyszał wcale pytania i jadł zupę z cichą, trwożną miną. Zdawało się, jakby nasłuchiwał jakiegoś niesamowitego szmeru.

Nazajutrz wieczór dawano w teatrze miejskim „Lohengrina" i cała inteligencja była obecna. Mała sala była obsadzona od góry do dołu i wypełniona szumiącym gwarem, zapachem gazu i perfum. Ale wszystkie lornetki, tak na parterze jak na piętrach, zwrócone były ku loży trzynastej, na prawo tuż przy scenie, gdyż tam zjawił się po raz pierwszy pan von Rinnlingen z żoną i miano sposobność gruntownego przyjrzenia się wreszcie tej parze. Gdy mały pan Friedemann, w nienagannym czarnym ubraniu, z ostro odstającym gorsem koszuli, wszedł do swej loży — numer trzynasty — cofnął się w drzwiach wykonując dłonią ruch ku czołu i nozdrza jego rozszerzyły się na chwilę kurczowo. Potem jednak zajął miejsce na krześle po lewej stronie pani von Rinnlingen.

Gdy usiadł, spojrzała nań uważnie, wysuwając wargę dolną, po czym odwróciła się, by zamienić kilka słów z mężem, który stał poza nią. Był to wysoki, barczysty pan z podczesanymi w górę wąsami i brunatną dobroduszną twarzą.

Gdy zaczęła się uwertura i pani von Rinnlingen przechyliła się przez parapet, pan Friedemann objął ją z boku szybkim, dorywczym spojrzeniem. Miała na sobie jasną wieczorową suknię i była, jedyna wśród obecnych dam, nawet trochę dekoltowana. Rękawy jej były bardzo szerokie i bufiaste, a białe rękawiczki sięgały aż do łokci. Kształty jej były dziś

nieco pulchne, co niedawno, gdy miała na sobie szeroki kaftan, nie było widoczne; pierś jej podnosiła się i opadała swobodnie i powoli, a węzeł rudawych włosów opadał nisko i ciężko na kark.

Pan Friedemann był blady, bledszy niż zwykle, i pod równo przedzielonymi brunatnymi włosami lśniły na jego czole kropelki potu. Pani von Rinnlingen ściągnęła rękawiczkę z lewej ręki leżącej na czerwonym aksamicie parapetu i to okrągłe, matowobiałe ramię, powleczone, jak i pozbawiona ozdób ręka, bladoniebieskimi żyłkami, widział pan Friedemann ciągle; nie można było tego zmienić.

Skrzypce śpiewały, trąby huczały, Telramund padł, w orkiestrze panowała powszechna radość, a mały pan Friedemann siedział nieruchomy, blady i cichy, z głową głęboko tkwiącą między ramionami, z palcem wskazującym na ustach i drugą ręką za klapą surduta.

Gdy zasłona opadła, pani Rinnlingen wstała, aby z małżonkiem opuścić lożę. Pan Friedemann widział to nie podnosząc głowy, przetarł lekko chusteczką czoło, nagle wstał, podszedł do drzwi prowadzących na korytarz, zawrócił, usiadł na swym miejscu i trwał tam bez ruchu w postawie, jaką przedtem zajmował.

Gdy zabrzmiał dzwonek i sąsiedzi jego wrócili, czuł, że oczy pani Rinnlingen spoczywają na nim, i mimo woli podniósł głowę. Gdy spojrzenia ich się spotkały, nie odwróciła wcale wzroku, lecz bez śladu zakłopotania przyglądała mu się dalej, póki on sam, pokonany i upokorzony, nie spuścił oczu. Zbladł jeszcze bardziej i zdjął go dziwny słodkawo-gryzący gniew. — Zaczęła się muzyka.

Pod koniec tego aktu zdarzyło się, że pani von Rinnlingen upuściła wachlarz, który upadł na ziemię koło pana Friedemanna. Oboje schylili się jednocześnie, a ona pochwyciła go sama i rzekła z szyderczym uśmiechem:

— Dziękuję.

Głowy ich znalazły się tuż obok siebie i musiał przez chwi-

lę oddychać ciepłą wonią jej piersi. Twarz jego wykrzywiła się, całe ciało skurczyło się i serce biło mu z tak wielkim trudem i tak gwałtownie, że tracił oddech. Posiedział jeszcze chwilę, potem odsunął krzesło, wstał cicho i cicho wyszedł.

Kroczył, ścigany dźwiękami muzyki, przez korytarz, w garderobie kazał sobie podać cylinder, jasną zarzutkę i laskę i zszedł schodami na ulicę.

Był ciepły, cichy wieczór. W świetle gazowych latarni szare, szpiczaste domy wznosiły się milcząco ku niebu, na którym lśniły ciche, łagodne gwiazdy. Kroki nielicznych przechodniów, których spotykał pan Friedemann, rozbrzmiewały na trotuarze. Ktoś mu się ukłonił, ale on tego nie widział; szedł z nisko spuszczoną głową, jego wysoka, szpiczasta pierś drżała, tak ciężko oddychał. Kiedy niekiedy mówił cicho do siebie:

— Mój Boże! Mój Boże!

Widział w sobie przerażonym, trwożnym spojrzeniem, jak uczucie, które tak tkliwie pielęgnował, z którym obchodził się tak delikatnie i mądrze, teraz wybuchło, skłębiło się, legło w ruinie. — I nagle, zmiażdżony, w stanie oszołomienia, upojenia, tęsknoty i męki, oparł się o słup latarni i szepnął z drżeniem:

— Gerda!

Wszystko milczało. Jak okiem sięgnąć nigdzie w tej chwili ani żywej duszy. Mały pan Friedemann zebrał się w sobie i ruszył dalej. Poszedł był w górę ulicą, przy której leżał teatr i która zbiegała bardzo stromo ku rzece, i podążał teraz główną ulicą na północ, ku swemu mieszkaniu.

Jak spoglądała na niego! Jak to? Zmusiła go do tego, że spuścił oczy? Upokorzyła go swym spojrzeniem? Czyż nie była kobietą, a on mężczyzną? I czyż jej dziwne brunatne oczy nie drżały przy tym po prostu z radości?

Uczuł znowu wzbierającą w nim tę bezsilną, lubieżną nienawiść, ale wtedy pomyślał o owej chwili, gdy głowa jej dotknęła jego głowy, gdy wetchnął zapach jej ciała, i stanął

po raz drugi, przechylił w tył garbate ciało, wciągnął powietrze przez zęby i zupełnie bezradny, zrozpaczony, nieprzytomny, szepnął kilkakrotnie:

— Mój Boże! Mój Boże!

I znów kroczył mechanicznie dalej, powoli, poprzez parne powietrze wieczoru, poprzez opustoszałe, dudniące ulice, aż stanął przed swym mieszkaniem. Postał chwilę w sieni, wciągnął chłodny, piwniczny zaduch, jaki tam panował, po czym wszedł do swego biura.

Usiadł przy stole koło otwartego okna i patrzył tępo na wielką, żółtą różę, którą ktoś wstawił tam do szklanki z wodą. Ujął ją i z zamkniętymi oczyma wchłaniał jej woń; ale potem odstawił ją na bok znużonym, smutnym ruchem. Nie, nie, to skończone! Czymże była dla niego taka woń? Czymże było dla niego wszystko, co dotąd stanowiło jego „szczęście"?

Odwrócił się i wyjrzał na cichą ulicę. Od czasu do czasu zadudniły kroki i ucichły. Nieruchomo lśniły gwiazdy. Jakże był śmiertelnie znużony i słaby! Jego głowa była pusta i rozpacz jego jęła roztapiać się w wielki, łagodny smutek. Kilka wierszy przemknęło mu przez myśl, zabrzmiała w uszach muzyka z „Lohengrina", ujrzał raz jeszcze przed sobą postać pani von Rinnlingen, jej białe ramię na czerwonym aksamicie i potem popadł w ciężki, gorączkowy sen.

Często był bliski przebudzenia, ale bał się go i każdym razem zapadał na nowo w nieprzytomność. Gdy jednak rozjaśniło się zupełnie, otworzył oczy i spojrzał zdziwionym, bolesnym wzrokiem dokoła. Widział w duszy wszystko wyraźnie; zdawało się, jakby sen ani na chwilę nie przerwał jego bólu.

Głowę miał otępiałą, oczy paliły; ale gdy umył się i zwilżył czoło wodą kolońską, poczuł się lepiej i usiadł znów na swym miejscu przy oknie, które pozostało otwarte. Było jeszcze bardzo wcześnie, około piątej. Od czasu do czasu przechodził

chłopak z piekarni, poza tym nie było widać nikogo. Naprzeciw rolety były jeszcze spuszczone. Ale ptaki ćwierkały i niebo było jasnobłękitne. Był przepiękny poranek niedzielny.

Uczucie spokoju i ufności owładnęło małym panem Friedemannem. Czegóż się lękał? Czyż wszystko nie było jak zwykle? Oczywiście, że wczoraj opadło go coś złego; ale należało z tym skończyć! Nie było jeszcze za późno, jeszcze mógł ujść zguby! Musiał unikać wszelkiej przyczyny, która by mogła znów wywołać atak; czuł dość siły, aby to przemóc i zupełnie zdławić w sobie...

Gdy uderzyła ósma, weszła Fryderyka i postawiła kawę na okrągłym stole, który stał przy skórzanej sofie opartej o ścianę.

— Dzień dobry, Janku — rzekła — oto śniadanie.

— Dziękuję — rzekł pan Friedemann. I dodał: — Droga Fryderyko, przykro mi, że będziecie musiały pójść z wizytą same. Nie czuję się dość dobrze, aby wam towarzyszyć. Źle spałem, boli mnie głowa, słowem, muszę was prosić...

Fryderyka odrzekła:

— Szkoda. Nie możesz tej wizyty całkiem zaniechać. Ale naprawdę źle wyglądasz. Czy mam ci pożyczyć mentolowego ołówka?

— Dziękuję — rzekł pan Friedemann. — To przejdzie. — I Fryderyka wyszła.

Stojąc przy stole pił powoli kawę i jadł rogalik. Był kontent z siebie i dumny z swego postanowienia. Gdy skończył, wyjął cygaro i znowu usiadł przy oknie. Śniadanie zrobiło mu dobrze, czuł się szczęśliwy i pełen nadziei. Wziął książkę, czytał, palił i mrugając patrzył w słońce.

Ulica ożywiła się teraz; turkot wozów, rozmowy i dzwonki tramwajów dochodziły doń na górę; wśród tego wszystkiego jednak słychać było świergot ptaków i z promiennie błękitnego nieba zawiewało miękkie, ciepłe powietrze.

O godzinie dziesiątej słyszał, jak siostry przechodziły sienią, słyszał skrzypienie bramy i widział przechodzące za oknem

trzy damy, nie zwracając na to zbytniej uwagi. Minęła godzina; czuł się coraz szczęśliwszy.

Zaczęła się w nim budzić jakaś wesołość. Co za powietrze, jaki świergot ptaków! Cóż, gdyby tak poszedł się przejść? — I oto nagle, bez jakiejś asocjacji, wynurzyła się w nim z słodkim lękiem myśl: „Gdybym poszedł do niej?" — I kiedy z prawdziwym wytężeniem mięśni tłumił w sobie wszystko, co go trwożnie ostrzegało, dodał z radosną stanowczością: „Pójdę do niej!"

I włożył czarne odświętne ubranie, wziął cylinder i laskę i poszedł spiesznie, dysząc szybko, przez całe miasto do południowej dzielnicy. Nie widząc po drodze nikogo, podnosił i pochylał gwałtownie za każdym krokiem głowę w nieprzytomnej egzaltacji, aż znalazł się w kasztanowej alei przed czerwoną willą, na której drzwiach wchodowych widniało nazwisko: „Pułkownik von Rinnlingen".

Tu opadł go gniew i serce spazmatycznie i ciężko biło mu w piersi. Ale przeszedł sień i zadzwonił. Teraz był zdecydowany, nie mógł się cofnąć. „Niech wszystko idzie swoją drogą" — pomyślał. Nagle uczuł w sobie śmiertelną ciszę.

Drzwi otwarły się, służący stanął przed nim, odebrał bilet i pośpieszył na górę schodami, na których leżał czerwony chodnik. Pan Friedemann spoglądał nań bez ruchu, aż wrócił służący i oświadczył, że pani prosi na górę.

Tam, przy drzwiach do salonu, gdzie zostawił laskę, spojrzał w zwierciadło. Twarz jego była blada i nad zaczerwienionymi oczami włosy lepiły się do czoła; ręka, w której trzymał cylinder, drżała bez przerwy.

Gdy służący otworzył, on wszedł. Ujrzał się w bardzo dużym, półmrocznym pokoju; okna były zasłonięte. Na prawo stał fortepian i w środku dokoła okrągłego stołu grupowały się fotele obite brązowym jedwabiem. Nad sofą pod lewą ścianą wisiał krajobraz w ciężkich złotych ramach. Również tapety były ciemne. W wykuszu stały palmy.

Minęła minuta, nim pani von Rinnlingen z prawej strony od-

chyliła portierę i podeszła ku niemu cicho po grubym brunatnym dywanie. Miała na sobie prosto uszytą suknię w czerwone i czarne kostki. Z wykuszu smuga światła, w której tańczył kurz, padała na jej ciężkie rude włosy, tak że przez chwilę zalśniły złotem. Zwracała nań badawczo swoje dziwne oczy i jak zwykle wysuwała dolną wargę.

— Pani — zaczął pan Friedemann i spojrzał na nią w górę, gdyż sięgał jej tylko po pierś — chciałbym i ja złożyć jej moje uszanowanie. Gdy pani zaszczyciła moje siostry, byłem niestety nieobecny i... żałuję szczerze...

Nie wiedział zgoła, co dalej powiedzieć, ale ona stała i patrzyła nań bezlitośnie, jak gdyby chciała go zmusić do dalszego mówienia. Wszystka krew uderzyła mu nagle do głowy. „Chce mnie dręczyć i wydrwić! — pomyślał — i przeziera mnie na wylot! Jak oczy jej drwią!" — Wreszcie rzekła pogodnym, jasnym głosem:

— Bardzo to miło, że pan przyszedł. Żałowałam onegdaj także, że pana nie zastałam. Zechce pan usiąść?

Usiadła przy nim, złożyła ręce na bocznych poręczach krzesła i oparła się plecami. Siedział w przód pochylony i trzymał kapelusz między kolanami. Rzekła:

— Wie pan, że dopiero przed kwadransem były tu pańskie siostry? Powiedziały mi, że pan chory.

— To prawda — rzekł pan Friedemann — nie czułem się dobrze dziś rano. Myślałem, że nie będę mógł wyjść. Proszę wybaczyć moje spóźnienie.

— Jeszcze i teraz nie wygląda pan zdrowo — rzekła spokojnie i spojrzała nań wnikliwie. — Jest pan blady i oczy pana są zaognione. Czy pańskie zdrowie w ogóle pozostawia coś do życzenia?

— O... — jąkał pan Friedemann — na ogół jestem zadowolony.

— Ja też często choruję — ciągnęła nie odwracając od niego oczu — ale nikt tego nie zauważa. Jestem nerwowa i mam najdziwniejsze stany.

Zamilkła, spuściła głowę na piersi i patrzyła nań z dołu wyczekująco. Ale nie odpowiadał. Siedział cicho, zwracając na nią zdziwione, zamyślone oczy. Jak dziwnie mówiła i jak poruszał go jej jasny, drżący głos! Serce jego uspokoiło się, miał wrażenie, jakby śnił. Pani Rinnlingen zaczęła znowu:

— Chyba nie mylę się, że wyszedł pan wczoraj z teatru przed końcem przedstawienia?

— Tak, pani.

— Żałowałam tego. Słuchał pan z nabożeństwem, choć spektakl nie był dobry lub może tylko dość dobry. Lubi pan muzykę? Gra pan na fortepianie?

— Gram trochę na skrzypcach — rzekł pan Friedemann. — To znaczy — prawie nic...

— Gra pan na skrzypcach? — spytała; potem spojrzała mimo niego w powietrze i zamyśliła się.

— Ale w takim razie moglibyśmy od czasu do czasu razem pograć — rzekła nagle. — Umiem trochę akompaniować. Cieszyłabym się, gdybym znalazła tu kogo... Będzie pan mógł?...

— Z przyjemnością będę do usług pani — rzekł, ciągle jakby we śnie. Nastąpiła pauza. Wtedy nagle zmienił się wyraz jej twarzy. Widział, jak skrzywiła się ledwo uchwytnym, okrutnym szyderstwem, jak oczy jej spojrzały nań znów mocno i badawczo z owym niesamowitym drżeniem, jak już dwa razy przedtem. Twarz jego stała się purpurowa i nie wiedząc, co począć, zgoła bezwładny i nieprzytomny, wciągnął głowę w ramiona, patrząc zmieszany na dywan. Ale niby krótkim dreszczem przebiegła go owa bezsilna, słodkawo-bolesna wściekłość.

Kiedy z rozpaczliwą stanowczością podniósł znowu wzrok, nie patrzyła już na niego, lecz spoglądała spokojnie ponad jego głową na drzwi. Wykrztusił z trudem kilka słów:

— Czy pani jest jak dotąd zadowolona z pobytu w naszym mieście?

— O — rzekła pani von Rinnlingen obojętnie — oczywiście. Czemuż nie miałabym być zadowolona? Zapewne, jestem jak-

by nieco skrępowana, pod obserwacją, ale... Zresztą — dodała natychmiast — zanim zapomnę: mamy zamiar w najbliższych dniach zaprosić kilka osób, małe, dobrane kółko. Można by trochę pograć, pogadać... Nadto mamy za domem bardzo ładny ogród; sięga aż do rzeki. Słowem: pan i pańskie siostry otrzymają, ma się rozumieć, jeszcze zaproszenie, ale proszę pana z miejsca o współudział; zrobi pan nam tę przyjemność?

Pan Friedemann ledwo wyraził podziękowanie i obietnicę, gdy ktoś energicznie nacisnął klamkę i wszedł pułkownik. Oboje powstali i gdy pani von Rinnlingen przedstawiła wzajemnie panów, małżonek jej z równą uprzejmością skłonił się panu Friedemannowi jak jej. Brunatna twarz jego lśniła od gorąca.

Zdejmując rękawiczki mówił coś silnym, ostrym głosem do pana Friedemanna, który wielkimi, bezmyślnymi oczami patrzył ku niemu w górę i oczekiwał ciągle, że tamten życzliwie poklepie go po ramieniu. Tymczasem pułkownik ze zsuniętymi obcasami i naprzód podaną piersią zwrócił się do żony i rzekł widocznie stłumionym głosem:

— Czy prosiłaś pana Friedemanna o przybycie na nasze małe przyjęcie, moja droga? Jeśli pozwolisz, sądzę, że urządzimy je za tydzień. Mam nadzieję, że pogoda dopisze i że będziemy mogli czas spędzić w ogrodzie.

— Jak uważasz — odrzekła pani von Rinnlingen i spojrzała mimo niego.

W dwie minuty później pożegnał się pan Friedemann. Gdy raz jeszcze skłonił się przy drzwiach, napotkał jej oczy, które spoczywały na nim bez wyrazu.

Wyszedł i nie wrócił ku miastu, lecz mimo woli obrał drogę, która zbaczała od alei i prowadziła do dawnego wału nad rzeką. Były tam starannie utrzymane plantacje, cieniste ławki i ścieżki.

Szedł szybko i bez zastanowienia, nie podnosząc oczu. Było mu nieznośnie gorąco; czuł, jak zalewa go ogień i jak nielitościwie bije tętno w znużonej głowie.

Czyż nie spoczywało wciąż jeszcze na nim jej spojrzenie? Ale nie jak ostatnio, puste i bez wyrazu, ale jak przedtem, z tym drżącym okrucieństwem po dopiero co w tak dziwnie cichy sposób wyrzeczonych doń słowach? Ach, czy bawiło ją to, że doprowadza go do bezradności i rozpaczy? Jeśli go odgaduje, czyż nie mogła mieć dlań trochę litości?

Szedł wzdłuż rzeki, obok porośniętego zielenią wału, i usiadł na ławce otoczonej półkolem jaśminowych krzewów. Wszystko w krąg było pełne słodkiego, dusznego zapachu. Przed nim odbijało się słońce w drżącej wodzie.

Jakże czuł się znużony i zmordowany, a jednak jak wszystko buntowało się w nim boleśnie! Czyż nielepiej było spojrzeć raz jeszcze dokoła i potem cicho wejść do cichej wody, by po krótkim cierpieniu wyzwolić się i ocaleć hen, w spokoju? Ach, przecież chciał spokoju, spokoju! Ale nie spokoju w pustej i głuchej nicości, lecz łagodnie słonecznej ciszy, pełnej dobrych, łagodnych myśli.

Całe tkliwe umiłowanie życia przeniknęło go w tej chwili i głęboka tęsknota do straconego szczęścia. Ale potem objął dokoła spojrzeniem milczącą, nieskończenie obojętną naturę, patrzył, jak rzeka w słońcu podąża swą drogą, jak drżąc porusza się trawa i kwiaty wznoszą się tam, gdzie zakwitły, by potem zwiędnąć i opaść, widział, jak wszystko z tą cichą uległością poddaje się istnieniu — i nagle ogarnęło go uczucie przyjaźni i zgody z koniecznością, które może dać rodzaj wyższości nad losem.

Wspomniał owe popołudnie trzydziestolecia swoich urodzin, kiedy szczęśliwy posiadaniem szczęścia wierzył, że może bez trwogi i nadziei patrzeć na resztę swego życia. Nie widział tam żadnego światła ani cienia, lecz wszystko leżało przed nim w łagodnym półmroku, aż gdzieś daleko, niepostrzeżenie prawie, rozpływało się w ciemności; i ze spokojnym uśmiechem

wyższości spoglądał ku latom, które dopiero miały przyjść. — Jak dawno to było?

Oto przyszła ta kobieta, przyjść musiała; to był jego los, ona sama była jego losem; ona sama! Czyż nie uczuł tego od pierwszej chwili? Przyszła i chociaż usiłował bronić swego spokoju, dla niej musiało się w nim zbuntować wszystko, co od młodości stłumił w sobie, gdyż czuł, że jest to dla niego męka i klęska; pochwyciło go to ze straszliwą, nieodpartą siłą i zniszczyło go!

Zniszczyło, czuł to. Ale po cóż jeszcze walczyć i dręczyć się? Niech dzieje się, co chce! Pójdzie dalej swą drogą i zamknie oczy przed ziejącą tam przepaścią, posłuszny losowi, posłuszny potężnej, boleśnie słodkiej mocy, której ujść nie można.

Woda lśniła, jaśmin tchnął ostrą, duszną wonią, ptaki świegotały dokoła w drzewach, spomiędzy których wyzierał ciężki, aksamitny błękit nieba. Ale mały, garbaty pan Friedemann siedział długo jeszcze na ławce. Siedział w przód pochylony, z czołem opartym na dłoniach.

Wszyscy byli zgodni, że u Rinnlingenów bawiono się doskonale. Około trzydziestu osób siedziało przy długim, ze smakiem udekorowanym stole, ciągnącym się wzdłuż obszernej jadalni; służący i dwóch podręcznych obnosiło już lody; panował brzęk i szczęk naczyń, unosił się ciepły opar potraw i perfum. Dobroduszni hurtownicy zebrali się tu z żonami i córkami; poza tym niemal wszyscy oficerowie garnizonu, stary, wzięty lekarz, kilku jurystów i kto tylko zaliczał się do najwyższych kół. Był też kuzyn pułkownika, student matematyki, który przybył w odwiedziny do krewnych; prowadził najgłębsze rozmowy z panną Hagenström, zajmującą miejsce naprzeciw pana Friedemanna.

Ten siedział na pięknej aksamitnej poduszce u końca stołu, koło niełądnej żony dyrektora gimnazjum, niedaleko pani von Rinnlingen, którą poprowadził był do stołu konsul Stephens.

Rzecz zdumiewająca, jaka zmiana zaszła przez ten tydzień w panu Friedemannie. Może białe światło gazowe, które zalewało całą salę, było po części powodem, że twarz jego wydawała się straszliwie blada; ale policzki jego były zapadłe, zaczerwienione i ciemno podkrążone oczy miały nieskończenie smutny wyraz i zdawało się, że postać jego jest bardziej ułomna niż kiedykolwiek. Pił dużo wina i zwracał kiedy niekiedy kilka słów do swej sąsiadki.

Pani von Rinnlingen nie zamieniła jeszcze przy stole ani słowa z panem Friedemannem; teraz pochyliła się nieco do przodu i zawołała do niego:

— Daremnie czekałam na pana przez te dni, na pana i na pańskie skrzypce.

Patrzał na nią przez chwilę zupełnie nieprzytomnym wzrokiem, zanim odpowiedział. Miała na sobie jasną, lekką suknię, która odsłaniała jej białą szyję, a w jasnych włosach jej tkwiła w pełni rozwinięta róża Maréchal-Niel. Policzki jej były dziś wieczór lekko zaczerwienione, ale, jak zawsze, błękitne cienie leżały w kącikach jej oczu.

Pan Friedemann spojrzał na swój talerz i bąknął coś w odpowiedzi na pytanie dyrektora gimnazjum, czy lubi Beethovena. Ale w tejże chwili pułkownik, który siedział u samej góry stołu, rzucił na swą żonę wzrokiem, zadzwonił w kieliszek i rzekł:

— Drodzy państwo, proponuję, abyśmy kawę wypili w innych pokojach; zresztą i w ogrodzie chyba nie jest dziś wieczór brzydko i jeśli kto chce zaczerpnąć świeżego powietrza, to przyłączam się do niego.

Wśród ciszy, jaka zapadła, lejtnant von Deidesheim z poczucia taktu zrobił dowcip, tak że wszyscy wstali wśród wesołego śmiechu. Pan Friedemann jeden z ostatnich opuścił z swą damą salę, poprowadził ją przez staroniemiecką izbę, gdzie już zaczęto palić, do półmrocznego, zacisznego saloniku i pożegnał.

Był starannie ubrany; frak jego był bez zarzutu, koszula

olśniewająco biała i jego wąskie, kształtne stopy tkwiły w lakierkach. Kiedy niekiedy można było zauważyć, że ma czerwone jedwabne pończochy.

Wyjrzał na korytarz i spostrzegł, że większe grupy udały się już schodami do ogrodu. Ale usiadł z cygarem i kawą przy drzwiach staroniemieckiej izby, w której grono mężczyzn stało rozmawiając, i zajrzał do saloniku.

Zaraz na prawo od drzwi, dokoła małego stołu, utworzyło się kółko, którego centrem był student przemawiający z wielkim zapałem. Twierdził on, że przez jeden punkt można przeprowadzić więcej niż jedną równoległą do linii prostej; pani adwokatowa Hageström zawołała: — To niemożliwe! — i tamten dowodził tego tak przekonywająco, że wszyscy udawali, jakby to rozumieli.

W głębi pokoju zaś, na otomanie, przy niskiej lampie z czerwoną osłoną, siedziała Gerda von Rinnlingen w rozmowie z młodą panną Stephens. Siedziała wsparta nieco plecami o żółtą jedwabną poduszkę, z nogą na nodze, i paliła zwolna papierosa wypuszczając dym nosem i wysuwając dolną wargę. Panna Stephens siedziała przed nią prosto, jakby wystrugana z drzewa, i odpowiadała nieśmiało.

Nikt się nie troszczył o małego pana Friedemanna i nikt nie zauważył, że jego wielkie oczy były bez przerwy zwrócone na panią von Rinnlingen. Siedział w mdłej postawie i przyglądał się jej. Nie było nic namiętnego w jego spojrzeniu, żadnego cierpienia. Tkwiło w nim coś tępego, martwego, jakieś głuche, bez siły i woli oddanie.

Minęło z dziesięć minut; wtedy pani von Rinnlingen wstała nagle i nie patrząc nań, jakby przez cały ten czas obserwowała go skrycie, podeszła do niego i zatrzymała się. On wstał, spojrzał na nią do góry i usłyszał słowa:

— Czy zechce pan towarzyszyć mi do ogrodu, panie Friedemann?

Odpowiedział:

— Z przyjemnością, proszę pani.

— Nie widział pan jeszcze naszego ogrodu — rzekła do niego na schodach. — Jest bardzo duży. Przypuszczalnie nie ma tam jeszcze zbyt wiele osób; rada bym trochę odpocząć. Podczas jedzenia dostałam bólu głowy; może to czerwone wino było dla mnie za mocne. Musimy wyjść tymi drzwiami. — Były to szklane drzwi, przez które weszli do małej, chłodnej sieni; stąd kilka schodów prowadziło na dwór.

Wśród cudownie jaśniejącej gwiazdami nocy wszystkie grządki tchnęły wonią. Ogród spoczywał w pełnym świetle księżyca i po bielejącym żwirze ścieżek przechadzali się goście rozmawiając i paląc. Jedna z grup zebrała się wokół fontanny, gdzie stary, wzięty lekarz wśród ogólnego śmiechu puszczał papierowe łódeczki.

Pani Rinnlingen przeszła mimo z lekkim skinieniem głowy i wskazała w dal, gdzie ozdobny, pachnący ogród przechodził w ciemniejący las.

— Zejdziemy środkową aleją — rzekła. U wejścia stały dwa niskie, szerokie obeliski.

Tam w głębi, u końca prościutkiej kasztanowej alei, lśniła w świetle księżyca błękitnosrebrna rzeka. Dokoła było ciemno i chłodno. Tu i ówdzie odgałęziała się boczna ścieżka, która łukiem również wiodła do rzeki. Przez długi czas nie było słychać żadnego głosu.

— Nad wodą — rzekła — jest piękne miejsce, gdzie często już siadywałam. Tam możemy chwilkę pogawędzić. Widzi pan, od czasu do czasu migoce wśród liści gwiazda.

Nie odpowiadał i patrzył na zieloną, lśniącą powierzchnię, do której się zbliżali. Można było dostrzec przeciwległy brzeg, plantacje wałów. Gdy opuścili aleję i wyszli na trawnik, który schodził do rzeki, rzekła pani Rinnlingen:

— Tu, trochę na prawo, jest to miejsce; widzi pan, jest nie zajęte.

Ławka, na której usiedli, o sześć kroków od alei sąsiadowała z parkiem. Tu było cieplej wśród rozłożystych drzew. Świerszcze grały w trawie, która tuż przy wodzie przechodziła w cien-

kie sitowie. Jaśniejąca w księżycu rzeka odbijała łagodne światło.

Milczeli oboje chwilę, patrząc na wodę. Potem jednak słuchał głęboko wstrząśnięty, gdyż ton, który znał z zeszłego tygodnia, ten cichy, zadumany, łagodny ton poruszył go znowu.

— Od jak dawna datuje się pańska ułomność, panie Friedemann? — spytała. — Czy urodził się pan z nią?

Przełknął ślinę, gdyż ścisnęło go w gardle. Potem odpowiedział cicho i grzecznie:

— Nie, proszę pani. Jako małe dziecko upuszczono mnie na ziemię; stąd to pochodzi.

— A ile pan ma lat? — spytała znowu.

— Trzydzieści, proszę pani.

— Trzydzieści lat — powtórzyła. — I nie był pan szczęśliwy przez te trzydzieści lat?

Pan Friedemann potrząsnął głową i wargi jego drżały.

— Nie — rzekł — to było kłamstwo i urojenie.

— Myślał więc pan, że jest szczęśliwy? — spytała.

— Próbowałem — rzekł, a ona odpowiedziała: — To było dzielnie.

Przeszła minuta. Tylko świerszcze ćwierkały, a z tyłu szumiały cicho drzewa.

— Wiem trochę, co to nieszczęście — rzekła potem. — Takie noce letnie nad wodą są na to najlepsze.

Nie odpowiedział, lecz wskazał słabym ruchem przeciwległe wybrzeże, które spokojnie leżało w ciemności.

— Tam niedawno siedziałem — rzekł.

— Gdy pan wyszedł ode mnie? — spytała.

Skinął głową.

Potem zaś z drżeniem porwał się nagle z miejsca, załkał głośno, wydał z siebie głos, głos skargi, który jednak miał w sobie coś wyzwalającego, i powoli opadł przed nią na ziemię. Dotknął ręką jej ręki, która spoczywała koło niego na ławce, i kiedy ją trzymał, kiedy pochwycił i drugą, kiedy ten mały,

zupełnie pokrzywiony człowiek, drżąc i trzęsąc się, klęczał przed nią i przyciskał twarz do jej kolan, bąkał nieludzkim, jęczącym głosem:

— Pani wie przecież... Pozwól... Nie mogę już... Boże mój, Boże!

Nie broniła się ani nie pochyliła się ku niemu. Siedziała wyprostowana, nieco w tył odchylona i jej małe, blisko osadzone oczy, w których zdawał się zwierciedlić wilgotny blask wody, patrzyły nieruchomo z napięciem ponad nim, w dal.

I potem nagle, jednym ruchem, z krótkim, dumnym, pogardliwym śmiechem, wyrwała ręce z jego gorących palców, chwyciła go za ramię, cisnęła nim w bok na ziemię, skoczyła i zniknęła w alei.

Leżał z twarzą w trawie, ogłuszony, odchodząc od zmysłów, i co chwila drżenie wstrząsało jego ciałem. Porwał się z miejsca, zrobił dwa kroki i upadł znów na ziemię. Leżał nad wodą.

Cóż właściwie działo się w nim wobec tego, co zaszło? Może to ta lubieżna nienawiść, którą poczuł, gdy upokorzyła go po raz pierwszy, wyrodziła się teraz, gdy potraktowany przez nią jak pies, leżał na ziemi, w obłędną wściekłość, której musiał dać ujście, choćby przeciwko sobie samemu — może wstręt do siebie, który napełniał go żądzą zniszczenia siebie, potargania siebie na strzępy, zgładzenia siebie.

Na brzuchu poczołgał się jeszcze trochę naprzód, dźwignął górną część ciała i opuścił ją do wody. Nie podniósł już głowy, nie poruszył nawet nogami leżącymi na brzegu.

Przy plusku wody świerszcze zamilkły na chwilę. Teraz zaczęły znów grać, park szumiał i z długiej alei rozbrzmiewał stłumiony śmiech.

PAJAC

1897 r.

Ostatecznie godnym wynikiem tego wszystkiego jest rzeczywiście tylko wstręt, którym przejmuje mnie życie — moje życie — „to wszystko" i „w ogóle", wstręt, który mnie dławi, podrywa, wstrząsa i znów z nóg zwala i który wcześniej czy później da mi potrzebną siłę, by załatwić się z tą całą śmieszną i nikczemną sprawą i zabrać się stąd. Być może, że wytrzymam jeszcze ten miesiąc i następny, że przez kwartał lub pół roku będę jeść, spać i pracować w ten sam mechaniczny, uregulowany i spokojny sposób, w jaki moje zewnętrzne życie upływało tej zimy i jaki znajdował się w przerażającej sprzeczności z obrzydliwym procesem rozkładowym mego wnętrza. Czyż się nie zdaje, że wewnętrzne przeżycia człowieka są tym silniejsze i tym bardziej męczące, im swobodniej, samotniej i spokojniej z pozoru żyje? Nie ma rady: trzeba żyć; i jeśli wzbraniasz się być człowiekiem czynnym i zamkniesz się w najcichszym pustkowiu, to zmienne zdarzenia bytu będą cię wewnętrznie opadać i będziesz musiał w nich stwierdzać swój charakter, czy jesteś bohaterem, czy błaznem.

Sprawiłem sobie ten czysty zeszyt, aby opowiedzieć w nim swą „historię", po co właściwie? Może, aby mieć w ogóle coś do roboty? Może z zamiłowania do psychologizowania i aby delektować się koniecznością tego wszystkiego? Konieczność jest tak pocieszająca! Może też, aby chwilami rozkoszować się pewnego rodzaju wyższością nad sobą samym i czymś

jakby obojętnością? Gdyż obojętność, wiem, byłaby rodzajem szczęścia.

Tak daleko leży poza mną to małe, stare miasto z swymi wąskimi, pełnymi zakątków i szczytów ulicami, z swymi gotyckimi kościołami i studniami, z swymi zabiegliwymi, poczciwymi i prostymi ludźmi i z wielkim, szarym od starości patrycjuszowskim domem, w którym się wychowałem.

Leżał on w środku miasta i przetrwał cztery pokolenia zamożnych i szanowanych kupców. „O r a e t l a b o r a" czytało się nad bramą i kiedy z obszernej kamiennej sieni, którą okrążała w górze galeria z biało lakierowanego drzewa, weszło się na górę po szerokich wschodach, to trzeba było jeszcze przejść obszerny korytarz i wąski, ciemny krużganek, aby dostać się przez wysokie, białe drzwi do pokoju, gdzie matka moja siedząc przy fortepianie grała.

Siedziała w przyćmionym świetle, gdyż okna zawieszone były ciężkimi, ciemnoczerwonymi firankami; i białe postacie bóstw na tapetach zdawały się plastycznie występować z niebieskiego tła i nasłuchiwać ciężkich, głębokich początkowych tonów Szopenowskiego nokturnu, który najbardziej lubiła i zawsze grała bardzo powoli, jak gdyby chcąc upajać się melancholią każdego akordu. Fortepian był stary i utracił pełnię dźwięków, ale używając tłumika, który przyciszał wysokie tony, tak że przypominały matowe srebro, można było osiągnąć najprzedziwniejsze efekty.

Siedziałem na masywnej adamaszkowej sofie o sztywnym oparciu i patrzyłem na matkę. Była niska i delikatnie zbudowana i nosiła przeważnie suknię z miękkiego, jasnoszarego materiału. Jej wąska twarz nie była piękna; ale pod przedzielonymi, lekko sfalowanymi, jasnopłowymi włosami widniało ciche, delikatne, rozmarzone oblicze dziecka i kiedy z przechyloną nieco na bok głową siedziała przy fortepianie,

podobna była do wzruszających aniołków, które często na starych obrazach grają na gitarze u stóp Madonny.

Ojciec mój zaś był to wysoki, barczysty pan w wytwornym surducie z czarnego sukna, z białą kamizelką, na której wisiały złote binokle. Między jego krótkimi, szarymi jak lód bokobrodami występowała okrągła i silna broda, ogolona gładko jak i górna warga, a brwi jego przedzielały stale dwie głębokie, prostopadłe fałdy. Był to możny człowiek, mający wielki wpływ na sprawy publiczne; widziałem ludzi, którzy wychodzili od niego podnieceni, z świecącymi oczyma, i innych, którzy byli złamani i całkiem zrozpaczeni. Bo zdarzało się czasem, że ja, jak i moja matka z mymi obiema starszymi siostrami, byliśmy świadkami takich scen; może dlatego, że ojciec mój chciał wpoić we mnie ambicję, bym doszedł w świecie tak daleko jak on; może też, jak podejrzewam, dlatego, że potrzebował publiczności; zwykł był, oparty o swe krzesło, z jedną ręką za klapą surduta, patrzyć w ślad za tymi uszczęśliwionymi lub zniszczonymi ludźmi, co mnie już jako dziecko naprowadzało na to podejrzenie.

Siedziałem w kącie i obserwowałem mego ojca i moją matkę, jakbym wybierał między nimi i zastanawiał się, czy lepiej jest spędzić życie w marzycielskiej zadumie, czy też w czynie i władzy. I oczy moje spoczęły w końcu na cichym obliczu mej matki.

Nie, abym w swym zewnętrznym zachowaniu był zupełnie do niej podobny, gdyż zajęcia moje w wielkiej części nie były zgoła ciche i niehałaśliwe. Myślę o jednym z nich, które wolałem od obcowania z rówieśnikami i ich sposobów igrania z namiętnością i które teraz jeszcze, gdy mam prawie trzydzieści lat, sprawia mi radość i zadowolenie.

Chodziło o wielki i dobrze wyposażony teatr lalek, z którym zupełnie sam zamykałem się w swoim pokoju, by wystawiać tam najdziwniejsze dramaty muzyczne. Pokój mój, który znajdował się na drugim piętrze i w którym wisiały dwa ciemne portrety przodków z wallensztajnowskimi brodami, za-

ciemniałem i stawiałem lampę z boku teatru; gdyż sztuczne oświetlenie zdawało mi się pożądane dla podniesienia nastroju. Zajmowałem miejsce bezpośrednio przed sceną, gdyż byłem kapelmistrzem i lewa moja ręka spoczywała na wielkim okrągłym pudle z tektury, które stanowiło jedyny widzialny instrument orkiestrowy.

Nadchodzili teraz współdziałający artyści, których sam wyrysowałem atramentem i piórem, wyciąłem i zaopatrzyłem w drewniane podpórki, ażeby mogli stać. Byli to panowie w zarzutkach i cylindrach oraz damy wielkiej piękności.

— Dobry wieczór — mówiłem — drodzy państwo. Wszyscy zdrowi? Jestem już na miejscu, bo trzeba było wydać pewne rozporządzenia. Ale już czas udać się do garderoby.

Udawali się do garderoby, która znajdowała się za sceną, i wracali niebawem zupełnie zmienieni, jako pstre postacie teatralne, aby przez otwór, który wyciąłem w kurtynie, sprawdzić, czy sala jest pełna. Sala była istotnie nieźle zapełniona i dawałem sobie dzwonkiem znak do rozpoczęcia przedstawienia, po czym podnosiłem batutę i przez chwileczkę rozkoszowałem się ciszą, którą ten znak wywołał. Wnet jednak na skutek nowego ruchu rozbrzmiewał tajemniczo głuchy werbel bębna, który stanowił początek uwertury i który wybijałem lewą ręką na tekturowym pudle — odzywały się trąby, klarnety i flety, których charakter dźwiękowy naśladowałem ustami w niezrównany sposób, i muzyka zaczynała grać, aż przy potężnym crescendo kurtyna szła w górę i w ciemnym lesie lub we wspaniałej sali zaczynał się dramat.

Był on przedtem naszkicowany, lecz w szczegółach musiał być improwizowany, a rozbrzmiewające słodko i namiętnie pieśni, którym klarnety wtórowały trylami, a pudło z tektury gniewnym pukaniem, to były dziwne, napuszone wiersze, nastroszone wielkimi, śmiałymi słowami, które rymowały się czasem, rzadko jednak posiadały rozumną treść. Opera zaś rozwijała się w dalszym ciągu, gdy ja bębniłem lewą ręką,

ustami śpiewałem i naśladowałem orkiestrę, a prawą ręką dyrygowałem nie tylko figurami przedstawienia, lecz też wszystkim innym, tak że na końcu aktów rozbrzmiewały entuzjastyczne oklaski, kurtyna musiała kilkakrotnie iść w górę, a nieraz nawet było trzeba, aby kapelmistrz odwracał się na swym siedzeniu i w sposób jednocześnie dumny i przymilny kłaniał się publiczności.

Zaiste, kiedym po takim wysiłku pełnym przedstawieniu, z gorącą głową pakował swój teatr, opanowywało mnie szczęśliwe znużenie, jakie odczuwać musi wielki artysta, kiedy zwycięsko ukończy dzieło, w które włożył swą najlepszą wiedzę. Ta zabawa pozostała do mego trzynastego czy czternastego roku moim umiłowanym zajęciem.

Jak jednak przeszło moje dzieciństwo i okres chłopięcy w wielkim domu, w którego najniższych pokojach ojciec mój prowadził swe interesy, gdy na górze matka moja marzyła w fotelu lub w cichej zadumie grała na fortepianie, a moje obie siostry, o dwa i trzy lata starsze ode mnie, krzątały się w kuchni i około szaf z bielizną? Pamiętam tak mało.

To pewne, że byłem niesłychanie żywym chłopcem, który dzięki swemu uprzywilejowanemu pochodzeniu, dzięki wzorowemu naśladowaniu nauczycieli, dzięki tysiącznym sztuczkom aktorskim i przez pewnego rodzaju górne frazesy umiał sobie zaskarbić u swych współuczniów szacunek i wziętość. W nauce jednak nie wiodło mi się dobrze, bo byłem za bardzo zajęty tym, żeby z ruchów nauczycieli wydobywać komizm, abym mógł być uważny na resztę, a w domu miałem głowę nazbyt pełną tematów operowych, wierszy i przeróżnych nonsensów, abym był poważnie zdolny do pracy.

— Fe! — rzekł mój ojciec i fałdy między jego brwiami pogłębiły się, gdy po obiedzie przyniosłem mu do pokoju swe świadectwo, on zaś, z ręką za klapą surduta, przeczytał papier. — Sprawiasz mi mało radości, to prawda. Cóż z ciebie

będzie, jeśliś łaskaw mi to powiedzieć. Nigdy nie wypłyniesz w życiu na powierzchnię.

To było smutne; nie przeszkodziło mi jednak już po kolacji przeczytać rodzicom i siostrom wiersza, który po południu napisałem. Ojciec mój śmiał się przy tym tak, że jego pince-nez na białej kamizelce podskakiwało tu i tam. — Co za błazeństwa! — wołał raz po razu. Jednak matka moja pociągnęła mnie ku sobie, odgarnęła mi włosy z czoła i rzekła: — To wcale niezłe, mój chłopcze, uważam, że jest w tym kilka ładnych miejsc.

Później, gdy byłem trochę starszy, nauczyłem się na własną rękę pewnego rodzaju gry na fortepianie. Zacząłem od tego, że uderzałem akord Fis-Dur, gdyż czarne klawisze miały dla mnie szczególny powab, wyszukiwałem przejścia do innych tonacji i spędzając długie godziny przy fortepianie doszedłem stopniowo do pewnej biegłości w pozbawionej taktu i melodii zmianie harmonii, przy czym w to mistyczne falowanie wkładałem tyle wyrazu, ile tylko było możliwe.

Matka moja mówiła: — Ma uderzenie, które zdradza smak. — I spowodowała to, że brałem lekcje, które trwały pół roku, gdyż rzeczywiście nie było rzeczą prawdopodobną, bym nauczył się właściwego palcowania i taktu.

Otóż lata mijały i pomimo trosk, które sprawiała mi szkoła, rosłem niezwykle wesoło. Obracałem się, pogodny i lubiany, w kole mych znajomych i krewnych i byłem gładki i miły z uciechy, że udaję miłego, choć wszystkimi tymi ludźmi, którzy byli oschli i pozbawieni wyobraźni, zacząłem instynktownie pogardzać.

Pewnego popołudnia, gdy miałem coś osiemnaście lat i stałem u progu uniwersytetu, podsłuchałem krótką rozmowę mych rodziców, którzy siedzieli obok siebie w pokoju z sofą przy okrągłym stole, nie wiedząc, że w przyległym stołowym leżę bezczynnie w oknie i przyglądam się blademu

niebu nad szczytami domów. Posłyszawszy swe imię podszedłem cicho do białych, półotwartych drzwi.

Ojciec mój siedział oparty plecami w fotelu, z nogą założoną na nogę, i trzymał jedną ręką na kolanach gazetę giełdową, drugą zaś gładził brodę między bokobrodami. Matka moja siedziała na sofie pochylając cichą twarz nad robótką. Między nimi stała lampa.

Ojciec rzekł:

— Sądzę, że odbierzemy go niebawem ze szkoły i oddamy na naukę do dobrze prosperującego interesu.

— Ach — rzekła moja matka bardzo zasmucona i podniosła oczy. — Takie zdolne dziecko!

Ojciec mój milczał chwilę, zdmuchnąwszy starannie z surduta włókienko pyłu. Potem podniósł barki, rozłożył ramiona, zwracając do mej matki obie dłonie, i rzekł:

— Jeśli przypuszczasz, moja droga, że do zawodu kupca nie potrzeba żadnej zdolności, to jest to pojęcie mylne. Z drugiej strony, co ku memu smutkowi poznaję coraz bardziej, chłopak w szkole nie doprowadzi do niczego. Zdolność jego, o której mówisz, jest pewnego rodzaju talentem pajaca, przy czym spieszę dodać, że wcale tych rzeczy nie lekceważę. Umie być miły, jeśli zechce, wie, jak postępować z ludźmi, jak ich bawić, jak im schlebiać, czuje potrzebę podobania się i powodzenia; z takimi zadatkami niejeden już zdobył szczęście i dzięki nim, wobec obojętności swej dla wszystkiego innego, nadaje się ewentualnie na kupca w większym stylu.

Tu ojciec mój z zadowoleniem podał się w tył, wyjął papierosa z etui i zapalił go powoli.

— Masz z pewnością rację — rzekła matka rozglądając się bezradnie po pokoju. — Myślałam tylko często i poniekąd się spodziewałam, że może być z niego kiedyś artysta. To prawda, do jego muzycznego talentu, który pozostał niewykształcony, nie można przywiązywać wagi; ale czyś zauważył, że w ostatnich czasach, odkąd zwiedził małą wystawę sztuki, zajmuje się trochę rysunkiem? To wcale niezłe, sądzę.

Ojciec mój zdmuchnął dym sprzed twarzy, poprawił się w fotelu i rzekł krótko:

— Wszystko to błazeństwo i blaga. Zresztą można, jak słuszna, jego samego spytać o jego życzenia.

Jakież to mogłem mieć życzenia? Widoki na zmianę mego zewnętrznego życia podziałały na mnie zupełnie rozweselająco, z pogodną twarzą oświadczyłem, że jestem gotów opuścić szkołę, by zostać kupcem, i wstąpiłem do hurtownego handlu drzewem pana Schlievogta, w dole nad rzeką, jako uczeń.

Zmiana była zupełnie zewnętrzna, ma się rozumieć. Moje zainteresowania hurtownym handlem drzewa pana Schlievogta były niezwykle małe i siedziałem na swym obrotowym stołku pod gazową lampą, w wąskim i ciemnym kantorze, tak obcy i nieprzytomny, jak niegdyś na ławie szkolnej. Miałem teraz mniej strapień; na tym polegała różnica.

Pan Schlievogt, otyły mężczyzna o czerwonej twarzy, z siwą, twardą brodą marynarza, niewiele troszczył się o mnie, bo przebywał przeważnie w tartaku, położonym dość daleko od kantoru i składu, a urzędnicy interesu traktowali mnie z szacunkiem. Przyjazne stosunki łączyły mnie tylko z jednym z nich, zdolnym i zadowolonym młodzieńcem z dobrej rodziny, którego znałem już ze szkoły i który zresztą nazywał się Schilling. Podobnie jak ja kpił sobie z całego świata, okazywał jednak przy tym gorliwe zainteresowanie handlem drzewa i nie było dnia, by nie zaznaczył stanowczego zamiaru zostania w jakiś sposób bogatym człowiekiem.

Ja ze swej strony załatwiałem mechanicznie swoje konieczne sprawy, by poza tym wałęsać się po składzie między stosami desek i robotnikami i przyglądając się przez wysokie drewniane kraty rzece, nad którą od czasu do czasu przejeżdżał pociąg towarowy, myślałem o przedstawieniu teatralnym i koncercie, na którym byłem obecny, lub o książce, którą czytałem.

Czytałem dużo, czytałem wszystko, co mi wpadło pod rękę, i skala mej wrażliwości była duża. Każdą poetycką osobowość rozumiałem uczuciem, zdawałem się rozpoznawać w niej siebie i myślałem, i czułem tak długo w stylu jednej książki, póki nowa nie wywarła na mnie swego wpływu.W pokoju, w którym niegdyś założyłem teatr lalek, siedziałem teraz z książką na kolanach, spoglądałem na oba portrety przodków i przetrawiałem akcent mowy, której się oddawałem, podczas gdy napełniał mnie jałowy chaos półmyśli i fantastycznych obrazów.

Siostry moje wyszły wkrótce jedna po drugiej za mąż i kiedy nie byłem w kantorze, schodziłem często na dół do pokoju, gdzie moja matka, która trochę słabowała i której twarz stawała się coraz dziecinniejsza i cichsza, przesiadywała teraz przeważnie zupełnie sama. Gdy grała mi Chopina, a ja pokazywałem jej nowy pomysł harmonicznego przejścia, pytała mnie, czy jestem zadowolony z swego zawodu i czy jestem szczęśliwy. — Niewątpliwie, byłem szczęśliwy.

Nie miałem więcej niż dwadzieścia lat, moje położenie życiowe było tylko prowizoryczne i nieobca mi była myśl, że nie jestem zgoła zmuszony spędzić życia u pana Schlievogta lub w handlu drzewem w jeszcze większym stylu, że pewnego dnia mogę się uwolnić, by opuścić miasto ze szpiczastymi domami i gdzie indziej w świecie żyć dla swych zamiłowań: czytać dobre i pięknie pisane książki, chodzić do teatru, oddawać się trochę muzyce. Szczęśliwy? Ależ jadałem wybornie, chodziłem jak najlepiej ubrany i wcześnie już, gdy za moich szkolnych czasów widziałem, jak biedni i źle ubrani koledzy zwyczajnie kulili się i mnie oraz mnie równych z pewnego rodzaju przypochlebną nieśmiałością chętnie uznawali za nadających ton panów, uświadomiłem sobie z radością, że należę do tych wyższych, bogatych, którym się zazdrości i którzy mają prawo spoglądać z życzliwą pogardą na biednych, nieszczęśliwych i zazdrosnych. Jakże nie miałem być szczęśliwy? Niech wszystko idzie swoim torem. Po pierwsze miało to swój

urok: poruszać się obco, z wyższością i pogodnie wśród tych krewnych i znajomych, z których ograniczoności kpiłem sobie, których jednocześnie traktowałem z gładką uprzejmością z chęci podobania się im i wygrzewałem się miło w słońcu ich mętnego respektu, jaki wszyscy ci ludzie okazywali wobec mej istoty, gdyż z niepewnością wietrzyli w niej jakąś opozycję i ekstrawagancję.

Jakaś zmiana zaczęła zachodzić w moim ojcu. Gdy o czwartej przychodził do stołu, fałdy między jego brwiami zdawały się co dzień głębsze i nie wsuwał już imponującym ruchem ręki za klapę surduta, lecz zdradzał przygnębienie, nerwowość, niepokój.

— Jesteś na tyle dorosły, by dzielić ze mną troski, które podkopują moje zdrowie. Zresztą mam obowiązek zaznajomić cię z nimi, abyś nie oddawał się złudnym nadziejom co do twej przyszłej sytuacji życiowej. Wiesz, że małżeństwa twych sióstr wymagały pokaźnych ofiar. Niedawno firma poniosła straty, które spowodowały znaczną redukcję majątku. Jestem starym człowiekiem, czuję się zniechęcony i nie sądzę, że ten stan rzeczy da się w istocie swej zmienić. Proszę cię, weź pod uwagę, że będziesz zmuszony oprzeć się na samym sobie.

Mówił to jakoś dwa miesiące przed śmiercią. Pewnego dnia znaleziono go pożółkłego, bezwładnego i bełkocącego w fotelu jego prywatnego kantoru i w tydzień potem całe miasto wzięło udział w jego pogrzebie.

Moja matka siedziała wątła i cicha na sofie przy okrągłym stole w pokoju i miała oczy przeważnie zamknięte. Gdy siostry moje i ja krzątaliśmy się koło niej, kiwała głową i uśmiechała się, po czym w dalszym ciągu milczała i z rękoma splecionymi na kolanach, wielkimi, obcymi i smutnymi oczami wpatrywała się w postacie bóstw na tapecie. Gdy przychodzili panowie w surdutach, aby zdać sprawę z przebiegu likwidacji, kiwała również głową i znowu zamykała oczy.

Nie grywała już Chopina i kiedy czasem dotknęła ciemienia, blada, delikatna i znużona ręka jej drżała. W niespełna rok po śmierci ojca położyła się i umarła bez jęku, bez walki o życie.

Teraz skończyło się to wszystko. Co trzymało mnie właściwie na miejscu? Interesy były załatwione, tak czy inaczej okazało się, że ze spadku przypadło na mnie niemal sto tysięcy marek, a to starczyło, by uczynić mnie niezależnym od całego świata, tym bardziej, gdy z jakiegoś obojętnego powodu uznano mnie niezdatnym do wojska.

Nic nie wiązało mnie już z ludźmi, pośród których wyrosłem, których oczy patrzyły na mnie z coraz większą obcością i zdumieniem i których pogląd na świat był zbyt jednostronny, bym mógł go z nimi dzielić. Jeżeli istotnie mnie znali, i to jako zdecydowanie niepotrzebnego człowieka, to i ja znałem siebie. Ale na tyle sceptyk i fatalista, aby — wedle słów mego ojca — mój „talent pajaca" brać z wesołej strony, i radośnie zdecydowany używać życia na swój sposób, byłem z siebie zupełnie zadowolony.

Podjąłem mój mały majątek i nie żegnając się prawie, opuściłem miasto, aby nasamprzód udać się w podróż.

Te trzy lata, które nastąpiły i podczas których z łapczywa chłonnością przeżyłem tysiąc nowych, zmiennych, bogatych wrażeń, wspominam jak piękny, deleki sen. Ileż to czasu minęło, jak spędziłem święto Nowego Roku u mnichów na Simplonie wśród śniegu i lodu; jak włóczyłem się w Weronie po Piazza Erbe i jak z Borgo San Spirito po raz pierwszy wszedłem pod kolumnady Świętego Piotra, a oczy moje błądziły po ogromnym placu; jak z Corso Vittorio Emanuele patrzyłem ponad biało lśniącym Neapolem na rozpływającą się daleko na morzu w błękitnej mgle wdzięczną sylwetę Capri... W rzeczywistości było to przed sześciu laty, nie więcej.

Ach, żyłem jak najprzezorniej, stosownie do moich warun-

ków: w skromnych prywatnych pokojach, w tanich pensjonatach, jednak przy częstej zmianie miejsca pobytu i ponieważ było mi zrazu trudno wyzbyć się moich wielkomieszczańskich nawyków, nie można było uniknąć i większych wydatków. Na czas tych wędrówek wyznaczyłem sobie piętnaście tysięcy marek mego kapitału; sumę tę oczywiście przekroczyłem.

Zresztą czułem się dobrze wśród ludzi, z którymi się tu i ówdzie zetknąłem w drodze; były to bezinteresowne i bardzo interesujące egzystencje, dla których oczywiście nie byłem, jak dla mego dawnego otoczenia, przedmiotem respektu, lecz ze strony których też nie potrzebowałem się bać zdziwionych spojrzeń i pytań.

Przy moim rodzaju towarzyskich zdolności cieszyłem się niekiedy niekłamaną sympatią ze strony reszty podróżnego grona — przy czym przypomina mi się pewna scena w salonie pensjonatu „Minelli" w Palermo. W kole Francuzów różnego wieku zacząłem przypadkiem, z wielkim nakładem tragicznej mimiki, śpiewnej deklamacji i potoczystych harmonij, improwizować na pianinie „dramat muzyczny Ryszarda Wagnera" i właśnie wśród niesłychanych oklasków skończyłem, gdy podszedł do mnie spiesznie stary pan, który nie miał prawie ani jednego włosa na głowie i którego białe, rzadkie bokobrody spadały na jego szarą kurtkę podróżną. Pochwycił obie moje ręce i zawołał ze łzami w oczach:

— Ależ to zdumiewające! To zdumiewające, drogi panie! Przysięgam, że od trzydziestu lat nie ubawiłem się tak świetnie! Pozwoli pan, że podziękuję mu z całego serca, prawda? Ale koniecznie musi pan zostać aktorem albo muzykiem!

To prawda, że w takich okolicznościach czułem jakby genialną swawolę wielkiego malarza, który w gronie przyjaciół pozwolił sobie narysować na stole zarazem śmieszną i dowcipną karykaturę. — Ale po obiedzie wróciłem sam do salonu i spędziłem samotną i smętną godzinę wydobywając z instrumentu poważne akordy, wyrażające, jak mi się zdawało, nastrój, jaki budził we mnie widok Palermo.

Z Sycylii skoczyłem przelotnie do Afryki, potem udałem się do Hiszpanii i tam, w pobliżu Madrytu, na wsi, w zimie, w posępne, deszczowe popołudnie, uczułem po raz pierwszy pragnienie powrotu do Niemiec — i konieczność w dodatku. Gdyż pomijając to, że zacząłem tęsknić do spokojnego, regularnego i osiadłego życia, nietrudno mi było obliczyć, że do przyjazdu do Niemiec przy całym ograniczaniu się wydam dwadzieścia tysięcy marek.

Nie odwlekałem zbytnio powolnego odwrotu przez Francję, na który przy dłuższym zatrzymywaniu się w poszczególnych miastach zużyłem niemal pół roku, i pamiętam z smutną wyrazistością letni wieczór, gdy przyjechałem do stolicy środkowych Niemiec, którą upatrzyłem sobie już na początku mej podróży — trochę teraz poduczony, opatrzony kilkoma doświadczeniami i wiadomościami i pełen dziecinnej radości, że tutaj, w beztroskiej niezależności, stosownie do mych skromnych środków ugruntuję sobie niezakłócony, kontemplacyjny żywot.

Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat.

Miejscowość nie była źle obrana. Było to okazałe miasto, jeszcze bez hałaśliwego wielkomiejskiego rozgardiaszu i zbyt gorszącego uganiania się za interesami, z kilkoma znacznymi, starymi placami z drugiej strony i ruchem ulicznym, któremu nie zbywa ani na ożywieniu, ani po części na elegancji. Okolica posiada pewne miłe punkty; ale wolałem zawsze ze smakiem urządzoną promenadę, ciągnącą się na „Skowroniej Górze", wąskim, podłużnym wzniesieniu, o które opiera się wielka część miasta i z którego roztacza się rozległy widok na domy, kościoły i lekko wijącą się w dal rzekę. W kilku punktach, zwłaszcza gdy w piękne popołudnie letnie koncertuje muzyczna kapela i poruszają się tam i sam ekwipaże i spacerowicze, przypomina się tam Monte Pincio. — Ale przyjdzie mi jeszcze napomknąć o tej promenadzie.

Nikt nie uwierzy, z jaką przyjemnością urządziłem sobie nie szczędząc trudu obszerny pokój, który wraz z przyległą sypialnią wynająłem prawie w środku miasta, w ożywionej okolicy. Meble po rodzicach przeszły wprawdzie po większej części w posiadanie mych sióstr, jednak dostało mi się to, czego potrzebowałem: wspaniałe i porządne rzeczy, które nadeszły wraz z mymi książkami i oboma portretami przodków; przede wszystkim jednak stary fortepian, który matka ma przeznaczyła dla mnie.

Istotnie, gdy wszystko było ustawione w porządku, gdy fotografie, które zebrałem w podróżach, zdobiły już wszystkie ściany, ciężkie mahoniowe biurko i brzuchatą komodę i kiedy gotów i bezpieczny usiadłem w fotelu przy oknie, aby na przemian spoglądać na ulicę i na moje nowe mieszkanie, czułem niemałą przyjemność. A jednak — nie zapomniałem nigdy tej chwili — budziło się we mnie obok zadowolenia i zaufania coś innego, jakieś nikłe uczucie lęku i niepokoju, cicha świadomość jakiegoś buntu i oporu z mej strony przeciwko jakiejś zagrażającej mocy, lekko przygnębiająca myśl, że położenie moje, które dotąd było zawsze tylko tymczasowym, teraz uważać trzeba po raz pierwszy jako definitywne i nieodmienne.

Nie przeczę, że takie i podobne wrażenia powtarzały się od czasu do czasu. Ale czy można w ogóle uniknąć pewnych poobiednich godzin, gdy człowiek wpatruje się w rosnący zmierzch i może w powolny deszcz i staje się ofiarą posępnych przywidzeń? W każdym razie było rzeczą pewną, że przyszłość moja jest całkowicie zabezpieczona. Powierzyłem okrągłą sumę osiemdziesięciu tysięcy marek bankowi miejskiemu, procenty wynosiły — mój Boże, czasy są złe! — około sześćset marek kwartalnie, pozwalały mi tedy żyć przyzwoicie, zaopatrywać się w lekturę, uczęszczać od czasu do czasu do teatru — nie wyłączając trochę lżejszych rozrywek.

Dnie moje upływały odtąd rzeczywiście według ideału, który od dawna był moim celem. Wstawałem mniej więcej o dziesiątej, jadłem śniadanie i do obiadu spędzałem czas przy for-

tepianie i na czytaniu jakiegoś literackiego pisma lub książki. Potem wlokłem się ulicą do małej restauracji, do której regularnie uczęszczałem, jadłem, po czym odbywałem dłuższy spacer po ulicach, przez galerię, w okolicę, na Skowronią Górę. Wracałem do domu i podejmowałem znów zajęcia z przedpołudnia: czytałem, grałem, bawiłem się niekiedy nawet jakimś rodzajem rysunku lub pisałem starannie list. Jeśli po kolacji nie szedłem do teatru lub na koncert, to zachodziłem do kawiarni i czytałem gazety aż do pójścia na spoczynek. Dzień jednak był dobry i piękny, miał uszczęśliwiającą treść, jeśli przy fortepianie udał mi się jakiś motyw, który wydał mi się nowy i piękny, jeśli z lektury jakiejś noweli, z widoku jakiegoś obrazu zachowałem delikatny i trwały nastrój.

Zresztą muszę rzec, że w skłonnościach mych rządziłem się pewną idealnością i że poważnie starałem się o to, aby dniom moim przydać tyle „treści", ile tylko było możliwe. Jadałem skromnie, nosiłem z reguły tylko jedno ubranie, słowem, ograniczałem przezornie moje cielesne potrzeby, by w zamian móc kupić sobie dobre miejsce w operze lub zapłacić drogo za bilet na koncert, nabyć nowość, zwiedzić tę czy inną wystawę sztuki.

Ale dnie mijały, powstawały z nich tygodnie i miesiące — nuda? Przyznaję: nie zawsze jest dobra książka pod ręką, mogąca zapełnić szereg godzin; zresztą próbujesz bez powodzenia fantazjować na fortepianie, siedzisz przy oknie, palisz papierosy i nieodparcie nachodzi cię odraza do całego świata i samego siebie; opada cię znów niepokój, obmierzły niepokój, zrywasz się i wychodzisz, aby na ulicy z wesołym wzruszeniem ramion szczęśliwca patrzeć na śpieszących do pracy ludzi, którzy duchowo i materialnie nie są uzdolnieni do próżniactwa i przyjemności.

Czyż człowiek dwudziestosiedmioletni może poważnie wierzyć w ostateczną niezmienność swego położenia, choćby to

położenie było nawet najprawdopodobniejsze? Świergot ptaka, mały skrawek błękitu na niebie, niewyraźny sen nocny, wszystko zdolne jest wlać w jego serce nagłe strumienie nieokreślonej nadziei i napełnić je uroczystym oczekiwaniem wielkiego, nieprzewidzianego szczęścia. Wałęsałem się z dnia na dzień, zamyślony, zajęty tą lub ową nikłą nadzieją, choćby chodziło tylko o dzień wyjścia zajmującego czasopisma, z energicznym przeświadczeniem, że jestem szczęśliwy, i chwilami trochę znużony samotnością.

Istotnie, nierzadkie były godziny, kiedy chwytał mnie gniew na brak znajomości i towarzystwa, bo czyż trzeba tłumaczyć ten brak? Brakło mi łączności z dobrym towarzystwem, z najlepszymi i gorszymi kołami miasta; aby należeć do złotej młodzieży, jako fêtard, na to dalibóg brakowało mi środków — a z drugiej strony cyganeria? Ależ jestem człowiekiem z wykształceniem, noszę czystą bieliznę i całe ubranie i nie znajduję zgoła przyjemności w prowadzeniu anarchistycznych rozmów z nieokrzesanymi młodzieńcami przy lepkich od absyntu stołach. Słowem: nie było określonego towarzyskiego koła, do którego mógłbym ze zrozumiałych przez się powodów należeć, a znajomości, które powstawały same w ten czy inny sposób, były rzadkie, powierzchowne i chłodne — z mej własnej winy, jak przypuszczam, bo i w takich wypadkach trzymałem się w rezerwie, z uczuciem niepewności i z niemiłą świadomością, gdyż nawet jakiemuś zapitemu malarzowi nie mógłbym w krótki, jasny i uznanie budzący sposób powiedzieć, kim i czym właściwie jestem.

Zresztą zerwałem przecież z „społeczeństwem" i wyrzekłem się go, gdy byłem tak śmiały, że nie wysługując mu się w żaden sposób poszedłem własnymi drogami; i gdybym, aby być szczęśliwym, potrzebował „ludzi", to musiałbym pozwolić sobie na pytanie, czy w tym wypadku nie byłbym do tej chwili zajęty jako kupiec w wielkim stylu bogaceniem się dla ogólnego pożytku i zyskiwaniem sobie powszechnej zawiści i szacunku.

Tymczasem — tymczasem! Faktem było, że moje filozoficzne osamotnienie martwiło mnie w zbyt wysokim stopniu i że w końcu nie dało się ono wcale pogodzić z moim pojęciem „szczęścia", z moją świadomością, z moim przekonaniem, że jestem szczęśliwy, którym jednak zachwiać — co nie ulegało wątpliwości — było rzeczą niemożliwą. Nie być szczęśliwym, być nieszczęśliwym; ale czyż to było w ogóle do pomyślenia? To było nie do pomyślenia i tym rozstrzygnięciem była sprawa załatwiona, aż znów przyszły chwile, gdy to osamotnienie, to odosobnienie, to wyłączenie się za nawias nie chciało się wydawać w porządku, zgoła nie w porządku, i czyniło mnie przerażająco ponurym.

„Ponurość" — czyż była to właściwość szczęśliwego? Wspominam me życie w domu, w ograniczonym kole, w którym poruszałem się z zadowoloną świadomością moich genialnych zdolności artystycznych — towarzyski, uprzejmy, z oczyma pełnymi wesołości, drwiny, wyższej życzliwości dla świata, dziwaczny trochę w opinii ludzi, lecz jednak lubiany. Wtedy byłem szczęśliwy, choć musiałem pracować w handlu drzewem pana Schlievogta; a teraz? A teraz?

Ale ukazała się niezmiernie ciekawa książka, nowa powieść francuska, którą pozwoliłem sobie kupić i którą w wygodnym fotelu będę czytał w spokoju. Trzysta stronic, znów pełnych smaku, swady i wybornej sztuki! Ach, urządziłem sobie życie wedle swego upodobania! Może nie jestem szczęśliwy? Śmieszne pytanie i nic więcej.

Znów minął dzień, dzień, którego nie można, dzięki Bogu, pomówić o brak treści; jest wieczór, firanki w oknach spuszczone, na biurku pali się lampa, jest prawie północ. Mógłbym się położyć, ale czekam na pół leżąc w fotelu, z rękami splecionymi na kolanach, spoglądam w sufit, aby uważnie śledzić cicho jakiś nurtujący i trawiący, na pół nieokreślony ból, który nie da się spłoszyć.

Jeszcze przed kilku godzinami poddawałem się działaniu wielkiego dzieła sztuki, jednego z tych potwornych i okrutnych tworów, które ze skorumpowanym przepychem bezecnie genialnego dyletantyzmu wstrząsają, ogłuszają, dręczą, uszczęśliwiają, miażdżą. — Nerwy moje drżą jeszcze, wyobraźnia moja jest wzburzona, rzadkie nastroje wznoszą się we mnie i opadają falami, nastroje tęsknoty, religijnej żarliwości, tryumfu, mistycznego spokoju — i towarzyszy temu potrzeba, która je wciąż na nowo podnosi, która by je chciała wyrzucić: potrzeba ich uzewnętrznienia, ich udzielenia, ich pokazania, „zrobienia z nich czegoś".

A gdybym tak naprawdę był artystą, zdolnym wypowiedzieć się dźwiękiem, słowem lub obrazem — najchętniej, mówiąc szczerze, tym wszystkim jednocześnie? — Ależ to prawda, że umiem różne rzeczy! Mogę na przykład siąść do fortepianu i w cichej izdebce dać wyraz moim pięknym uczuciom i to powinno by mi całkowicie wystarczyć; bo gdybym, by być szczęśliwy, potrzebował „ludzi" — zgoda na to wszystko! Ale przyjąwszy, że przywiązywałbym trochę wagi do powodzenia, sławy, uznania, pochwały, miłości? — Na Boga! Już kiedy przypomnę sobie scenę w salonie w Palermo, to muszę się zgodzić, że podobne zdarzenie w tej chwili byłoby dla mnie niesłychanie dobroczynną zachętą.

Zważywszy rzecz, muszę się przyznać do tego sofistycznego i śmiesznego rozróżniania pojecia: rozróżniania wewnętrznego i zewnętrznego szczęścia! — „Zewnętrzne szczęście", co to jest właściwie? — Istnieje rodzaj ludzi, umiłowanych dzieci Boga, jak się zdaje, których szczęściem jest geniusz, a geniuszem szczęście, ludzi świetlanych, którzy z odbiciem i odblaskiem słońca w oczach, w sposób lekki, wdzięczny i miły przechodzą tanecznie przez życie, a cały świat ich otacza, cały świat ich podziwia, sławi, darzy zazdrością i kocha, bo nawet zawiść niezdolna jest ich nienawidzić.

Ale oni patrzą na to jak dzieci, drwiąco, grymaśnie, kapryśnie, swawolnie, ze słoneczną uprzejmością, pewni swego

szczęścia i geniuszu, jak gdyby wszystko to nie mogło być zgoła inaczej.

Co do mnie, nie zapieram się słabości, że chciałbym należeć do tych ludzi, i zdaje mi się ciągle, mniejsza, słusznie czy niesłusznie, jakobym niegdyś do nich należał: „mniejsza", bo, bądźmy szczerzy: chodzi o to, za co się uważamy, za co z całą pewnością się podajemy!

Może w rzeczywistości sprawa ma się tak, że zrzekłem się tego „zewnętrznego szczęścia", uchylając się od służenia „społeczeństwu" i urządzając sobie swe życie bez „ludzi". O moim zadowoleniu jednak nie można przeto, ma się rozumieć, wątpić ani chwili, nie wolno wątpić; bo powtarzam, i to powtarzam z rozpaczliwym naciskiem: chcę i muszę być szczęśliwy! Pojęcie „szczęścia" jako rodzaju zasługi, geniuszu, wytworności, wziętości, pojęcie „nieszczęścia" jako czegoś brzydkiego, bojącego się światła, pogardy godnego, jest ze mną zbyt głęboko zrośnięte, abym mógł jeszcze szanować samego siebie, gdybym był nieszczęśliwy.

Jakżebym mógł sobie na to pozwolić, aby być nieszczęśliwym? Jakąż rolę musiałbym grać wobec siebie? Czy nie musiałbym jako coś w rodzaju nietoperza lub sowy siedzieć w ciemności i patrzeć z zazdrością na „ludzi świetlanych", przemiłych szczęśliwców? Musiałbym ich nienawidzić tą nienawiścią, która nie jest niczym innym jak zatrutą miłością, i — gardzić sobą.

„Siedzieć w ciemności"! I przypomina mi się, co od miesięcy czułem i myślałem kiedy niekiedy o moim „miejscu poza nawiasem" i „filozoficznym osamotnieniu". I znów zjawia się niepokój, obmierzły niepokój! I świadomość jakiegoś buntu przeciw zagrażającej potędze.

Niewątpliwie, że znalazła się pociecha, odwrócenie uwagi, ogłuszenie na ten raz i na dalszy, i znów na następny. Ale wszystko to wracało znowu, wracało tysiąc razy w ciągu miesięcy i lat. Są dnie jesienne, istne cuda. Lato minęło, na dworze liście dawno zaczęły żółknąć, a w mieście wiatr całymi

dniami już gwizdał na rogach ulic, podczas gdy w rynsztokach płynęły strumienie brudnej wody. Zrezygnowany, usiadłeś, żeby tak rzec, przy piecu, by znosić cierpliwie zimę; ale pewnego dnia budząc się spostrzegasz niedowierzającymi oczami, że wąska smuga jasnego błękitu zagląda między firankami do pokoju. Zdumiony, wyskakujesz z łóżka, otwierasz okno, fala drżącego światła słonecznego oblewa cię i jednocześnie słyszysz poprzez cały gwar uliczny gadatliwe, wesołe ćwierkanie ptaków i zdaje ci się, jakbyś wdychał z czystym, lekkim powietrzem pierwszego październikowego dnia niezrównaną i pełną obietnic korzenną woń, właściwą tylko wiatrom majowym. Jest wiosna, najwyraźniejsza wiosna wbrew kalendarzowi, i ubierasz się czym prędzej, by pod jasnym niebem ulic pośpieszyć za miasto.

Taki niespodziany i przedziwny dzień zjawił się przed mniej więcej czterema miesiącami — mamy w tej chwili początek lutego — i dnia tego ujrzałem coś wyjątkowo ładnego. Przed dziewiątą rano wyszedłem i pełen jakiegoś lekkiego, radosnego nastroju, jakiejś nieokreślonej nadziei zmian, niespodzianek i szczęścia ruszyłem ku Skowroniej Górze. Wszedłem z prawego końca na wzgórze i przemierzyłem wzdłuż cały jego grzbiet, trzymając się ciągle u brzegu głównej promenady, niskiej rampy kamiennej, aby podczas całej drogi, która trwa z pół godziny, mieć wolny widok na miasto, lekkimi tarasami opadające, i na rzekę, której zakręty lśnią w słońcu i za którą krajobraz ze wzgórzami i zielenią rozpływa się w mgle słonecznej.

Było tu w górze jeszcze prawie bezludnie. Ławki po drugiej stronie drogi były puste i tu i ówdzie spośród drzew wyglądał bielejący w słońcu posąg; a od czasu do czasu opadał nań powoli zwiędły liść. Cisza, której nasłuchiwałem mając podczas wędrówki wzrok skierowany w bok na jasną panoramę, trwała niezmącona, aż doszedłem do końca wzgórza, gdzie wśród starych kasztanów droga zaczynała się zniżać. Tu rozległ się za mną kłus konia i odgłos toczącego się pojazdu, który zbli-

żał się szybko i któremu musiałem ustąpić w środku pochyłości. Przeszedłem na brzeg i stanąłem.

Był to bardzo lekki, dwukolny wózek myśliwski, zaprzężony w dwa duże, lśniące, żywo parskające kasztanki. Lejce trzymała młoda, może dziewiętnasto- lub dwudziestoletnia dama, przy której siedział starszy pan o poważnym, wytwornym wyglądzie, z białym wąsem podczesanym à la russe i z gęstymi, białymi brwiami. Służący w prostej, czarno-srebrnej liberii dekorował tylne siedzenie.

Kłus koni zwolniono, sprowadzono do stępa, gdyż jeden z nich zdawał się denerwować i niepokoić. Oddalił się sporo w bok od dyszla, przycisnął głowę do piersi i stawiał smukłe nogi z tak drżącym oporem, że stary pan, nieco zaniepokojony, pochylił się naprzód, by tkwiącą w eleganckiej rękawiczce lewą ręką pomóc młodej damie w ściągnięciu cugli. Kierowanie powierzono jej, zda się, tylko na chwilę i półżartem, przynajmniej tak wyglądało, jakby traktowała powożenie z pewnego rodzaju dziecinną powagą i jednocześnie z brakiem doświadczenia. Uczyniła mały, poważny i gniewny ruch głową, starając się uspokoić płoszące się i potykające zwierzę.

Była smukłą brunetką. Na włosach, które ujęte były na karku w mocny węzeł i otaczały lekko i luźnie czoło i skronie, tak że można było rozróżnić kilka jasnobrunatnych pasem, miała okrągły, ciemny kapelusz słomkowy, ozdobiony jedynie małym przybraniem ze wstążek. Poza tym miała na sobie krótki, ciemnoniebieski żakiet i prostą spódnicę z jasnoszarego sukna.

W owalnej, kształtnej twarzy, której smagłą cerę ranne powietrze okryło świeżym rumieńcem, najbardziej pociągały oczy, dwoje wąskich, podłużnych oczu, których ledwo do połowy widoczne tęczówki połyskiwały czarno, nad nimi zaś sklepiły się niezwykle równe, jakby piórem zarysowane brwi. Nos był może nieco za długi, a usta, których wargi zaznaczone były wyraźnie i delikatnie, mogły być węższe. Ale w tej chwili dodawały ustom uroku lśniącobiałe i nieco rozstawione

zęby, którymi młoda dziewczyna przy hamowaniu konia przyciskała energicznie dolną wargę, podciągając nieco prawie dziecinną, okrągłą brodę.

Byłoby fałszem twierdzić, że była to twarz uderzającej, podziwu godnej piękności. Posiadała urok młodości i radosną świeżość i urok ten był niejako wygładzony, złagodzony i uszlachetniony zamożną starannością, wytwornym wychowaniem i zbytkowną troskliwością; było rzeczą pewną, że te wąskie, połyskujące oczy, które teraz z kapryśną złością spoglądały na krnąbrnego konia, w najbliższej chwili odzyskają wyraz pewnego, rozumiejącego się samo przez się szczęścia. Rękawy żakietu, które były u barków szerokie i bufiaste, opinały ściśle smukłe przeguby rąk i nigdy nie doznałem tak pełnego zachwytu wrażenia wytwornej elegancji, jak widząc, w jaki sposób te wąskie, nagie, matowobiałe ręce trzymały cugle.

Stałem na drodze, nie zauważony przez nikogo, gdy powóz przejeżdżał mimo, i poszedłem powoli dalej, gdy ruszył znów kłusem i szybko znikł. Czułem radość i podziw; lecz jednocześnie odezwał się jakiś dziwny, kłujący ból, cierpkie i tłoczące wrażenie — zawiści? miłości? — nie ważyłem się pomyśleć do końca — samopogardy?

Kiedy to piszę, staje przede mną obraz nędznego żebraka, który przed wystawą jubilera gapi się na drogocenny, lśniący szlachetnym kamieniem klejnot. Człowiek ten nie zdobędzie się w sobie na wyraźne życzenie posiadania tego klejnotu, bo sama myśl o tym życzeniu byłaby śmieszną niemożliwością, która wystawiłaby go przed samym sobą na szyderstwo.

Powiem, że dzięki przypadkowi ujrzałem tę młodą damę po upływie tygodnia po raz drugi, i to w operze. Dawano Gounoda „Małgorzatę" i ledwo znalazłem się w jasno oświetlonej sali, by udać się na moje parterowe miejsce, gdy ujrzałem ją u boku starego pana w prosceniowej loży z przeciwnej

strony. Stwierdziłem przy tym, że obleciał mnie w sposób śmieszny lekki lęk i coś jakby zmieszanie i że z jakiegoś powodu odwróciłem natychmiast oczy na inne rzędy i loże. Dopiero z rozpoczęciem uwertury zdecydowałem się przyjrzeć tym państwu nieco dokładniej.

Stary pan, w ściśle zapiętym surducie z czarnym krawatem, siedział z pełną spokoju godnością, plecami oparty w fotelu, z jedną ręką w brązowej rękawiczce złożoną na aksamicie parapetu, gdy drugą gładził od czasu do czasu brodę lub krótko ostrzyżoną, siwą głowę. Młoda dziewczyna natomiast — córka niewątpliwie — siedziała schylona z żywym zaciekawieniem, z obiema rękami, w których trzymała wachlarz, na aksamitnej poduszce. Od czasu do czasu czyniła krótki ruch głową, by odrzucić jasnobrunatne włosy z czoła i skroni.

Miała na sobie lekką bluzkę z jasnego jedwabiu i bukiecik fiołków za paskiem i wąskie jej oczy lśniły w ostrym świetle jeszcze głębszą czernią niż przed tygodniem. Poza tym zauważyłem, że układ ust, który wtedy u niej spostrzegłem, był w ogóle jej właściwością: w każdej chwili dotykała swymi białymi, drobnymi, w regularnych odstępach lśniącymi zębami wargi dolnej, podciągając nieco brodę. Ta niewinna mina, świadcząca o zupełnym braku kokieterii, spokojnie, wesoło wędrujące dokoła spojrzenie oczu, jej delikatna, biała, dekoltowana szyja, którą otaczała wąska jedwabna wstążka tego samego koloru co pasek, ruch, z jakim chwilami zwracała się do starego pana, by skierować jego uwagę na coś w orkiestrze, na kurtynie, w jakiejś loży, wszystko to sprawiało wrażenie niewymownie delikatnej i miłej dziecinności, która jednak nie miała w sobie nic a nic wzruszającego i budzącego „współczucie". Była to wytworna, pełna umiaru i przez elegancki dobrobyt pewnością siebie i wyższością przejęta dziecinność, ujawniająca szczęście, które nie miało w sobie nic swawolnego, raczej coś cichego, gdyż było zrozumiałe samo przez się.

Pomysłowa i delikatna muzyka Gounoda była, zdawało mi się, niezłym akompaniamentem do tej chwili i słuchałem jej nie zwracając uwagi na scenę, całkowicie oddany łagodnemu i pełnemu zadumy nastrojowi, którego melancholia bez tej muzyki byłaby może bolesna. Ale już podczas przerwy, która nastąpiła po pierwszym akcie, powstał ze swego parterowego miejsca pan, powiedzmy dwudziestosiedmio- czy trzydziestoletni, który znikł i niebawem zjawił się z pięknym ukłonem w loży, na którą zwracałem uwagę. Stary pan wyciągnął doń zaraz rękę i również młoda dama z uprzejmym skinieniem głowy podała mu swoją, którą z szacunkiem podniósł do ust, po czym zmuszono go zająć miejsce.

Chętnie przyznam, że pan ten miał gors koszuli najwspanialszy, jaki widziałem w swym życiu. Gors ten był zupełnie odkryty, gdyż kamizelką był tylko wąski, czarny pas, a frak, zapięty dopiero pod żołądkiem na jeden guzik, był od ramion wycięty w niezwykle szerokie łuki. Gors zaś, który przy wysokim i ostro załamanym stojącym kołnierzu kończył się czarnym krawatem i na którym w równych odstępach widniały dwie duże, kwadratowe i również czarne spinki, był olśniewającej białości i przedziwnie nakrochmalony, nie tracąc przez to giętkości, gdyż w okolicy żołądka tworzył łagodne zagłębienie, by wznieść się potem łagodnie lśniącym garbem.

Rozumie się, że koszula ta pochłaniała większą część uwagi; głowa zaś, która była zupełnie okrągła i której czaszka obciągnięta była kocem krótko strzyżonych, jasnopłowych włosów, ozdobiona była pozbawionymi oprawy i tasiemki binoklami oraz niezbyt dużymi, jasnymi i lekko podkręconymi wąsami, a na jednym z policzków mnóstwem szram pojedynkowych, ciągnących się aż do skroni. Zresztą pan ten był zbudowany bez zarzutu i poruszał się sprawnie.

W ciągu wieczora — gdyż pozostał w loży — zauważyłem u niego dwie postawy, które zdawały się być mu szczególnie właściwe. Mianowicie, gdy towarzyska rozmowa ustawała,

wtedy z nogą założoną na nogę, z lornetką na kolanach, siedział wygodnie w tył oparty, pochylał głowę i wysuwał mocno całe usta, by oddać się obserwacji obu końców wąsa, jakby zahipnotyzowany nimi, i odwracał powoli i milcząc głowę z jednej strony w drugą. Natomiast zajęty rozmową z młodą damą, zmieniał z szacunku pozycję nóg, lecz przechylał się jeszcze bardziej w tył, przy czym chwytał obiema rękami swoje krzesło, podnosił głowę możliwie najwyżej i bardzo szeroko otwartymi ustami, w uprzejmy i aż do pewnego stopnia pełen wyższości sposób, uśmiechał się z góry do swej młodej sąsiadki. Pana tego przepełniać musiało cudownie szczęśliwe samopoczucie.

Mówiąc serio, umiem cenić podobne rzeczy. Po żadnym z jego ruchów, choćby nonszalancja jego była nie wiedzieć jak ryzykowna, nie następowało przykre zakłopotanie; posiadał pewność siebie. Było rzeczą jasną: nie odznaczając się niczym, zrobił poprawną karierę i osiągnie w niej wyraźne i pożyteczne cele, żył w cieniu porozumienia z całym światem i w słońcu powszechnego szacunku. Na razie siedział w tej loży i gawędził z młodą dziewczyną, dla której czystego i urzekającego uroku nie był może nieprzystępny i o której rękę mógł śmiało poprosić. Naprawdę, nie mam ochoty powiedzieć o tym człowieku żadnego pogardliwego słowa.

A cóż ja? Siedziałem tu na dole i mogłem z ciemności i z daleka obserwować zgryźliwie, jak owo rozkoszne i nieosiągalne stworzenie gawędziło i śmiało się z tym niegodziwcem! Wyłączony, niezauważony; nieuprawniony, obcy, hors ligne, zdeklasowany, parias, politowania godny we własnych oczach!

Zostałem aż do końca i spotkałem tych troje znów w garderobie, gdzie zatrzymali się chwilę wkładając futra i zamieniali z tym i owym kilka słów, tu z jakąś damą, tam z oficerem. — Młody pan towarzyszył ojcu i córce, gdy opuszczali teatr, a ja szedłem za nimi w niewielkiej odległości przez westybul.

Nie było deszczu, kilka gwiazd świeciło na niebie i nie wzięli powozu. Rozmawiając szli powoli we trójkę przede mną, a ja kroczyłem za nimi w nieśmiałym oddaleniu, zgnębiony, dręczony przenikliwie bolesnym, szyderczym, nędznym uczuciem. — Droga nie była daleka; minąwszy ledwo jedną ulicę, zatrzymali się przed wspaniałym domem o pełnej prostoty fasadzie i wnet potem ojciec i córka znikli po serdecznym pożegnaniu się z towarzyszem, który przyspieszonym krokiem odszedł.

Na ciężkiej rzeźbionej bramie domu widniało nazwisko: „Radca sprawiedliwości Rainer."

Jestem zdecydowany doprowadzić zapiskę tę do końca, choć z wewnętrznego wstrętu chciałbym każdej chwili zerwać się i uciec. W sprawie tej grzebałem się i gmerałem aż do mdłości. Mam tego dość aż do znudzenia.

Przed niespełna trzema miesiącami dowiedziałem się z pism o „wencie" urządzanej dla celów dobroczynnych w ratuszu miejskim, i to z udziałem wyższych sfer. Czyta'em anons uważnie i natychmiast zdecydowałem się pójść na tę wentę. Ona tam będzie, pomyślałem, może jako sprzedawczyni i w tym wypadku nic mnie nie powstrzyma zbliżyć się do niej. Zważywszy spokojnie, jestem człowiekiem z wykształceniem i z dobrej rodziny i jeśli mi się ta panna Rainer spodoba, to wolno mi w takich warunkach, tak samo jak temu panu ze zdumiewającym gorsem koszuli, przemówić do niej i zamienić z nią kilka żartobliwych słów.

Było wietrzne, deszczowe popołudnie, gdy udałem się do ratusza, przed którego portalem panował tłok ludzi i powozów. Utorowałem sobie drogę do gmachu, zapłaciłem za wstęp, oddałem zarzutkę i kapelusz do szatni i z pewnym wysiłkiem dostałem się szerokimi, pełnymi ludzi schodami na pierwsze piętro do świątecznie przystrojonej sali, z której dochodził mnie duszny wyziew wina, potraw, perfum i jedliny, zmieszana wrzawa śmiechów, rozmów i muzyki, okrzyków i uderzeń gongu.

Niezmiernie wysoka i szeroka sala przystrojona była pstrymi chorągwiami i girlandami, a pod ścianami jak i pośrodku ciągnęły się budy, otwarte miejsca sprzedaży, jak i zamknięte przegrody, do których zwiedzenia zapraszali na całe gardło fantastycznie zamaskowani panowie. Damy, które sprzedawały dokoła kwiaty, roboty ręczne, tytoń i chłodzące napoje różnego rodzaju, były również w rozmaitych kostiumach. W górnym końcu sali, na ubranej kwiatami estradzie, rzępoliła muzyka, podczas gdy w szerokim przejściu, którego nie zajmowały budy, posuwał się zwolna naprzód zbity tłum ludzi.

Nieco oszołomiony hałasem muzyki, koszów szczęścia, wesołej reklamy, przyłączyłem się do pochodu i nie minęła minuta, jak cztery kroki na lewo od wejścia ujrzałem młodą damę, której tu szukałem. Sprzedawała w uwieńczonej jedliną budce wina i limoniady, przebrana za Włoszkę: w pstrej spódnicy, białym prostokątnym nakryciu głowy i krótkim gorsecie Albanek, z rękawami koszuli obnażającymi aż do łokci jej delikatne ramiona. Trochę zgrzana, oparta z boku o ladę, bawiła się pstrym wachlarzem i rozmawiała z kilkoma panami, którzy paląc stali dokoła budki i wśród których, na pierwszy rzut oka, spostrzegłem dobrze znajomego; stał tuż przy niej koło stołu, z czterema palcami każdej ręki w bocznych kieszeniach surduta.

Przecisnąłem się zwolna naprzód, zdecydowany przystąpić do niej, skoro tylko nadarzy się sposobność i gdy mniej będzie zajęta. — Ach, teraz okaże się, czy rozporządzam jeszcze resztką wesołej pewności siebie i wprawnego dowcipu, czy też posępność i rozpacz moich ostatnich tygodni była usprawiedliwiona! Co mnie właściwie napadło? Skąd wobec tej dziewczyny to męczące i nędzne uczucie złożone z zawiści, miłości, wstydu i podrażnionej goryczy, które w tej chwili znowu, przyznaję, paliło mi twarz? Szczerość! Uprzejmość! Wesołe, miłe zadowolenie z siebie, do diabła, jak przystoi utalentowanemu i szczęśliwemu człowiekowi! I z nerwowym

zapałem szukałem żartobliwego zwrotu, dobrego słowa, włoskiej przemowy, z jaką zamierzałem zbliżyć się do niej.

Minęła dobra chwila, zanim w ciężko posuwającym się tłumie odbyłem drogę dokoła sali — i rzeczywiście: gdy znowu znalazłem się przy budce z winem, półkole panów zniknęło i tylko dobrze znajomy opierał się o ladę, rozmawiając z największym ożywieniem z młodą sprzedawczynią. Ano cóż, musiałem sobie pozwolić na przerwanie tej rozmowy. — Krótkim zwrotem opuściłem pochód i stanąłem przy stole.

Co się stało? Ach, nic. Prawie nic. Konwersacja urwała się, dobrze znajomy odstąpił na krok, ująwszy wszystkimi pięcioma palcami swoje pozbawione oprawy i tasiemki binokle i poprzez te palce przyglądał mi się, a młoda dama zmierzyła mnie od stóp do głów spokojnym, badawczym spojrzeniem — moje ubranie i buty. Ubranie to nie było zgoła nowe, a buty ochlapane były błotem ulicznym; wiedziałem o tym. Poza tym byłem zgrzany i włosy moje znajdowały się prawdopodobnie w wielkim nieładzie. Nie byłem chłodny ani swobodny, ani na wysokości chwili. Opadło mnie poczucie, że ja, obcy, nieuprawniony, nieprzynależny, przeszkadzam tu i ośmieszam się. Niepewność, bezradność, nienawiść i poczucie marności zmąciły mi wzrok i, krótko mówiąc, wykonałem swoje dzielne zamiary, gdy ze ściągniętymi brwiami, zachrypłym głosem rzekłem krótko, niemal grubiańskimi słowy:

— Proszę o kieliszek wina.

Rzecz zgoła obojętna, czy się myliłem spostrzegając jakoby, że młoda dziewczyna zwróciła ku swemu przyjacielowi szybkie szydercze spojrzenie. Milcząc jak ja i on, podała mi wino, a ja nie podnosząc oczu, czerwony i wzburzony wściekłością i bólem, nieszczęśliwa i śmieszna figura, stałem między obojgiem, wypiłem kilka łyków, położyłem pieniądze na stół, skłoniłem się zmieszany, opuściłem salę i wypadłem na dwór.

Od tej chwili jestem skończony i bardzo mało dodaje do sprawy to, że w kilka dni później przeczytałem w gazetach ogłoszenie:

Mam zaszczyt zawiadomić uprzejmie o zaręczynach córki mej, Anny, z panem asesorem doktorem Alfredem Witznagel. Radca sprawiedliwości Rainer.

Z tą chwilą skończyłem się. Ostatnia resztka mego poczucia szczęścia i zadowolenia z siebie padła zaszczuta na śmierć, nie mogę już, tak, jestem nieszczęśliwy, wyznaję i widzę w sobie żałosną i śmieszną figurę! — Ale nie wytrzymam tego! Ginę! Zastrzelę się dziś lub jutro!

Moim pierwszym odruchem, moim pierwszym instynktem było zrobić z tej sprawy coś beletrystycznego i me nędzne samopoczucie przetłumaczyć na „nieszczęśliwą miłość", głupstwo, ma się rozumieć. Nie ginie się od żadnej nieszczęśliwej miłości. Nieszczęśliwa miłość jest niezłą postawą. W nieszczęśliwej miłości podobamy się sobie. Ale ja ginę dlatego, że całe moje upodobanie w sobie tak beznadziejnie wzięło w łeb.

Czyż kochałem, jeśli już wreszcie pozwalam sobie na to pytanie, czyż kochałem właściwie tę dziewczynę? — Może... ale jak i dlaczego? Czyż miłość ta nie była wytworem mojej od dawna podrażnionej i chorej próżności, która na widok tego nieosiągalnego klejnotu wzburzyła się boleśnie i wydała uczucia zazdrości, nienawiści i samopogardy, dla których potem miłość była tylko pozorem, wyjściem i ratunkiem?

Tak, wszystko to próżność! I czyż ojciec nie nazwał mnie już kiedyś pajacem?

Ach, nie byłem uprawniony, ja najmniej, siadać na uboczu i ignorować społeczeństwo, ja, który jestem zbyt próżny, by znosić jego pogardę i brak uszanowania, który nie mogę obejść się bez niego i jego uznania. — A jeśli nie chodzi o uprawnienie? Tylko o niezbędność? A moje niepotrzebne pajacostwo nie uchodziłoby za żadną pozycję socjalną? Otóż właśnie z powodu tego pajacostwa muszę w każdym razie zginąć.

Obojętność, wiem o tym, byłaby pewnego rodzaju szczęściem. Ale nie jestem w stanie być względem siebie obojęt-

nym, nie jestem w stanie patrzeć na siebie innymi oczami, jak oczami „ludzi", i ginę z powodu nieczystego sumienia — pełen niewinności. — Czyżby nieczyste sumienie nie miało być nigdy niczym innym jak jątrzącą się próżnością?

Jest tylko jedno nieszczęście: stracić upodobanie do samego siebie. Nie podobać się już sobie — to nieszczęście — ach, i czułem to zawsze bardzo wyraźnie! Wszystko poza tym jest grą i wzbogaceniem życia, w każdym innym cierpieniu można tak nadzwyczajnie być zadowolonym z siebie, tak świetnie wyglądać. Dopiero niezgoda z sobą, nieczyste sumienie w cierpieniu, walki próżności czynią cię żałosnym i wstrętnym widowiskiem.

Pewien stary znajomy ukazał się na horyzoncie, pan nazwiskiem Schilling, z którym niegdyś w wielkim handlu drzewem pana Schlievogta służyłem wspólnie społeczeństwu. Zawadził w interesach o miasto i przyszedł mnie odwiedzić — „sceptyczne indywiduum" z rękami w kieszeniach spodni, z pince-nez w czarnej oprawie i z realistycznie cierpliwym wzruszaniem ramion. Zjawił się wieczorem i rzekł: — Zostaję tu kilka dni. — Poszliśmy do winiarni.

Odnosił się do mnie, jakbym był jeszcze tym zadowolonym z siebie szczęśliwcem, jakim mnie znał, i przekonany, że wyraża tylko mój własny wesoły sąd, rzekł:

— Dalibóg, urządziłeś sobie wygodnie życie, mój chłopcze! Niezależny, co? Wolny! Właściwie masz słuszność, do diabła. Raz tylko się żyje, co? Cóż kogo w gruncie rzeczy obchodzi reszta? Tyś jest z nas dwóch mądrzejszy, muszę przyznać. Zresztą byłeś zawsze geniuszem. — I jak niegdyś wyrażał mi chętnie uznanie i świadczył grzeczności, nie przeczuwając, że z swojej strony bałem się, czy się podobam.

Z rozpaczliwym wysiłkiem starałem się zachować miejsce, które w jego oczach zajmowałem, wydawać się jak przedtem na wyżynie, wydawać się szczęśliwym i z siebie zadowolonym — na próżno! Brak mi było kośćca, odwagi, kontenansu, występowałem wobec niego z niewyraźnym zakłopotaniem,

z pokorną niepewnością — a on zorientował się w tym niewiarygodnie szybko! Było rzeczą przerażającą widzieć, jak on, który był całkowicie gotów uznać mnie za najszczęśliwszego i wyższego człowieka, zaczął mnie przezierać, przyglądać mi się ze zdumieniem, stawać się oziębłym, wyższym, niecierpliwym i niechętnym, by okazywać mi w końcu każdą miną pogardę. Wstał pierwszy i nazajutrz kilkoma słowy od ręki zawiadomił mnie, że jednak zmuszony był odjechać.

Istotnie, cały świat jest zbyt wyłącznie zajęty sobą, aby można mieć poważne zdanie o kimś innym, z leniwą gotowością akceptuje się ten stopień szacunku, jaki bez wahania okazujesz sobie. Bądź, czym chcesz, żyj, jak chcesz, ale okazuj dufną zuchwałość, bez nieczystego sumienia, a nikt nie będzie moralnie śmiał gardzić tobą. Spróbuj z drugiej strony stracić zgodę z sobą, zadowolenie z siebie, pokaż, że sobą gardzisz, a na oślep przyznają ci słuszność. — Co do mnie, jestem zgubiony.

Przestaję pisać, odrzucam pióro — pełen wstrętu, pełen wstrętu! — Skończyć, ale czy to właśnie nie byłoby za bohaterskie dla „pajaca"? Lękam się, że się okaże, iż będę dalej żyć, dalej jeść, spać i trochę czymś się zajmować i powoli tępo przyzwyczaję się być „nieszczęśliwą i sceniczną" figurą.

Mój Boże, któż by pomyślał, że tak wielką klęską i nieszczęściem jest urodzić się „pajacem".

TRISTAN

1902 r.

Oto „Zacisze", sanatorium! Białe i prostolinijne, leży ono ze swym wydłużonym budynkiem głównym i skrzydłami bocznymi w obszernym ogrodzie, ozdobionym grotami, ciennikami i altankami, a spoza jego dachów łupkowych sterczą w niebo sosnami zielone, ciężkie, w miękkie rozpadliny rzeźbione góry.

Teraz, jak dawniej, kieruje zakładem doktor Leander. Mężczyzna o dwukończystej czarnej brodzie, twardej i kędzierzawej jak włosie, którym wypycha się meble, w grubych, lśniących okularach, wyglądający na męża, którego wiedza ochłodziła, zahartowała i napełniła cichym, wyrozumiałym pesymizmem; krótko dzierży na wodzy cierpiących, wszystkie te indywidua, które, zbyt słabe, by nadać sobie prawa i trzymać się ich, oddają mu swoje mienie, by móc uciec się pod opiekę jego surowości.

Co się panny Osterloh tyczy, to stoi ona, z nieznużonym oddaniem się, na czele gospodarstwa. Mój Boże, jak pilnie biega ona po schodach, to w dół, to na górę, z jednego końca zakładu na drugi! Panuje w kuchni i spiżarni, wspina się po szafach z bielizną, rozkazuje służbie i zarządza kuchnią domową z punktu widzenia oszczędności, higieny, dobrego smaku i zewnętrznego wdzięku; gospodaruje z wściekłą przezornością, a w jej nadmiernej dzielności kryje się ustawiczny wyrzut dla całego rodu męskiego, z którego nikt jeszcze nie wpadł na myśl, by się z nią ożenić. Na policzkach jej płonie

w dwóch okrągłych, karmazynowych plamach nadzieja, że kiedyś zostanie panią doktorową Leander.

Ozon i ciche, ciche powietrze... Chorym piersiowo, cokolwiek by zawistnicy i współzawodnicy doktora Leandra powiedzieć mogli, należy „Zacisze" polecić jak najgoręcej. Jednak przebywają tam nie tylko suchotnicy, przebywają tam pacjenci różnego rodzaju, panowie, panie, a nawet dzieci; doktor Leander odniósł na najrozmaitszych polach sukcesy. Są tu chorzy żołądkowo, jak radczyni magistratu Spatz, która prócz tego choruje na uszy, państwo z wadami serca, paralitycy, reumatycy, nerwowi wszystkich stopni. Diabetyczny generał przejada tu wśród ustawicznego szemrania swą pensję. Kilku panów o wychudłych twarzach wyrzuca w nieopanowany sposób nogi, co nie oznacza nic dobrego. Pięćdziesięcioletnia dama, pastorowa Hoehlenrauch, która dziewiętnaścioro dzieci na świat wydała i absolutnie niezdolna już jest do żadnej myśli, nie może znaleźć sobie miejsca, lecz, ustawicznie gnana niedorzecznym niepokojem, błądzi już od roku u ramienia swej prywatnej pielęgniarki, sztywna i niema, bezcelowo i niesamowicie, po całym domu.

Kiedy niekiedy umiera ktoś z „ciężko chorych", którzy leżą w swych pokojach i nie zjawiają się u stołu ani w bawialni, i nikt, nawet sąsiad zza ściany, nie dowie się o tym. Cichą nocą usuwają woskowego gościa i niezmącenie toczy się życie w „Zaciszu" dalej: masowanie, elektryzacje i zastrzykiwania, tusze, kąpiele, gimnastyka, poty i inhalacje, w rozmaitych salach, zaopatrzonych w różnorodne zdobycze nowszych czasów...

Tak, ruch tu jest ożywiony. Zakład jest w rozkwicie. Odźwierny, u wchodu do bocznego skrzydła, uderza w wielki dzwon, gdy zawitają nowi goście, i z wszelkimi honorami odprowadza doktor Leander, wraz z panną Osterloh, odjeżdżających do powozu. Cóż za osobistości gościło już w sobie „Zacisze"! Jest tu nawet literat, człek ekscentryczny, który nosi

imię jakiegoś minerału czy drogiego kamienia i kradnie dnie Panu Bogu...

Poza tym jest tu, obok pana doktora Leandra, jeszcze drugi lekarz, dla wypadków lekkich i dla beznadziejnych. Ale zwie się on Müller i w ogóle nie warto o nim mówić.

Z początkiem stycznia przywiózł hurtownik Kloeterjahn — z firmy A. E. Kloeterjahn i S-ka — swoją małżonkę do „Zacisza"; odźwierny uderzył w dzwon i panna Osterloh powitała z daleka przybyłych państwa w sali przyjęć na parterze, urządzonej, jak niemal cały wytworny, stary dom, w przedziwnie czystym stylu empirowym. Wnet potem zjawił się i doktor Leander; skłonił się i rozpoczęła się pierwsza, informująca obie strony, rozmowa.

Widać było ogród zimowy z matami na grządkach, z zaśnieżonymi grotami i samotnymi świątyńkami, a dwóch posługaczy ściągało kufry nowych gości z powozu, który stał na gościńcu przed furtą, bo nie było dojazdu do domu.

— Powoli, Gabrielo, take care, mój aniele, i zamknij usta — rzekł pan Kloeterjahn prowadząc żonę przez ogród; i na to „take care" musiał z czułym i drżącym sercem zgodzić się wewnętrznie każdy, kto ją zobaczył, aczkolwiek zaprzeczyć nie można, że pan Kloeterjahn mógł to bez ceremonii powiedzieć po niemiecku.

Woźnica, który przywiózł państwa ze stacji do sanatorium, surowy, nieuświadomiony człek bez subtelności, aż wetknął język między zęby z bezsilnej ostrożności, gdy hurtownik pomagał wysiąść swej żonie; ba, zdawało się, jakby oba kasztanki, parujące w cichym, mroźnym powietrzu, śledziły z napięciem, wstecz zawróconymi oczyma, ten trwożny akt, pełny troski o tyle bezsilnego wdzięku i wątłego powabu.

Młoda pani chorowała na tchawicę, jak było wyraźnie napisane w zawiadomieniu, które pan Kloeterjahn z wybrzeża Bałtyku przesłał do naczelnego lekarza w „Zaciszu", i Bogu

dzięki, że nie były to płuca! Lecz choćby to nawet były płuca, nowa pacjentka nie mogłaby mieć wdzięczniejszego i bardziej uszlachetnionego, bardziej nieziemskiego i niematerialnego wyglądu niż teraz, gdy u boku swego krępego męża, rzucona miękko i omdlale w biało lakierowane, prostolinijne krzesło z poręczami, przysłuchiwała się rozmowie.

Jej piękne, blade ręce, bez żadnych ozdób prócz prostej obrączki, spoczywały na kolanach, w fałdach ciężkiej, ciemnej sukni; miała na sobie szarosrebrny, obcisły stanik ze sztywnym stojącym kołnierzem, obszytym grubo wypukłymi arabeskami z aksamitu. Lecz te ciężkie i ciepłe materiały uwydatniały jeszcze tkliwiej, eteryczniej i czarowniej delikatność, słodycz i znużenie główki. Jej jasnobrunatne włosy, nisko na karku w węzeł zebrane, były gładko zaczesane w tył i tylko koło prawej skroni opadał kręty, luźny lok na czoło, niedaleko miejsca, gdzie ponad śmiało zarysowaną brwią drobna, przedziwna żyłka rozgałęziała się bladobłękitnie i chorobliwie w czystości i nieskalaności tego jakby przejrzystego czoła. Błękitna ta żyłka nad okiem panowała w niepokojący sposób nad całym delikatnym owalem twarzy. Występowała ona widoczniej, ilekroć pani ta mówić zaczęła, ba, skoro się tylko uśmiechnęła; nadawała wtedy wyrazowi twarzy coś wysilonego, nawet udręczonego, co budziło nieokreślone obawy. Jednakże pani mówiła i uśmiechała się. Mówiła swobodnie i uprzejmie, lekko stłumionym głosem i uśmiechała się oczyma, które patrzyły z niejakim trudem, nawet kiedy niekiedy skłonne były się zamknąć i których kąciki, z obu stron wąskiej nasady nosa, leżały w głębokim cieniu — i uśmiechała się pięknymi, szerokimi usty, które były blade, a jednak zdawały się świecić, może dlatego, że wargi były tak niezwykle ostro i dobitnie zarysowane. Chwilami kasłała. Wtedy przykładała chusteczkę do ust i przyglądała się jej.

— Nie kasłaj, Gabrielo — rzekł pan Kloeterjahn. — Wiesz, że doktor Hinzpeter osobliwie ci tego zakazał, darling, i to

tylko dlatego, by wziąć się w garść, mój aniele. Jest to, jak się rzekło, tchawica — powtórzył. — Myślałem naprawdę, że to płuca, gdy się zaczęło, i, dalibóg, strach mnie obleciał. Ale to nie płuca, nieee! Cóż u diabła, na coś podobnego nie pozwolimy sobie, co, Gabrielo? He, he!

— Bez wątpienia — rzekł doktor Leander i błysnął ku niej okularami.

Potem zażądał pan Kloeterjahn kawy — kawy i bułek z masłem, i miał tak naoczny sposób wydobywania tego „k" gdzieś z bezdna gardła i wymawiania „bułek z masłem", że każdy nabierał apetytu.

Otrzymał, czego żądał, dostał też pokoje dla siebie i małżonki i urządzili się.

Zresztą doktor Leander podjął się osobiście kuracji, nie zaprzątając tym wypadkiem doktora Müllera.

Osoba nowej pacjentki wzbudziła niezwykłą uwagę w „Zaciszu" i pan Kloeterjahn, przyzwyczajony do takich powodzeń, przyjmował każdy hołd, który jej składano, z zadowoleniem. Diabetyczny generał przestał szemrać na chwilę, ledwo ją pierwszy raz spostrzegł, panowie o wychudłych twarzach uśmiechali się i starali się usilnie, znalazłszy się w jej bliży, opanowywać nogi, a radczyni magistratu Spatz przyłączyła się do niej natychmiast, jako starsza przyjaciółka. Takie sprawiła wrażenie ta pani, która nosiła nazwisko pana Kloeterjahna. Literat, który od kilku tygodni bawił w „Zaciszu", osobliwy dziwak, który miał jakieś cudaczne nazwisko drogiego kamienia, zmienił się wprost na twarzy, gdy przeszła mimo niego w korytarzu, stanął i stał, jakby wrósł w ziemię, choć dawno już znikła.

Nie minęły dwa dni, gdy całe towarzystwo w lecznicy zapoznało się z jej historią. Była rodem z Bremy, co zresztą, gdy mówiła, poznać było po pewnym miłym przekręcaniu głosek, i tamże przed dwoma laty dała mężowi słowo na całe życie.

Pojechała z nim w jego miasto ojczyste, na wybrzeże bałtyckie, i urodziła mu mniej więcej przed dziesięciu miesiącami, w niezwykle ciężkich i niebezpiecznych okolicznościach, godnego podziwu, żywego i udanego syna i dziedzica. Atoli od okropnych tych dni nie wróciła do sił, o ile kiedykolwiek posiadała siły. Ledwo wstała z połogu, zupełnie wyczerpana, zupełnie pozbawiona sił żywotnych, wykasłała trochę krwi — ach, niewiele, nic nie znaczącą odrobinę krwi, lecz byłoby lepiej, gdyby się w ogóle nie pokazała, a niepokojącym było to, że drobny ten i niesamowity wypadek powtórzył się wkrótce. Były środki zaradcze przeciw temu i doktor Hinzpeter, lekarz domowy, zastosował je. Polecono spokój bezwzględny, łykanie kawałków lodu, morfinę przeciw podrażnieniom kaszlu i, o ile można, ciszę serca. Zdrowie jednak nie chciało wracać, i podczas gdy dzieciak, Antoni Kloeterjahn młodszy, okazowy bąk, z niesłychaną energią i bezwzględnością zdobywał i utwierdzał stanowisko swe w życiu, matka zdawała się w łagodnym i cichym żarze zanikać... Była to, jak się rzekło, tchawica, słowo, które w ustach doktora Hinzpetera wywierało na otoczenie zdumiewająco pocieszający, uspokajający, prawie rozweselający skutek. Lecz choć nie były to płuca, lekarz przepisał ostatecznie wpływ łagodniejszego klimatu i pobyt w uzdrowisku dla szybszego wyleczenia, jako niezbędnie pożądany, a sława sanatorium „Zacisze" i jego kierownika dokonała reszty.

Tak się rzecz miała i sam pan Kloeterjahn opowiadał to każdemu, kogo to obchodziło. Mówił głośno, swobodnie i z humorem, jak człowiek, którego trawienie jest w tak doskonałym porządku jak jego sakiewka, z wybuchowymi poruszeniami warg, szerokim, a jednak szybkim sposobem mieszkańców wybrzeża północnego. Niektóre słowa wyrzucał tak, że każdy dźwięk podobny był małemu wybuchowi, i śmiał się z tego jak z udałego żartu.

Był średniego wzrostu, tęgi, krótkonogi i miał twarz pełną, czerwoną, o wodnisto-modrych oczach, które ocienione były

zupełnie jasnopłowymi rzęsami, szerokie nozdrza i wilgotne wargi. Nosił angielskie bokobrody, z angielska ubrany, i był zachwycony, że spotkał w „Zaciszu" angielską rodzinę, która składała się z ojca, matki, trojga pięknych dzieci z ich nurse, rodzinę, która przebywała tu odosobniona i samotna, nie wiedząc, gdzieby się zresztą podziać, i z którą rano śniadał po angielsku. W ogóle lubił dobrze i dużo jeść i pić, okazał się istotnym znawcą kuchni i piwnicy i bawił kuracjuszów, w sposób niezwykle pobudzający, obiądami urządzanymi w jego mieście, w kole jego znajomych, jako też opisem pewnych ulubionych, tutaj nie znanych potraw. Wtedy oczy jego ściągały się w uprzejmym wyrazie, a mowa jego nabierała czegoś podniebiennego i nosowego, z towarzyszeniem lekkiego mlaskania w gardzieli. Że nie był zasadniczo przeciwny i innym ziemskim uciechom, dowiódł owego wieczoru, kiedy to pewien kuracjusz z „Zacisza", literat z zawodu, widział go żartującego w korytarzu w sposób wielce niedozwolony z pokojówką — drobny, humorystyczny przypadek, wobec którego rzeczony literat stroił śmieszną, pełną odrazy minę.

Co do małżonki pana Kloeterjahna było rzeczą jasną i jawną, że była mu serdecznie oddana. Z uśmiechem śledziła jego słowa i ruchy; nie z pyszną wyrozumiałością, z jaką niektórzy cierpiący spoglądają na zdrowych, lecz z życzliwą radością i współczuciem dobrze usposobionych chorych dla ufnych objawów życia ludzi, którzy dobrze się czują w swej skórze.

Pan Kloeterjahn niedługo zabawił w „Zaciszu". Towarzyszył tam żonie; jednak po upływie tygodnia, widząc, że dobrze ją umieścił i w pewne oddał ręce, nie pozostał dłużej. Obowiązki tej samej wagi, co jego kwitnące dziecko, jego również kwitnący interes, wzywały go do miasta rodzinnego, zmuszały go do odjazdu i pozostawienia żony pod jak najlepszą opieką.

Spinell nazywał się literat, który od kilku tygodni mieszkał w „Zaciszu", nazywał się Detlev Spinell, a jego wygląd był dziwny.

Wyobraźmy sobie bruneta po trzydziestce, okazałej postawy, którego włosy na skroniach już wyraźnie siwieć zaczynają, lecz którego okrągła, miękka, nieco obrzękła twarz nie wykazuje ani śladu zarostu. Nie była golona — byłoby to widać; była tylko miękka, niewyraźna, chłopięca, tu i ówdzie jedynym włoskiem puchu upstrzona. Wyglądało to zgoła przedziwnie. Spojrzenie jego sarnich, czystych oczu miało wyraz łagodny, nos był krótki, lecz nieco mięsisty. Poza tym miał pan Spinell sklepioną, porowatą wargę górną, rzymskiego typu, wielkie, spróchniałe zęby i niezmiernej wielkości stopy. Jeden z panów o nieopanowanych nogach, który był cynikiem i dowcipnisiem, nazwał go poza plecami „zgniłym niemowlęciem"; lecz było to złośliwe i nietrafne. Ubierał się dobrze i modnie; nosił długi czarny surdut i barwną kamizelkę w kropki.

Był nietowarzyski i z nikim zgoła nie przestawał. Czasami tylko nachodził go uprzejmy, życzliwy i wylewny nastrój, a zdarzało się to każdym razem, gdy pan Spinell popadał w stan estetyczny, gdy widok czegoś pięknego, zestrój dwóch barw, waza szlachetnego kształtu, zachodem słońca opromienione góry — pobudzały go do głośnego podziwu. „Jak pięknie!" mawiał wtedy, przechylając głowę na bok, podciągając ramiona, rozkładając ręce, marszcząc nos i wargi. „O Boże, spójrzcie państwo, jakie to piękne!" I był zdolny, wśród wzruszenia takiej chwili, najdystyngowańszych ludzi, mężczyznę czy kobietę, chwytać w objęcia.

Stale leżała na jego stole, widoczna każdemu, kto wszedł do jego pokoju, książka, którą napisał. Był to romans średniej objętości, opatrzony o zawrót głowy przyprawiającą okładką, drukowany na sitkowanym, kawowym papierze, czcionkami, z których każda wyglądała jak katedra gotycka. Panna Osterloh przeczytała ją w wolnej chwili i uznała ją za „wyrafinowaną", co było jej sposobem omówienia czegoś „nieludzko nud-

nego". Rzecz działa się w światowych salonach, w bogatych buduarach, pełnych wyszukanych przedmiotów, gobelinów, starożytnych mebli, drogocennej porcelany, bezcennych złotogłowów i artystycznych klejnotów wszelkiego rodzaju. Na opis tych rzeczy kładziona była jak najpieczołowitsza waga i ustawicznie widać było przy tym pana Spinella, jak marszczył nos i mówił: „Jak pięknie! Mój Boże, spójrzcie, państwo, jak pięknie!..." Zresztą trzeba się było dziwić, że nie napisał więcej książek poza tą jedną, gdyż jawne było, że pisał z namiętnością. Większą część dnia spędzał, pisząc, w swym pokoju i oddawał niezwykłą ilość listów na pocztę, co dzień prawie jeden lub dwa, wobec czego było rzeczą dziwną i śmieszną, że sam niezwykle rzadko jakiś otrzymywał.

Pan Spinell siedział przy stole naprzeciw żony pana Kloeterjahna. W czasie pierwszego obiadu, w którym państwo ci brali udział, zjawił się nieco później w wielkiej jadalni parterowej bocznego skrzydła, miękkim głosem pozdrowił wszystkich i zasiadł na swym miejscu, po czym doktor Leander bez wielu ceremonii przedstawił go nowoprzybyłym. Skłonił się i następnie, widocznie nieco zmieszany, zaczął jeść, poruszając w wielce przesadny sposób nożem i widelcem w dużych, białych i kształtnych rękach, wystających z bardzo ciasnych rękawów. Potem odzyskał swobodę i przyglądał się spokojnie to panu Kloeterjahnowi, to jego żonie. Również pan Kloeterjahn zwrócił doń w ciągu obiadu kilka pytań i uwag dotyczących położenia i klimatu „Zacisza", w co żona jego wplotła swym miłym sposobem dwa czy trzy słowa i na co pan Spinell uprzejmie odpowiedział. Głos jego był łagodny i wcale miły; lecz miał utrudniony i chlipiący sposób mówienia, jakby zawadzały mu własne zęby.

Po wstaniu od stołu, gdy wszyscy przeszli do bawialni i gdy doktor Leander nowoprzybyłym gościom specjalnie za towarzystwo podziękował, spytała małżonka pana Kloeterjahna o swoje vis-à-vis.

— Jak się nazywa ten pan? — spytała. — Spinelli? Nie dosłyszałam nazwiska.

— Spinell... nie Spinelli, łaskawa pani. Nie, to nie Włoch, lecz rodem ze Lwowa, o ile mi wiadomo...

— Co pan powiedział? To literat? Czy jak? — spytał pan Kloeterjahn; miał ręce w kieszeniach angielskich, wygodnych spodni, przechylił ucho ku doktorowi i otworzył usta, jak to zwykli czynić niektórzy ludzie słuchając.

— Tak, nie wiem, pisuje... — odpowiedział doktor Leander. — Wydał, zdaje mi się, książkę, coś w rodzaju powieści, nie wiem istotnie...

To powtórzone „nie wiem" świadczyło, że doktor Leander nie miał zbytniego wyobrażenia o literacie i uchylał się od wszelkiej co do niego odpowiedzi.

— Ależ to bardzo ciekawe! — rzekła małżonka pana Kloeterjahna. Nie widziała literata jeszcze nigdy na oczy.

— O tak — odparł doktor Leander uprzejmie. — Pono cieszy się pewnym rozgłosem... — I nie mówiono już potem o literacie.

Lecz nieco później, gdy nowi goście odeszli i gdy doktor Leander również opuszczał bawialnię, zatrzymał go pan Spinell i zasięgnął z swojej strony wiadomości.

— Jak się nazywa to małżeństwo? — spytał. — Oczywiście nie dosłyszałem.

— Kloeterjahn — odparł doktor i chciał znów odejść.

— J a k się ten człowiek nazywa? — rzekł pan Spinell.

— Nazywają się K l o e t e r j a h n! — rzekł doktor Leander i poszedł swoją drogą.

Nie miał zbytniego wyobrażenia o literacie.

Zaznaczyliśmy już, że pan Kloeterjahn wrócił do miasta rodzinnego? Tak, bawił znowu na wybrzeżu bałtyckim, wśród swych interesów i przy dziecku, tym bezwzględnym i pełnym życia stworzonku, które przyprawiło swą matkę o wiele cierpień i uszkodzenie tchawicy. Ona sama jednak, młoda żona,

pozostała w „Zaciszu" i pani radczyni magistratu Spatz przystała do niej jako starsza przyjaciółka. Nie przeszkodziło to jednak temu, by małżonka pana Kloeterjahna również z innymi kuracjuszami nie zawiązała przyjaznych stosunków, na przykład z panem Spinellem, który, ku zdumieniu innych (gdyż dotąd nie przestawał z nikim), od początku okazywał jej niezwykłe oddanie i usłużność i z którym ona, w godzinach wolnych, które pozostawiał jej surowy rygor dzienny, nie rozmawiała niechętnie.

Zbliżał się do niej niezmiernie ostrożnie i poddańczo i mówił nie inaczej, jeno troskliwie stłumionym głosem, tak że radczyni Spatz, która chorowała na uszy, przeważnie nie słyszała nic, co mówił. Stąpał na końcach swych wielkich stóp ku krzesłu, w którym łagodnie uśmiechnięta spoczywała małżonka pana Kloeterjahna, stawał w odległości trzech kroków, z jedną nogą w tył cofniętą i w przód górą ciała przegięty, i przemawiał nieco utrudnionym i chlipiącym głosem, natarczywy, a jednak gotów każdej chwili odstąpić i zniknąć, skoro tylko znak znużenia i przesytu na jej obliczu się zjawi. Lecz nie był jej niemiły; zachęcała go, by przysiadł się do niej i do radczyni, zwracała się doń z jakimś pytaniem i słuchała go wtedy z uśmiechem i ciekawie, gdyż czasem mówił tak zajmująco i dziwnie, jak jej się nigdy dotąd słyszeć nie zdarzyło.

— Po co pan właściwie bawi w „Zaciszu"? — pytała. — Jakiej kuracji używa pan, panie Spinell?

— Kuracji?... Elektryzują mnie trochę. Ach, nie ma o czym mówić. Powiem łaskawej pani, po co tu jestem — dla stylu.

— A! — rzekła małżonka pana Kloeterjahna, oparta brodą na dłoni, i zwróciła się ku niemu z przesadną gorliwością, jak się robi wobec dzieci, gdy chcą coś opowiedzieć.

— Tak, łaskawa pani. „Zacisze" jest czystym empire'em, było niegdyś zamkiem, rezydencją letnią, jak powiadają. To skrzydło boczne jest przecie przybudówką czasów późniejszych, lecz budynek główny jest stary i oryginalny. Są okresy, w których po prostu nie mogę się obyć bez empire'u, w któ-

rych jest mi on wprost niezbędny, by osiągnąć skromny stopień błogiego poczucia. Rzecz jasna, że inaczej czujemy się wśród sprzętów miękkich i wygodnych aż do lubieżności, a inaczej wśród tych prostolinijnych stołów, krzeseł i draperii... Ta jasność i twardość, ta zimna, szorstka prostota i wstrzemięźliwa surowość dodaje mi hartu i godności, łaskawa pani, wytwarza z czasem wewnętrzne oczyszczenie i orzeźwienie, podnosi mnie duchowo, bez wątpienia...

— Tak, to przedziwne — rzekła. — Zresztą rozumiem to, zadając sobie nieco trudu.

Na to on odpowiedział, że to nie warte zgoła trudu, i zaśmiali się oboje. Zaśmiała się również radczyni Spatz i wyraziła swój podziw; ale nie rzekła, by to rozumiała.

Bawialnia była przestronna i ładna. Wysokie, białe drzwi dwuskrzydłowe były na oścież otwarte do przyległej sali bilardowej, gdzie zabawiali się panowie o nieopanowanych nogach i inni. Z drugiej strony drzwi szklane wychodziły na obszerny taras i ogród. Z boku stał fortepian. Był też zielonym suknem obity stolik do kart, przy którym diabetyczny generał z kilku panami grał w wista. Panie czytały i zajęte były robótkami. Żelazny piecyk ogrzewał pokój, lecz wkoło stylowego komina, w którym leżało kilka sztucznych, płomiennymi paskami papieru oklejonych węgli, było kilka wygodnych miejsc do pogawędki.

— Jest pan rannym ptaszkiem, panie Spinell — rzekła małżonka pana Kloeterjahna. — Kilka razy widziałam pana wychodzącego z domu o wpół do ósmej z rana.

— Rannym ptaszkiem? Ach, przeciwnie, łaskawa pani. Że wstaję wcześnie, to dlatego, że jestem właściwie śpiochem.

— To musi pan wytłumaczyć, panie Spinell! — również radczyni Spatz żądała wytłumaczenia.

— Otóż... jeśli się jest rannym ptaszkiem, to, zdaje mi się, nie trzeba tak bardzo wcześnie wstawać. Sumienie, łaskawa pani... źle ma się sprawa z sumieniem! Ja i mnie podobni przez całe życie trudzimy i paramy się tym, by je tu i ówdzie oszu-

kać i dać mu maluczkie, chytre zadośćuczynienie. Ja i mnie podobni jesteśmy stworzeniami do niczego i pominąwszy kilka godzin dobrych, wleczemy się chorzy i w ranach za świadomością naszego bezużytku. Nienawidzimy użytku, wiemy, że jest on pospolity i niepiękny, i bronimy tej prawdy, jak tylko broni się prawd, które nam są niezbędne. A jednak tak bardzo toczy nas nieczyste sumienie, że nie ma na nas zdrowego miejsca. Dołącza się to, że cały tryb naszego wewnętrznego istnienia, naszego na świat poglądu, naszego sposobu pracy... jest w skutku straszny, niezdrowy, podkopujący, niweczący i również to pogarsza sprawę. Istnieją tedy drobne środki łagodzące, bez których by się po prostu nie wytrzymało. Pewna określoność i higieniczna surowość trybu życia, na przykład, jest niejednemu z nas potrzebą. Wstawanie rano, strasznie rano, zimna kąpiel i przechadzka po śniegu... To sprawia, że z godzinkę będziemy z sobą w porządku. Gdybym chciał się pokazać tym, czym jestem, to może bym leżał w łóżku aż do popołudnia, niech mi pani wierzy. Jeśli wstaję wcześnie, to jest to właściwie obłuda.

— Nie! Dlaczego, panie Spinell? Nazywam to przezwyciężeniem siebie... nieprawdaż, pani radczyni?

Również pani radczyni nazwała to przezwyciężeniem siebie.

— Obłuda, czy też przezwyciężenie, łaskawa pani! Co kto woli! Jestem tak szczerze zmartwiony...

— Otóż to... Z pewnością martwi się pan za wiele?

— Tak, pani, martwię się bardzo.

Pogoda trwała. Białe, twarde i czyste, widniały góry, dom i ogród w bezwietrznej ciszy, w jasnym mrozie, a bladobłękitne niebo, w którym miriady skrzących i lśniących ciałek, błyszczących kryształków, zdawały się tańczyć, sklepiło się nieskalanie ponad wszystkim. Małżonce pana Kloeterjahna znośnie się działo w tym czasie: nie miała gorączki, nie kasłała prawie wcale i jadła bez zbytniej odrazy. Często, jak było jej przepisane, siadywała godzinami w słonecznym mrozie na tarasie. Siedziała w śniegu, okutana cała w pledy i futra,

i wdychała, pełna nadziei, czyste, lodowate powietrze, by pomóc swej tchawicy. Wówczas spostrzegała niekiedy pana Spinella, jak również ciepło ubrany i w futrzanych butach, nadających stopom jego fantastyczne rozmiary, przechadzał się po ogrodzie. Stąpał macającymi krokami, z pewnym ostrożnym, sztywno-wdzięcznym układem ramion, po śniegu, kłaniał się z szacunkiem, zbliżając się do tarasu, i wstępował na dolne stopnie, by zacząć rozmówkę.

— Dziś podczas rannej przechadzki widziałem piękną damę... Boże, jakaż była piękna! — mówił, przechylał głowę na bok i rozkładał ręce.

— Istotnie, panie Spinell? Niech mi ją pan opisze!

— Nie, tego nie umiem. Albo przedstawiłbym pani fałszywy jej obraz. Musnąłem tę damę tylko mimochodem, półokiem, w rzeczywistości nie widziałem jej. Ale zatarty jej cień, który pochwyciłem, wystarczył, by podniecić moją wyobraźnię i pozwolić mi unieść z sobą obraz, który jest tak piękny... Boże, tak piękny!

Zaśmiała się.

— Czy to pański sposób patrzenia na piękne kobiety, panie Spinell?

— Tak, łaskawa pani; nie byłoby lepiej, gdybym się gapił grubiańsko, chciwy rzeczywistości, im w twarz i odniósł wrażenie wadliwej istotności...

— Chciwy rzeczywistości... To osobliwe słowo! Prawdziwe wyrażenie literackie, panie Spinell! Ale sprawia na mnie wrażenie, powiem panu. Tkwi w tym coś, co poniekąd rozumiem, coś niezależnego i wolnego, co nawet rzeczywistości odmawia szacunku, choć jest ona przecie najbardziej czcigodna, ba, jest czcigodnością samą... I wtedy rozumiem, że istnieje coś poza dotykalnością, coś delikatniejszego...

— Znam tylko jedną twarz — rzekł nagle z dziwnie radosnym wzruszeniem w głosie, podniósł zaciśnięte ręce do ramion i pokazał w egzaltowanym uśmiechu swe zepsute zęby. — Znam tylko jedną twarz, której uszlachetnioną rzeczywistość

chcieć poprawić swą wyobraźnią byłoby grzechem, twarz, którą chciałbym widzieć, na którą chciałbym patrzyć nie minuty, lecz godziny, lecz całe życie, zagubić się w niej cały i dla niej zapomnieć o wszystkim, co ziemskie...

— Tak, tak, panie Spinell. Tylko że panna Osterloh ma przecie bardzo odstające uszy.

Zamilkł i skłonił się głęboko. Gdy powstał znowu, spoczęły jego oczy z wyrazem zmieszania i boleści na drobnej, przedziwnej żyłce, która rozgałęziała się, bladobłękitnie i chorobliwie, w czystości jej jakby przezroczystego czoła.

Dziwak, zgoła osobliwy dziwak! Małżonka pana Kloeterjahna myślała niekiedy o nim, bo miała wiele czasu do rozmyślania. Czy to zmiana powietrza przestawała wywierać skutek, czy też jakiś pozytywnie szkodliwy wpływ na nią podziałał, dość że zdrowie jej pogorszyło się, stan jej tchawicy zdawał się pozostawiać wiele do życzenia, czuła się słaba, znużona, bez apetytu, gorączkowała nierzadko; i doktor Leander zalecił jej w sposób najbardziej stanowczy spokój, ciszę i ostrożność. Tak, że jeśli nie musiała leżeć w towarzystwie radczyni Spatz, to siedziała cicho, oddając się z robótką w ręku, nad którą nie pracowała, tej lub owej trosce.

Tak, sprawiał jej troski ten dziwaczny pan Spinell, a co ciekawsze, nie tak co do jego, jak co do jej własnej osoby; jakimś sposobem budził w niej osobliwą ciekawość, jakieś nieznane nigdy zainteresowanie co do jej własnej istoty. Pewnego dnia wyznał w toku rozmowy:

— Zagadkowe fakty te kobiety... choć tak mało nowe, jednak równie mało można się powstrzymać, by nie przystanąć przed nimi i nie zdumiewać się. Oto jakieś cudowne stworzenie, sylfida, istota złożona z woni, istny sen z bajki. Cóż robi? Idzie i oddaje się jakiemuś jarmarcznemu Herkulesowi czy parobkowi rzeźnika. Kroczy u jego ramienia, pochyli może nawet główkę na jego bary i patrzy przy tym wkoło z prze-

biegłym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Tak, łamcie sobie głowy nad tym zjawiskiem!" — A my łamiemy sobie głowy.

Tym zajmowała się niejednokrotnie małżonka pana Kloeterjahna.

Pewnego dnia miała miejsce ku zdumieniu pani Spatz następująca między nimi rozmowa.

— Czy wolno mi zapytać, łaskawa pani (lecz to może wścibstwo), jak się pani nazywa, jakie właściwie jest pani nazwisko?

— Nazywam się przecie Kloeterjahn, panie Spinell!

— Hm. Wiem o tym. Lub raczej: przeczę temu. Mam oczywiście na myśli pani własne nazwisko, pani nazwisko panieńskie. Niech pani będzie sprawiedliwa i przyzna, że kto by panią nazwał „pani Kloeterjahn", zasłużyłby na bat.

Śmiała się tak serdecznie, że błękitna żyłka nad jej brwią wystąpiła zatrważająco wyraźnie i nadała jej delikatnej, słodkiej twarzy niepokojący wyraz wysiłku i udręki.

— Nie, niech Bóg broni, panie Spinell! Na bat? Czy „Kloeterjahn" brzmi dla pana tak strasznie?

— Tak, łaskawa pani, nienawidzę tego nazwiska z głębi serca, odkąd je pierwszy raz usłyszałem. Jest komiczne i rozpaczliwie niepiękne i jest to barbarzyństwo i nikczemność, jeśli się zwyczaj posuwa tak daleko, by przenosić na panią nazwisko jej pana męża.

— A „Eckhof"? Czyż Eckhof brzmi piękniej? Mój ojciec nazywa się Eckhof.

— O, widzi pani, „Eckhof" to całkiem co innego! Eckhof nazywał się nawet pewien wielki aktor. Wspomniała pani tylko o swym ojcu. Czy pani matka...

— Moja matka umarła, gdym była jeszcze mała.

— Ach! Niech mi pani przecie opowie coś więcej o sobie, jeśli mi wolno prosić o to. Jeśli to panią męczy, to nie. W takim razie niech pani odpoczywa, a ja będę pani dalej opowiadał o Paryżu, jak onegdaj. Ale mogłaby pani opowia-

dać całkiem po cichu, ba, jeśli pani będzie szeptać, to będzie to wszystko jeszcze ładniejsze... Urodziła się pani w Bremie?

I pytanie to zadał prawie głucho, z pełnym szacunku i treści wyrazem, jakby Brema była miastem nie mającym sobie równego, miastem pełnym niewysłowionych przygód i utajonych piękności, w którym urodzenie się użyczało tajemniczej wzniosłości.

— Tak, niech pan sobie wyobrazi! — rzekła mimowolnie. — Pochodzę z Bremy.

— Byłem tam raz — zauważył w zadumie.

— Mój Boże, był pan tam? Panie Spinell, sądzę, że chyba między Tunisem a Spitzbergiem widział pan wszystko!

— Tak, byłem tam raz — powtórzył. — Przez kilka krótkich godzin wieczornych. Przypominam sobie starą, wąską uliczkę, nad której szczytami świecił skośnie i osobliwie księżyc. Potem byłem w jakiejś piwnicy, w której pachniało winem i pleśnią. Jest to przejmujące wspomnienie...

— Istotnie? Gdzie to być mogło? Tak, w takim szarym domu szczytowym, w starym domu kupieckim o dudniącej podłodze i biało lakierowanej galerii ja się urodziłam.

— Więc pani ojciec jest kupcem? — spytał z niejakim wahaniem.

— Tak. Lecz poza tym i właściwie przede wszystkim jest artystą.

— Ach, ach, w jakim sensie?

— Gra na skrzypcach... Ale to niewiele mówi. Jak on gra, panie Spinell, w tym rzecz! Niektórych tonów nie mogłam słyszeć nigdy, by mi przedziwnie palące łzy nie napływały do oczu, jak to w ogóle mi się nie zdarza. Nie wierzy pan...

— Wierzę! Ach, czy wierzę... Niech mi pani powie z łaski swojej: wszak pani rodzina jest starożytna? Wiele już chyba pokoleń żyło, pracowało i pożegnało żywot doczesny w tym starym domu szczytowym.

— Tak. Czemu pan zresztą pyta o to?

— Bo nierzadko się zdarza, że ród o tradycjach praktycz-

nych, mieszczańskich i suchych raz jeszcze pod koniec swych dni przemienia się przez sztukę.

— Czyż tak? Tak, co do mego ojca, to jest on z pewnością więcej artystą niż ktokolwiek, co się tak zowie i żyje ze sławy. Gram tylko trochę na fortepianie. Teraz wzbroniłam sobie tego; ale wówczas, w domu, grywałam jeszcze. Mój ojciec i ja grywaliśmy razem... Tak, chowam wszystkie te lata w przemiłym wspomnieniu; szczególnie ogród, nasz ogród poza domem. Był żałośnie zdziczały i zachwaszczony, i zamknięty pokruszonymi, omszałymi murami; lecz właśnie to dodawało mu dużo uroku. Na środku był wodotrysk otoczony gęstym wieńcem mieczyków. W lecie spędzałam tam długie godziny z przyjaciółkami. Siedziałyśmy wszystkie na krzesełkach polowych wokoło wodotrysku...

— Jak pięknie! — rzekł pan Spinell i podciągnął w górę ramiona. — Siedziały panie i śpiewały.

— Nie, przeważnie robiłyśmy na drutach.

— A jednak... a jednak...

— Tak, robiłyśmy na drutach i gawędziły, moje sześć przyjaciółek i ja...

— Jak to pięknie! O, pani, jak pięknie! — wołał pan Spinell i miał twarz całkiem zmarszczoną.

— Cóż pan w t y m właściwie znajduje tak pięknego, panie Spinell?

— Ach, to, że oprócz pani było ich sześć, że nie była pani włączona do ich liczby, lecz występowała pani spośród nich jak królowa... Pani odbijała od sześciu swych przyjaciółek. Mała złota korona, zgoła niepozorna, ale pełna znaczenia, spoczywała na pani włosach i lśniła...

— Nie, nonsens, żadna korona...

— A jednak lśniła tajemnie. Byłbym ją widział, byłbym ją widział wyraźnie w pani włosach, gdybym w jednej z tych godzin stał niepostrzeżenie w zaroślach.

— Bóg wie, co by pan był widział. Nie było tam jednak pana, lecz jednego razu znalazł się tam obecny mój mąż, który

wraz z moim ojcem wyszedł z gęstwiny. Boję się nawet, że słyszeli całą naszą gadaninę...

— Więc tam to pani poznała swego małżonka?

— Tak, tam go poznałam! — rzekła głośno i radośnie i gdy się uśmiechnęła, wystąpiła bladomodra żyłka silnie i osobliwie ponad jej brwią. — Odwiedził mego ojca w interesach, wie pan. Następnego dnia zaproszony został na obiad i już po trzech dniach prosił o moją rękę.

— Naprawdę! Czyż to wszystko stało się tak szybko?

— Tak... To jest, odtąd szło to nieco powolniej... Bo ojciec mój nie był właściwie tej sprawie przychylny, niech pan wie o tym, i zastrzegł sobie czas do namysłu. Po pierwsze wolał mnie zatrzymać przy sobie, a potem miał i inne skrupuły. Jednak...

— Jednak?

— Jednak ja właśnie c h c i a ł a m tego — rzekła z uśmiechem i znowu opanowała bladobłękitna żyłka bolesnym i chorobliwym wyrazem jej całą miłą twarz.

— Ach, pani chciała tego.

— Tak, okazałam całkiem stanowczą i szanowną wolę, jak pan widzi...

— Jak widzę. Tak.

— ...tak że ostatecznie ojciec mój musiał ustąpić.

— Tak więc porzuciła pani jego i jego skrzypce, porzuciła pani stary dom, zachwaszczony ogród, wodotrysk i swoje sześć przyjaciółek i poszła pani za panem Kloeterjahnem.

— I poszłam za... Ma pan sposób wyrażania się, panie Spinell! Prawie biblijny! Tak, porzuciłam to wszystko, bo tego przecie żąda natura.

— Tak, tego żąda.

— A następnie szło przecie o moje szczęście.

— Oczywiście. I przyszło to szczęście...

— Przyszło, oczywiście, panie Spinell, gdy mi przyniesiono przede wszystkim małego Antosia, naszego małego Antosia,

i gdy tak krzyczał swymi małymi, zdrowymi płucami, taki tęgi i zdrów...

— Nie pierwszy to raz słyszę panią mówiącą o zdrowiu jej małego Antosia, łaskawa pani. Musi być niezwykle zdrów.

— O tak. I jest tak śmiesznie podobny do mego męża.

— Ach! Więc tak się to stało. I teraz nie nazywa się pani Eckhof, lecz inaczej i ma pani małego, zdrowego Antosia, i choruje pani nieco na tchawicę...

— Tak. A pan jest na wskroś zagadkowym człowiekiem, panie Spinell, zapewniam pana o tym...

— Tak, jak Bóg na niebie, to prawda! — rzekła radczyni Spatz, która była obecna.

Lecz i tą rozmową zajmowała się niejednokrotnie w duszy małżonka pana Kloeterjahna. Jakkolwiek była tak nieważna, jednak kryła przecie na dnie coś, co żywiło jej myśli o sobie samej. Czy to wywierało tak szkodliwy wpływ na nią? Osłabienie jej rosło i często zjawiała się gorączka, spokojny żar, w którym leżała w poczuciu łagodnego podniesienia, oddając się w moc poważnego, wytwornego, lubującego się w sobie i nieco urażonego nastroju. Jeśli nie leżała w łóżku, pan Spinell podchodził do niej na końcach swych dużych stóp z niezmierną ostrożnością, zatrzymując się w odległości dwóch kroków i z jedną nogą cofniętą i z przegiętym w przód ciałem, mówił do niej szanownie stłumionym głosem, jakby w trwożnej pobożności podnosił ją łagodnie wzwyż i układał na puchowiu obłoków, gdzie nie miał jej dosiąc żaden ostry głos i żadne ziemskie dotknięcie... Wtedy przypominała sobie sposób, w jaki pan Kloeterjahn zwykł był mówić do niej: „Ostrożnie, Gabrielo, take care, mój aniele, i zamknij usta", co sprawiało wrażenie, jakby kogoś twardo i w dobrej myśli uderzył po ramieniu. Wówczas jednak odwracała się szybko od tego wspomnienia, by w słabości i podniosłości spoczywać na wezgłowiu chmur, które jej pan Spinell usłużnie przygotowywał.

Pewnego dnia wróciła bezpośrednio do rozmówki, którą z nim prowadziła o swym pochodzeniu i swej młodości.

— Więc to prawda — spytała — panie Spinell, że byłby pan spostrzegł koronę?

I choć od pogawędki tej minęło dni czternaście, domyślił się natychmiast, o co chodzi, i zapewnił ją wzruszonymi słowy, że wtedy, u wodotrysku, wśród sześciu przyjaciółek, spostrzegłby blask małej korony — tajemny blask korony w jej włosach.

W kilka dni później dowiadywał się z grzeczności jeden z kuracjuszów, jak się ma jej mały Antoś. Rzuciła ku panu Spinellowi, stojącemu w pobliżu, szybkie spojrzenie i odrzekła, jakby znudzona.

— Dziękuję; jak się ma mieć? On i ojciec jego mają się dobrze.

W końcu lutego, w dzień mroźny, czystszy i jaśniejszy niż inne poprzednie, panował w „Zaciszu" swawolny nastrój. Państwo z wadą serca umawiali się z zaczerwienionymi policzkami, diabetyczny generał podśpiewywał jak młodzik, a panowie z nieopanowanymi nogami postradali wprost równowagę. Co się działo? Nic innego, tylko miano przedsięwziąć wspólną wycieczkę, szlichtadę w kilka sań z dzwonkami i strzelaniem z bicza, w góry; doktor Leander postanowił to dla rozrywki swoich pacjentów.

Oczywiście „ciężcy" musieli zostać w domu. Biedni „ciężcy"! Dawano sobie znaki i umawiano się, nie dając im o tym wszystkim nic do poznania; działała bardzo dobrze na wszystkich możność okazania pewnej litości i względności. Lecz i spośród tych, którzy mogliby wziąć udział w tej przyjemności, niektórzy wymówili się. Co do panny Osterloh, ta była z góry wytłumaczona. Kto, tak jak ona, obarczony był obowiązkami, nie mógł poważnie myśleć o sannie. Gospodarstwo wymagało bezwzględnie jej obecności, dość że została w „Zaciszu". Że jednak i małżonka pana Kloeterjahna oświadczyła, iż pragnie zostać w domu, to podziałało niemiło na wszystkich.

Daremnie namawiał ją doktor Leander, by poddała się wpływowi świeżego powietrza; twierdziła, że nie jest usposobiona, że ma migrenę, czuje się słabą, i trzeba to było przyjąć. Atoli cynik i dowcipniś miał sposobność do zauważenia:

— Zobaczy pani, że „zgniłe niemowlę" również nie pojedzie.

I miał słuszność, bo pan Spinell oświadczył, że tego rana pragnie pracować; używał bardzo chętnie słowa „pracować" dla swej wątpliwej czynności. Zresztą nikt nie skarżył się na jego odmowę i również pocieszono się łatwo, że pani radczyni Spatz postanowiła dotrzymać towarzystwa swej młodszej przyjaciółce, bo jazda przyprawiała ją o morską chorobę.

Zaraz po obiedzie, który tego dnia odbył się już około godziny dwunastej, zajechały sanie przed „Zacisze" i w żywych grupach, ciepło opatuleni, ciekawi i podnieceni, snuli się goście po ogrodzie. Małżonka pana Kloeterjahna stała z radczynią Spatz u drzwi szklanych, wychodzących na taras, pan Spinell zaś u okna swego pokoju, by przypatrzeć się odjazdowi. Widzieli, jak wśród żartów i śmiechów powstały małe walki o najlepsze miejsca, jak panna Osterloh, w futrzanym boa wkoło szyi, biegała od sań do sań, by wsunąć pod siedzenie kosze z jedzeniem; jak doktor Leander, w czapce futrzanej nasuniętej na czoło, jeszcze raz przeglądał wszystko lśniącymi okularami, potem również zajął miejsce i dał znak do odjazdu... Konie ruszyły, kilka pań krzyknęło i opadło w tył, zadźwięczały dzwonki, bicze o krótkich drzewcach strzeliły, pozostawiając swe długie sznury za płozami, a panna Osterloh stała u furty i machała chusteczką, dopóki na skręcie gościńca nie zniknęło jadące towarzystwo i nie zamilkł gwar wesoły. Wtedy wróciła przez ogród, by nadążyć swym obowiązkom; obie panie porzuciły drzwi szklane i prawie równocześnie też pan Spinell zeszedł ze swego punktu obserwacyjnego.

Zapanował spokój w „Zaciszu". Ekspedycji nie oczekiwano przed wieczorem. „Ciężcy" leżeli w swych pokojach i cierpieli. Małżonka pana Kloeterjahna i jej starsza przyjaciółka odbyły krótką przechadzkę, po czym wróciły do swoich pokoi. Rów-

nież pan Spinell znajdował się w swoim pokoju i zajęty był na swój sposób. Około godziny czwartej przyniesiono każdej z pań pół litra mleka, zaś pan Spinell otrzymał zwykłą lekką herbatę. Wkrótce potem zapukała małżonka pana Kloeterjahna w ścianę dzielącą ją od pokoju pani radczyni magistratu Spatz i rzekła:

— Pani radczyni, czy nie zejdziemy na dół do bawialni? Nie wiem, co tu z sobą począć!

— Natychmiast, moja droga! — odparła radczyni. — Włożę tylko trzewiki, jeśli pani pozwoli. Bo, wie pani, leżałam w łóżku.

Jak można się było spodziewać, bawialnia była pusta. Panie zajęły miejsca przy kominie. Radczyni Spatz wyszywała kwiaty na krośnie i małżonka pana Kloeterjahna również uczyniła kilka ściegów, po czym opuściła robótkę na kolana i opadłszy w tył na krześle zaczęła marzyć. Wreszcie uczyniła uwagę, co do której nie było warto otwierać ust; gdy jednak radczyni Spatz mimo to zapytała: — Jak? — musiała ku swemu upokorzeniu powtórzyć całe zdanie. Pani radczyni Spatz zapytała raz jeszcze: — Jak? — W tej chwili jednak dały się słyszeć kroki u progu, otwarły się drzwi i wszedł pan Spinell.

— Czy przeszkadzam? — spytał jeszcze u wejścia łagodnym głosem, patrząc jedynie na małżonkę pana Kloeterjahna i przechylając w przód ciało w sposób sobie właściwy i niepewny. Młoda pani odrzekła:

— Czemużby! Po pierwsze pokój ten jest przecież portem otwartym, panie Spinell; a po wtóre: w czym miałby mi pan przeszkodzić? Mam zdecydowane wrażenie, że nudzę panią radczynię...

Na to nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz pokazał w uśmiechu zepsute zęby i przeszedł pod spojrzeniem pań wielce niepewnymi krokami aż do drzwi szklanych, gdzie stanął i patrzył na dwór, zwracając się, w nieco nieprzystojny sposób, do pań tyłem. Potem zwrócił się na wpół wstecz, patrzył jednak wciąż w ogród, mówiąc:

— Słońce zaszło. Niepostrzeżenie zachmurzyło się niebo. Zaczyna zmierzchać.

— Istotnie, tak, wszystko jest w cieniu — odrzekła małżonka pana Kloeterjahna. — Naszych wycieczkowców zaskoczy jeszcze śnieg, jak się zdaje. Wczoraj był o tym czasie jeszcze jasny dzień; dziś już się zmierzcha.

— Ach — odrzekł — po wszystkich tych przejasnych tygodniach ciemność działa dobrze na oczy. Jestem temu słońcu, które opromienia z równie natrętną wyrazistością piękno i pospolitość, wprost wdzięczny, że się wreszcie trochę ukryło.

— Czy nie lubi pan słońca, panie Spinell?

— Ponieważ nie jestem malarzem... Człowiek staje się wewnętrzniejszy bez słońca. Jest gruba, białoszara warstwa chmur. Może wróży to odwilż na jutro. Zresztą nie radziłbym pani psuć oczu nad robótką.

— Ach, niech pan będzie spokojny, nie robię nic i tak. Ale cóż począć?

Siadł na krześle przed fortepianem, opierając jedno ramię o pokrywę instrumentu.

— Muzyka... — rzekł. — Gdybyż usłyszeć teraz trochę muzyki! Czasem dzieci angielskie śpiewają drobne nigger-songs, oto wszystko.

— A wczoraj po południu panna Osterloh grała „Dzwony klasztorne" — zauważyła małżonka pana Kloeterjahna.

— Ależ łaskawa pani gra przecie — rzekł prosząco i powstał... — Niegdyś grywała pani codziennie z swym ojcem.

— Ba, panie Spinell, to było wtedy! W czasach wodotrysku, wie pan...

— Niech pani to dziś zrobi! — prosił. — Niech mi pani pozwoli usłyszeć kilka taktów! Gdyby pani wiedziała, jaki jestem spragniony...

— Nasz lekarz domowy, jak i doktor Leander, zabronili mi tego wyraźnie, panie Spinell.

— Nie ma tu ani jednego, ani drugiego! Jesteśmy wolni... Wolno pani kilka biednych akordów...

— Nie, panie Spinell, nic z tego. Kto wie, jakich cudów oczekuje pan po mnie! A ja zapomniałam wszystko, niech mi pan wierzy. Na pamięć nie umiem nic prawie.

— Więc niech pani zagra to nic prawie! I jest tu mnóstwo nut, tu leżą, na fortepianie. Nie, to nic. Ale tu jest Chopin...

— Chopin?

— Tak, nokturny. I trzeba tylko, bym zaświecił świece...

— Niech pan nie myśli, że będę grała, panie Spinell! Nie wolno mi. Jeśli mi zaszkodzi?

Zamilkł. Stał na swych wielkich stopach, w długim, czarnym surducie, z siwowłosą zadartą głową bez zarostu, w świetle dwu świec fortepianu, z opuszczonymi rękami.

— Już nie proszę dłużej — rzekł wreszcie cicho. — Jeśli boi się pani zaszkodzić sobie, to niech pani pozostawi martwym i niemym piękno, które chciałoby odezwać się pod pani palcami. Nie zawsze była pani tak rozsądna; przynajmniej nie wtedy, gdy należało, owszem, nie wyrzekać się piękna. Nie dbała pani o swoje ciało i wykazywała mniej chwiejną i silniejszą wolę, gdy pani porzucała wodotrysk i zdjęła małą złotą koronę... Niech mnie pani posłucha — rzekł po przerwie i głos jego zniżył się jeszcze bardziej — jeśli pani teraz tu usiądzie i zagra jak niegdyś, gdy jeszcze ojciec pani stał obok niej i kazał śpiewać swym skrzypkom dźwięki, które panią do łez poruszały... to stać się może, że znów ujrzy się błyszczącą tajemnie w pani włosach tę małą złotą koronę...

— Istotnie? — spytała i uśmiechnęła się... Przypadkiem odmówił jej posłuszeństwa głos przy tym słowie, tak że wyszło ono na pół ochryple, na pół głucho. Odchrząknęła i potem rzekła:

— Czy istotnie tu mają nokturny Chopina?

— Oczywiście. Są otwarte i wszystko gotowe.

— No, to w imię Boże, zagram z nich jeden — rzekła. — Ale tylko jeden, słyszy pan? Wtedy będzie pan miał raz na zawsze dosyć.

Powstała, odłożyła robótkę i podeszła do fortepianu. Siadła

na krzesełku, na którym leżało kilka oprawnych zeszytów nutowych, nakierowała świece i przerzucała kartki nut. Pan Spinell przysunął do jej boku stołek i siedział przy niej niby nauczyciel muzyki.

Grała nokturn Es-dur, opus 9, nr 2. Jeśli rzeczywiście czegoś zapomniała, to gra jej musiała być niegdyś doskonale artystyczna. Fortepian był mierny, lecz już po pierwszych dotknięciach umiała traktować go z niechybnym smakiem. Wykazywała nerwowy zmysł dla zróżnicowanej barwy dźwięku i upodobanie do ruchliwości rytmicznej, dochodzącej do fantastyczności. Uderzenie jej było zarówno silne, jak miękkie. Pod palcami jej melodia wyśpiewywała ostateczną swą słodycz i z ociągliwym wdziękiem lgnęły przyozdoby do jej członów.

Miała na sobie suknię z dnia przyjazdu: ciemny, ciężki stanik z wypukłymi arabeskami z aksamitu, które tak nieziemsko delikatnie uwydatniały jej głowę i ręce. Wyraz jej twarzy nie zmieniał się podczas gry, lecz zdawało się, jakby zarys jej warg stawał się jeszcze dokładniejszy, jakby cienie w kątach oczu pogłębiały się jeszcze bardziej. Gdy skończyła, złożyła ręce na kolanach i w dalszym ciągu patrzyła w nuty. Pan Spinell siedział bez głosu i ruchu.

Zagrała jeszcze jeden nokturn, zagrała trzeci i czwarty. Potem wstała; lecz tylko po to, by na górnej pokrywie fortepianu poszukać nut nowych.

Pan Spinell wpadł na myśl, by przeszukać w czarną tekturę oprawione tomy, leżące na krzesełku. Nagle wydał niezrozumiały głos, a jego wielkie, miękkie ręce przerzucały namiętnie jedną z tych zaniedbanych ksiąg.

— Niemożliwe!... To nieprawda!... — rzekł. — A jednak nie mylę się!... Wie pani, co to jest?... Co tu leżało?... Co tu trzymam?...

— Cóż to? — rzekła.

Pokazał jej niemo kartę tytułową. Był zupełnie blady, opuścił książkę i patrzył na nią z drżącymi wargami.

— Naprawdę? Skąd to się tu wzięło? Więc niech pan da — rzekła po prostu, ustawiła nuty na pulpicie, usiadła i po chwili ciszy zaczęła od pierwszej strony.

Siedział obok niej, w przód pochylony, z rękoma splecionymi między kolanami, z głową spuszczoną. Grała początek z przesadną i dręczącą powolnością, z niepokojąco przeciągłymi pauzami wśród poszczególnych figur. Motyw tęsknoty, samotny i błędny dźwięk wśród nocy, głosił cicho swe trwożne pytanie. Cisza i oczekiwanie. I oto odpowiedź: ten sam wahający się i samotny dźwięk, tylko jaśniejszy, tylko delikatniejszy. Nowe milczenie. Wtedy wplótł się, owym stłumionym i cudownym sforzato, które jest jakby podrywem i błogim spożądliwieniem namiętności, motyw główny; dźwigał się, wspinał się w zachwycie wzwyż aż do słodkiego splotu, opadał, rozwiązując się, z powrotem i z głębokim śpiewem ciężkiej, bolesnej rozkoszy wystąpiły wiolonczele i snuły dalej melodię...

Nie bez powodzenia starała się grająca zaznaczać na nędznym instrumencie działanie orkiestry. Wiolinowe tony wielkiego stopniowania brzmiały z świetną precyzją. Grała z dostojnym nabożeństwem, zatrzymywała się przy każdym obrazie i wydobywała pokornie i demonstracyjnie każdy szczegół, jak kapłan wznosi hostię nad swą głową. Cóż się działo? Dwie moce, dwie obce istoty dążyły w cierpieniu i błogości ku sobie wzajem i obejmowały się w zachwytnym i obłędnym pożądaniu wieczności i absolutu... Przygrywka wybuchła płomieniem i przygasła. Skończyła tam, gdzie zasłona się rozdziela, i potem, milcząc, patrzyła dalej w nuty.

Tymczasem nuda doszła u radczyni Spatz do tego punktu, gdzie zmienia oblicze ludzkie, wysadza oczy z głowy i nadaje wyraz trupi i zatrważający. Poza tym tego rodzaju muzyka działała na jej nerwy żołądkowe, przyprawiała ten dyspeptyczny organizm o stany lęku i sprawiała to, że radczyni bała się ataku kurczów.

— Jestem zmuszona pójść do swego pokoju — rzekła słabo. — Do widzenia, wrócę...

I odeszła. Zmierzch wzmógł się. Na dworze było widać śnieg padający gęsto i bezgłośnie na taras. Obie świece dawały światło chwiejne i ograniczone.

— Drugą odsłonę — szepnął; a ona odwróciła stronicę i zaczęła odsłonę drugą.

Dźwięk rogów gubił się w dali. Co? Lub byłże to szum listowia? Łagodne szemranie strumienia? Już noc rozpostarła milczenie nad borem i domem i żadna błagalna przestroga nie mogła powstrzymać władztwa tęsknoty. Spełniała się wielka tajemnica. Pochodnia zgasła, z przedziwną, nagle stłumioną barwą dźwiękową opadł motyw śmierci i w szalonej niecierpliwości tęsknota powiewała swą białą zasłoną ku kochankowi, który z rozpostartymi ramiony zbliżał się poprzez ciemność.

O nadmierna i nienasycona radości w uścisku wiecznego zaświata rzeczy! Wyzwolone z dręczącej ułudy, uszedłszy więzom czasu i przestrzeni, stopiły się z sobą Ja i Ty, Moje i Twoje. Dzielić mogło ich złośliwe dnia mamidło, lecz jego pyszne kłamstwo nie mogło już uwodzić jasnowidzów nocy, odkąd moc czarodziejskiego napoju oświeciła ich spojrzenie. Kto kochając przejrzał noc śmierci i słodką jej tajemnicę, temu pozostało w ułudzie światła jedyne pragnienie, tęsknota ku świętej nocy, ku nocy wiecznej, prawdziwej, jednoczącej...

O zstąp, nocy miłości, daj im owo zapomnienie, którego pożądają tęskliwie, spowij ich swoją rozkoszą i wyzwól ich od świata, kłamu i rozłąki. Spójrz, ostatnia pochodnia zgasła! Myśl i pamięć utonęły w świętym zmierzchu, który zbawczo rozpościera się ponad udręką złudzenia. Wtedy gdy mamidło blednie, gdy oko me kona w zachwycie tym, od czego wyłączał mnie kłam dnia, co przeciwstawiał mi ułudnie ku nieukojonej udręce mojej tęsknoty — n a w e t wtedy, o cudzie spełnienia! nawet wtedy jestem światem. — I po ciemnym

śpiewie ostrzegawczym Brangeny następował ów wzlot skrzypiec, który jest wyższy ponad wszelki rozum.

— Nie wszystko rozumiem, panie Spinell, bardzo wiele przeczuwam tylko. Co znaczy jednak owo — nawet wtedy jestem światem?

Wytłumaczył jej cicho i krótko.

— Tak, otóż to. Jak się to jednak dzieje, że pan, który to tak dobrze rozumie, nie może też tego zagrać?

Dziwnym trafem nie umiał odpowiedzieć na to niewinne pytanie. Zaczerwienił się, załamał ręce i niejako zapadał się ze swym krzesłem.

— To chodzi czasem w parze — rzekł wreszcie z udręką. — Nie, grać nie umiem. Lecz niech pani gra dalej!

I tonęli dalej w upojnych śpiewach misterium. Zmarłaż kiedy miłość? Tristana miłość? Miłość twojej i mojej Izoldy? O, ciosy śmierci nie dosięgną jej, wiecznej. Cóż by mu zmarło, jak nie to tylko, co nas niepokoi, co zjednoczonych złudnie rozdwaja? Słodkim „i" łączyła miłość oboje... jakby inaczej zerwała je śmierć, jak nie wraz z życiem tylko jednego z dwojga, gdy drugiemu śmierć jest znaczona? I tajemniczy duet jednoczył ich w bezimiennej nadziei śmierci miłosnej, nieskończenie nierozdzielnego uścisku w cudownym królestwie nocy. Słodka nocy! Wieczysta nocy miłosna! Wszystko ogarniający kraju szczęśliwości! Kto cię ujrzał przeczuciem, jakżeby miał bez lęku obudzić się dla dnia jałowego? Spętaj lęk, wzniosła śmierci! Wyzwól tęskniących zupełnie z nędzy ocknienia! O nieprzytomna burzo rytmów! O chromatycznie wzbijający się wzwyż zachwycie metafizycznego poznania. Jak ją ująć, jak porzucić tę rozkosz z dala mąk rozłąki w świetle? Łagodna tęsknoto bez złudy i lęku, wzniosłe bezbolesne gaśnięcie, przebłogie zmierzchanie w niezmierzoności! Tyś Izolda, ja Tristan, już nie Tristan, już nie Izolda — — —

Nagle stało się coś strasznego. Grająca przerwała i powiodła ręką po oczach, by spojrzeć w ciemność, a pan Spinell

odwrócił się szybko na swym krześle. Drzwi z tyłu, prowadzące do korytarza, otwarły się i weszła ciemna postać, wsparta na ramieniu drugiej. Był to jeden z gości „Zacisza", który również nie był w możności uczestniczyć w wycieczce saniami, lecz tę godzinę wieczorną obracał na instynktowne i smutne krążenie po zakładzie: była to owa chora, która dziewiętnaścioro dzieci na świat wydała i nie była zdolna już do żadnej myśli — pastorowa Hoehlenrauch u ramienia swej pielęgniarki. Nie spojrzawszy, przemierzyła omackiem wędrującymi kroki głąb sali i zniknęła w drzwiach przeciwległych — niema, z szklanymi oczyma, błędna i nieprzytomna. — Panowała cisza.

— To pastorowa Hoehlenrauch — powiedział.

— Tak, to biedna Hoehlenrauch — rzekła. Potem odwróciła nuty i grała koniec całości, Izoldy śmierć miłosną.

Jak bezbarwne i jasne były jej wargi i jak pogłębiły się cienie w kątach jej oczu! Ponad brwią, na przezroczystym jej czole, występowała nasilona, niepokojąca, bladobłękitna żyłka coraz wyraźniej i wyraźniej. Pod jej pracującymi rękoma dokonywało się niesłychane stopniowanie, rozdzielone owym niemal bezbożnym, nagłym pianissimo, które działa jak usuwanie się ziemi spod stóp i jak zapadanie się we wzniosłym pożądaniu. Wybujałość niezmiernego wyzwolenia i spełnienia wpadała, powtarzała się, z ogłuszającym hukiem bezbrzeżnego zadowolenia, ciągle i ciągle, układała się w odpływ, zdawała się bliska skonania, wplotła raz jeszcze motyw tęsknoty w swą harmonię, oddała tchnienie, zamarła, przebrzmiała, uleciała. Głęboka cisza.

Nasłuchiwali oboje, przechylili głowę na ramię i nasłuchiwali.

— To dzwonki — rzekła ona.

— To sanki — odrzekł. — Odchodzę.

Wstał i przeszedł przez pokój. U tylnych drzwi przystanął, odwrócił się i przestępował przez chwilę niespokojnie z nogi na nogę. I potem stało się, że, oddalony od niej o piętnaście

do dwudziestu kroków, padł na kolana, bezgłośnie na oba kolana. Jego długi, czarny surdut rozpostarł się na podłodze. Miał ręce złożone na ustach, a ramiona jego drgały.

Siedziała, z rękoma na kolanach, w przód nachylona, odwrócona od fortepianu, i patrzyła na niego. Nieokreślony i strapiony uśmiech spoczywał na jej twarzy, a oczy jej patrzyły z zadumą i z takim trudem w półmrok, że zdały się prawie wypełzłe.

Z daleka dochodził brzęk dzwonków, strzelanie z bicza i pomieszany gwar ludzkich głosów.

Sanna, o której długo jeszcze wszyscy mówili, odbyła się 26 lutego. Dnia 27, w czas odwilży, gdy wszystko rozmiękło, ciekło, kapało, płynęło, miała się małżonka pana Kloeterjahna wybornie. Dnia 28 wydała trochę krwi z siebie... o, niewiele; ale była to krew. Jednocześnie opadło ją osłabienie, tak wielkie, jak nigdy jeszcze, i położyła się do łóżka.

Doktor Leander badał ją i twarz jego była przy tym chłodna jak kamień. Potem przepisał to, co nakazuje nauka: kawałki lodu, morfinę, bezwzględny spokój. Zresztą nazajutrz z powodu przeciążenia zrzekł się kuracji i zdał ją doktorowi Müllerowi, który przejął ją pokornie, stosownie do swych obowiązków i kontraktu; był to człek cichy, blady, niepokaźny i smętny, którego skromna i niegłośna działalność poświęcona była prawie już zdrowym i beznadziejnym.

Dał przede wszystkim wyraz swemu poglądowi, że rozdział między małżeństwem Kloeterjahnami trwa już bardzo długo. Byłoby rzeczą koniecznie pożądaną, by pan Kloeterjahn, o ile zresztą jego kwitnące interesy na to pozwalają, przybył znów w odwiedziny do „Zacisza". Można by do niego napisać, może posłać mu telegramik... I z pewnością uszczęśliwi to i wzmocni młodą matkę, jeśli przywiezie z sobą Antosia, pomijając już to, że dla lekarzy będzie rzeczą bardzo interesującą poznać tego zdrowego, małego Antosia.

I patrzcie, pan Kloeterjahn zjawił się. Otrzymał telegramik doktora Müllera i przybył z wybrzeża bałtyckiego. Wysiadł z powozu, kazał sobie podać bułek z masłem i wyglądał bardzo strapiony.

— Panie — rzekł — co się stało? Po co wezwano mnie do niej?

— Bo jest pożądane — odpowiedział doktor Müller — aby pan bawił obecnie w pobliżu swej małżonki.

— Pożądane... Pożądane... Ale czy konieczne? Dbam o pieniądze, mój panie, czasy są ciężkie i kolej droga. Czyż nie było można obejść się bez tej jednodziennej podróży? Nie miałbym nic do powiedzenia, gdyby na przykład chodziło o płuca; ale że to, Bogu dzięki, tylko tchawica...

— Panie Kloeterjahn — rzekł doktor Müller łagodnie — po pierwsze tchawica jest ważnym organem... — Rzekł niepoprawnie „po pierwsze", choć nie dodał potem żadnego „po drugie".

Jednocześnie jednak z panem Kloeterjahnem przybyła do „Zacisza" bujna, cała z szkocka w czerwień i w złoto przybrana osoba i ona to miała na ręku Antoniego Kloeterjahna młodszego, małego, zdrowego Antosia. Tak, on to był i nikt nie mógł zaprzeczyć, że posiadał iście niezwykłe zdrowie. Różowy i biały, czysty i świeżo odziany, gruby i pachnący, ciążył na nagim i czerwonym ramieniu swej ugalonowanej służebnicy, połykał olbrzymie ilości mleka i siekanego mięsa, krzyczał i oddawał się w każdym względzie swoim instynktom.

Z okna swojego pokoju obserwował literat Spinell przyjazd młodego Kloeterjahna. Dziwnym, zamglonym, a jednak bystrym objął go spojrzeniem, gdy go niesiono z powozu do domu, i dłuższy czas jeszcze potem stał na swym miejscu z tym samym wyrazem twarzy.

Odtąd unikał spotkania z Antonim Kloeterjahnem młodszym, o ile to było możliwe.

Pan Spinell siedział w swoim pokoju i „pracował".

Był to pokój jak wszystkie inne w „Zaciszu": staroświecki, prosty i wytworny. Ciężka komoda obita była lwimi łbami, wysokie lustro ścienne nie było z jednolitej płyty, lecz składało się z wielu małych, czworokątnych, w ołów oprawnych kawałków, żaden dywan nie pokrywał sino lakierowanej podłogi, w której sztywne nogi sprzętów przedłużały się jasnymi cieniami. Przestronne biurko stało w pobliżu okna, które romansopisarz zasłonił żółtą firanką, prawdopodobnie, aby się bardziej uwewnętrznić.

W żółtawym półmroku siedział pochylony nad swym sekretarzykiem i pisał — pisał jeden z tych licznych listów, które co tydzień wyprawiał na pocztę i na które zabawnym sposobem nie otrzymywał przeważnie wcale odpowiedzi. Leżał przed nim duży, gruby arkusz, w którego lewym górnym rogu, pod zwięźle narysowanym krajobrazem, widniało w najnowomodniejszych czcionkach nazwisko Detlev Spinell i który pokrywał starannie malowanym i jak najwyraźniejszym pismem.

Drogi panie! — pisał. — *Zwracam do pana te kilka wierszy, bo nie mogę inaczej, bo to, co mam panu do powiedzenia, przepełnia mnie, dręczy i wprawia w drżenie; bo słowa napływają mi z taką gwałtownością, że udusiłbym się nimi, gdybym się nie mógł w tym liście do pana ich pozbyć...*

By oddać prawdzie sprawiedliwość, to nie było wcale mowy o „napływaniu" i Bóg wie, skąd się panu Spinellowi to wzięło. Słowa zdawały się wcale nie napływać, jak na kogoś, którego obywatelskim zawodem było pisanie, ruszał żałośliwie pomału z miejsca i kto go widział, musiał dojść do przekonania, że literat to człowiek, któremu pisać jest trudniej niż innym ludziom.

Końcami dwóch palców trzymał jeden z przedziwnych włosków na policzku i kręcił go przez kwadranse całe, pa-

trząc w próżnię i nie posuwając się o wiersz naprzód, potem pisał kilka ładnych słów i stawał znowu. Z drugiej strony przyznać trzeba, że to, co wreszcie doszło do skutku, czyniło wrażenie gładkości i żywości, choć treściowo miało dziwny, wątpliwy i zgoła niezrozumiały charakter.

— *Jest to* — tak brzmiał list dalej — *nieodparta potrzeba, by to, co widzę, co od tygodni, niby niezatarta wizja, stoi mi przed oczyma, unaocznić też panu, dozwolić panu ujrzeć moimi oczyma w tym słownym oświetleniu, w którym to widzę wewnętrznym spojrzeniem. Jestem zwykły ustępować temu naporowi, który mnie zmusza, w niezapomnianych i promiennych, właściwie umiejscowionych słowach czynić przeżycia moje przeżyciami świata. I przeto posłuchaj mnie pan.*

Chcę tylko i jedynie rzec, co było i jest, opowiadam jedynie historię, zupełnie krótką, niewymownie oburzającą historię, opowiem ją bez komentarza, bez skargi i wyroku, tylko swoimi słowami. Jest to historia Gabrieli Eckhof, mój panie, kobiety, którą pan nazywa swoją żoną... i zważ pan! Dla pana była ona przeżyciem; a jednak dopiero moje słowo naprawdę podniesie ją panu do znaczenia przeżycia.

Przypomina pan sobie ogród, mój panie, stary, zachwaszczony ogród za szarym domem patrycjuszowskim? Zielony mech rósł w szczelinach zwietrzałych murów, które zamykały jego w śnie pogrążoną dzikość. Przypomina też pan sobie na środku jego wodotrysk? Liliowe lilie kłoniły się nad jego zmurszałą krawędzią i jego biały strumień opadał z tajemniczym gwarem na popękane kamienie. Dzień letni miał się ku końcowi.

Siedem dziewic siedziało wokół wodotrysku; jednak we włosach siódmej, pierwszej z nich, jedynej, zachodzące słońce zdawało się tkać, tajemnie lśniące, odznakę wyższości i pierwszeństwa. Oczy jej były niby trwożliwe sny, a jednak uśmiechały się jej jasne wargi...

Śpiewały. Zwracały swe wąskie twarze ku górze, ku szczytowi promienia wodotrysku, tam gdzie w znużonym i szlachetnym zaokrągleniu skłaniał się do upadku, a ich ciche, czyste głosy opląsywały jego smukły taniec. Może splatały swe wątłe ręce wokół kolan, śpiewając...

Czy pamięta pan ten obraz, mój panie? Czy widział go pan? Nie widział pan. Ani pańskie oczy, ani pańskie uszy nie były stworzone, by zauważyć czystą słodycz jego melodii. Widział to pan? — Powinien pan był wstrzymać oddech, winien pan był zabronić bić sercu własnemu. Winien pan był powrócić w życie, w pańskie życie, i po koniec swego istnienia ziemskiego zachować to, co pan widział, jako nienaruszalne i święte w swej duszy. Lecz cóż pan uczynił?

Ten obraz był kresem, mój panie; czyż musiał pan przyjść i zniszczyć go, by dać mu dalszy ciąg pospolitości i nienawistnego cierpienia? Była to wzruszająca i pełna ciszy apoteoza, zanurzona w wieczorne przejaśnienie ruiny, rozkładu i gaśnięcia. Stary ród, zbyt znużony i zbyt szlachetny dla czynu i dla życia, stoi u kresu swych dni, a ostatnimi objawami jego są głosy sztuki, kilka dźwięków skrzypcowych, pełnych świadomej melancholii dojrzałości do śmierci. Czy widział pan te oczy, z których te dźwięki łzy wyciskały? Może dusze sześciu towarzyszek należały do życia; dusza jednak ich siostrzanej władczyni przynależała pięknu i śmierci.

Pan widział tę piękność śmiertelną; patrzył pan na nią, by jej pożądać. Ślad czci, ślad trwogi nie dotknął serca pańskiego wobec jej wzruszającej piękności. Nie dosyć było panu patrzeć, musiał pan posiąść, wyzyskać, zbezcześcić... Jakże świetny był pański wybór! Jest pan smakoszem, mój panie, plebejskim smakoszem, chłopem ze smakiem.

Proszę pana wziąć pod uwagę, że nie pragnę zgoła pana dotknąć. To, co mówię, nie jest zgoła obelgą, tylko formułą, prostą psychologiczną formułą dla pańskiej prostej, literacko wcale nie zajmującej osobistości i wypowiadam ją tylko

dlatego, że coś prze mię, by wyjaśnić panu nieco jego postępowanie i istotę, gdyż moim nieuniknionym powołaniem na ziemi jest nazywać rzeczy po imieniu, dopuszczać je do głosu i prześwietlać to, co nieświadome. Świat jest pełen tego, co nazywam „nieświadomym typem", i nie cierpię tych wszystkich nieświadomych typów! Nie cierpię tego całego głuchego, bezwiednego i nieświadomego życia i działania, tego świata drażniącej naiwności wkoło siebie! Gna mnie coś nieodparcie, aby — o ile sił mi starczy — wyjaśnić, wypowiedzieć i uświadomić wszelkie dokoła istnienie, bez względu na to, czy wywoła to skutek dodatni lub ujemny, czy przyniesie pociechę i ulgę lub cierpienie...

Jest pan, mój panie, jak rzekłem, plebejskim smakoszem, chłopem ze smakiem. Jako człek gruboskórny, stojący na bardzo niskim stopniu rozwoju, doszedł pan przez bogactwo i siedzący tryb życia do nagłego, niehistorycznego i barbarzyńskiego zepsucia systemu nerwowego, które pociąga za sobą pewne lubieżne wyrafinowanie uciech. Być może, że mięśnie pańskiego przełyku zostały wprawione w ruch mlaskania, jak wobec wybornej zupy lub rzadkiej potrawy, gdy pan postanowił przywłaszczyć sobie Gabrielę Eckhof...

W rzeczywistości wprowadza pan w błąd jej rozmarzoną wolę, wywodzi ją pan z jej zachwaszczonego ogrodu w życie i brzydotę, nadaje jej pan swe ordynarne nazwisko, czyni ją pan matką. Zniża pan znużoną, trwożną i w bezużyteczności swej kwitnącą piękność w służbę pospolitej codzienności i owego niedorzecznego, niezdarnego i godnego pogardy bożyszcza, które zowie się naturą, i nawet przeczucie głębokiej nikczemności tego poczynania nie budzi się w pańskim chamskim sumieniu.

Raz jeszcze: Cóż się dzieje? Ona, z oczyma, które są jak sny trwożne, obdarza pana dzieckiem, nadaje temu stworzeniu, które jest dalszym ciągiem niskiej egzystencji swego rodzica, całą swą krew i zdolność do życia i umiera. Umiera, mój panie! I jeśli nie ginie w pospolitości, jeśli się jednak

wreszcie dźwiga z głębi swego poniżenia i dumnie i błogo zanika pod śmiertelnym pocałunkiem piękna, to m o j a była w tym troska. Pańską troską natomiast było to, aby w tajemniczych korytarzach skracać sobie chwile z pokojówkami...

Jej dziecko jednak, syn Gabrieli Eckhof, kwitnie, żyje i triumfuje. Może będzie wiódł żywot swego ojca, zostanie handlującym, podatki płacącym i dobrze jedzącym obywatelem; może żołnierzem lub urzędnikiem, bezwiedną i tęgą podporą państwa; w każdym razie bezmuzycznym, normalnie funkcjonującym stworzeniem, bezwzględnym i zadufanym, silnym i głupim.

Niech pan przyjmie do wiadomości, mój panie, że pana nienawidzę, pana i pańskiego dziecka, jak nienawidzę samego życia, pospolitego, śmiesznego, a jednak triumfującego życia, które pan przedstawia, wieczyście przeciwnego i śmiertelnie wrogiego piękności. Nie śmiem powiedzieć, że panem pogardzam. Nie mogę tego. Jestem rzetelny. Pan jest silniejszy. Ja mogę w walce przeciwstawić panu tylko jedno: ducha i słowo. Dziś posłużyłem się tym. Bo list ten — gdyż i co do tego jestem rzetelny — jest tylko aktem zemsty i jeśli znajdzie się w nim choć jedno słowo ostre, świetne i zdolne pana dosięgnąć, dać mu poczuć moc obcą, zachwiać na chwilę pańskim potężnym spokojem, to rad będę.

Detlev Spinell

I pismo to pan Spinell włożył w kopertę, opatrzył markami, zaadresował pięknie i oddał na pocztę...

Pan Kloeterjahn zapukał do drzwi pana Spinella; trzymał w ręce wielki, czysto zapisany arkusz i miał wygląd człowieka zdecydowanego, by wystąpić z całą energią. Poczta spełniła swój obowiązek, list poszedł swymi drogami; odbył przedziw-

ną podróż od „Zacisza" do „Zacisza" i dostał się istotnie w ręce adresata. Była godzina czwarta po południu.

Gdy pan Kloeterjahn wszedł, siedział pan Spinell na kanapie i czytał swój własny romans o niepokojącej okładce. Powstał i spojrzał na gościa z miną zdziwioną i pytającą, aczkolwiek wyraźnie poczerwieniał.

— Dzień dobry! — rzekł pan Kloeterjahn. — Wybaczy pan, że mu przeszkadzam w jego zajęciach. Jednak czy wolno mi zapytać, czy pan to pisał?

Równocześnie podniósł lewą ręką wielki, czysto zapisany arkusz i uderzył go grzbietem prawej ręki tak, że mocno zatrzeszczał. Potem wsunął prawą rękę do kieszeni szerokich i wygodnych spodni, przechylił głowę na ramię i otworzył usta, jak zwykli czynić niektórzy ludzie chcąc słuchać.

Niezwykle uśmiechał się pan Spinell, uśmiechał się uprzejmie, z niejakim zmieszaniem, trochę zakłopotany, na wpół z usprawiedliwieniem, pogładził dłonią głowę, jakby przypominał coś sobie, i rzekł:

— Ach, istotnie... tak... pozwoliłem sobie...

Zdarzyło się, że dziś pokazał się, jakim był, i spał prawie do południa. Przeto miał nieczyste sumienie i pustkę w głowie, czuł się zdenerwowany i mało odporny. Przyczyniło się i to, że powietrze wiosenne, które zawiało, osłabiło go i przywiodło do rozpaczy. Wszystko to zaznaczyć trzeba dla wyjaśnienia, że podczas całej tej sceny zachował się tak głupio.

— Tak, aha, pięknie! — rzekł pan Kloeterjahn przyciskając brodę do piersi, podciągając brwi, rozkładając ręce i czyniąc mnóstwo podobnych przygotowań, by załatwiwszy się z tą kwestią formalną, przejść bez litości do rzeczy. Z uciechy z swej własnej osoby posunął się nieco za daleko w tych przygotowaniach; to, co ostatecznie nastąpiło, nie odpowiadało całkowicie długim korowodom tego mimicznego wstępu.

— Bardzo pięknie! — powtórzył pan Kloeterjahn. — Tedy pozwól pan sobie dać ustną odpowiedź, mój drogi panie, a to

ze względu na to, że uważam za niedorzeczne, by komuś, z kim każdej chwili mówić można, pisać listy na całe strony...

— Więc... niedorzeczne... — rzekł pan Spinell uśmiechając się przepraszająco, prawie pokornie...

— Niedorzeczne! — powtórzył pan Kloeterjahn i potrząsnął silnie głową, by pokazać, jak niewzruszenie pewny jest swojej sprawy. — I nie uważałbym tej pisaniny za godną jednego słowa, byłaby mi, powiem otwarcie, za lichą, by zawinąć w nią chleb z masłem, gdyby nie oświecała mi pewnych rzeczy, których dotąd nie pojmowałem, pewnych zmian... Zresztą nic to pana nie obchodzi i nie należy do rzeczy. Jestem człowiekiem czynnym, mam o czymś lepszym do myślenia niż pańskie nieodparte wizje...

— Pisałem o „niezatartej wizji" — rzekł pan Spinell i podniósł się. Była to jedyna tego występu chwila, w której wykazał nieco godności.

— Niezatarta... nieodparta...! — odparł pan Kloeterjahn i zajrzał w rękopis.

— Ma pan charakter pisma ohydny, mój przyjacielu, nie przyjąłbym pana do mego kantoru. Na pierwszy rzut oka wydaje się porządne, lecz gdy mu się przyjrzeć w świetle, pełne jest luk i drgań. Lecz to sprawa pańska i nic mnie nie obchodzi. Przyszedłem, by panu powiedzieć, że po pierwsze jest pan błaznem — spodziewam się, że to panu wiadome. Poza tym jednak jest pan wielkim tchórzem i tego również chyba nie potrzebuję panu szeroko dowodzić. Moja żona pisała mi raz, że napotykanym kobietom nie patrzy pan w twarz, tylko zezuje ku nim z boku, by unieść piękne wyobrażenie, z obawy przed rzeczywistością. Niestety, przestała później w listach swych opowiadać o panu. Ale taki pan jest. „Piękność" jest co trzecim pańskim słowem, ale w gruncie jest to niemrawość, obłuda i zawiść i stąd pono bezwstydna pańska uwaga o „tajemniczych korytarzach", która miała mnie zapewne prześwidrować, a ubawiła mnie tylko, ubawiła mnie! Wie pan teraz wszystko? Czy „wyjaśniłem panu trochę" pańskie „postępo-

wanie i istotę", nędzniku? Choć nie jest to moim „nieuchybionym powołaniem", he, he!...

— Napisałem „nieuniknionym powołaniem" — rzekł pan Spinell; lecz wnet dał pokój; stał bezsilny i skarcony, jak wielki, żałosny, siwowłosy żak...

— Nieuchybionym... nieuniknionym... Jest pan nikczemnym tchórzem, powiadam panu. Co dzień widzi mnie pan przy stole. Pozdrawia mnie pan i uśmiecha się, podaje mi pan półmiski i uśmiecha się, życzy mi pan dobrego apetytu i uśmiecha się pan. I pewnego dnia posyła mi pan taki świstek z głupimi obelgami. Tak, tak, na papierze jest pan odważny. I gdyby tylko ten śmieszny list. Ale pan intrygował przeciwko mnie, poza mymi plecami intrygował, rozumiem to teraz doskonale... choć niech się panu nawet nie marzy, że to panu coś pomogło! Jeśli się pan przypadkiem oddaje nadziei, że pan mojej żonie nabił głowę chimerami, to jest pan na mylnej drodze, mój czcigodny panie, na to jest ona zbyt rozsądnym człowiekiem! Lub jeśli pan sądzi nawet, że przyjęła choć trochę inaczej niż zwykle mnie i dziecko, gdyśmy przyjechali, to jest to ukoronowaniem pańskiej głupoty! Jeśli nie pocałowała małego, to tylko z ostrożności, bo onegdaj wypłynęła hipoteza, że to nie tchawica, lecz płuca, i w takim razie nie można wiedzieć... choć jej sprawy, co do płuc, trzeba zresztą dopiero dowieść, a pan z pańskim „ona umiera, mój panie!" jesteś osłem!

Pan Kloeterjahn starał się uregulować nieco swój oddech. Wpadł w wielki gniew, kłuł ciągle prawym palcem wskazującym powietrze i gniótł w lewej ręce rękopis jak najokrutniej. Twarz jego między płowymi angielskimi bokobrodami poczerwieniała strasznie, a chmurne jego czoło poryte było nabrzmiałymi żyłami jak błyskawicami gniewu.

— Nienawidzi mnie pan — ciągnął dalej — i gardziłby mną pan, gdybym nie był silniejszy... Tak, jestem nim, do diabła, mam serce na właściwym miejscu, gdy pan masz swoje przeważnie w piętach, i zbiłbym pana na kwaśne jabłko wraz z pańskim „duchem i słowem", przebiegły idioto, gdyby to nie

było wzbronione. Lecz tym samym nie powiedziano jeszcze, mój przyjacielu, że pozwolę panu bezkarnie na pańskie inwektywy, i jeśli to „ordynarne nazwisko" pokażę w domu memu adwokatowi, to zobaczymy, czy pan nie zbaranieje. Mam dobre nazwisko, mój panie, i to przez własną zasługę. Czy kto na pańskie pożyczy choć grosz, nad tym nie chcę się zastanawiać, przybłędo ze świata! Z panem trzeba postąpić wedle prawa! Pan jest społecznie niebezpieczny! Pan doprowadza ludzi do wariactwa!... Choć niech pan sobie nie wyobraża, że się panu tym razem udało, chytry hultaju! Indywiduom, jak pan, nie zejdę z pola. Mam serce na właściwym miejscu...

Pan Kloeterjahn był teraz istotnie niezwykle wzburzony. Krzyczał i powtarzał, że ma serce na właściwym miejscu.

— „Śpiewały". Kropka. Nie śpiewały wcale! Robiły pończochy. Poza tym rozmawiały, o ile rozumiałem, o przepisie na placki kartoflane, a jeśli o „upadku" i „rozkładzie" opowiem memu teściowi, to pozwie pana również przed kratki, może pan tego być pewny!... „Czy widział pan ten obraz, widział pan?" Oczywiście, widziałem, lecz nie wiem, dlaczego miałbym przeto wstrzymać oddech i uciec. Nie zezuję ku kobietom w przechodzie, przypatruję się im i jeśli mi się podobają, i jeśli mnie chcą, to biorę je sobie. Mam serce na właściwym miej...

Zapukano. Zapukano dziewięć czy dziesięć razy szybko, raz po raz, drobnym, silnym bębnieniem, które oniemiło pana Kloeterjahna, i głos, który zgoła nie panował nad sobą, lecz z udręki ustawicznie się łamał, mówił z największym pośpiechem:

— Pan Kloeterjahn, pan Kloeterjahn, ach, czy jest pan Kloeterjahn?

— Zostać za drzwiami — rzekł pan Kloeterjahn szorstko... — Co tam? Muszę tu pomówić.

— Panie Kloeterjahn — rzekł chwiejny i łamiący się głos — niech pan przyjdzie... lekarze są także... ach, jakie to okropnie smutne...

Wtedy jednym krokiem znalazł się u drzwi i rozwarł je. Radczyni Spatz stała w sieni. Trzymała chusteczkę przy ustach i wielkie, podłużne łzy spadały parami do tej chusteczki.

— Panie Kloeterjahn — wykrztusiła — to tak okropnie smutne... Wydała z siebie tak wiele krwi, tak strasznie wiele... Siedziała całkiem spokojnie w łóżku i nuciła sobie jakąś melodię i wtedy, Boże drogi, wyszło tak nadmiernie wiele...

— Czy martwa? — krzyknął pan Kloeterjahn, po czym chwycił radczynię za ramię i szarpnął ją na progu gwałtownie. — Nie, nie całkiem, co? Jeszcze nie całkiem, może mnie widzieć jeszcze... Czy znów wydała trochę krwi? Z płuc, co? Przypuszczam, że to może z płuc... Gabrielo! — rzekł nagle, podczas gdy oczy zaszły mu łzami i widać było, jak dobyło się zeń ciepłe, dobre, ludzkie i rzetelne uczucie. — Tak, idę! — rzekł i stawiając duże kroki wywlókł radczynię z pokoju i ciągnął przez korytarz. Z odległej części sieni słychać było wciąż jeszcze jego oddalające się: — Nie całkiem, co?... Z płuc, co?

Pan Spinell tkwił na tym samym miejscu, na którym stał podczas tak nagle przerwanej wizyty pana Kloeterjahna, i spoglądał na otwarte drzwi. Wreszcie zrobił kilka kroków naprzód i nasłuchiwał. Lecz wszędzie było cicho, więc zamknął drzwi i wrócił do swojego pokoju.

Przez chwilę obserwował się w lustrze, potem podszedł do biurka, wyjął flakonik i kieliszek z przegródki i napił się koniaku, czemu nikt dziwić się nie może. Potem wyciągnął się na sofie i zamknął oczy.

Górna klapa okna była otwarta. Na dworze, w ogrodzie „Zacisza", świegotały ptaki i w tych drobnych, delikatnych, a śmiałych głosach wyrażała się subtelnie i wnikliwie cała wiosna. Raz szepnął pan Spinell cicho: — Nieuniknione powołanie... — Potem poruszał głową tu i tam i wciągał przez zęby powietrze, jak człowiek podczas silnego cierpienia nerwowego.

Niemożliwością było zdobyć się na spokój i skupienie. Nie jest się stworzonym do tak grubiańskich przeżyć jak to.

Dzięki procesowi duchowemu, którego analiza wiodłaby za daleko, doszedł pan Spinell do postanowienia, by wstać i użyć trochę ruchu, przejść się na świeżym powietrzu. Więc wziął kapelusz i opuścił pokój.

Gdy wyszedł z domu i gdy ogarnęło go łagodne, wonne powietrze, odwrócił głowę i powiódł powoli oczyma wzdłuż budynku ku oknu, zasłoniętemu oknu, na którym spojrzenie jego spoczywało przez chwilę poważnie, nieruchomo i chmurnie. Potem założył ręce w tył i kroczył żwirową ścieżką. Szedł w głębokiej zadumie.

Grządki okryte były jeszcze matami, a drzewa i krzaki były jeszcze nagie, lecz śniegu już nie było, tylko drogi ukazywały tu i ówdzie jeszcze wilgotne ślady. Obszerny ogród z grotami, ciennikami i altankami spoczywał w barwnym przepychu południowego blasku, z silnymi cieniami i nasyconym, złotym światłem, a ciemne gałęzie drzew rysowały się ostro i delikatnie na tle jasnego nieba.

Było to około godziny, gdy słońce przybiera kształt i bezforemna masa światła staje się widzialną, opadającą szybą, której bardziej nasycony, łagodniejszy żar znośny jest oku. Pan Spinell nie widział słońca i droga wiodła go tak, że było dlań zasłonięte i zakryte. Szedł z pochyloną głową i nucił jakiś urywek muzyczny, krótki frazes, trwożnie i żałośnie wznoszącą się figurę, motyw tęsknoty... Nagle jednak, z krótkim, kurczowym westchnieniem, stanął jak wryty i rozszerzone jego oczy spod silnie ściągniętych brwi patrzyły nieruchomo, z wyrazem przerażonego odporu.

Droga zawróciła i wiodła naprzeciw zachodzącego słońca. Przepasane dwiema wąskimi, oświetlonymi smugami chmur o złoconych brzegach, stało ono wielkie i skośne na niebie, rozżarzało wierzchołki drzew i zlewało żółtoczerwonawe światło na ogród. A wpośród tego złocistego przejaśnienia, z potężną aureolą kręgu słonecznego u głowy, stała wysoko

na drodze bujna, cała w czerwień i złoto ze szkocka ubrana postać, wsparta prawą ręką o wypukłe biodro, a lewą poruszająca tam i z powrotem wdzięczny wózeczek. W wózeczku tym zaś siedziało dziecko, siedział Antoni Kloeterjahn młodszy, siedział gruby syn Gabrieli Eckhof!

Siedział, ubrany w biały kosmaty kaftan i w biały kapelusz, pucołowaty, przepyszny i udany, wśród poduszek, a wzrok jego śmiało witał wzrok pana Spinella. Romansopisarz miał już porwać się, był mężczyzną, byłby miał siłę przejść mimo nieoczekiwanego i w blasku tonącego zjawiska. Ale stała się rzecz okropna: Antoś Kloeterjahn zaczął się śmiać i pokrzykiwać wesoło, skrzeczał z niewytłumaczonej uciechy, że robiło się aż nieswojo na duszy.

Bóg wie, co go napadło, czy czarna postać naprzeciwko wprawiła go w tę dziką wesołość, czy też był to atak zwierzęcego zdrowia. Trzymał w lewej ręce kościane kółko do żucia, a w drugiej blaszaną kołatkę. Te dwa przedmioty podnosił z radosnymi krzykami w blask słoneczny, potrząsał nimi i bił jednym o drugi, jakby chciał spłoszyć kogoś szyderczo. Oczy jego były prawie przymknięte z rozkoszy, a usta tak rozdziawione, że widać było jego różowe podniebienie. Rzucał wprost głową tam i sam, zanosząc się z uciechy.

Wtedy pan Spinell uczynił zwrot wstecz i odszedł... Szedł po żwirze ścigany wesołymi okrzykami młodego Kloeterjahna, z ostrożnym i sztywnie wdzięcznym układem ramion, wymuszenie, ociągliwymi krokami człowieka, który chce ukryć, że wewnętrznie umyka.

TONIO KRÖGER

1903 r.

Zimowe słońce przeświecało skąpo mlecznomatowym blaskiem spoza warstwic chmur nad ciasnym miastem. Mokro i wietrzno było w wąskich ulicach i padał chwilami jak gdyby miękki grad, ni to lód, ni śnieg.

W szkole ukończono naukę. Na brukowany dziedziniec i poza kratę furty wypłynęły gromadki wyzwolonych i rozchodziły się, śpiesząc na prawo i lewo. Starsi uczniowie przyciskali z godnością paczki książek wysoko pod lewą pachą, wiosłując prawym ramieniem pod wiatr w stronę obiadu; młodszy ludek puszczał się wesoło kłusem, tak że roztaplany śnieg bryzgał na boki, a w torbach z psiej skóry stukały przybory do pisania. Lecz tu i ówdzie wszyscy ze skromną miną zrywali czapki z głowy przed wotanowym kapeluszem i jowiszową brodą nauczyciela...

— Jesteś wreszcie, Janku? — spytał Tonio Kröger, który długo już czekał na gościńcu; z uśmiechem podszedł do przyjaciela, który wyszedł z furty rozmawiając z kolegami i zamierzał pójść z nimi dalej.

— Jak to? — spytał i spojrzał na Tonia. — Ach, prawda! Więc przejdźmy się jeszcze trochę.

Tonio zamilkł i oczy mu posmutniały. Czyżby Janek zapomniał — przyszło mu znowu na myśl — że mieli razem przejść się trochę w południe? A on niemal bez przerwy cieszył się tym projektem!

— Do widzenia, chłopcy! — rzekł Janek do kolegów. —

Przejdę się jeszcze z Krögerem. — I obaj zwrócili się na lewo, gdy tamci powlekli się na prawo.

Janek i Tonio mieli czas przechadzać się po szkole, gdyż obaj pochodzili z domów, w których obiad bywał dopiero o czwartej. Ojcowie ich byli zamożnymi kupcami, piastowali publiczne urzędy i mieli wpływy w mieście. Hansenowie byli już od kilku pokoleń właścicielami składów drzewa nad rzeką, gdzie potężne tartaki z sykiem i zgrzytem piłowały drzewo. Tonio zaś był synem konsula Krögera, którego wory ze zbożem, opatrzone szerokim czarnym znakiem firmy, widziało się co dzień przewożone przez ulice; a wielki, stary dom jego przodków był najwspanialszym budynkiem w całym mieście... Toteż obaj przyjaciele musieli ciągle zdejmować czapki, gwoli licznych znajomych, a nawet niektórzy ludzie kłaniali się pierwsi smykom czternastoletnim.

Obaj mieli tornistry na plecach i byli dobrze i ciepło ubrani; Janek miał na sobie krótką kurtkę marynarską z szerokim niebieskim kołnierzem na ramionach i plecach, Tonio zaś szary płaszcz z paskiem. Janek nosił duńską czapkę marynarską z krótkimi wstążkami, spod której wystawał czub jasnych włosów. Był niezwykle ładny i dobrze zbudowany, barczysty, a wąski w biodrach, stalowobłękitne oczy jego patrzyły bystro i otwarcie. Natomiast pod okrągłą futrzaną czapką Tonia, z twarzy smagłej, o ostrych, wybitnie południowych rysach, wyglądały marzycielsko i niemal lękliwie ciemne, delikatnie ocienione oczy o przyciężkich powiekach... Usta i podbródek zarysowane były niezmiernie miękko. Kroczył niedbale i nierówno, gdy smukłe nogi Hansena w czarnych pończochach stąpały elastycznie i rytmicznie.

Tonio milczał. Czuł ból. Zmarszczywszy skośne nieco brwi i stuliwszy wargi do gwizdania, patrzył w dal z głową na bok przechyloną. Była to właściwa mu postawa i mina.

Nagle Janek wziął Tonia pod ramię i spojrzał nań z boku, gdyż wiedział bardzo dobrze, o co mu chodzi. A chociaż Tonio milczał jeszcze w dalszym ciągu, jednakowoż udobruchał się.

— Nie zapomniałem właściwie, Tonio — rzekł Janek wpatrując się w chodnik — tylko zdawało mi się, że nic z tego dzisiaj nie będzie, gdyż jest mokro i wietrzno. Ale nic mi to nie szkodzi i cieszę się, że mimo to czekałeś na mnie. Myślałem już, żeś poszedł do domu, i byłem zły...

Przy tych słowach wszystko w Toniu zaczęło tańczyć i śpiewać.

— Więc pójdziemy przez wały! — rzekł wzruszonym głosem. — Przez Mühlenwall i Hosterwall i w ten sposób odprowadzę cię do domu, Janku... Nie bój się, to nic, że będę musiał sam wracać do domu; następnym razem ty mnie odprowadzisz.

W gruncie Tonio nie bardzo wierzył słowom Janka i czuł dobrze, że tamten nie przykładał w połowie tyle wagi do tej wspólnej przechadzki co on. Wszelako widział, że Janek żałuje swego zapomnienia i stara się go przejednać; i ani w głowie mu było odwlekać chwilę pojednania...

Rzecz miała się tak, że Tonio kochał Janka Hansena i wiele już z powodu niego wycierpiał. Kto kocha bardziej, jest zawsze podległy i musi cierpieć — tej prostej i twardej mądrości nauczyła się już od życia jego czternastoletnia dusza; a miał on już taką naturę, że dobrze pamiętał podobne doświadczenia, zapisywał je niejako w duszy i poniekąd cieszył się, oczywiście nie kierując się nimi i nie ciągnąc z nich praktycznej korzyści. Miał też to do siebie, że uważał nauki takie za ważniejsze i ciekawsze niż wiadomości, które narzucano mu w szkole, ba, nawet podczas lekcyj pod gotyckimi sklepieniami przetrawiał takie poglądy gruntownie uczuciem i myślą. Zajęcie to dawało mu podobne zadośćuczynienie, jakie czuł, gdy chodził po pokoju ze skrzypcami (gdyż grał na skrzypcach) i wydobywał z nich możliwie najsłodsze dźwięki, wśród plusków wodotrysku, bijącego tanecznie w ogrodzie pod gałęziami starego włoskiego orzecha...

Wodotrysk, stary orzech, skrzypce i morze w oddali, Morze Północne, którego sny letnie podsłuchiwał podczas wakacyj,

oto co lubił, czym się niejako otaczał i wśród czego upływało jego życie wewnętrzne — oto rzeczy, których nazw można skutecznie używać w wierszach i które też istotnie wciąż brzmiały w wierszach niekiedy przez Tonia tworzonych.

Fakt, że posiadał zeszyt z własnymi wierszami, ujawnił się z jego winy i szkodził mu bardzo w oczach zarówno współuczniów jak nauczycieli. Syn konsula Krögera był z jednej strony zdania, że gorszyć się tym jest dowodem głupoty i prostactwa, i gardził w zamian kolegami i nauczycielami, u których raziły go nadto złe maniery i których słabostki przezierał bystro. Jednakże z drugiej strony uważał sam pisanie wierszy za wybryk i właściwie za nieprzyzwoitość i musiał przyznać w pewnej mierze słuszność tym, którzy uważali to za dziwaczne zajęcie. To jednak nie mogło go powstrzymać.

Ponieważ w domu marnował czas, w szkole uczył się powoli, nie uważał i złą miał u nauczycieli opinię, więc stale przynosił do domu liche świadectwa, czym bardzo gniewał się i martwił jego ojciec, wysoki, starannie ubrany pan, który miał myślące, niebieskie oczy i zawsze nosił kwiat polny w butonierce. Jednakże matce Tonia, jego pięknej, czarnowłosej matce, która miała na imię Consuelo i w ogóle tak inna była od reszty pań w mieście, gdyż ojciec przywiózł ją sobie niegdyś z kraju leżącego na samym dole mapy — matce Tonia były świadectwa zupełnie obojętne.

Tonio kochał swą smagłą, ognistą matkę, która przedziwnie grała na fortepianie i na mandolinie, i rad był, że nie martwiła się jego wątpliwym stanowiskiem wśród ludzi. Jednak z drugiej strony czuł, że gniew ojca posiada w sobie więcej godności i zasługuje bardziej na szacunek, przeto też, pomimo że był łajany, godził się w gruncie rzeczy z ojcem, uważając obojętną pogodę matki za swego rodzaju łajdactwo. Niekiedy myślał niemal: „W sam raz wystarczy, że jestem, jaki jestem, że zmienić się ani chcę, ani mogę, niedbały, krnąbrny, zaprzątnięty tylko rzeczami, o których nikt zresztą nie myśli. Należałoby więc, by mnie za to poważnie łajano i karano, a nie

przechodzono nad tym do porządku z pomocą pocałunków i muzyki. Wszak nie jesteśmy Cyganami na zielonym wozie, lecz przyzwoitymi ludźmi, konsulostwem Krögerami, rodziną Krögerów..." Nierzadko myślał też: „Czemu jestem taki dziwny i w niezgodzie z wszystkim, poważniony z nauczycielami i obcy wśród innych chłopców? Przypatrz się uczniom dobrym i solidnie miernym. Nie uważają nauczycieli za śmiesznych, nie klecą wierszy i myślą tylko o rzeczach, o których właśnie powinno się myśleć i które można głośno wypowiedzieć. Jakże muszą się czuć porządnymi, jakże zgodnymi ze wszystkim i wszystkimi! To musi być rozkosz... Cóż zaś dzieje się ze mną i jak się to wszystko skończy?"

Ten rodzaj i sposób rozpatrywania siebie i swego stosunku do życia grał ważną rolę w miłości Tonia do Janka Hansena. Kochał go przede wszystkim za to, że był ładny; dalej zaś za to, że wydawał się pod każdym względem jego odwrotnością i przeciwieństwem. Janek Hansen był świetnym uczniem, a poza tym dzielnym zuchem, który jeździł konno, gimnastykował się, pływał jak młody bóg i cieszył się powszechną sympatią. Nauczyciele darzyli go niemal czułością, mówili doń po imieniu i popierali jak mogli, koledzy zabiegali o jego łaski, a na ulicy zatrzymywali go panowie i panie, ujmowali go za jasny czub wyglądający spod duńskiej czapki marynarskiej i mówili: „Dzień dobry, czubaty Janku Hansenie! Czyś zawsze pierwszy w klasie? Pozdrów papę i mamę, zuch z ciebie!"

Taki był Janek Hansen i odkąd Tonio Kröger go poznał, odczuwał zawsze, skoro tylko go ujrzał, tęsknotę, zazdrosną tęsknotę, która gnieździła się u góry w piersi i paliła. „Któż ma tak niebieskie oczy — myślał — i żyje w takim ładzie i tak szczęśliwej zgodzie z całym światem, jak ty! Zawsze zajęty jesteś w sposób przyzwoity i powszechnie szanowany. Gdy skończysz zadania szkolne, bierzesz lekcje jazdy konnej lub wycinasz piłeczką i nawet podczas wakacyj, na morzu, zajęty jesteś wiosłowaniem, żeglugą i pływaniem, gdy ja, bezczynny i zatopiony w myślach, leżę na piasku i przyglądam

się tajemniczo zmiennej grze świateł przemykających po obliczu morza. Toteż dlatego są twe oczy tak jasne. Gdybym był taki, jak ty..."

Nie próbował być taki jak Janek Hansen i może nawet nie brał zbyt poważnie tego życzenia. Ale pragnął boleśnie, aby tamten kochał go takim, jaki był, i zabiegał o tę miłość na swój sposób, serdecznie, z pełnią oddania, cierpienia i smutku, ale smutku palącego i trawiącego głębiej niż wszelka gwałtowna namiętność, której można było oczekiwać po jego cudzoziemskiej powierzchowności.

I zabiegał niezupełnie na próżno, gdyż Janek, który zresztą szacował w nim pewną wyższość, obrotność języka pozwalającą mu wyrażać rzeczy trudne, rozumiał doskonale, że żyje tu dlań niezwykle silne i delikatne uczucie, okazał się wdzięcznym i zgotował mu swą wzajemnością wiele szczęścia, lecz i wiele bólu zazdrości, rozczarowania i próżnego wysiłku w celu stworzenia duchowej wspólnoty. Gdyż, rzecz dziwna, Tonio, który zazdrościł przecie Jankowi Hansenowi jego sposobu istnienia, starał się ustawicznie przeciągnąć go na swoją stronę, co mogło udawać się najwyżej na chwilę, a i to tylko pozornie...

— Czytałem teraz coś cudownego, coś wspaniałego — mówił. Szli jedząc wspólnie z papierowej torebki owocowe cukierki, które kupili za dziesięć fenigów w sklepiku Iwersena na Mühlenstrasse. — Musisz to przeczytać, Janku, jest to „Don Carlos" Schillera... Pożyczę ci, jeśli chcesz...

— Ach, nie — rzekł Janek Hansen — daj pokój, Tonio, to nie dla mnie. Wiesz, wolę moje książki o koniach. Powiadam ci, są tam wspaniałe obrazki. Kiedy przyjdziesz do mnie, pokażę ci. Są to migawkowe zdjęcia fotograficzne, widać konia w kłusie, w galopie i w skoku, we wszelkich postawach, których w rzeczywistości nie można wcale dostrzec, bo to za prędko się dzieje...

— We wszystkich postawach? — spytał Tonio uprzejmie. — To cudownie. Ale co do „Don Carlosa", przechodzi on wszel-

kie pojęcie. Zobaczysz, są tam ustępy tak piękne, jakby cię pięścią zdzielił...

— Pięścią? — spytał Janek Hansen. — Jak to?

— Jest tam na przykład ustęp, kiedy król zapłakał, gdyż został oszukany przez markiza... ale markiz oszukał go tylko z miłości do księcia, rozumiesz, dla którego się poświęcił. I teraz z gabinetu do przedpokoju przedostaje się wiadomość, że król zapłakał. „Zapłakał?" „Król zapłakał?" Wszyscy dworzanie są okropnie przejęci i człowiek jest wstrząśnięty do głębi, gdyż jest to strasznie niewzruszony i surowy król. Ale rozumie się także dobrze, że zapłakał, i żal mi go właściwie bardziej niż księcia i markiza razem. Żyje zawsze tak zupełnie samotny i bez miłości i nagle, gdy mu się zdaje, że teraz znalazł człowieka, ten zdradza go...

Janek Hansen patrzył z boku na twarz Tonia i coś z twarzy tej musiało ująć go dla tematu, gdyż wziął nagle znowu Tonia pod rękę i spytał:

— W jaki sposób zdradza go, Tonio?

Tonio zapalił się.

— Więc było tak — rzekł — że wszystkie listy do Brabancji i Flandrii...

— Idzie Erwin Immerthal — rzekł Janek.

Tonio zamilkł. „Bodaj ziemia pochłonęła tego Immerthala! — pomyślał. — Akurat musiał przyjść i przeszkodzić nam! Byle nie chciał przyczepić się do nas i mówić przez całą drogę o lekcji jazdy konnej..." Albowiem Erwin Immerthal brał także lekcje jazdy. Był synem dyrektora banku i mieszkał tu, za bramą miejską. Na krzywych nogach, ze skośnymi oczyma, szedł ku nim aleją już bez teczki szkolnej.

— Dzień dobry, Immerthal — rzekł Janek. — Idę przejść się trochę z Krögerem.

— Ja idę do miasta — rzekł Immerthal — muszę coś załatwić. Ale pójdę z wami jeszcze kawałek... Macie z pewnością cukierki owocowe. Dziękuję, zjem kilka. Jutro mamy znów lekcję, Janku.

Miał na myśli lekcję jazdy.

— Doskonale! — rzekł Janek. — Kupią mi teraz skórzane sztylpy, bo dostałem onegdaj piątkę za ćwiczenie.

— A ty, Kröger, nie bierzesz lekcji jazdy? — spytał Immerthal i oczy jego zmieniły się w dwie szczelinki.

— Nie — odrzekł Tonio niepewnym tonem.

— Powinieneś, Kröger — zauważył Janek Hansen — poprosić ojca, by i tobie pozwolił się uczyć jazdy.

— Tak — rzekł Tonio zarazem skwapliwie i obojętnie. Przez chwilę ścisnęło go w gardle, gdyż Janek przemówił doń po nazwisku; i Janek odczuł to, zda się, gdyż dodał wyjaśniająco:

— Nazywam cię Kröger, bo masz takie wariackie imię; nie gniewaj się, ale nie mogę go znieść. Tonio... To przecie w ogóle nie jest imię. Zresztą nie jesteś temu nic winien, broń Boże!

— Nazywasz się tak głównie dlatego, że brzmi to z cudzoziemska i jest czymś niezwykłym — rzekł Immerthal udając życzliwy żart.

Usta Tonia drgnęły. Opanował się i rzekł:

— Tak, jest to bardzo głupie imię, wolałbym, Bóg mi świadkiem, nazywać się Henryk lub Wilhelm, możecie mi wierzyć. Pochodzi to stąd, że jeden z braci mej matki, po którym otrzymałem na chrzcie imię, nazywa się Antonio; bo przecie matka moja pochodzi z daleka...

Potem zamilkł nie przeszkadzając tamtym mówić o koniach i sztylpach skórzanych. Janek wziął Immerthala pod rękę i rozmawiał z zapałem, jakim dla Don Carlosa nigdy by go przejąć nie można. Tonio czuł od czasu do czasu jakby piekący napór łez do nosa i z trudem opanowywał brodę, która co chwilę zaczynała drgać...

Janek nie mógł znieść jego imienia, cóż na to można było poradzić? Sam nazywał się Jan, a Immerthal Erwin, to były imiona ogólnie znane, nie rażące nikogo. Ale „Tonio" brzmiało nieco z cudzoziemska i osobliwie. Tak, był osobliwością pod każdym względem, czy chciał, czy nie chciał, był samotny

i wyłączony z grona ludzi porządnych i zwyczajnych, choć nie był przecie Cyganem na zielonym wozie, tylko synem konsula Krögera, z rodziny Krögerów... Czemuż jednak Janek nazywał go Toniem, dopóki byli sami, jeśli zaczynał się go wstydzić, ledwo zjawił się trzeci? Czasami był mu bliski i oddany. „W jaki sposób zdradza go, Tonio?" — zapytał przed chwilą i wziął go pod ramię. Lecz skoro tylko nadszedł Immerthal, odetchnął z ulgą, opuścił go i bez potrzeby uczynił mu zarzut z obcego imienia. Jakże bolesne było wniknięcie w to wszystko!... Janek Hansen w gruncie rzeczy lubił go trochę, gdy byli sam na sam, Tonio wiedział o tym. Ale gdy nadszedł trzeci, wstydził się tego i poświęcał go. Tonio znów był sam. Pomyślał o królu Filipie. Król zapłakał...

— O, rety — rzekł Erwin Immerthal — teraz muszę naprawdę iść do miasta! Do widzenia i dzięki za cukierki!

Po czym skoczył na ławkę stojącą przy drodze, przebiegł ją wzdłuż krzywymi nogami i pognał kłusem.

— Lubię Immerthala! — rzekł Janek z naciskiem. Miał rozpieszczony i pewny siebie sposób oznajmiania swych sympatii i antypatii, jakby nimi najłaskawiej obdzielał... Potem zaczął mówić dalej o lekcjach jazdy, gdyż już nabrał rozpędu. Nie było już też daleko do domu Hansenów; droga przez wały nie wymagała wiele czasu. Przytrzymywali mocno czapki, schylając głowy pod silny, wilgotny wiatr, który skrzypiał i jęczał w nagich gałęziach drzew. I Janek Hansen mówił, gdy Tonio tylko od czasu do czasu wtrącał nienaturalne „A!" lub „Tak, tak". Nie radując się już tym, że Janek w zapale wymowy wziął go znowu pod rękę, gdyż było to tylko pozorne zbliżenie, bez znaczenia.

Potem zeszli z plantów niedaleko dworca kolejowego, ujrzeli pociąg, który sapiąc mijał ich w niezdarnej gorliwości, przeliczyli dla rozrywki wagony i kiwnęli człekowi, który zakutany w kożuch siedział w górze ostatniego. Na placu Lipowym przed willą hurtownika Hansena, stanęli i Janek pokazał dokładnie, jak zabawnie jest stanąć u dołu furty ogrodowej i ko-

łysać się tam i z powrotem przy okropnym zgrzycie zawiasów. Potem pożegnał się.

— Muszę już iść — rzekł. — Bądź zdrów, Tonio. Następnym razem odprowadzę ciebie do domu, bądź pewny.

— Bądź zdrów, Janku — rzekł Tonio — bardzo miły spacer.

Ręce, które sobie podali, były zupełnie mokre i powalane rdzą furtki ogrodowej. Lecz kiedy Janek spojrzał w oczy Tonia, na ładnej jego twarzy ukazało się jakby skruszone przypomnienie.

— Zresztą przeczytam w najbliższym czasie twego „Don Carlosa"! — rzekł szybko. — Scena z królem w gabinecie musi być wspaniała.

Potem wziął tornister pod pachę i przebiegł przez frontowy ogródek. Zanim zniknął w domu, skinął jeszcze raz za siebie.

A Tonio Kröger wrócił rozpromieniony i uskrzydlony. Wiatr popychał go z tyłu, ale on nie tylko dlatego ruszył tak lekko z miejsca.

Janek przeczyta „Don Carlosa" i wtedy będą mieli coś wspólnego, o czym ani Immerthal, ani nikt inny nie będzie mógł z nimi mówić! Jak dobrze się rozumieli! Kto wie, może Tonio skłoni go jeszcze również do pisania wierszy?... Nie, tego nie pragnął! Janek nie powinien stać się takim jak Tonio, tylko pozostać, jaki był, tak jasny i mocny, jakiego kochali wszyscy, a najbardziej Tonio! Że jednak przeczyta „Don Carlosa", to nie zaszkodzi... I Tonio szedł przez starą, przysadzistą bramę miejską, wzdłuż przystani i stromą, wietrzną i mokrą ulicą do domu swoich rodziców. Wtedy żyło jego serce; była w nim tęsknota i smutna zazdrość, i odrobina pogardy, i cała niewinna szczęśliwość.

Jasnowłosa Inga, Ingeborga Holm, córka doktora Holma, który mieszkał w rynku, tam gdzie stała wysoka, strzelista, wieloboczna studnia gotycka, była osobą, którą pokochał Tonio Kröger, kiedy miał lat szesnaście.

Jak się to stało? Widział ją tysiąc razy; atoli pewnego wieczoru ujrzał ją w osobliwym oświetleniu, ujrzał, jak w rozmowie z przyjaciółką śmiejąc się odrzuciła w pewien swawolny sposób głowę na bok, podniosła w pewien sposób zgoła niezbyt smukłą, zgoła niezbyt delikatną rękę dziewczęcą ku tyłowi głowy, przy czym biały gazowy rękaw zsunął się jej z łokcia, usłyszał, jak w pewien sposób wymówiła jakieś słowo, obojętne słowo, z ciepłym dźwiękiem w głosie, i zachwyt porwał jego serce, silniejszy niż ów, który odczuwał niekiedy dawniej patrząc na Janka Hansena, kiedy był jeszcze małym, głupim chłopcem.

Tego wieczoru uniósł z sobą obraz jej postaci z grubym, jasnym warkoczem, podłużnymi, śmiejącymi się, błękitnymi oczami i delikatnie zaznaczonym siodełkiem piegów nad nosem. Nie mógł zasnąć, gdyż słyszał dźwięk jej głosu, starał się cicho naśladować akcent, z jakim wymówiła owo obojętne słowo, i zadrżał. Doświadczenie pouczyło go, że to miłość. Ale choć dobrze wiedział, że miłość musi przynieść mu wiele boleści, udręki i upokorzenia, że ponadto burzy spokój i napełnia serce melodiami nie dając ciszy potrzebnej do nadania im kształtu i cierpliwego wykucia całości, jednak oddał się jej całkowicie i pielęgnował ją wszelkimi siłami duszy. Wiedział bowiem, że wzbogaca ona i ożywia, a tęsknił raczej do tego, by być bogatym i żywym niż aby w spokoju wykuć całość...

Fakt, że Tonio Kröger zakochał się w wesołej Indze Holm, zaszedł w wyprzątniętym salonie konsulowej Husteede, na którą owego wieczoru przypadła kolej urządzenia u siebie lekcji tańców; był to bowiem kurs prywatny, w którym uczestniczyli tylko członkowie najznakomitszych rodzin i na który dla pobierania lekcyj tańca i dobrego tonu gromadzono się w domach rodzicielskich kolejno. W tym zaś celu przybywał co tydzień osobiście baletmistrz Knaak z Hamburga.

François Knaak brzmiało jego miano i co to był za człowiek! „J'ai l'honneur de me vous représenter — mówił — mon nom est Knaak..." A mówi się to nie podczas ukłonu, tyl-

ko gdy się już znów stoi prosto, głosem stłumionym, lecz wyraźnie. Nie co dzień istnieje przymus przedstawiania się po francusku, lecz jeśli się umie uczynić to w tym języku poprawnie i bezbłędnie, uczyni się to tym lepiej po niemiecku. Jak wspaniale przylegał jedwabny czarny surdut do jego tłustych bioder! Miękkimi fałdami opadały spodnie pana Knaaka na lakierki zdobne w szerokie atłasowe kokardy, a ciemne oczy spoglądały dokoła, znużone szczęściem własnej piękności.

Wszyscy byli przytłoczeni nadmiarem pewności siebie i wytworności tancmistrza. Podchodził — a nikt nie stąpał tak elastycznie, płynnie, kolebiąco, po królewsku, jak on — do pani domu, składał ukłon i czekał, aż poda mu rękę. Gdy ją otrzymał, dziękował cichym głosem, cofał się jak na sprężynie, odwracał się na lewej stopie, odrywał w bok opuszczone palce prawej stopy od podłogi i odchodził w podrygach bioder...

Opuszczając towarzystwo należało cofać się ku drzwiom w ukłonach, nie podawać krzesła chwytając je za jedną nogę lub wlokąc za sobą po posadzce, lecz przynosić lekko trzymając za poręcz i stawiać bez szmeru na ziemi. Nie stało się z rękoma splecionymi na brzuchu, wysuwając język kątem ust; jeśli to jednak ktoś uczynił, pan Knaak miał taki dar naśladowczy, że do końca życia czuło się wstręt do tej postawy...

To był dobry ton. Co do tańca, to pan Knaak posiadał tę sztukę, jeśli to możliwe, w jeszcze bardziej mistrzowskim stopniu. W wyprzątniętym salonie płonęły gazowe światła w żyrandolach, a świece na kominku. Posadzka posypana była talkiem, a niemym półkolem stali elewowie. Za portierami zaś, w przyległym pokoju, siedziały na fotelach matki i ciotki i przyglądały się przez lornetki, jak pan Knaak, w schylonej postawie, trzymając każdą połę tużurka w dwóch palcach, demonstrował elastycznymi nogami poszczególne części mazurki. Gdy jednak zamierzał do cna olśnić publiczność, to wzbijał się nagle i bez żadnej potrzeby ponad posadzkę, wprawiając w powietrzu z zawrotną szybkością nogi w ruch wiro-

wy, jakby trylował nimi, po czym stłumionym, lecz wszystko w posadach wstrząsającym bęcnięciem wracał na ziemię...

„Cóż to za niesłychana małpa" — myślał Tonio Kröger w duszy. Jednakże wiedział, że Inga Holm, wesoła Inga, śledzi często z zapamiętałym uśmiechem ruchy pana Knaaka, co nie było jedynym powodem, dla którego ta cała cudownie opanowana cielesność przejmowała go w gruncie rzeczy jakby pewnym podziwem. Jak spokojnie i niezmącenie patrzyły oczy pana Knaaka. Nie wglądały one aż tam, gdzie wszystko staje się zawiłe i smutne; wiedziały tylko, że są brunatne i piękne. Przeto też była postawa jego tak dumna! Tak, trzeba było być głuptasem, by móc tak stąpać jak on; i wtedy było się kochanym, bo było się miłym. Rozumiał to doskonale, że Inga, złotowłosa, słodka Inga patrzy na pana Knaaka w ten sposób. A czy nigdy żadna dziewczyna nie spojrzy tak na niego samego?

A jednak to się zdarzyło. Była tam Magdalena Vermehren, córka adwokata Vermehrena, dziewczyna o łagodnych ustach i dużych, ciemnych, czystych oczach, pełnych powagi i marzycielstwa. Upadała często w tańcu; lecz gdy panie wybierały, podchodziła do niego. Wiedziała o nim, że pisuje wiersze, a nawet dwukrotnie prosiła go, aby je pokazał, często też spoglądała nań ukradkiem z daleka. Lecz cóż mu z tego? On kochał Ingę Holm, jasnowłosą, wesołą Ingę, która z pewnością gardziła nim dlatego, że pisał wiersze... On patrzył na nią, widział jej wąsko wycięte, niebieskie oczy, pełne szczęścia i szyderstwa; i zazdrosna tęsknota, ciężki, trapiący ból, że jest mu niedostępna i na wieki obca, tkwił w piersi jego i palił.

— Pierwsza para en avant! — rzekł pan Knaak i nie podobna opisać, jak człowiek ten cudowie wymawiał nosówki! Uczono się kadryla i Tonio Kröger ku wielkiemu swemu przerażeniu znalazł się z Ingą Holm w jednym carré. Unikał jej, jak mógł, a jednak ciągle dostawał się w jej pobliże; zabraniał oczom swym patrzyć na nią, a jednak spojrzenie jego spotykało ją ciągle... Oto zjawiła się, sunąc i biegnąc pod rękę

z ryżym Ferdynandem Matthiessenem, i dysząc stanęła naprzeciw niego; pan Heinzelmann uderzył kościstymi rękoma w klawisze, pan Knaak skomenderował, zaczął się kadryl.

Poruszała się przed nim tu i tam, naprzód i wstecz, krocząc i kręcąc się; woń tchnąca z jej włosów czy delikatnej białej sukni owiewała go niekiedy i w oczach jego malował się coraz większy smutek. „Kocham cię, kocham, słodka Ingo" — szeptał w duszy, wkładając w te słowa cały ból z powodu tego, że tańczyła z takim zapałem i radością, nie zwracając na niego uwagi. Przypomniał mu się przepiękny wiersz Storma: „Pragnąłbym spać; ale ty tańczyć musisz". Dręczyła go upokarzająca sprzeczność, tkwiąca w przymusie tańczenia, kiedy się kocha...

— Pierwsza para en avant! — rzekł Knaak, gdyż następował nowy obrót. — Compliment! Moulinet des dames! Tour de main! — I nikt nie opisze, z jaką gracją połknął nieme „e" w owym de.

— Druga para en avant! — Przyszła kolej na Tonia Krögera i jego damę. — Compliment! — I Tonio Kröger skłonił się. — Moulinet des dames! — I Tonio Kröger, z pochyloną głową i chmurnymi brwiami, położył rękę na rękach czterech dam, na rękę Ingi Holm, i tańczył moulinet.

Dokoła wszczęły się chichoty i śmiechy. Pan Knaak zastygł w baletowej pozie, która miała wyrażać stylizowane oburzenie.

— Oj, oj! — zawołał. — Stać, proszę! Pan Kröger dostał się między panie! En arrière, panno Kröger, proszę się cofnąć, fi donc! Wszyscy to zrozumieli z wyjątkiem pana. Hola! Precz stąd! Wstecz! — i wydobył żółtą jedwabną chusteczkę, odganiając Tonia z powrotem na jego miejsce.

Wszyscy śmieli się, chłopcy, dziewczęta i panie za portierami, gdyż pan Knaak uczynił z tego drobnego zdarzenia coś tak śmiesznego, że bawiono się jak w teatrze. Tylko pan Heinzelmann czekał z oschłą miną zawodowca na znak, aby grać dalej, gdyż był znieczulony na efekty pana Knaaka.

Potem kadryl trwał dalej. Wreszcie nastąpiła pauza. Weszła młoda służąca, niosąc na tacy dzwoniące kieliszki z winną galaretą, tuż za nią kucharka ze stosem plumkeksów. Ale Tonio wymknął się z salonu, wyszedł skrycie na korytarz i z rękami na plecach stanął tam przed zapuszczoną żaluzją okna, nie bacząc, że przez żaluzję nic nie widać, więc śmiesznie jest stać przed nią i udawać, że patrzy się na dwór.

Ale on patrzył w siebie, gdzie było tyle strapienia i tęsknoty. Czemu, czemu znajdował się tutaj? Czemuż nie siedział w swym pokoju przy oknie i nie czytał Storma „Immensee", spoglądając kiedy niekiedy w wieczorny mrok ogrodu, gdzie stary orzech skrzypiał ciężko? Tam byłoby jego miejsce. Niech inni tańczą i bawią się wesoło i zwinnie!... Nie, nie, jego miejsce było jednak tu, gdzie czuł się blisko Ingi, choć stał samotny z daleka i starał się wśród gwaru, brzęku i śmiechu rozróżnić jej głos, w którym dźwięczało ciepło życia. O, twoje podłużnie skrojone, niebieskie, śmiejące się oczy, jasnowłosa Ingo! Tak piękną i pogodną można być tylko wtedy, gdy nie czytało się „Immensee" ani próbuje się samemu tworzyć czegoś podobnego; to właśnie smutne!...

Powinna by przyjść! Powinna by zauważyć, że go nie ma, powinna by wyczuć, co się z nim dzieje, powinna by wyjść za nim skrycie, choćby tylko z litości, położyć mu dłoń na ramieniu i rzec: wróć do nas, bądź wesoły, kocham cię. I wsłuchiwał się za siebie i czekał w nierozsądnym naprężeniu, że ona przyjdzie. Ale nie przyszła wcale. Takie rzeczy nie dzieją się na ziemi.

Czyż i ona śmiała się zeń jak inni? Tak, uczyniła to, choć rad by, gwoli niej i sobie, zaprzeczyć temu. A przecie wplątał się w moulinet des dames tylko wskutek odurzenia jej pobliżem. I cóż to komu szkodziło? Może kiedyś przestaną się zeń śmiać! Czyż niedawno pewne pismo nie przyjęło jego poematu, choć potem przestało wychodzić, zanim poemat mógł się ukazać? Przyjdzie dzień, kiedy będzie sławny, gdy wszystko, co napisze, będzie drukowane, i wtedy zobaczymy, czy nie sprawi

to wrażenia na Indze Holm. — Nie, to n i e s p r a w i na niej wrażenia, w tym sęk. Na Magdalenie Vermehren, która zawsze upada w tańcu, tak. Ale nigdy na Indze Holm, nigdy na jasnowłosej, wesołej Indze. Więc czy to nie na próżno?...

Na tę myśl serce Tonia Krögera kurczyło się boleśnie. Czuć, jak cudowne, igrające i smutne siły kłębią się w tobie, i wiedzieć jednocześnie, że ci, do których tęsknisz, przeciwstawiają im zimną obojętność, to boli. Ale choć samotny, odtrącony i beznadziejny stał przed zamkniętą żaluzją i w strapieniu swym udawał, jakby przenikał ją wzrokiem, był jednak szczęśliwy. Gdyż wtedy żyło jego serce. Gorące i smutne, biło dla ciebie, Ingeborgo Holm, i dusza jego w błogim samozaparciu obejmowała twą jasnowłosą, świetlaną i arogancko pospolitą osóbkę.

Niejednokrotnie stał z rozpaloną twarzą w samotnych kątach, gdzie słabo dochodziła muzyka, woń kwiatów i brzęk kieliszków i starał się w dalekim gwarze zabawy rozróżnić twój dźwięczny głos; stał zbolały z powodu ciebie, a jednak był szczęśliwy. Niejednokrotnie martwił się, że z Magdaleną Vermehren, która zawsze padała, mógł rozmawiać, że ona rozumiała go, śmiała się z nim i była poważna, gdy jasnowłosa Inga, choć siedział przy niej, zdawała mu się daleka, obca i dziwna, gdyż język jego nie był jej językiem; a jednak był szczęśliwy. Albowiem szczęście, mówił sobie, nie polega na tym, że się jest kochanym; jest to zmieszane ze wstrętem zadowolenie próżności. Szczęściem jest kochać i może chwytać drobne, zwodnicze zbliżenia do ukochanego przedmiotu. Myśli te zapisywał w duszy i przetrawiał je do gruntu myślą i uczuciem.

W i e r n o ś ć! myślał Tonio Kröger. Będę ci wierny i będę kochał ciebie, Ingeborgo, dopóki żyć będę! Tak pięknie wierzył. A jednak słyszał w sobie cichy szept lęku i żalu, że przecie zapomniał zupełnie i o Janku Hansenie, choć go widywał codziennie. I brzydko, żałośnie było, że ten cichy i nieco złośliwy głos miał słuszność, że czas mijał i nadeszła

chwila, kiedy Tonio Kröger nie był już tak bezwzględnie jak dawniej gotów umrzeć za wesołą Ingę, gdyż poczuł w sobie ochotę i siły stworzyć mnóstwo dziwnych rzeczy w świecie na swój sposób.

I obchodził ostrożnie ołtarz ofiarny, na którym gorzał szczery i czysty płomień jego miłości, klęczał przed nim, podniecał i żywił go rozmaicie, gdyż chciał być wierny. A jednak po pewnym czasie ogień ten zgasł niepostrzeżenie, bez wrażenia i hałasu.

Ale Tonio stał jeszcze długo przed wystygłym ołtarzem, pełen zdumienia i rozczarowania, że wierność na ziemi była niemożliwa. Potem wzruszył ramionami i poszedł swą drogą.

Poszedł drogą, którą iść musiał, szedł trochę niedbale i nierówno, pogwizdując, z głową na bok przechyloną, patrząc w dal, a jeśli błądził, to dlatego, że dla niektórych ludzi nie ma w ogóle właściwych dróg. Gdy go spytano, czym, na miłość Boską, chce zostać, dawał zmienne odpowiedzi, gdyż zwykł był mówić (a nawet napisał to sobie), że nosi w sobie możliwości tysiąca form istnienia, wraz z tajemną świadomością, że w gruncie rzeczy wszystkie są niemożliwościami...

Zanim jeszcze rozstał się z swym ciasnym miastem rodzinnym, rozluźniły się zwolna klamry i nici, którymi go trzymało. Stara rodzina Krögerów popadła stopniowo w stan kruszenia i rozkładu, ludzie mieli też słuszność uważając życie i charakter samego Tonia Krögera za objawy tego stanu. Matka ojca jego, głowa rodu, umarła i wkrótce potem poszedł za nią jego ojciec, wysoki, zamyślony, starannie ubrany pan z kwiatem polnym w butonierce. Wielki dom Krögerów wraz z jego czcigodną przeszłością wystawiono na sprzedaż, firma wygasła. Wszelako matka Tonia, jego piękna, ognista matka, która tak przedziwnie grała na fortepianie i mandolinie i której wszystko było obojętne, wyszła po roku znów za mąż, i to za muzyka, wirtuoza o włoskim nazwisku, z którym pojechała

w błękitną dal. Tonio Kröger uznał to poniekąd za łajdactwo; ale czyż o n był powołany bronić jej tego? Pisał wiersze i nie umiał nawet odpowiedzieć, czym, u licha, zamyśla zostać...

I opuścił ciasne miasto ojczyste, nad którego szczytami gwizdał wilgotny wiatr, porzucił wodotrysk i stary orzech włoski, powierników swojej młodości, porzucił też morze, które kochał, i nie doznał przy tym boleści. Albowiem dorósł i zmądrzał, zrozumiał swe położenie i patrzył szyderczo na niezdarne, pospolite życie, które tak długo trzymało go w swym kręgu.

Oddał się cały mocy, która wydawała mu się najwznioślejszą na ziemi, której służyć czuł się powołanym i która obiecywała mu wielkość i zaszczyty; oddał się mocy ducha i słowa, królującej z uśmiechem nad bezwiednym i niemym życiem. Oddał się jej z młodzieńczą namiętnością, ona zaś nagrodziła go wszystkim, co ma do darowania, i zabrała mu wszystko, co zwykła zabierać jako odpłatę.

Zaostrzyła jego wzrok i pozwoliła mu przejrzeć wielkie słowa, które wzdymają pierś ludzką, otworzyła mu dusze ludzkie i duszę jego własną, uczyniła go jasnowidzem i pokazała mu wnętrze świata i te ostateczności, które kryją się za słowami i czynami. Ale to, co ujrzał, było śmiesznością i nędzą — śmiesznością i nędzą.

Wtedy wraz z męką i dumą poznania zjawiła się samotność, gdyż koła ludzi beztroskich o radośnie ciemnym umyśle nie były mu chętne, a piętno jego czoła mąciło im spokój. Ale jednocześnie coraz słodszą stawała mu się rozkosz słowa i formy, gdyż zwykł był mawiać (i napisał to nawet), że sama znajomość duszy zasmucałaby niezawodnie, gdyby nas nie rzeźwiły i nie krzepiły przyjemności wyrazu...

Żył w wielkich miastach i na południu, po którego słońcu obiecywał sobie bujne żniwa dla swej sztuki; a może ciągnęła go tam krew matki. Ponieważ jednak serce jego było martwe i pozbawione miłości, zaplątał się w przygody ciała, wpadł w wir rozkoszy i gorącej winy i cierpiał przy tym niewy-

mownie. Może dziedzictwo po ojcu, owym wysokim, zamyślonym, schludnie ubranym panu z kwiatem polnym w butonierce, kazało mu cierpieć tam, na południu, i budziło w nim niekiedy słabe, tęskne wspomnienia o rozkoszy ducha, której nie odnajdywał już w żadnej rozkoszy.

Powziął wstręt i nienawiść do zmysłów, łaknął czystości i przystojnego spokoju, a oddychał przecie powietrzem sztuki, ciepłym i słodkim, ciężarnym wonią powietrzem nieustannej wiosny, w której wszystko burzy się, wre i kiełkuje w tajemniczej rozkoszy płodzenia. Toteż doszedł do tego, że pozbawiony oparcia wśród jaskrawych sprzeczności, chwiejąc się między lodowatą duchowością i trawiącym go żarem zmysłów, prowadził wśród niepokojów sumienia wyczerpujące życie, życie hultajskie, rozpustne i niezwykłe, którym w gruncie rzeczy się brzydził. „Co za bezdroże! — myślał niekiedy. — Jak to być mogło, że wpadłem w takie dzikie awantury. Przecież nie jestem z pochodzenia Cyganem na zielonym wozie."

Lecz w miarę, jak słabło zdrowie Tonia, wyostrzał się jego artyzm, stawał się wybrednym, grymaśnym, drogocennym, subtelnym, wrażliwym na banalność i do najwyższego stopnia wyczulonym w sprawach taktu czy smaku. Kiedy Tonio wystąpił po raz pierwszy, wywołał wśród tych, których to obeszło, dużo poklasku i radości, gdyż wydał rzecz mistrzowsko opracowaną, pełną humoru i znajomości cierpienia. I wkrótce nazwisko jego, to samo, które niegdyś nauczyciele jego wymieniali z łajaniem, to samo, którym podpisywał swe pierwsze rymy do orzecha, do wodotrysku i do morza, ten z południa i północy złożony dźwięk, to nazwisko mieszczańskie z egzotycznym nalotem, stało się formułą określającą doskonałość; gdyż z bolesną dogłębnością jego doświadczeń łączyła się rzadka, wytrwała i ambitna pilność, która w walce z wybredną wrażliwością jego smaku pozwalała tworzyć wśród gwałtownych mąk niezwykłe dzieła.

Pracował nie jak ktoś, co pracuje, aby żyć, lecz jak ten,

co pragnie tylko pracować, gdyż nie ceni w sobie człowieka żyjącego, jeno pragnie coś znaczyć jako twórca, poza tym zaś snuje się szary i niepozorny, jak po zmyciu szminki aktor, który jest niczym, dopóki nic przedstawić nie może. Pracował niemy, zamknięty, niewidzialny i pełen pogardy dla owych karłów, dla których talent był ozdobą towarzyską i którzy, bez względu na to, czy byli bogaci, czy biedni, czy chodzili dzicy i obdarci lub pozwalali sobie na zbytek oryginalnych krawatów, przede wszystkim myśleli o tym, by żyć błogo, przyjemnie i artystycznie, nieświadomi tego, że dobre dzieła powstają tylko pod uciskiem złego życia, że kto żyje, ten nie pracuje, i że trzeba wprzód umrzeć, by być całkowicie twórcą.

— Czy nie przeszkadzam? — spytał Tonio Kröger na progu atelier. Trzymał kapelusz w ręce i nawet skłonił się trochę, choć Lizaweta Iwanowna była jego przyjaciółką, której mówił wszystko.

— Zlitujże się pan, Tonio, i wejdź bez ceremonii! — rzekła z właściwą jej zmienną intonacją. — Wiadomo, że pan jest dobrze wychowany i wie, co wypada.

Wzięła pędzel w lewą rękę, w której trzymała paletę, i podała prawą, patrząc mu w twarz ze śmiechem i kiwając głową.

— Przecie pani pracuje — rzekł. — Czy wolno zobaczyć?... O, pani poczyniła postępy.

I spoglądał kolejno na barwne szkice, oparte po obu stronach sztalug na krzesłach, i na wielkie, kwadratową siecią linii pokryte płótno, gdzie w zawiłym i schematycznym zarysie węglowym zaczęły wynurzać się pierwsze barwne plamy.

Działo się to w Monachium, w oficynie przy ulicy Schellinga, na którymś piętrze. Na dworze, za szerokim oknem wychodzącym na północ, panował błękit nieba, świegot

ptaków, blask słoneczny i młode, słodkie tchnienie wiosny, które wnikało przez otwartą klapę, mieszało się z wonią fiksatywu i farby olejnej, wypełniającą obszerne atelier. Złote światło jasnego popołudnia napełniało bez przeszkody pustą przestrzeń pracowni, szczodrze zalewało uszkodzoną nieco podłogę, surowy stół pod oknem, pełen flaszeczek, tubek i pędzli, i studia bez ram na nie tapetowanych ścianach, ozłacało parawan z dziurawego jedwabiu, odgraniczający przy drzwiach maleńki, stylowo umeblowany kącik mieszkalny i wypoczynkowy, padało na powstające dzieło na sztalugach i stojących przed nim malarkę i poetę.

Mogła być mniej więcej w tym co on wieku, to jest liczyć nieco ponad trzydziestkę. W ciemnoniebieskim, poplamionym kitlu siedziała na niskim stołku, opierając brodę na dłoni. Brunatne jej włosy, mocno ufryzowane i posiwiałe już nieco na bokach, okrywały lekkimi falami skronie, ujmując w ramy jej smagłą twarz słowiańskiego typu, niezmiernie sympatyczną, z perkatym nosem, ostro występującymi kośćmi policzkowymi i małymi, czarnymi, lśniącymi oczyma. Uważna, nieufna i jakby podrażniona, badała skośnym, przymrużonym spojrzeniem swą pracę.

On stał obok, wsparty ręką o biodro, lewą kręcąc szybko ciemny wąs. Jego skośne brwi poruszały się w chmurnym napięciu. Pogwizdywał cicho, jak zwykle. Ubrany był bardzo starannie i solidnie, w garnitur spokojnie szary i nie bijącego w oczy kroju. Ale na pobrużdżonym czole, nad którym ciemne włosy były rozdzielone z nadzwyczajną prostotą i poprawnością, pojawiło się nerwowe drżenie, a rysy twarzy o południowym typie były już ostre, jakby przeciągnięte i przeryte twardym dłutem, choć usta zdawały się zarysowane tak łagodnie, a broda tak miękko wyrzeźbiona... Po chwili przesunął dłonią po czole i oczach i odwrócił się od niej.

— Nie powinienem był przyjść — rzekł.

— Czemu nie, Tonio?

— Właśnie wstałem od swej pracy, Lizaweto, i w głowie

mojej wygląda w sam raz tak, jak na tym płótnie. Rusztowanie, blady szkic, poprawkami zabrudzony, i kilka barwnych plam; teraz przychodzę tu i widzę to samo. I odnajduję też konflikt i kontrast — rzekł węsząc w powietrzu — który dręczył mnie w domu. To dziwne. Jeśli opanuje cię jaka myśl, to wszędzie znajdziesz jej wyraz, węszysz ją nawet w wietrze. Fiksatyw i aromat wiosny, co? Sztuka i... ba, ale co jest to drugie? Niech pani nie mówi „natura", Lizaweto, „natura" nie wyczerpuje sprawy. O, nie, powinienem był raczej pójść na przechadzkę, choć jeszcze pytanie, czybym się przez to czuł lepiej. Pięć minut temu, niedaleko stąd, spotkałem kolegę, Adalberta, nowelistę. „Niech Bóg przeklnie wiosnę! — rzekł swym napastliwym stylem. — Jest to i będzie zawsze najokropniejsza pora roku! Czy może pan pochwycić jedną rozsądną myśl, Kröger, czy może pan wypracować spokojnie najdrobniejszą pointę czy efekcik, gdy w nieprzyzwoity sposób łechce cię coś w krwi i niepokoi mnóstwo nie należących do rzeczy wrażeń, które, ledwo je zbadać, okazują się zgoła trywialną i na nic nieprzydatną bzdurą? Co do mnie, idę do kawiarni. Jest to teren neutralny, niezależny od zmiany pór roku, kawiarnia bowiem, uważa pan, przedstawia odległą i wzniosłą dziedzinę literackości, tam jeno jest człowiek zdolny do szlachetniejszych pomysłów..." I poszedł do kawiarni; może powinienem był mu towarzyszyć.

Lizaweta bawiła się doskonale.

— To pyszne, panie Tonio. To „nieprzyzwoite łechtanie" jest pyszne. I ma poniekąd słuszność, bo naprawdę robota nie klei się na wiosnę. Ale niech pan teraz uważa. Mimo wszystko zrobię jeszcze tę tu drobnostkę, tę małą pointę i efekcik, jakby powiedział Adalbert. Potem pójdziemy do „salonu", napijemy się herbaty, a pan się wygada; bo widzę doskonale, że jest pan usposobiony. Tymczasem niech się pan gdzie bądź ugrupuje, na przykład na tej pace, jeśli się pan nie boi o swe patrycjuszowskie szaty...

— Niechże pani da pokój moim patrycjuszowskim szatom!

Czy życzy pani sobie, bym uganiał w podartej aksamitnej bluzie lub czerwonej jedwabnej kamizelce? Jako artyści mamy w sobie samych jeszcze dość awanturniczości. Zewnętrznie, do diabła, należy się ubierać i zachowywać jak porządny człowiek... Nie, nie jestem usposobiony — rzekł i przyglądał się, co ona miesza na palecie. — Przecie słyszy pani, że tylko jeden problemat i kontrast tkwi mi w głowie i przeszkadza w pracy... Ale o czymśmy to mówili? O tym noweliście Adalbercie i co to za dumny, stanowczy człowiek. „Wiosna jest najokropniejszą porą roku" rzekł i poszedł do kawiarni. Bo trzeba wiedzieć, czego się chce, prawda? Widzi pani, mnie także wiosna denerwuje, mnie także wprawia w pomieszanie luba trywialność wspomnień i wrażeń, które budzi wiosna; tylko że nie mam odwagi łajać jej za to i gardzić nią; gdyż rzecz ma się tak, że raczej wstydzę się wiosny, wstydzę się wobec jej czystej naturalności i zwycięskiej młodości. I nie wiem, czy mam Adalbertowi zazdrościć, czy lekceważyć go za to, że nie wie nic o tym...

To prawda, że na wiosnę pracuje się licho, a czemu? Bo się czuje. A tylko partacz myśli, że twórcy wolno czuć. Każdy prawdziwy i szczery artysta uśmiecha się z powodu tego błędu partaczy, melancholijnie może, ale się uśmiecha. Gdyż to, co się mówi, nie powinno nigdy być istotą, tylko obojętnym w sobie i przez się materiałem, z którego należy złożyć twór estetyczny w igrającym i spokojnym poczuciu wyższości. Jeśli za dużo zależy pani na tym, co ma powiedzieć, jeśli serce pani za mocno bije do tego, to może pani być pewna całkowitej klapy. Staje się pani patetyczną, sentymentalną, pod ręką pani iści się coś ociężałego, niezgrabnie-poważnego, nieopanowanego, nieironicznego, bezkorzennego, nudnego, banalnego, a końcem wszystkiego jest obojętność i rozczarowanie u ludzi, a rozpacz pani samej... Bo tak jest, Lizaweto. Uczucie, ciepłe, serdeczne uczucie, jest zawsze banalne i nieprzydatne, artystyczne zaś są tylko podrażnienia i zimne ekstazy naszego zepsutego, artystycznego systemu nerwowe-

go. Trzeba być czymś nadludzkim i nieludzkim, trzeba wobec sprawy ludzkiej przybrać postawę dziwnie daleką i bezinteresowną, aby być zdolnym odgrywać ją, igrać nią, przedstawiać ją dobitnie i smacznie, ba, aby w ogóle kusić się o to. Dar stylu, formy i wyrazu zakłada z góry ten chłodny i wybredny stosunek do tego, co ludzkie, ba, pewne człowiecze zubożenie i wyniszczenie. Gdyż zdrowe i silne uczucie — podtrzymuję to — nie ma żadnego smaku. Artysta ginie, z chwilą gdy staje się człowiekiem i zaczyna czuć. Adalbert wiedział o tym i dlatego udał się do kawiarni, do „odległej dziedziny".

— A, niech go Pan Bóg kocha, batiuszka! — rzekła Lizaweta myjąc ręce w misce blaszanej. — Przecie nie pójdzie pan za nim.

— Nie, Lizaweto, nie pójdę za nim, choćby dlatego, że kiedy niekiedy umiem w obliczu wiosny wstydzić się trochę swego artyzmu. Widzi pani, czasami dostaję listy pisane obcą ręką, pochwały i podziękowania od mych czytelników, pełne podziwu głosy przejętych ludzi. Czytam te słowa i ogarnia mnie wzruszenie wobec tych ciepłych i nieudolnych uczuć, które wywołała moja sztuka, opada mnie pewnego rodzaju litość w obliczu natchnionej naiwności, która przemawia z tych listów, i rumienię się na myśl, jak bardzo ochłódłby ten poczciwy człowiek, gdyby rzucił okiem za kulisy, gdyby zrozumiał w swej naiwności, że rzetelny, zdrowy i przyzwoity człowiek w ogóle nie pisze, nie gra na scenie, nie komponuje... Nie przeszkadza to jednak, że korzystam z jego podziwu dla mego geniuszu, aby się pobudzać i podniecać, że biorę go niezmiernie poważnie i stroję miny, jak małpa udająca wielkiego człowieka... Niechże mi pani nie przerywa, Lizaweto! Zapewniam panią, że jestem nieraz śmiertelnie znużony przedstawianiem treści człowieka, nie mając w sobie nic z człowieka... Czy artysta jest w ogóle mężczyzną? Trzeba o to zapytać „kobietę"! Mnie się zdaje, że artyści podzielają trochę los owych spreparowanych śpiewaków papieskich... Śpiewamy wzruszająco pięknie. Jednakże...

— Powinien by się pan wstydzić trochę, Tonio. Proszę teraz na herbatę. Woda zagotuje się zaraz, a tu są papierosy. Stanął pan na śpiewaniu sopranem, jazda dalej. Ale powinien by pan się wstydzić. Gdybym nie wiedziała, z jak dumnym zapałem oddaje się pan swemu powołaniu...

— Niech pani nie mówi o „powołaniu", Lizaweto Iwanowna! Literatura nie jest w ogóle powołaniem, tylko przekleństwem, zapewniam panią. Kiedy zaczyna się czuć to przekleństwo? Wcześnie, straszliwie wcześnie. W czasie gdy należałoby słusznie żyć jeszcze w spokoju i zgodzie z Bogiem i światem. Człowiek zaczyna czuć się napiętnowanym, w zagadkowej sprzeczności z innymi, zwykłymi, porządnymi; przepaść ironii, niewiary, opozycji, poznania, uczucia, dzieląca od ludzi, pogłębia się coraz bardziej. Przychodzi samotność i odtąd nie ma już porozumienia. Co za los! Oczywiście, jeśli serce pozostało dość żywym, dość miłującym, by odczuć to jako okropność!... Samopoczucie wchodzi w stan zapalny, gdyż człowiek czuje wśród tysięcy znak na swoim czole i wie, że nie ujdzie niczyjej uwagi. Znałem genialnego aktora, który jako człowiek walczyć musiał z chorobliwą nieśmiałością i niepewnością. Powodem tego była w tym doskonałym artyście, a zubożałym człowieku przeczulona miłość własna wraz z brakiem roli i aktorskiego zadania... Artystę, prawdziwego artystę, nie zaś takiego, dla którego sztuka jest mieszczańskim zawodem, lecz predestynowanego i przeklętego, rozpozna wśród masy ludzkiej nawet mniej bystre oko. Poczucie odrębności i nieprzynależności, myśl, że patrzą nań i obserwują go, jednocześnie coś królewskiego i zakłopotanego widnieje w jego twarzy. Coś podobnego da się zauważyć w rysach księcia, który w cywilnym ubraniu znalazł się w tłumie. Ale żadne cywilne ubranie tu nie pomoże, Lizaweto! Choć artysta przebierze się, zamaskuje, choć włoży strój attaché lub porucznika gwardii na urlopie, wystarczy mu podnieść oczy lub przemówić słowo, aby wszyscy poznali, że to nie człowiek, tylko coś obcego, dziwnego, innego...

Ale c z y m j e s t właściwie artysta? Wobec żadnego pytania wygodnictwo i lenistwo umysłowe ludzi nie okazało się równie upartym jak tutaj. „Jest to dar", mówią pokornie poczciwi ludziska, znajdując się pod wrażeniem artysty, a ponieważ, ich dobrodusznym zdaniem, pogodne i wzniosłe wrażenia muszą bezwzględnie wypływać też z pogodnych i wzniosłych źródeł, więc nikt nie podejrzewa, że chodzi tu może o „dar" niezwykle źle uwarunkowany, niezwykle wątpliwy... Wiadomo, że artyści obrażają się łatwo, wiadomo też, że nie zdarza się to u ludzi z czystym sumieniem i mocno ugruntowanym samopoczuciem... Powiem pani, Lizaweto, że chowam na dnie duszy — w duchowej dziedzinie — w stosunku do typu artysty to samo p o d e j r z e n i e, jakie żywiłby każdy z mych czcigodnych przodków w ciasnym mieście północnym względem jakiegoś kuglarza czy wędrownego sztukmistrza, zjawiającego się w jego domu. Proszę posłuchać. Znam posiwiałego w swym zawodzie bankiera, który ma dar pisania nowel. Korzysta z tego daru w chwilach wywczasów i utwory jego są nieraz świetne. Pomimo tej wzniosłej zdolności — podkreślam „pomimo" — nie jest to człowiek zupełnie bez skazy; przeciwnie, odbył już ciężką karę więzienia, i to z uzasadnionych powodów. Ba, właściwie dopiero w celi uświadomił sobie swój talent i jego doświadczenia więzienne tworzą główny motyw całej jego twórczości. Można by stąd, z pewnym zuchwalstwem, wyciągnąć wniosek, że aby stać się poetą, trzeba w jakiego bądź rodzaju więzieniu czuć się u siebie w domu. Jednak czy nie narzuca się podejrzenie, że jego przeżycia w więzieniu nie mają może tak głębokiego związku z korzeniami i źródłem jego artyzmu, jak to, c o g o t a m z a p r o w a d z i ł o? — Bankier piszący nowele to rzadkość, prawda? Ale bankier niekryminalista, nieskazitelny i solidny, a pisujący nowele — t a k i s i ę n i e z d a r z a... Pani się śmieje, ja jednak tylko na pół mówię żartem. Nie ma na świecie problematu bardziej dręczącego niż problemat artyzmu i jego oddziaływania na ludzi. Weźmy na przykład cudowny utwór naj-

bardziej typowego i przeto najpotężniejszego artysty, weźmy tak miękkie i głęboko dwuznaczne dzieło jak „Tristan i Izolda" i rozważmy wpływ, jaki dzieło to wywiera na młodego, zdrowego, silnie i normalnie czującego człowieka. Zobaczymy podniesienie, pokrzepienie, ciepły, rzetelny zapał, może nawet bodziec do własnego „artystycznego" tworzenia. Poczciwy dyletant! W nas artystach wszystko wygląda gruntownie inaczej, niż wyobraża sobie ten człowiek „z ciepłym sercem" i „rzetelnym entuzjazmem". Widziałem artystów, których kobiety i młodzieńcy darzyli uwielbieniem, gdy ja o nich w i e d z i a ł e m... Co do źródeł, zjawisk towarzyszących i warunków artyzmu, dowiadujemy się ciągle najprzedziwniejszych rzeczy...

— W stosunku do innych — przepraszam, Tonio — czy też nie tylko do innych?

Zamilkł. Ściągnął skośne brwi i pogwizdywał.

— Tonio, proszę podać mi swą filiżankę. Herbata jest mocna. Niech pan zapali świeżego papierosa. Zresztą wie pan doskonale, że patrzy pan na rzeczy w sposób, w jaki nie musi sie na nie patrzeć koniecznie...

— Oto odpowiedź Horacja: „Tak patrzeć na rzeczy, znaczyłoby patrzeć zbyt dokładnie", prawda?

— Miałam na myśli, że można na nie patrzeć równie dobrze z innej strony, Tonio. Jestem sobie tylko głupią malarką i jeśli w ogóle potrafię panu coś odpowiedzieć, jeśli mogę wziąć przed panem w obronę własny pański zawód, to z pewnością nie wypowiem nic nowego, tylko przypomnę to, co pan sam wie doskonale... Więc jakże: oczyszczający, uświęcający wpływ literatury, burzenie namiętności przez poznanie i słowo, literatura jako droga do zrozumienia, przebaczenia i miłości, wyzwalająca moc mowy, duch literacki jako najszlachetniejsze zjawisko ducha ludzkiego w ogóle, literat jako człowiek doskonały, jako święty — jak to, takie patrzenie na rzeczy byłoby patrzeniem nie dość dokładnym?

— Ma pani prawo tak mówić, Lizaweto Iwanowna, zwłaszcza ze względu na dzieło waszych pisarzy, na godną uwiel-

bienia literaturę rosyjską, która właśnie tak słusznie przedstawia literaturę świętą, o jakiej pani mówi. Jednak nie pominąłem zarzutów pani, owszem, wiążą się one z tym, co mi dziś chodzi po głowie... Niech pani spojrzy na mnie. Nie wyglądam zbyt czerstwo, co? Trochę postarzały, rysy zaostrzone, zmęczony. Otóż, wracając do „poznania", wyobraźmy sobie człowieka, który wziąwszy z domu poczciwość, łagodę, dobroduszność i trochę sentymentalizmu, wskutek psychologicznego jasnowidztwa strawił się po prostu i zniszczył do cna. Nie dawać się smutkowi świata, obserwować, notować, robić uwagi, nawet najboleśniejsze, i być poza tym dobrej myśli, choćby w poczuciu moralnej wyższości nad ohydnym wynalazkiem istnienia — to ma swą wartość, oczywiście! Jednak niekiedy wszystko to, mimo całej przyjemności wyrazu, przerasta trochę człowieka. Wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć? Nie wiem. Istnieje coś, co nazwałbym ohydą poznania, Lizaweto. Jest to stan, kiedy człowiekowi wystarcza przejrzeć jakąś rzecz, by uczuć śmiertelny wstrząs, bezwzględnie wrogi pojednaniu — przykładem Hamlet, książę duński, ten typowy literat. Wiedział, co to znaczy być powołanym do wiedzy, a nie być do niej stworzonym. Widzieć jasno nawet jeszcze poprzez łzawą zasłonę uczucia, poznawać, zauważać, obserwować i być zmuszonym ciułać swe spostrzeżenia nawet w chwilach, gdy dłonie się ściskają, usta się znajdują, gdy gaśnie wzrok ludzki, oślepiony uczuciem — to bezecność, Lizaweto, to podłość, to oburza... ale cóż pomoże oburzenie? Inną, lecz zgoła nie mniej sympatyczną stroną sprawy jest oczywiście znudzenie, obojętność i ironiczne zmęczenie wobec wszelkiej prawdy, jako że faktem jest, iż nie ma na świecie bardziej niemej i beznadziejnej atmosfery, jak w kole ludzi inteligentnych, kutych na cztery nogi. Wszelkie poznanie jest stare i nudne. Jeśli wypowiesz jakąś prawdę, której zdobycie i posiadanie sprawia ci zapewne młodzieńczą radość, odpowiedzą ci na twoją prostacką przemądrzałość krótkim sapnięciem przez nos... Ach, literatura nuży, Lizaweto. Zapewniam panią,

że w ludzkim towarzystwie można dla wiecznego sceptycyzmu i osamotnienia myślowego uchodzić za głupca, gdy jest się przecie tylko dumnym i zniechęconym... Tyle o „poznaniu". Co się tyczy „słowa", chodzi tu może nie tyle o wyzwolenie, co o pozbycie się uczucia i oblanie go zimną wodą. Bez żartu: jest coś lodowatego, oburzająco zarozumiałego w tym nagłym i powierzchownym uwalnianiu się od uczucia za pomocą mowy literackiej. Jeśli człowiek ma serce wezbrane, jeśli czuje się zbyt przejęty słodkim i wzniosłym przeżyciem, nic prostszego! Idziesz do literata i w najkrótszym czasie wszystko będzie w porządku. Zanalizuje ci i sformułuje twoją sprawę, nazwie ją po imieniu, wypowie i zmusi do mówienia, załatwi i uczyni obojętną na wszystkie czasy i nie zażąda za to podzięki. Ty zaś wrócisz do domu z ulgą, ochłodą i jasną głową i będziesz się dziwić, jak ta rzecz mogła jeszcze przed chwilą niepokoić cię słodkim zamętem. I pani chce poważnie wziąć w obronę tego zimnego i próżnego szarlatana? Co jest wypowiedziane — tak brzmi jego wyznanie wiary — jest tym samym załatwione. Gdyby można było wypowiedzieć cały świat, świat byłby załatwiony, wyzwolony i sprawa skończona... Doskonale! Jednak nie jestem nihilistą...

— Nie jest pan... — rzekła Lizaweta. Właśnie podnosiła łyżeczkę z herbatą do ust i zastygła w tej postawie.

— No tak, no tak, niech pani wróci do siebie, Lizaweto! Nie jestem nim, powiadam, w stosunku do żywego uczucia! Zapewniam panią: literat nie rozumie w gruncie rzeczy, że życie będzie dalej żyło, że nie wstydzi się tego, choć zostało wypowiedziane i „załatwione". Tylko grzeszy nieodmiennie mimo wyzwolenia przez literaturę; gdyż wszelkie działanie jest w oczach ducha grzechem... Już kończę, Lizaweto... Proszę posłuchać. Kocham życie — oto moje wyznanie. Przyjmij je, pani, i zachowaj — nie uczyniłem go jeszcze nikomu. Powiedziano, a nawet napisano i wydrukowano, że nienawidzę życia, czy boję się go, czy gardzę i brzydzę się nim. Słuchałem tego chętnie; pochlebiało mi to, niemniej jednak jest to fałsz.

Kocham życie... Uśmiecha się pani, Lizaweto? Wiem, dlaczego. Ale zaklinam panią, proszę tego, co mówię, nie brać za literaturę! Niech pani nie myśli o Cezarze Borgii czy jakimś pijanym filozofie, który go wynosi pod niebo! Ten Cezar Borgia jest dla mnie niczym, gwiżdżę na niego i nie zrozumiem nigdy, jak można nadzwyczajność i demoniczność czcić jako ideał. Nie! Biorę „życie" jako wieczne przeciwstawienie ducha i sztuki — nie jako wizja krwawej wielkości i dzikiego piękna, nie jako nadzwyczajność przedstawia się ono nam nadzwyczajnym; tylko życie normalne, przyzwoite i miłe jest rajem naszej tęsknoty, jest życiem w swej pokuśnej banalności! Droga pani, daleko do artysty temu, którego ostatecznym i najgłębszym marzeniem jest wyrafinowanie, ekscentryczność i satanizm, który nie zna tęsknoty do tego, co spokojne, proste, żywe, do odrobiny przyjaźni, oddania, ufności i ludzkiego szczęścia — skrytej i trawiącej tęsknoty, Lizaweto, do rozkoszy codzienności!... Przyjaciel-człowiek! Czy uwierzy mi pani, że byłbym dumny i szczęśliwy, gdybym posiadał wśród ludzi przyjaciela? Ale dotychczas miałem przyjaciół tylko wśród demonów, koboldów, ciężkich potworów i w niemocie poznania tkwiących upiorów... Czasami staję na jakimś podium, znajduję się w jakiejś sali w obliczu ludzi, którzy przyszli, by mnie posłuchać. Wtedy spostrzegam niekiedy, że rozglądam się wśród publiczności, łapię się na tym, iż badam audytorium z pytaniem w sercu, kto są ci ludzie, którzy przyszli do mnie, których oklask lub podziękа przenika do mnie, z którymi sztuka moja jednoczy mnie idealnie... Nie znajduję tego, czego szukam, Lizaweto. Znajduję stado i gminę, którą znam dobrze, jakby zgromadzenie pierwszych chrześcijan: ludzi o niezgrabnych ciałach i delikatnych duszach, ludzi, którzy — że tak powiem — wiecznie padają, pani rozumie, i dla których poezja jest łagodną zemstą na życiu, zawsze tylko cierpiących i tęskniących, i biednych, nigdy zaś nikogo z owych innych, błękitnookich, Lizaweto, którzy nie potrzebują ducha!...

I czyż nie byłoby żałosną niekonsekwencją cieszyć się,

gdyby było inaczej? Gdyż niedorzecznością jest kochać życie, a jednak wszystkimi sposobami dążyć do tego, by przeciągnąć je na swą stronę, pozyskać je dla finezji i melancholii, dla całej chorej szlachty literackiej. Królestwo sztuki powiększa się, królestwo zaś zdrowia i niewinności maleje na ziemi. Należałoby to, co pozostało jeszcze, konserwować jak najtroskliwiej i nie powinno się wabić ku poezji tych, którzy daleko bardziej wolą czytać książki o koniach, ilustrowane migawkowymi zdjęciami... Boć ostatecznie, cóż byłoby żałośniejszego nad widok życia uprawiającego sztukę. My, artyści, nikim nie gardzimy bardziej niż dyletantem, człowiekiem żywym, który myśli, że poza tym będzie mógł być przy sposobności artystą. Zapewniam panią, że tego rodzaju pogarda należy do moich osobistych przeżyć. Znajduję się pewnego razu na przyjęciu w bogatym domu, ludzie jedzą, piją i gawędzą, wszyscy rozumieją się doskonale, czuję się rad i wdzięczny, że mogę na chwilę zniknąć wśród zwykłych, normalnych ludzi, jako im równy. Nagle (to mi się właśnie zdarzyło) wstaje pewien oficer, porucznik, przystojny i tęgi mężczyzna, którego nigdy nie podejrzewałbym o sposób postępowania niegodny jego honorowej szaty, i niedwuznacznymi słowy prosi o pozwolenie wygłoszenia kilku przez siebie napisanych wierszy. Towarzystwo z uśmiechem zakłopotania daje mu to pozwolenie i oficer spełnia swój zamiar, odczytując z kartki, którą dotąd ukrywał w kieszeni, swój utwór, coś tam o muzyce i miłości, rzecz równie głęboko odczutą, jak nie wywierającą żadnego wrażenia. Niechże pani jednak pomyśli. Porucznik! Władca świata! Doprawdy, chyba nie potrzebował tego!... No i stało się, co musiało się stać. Wydłużone twarze, milczenie, trochę sztucznych oklasków i głęboki niesmak dokoła. Pierwszym faktem psychicznym, który uświadamiam sobie, jest to, że czułem się współwinnym w zamieszaniu, które ten niebaczny młodzieniec wniósł w towarzystwo. I nie ma wątpliwości: również i mnie, któremu tamten wchodził w rzemiosło, dostają się szydercze i niechętne spojrzenia. Drugim faktem było, że człowiek ten,

dla którego stanowiska i charakteru żywiłem jeszcze przed chwilą wysoką cześć, zaczął nagle w mych oczach gwałtownie upadać... Przejęła mnie pełna współczucia życzliwość. Wraz z innymi serdecznymi i dobrodusznymi panami podchodzę doń i mówię: „Winszuję panu, panie poruczniku! Co za wspaniały talent! To było przepiękne!" Omal nie poklepałem go po plecach. Ale czy uczuciem, jakim powinno się darzyć porucznika, jest życzliwość?... Jego wina! Stał zakłopotany, pokutując ciężko za błąd, że poważył się uszczknąć jeden jedyny listek z wawrzynowego drzewa sztuki nie płacąc za to życiem. Pod tym względem zgadzam się z moim kolegą, bankierem-kryminalistą... Ale czy nie uważa pani, Lizaweto, że jestem dziś gadatliwy jak Hamlet?

— Czy pan już skończył?

— Nie. Ale nic już nie powiem.

— Wystarczy. Czy czeka pan odpowiedzi?

— Ma ją pani?

— Chyba. Słuchałam pana uważnie od początku do końca i dam panu odpowiedź, która przypada do wszystkiego, co pan dziś powiedział i rozwiązuje tak niepokojący pana problemat. A więc! Rozwiązaniem jest to, że jest pan w każdym calu po prostu mieszczuchem.

— Co? — spytał kuląc się trochę.

— Prawda? Mocno to pana dotknęło i nie może być inaczej. Toteż złagodzę trochę wyrzut, mogę to zrobić. Jest pan mieszczuchem na manowcach... mieszczuchem zbłąkanym.

Milczenie. Potem Kröger wstał, wziął kapelusz i laskę.

— Dziękuję pani, Lizaweto Iwanowna; teraz mogę iść spokojnie do domu. J e s t e m z a ł a t w i o n y.

Pod jesień rzekł Tonio Kröger do Lizawety Iwanowny:

— Wyjeżdżam, Lizaweto; muszę się przewietrzyć, wynoszę się, ruszam w świat.

— Jak to, batiuszka, wybiera się pan znów do Italii?

— Na Boga, niechże mi pani da pokój z Italią, Lizaweto! Dla Italii zobojętniałem aż do pogardy. Dawne to czasy, gdy wmawiałem w siebie, że tam przynależę. Sztuka, prawda? Aksamitny błękit nieba, ogniste wino i słodka zmysłowość... Krótko mówiąc, mam tego dość. Rezygnuję. Ta cała bellezza działa mi na nerwy. Nie znoszę też tamtejszych strasznie żywych ludzi o czarnym, zwierzęcym spojrzeniu. Ci Romanie nie mają sumienia w oczach. Nie, wybieram się na pewien czas do Danii.

— Do Danii?

— Tak. Obiecuję sobie dużo dobrego po tej podróży. Tylko przypadkiem nigdy tam nie dotarłem, choć w ciągu całej młodości byłem tak blisko granicy, a jednak od dawna znałem i kochałem ten kraj. Musiałem odziedziczyć tę skłonność północną po ojcu, gdyż matka moja wolała właściwie bellezzę, o ile wszystko nie było jej obojętne. Niech pani weźmie pisane tam książki, te głębokie, czyste i pełne humoru książki, Lizaweto; nie ma nic ponad nie, kocham je. Niech pani weźmie te skandynawskie obiady, te niezrównane kolacje, które znosi się tylko w mocno słonym powietrzu (nie wiem, czy zniosę je jeszcze w ogóle) i które znam trochę z domu, gdyż w moich stronach jada się już zupełnie tak samo. Niech pani weźmie tylko te nazwiska, te imiona, którymi ozdabiają się ludzie tamtejsi i z których już również wiele zadomowiło się u nas, zwłaszcza dźwięk „Ingeborga", harfiany akord nieskalanej poezji. A potem morze — mają tam Bałtyk!... Słowem, jadę tam, Lizaweto. Zobaczę znów Bałtyk, usłyszę znów te imiona, będę czytał te książki na miejscu; będę stał na tarasie w Kronborgu, gdzie zjawił się „duch" Hamletowi, ściągając nieszczęście i śmierć na biednego, szlachetnego młodzieńca.

— Jak pan jedzie, jeśli spytać wolno? Jaką obiera pan drogę?

— Zwykłą — rzekł wzruszając ramionami i zarumienił się wyraźnie. — Dotknę mego... mego punktu wyjścia, Lizaweto, po trzynastu latach, to może być bardzo komiczne.

Uśmiechnęła się.

— To właśnie chciałam usłyszeć. Jedź pan więc z Bogiem. A nie zapomni pan do mnie napisać, dobrze? Obiecuję sobie pełen przeżyć list z pańskiej podróży do... Danii.

I Tonio Kröger pojechał na północ. Podróżował z komfortem (mawiał bowiem, że człowiek, który dźwiga większy ciężar wewnętrzny niż inni ludzie, ma słuszne prawo do trochę większej wygody zewnętrznej) i spoczął, dopiero gdy wynurzyły się przed nim w szarym powietrzu wieże ciasnego miasta, z którego wyszedł. Tam zatrzymał się na krótki czas osobliwego pobytu.

Chmurne popołudnie przechodziło już w zmierzch wieczoru, gdy pociąg wjechał do wąskiej, zadymionej, tak dziwnie bliskiej mu hali; pod brudnym dachem szklanym wciąż jeszcze przewalał się w kłębach dym, snując się w wydłużonych strzępach, jak wówczas gdy Tonio Kröger wyjechał stąd nie mając w sercu nic prócz szyderstwa. Dopilnował bagażu, kazał dostarczyć go do hotelu i opuścił dworzec.

Na placu stały rzędem dwukonne, czarne, niezmiernie wysokie i szerokie dorożki miejskie! Nie wziął żadnej. Przyjrzał się im tylko, jak przyglądał się wszystkiemu, wąskim szczytom domów i strzelistym wieżom, które pozdrawiały go sponad dachów, jasnowłosym i gnuśno-prostackim ludziom, mówiącym szeroko a szybko, i budził się w nim nerwowy śmiech, tajemnie spokrewniony z łkaniem. Szedł pieszo, szedł powoli, pod nieustanny wiatr, szedł przez most, na którego poręczach stały mitologiczne posągi, szedł wzdłuż przystani.

Boże wielki! Jakże małe i ciasne wydało mu się to wszystko! Czyż te wąskie uliczki przez cały ten czas pięły się tak śmiesznie stromo ku miastu? Kominy i maszty okrętów chwiały się cicho w wietrze i zmierzchu na mętnej rzece. Miałże pójść tą ulicą, przy której leżał pewien dom? Nie, jutro. Był teraz taki

śpiący. Głowę miał ciężką od jazdy i powolne, mgliste myśli wałęsały się po niej.

Bywało w ciągu tych trzynastu lat, gdy zepsuł sobie żołądek, śniło mu się, że znowu znajduje się w starym, rozdźwięcznym domu przy stromej ulicy, że jest tam znów jego ojciec, wyrzucający mu zwyrodniały tryb życia, co każdym rązem uznawał za słuszne. I chwila obecna nie różniła się niczym od owych mamiących i nieprzerwanych majaków sennych, w których potrafimy się pytać, czy jest to złuda, czy rzeczywistość, z przekonaniem oświadczamy się za ostatnią i jednak budzimy się w końcu... Szedł mało uczęszczanymi, wietrznymi ulicami, schylając głowę pod wiatr, szedł jak lunatyk w kierunku pierwszorzędnego hotelu, gdzie chciał przenocować. Krzywonogi człowiek z drągiem, na którego końcu lśnił ogieniek, szedł przed nim kolebiącym krokiem marynarza i zapalał gazowe latarnie.

Co jednak czuł? Czym było to wszystko, co tliło tak ciemno i boleśnie pod popiołem jego znużenia, nie stając się jasnym płomieniem? Cicho, cicho i ani słowa! Żadnych słów! Chętnie by szedł tak dalej w wietrze przez mroczne, sennie swojskie ulice. Ale wszystko było tak ciasne i bliskie. Wnet stanął u celu.

W górnej części miasta były lampy łukowe i właśnie zapłonęły. Tam znajdował się hotel z dwoma czarnymi lwami, które leżały u wejścia i których bał się w dzieciństwie. Wciąż jeszcze patrzyły na siebie z miną, jakby chciały kichnąć; ale zdawało się, że od tego czasu zmalały. Tonio Kröger przeszedł między nimi.

Ponieważ przybył pieszo, przyjęto go nie bardzo uroczyście. Portier i bardzo elegancki, czarno ubrany pan, który czynił honory i bez przerwy wpychał krótkimi palcami mankiety do rękawów, mierzyli go badawczo i uważnie od stóp do głowy, usiłując widocznie odgadnąć jego stanowisko społeczne, określić stopień w hierarchii obywatelskiej i wyznaczyć miejsce w skali swego szacunku. Nie doszli jednak do uspokajających

wyników, skutkiem czego zdecydowali się na uprzejmość umiarkowaną. Kelner, łagodny człowiek o bokobrodach koloru chleba, w wyświeconym od starości fraku, z rozetami na cichych bucikach, poprowadził go schodami do czystego, po staroświecku umeblowanego pokoju, z którego okna roztaczał się w zmierzchu malowniczy, średniowieczny widok na podwórza, dachy i dziwaczny masyw kościoła sąsiadującego z hotelem. Tonio Kröger stał chwilę przy oknie, potem ze skrzyżowanymi rękoma usiadł na szerokiej kanapie, ściągnął brwi i pogwizdywał.

Wniesiono światło i pakunek gościa. Jednocześnie łagodny kelner położył na stole kartę meldunkową i Tonio Kröger, z przechyloną na bok głową, malował coś na niej, co wyglądało na nazwisko, zawód i miejsce, skąd przybył. Potem zamówił coś tam na kolację i patrzył dalej z kąta kanapy w próżnię. Gdy postawiono przed nim kolację, nie tykał jej długo, wreszcie zjadł kilka kęsów i jeszcze godzinę chodził po pokoju, przystając chwilami i zamykając oczy. Potem zaczął rozbierać się powoli i położył się do łóżka.

Spał długo, wśród zawiłych i dziwnie tęsknych snów.

Kiedy się zbudził, w pokoju był jasny dzień. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale opanował się szybko i wstał, by podnieść rolety. Na niebie blady błękit nieco późnego lata przetkany był strzępami cienkich, przez wiatr poskubanych obłoczków; ale słońce lśniło nad jego miastem rodzinnym.

Zabrał się z jeszcze większą niż zwykle starannością do toalety, umył się i ogolił najdokładniej i wyświeżył się tak, jakby miał złożyć wizytę w jakimś doskonale wzorowym domu, gdzie pragnął zrobić jak najlepsze, nienaganne wrażenie; i w ciągu ubierania się słuchał trwożnego bicia swego serca.

Za jasno było na dworze! Czułby się lepiej, gdyby, jak wczoraj, zmierzch zalegał ulice; musiał jednak na oczach ludzkich iść w jasnym blasku słońca. Czy natknie się na znajomych, którzy go zatrzymają, zaczną wypytywać, zmuszać do odpo-

wiedzi, jak spędził te trzynaście lat? Nie, dzięki Bogu! Nikt go już nie znał, a kto go pamiętał, nie poznałby, gdyż zmienił się w tym czasie naprawdę. Przyglądał się sobie uważnie w lustrze i nagle uczuł się pewniejszym pod maską swojej wcześnie zniszczonej twarzy, starszej niż jego lata... Kazał przynieść śniadanie, po czym wyszedł przez westybul i między dwoma lwami na ulicę, żegnany lekceważącymi spojrzeniami odźwiernego i wytwornego pana w czerni.

Dokąd szedł? Nie wiedział. Było tak samo jak wczoraj. Ledwo znalazł się w gmatwaninie tych dziwnie czcigodnych i znanych szczytów, wieżyczek, arkad i studni, ledwo uczuł na twarzy podmuch wiatru, silnego wiatru, który przynosił mu delikatną i cierpką woń dalekich snów, coś oprzędło myśli jego niby mglista zasłona... Mięśnie twarzy jego zwiotczały. Uciszonym wzrokiem obserwował ludzi i rzeczy. Na rogu ulicy jednak ocknął się...

Dokąd szedł? Miał wrażenie, jakby kierunek, który obrał, był w związku z jego smutnymi i pełnymi dziwnego żalu snami tej nocy... Szedł pod podcieniami ratusza, gdzie rzeźnicy krwawymi rękami ważyli swój towar, na rynek, gdzie stała wysoka, strzelista, wieloboczna studnia. Tam zatrzymał się przed wąskim, pełnym prostoty domem o powyginanym, ażurowym szczycie i pogrążył się w jego kontemplacji. Przeczytał tabliczkę na drzwiach i patrzył kolejno przez chwilę na każde z okien. Potem odwrócił się powoli i poszedł dalej.

Dokąd szedł? Do domu. Ale obrał drogę okolną, powlókł się za bramę miejską, bo miał czas. Minął Mühlenwall i Holstenwall, przytrzymując mocno kapelusz w wietrze, który szumiał i skrzypiał w drzewach. Niedaleko dworca opuścił wały, patrzył na pociąg sapiący tuż w niezgrabnym pośpiechu, przeliczył dla rozrywki wagony i spojrzał na człowieka, który siedział w górze ostatniego. Na placu Lipowym zatrzymał się przed jedną z ładnych will, długo wpatrywał się w ogród i okna i poruszył furtą, która zaskrzypiała w zawiasach. Potem przyglądał się swej dłoni, która zziębła i zbrudziła się rdzą,

i poszedł dalej przez starą, przysadzistą bramę, brzegiem przystani, stromą, wietrzną uliczką ku domowi rodziców.

Dom ten, nad którym domy sąsiednie panowały swymi szczytami, stał szary i poważny jak przed trzystu laty. Tonio Kröger przeczytał pobożne zdanie widniejące nad wejściem na pół zatartymi literami. Potem westchnął i wszedł.

Serce mu biło trwożnie, gdyż miał wrażenie, że z jakichś drzwi przyziemia, obok których przechodził, może nagle wyjść jego ojciec w biurowej kurtce i z piórem za uchem, zatrzymać go i zażądać wytłumaczenia się z dziwacznego życia, co uznałby za zupełnie słuszne. Drzwi zewnętrzne nie były zamknięte, tylko przyparte, co uznał za godne nagany, mając jednocześnie wrażenie, jakiego doznaje się w niektórych snach, gdzie przeszkody ustępują same i człowiek posuwa się naprzód, wiedziony przez dziwnie mu sprzyjające szczęście... Szeroka sień, wyłożona wielkimi, czworobocznymi żabicami, brzmiała echem jego kroków. Naprzeciw kuchni, w której panowała cisza, jak dawniej występowały ze ściany w znacznej wysokości dziwne, niezgrabne, ale czysto pomalowane komórki drewniane dla dziewcząt służebnych, dokąd można było dostać się z sieni tylko po czymś w rodzaju drabiny. Ale nie było widać wielkich szaf i wypukłorzeźbej skrzyni, które tu kiedyś stały... Syn domu wchodził na olbrzymie schody i opierał się o biało lakierowaną, ażurową poręcz, podnosząc i opuszczając rękę wolno za każdym krokiem, jakby próbował, czy dawna zażyłość z tą starą, mocną poręczą da się wskrzesić... Na skręcie schodów stanął przed wejściem na półpiętrze. Na drzwiach znajdowała się biała tablica, na której czarnymi literami widniał napis: Biblioteka Ludowa.

„Biblioteka Ludowa?" — pomyślał Tonio Kröger, który uważał, że ani lud, ani literatura nie mają tam czego szukać. Zapukał do drzwi... Usłyszał „proszę" i wszedł. Ciekawie i chmurnie patrzył na ogromnie niewłaściwą odmianę.

Kondygnację tworzyły trzy pokoje otwarte w amfiladzie. Ściany na całej niemal wysokości pokryte były jednakowo

oprawionymi książkami, stojącymi na półkach w długich szeregach. W każdym pokoju siedział za pewnego rodzaju ladą mizerny człowiek i pisał. Dwóch z nich odwróciło tylko głowy, lecz pierwszy wstał szybko, oparł się obiema rękami o blat stołu, wysunął głowę, zaostrzył wargi, ściągnął brwi i wlepił w przybysza szybko mrugające oczy...

— Przepraszam — rzekł Tonio Kröger nie odwracając oczu od mnóstwa książek. — Jestem przyjezdny, oglądam miasto. Więc to jest biblioteka ludowa? Pozwoli mi pan rzucić okiem na ten zbiór książek?

— Bardzo chętnie! — rzekł urzędnik mrugając jeszcze bardziej. — Oczywiście, każdy ma prawo. Raczy pan się rozejrzeć... Czy mogę służyć katalogiem?

— Dziękuję — odparł Tonio Kröger. — Orientuję się łatwo. — I jął zwolna chodzić wzdłuż ścian, udając, jakby studiował tytuły na grzbietach książek. Wreszcie wyjął tom, otworzył go i stanął z nim w oknie.

Była to mała jadalnia. Tu spożywano rano śniadanie, nie w wielkiej jadalni na górze, gdzie z niebieskich tapet występowały białe posągi bogów... Tam dalej była sypialnia. Tam umarła matka jego ojca, umarła wśród ciężkich walk mimo starości, gdyż była wesołą, światową damą i kochała życie. Później oddał tam ostatnie tchnienie jego ojciec, wysoki, poprawny, nieco smutny i zamyślony pan z kwiatem polnym w butonierce... Tonio siedział w nogach jego łóżka z gorączką w oczach, uczciwie, całkowicie oddany niememu i silnemu uczuciu miłości i bólu. Także i matka klęczała przy łóżku, jego piękna i ognista matka, tonąc w gorących łzach; po czym z południowym artystą ruszyła w świat. Jeszcze dalszy, mały, trzeci pokój, również przepełniony książkami, których pilnował mizerny człowiek, był przez długie lata jego pokojem. Tam wracał po szkole, po odbytej jak teraz przechadzce, pod ową ścianą stało jego biurko, w którego szufladzie przechowywał pierwsze, serdeczne i bezsilne wiersze... Stary orzech... Uczuł dojmujący smutek... Wyjrzał przez okno. Ogród zdziczał, ale

stary orzech stał na swym miejscu, skrzypiąc i szumiąc posępnie w wietrze. Tonio Kröger spojrzał znów na książkę, którą trzymał w ręce, wybitny i znany mu utwór poetycki. Patrzył na te czarne wiersze i ustępy, podążał przez chwilę za kunsztownym tokiem tekstu, który wśród twórczego żaru zmierzał do pointy i kończył się efektownie.

— To dobrze zrobione — rzekł, odłożył książkę i odwrócił się. Wtedy ujrzał, że urzędnik wciąż jeszcze stoi wyprostowany, mrugając oczyma z wyrazem służbistości i poważnej nieufności.

— Doskonały zbiór, jak widzę — rzekł Tonio Kröger. — Rozejrzałem się trochę. Jestem panu wielce zobowiązany. Do widzenia.

I wyszedł; ale wyjściu temu towarzyszyła wątpliwość i Tonio czuł, że urzędnik, pełen niepokoju z powodu tych odwiedzin, będzie jeszcze kilka minut stał i mrugał oczyma.

Nie miał ochoty iść dalej. Wszak był już w domu. Na górze, w wielkich pokojach za kolumnową salą, mieszkali, jak widział, obcy ludzie, gdyż szczyt schodów zamykały drzwi szklane, których dawniej nie było i na których widniała jakaś tabliczka z nazwiskiem. Wrócił, zszedł po schodach, minął głośną sień i opuścił dom rodzicielski. W zakątku jakiejś restauracji zjadł w zamyśleniu ciężki, tłusty obiad i wrócił do hotelu.

— Jestem gotów — rzekł do wytwornego pana w czerni. — Wyjeżdżam po południu.

Kazał podać sobie rachunek, zamówił powóz, który miał go odwieźć do przystani, skąd miał parowcem ruszyć do Kopenhagi. Potem poszedł do swego pokoju, siadł przy stole, siedział cicho i prosto, opierając policzek na ręce i patrząc niewidzącymi oczyma na blat stołu. Następnie wyrównał rachunek i spakował rzeczy. O oznaczonym czasie zajechał powóz i Tonio Kröger zszedł na dół.

U stóp schodów czekał nań wytworny pan w czerni.

— Pan wybaczy! — rzekł wpychając krótkimi palcami man-

kiety w rękawy. — Pan wybaczy, że jesteśmy zmuszeni zabrać panu jeszcze minutkę czasu. Pan Seehaase, właściciel hotelu, pragnąłby zamienić z panem dwa słówka. Mała formalność... Znajduje się tam w głębi... Zechce pan łaskawie pofatygować się... Jest tam t y l k o pan Seehaase, właściciel hotelu.

I wśród zapraszających gestów zaprowadził Tonia Krögera w głąb westybulu. Istotnie stał tam pan Seehaase. Tonio znał go z widzenia z dawnych czasów. Był mały, tłusty, krzywonogi. Przystrzyżone jego bokobrody posiwiały; ale wciąż jeszcze nosił wycięty surdut frakowy i zieloną haftowaną czapeczkę z aksamitu. Poza tym nie był sam. Obok niego, przy małym, do ściany przymocowanym pulpicie, stał w hełmie na głowie policjant, który opierał urękawicznioną prawicę na leżącym na pulpicie barwnie zapisanym papierze i uczciwym wzrokiem żołnierskim tak patrzył na Tonia Krögera, jakby spodziewał się, że ten na jego widok zapadnie się w ziemię.

Tonio Kröger spoglądał to na jednego, to na drugiego i czekał.

— Pan przybywa z Monachium? — spytał wreszcie policjant dobrodusznym, ociężałym głosem.

Tonio Kröger dał odpowiedź potwierdzającą.

— Jedzie pan do Kopenhagi?

— Tak jest, jadę do kąpieliska duńskiego.

— Do kąpieliska? Musi pan pokazać swe dokumenty — rzekł policjant wymawiając ostatnie słowo z szczególną satysfakcją.

„Dokumenty"... Nie miał dokumentów. Wyjął portfel i zajrzał doń; ale prócz kilku banknotów znalazł w nim tylko korektę noweli, którą zamierzał załatwić u celu podróży. Nie lubił styczności z urzędnikami i nigdy dotąd nie wyrabiał sobie paszportu.

— Przykro mi — rzekł — ale nie mam przy sobie żadnych dokumentów.

— Tak? — rzekł policjant. — Żadnych? Pańskie nazwisko? Podał je.

— A czy to prawda? — spytał policjant wyciągając szyję i otworzył nagle nozdrza, jak mógł najszerzej...

— Najzupełniej — odparł Tonio Kröger.

— Jaki jest pański zawód?

Tonio Kröger przełknął ślinę i wymienił pewnym głosem swój fach. Pan Seehaase podniósł głowę i ciekawie zajrzał mu w twarz.

— Hm — rzekł policjant. — I pan zaprzecza tożsamości z pewnym indywiduum nazwiskiem...

Rzekł „indywiduum" sylabizując następnie z barwnego papieru zawiłe i romantyczne nazwisko, które zdawało się zmieszane fantastycznie z dźwięków różnych ras i które Tonio Kröger w najbliższej chwili znowu zapomniał.

— ...indywiduum, które, pochodząc od niewiadomych rodziców i będąc nieznanego pochodzenia, ścigane jest wskutek rozmaitych oszustw i innych przestępstw przez policję monachijską i znajduje się w drodze do Danii.

— Przeczę temu — rzekł Tonio Kröger wzruszając nerwowo ramionami. Sprawiło to pewne wrażenie.

— Tak? No, oczywiście! — rzekł policjant. — Ale nie może też pan przedstawić żadnych dokumentów!

Również pan Seehaase pragnął załagodzić sprawę.

— Wszystko to jest tylko drobną formalnością — rzekł — niczym więcej! Pan zechce zważyć, że urzędnik spełnia tylko swą powinność. Gdyby pan mógł się czymś wylegitymować... Jakiś papier...

Zapadło milczenie. Miałże położyć kres tej całej sprawie dając się poznać, oświadczając panu Seehaase, że nie jest szalbierzem nieokreślonej przynależności, nie jest Cyganem na zielonym wozie, tylko synem konsula Krögera z rodu Krögerów? Nie, nie miał ochoty. I czyż ci przedstawiciele ładu społecznego nie mieli w gruncie rzeczy trochę słuszności? Poniekąd zgadzał się z nimi... Wzruszył ramionami i milczał.

— Co pan tu ma? — spytał policjant. — Tu w portfelu?
— Tu? Nic. Korektę — odparł Tonio Kröger.
— Korektę? Jaką? Niech no pan pokaże.

Tonio Kröger podał mu swą pracę. Policjant rozpostarł ją na pulpicie i zaczął czytać. Zbliżył się również pan Seehaase i wziął udział w lekturze. Tonio Kröger patrzył na nich przez ramię i obserwował, jak studiują ustęp. Był to ciekawy moment, pointa i efekt, doskonale wypracowane. Był z siebie rad.

— Widzi pan — rzekł. — Pod spodem jest moje nazwisko. Napisałem to i teraz wydaję drukiem. Rozumiecie, panowie?

— To wystarczy — rzekł pan Seehaase stanowczo, zgarnął kartki, zwinął je i oddał właścicielowi. — To musi wystarczyć, panie Petersen! — powtórzył krótko, zamykając ukradkiem oczy i potrząsając odmownie głową. — Nie możemy pana dłużej zatrzymywać. Powóz czeka. Szanowny pan raczy wybaczyć tę drobną nieprzyjemność. Urzędnik spełnił tylko swój obowiązek, ale powiedziałem mu natychmiast, że jest na fałszywym tropie.

„Tak?" — pomyślał Tonio Kröger.

Policjant zdawał się być jeszcze trochę innego zdania; bąknął coś jeszcze o „indywiduum" i „dokumencie". Ale pan Seehaase, wśród nieustannych wyrazów ubolewania, odprowadził swego gościa przez westybul, między dwoma lwami do powozu i zamknął sam za nim drzwiczki z oznakami szacunku. Po czym śmiesznie wysoka i szeroka dorożka potoczyła się podskakując, szczękając i turkocąc przez strome uliczki do przystani...

Taki był dziwny pobyt Tonia Krögera w mieście rodzinnym.

Zapadła noc i wśród srebrno-płynnej poświaty wzbijał się księżyc, gdy okręt Tonia Krögera wypłynął na pełne morze.

Tonio stał na przodzie okrętu, otulony w płaszcz na wzmagającym się wietrze, i spoglądał na ciemną wędrówkę i gonitwę silnych, gładkich fal, które kłębiły się, zderzały z pluskiem, rozstrzelały w różnych kierunkach, nagle rozjaśniając się pianą.

Był w nastroju rozkołysanym, pełnym cichego zachwytu. Trochę przygnębiony, że w mieście rodzinnym chciano uwięzić go jako szalbierza, choć poniekąd uważał, że wszystko było w porządku. Ale gdy wsiadł na okręt, przypatrywał się, jak to czynił w dzieciństwie z ojcem, ładowaniu towarów, którymi wśród okrzyków w mieszanej gwarze duńsko-niemieckiej napełniano głęboki brzuch okrętu, i widział, jak poza pakami i skrzyniami spuszczano w grubo okratowanych klatkach niedźwiedzia polarnego i królewskiego tygrysa, które widocznie przybyły z Hamburga i przeznaczone były dla jakiejś duńskiej menażerii; i to go rozerwało. Gdy potem okręt sunął między płaskimi brzegami wzdłuż rzeki, zapomniał zupełnie o przesłuchaniu go przez policjanta Petersena i o wszystkim, co było poprzednio, o swych słodkich, smutnych i pełnych żalu snach nocnych, o odbytej przechadzce, o starym orzechu włoskim, i znów się wzmocnił na duchu. I teraz, gdy otwierało się przed nim pełne morze, widział z daleka brzeg, na którym jako chłopak podsłuchiwał letnie sny morza, widział blask latarni morskiej, światła zakładu kąpielowego, w którym mieszkał z rodzicami... Bałtyk! Podał głowę pod silny, słony wiatr, który dął swobodnie i bez przeszkody, owiewał mu uszy i wywoływał łagodny zawrót głowy, stłumione ogłuszenie, w którym leniwie i błogo ginęła pamięć o wszystkim złym, o udrękach i błędach, o zamiarach i trudach. I w syku, plusku, huku i jęku dokoła słyszał, jak mu się zdało, szum i skrzypienie starego orzecha, zgrzyt furty ogrodowej... Ciemniało coraz bardziej.

— Niechże pan tylko spojrzy na gwiozdy — z ociężale śpiewnym akcentem rzekł nagle jakiś głos, zdający się płynąć z głębi beczki. Znał go już. Należał do ryżego, z prosta

ubranego człowieka z zaczerwienionymi powiekami i o wilgotno-zimnym wyglądzie, jakby się dopiero wykąpał. Przy kolacji w kajucie był sąsiadem Tonia Krögera i pochłaniał wśród lękliwie-skromnych ruchów zdumiewające ilości omletu z homarem. Teraz stał obok niego oparty o poręcz i spoglądał w niebo, obejmując podbródek kciukiem i palcem wskazującym. Niewątpliwie znajdował się w jednym z owych niezwykłych i uroczyście-kontemplacyjnych nastrojów, kiedy to znikają granice między ludźmi, serce otwiera się nawet przed obcymi, a usta mówią rzeczy, dla których zwykle zamykają się wstydliwie.

— Niechże pan spojrzy przecie na gwiozdy. Błyszczą i Bóg wie, ile ich jest. I proszę pana, jeśli człowiek spojrzy w górę i pomyśli se, że jest wśród nich wiele takich, co są sto razy większe od ziemi, to w głowie się mąci. Ludzie wynaleźli telegrafy, telefony i tyle rzeczy, które są zdobyczami nowych czasów, to prawda. Ale gdy spojrzymy w górę, musimy przyznać, że w gruncie rzeczy jezdeśmy robakami, nędznymi robakami i koniec — tak, czy nie tak, proszę ja pana? Jezdeśmy robakami! — odpowiedział sam sobie, kiwając w pokorze i skrusze głową ku firmamentowi.

„O nie, ten nie jest wypchany literaturą!" — pomyślał Tonio Kröger. I natychmiast przypomniał sobie coś, co czytał niedawno: rozprawę sławnego literata francuskiego o kosmologicznym i psychologicznym poglądzie na świat; była to bardzo zręczna gadanina.

Udzielił młodemu człowiekowi czegoś na kształt odpowiedzi na jego głęboko przeżytą uwagę, po czym rozmawiali dalej, oparci o poręcz i wpatrzeni w niespokojnie oświetlony, migotliwy wieczór. Okazało się, że młody towarzysz podróży był kupcem hamburskim, który korzystając z urlopu przedsięwziął tę wycieczkę...

— Przejedź się trochę statkiem do Kopenhagi, pomyślałem sobie, więc jezdem tu i wszystko to bardzo pięknie. Ale ten omlet z homara, panie, nie był potrzebny, zobaczy pan, bo noc

będzie burzliwa, sam kapitan powiedział, a taka niestrawna potrawa w żołądku to nie żarty...

Tonio Kröger słuchał tych uprzejmych głupstw z uczuciem kryjomej życzliwości.

— Tak jest — rzekł — w ogóle tu na północy jest kuchnia za ciężka. To robi człowieka leniwym i smutnym.

— Smutnym? — powtórzył młodzieniec patrząc nań ze zdziwieniem... — Pan pewnie nietutejszy? — spytał nagle.

— Tak, przybywam z daleka! — odparł Tonio Kröger z nieokreślonym i niechętnym gestem.

— Ale ma pan słuszność — rzekł młodzieniec. — Dalibóg, ma pan słuszność co do tego smutku! Jezdem prawie zawsze smutny, ale zwłaszcza w takie wieczory jak dziś, kiedy gwiazdy błyszczą na niebie. — I podparł znów podbródek kciukiem i palcem wskazującym.

„Z pewnością pisuje wiersze — pomyślał Tonio Kröger — głęboko i uczciwie odczute wiersze kupieckie..."

Zrobiło się późno i wiatr stał się tak gwałtowny, że przeszkadzał w rozmowie. Postanowili więc przespać się trochę i powiedzieli sobie dobranoc.

Tonio Kröger wyciągnął się w swej kajucie na wąskim łóżku, ale nie mógł zasnąć. Surowy wiatr i jego cierpki zapach rozdrażniły go dziwnie i serce biło mu niespokojnie, jakby w trwożnym oczekiwaniu jakiejś słodyczy. Wstrząśnienia powstające każdym razem, gdy okręt zjeżdżał ze stromej góry wodnej i śruba pracowała jakby kurczowo ponad wodą, wywoływały w nim przykre mdłości. Ubrał się znów całkowicie i wyszedł na powietrze.

Chmury gnały mijając księżyc. Morze tańczyło. Nie było okrągłych, równomiernych, w porządku nadbiegających fal, tylko wszędzie dokoła, w bladym migocie światła, było morze potargane, smagane, skłębione, wyrzucało na kształt płomieni ostre, liżące jęzory, tworzyło obok pienistych przepaści rosochate, nieprawdopodobne stwory i zdawało się w szalonej igraszce rozrzucać siłą olbrzymich rąk pianę na wszystkie

strony. Okręt pracował z trudem; łomocąc i dygocąc, pruł się z jękiem wśród wrzawy i od czasu do czasu słychać było niedźwiedzia i tygrysa, które cierpiąc od gwałtownych fal, ryczały w dole. Człowiek w ceratowym płaszczu, z kapturem na głowie, z latarnią przytwierdzoną do pasa, stąpał szeroko po pokładzie, utrzymując z trudem równowagę. Z tyłu zaś stał przechylony przez poręcz młody kupiec z Hamburga, męcząc się w mdłościach.

— O, Boże — rzekł pustym, chwiejnym głosem, ujrzawszy Tonia Krögera — toż to istny bunt żywiołów, panie łaskawy.

Lecz musiał przerwać i odwrócił się szybko.

Tonio Kröger trzymał się jakiejś naprężonej liny i spoglądał w nieposkromione zamęty. Czuł w sobie krzyk radości, dość silny, jak mu się zdało, by zagłuszyć burzę i szał wód. Brzmiała w nim miłością natchniona pieśń do morza. „O dziki mej młodości druhu, znowu jesteśmy z sobą razem..." Lecz na tym poemat się kończył. Nie był gotów, nie był zaokrąglony i spokojnie w całość wykuty. Serce jego żyło...

Stał tak długo; potem wyciągnął się na ławce przy budce wiodącej do kajut i patrzył w niebo, na którym migotały gwiazdy. Zdrzemnął się nawet na chwilę. I kiedy zimna piana bryznęła mu w twarz, odczuwał to w półśnie jako pieszczotę.

Prostopadłe ściany kredowe, upiorne w świetle księżyca, ukazały się i zbliżały powoli; była to wyspa Möen. I znowu nastąpiła drzemka przerywana słonymi bryzgami, które gryzły i mroziły twarz... Gdy ocknął się zupełnie, był już dzień, jasnoszary, chłodny dzień, i zielone morze było spokojniejsze. Przy śniadaniu ujrzał znów młodego kupca, który zarumienił się gwałtownie (prawdopodobnie ze wstydu, że w ciemności wygadywał rzeczy tak poetyczne i naganne); wszystkimi pięciu palcami podkręcał rudawe wąsy i rzucił mu żołnierskoostre pozdrowienie, by go potem trwożnie unikać.

I Tonio Kröger wylądował w Danii. Przybył do Kopenhagi, dawał napiwek każdemu, kto miał minę, jakby rościł sobie do niego pretensję, przez trzy dni robił z hotelu wycieczki po

mieście trzymając przed sobą otwarty przewodnik i zachowywał się zupełnie jak przyzwoitszy cudzoziemiec, pragnący wzbogacić swą wiedzę. Obejrzał Nowy Rynek Królewski i „Konia" pośrodku, patrzył z szacunkiem na kolumny kościoła Panny Marii, stał długo przed szlachetnymi i miłymi rzeźbami Thorwaldsena, wszedł na Okrągłą Wieżę, zwiedził zamki i spędził dwa wesołe wieczory w Tivoli. Ale właściwie nie tylko to widział.

Na domach, które często wygiętymi, ażurowymi szczytami zupełnie przypominały stare domy jego miasta rodzinnego, widział nazwiska, które znane mu były z dawnych czasów i zdawały się określać coś subtelnego i wspaniałego, zawierając przy tym w sobie coś jakby wyrzut, skargę i tęsknotę za światem utraconym. I wdychając powoli, z namysłem wilgotne powietrze morskie, widział wszędzie oczy tak błękitne, włosy tak jasne, twarze tak zbudowane, jak w dziwnych, bolesnych i pełnych żalu snach owej nocy spędzonej w mieście rodzinnym. Zdarzało się, że na ulicy jakieś spojrzenie, jakieś dźwięczne słowo, jakiś śmiech przejmował go do głębi...

Nie zagrzał miejsca w wesołym mieście. Słodki i niedorzeczny niepokój — na pół wspomnienie, na pół oczekiwanie — nurtował go wraz z pragnieniem, aby leżeć cicho gdzieś na plaży, nie musieć udawać wypytującego się pilnie turysty. Więc wsiadł znowu na okręt i pewnego szarego dnia (morze było czarne) pojechał wzdłuż brzegu Zelandii do Helsingör. Stamtąd jechał jeszcze trzy kwadranse powozem po szosie zawsze trochę ponad morzem, aż stanął u ostatniego i właściwego celu; był nim biały hotel kąpielowy z zielonymi okiennicami, stojący wśród skupienia małych domków, patrzący drewnianą wieżą na Sund i szwedzkie wybrzeże. Tu wysiadł, zajął jasny pokój, który dlań przygotowano, rozmieścił manatki w komodzie i szafie, pragnąc spędzić tu pewien czas.

Zbliżał się wrzesień; w Aalsgaard nie było już dużo ludzi. W dużej, o belkowanym suficie, na parterze leżącej jadalni, której wysokie okna wychodziły na werandę i morze, prezydowała zawsze gospodyni, stara panna, która miała siwe włosy, bezbarwne oczy, lekko zaróżowione policzki, słaby głos świegotki i starała się zawsze w sposób efektowny układać na obrusie czerwone ręce. Był tam stary pan o krótkiej szyi, z szarymi bokobrodami marynarza i siną twarzą, handlarz ryb ze stolicy, władający językiem niemieckim. Zdawał się być zupełnie zatkany i mieć skłonność do apopleksji, gdyż dyszał krótko, z przerwami, od czasu do czasu podnosił wskazujący palec z sygnetem do nosa i zatykał jedną z dziurek, by silnym sapnięciem dostarczyć drugiej trochę powietrza. Niemniej zaglądał pilnie do butelki z okowitą, która stała przed nim przy śniadaniu, obiedzie i kolacji. Poza tym byli tam jeszcze trzej rośli amerykańscy młodzieńcy z wychowawcą czy nauczycielem domowym, który w milczeniu poprawiał swe okulary i przez cały dzień grał z nimi w piłkę nożną. Rude ich włosy przedzielone były w środku; wszyscy mieli długie, nieruchome twarze. „Please, give me the wurst-things there!" — mówił jeden. — That's not wurst, that's schinken!" — mówił drugi i to było wszystko, co zarówno oni jak nauczyciel wnosili do rozmowy; gdyż poza tym siedzieli cicho i pili gorącą wodę.

Tonio Kröger nie pragnął innego towarzystwa. Używał spokoju, przysłuchiwał się duńskim, gardłowym dźwiękom, jasnym i nieczystym samogłoskom, którymi porozumiewał się niekiedy handlarz ryb z gospodynią, zamieniał kiedy niekiedy z pierwszym kilka słów o stanie barometru i wstawał, by udać się przez werandę znowu na brzeg, gdzie rano spędził już długie godziny.

Niekiedy było tam cicho i błogo jak w lecie. Morze, leniwe i gładkie, spoczywało w smugach błękitu, zieleni i czerwieni, obsiane srebrnie migocącymi blaskami, wodorosty wysychały w słońcu jak siano, tu i ówdzie leżały chełbie parując.

Pachniało trochę zgnilizną, a trochę smołą łodzi rybackiej, o którą Tonio, siedząc na piasku, opierał się plecami, zwrócony w ten sposób, że miał przed oczyma nie szwedzki brzeg, lecz otwarty widnokrąg; ale ciche tchnienie morza owiewało wszystko czystością i świeżością.

I nastąpiły dnie szare, burzliwe. Fale schylały głowy, jak byki nadstawiając rogi do ciosu, i waliły z wściekłością w brzeg, który, jak okiem sięgnąć, był schlustany i pokryty lśniącą od wilgoci trawą morską, muszlami i naniesionym drzewem. Wśród wydłużonych wzgórków fal rozpościerały się pod omglonym niebem zielonawo-pieniste dolinki; ale tam, gdzie za chmurami kryło się słońce, leżał na wodzie białawo-aksamitny blask.

Tonio Kröger stał spowity wiatrem i hukiem, zatopiony wiecznym, ciężkim, ogłuszającym hałasem, który tak bardzo kochał. Kiedy odwracał się i odchodził, wydawało się nagle dokoła niego spokojnie i ciepło. Ale poza nim, wiedział, było morze; wzywało, wabiło, pozdrawiało. I uśmiechał się.

Szedł w głąb lądu, drogami wśród łąk, i wnet przyjmował go w swe łono bukowy las, ciągnący się daleko falistymi wzgórzami. Siadał na mchu, oparty o drzewo, tak że dostrzegał wśród pni pas morza. Niekiedy wiatr donosił doń hałas kipieli, który czynił wrażenie, jakby w oddali padały na siebie deski. Wrzask wron nad wierzchołkami drzew, zachrypły, dziki, zgubiony... Trzymał książkę na kolanach, ale nie czytał ani wiersza. Rozkoszował się głębokim zapomnieniem, swobodnym bujaniem ponad przestrzenią i czasem i tylko niekiedy zdawało się, jakby serce jego przenikał ból, krótkie, przeszywające uczucie tęsknoty czy żałości, którego pytać o miano i źródło był zbyt leniwy i pochłonięty.

Tak minęło wiele dni, nie potrafiłby powiedzieć, ile, i nie pragnął tego wiedzieć. Potem jednak nadszedł dzień, kiedy coś się zdarzyło; zdarzyło się w czasie, gdy słońce świeciło na niebie i ludzie byli obecni, i Tonio Kröger nie był tym nawet tak nadzwyczajnie zdziwiony.

Już początek dnia układał się w sposób uroczysty i zachwycający. Tonio Kröger zbudził się bardzo wcześnie i zupełnie nagle zerwał się ze snu z jakimś nieokreślonym strachem, sądząc, że widzi cud, bajecznie czarodziejskie światło. Pokój jego, którego szklane drzwi i balkon wychodziły na Sund i który przedzielony był cienką, białą zasłoną gazową na salon i sypialnię, posiadał barwiste tapety i lekkie, jasne meble, tak że czynił zawsze wrażenie jaśni i pogody. Teraz oczy jego ujrzały ten pokój w nieziemskiej poświacie i iluminacji, zalany niewysłownie słodkim a wonnym blaskiem różanym, który złocił ściany i meble i zmieniał zasłonę gazową w łagodną czerwoną pożogę... Tonio Kröger nie mógł długo zrozumieć, co się stało. Gdy jednak stanął u drzwi szklanych i wyjrzał, przekonał się, że to wschodzi słońce.

Kilka dni było pochmurnie i dżdżysto; teraz jednak niebo roztaczało napięty, bladobłękitny jedwab, lśniący przeczysto nad wodą i lądem, i tarcza słoneczna, pocięta i otoczona czerwono i złoto przeświecającymi chmurami, wschodziła uroczyście nad migocącym, kędzierzawym morzem, które zdawało się pod nim drżeć dreszczem i płonąć... Tak zaczął się dzień. Tonio, pomieszany i szczęśliwy, ubrał się szybko, spożył przed innymi śniadanie na werandzie, następnie z małej drewnianej budki kąpielowej wypłynął kawałek na Sund, po czym odbył godzinną przechadzkę po wybrzeżu. Kiedy wrócił, przed hotelem stało kilka pojazdów w rodzaju omnibusów i Tonio spostrzegł z jadalni, że zarówno w przyległym salonie, gdzie stał fortepian, jak na werandzie i tarasie przed nią, siedziało przy okrągłych stolikach mnóstwo z waszecia ubranych ludzi i wśród żywych pogwarków piło piwo zagryzając chlebem z masłem. Były to całe rodziny, starsi i młodzi, wśród nich nawet kilkoro dzieci.

Przy drugim śniadaniu (stół zastawiony był suto zimnym mięsiwem, wędliną, sałatami i pieczystem) Tonio Kröger zasięgnął wiadomości, co to się dzieje.

— Goście! — rzekł handlarz ryb. — Wycieczkowicze i ucze-

stnicy balu z Helsingör! Ha, niech nas Bóg strzeże, ale dziś w nocy spać nie będziemy! Będą tańce, tańce i muzyka, i boję się, że to potrwa długo. Jest to związek rodzin, wycieczka z reunionem, słowem subskrypcja czy coś podobnego; korzystają z pięknego dnia. Przyjechali łodziami i powozami, a teraz jedzą śniadanie. Potem pojadą jeszcze dalej po okolicy, ale wieczorem wrócą znowu i wtedy zacznie się tu w salonie zabawa taneczna. Tak jest, do krocset piorunów, nie zmrużymy oka...

— Miłe urozmaicenie — rzekł Tonio Kröger.

Dłuższy czas nic nie mówiono. Gospodyni układała swe czerwone palce, handlarz ryb dmuchał przez prawą dziurkę od nosa, by zdobyć trochę powietrza, Amerykanie zaś z kwaśną miną popijali gorącą wodę.

Wtedy stało się: Janek Hansen i Ingeborga Holm przeszli przez salę.

Tonio Kröger, czując rozkoszne znużenie po kąpieli i szybkiej przechadzce, siedział wygodnie w fotelu i jadł wędzonego łososia na grzance; siedział twarzą do werandy i morza. Nagle otworzyły się drzwi i dłoń w dłoni weszła owa para zwolna, bez pośpiechu. Ingeborga, jasnowłosa Inga, miała na sobie jasną suknię, jak zwykle na lekcjach tańca pana Knaaka. Lekka sukienka w kwiatki sięgała jej tylko do kostek, na ramionach widniał szeroki, biały kołnierz tiulowy z ostrym wycięciem, obnażającym miękką, giętką szyję. Na jedno z ramion opadała wstążka od kapelusza. Być może, że była trochę wyższa niż dawniej, i cudowny warkocz otaczał teraz jej głowę, ale Janek Hansen był taki sam jak zawsze. Miał na sobie kurtkę marynarską ze złotymi guzikami, z szerokim niebieskim kołnierzem na ramionach i plecach; czapkę marynarską z krótkimi wstążkami trzymał w opuszczonej ręce, machając nią beztrosko. Ingeborga odwracała na bok wąsko skrojone oczy, może onieśmielona przez towarzystwo przy stole, które się na nią gapiło. Ale Janek Hansen zwracał właśnie i wszystkim na przekór głowę w stronę stołu i patrzył na nich po

kolei stalowoniebieskimi oczyma w sposób wyzywający, poniekąd pogardliwy; wypuścił nawet rękę Ingeborgi i machał czapką jeszcze gwałtowniej, aby pokazać, co to z niego za zuch. Tak szli na tle błękitniejącego morza mimo Tonia i przemierzywszy salę w całej jej długości zniknęli w przeciwnych drzwiach pokoju, gdzie stał fortepian.

Stało się to o wpół do dwunastej przed południem i kiedy kuracjusze siedzieli jeszcze przy śniadaniu, towarzystwo w pokoju przyległym i na werandzie opuściło bocznym wyjściem hotel nie wchodząc do jadalni. Słychać było, jak na dworze wśród żartów i śmiechów wsiadano do powozów i jak jeden pojazd za drugim skrzypiąc na gościńcu ruszał z miejsca i odjeżdżał.

— Więc oni wrócą? — spytał Tonio Kröger...

— Tak jest — rzekł handlarz ryb. — Niech Bóg nas strzeże. Zamówili muzykę, trzeba panu wiedzieć, a ja śpię tutaj nad salą.

— Ładne urozmaicenie — powtórzył Tonio Kröger. Po czym wstał i odszedł.

Spędził ten dzień jak inne, na plaży, w lesie, z książką na kolanach, i mrugał do słońca. Przeżuwał tylko jedną myśl: że tamci wrócą i będą tańczyli w sali, jak zapowiedział handlarz ryb; i nie robił nic, tylko się cieszył tak trwożną i słodką radością, jakiej nie zaznał już w ciągu tych długich, martwych lat. Dziwnym skojarzeniem wyobrażeń przypomniał sobie też przelotnie dalekiego znajomego, Adalberta, nowelistę, który wiedział, czego chce, i udał się do kawiarni, aby ujść radości wiosennej. I wzruszył na myśl o nim ramionami...

Obiad spożyto wcześniej, kolację skończono również prędzej niż zwykle, w pokoju z fortepianem, gdyż w sali trwały już przygotowania do balu, i to w bardzo uroczysty sposób. Kiedy się już ściemniło i Tonio Kröger siedział w swym pokoju, znów zbudziło się życie na gościńcu i w domu. Wycieczkowicze wracali; ba, z Helsingör przyjechało jeszcze kilku nowych gości rowerami i powozami i słychać było już na dole

strojenie skrzypiec i próbne dźwięki nosowe klarnetu. Bal zapowiadał się świetnie.

Niewielka orkiestra zagrała marsza: stłumione, rytmiczne dźwięki przenikały na górę; zaczęto tańce polonezem. Tonio Kröger siedział jeszcze chwilę i słuchał. Kiedy jednak tempo marsza przeszło w takt walca, wstał i wymknął się cicho z pokoju.

Z korytarza, gdzie leżał jego pokój, można było małymi schodkami dostać się do bocznego wejścia hotelowego. Obrał tę drogę skrycie i ukradkiem, jakby znajdował się na zabronionej ścieżce, omackiem szedł wśród ciemności, nieodparcie pociągany przez tę głupią i błogo kołyszącą muzykę, której dźwięki dochodziły doń już wyraźnie, nie stłumione.

Weranda była pusta i nie oświetlona, ale drzwi szklane do sali, gdzie paliły się jasno dwie wielkie, mocnymi reflektorami opatrzone lampy naftowe, były otwarte. Tam Tonio Kröger wśliznął się na palcach i złodziejska rozkosz, że oto stoi w ciemności i przez nikogo nie widziany podpatruje tańczących w świetle, przebiegała mu ciarkami skórę. Pochopnie i pożądliwie wybiegły spojrzenia na spotkanie tych, których szukał...

Wesołość, zda się, rozwinęła się w pełni, choć zabawa trwała ledwie pół godziny; ale uczestnicy przyszli już rozgrzani i podnieceni po dniu spędzonym wspólnie, beztrosko i szczęśliwie. W pokoju z fortepianem, który Tonio Kröger mógł objąć wzrokiem, odważywszy się zrobić krok naprzód, kilku starszych panów pijąc i paląc siedziało przy kartach, inni zaś z małżonkami siedzieli na przodzie i pod ścianami sali na pluszowych fotelach i przyglądali się tańcom. Opierali ręce na rozstawionych kolanach i z wyrazem zadowolenia nadymali policzki, gdy matki w stroikach na głowie, z rękoma skrzyżowanymi pod piersiami i z przechyloną na bok głową spoglądały w gwarny tłum młodzieży. Wzdłuż jednej ze ścian sali stało podium, gdzie muzykanci robili, co mogli. Była tam nawet trąba, dmąca z pewną ociągliwą ostrożnością, jakby bała się własnego głosu, który mimo to co chwila załamywał

się i brał górę... Jedne pary falowały i krążyły dokoła, inne przechadzały się po sali. Goście nie mieli strojów balowych, lecz ubrani byli jak w letnią niedzielę na zamiejskiej wycieczce: kawalerowie paradowali w garniturach skrojonych po małomieszczańsku, po których było widać, że szanowano je przez cały tydzień, dziewczęta w jasnych, lekkich sukienkach z bukiecikami u boku. Kręciło się po sali też kilkoro dzieci, które tańczyły na swój sposób, nawet gdy muzyka przestawała grać. Długonogi jegomość w surducie jaskółczego kroju, prowincjonalny lew w okularach z zapiekanymi włosami, adiunkt pocztowy czy coś podobnego, ucieleśnienie komicznej figury z duńskiego romansu, zdawał się być aranżerem i komendantem balu. Wiecznie śpieszący, spocony, całą duszą oddany sprawie, był wszędzie jednocześnie, uwijał się niezmordowanie po sali, stawiając kunsztownie naprzód palce przy stąpaniu i krzyżując w sposób zawiły stopy, tkwiące w gładkich i spiczastych trzewikach wojskowych, wymachiwał w powietrzu rękami, wydawał rozkazy, wykrzykiwał na muzykę, klaskał w dłonie i za każdym razem fruwały wstążki wielkiej, barwnej kokardy, która jako oznaka godności przymocowana była do ramienia i ku której niekiedy odwracał miłośnie w przelocie głowę.

Otóż i para, która przeszła dziś w świetle słonecznym obok Tonia Krögera. Ujrzał znów owych dwoje i przestraszył się z radości, dostrzegłszy ich niemal jednocześnie. Janek Hansen stał tuż obok niego przy drzwiach; rozkraczony, nieco w przód pochylony, pochłaniał z uwagą duży kawał tortu, trzymając dłoń pod brodą, by chwytać kruszyny. A pod ścianą stała Ingeborga Holm, jasnowłosa Inga, i właśnie adiunkt śmigał ku niej, by z wyszukanym ukłonem poprosić ją do tańca, przy czym jedną rękę trzymał na plecach, a drugą przyciskał do piersi; ale ona potrząsnęła głową, dając znak, że jest bez tchu i musi nieco odpocząć, wobec czego adiunkt usiadł obok niej.

Tonio Kröger patrzył na nią, patrzył na nich oboje, dla

których cierpiał niegdyś miłośnie — na Janka i Ingeborgę. Byli ci sami nie tyle dzięki poszczególnym cechom i podobieństwu stroju, ile przez równość rasy i typu, tego jasnego, modrookiego i jasnowłosego gatunku, który wywołuje wrażenie czystości, niezmącenia, pogody i jednocześnie dumnej, prostej, nietykalnej nieprzystępności... Patrzył na nich, patrzył na Janka, który, zuchwały i dobrze zbudowany, szeroki w barach i wąski w biodrach, stał w marynarskim ubraniu; patrzył na Ingeborgę, która śmiejąc się w pewien swawolny sposób odrzucała w tył głowę, w pewien sposób podniosła niezbyt wąską, niezbyt delikatną rękę dziewczęcą do skroni, przy czym lekki rękaw zsunął się jej z łokcia — i nagle tęsknota przeszyła jego pierś taką boleścią, że mimo woli cofnął się w mrok, by nikt nie zauważył drgania jego twarzy.

„Czyżem zapomniał was? — spytał. — Nie, nigdy! Ani ciebie, Janku, ani ciebie, jasnowłosa Ingo! Wszakże dla was to pracowałem i kiedy słyszałem poklask, rozglądałem się ukradkiem, czy jesteście obecni... Czyś przeczytał już »Don Carlosa«, jak obiecałeś mi przy furcie ogrodowej? Nie rób tego, nie żądam już tego od ciebie. Co cię obchodzi król, który płacze, gdyż jest samotny? Nie zasmucaj i nie ogłupiaj swych jasnych oczu ślęczeniem nad wierszami i melancholią... O, gdyby być takim jak ty! Zacząć raz jeszcze od początku, rósć jak ty, uczciwie, wesoło, po prostu, prawidłowo, porządnie, w zgodzie z Bogiem i światem, być kochanym przez ludzi beztroskich i szczęśliwych, wziąć ciebie za żonę, Ingeborgo Holm, i mieć syna takiego jak ty, Janku Hansenie — nie znając klątwy poznania i męki twórczej, żyć, kochać i sławić życie w jego błogosławionej codzienności... Jeszcze raz zacząć? To by nic nie pomogło. Znów byłoby tak samo, wszystko znów stałoby się, jak się stało. Gdyż niektórzy ludzie z konieczności schodzą na manowce, ponieważ właściwej drogi w ogóle dla nich nie ma."

Teraz muzyka zamilkła; nastąpiła pauza, podawano chło-

dzące napoje. Adiunkt osobiście obiegał dokoła z tacą pełną śledziowej sałaty i usługiwał damom; ale przed Ingeborgą przykląkł nawet, podając jej talerzyk, ona zaś zarumieniła się z radości.

Zaczęto w sali zwracać uwagę na widza pod szklanymi drzwiami i ładne, rozgrzane twarze zwracały się doń z obcym, badawczym spojrzeniem; ale on pozostał na miejscu. Również Ingeborga i Janek rzucili nań niemal jednocześnie okiem z tą doskonałą obojętnością, która ma niemal pozór pogardy. Jednak nagle uświadomił sobie, że spoczywa na nim czyjeś spojrzenie... Odwrócił głowę i natychmiast napotkał oczy, których dotknięcie wyczuł. Niedaleko niego stała dziewczyna o bladej, wąskiej, delikatnej twarzy, którą zauważył już przedtem. Nie tańczyła wiele, kawalerowie niezbyt dobijali się o nią, więc siedziała pod ścianą samotna, z zaciśniętymi cierpko ustami. Teraz też stała sama. Miała na sobie, jak inne, sukienkę jasną i wonną, ale spod przejrzystej tkaniny wyzierały nagie ramiona, ostre i wątłe, a chuda szyja tkwiła tak głęboko wśród mizernych barków, że cicha dziewczyna zdawała się nawet nieco ułomna. Ręce swe w cienkich, krótkich rękawiczkach trzymała na piersiach, tak że końce palców się stykały. Spuściwszy głowę spoglądała na Tonia Krögera ciemnymi, wilgotnymi oczyma. Odwrócił się...

Tuż blisko, obok niego, siedzieli Janek i Ingeborga. On przysiadł się do niej, zapewne swej duszy siostrzanej, i otoczeni innymi rumianymi twarzami jedli i pili, gawędzili i bawili się, przekomarzali dźwięcznymi głosami i śmiali się głośno. Czyż nie mógł się zbliżyć do nich na chwilę? Zwrócić się do niego lub do niej żartobliwym słówkiem, które mu przyjdzie na myśl i na które musieliby odpowiedzieć choćby uśmiechem? Byłby szczęśliwy, pragnął tego; wróciłby potem do pokoju weselszy, z tą świadomością, że nawiązał znów z nimi jakąś małą nić. Wiedział, co mógłby powiedzieć, ale nie miał odwagi. Byłoby jak zawsze: nie zrozumieliby go, słuchaliby zdziwieni, co mówi. Gdyż język ich nie był jego językiem.

Widać znów miały zacząć się tańce. Adiunkt rozwijał szeroką działalność. Biegał dokoła i zachęcał wszystkich do angażowania, usuwał z pomocą kelnera krzesła i szklanki z drogi, dawał muzykantom rozkazy i popychał przed sobą kilku niezgrabiaszów, którzy nie wiedzieli, co robić. Co to miało być? Co cztery pary tworzyły carré. Straszne wspomnienie wywołało rumieniec na twarzy Tonia Krögera. Tańczono kadryla.

Zabrzmiała muzyka i pary z ukłonem przeszły na drugą stronę. Adiunkt objął komendę; komenderował, Bóg świadkiem, po francusku i wymawiał nosówki z nieporównaną dystynkcją. Ingeborga Holm tańczyła tuż przed Toniem Krögerem w kwadracie koło drzwi szklanych. Poruszała się przed nim tam i sam, naprzód i w tył, stąpając i okręcając się; woń, płynąca z jej włosów czy delikatnej tkaniny sukni muskała go chwilami, więc zamykał oczy z dobrze znanym mu z dawna uczuciem, którego aromat i cierpki czar przenikał go lekko w ostatnich dniach i które napełniało go znów słodką udręką. Co to było? Tęsknota? Tkliwość? Zazdrość, samopogarda?... Moulinet des dames! Śmiałaś się, jasnowłosa Ingo, śmiałaś się, gdy tańczyłem moulinet i zbłaźniłem się tak żałośnie? I śmiałabyś się dziś jeszcze, gdy stałem się czymś w rodzaju sławnego człowieka? Tak jest, śmiałabyś się i miałabyś po trzykroć słuszność! I gdybym ja, sam jeden, stworzył dziewięć Symfonii, Świat jako wolę i wyobrażenie i Sąd Ostateczny, miałabyś wiecznie prawo śmiać się ze mnie... Patrzył na nią i przyszedł mu na myśl wiersz, którego długi czas nie mógł sobie przypomnieć, a który jednak był mu tak znany i bliski: „Pragnąłbym spać; ale ty tańczyć musisz!" Znał tak dobrze tę melancholijnie-północną, serdecznie-niezgrabną ociężałość wrażenia, które stamtąd biło. Spać... Tęsknić do tego, aby móc żyć po prostu i zupełnie dla uczucia, które nie zobowiązując się do przemiany w czyn i taniec, słodko i gnuśnie spoczywa w sobie, a jednak musieć tańczyć, szybko i przytomnie wykonywać ciężki, trudny i niebezpieczny taniec sztuki, taniec wśród mieczów, nie zapominając nigdy całkowicie o upoka-

rzającej niedorzeczności, tkwiącej w musie tańca, kiedy się kocha...

Nagle wszystko to przeszło w szalony i rozpętany wir. Czworoboki rozpadły się i wszyscy rozpierzchli się w posuwistych podskokach; kończono kadryl galopadą. W ślad za wściekłym rytmem muzyki przemykały pary mimo Tonia Krögera, pędząc, śpiesząc, prześcigając się wśród krótkich, zdyszanych pośmiechów. Zbliżała się jedna z nich, porwana ogólną gonitwą, krążąc i szumiąc. Dziewczyna miała bladą, delikatną twarz i chude, za wysokie ramiona. Nagle tuż przed nim potknięcie, pośliźnięcie, runięcie... Blada dziewczyna upadła. Upadła tak twardo i potężnie, że wyglądało to bardzo niebezpiecznie, a z nią upadł jej danser. Gość musiał się potłuc tak porządnie, że zapomniał o swej damie, gdy podniósłszy się na pół, zaczął krzywiąc się nacierać rękami kolana; dziewczyna zaś, na pozór zupełnie ogłuszona upadkiem, leżała wciąż jeszcze na ziemi. Wtedy wystąpił Tonio Kröger, wziął ją delikatnie na ręce i podniósł. Spojrzała nań, zziajana, zmieszana, nieszczęśliwa, i nagle blada twarz jej okryła się matowym rumieńcem.

— Tak! O, mange Tak! — rzekła patrząc nań z podłogi ciemnymi, wilgotnymi oczyma.

— Nie powinna pani już tańczyć — rzekł łagodnie. Potem raz jeszcze obejrzał się na t a m t y c h, na Janka i Ingeborgę, po czym wyszedł, opuścił werandę i bal, udając się do swego pokoju.

Był odurzony zabawą, w której nie brał udziału, i zmęczony zazdrością. Jak dawniej, był taki jak dawniej! Z rozpaloną twarzą stał w ciemnym miejscu, bolejąc po was, o jasnowłosi, pełni życia szczęśliwcy, po czym odszedł samotny do siebie. Teraz ktoś powinien by przyjść! Ingeborga winna by przyjść, winna by zauważyć, że odszedł, winna by pójść za nim ukradkiem, położyć mu dłoń na ramieniu i rzec: „Wróć do nas! Baw się! Kocham ciebie!..." Ale nie przychodziła. Takie rzeczy nie zdarzają się. Było tak jak wtedy i był szczę-

śliwy jak wtedy. Gdyż serce jego żyło. Co było natomiast w całym tym czasie, w ciągu którego stał się tym, czym był teraz? — Drętwota; pustka; lód; i duch! I Sztuka!...

Rozebrał się, położył się do łóżka, zgasił światło. Szepnął dwa imiona do poduszki, tych kilka niewinnych, nordyckich zgłosek, które określały dlań jego właściwy i pierwotny rodzaj kochania, cierpienia i szczęścia, życie, pełne prostoty i serdeczne uczucie, gniazdo rodzinne. Spojrzał wstecz na lata od tamtych czasów do dnia dzisiejszego. Wspomniał dzikie przygody zmysłów, nerwów i myśli, które przeżył, ujrzał, że jest przeżarty ironią i intelektem, że jest zniszczony i sparaliżowany przez poznanie, na pół zrujnowany gorączkami i dreszczami tworzenia, pozbawiony oparcia i pełen niepokojów sumienia wśród jaskrawych sprzeczności, miotany między świętością i chucią, przerafinowany, zubożały, wyczerpany zimnymi i sztucznie wybranymi ekstazami, zbłąkany, spustoszony, rozbity, chory — i załkał z żalu i tęsknoty.

Dokoła było cicho i ciemno. Ale z dołu dochodził w stłumionym, kołyszącym pogłosie słodki, trywialny, trzyćwierciowy takt życia.

Tonio Kröger siedział na Północy i pisał do przyjaciółki swej, Lizawety Iwanowny, jak jej obiecał.

Droga Lizaweto, przebywająca w Arkadii, dokąd niebawem powrócę — pisał. — *Oto coś w rodzaju listu, co jednak pewnie panią rozczaruje, gdyż zamierzam utrzymać go w tonie nieco ogólnikowym. Nie znaczy to, bym nie miał nic do opowiedzenia, bym nie przeżył na swój sposób tego i owego. W domu, w moim mieście rodzinnym, chciano mnie nawet uwięzić... ale o tym opowiem osobiście. Są takie dnie, kiedy wolę rzec w dobry sposób coś ogólnego niż opowiadać historie.*

Czy pamięta pani jeszcze, Lizaweto, że nazwała mnie pani raz mieszczuchem, zbłąkanym mieszczuchem? Nazwała mnie pani tak w chwili, kiedy zwiedziony innymi wyznaniami, któ-

re przedtem wyrwały mi się z ust, oświadczyłem swą miłość ku temu, co nazywam życiem; i pytam siebie, czy pani wiedziała, jak wielką rzekła pani prawdę, jak bardzo moje mieszczuchostwo i moja miłość do życia są tym samym. Podróż dała mi sposobność rozważyć to właśnie...

Ojciec mój, proszę pani, posiadał temperament północny: był rozważny, gruntowny, poprawny przez purytanizm i skłonny do smutku; matka nieokreślenie egzotycznej krwi, piękna, zmysłowa, naiwna, jednocześnie niedbała i namiętna, impulsywnie opieszała. Niewątpliwie była to mieszanina, która kryła w sobie niezwykłe możliwości i... niezwykłe niebezpieczeństwa. Oto co z tego wynikło: mieszczuch zabłąkany w dziedzinę sztuki, Cygan tęskniący do dobrego wychowania, artysta z nieczystym sumieniem. Gdyż właśnie sumienie mieszczańskie każe mi widzieć we wszelkim artyzmie, w każdej nadzwyczajności i genialności coś głęboko dwuznacznego, podejrzanego, wątpliwego i napełnia mnie tą pełną miłości słabością do wszystkiego, co proste, serdeczne i przyjemnie normalne, niegenialne i przyzwoite.

Stoję na granicy dwóch światów, w żadnym nie czuję się u siebie, stąd jest mi trochę ciężko. Wy, artyści, nazywacie mnie mieszczuchem, a mieszczuchy chcą mnie uwięzić... nie wiem, co z dwojga boli mnie bardziej. Mieszczuchy to głupcy; ale wy, wielbiciele piękna, którzy nazywacie mnie flegmatycznym i pozbawionym tęsknoty, powinniście pamiętać, że istnieje artyzm tak głęboki, tak związany z początkiem i losem człowieka, że nie ma dlań słodszego i godniejszego odczuwania nad tęsknotę ku rozkoszom zwyczajności.

Podziwiam dumnych i chłodnych, którzy szukają przygód na ścieżkach wielkiego, demonicznego piękna i gardzą „człowiekiem" — ale im nie zazdroszczę. Bo jeśli co może z literata uczynić poetę, to tylko ta moja mieszczańska miłość do tego, co ludzkie, żywe i zwyczajne. Wszelkie ciepło, wszelka dobroć, wszelki humor z niej wypływa i zdaje mi się niemal, jakby była sama ową miłością, o której napisano, że choćby

człowiek mówił wszystkimi językami ludzkimi i anielskimi, bez niej jest jak cymbał brzmiący i jak miedź brzęcząca.

To, co zrobiłem, jest nic, niewiele, tyle co nic. Zrobię coś lepszego, Lizaweto — przyrzekam. Kiedy to piszę, słyszę szum morza i zamykam oczy. Spoglądam w nie urodzony, schematyczny świat, który pragnie, aby go stworzyć i ukształtować, spoglądam w rojowisko cieni postaci ludzkich, które kiwają ku mnie, abym je zaklął i wyzwolił: cienie tragiczne i śmieszne, i śmieszno-tragiczne — i jestem do nich bardzo przywiązany. Ale najgłębsza i najskrytsza miłość moja należy do jasnowłosych i błękitnookich, do jasnych, żywych, szczęśliwych, miłych i zwyczajnych.

Niech pani nie gani tej miłości, Lizaweto; jest ona dobra i owocna. Tkwi w niej tęsknota i smutna zazdrość, i odrobina pogardy, i zgoła niewinna szczęśliwość.

SZCZĘŚCIE

1904 r.

Cicho! Spójrzmy w jedną duszę. Niejako w locie, mimobiegiem i na przestrzeni kilku tylko stronic, bo jesteśmy ogromnie zajęci. Przybywamy z Florencji, z dawnych czasów; tam chodzi o ostateczne i trudne sprawy. I gdy zostaną pokonane — dokąd? Może do dworu, na zamek królewski. Kto wie? Dziwne, blado przebłyskujące rzeczy układają się właśnie w ład z sobą. — Anno, biedna, mała baronowo Anno, nie mamy dużo czasu dla ciebie!

Trójtakt i dźwięk szklanek — zgiełk, zaduch, gwar i krok taneczny: znają nas, znają naszą słabostkę. Czy może przeto, że ból ma tam najgłębsze, najtęskniejsze oczy, może przeto bawimy tak chętnie w tajemnych miejscach, gdzie życie obchodzi swe proste święta?

— Chorąży! — zawołał rotmistrz, baron Harry, przez całą salę, przestając tańczyć. Obejmował jeszcze prawym ramieniem swą damę i opierał lewą dłoń o biodro. — To nie walc, lecz podzwonne, człowiecze! Pan nie ma taktu w krwi; tylko pływa pan i buja ciągle. Porucznik Gelbsattel niech zagra, by był jakiś rytm. Odstąp pan, panie chorąży! Niech pan tańczy, jeśli pan lepiej to umie!

I chorąży wstał, uderzył w ostrogi i milcząc odstąpił podium porucznikowi Gelbsattelowi, który wielkimi i białymi, szeroko rozcapierzonymi rękami zaczął bić w dzwoniący i brzęczący fortepian.

Baron Harry bowiem miał takt w krwi, takt walca i marszu, wesołość i dumę, szczęście, rytm i duszę zwycięzcy. Złoty,

szamerowany kabat huzarski licował świetnie z jego młodą, rozgrzaną twarzą, która nie zdradzała ani śladu troski i zamyślenia. Był na czerwono opalony, jak to bywa u blondynów, choć włosy na głowie i wąsy wydawały się brunatne; to zaostrzało ciekawość pań. Czerwona blizna na prawym policzku nadawała jego otwartej minie dziko zuchwały wyraz. Nie wiadomo było, czy pochodziła od szabli, czy od upadku z konia — w każdym razie coś wspaniałego. Tańczył jak bóg.

Lecz chorąży pływał i bujał, jeśli wolno użyć zwrotu barona Harry w przenośnym znaczeniu. Jego powieki były za długie, tak że nigdy nie mógł porządnie otworzyć oczu; również uniform leżał na nim niedbale i niemożliwie i Bogu wiadomo, jak on sam wszedł na drogę żołnierską. Bardzo niechętnie wziął udział w kasynowej zabawie z „jaskółkami", jednakże przyszedł, bowiem musiał się mieć na baczności, by nie wywołać zgorszenia; gdyż po pierwsze był mieszczańskiego pochodzenia, po drugie istniała pewna jego książka, szereg zmyślonych opowieści, które sam napisał czy ułożył, jak się to mówi, i które każdy mógł kupić w księgarni. To musiało budzić pewną nieufność w stosunku do chorążego.

Sala kasyna oficerskiego w Hohendamm była długa i szeroka, była właściwie o wiele za obszerna dla trzydziestu osób, które się tam dziś wieczór zabawiały. Ściany i trybuna dla muzyków ozdobione były fałszywymi draperiami z czerwono pomalowanego gipsu, a z pozbawionej smaku powały zwisały dwa pokrzywione świeczniki, w których paliły się krzywe i kapiące świece. Lecz drewnianą podłogę szorowało przez całe przedpołudnie siedmiu odkomenderowanych do tego huzarów; nawet panowie oficerowie nie mogli w takim kącie, Abderze i zapadłej dziurze jak Hohendamm, żądać większego przepychu. Również niedostatki uroczystości wynagrodzone zostały przez osobliwy, chytry nastrój, który wieczorowi nadawał swe piętno dzięki zabronionemu i dumnemu poczuciu, że się jest razem z „jaskółkami". Nawet głupi forysie stroili

szczwane miny, wstawiając nowe flaszki szampana do kubłów z lodem obok biało zasłanych stolików, obzierali się wkoło i spuszczali z uśmiechem oczy, jak służący, którzy milczący i bezkarni użyczają pomocy w śmiałych wykroczeniach — wszystko ze względu na „jaskółki".

Jaskółki, jaskółki? — Otóż po prostu były to „Wiedeńskie Jaskółki"! Ciągnęły poprzez ziemie jak rój ptaków wędrownych, przelatywały, w liczbie około trzydziestu, z miasta do miasta i występowały w piątorzędnych salach muzycznych i variétés, śpiewając w nieskrępowanej postawie wesołymi i ćwierkającymi głosami swą ulubioną i popisową pieśń.

Gdy jaskółki znów powrócą,
Będzie dziw! Będzie dziw!

Była to miła piosenka o łatwo uchwytnym humorze i śpiewały ją one wśród oklasków rozumiejącej części publiczności.

Przybyły więc „jaskółki" do Hohendamm i śpiewały w piwiarni Gugelfinga. W Hohendamm stał załogą cały pułk huzarów, miały tedy prawo spodziewać się głębszego zainteresowania w kołach miarodajnych. Znalazły coś więcej, znalazły zachwyt. Co wieczór siadywali nieżonaci oficerowie u ich stóp, słuchali pieśni jaskółczej i przypijali do dziewcząt żółtym gugelfingowskim piwem; nie potrwało długo, a stawili się również panowie żonaci i pewnego wieczora zjawił się pułkownik Rummler we własnej osobie, wysłuchał z napiętą uwagą programu i wreszcie wyraził na różne strony swe bezwzględne dla „jaskółek" uznanie.

Lecz wtedy dojrzał wśród poruczników i rotmistrzów plan, by wejść z „jaskółkami" w bliższy stosunek i zaprosić wybrane, mniej więcej dziesięć najładniejszych, na wesoły wieczór z szampanem i zabawą do kasyna. Wyżsi panowie nie mogli wobec świata nic wiedzieć o tym przedsięwzięciu i z ciężkim sercem musieli się odeń powstrzymać; jednak nie tylko ofice-

rowie bezżenni, lecz i żonaci porucznicy i rotmistrzowie wzięli w nim udział, i to (co było ostrą przyprawą w tej rzeczy, właściwą pointą) ze swoimi damami.

Przeszkody i skrupuły? Porucznik Levzahn znalazł złotą myśl, że dla żołnierza przeszkody i skrupuły istnieją po to, by je pokonać i rozproszyć! Niech poczciwi hohendamczycy, jeśli dowiedzą się o tym, przerażą się, że oficerowie zetknęli swe damy z „jaskółkami" — oni oczywiście na coś podobnego pozwolić sobie nie śmieją. Lecz istnieje wyżyna, istnieją zuchowate i zaświatowe regiony życia, w których wolno czynić to, co by w sferach niższych kalało i bezcześciło. A czyż może czcigodni tubylcy nie byli przyzwyczajeni oczekiwać wszelkich niezwykłości po swoich huzarach? Oficerowie jeździli w jasny dzień boży po chodniku, jeśli im przyszła ochota. To się zdarzało. Raz, pod wieczór, strzelano na rynku z pistoletów, co również mogli zrobić tylko oficerowie. A czy przyszło komu na myśl szemrać przeciw temu? Za następującą anegdotę ręczono z kilku stron:

Pewnego ranka, między piątą i szóstą, wracał rotmistrz baron Harry, w podnieconym nastroju, z kilku kolegami z nocnej zabawy; był tam rotmistrz Hühnemann, jako też porucznicy i podporucznicy Le Maistre, baron Truchsess, Trautenau i Lichterloh. Gdy panowie ci przechodzili przez Stary Most, spotkali piekarczyka, który niosąc na plecach duży kosz z bułkami i gwiżdżąc beztroskliwie, szedł swoją drogą w świeżości poranka. — Dawaj tu! — zawołał baron Harry, chwycił kosz za ucho, zawinął nim tak zręcznie, że ani jedna bułka nie wypadła, trzykrotnie dokoła i cisnął go potem łukiem, świadczącym o sile jego ramienia, daleko w mętne fale. Piekarczyk, zrazu przestraszony, widząc bułki swe płynące i tonące, podniósł wśród żałosnych okrzyków ręce do góry i wydawał się zrozpaczony. Gdy jednak panowie ubawili się chwilę jego dziecinnym strachem, rzucił mu baron Harry złoty pieniądz, którego wartość przenosiła trzykrotnie zawartość kosza, po czym oficerowie ze śmiechem ruszyli dalej do domu. Wów-

czas chłopak zrozumiał, że miał do czynienia z ludźmi szlacheckiego pochodzenia, i umilkł.

Historia ta dostała się szybko na ludzkie języki, lecz niechby kto śmiał z tego powodu choć gębę skrzywić! Z uśmiechem czy zgrzytem przyjmowano ją od barona Harry i jego towarzyszy. Byli panami! Panami Hohendammu! Toteż panie oficerskie zetknęły się z „jaskółkami".

Widoczne było, że chorąży znał się na tańcu nielepiej jak na graniu walca, gdyż nie angażując usiadł z ukłonem przy jednym z stolików, obok małej baronowej Anny, małżonki barona Harry'ego, do której zwrócił się z kilku nieśmiałymi słowy. Zabawiać się z „jaskółkami" było nad jego siły. Czuł istotny lęk przed nimi, bo wyobrażał sobie, że cokolwiek by powiedział, tego rodzaju dziewczyna spojrzy na niego zdziwiona; i to bolało chorążego. Ponieważ jednak, wzorem wielu natur słabych i niezdarnych, nawet najprostsza muzyka wprawiała go w nastrój milczący, znużony i zadumany, a również baronowa Anna, której był zupełnie obojętny, dawała tylko roztargnione odpowiedzi, więc wkrótce zamilkli oboje i ograniczyli się do tego, że z nieco drętwym i skrzywionym uśmiechem, który w sposób przedziwny był obojgu im wspólny, patrzyli na kołysanie i krążenie tańca.

Świece kandelabru migały i kapały tak bardzo, że były przez sękowate i półzakrzepłe narośle stearynowe zupełnie zniekształcone, a pod nimi kręciły się i ślizgały pary wedle podniecających rytmów porucznika Gelbsattela. Na zgiętych końcach palców wysuwały się stopy, obracały się elastycznie i sunęły dalej. Długie nogi panów zginały się nieco, sprężały się, odbijały i wznosiły do góry. Suknie fruwały. Pstre kabaty huzarskie wirowały i panie z pożądliwym przechyleniem głowy zdawały swe kibicie ramionom tancerzy.

Baron Harry przyciskał zdumiewająco ładną „jaskółkę" bardzo silnie do swej szamerowanej piersi, trzymając twarz blisko jej twarzy i patrząc jej niezachwianie w oczy. Uśmiech baronowej towarzyszył parze. Tam toczył chudy i długi po-

rucznik Lichterloh małą, tłustą, kulkowatą i niezwykle dekoltowaną „jaskółkę". Lecz pod jednym z świeczników tańczyła istotnie i naprawdę pani rotmistrzowa Hühnemann, która szampana lubiła ponad wszystko, w zupełnym zapamiętaniu się, z trzecią „jaskółką", ładniutkim, piegowatym stworzeniem, którego twarz promieniała niezmiernie z powodu niezwykłego zaszczytu. — Droga baronowo — wyznała później pani Hühnemann pani porucznikowej Truchsess — te dziewczęta nie są zgoła niewykształcone, wyliczą pani wszystkie garnizony kawaleryjskie w państwie. — Tańczyły z sobą, bo dwie panie były ponad liczbę, nie zauważyły wcale, że wszyscy powoli wycofali się z placu, pozostawiając je same w toku ich produkcji. Wreszcie spostrzegły się jednak i zatrzymały się pośrodku sali pod ulewą śmiechów, oklasków i okrzyków „brawo!".

Następnie pito szampana i forysie biegali w białych rękawiczkach od stołu do stołu, nalewając. Lecz potem musiały „jaskółki" jeszcze raz zaśpiewać, musiały, bez względu, czy były zupełnie bez tchu, czy nie!

W jednym stały szeregu na podwyższeniu, zajmującym wyższą ścianę sali, i rzucały wkoło oczyma. Ich barki i ramiona były nagie, a suknie tak sporządzone, że wyglądały jak jasnoszare kamizelki z narzuconymi na nie jaskółczymi frakami. Przy tym miały szare ażurowe pończochy i głęboko wycięte buciki z ogromnie wysokimi obcasami. Były tam blondynki i brunetki, dobrodusznie grube i interesująco chude, jedne z osobliwie martwo karmazynowymi policzkami i inne tak białe na twarzy jak klowny. Lecz najładniejszą z nich wszystkich była mała brunetka, o dziecięcych ramionach i migdałowo zarysowanych oczach, z którą baron Harry właśnie dopiero co tańczył. Również baronowa rzekła, że jest najładniejsza, i uśmiechała się dalej.

Więc „jaskółki" śpiewały i porucznik Gelbsattel akompaniował im, zwracając, z podanym w tył ciałem, ku nim głowę i uderzając szeroko rozstawionymi rękoma w kla-

wisze. Śpiewały jednogłośnie, że są swobodnymi ptakami, które przewędrowały już cały świat i, odlatując, zabiorą z sobą wszystkie serca. Śpiewały niezwykle melodyjną pieśń, zaczynającą się od słów:

Jak wielki wojska czar!
Kochajmy je bez miar!

i kończącą się też podobnie. Lecz później, na namiętne żądanie, zaśpiewały raz jeszcze pieśń jaskółek i panowie, którzy umieli ją już równie dobrze na pamięć jak one, wtórowali z zachwytem:

Gdy jaskółki znów powrócą,
Będzie dziw! Będzie dziw!

Sala huczała śpiewem, śmiechem, dzwonieniem i tupaniem nóg opatrzonych ostrogami i wybijających takt.

Również baronowa śmiała się z tej całej pustoty i swawoli; śmiała się już tyle przez cały wieczór, że bolała ją głowa i serce i byłaby chętnie w ciszy i ciemności zamknęła oczy, gdyby Harry nie bawił się tak świetnie. — Jestem dziś wesoła — rzekła przedtem do swej sąsiadki u stołu, w chwili gdy sama w to wierzyła; lecz to wywołało ciszę i szydercze spojrzenie, wobec czego opamiętała się, że nie jest zwyczajem wśród ludzi mówić takie rzeczy. Jeśli się jest wesołym, to człowiek zachowuje się stosownie do tego; stwierdzenie i wygłaszanie tego było już śmiałe i dziwne; jednak powiedzieć: „jestem smutna", byłoby wprost niemożliwością.

Baronowa Anna wyrosła w takiej samotności i ciszy, w majątku swego ojca nad morzem, że zawsze jeszcze była skłonna nie zważać na takie prawdy, choć bała się zadziwiać ludzi i pragnęła gorąco być zupełnie taką, jak inni, aby ją trochę kochano. Miała blade ręce i popielatopłowe włosy, które były zbyt ciężkie w stosunku do jej wąskiej, drobnokościstej twarzyczki. Między pięknymi jej brwiami rysowała się pio-

nowa zmarszczka, co nadawało jej uśmiechowi coś udręczonego i chorego.

Ciekawe było, że kochała swego męża. — Niech nikt się nie śmieje! Kochała go nawet za historię z bułkami, kochała go tchórzliwie i nędznie, choć ją oszukiwał i co dzień poniewierał jej serce jak żak, cierpiała miłość dlań, jak kobieta, która gardzi swą własną delikatnością i słabością, a wie, że moc i silne szczęście mają swe prawo na ziemi. Tak, oddawała się tej miłości i cierpieniom, jak wówczas gdy w krótkim napadzie czułości starał się o nią; oddała mu się sama, z gorącą tęsknotą samotnego i rozmarzonego stworzenia za życiem, namiętnością i burzami uczucia.

Trójtakt i dźwięk szklanek — zgiełk, zaduch, gwar i krok taneczny: to był Harry'ego świat i jego królestwo; i było to królestwo jej snów, bo tam było szczęście, zwyczajność, miłość i życie.

Towarzyskość! Beztrosko świąteczna towarzyskości, niszcząca siły, pozbawiająca godności, uwodzicielska trucizno pełna bezpłodnych uroków, zalotna nieprzyjaciółko myśli i spokoju, ty jesteś czymś straszliwym! — Oto siedziała, w wieczory i noce, udręczana jaskrawym przeciwieństwem między całkowitą pustką i nicością wokoło i panującym przy tym gorączkowym podnieceniem skutkiem wina, kawy, zmysłowej muzyki i tańca; siedziała i patrzyła, jak Harry czarował piękne i wesołe kobiety, nie dlatego, że go szczególnie uszczęśliwiały, lecz ponieważ próżność jego wymagała, by pokazywać się z nimi przed ludźmi, jako szczęśliwiec, który ma wszystkiego pod dostatkiem, od niczego nie wyłączony, nie zna tęsknoty. Jak ją bolała ta próżność, a jak ją jednak kochała! Jak słodko było widzieć, że wyglądał pięknie, młodo, wspaniale i uwodząco! Jak miłość innych dla niego rozpłomieniała boleśnie jej własną! A gdy to minęło, gdy u końca zabawy, którą spędziła w udręce i męce, on rozpływał się w nieświadomych i egoistycznych pochwałach tych godzin, to przychodziły chwile, gdy jej nienawiść i pogarda dorówny-

wała miłości; nazywała go w swym sercu „nikczemnikiem" i „łotrem" i starała się ukarać go milczeniem, śmiesznym, rozpaczliwym milczeniem.

Wiemyż dokładnie, mała baronowo Anno? Wypowiemyż, ile wszystkiego kryje się za tym biednym uśmiechem, podczas kiedy „jaskółki" śpiewają? — I nadchodzi ten nędzny i niegodny stan, w którym nad ranem po beztroskiej towarzyskości leżysz w swym łóżku i trwonisz swe siły duchowe na rozmyślanie o żartach, dowcipach, dobrych odpowiedziach, które powinnaś była znaleźć, aby być miłą, a których nie znalazłaś. Przychodzą owe sny o świtaniu, gdy, osłabiona zupełnie boleścią, płaczesz na jego ramieniu, a on stara się pocieszyć cię jakimś z swych pustych, ładnych, zwykłych słów; i nagle przeniknięta jesteś zawstydzającym nonsensem, który leży w tym, że płaczesz na jego ramieniu nad światem.

Gdyby zachorował, nieprawdaż? Czy nie zgadujemy, że z jednego obojętnego niedomagania jego powstaje dla ciebie cały świat snów, w których widzisz go jako swego cierpiącego pupilka i w których bezsilny i złamany leży przed tobą, i wreszcie, wreszcie do ciebie należy! Nie brzydź się sobą! Zmartwienie czyni niekiedy człowieka trochę złym — wiemy to, widzimy to, ach, biedna, mała duszo, widzieliśmy nie takie rzeczy w naszych podróżach! Lecz mogłabyś się nieco zatroszczyć o młodego chorążego o zbyt długich powiekach, który siedzi obok ciebie i chętnie swą samotność stowarzyszyłby z twoją. Czemu gardzisz nim? Ponieważ jest z twego własnego świata, a nie z tego drugiego, gdzie panuje wesołość i duma, szczęście, rytm i zmysł zwyciężania? Oczywiście, to ciężko nie być u siebie ani w jednym świecie, ani w drugim — wiemy o tym! Lecz nie ma pojednania.

Oklask wtargnął hucznie w dogrywkę porucznika Gelbsattela, „jaskółki" skończyły. Nie posługując się schodami, skakały z podwyższenia, spadając i trzepocąc się, a panowie tłoczyli się, by im dopomóc. Baron Harry pomagał małej brunetce o dziecięcych ramionach, czynił to dokładnie i ze zrozu-

mieniem. Objął jednym ramieniem jej biodra, drugim kibić, nie śpieszył się ze zsadzeniem jej i zaniósł ją prawie do stolika z szampanem, gdzie nalał jej szklankę, aż przewzbrała pianą, i trącił się z nią, powoli i porozumiewawczo, patrząc jej w oczy z bezprzedmiotowym i wnikliwym uśmiechem. Wypił był tęgo i blizna płonęła czerwono na jego białym czole, które odbijało ostro od opalonej twarzy; lecz był wesoły i swobodny, zgoła pogodnie podniecony i nie zakłócony namiętnością.

Stół stał naprzeciw stołu baronowej Anny, u przeciwległej dłuższej ściany sali; i podczas gdy ona zamieniała z kimś w pobliżu kilka słów obojętnych, nasłuchiwała chciwie śmiechu tam naprzeciw, szpiegowała haniebnie i ukradkowo każdy ruch — w tym dziwnym stanie, pełnym bolesnego napięcia, który pozwala człowiekowi mechanicznie i z zachowaniem wszelkich towarzyskich form podtrzymywać rozmowę z jakąś osobą i równocześnie być przy tym duchowo zupełnie nieobecnym, będąc przy innej osobie, którą się obserwuje.

Raz czy dwa razy zdawało się, że spojrzenie małej „jaskółki" spotkało się z jej wzrokiem. — Czy znała ją? Wiedziała, kto ona? Jak była ładna! Jak zuchwała i bezmyślnie pełna życia i uwodna! Gdyby Harry ją kochał, trawił się dla niej, cierpiał dla niej, byłaby przebaczyła, zrozumiała, współczuła. I nagle uczuła, że jej własna tęsknota ku małej „jaskółce" była gorętsza i głębsza niż u Harry'ego.

Mała „jaskółka"! Mój Boże, nazywała się Emma i była do gruntu ordynarna. Lecz była cudowna ze swymi czarnymi pasmami włosów, które otaczały szeroką, pożądliwą twarz, z ciemno obrysowanymi, migdałowymi oczyma, z wielkimi ustami pełnymi białych, błyszczących zębów, z brunatnymi, miękkimi i ponętnie utoczonymi ramiony; a najpiękniejszą w niej rzeczą były barki, które przy pewnych poruszeniach w sposób nieporównanie giętki obracały się w stawach. — Baron Harry był cały pochłonięty tymi barkami; nie chciał zgoła ścierpieć, by je zakryła, lecz rozpoczął hałaśliwą walkę

o szal, który uparła się zarzucić na siebie — a przy tym wszystkim nie zauważył nikt dokoła, ani baron Harry, ani jego małżonka, ani nikt inny, że to małe, bezbronne stworzenie, które wino uczyniło sentymentalnym, tęskniło przez cały wieczór do młodego chorążego, który przedtem dla braku rytmu przegnany został od fortepianu. Jego znużone oczy i sposób gry wywarły na nią wrażenie, zdawał się jej szlachetny, poetyczny i z innego świata, podczas gdy zachowanie się barona Harry'ego wydało się jej zbyt znane i nudne i była zupełnie nieszczęśliwa i zbolała, że chorąży nie dał jej z swojej strony najmniejszego znaku miłości.

Do niska spalone świece płonęły mętnie w dymie papierosów, który w niebieskawych warstwach unosił się nad głowami. Woń kawy snuła się po sali. Mdła i ciężka atmosfera, zaduch biesiadny, opary zabawy, zgęszczone i odurzające mocnymi perfumami „jaskółek", ciążyły nad wszystkim, nad biało nakrytymi stołami i kubełkami do szampana, nad ponocnymi i zahulanymi ludźmi i ich zgiełkiem, śmiechem, chichotem i baraszkowaniem miłosnym.

Baronowa Anna nie rozmawiała już. Rozpacz i owa straszna mieszanina tęsknoty, zawiści, miłości i pogardy dla siebie, która się zowie zazdrością i która nie powinna by istnieć, gdyby świat był dobry, ujarzmiły tak jej serce, że nie miała już siły udawać. Gdybyż widział, co się z nią dzieje, gdybyż się jej wstydził, gdyby choć jedno uczucie, odnoszące się do niej, istniało w jego piersi.

Patrzyła naprzeciw. — Zabawa tam posunęła się trochę za daleko i wszyscy przyglądali się jej z śmiechem i ciekawością. Harry wynalazł nowy sposób czułych zapasów z małą „jaskółką". Chodziło o to, by zamienić z nią pierścionki; kolanami zapartymi o jej kolana przytrzymywał ją na krześle i rozbrykany chwytał w szalonej pogoni jej rękę, i starał się przemocą rozewrzeć jej małą, silnie zaciśniętą pięść. Wreszcie zwyciężył. I wśród zgiełkliwego oklasku całego towarzystwa wyrwał jej z trudnością wąski, wężowaty

pierścionek i wetknął triumfalnie swą własną obrączkę ślubną na jej palec.

Wtedy wstała baronowa Anna. Gniew i cierpienie, tęsknota, by skryć się w ciemności ze swą zgryzotą z powodu jego ukochanej nicości, zrozpaczone pragnienie, by ukarać go skandalem, zwrócić w jakikolwiek sposób jego uwagę na siebie, przemogły ją. Blada, odsunęła krzesło i szła środkiem sali ku drzwiom.

Powstało zdumienie. Patrzano na nią z powagą i otrzeźwieniem. Kilku panów zawołało głośno Harry'ego po imieniu. Hałas umilkł.

I oto stało się coś zgoła dziwnego. „Jaskółka" Emma poparła z całą stanowczością sprawę baronowej Anny. Czy to, że ogólny instynkt kobiecy dla boleści i cierpiącej miłości wyznaczył jej sposób zachowania się, czy to, że jej własna troska o chorążego ze znużonymi powiekami kazała jej ujrzeć towarzyszkę w baronowej Annie — dość że postąpiła ku ogólnemu zdumieniu.

— Pan jest podły! — rzekła głośno wśród panującej ciszy, odtrąciwszy osłupiałego barona Harry'ego. To jedno zdanie: — Pan jest podły! — I potem znalazła się nagle obok baronowej Anny, która ujęła już klamkę.

— Niech pani wybaczy! — rzekła tak cicho, jakby nikt inny dokoła nie był wart słyszeć tego. — Oto pierścień.

Przy tych słowach wsunęła obrączkę Harry'ego baronowej Annie do ręki. I nagle uczuła baronowa Anna szeroką, ciepłą twarzyczkę dziewczyny nad tąż ręką i palący na niej miękki, żarliwy pocałunek.

— Niech pani wybaczy! — szepnęła mała „jaskółka" raz jeszcze i uciekła.

Lecz baronowa Anna stała za drzwiami w ciemności, jeszcze zupełnie ogłuszona, i czekała, by to nieoczekiwane zdarzenie nabrało w niej kształtu i sensu. I stało się, że szczęście, słodkie, gorące i tajemne szczęście przymknęło na chwilę jej oczy.

Stój! Dość i nic dalej! Spójrzcież na drogocenny, drobny

szczegół! Oto stała, zupełnie zachwycona i oczarowana, że ten włóczęgowski błazenek przyszedł pocałować ją w rękę!

Opuszczamy cię, baronowo Anno, całujemy cię w czoło, bądź zdrowa, uciekamy! Śpij teraz! Będziesz przez noc całą śnić o „jaskółce", która przyszła do ciebie, i będziesz trochę szczęśliwa.

Bo szczęście, drobny dreszcz i szał szczęścia, porusza serce, gdy te dwa światy, między którymi tęsknota tam i sam błądzi, spotkają się w krótkim, złudnym zbliżeniu.

U PROROKA

1904 r.

Są osobliwe miejscowości, osobliwe mózgi, osobliwe dziedziny ducha, wysokie i ubogie. Na peryferiach wielkich miast, tam, gdzie latarnie stają się rzadsze, a żandarmi chodzą we dwójkę, trzeba się w domach wspinać jak można najwyżej, aż do skośnych komórek pod dachem, gdzie młodzi, bladzi geniusze, zbrodniarze snu, dumają z założonymi rękami, aż do tanich, dziwacznie ozdobionych pracowni, gdzie samotni, wzburzeni, trawiący się w sobie artyści, głodni i dumni, wśród zaduchu papierosów zmagają się ze skrajnymi, dzikimi ideałami. Tu jest kres, lód, czystość, nicość. Tu nie ma żadnej umowy, ustępstwa, względu, miary i wartości. Tu powietrze jest tak rzadkie i nieskalane, że miazmaty życia się nie przyjmują. Tu panuje upór, ostateczna konsekwencja, rozpaczliwie władające Ja, wolność, obłęd i śmierć.

Był Wielki Piątek, ósma wieczór. Wielu z tych, których Daniel zaprosił, przyszło jednocześnie. Otrzymali zaproszenia w formacie in quarto, na których orzeł w powietrzu unosił w szponach nagi miecz, a swoisty napis wzywał do wzięcia udziału w zebraniu, na którym Daniel w wieczór wielkopiątkowy odczyta proklamację; i oto przybyli zebrali się o oznaczonej godzinie w pustej i na pół ciemnej przedmiejskiej ulicy, przed banalnym czynszowym domem, w którym znajdowało się doczesne mieszkanie proroka.

Niektórzy znali się i wymieniali ukłony. Był tam polski malarz i szczupła dziewczyna, która z nim żyła, liryk, wysoki,

czarnobrody Semita z swą ciężką, bladą, w zwisające szaty odzianą małżonką, osobistość o jednocześnie marsowym i chorobliwym wyglądzie, spirytysta i rotmistrz w stanie spoczynku i młody filozof podobny z pozoru do kangura. Tylko nowelista, pan w sztywnym kapeluszu i z wypielęgnowanym wąsem, nie znał nikogo. Pochodził z innej sfery, dostał się tu tylko przypadkowo. Miał pewien stosunek do życia i książka jego była czytana w mieszczańskich kołach. Był zdecydowany zachować się z surową skromnością, dziękczynnie i na ogół jako ktoś tolerowany. Po krótkiej chwili wszedł za innymi do domu.

Wchodzili schodami, piętro po piętrze, wspierając się o poręcze z lanego żelaza. Milczeli, gdyż byli to ludzie, którzy znali wartość słowa i nie zwykli byli mówić na próżno. W mętnym świetle lampek naftowych, stojących u zakrętów schodów na gzymsach okiennych, czytali mimochodem nazwiska na drzwiach mieszkań. Mijali pełne trosk ogniska domowe jakiegoś urzędnika od ubezpieczeń, akuszerki, praczki, „agenta", operatora nagniotków, cisi, niewzgardliwi, lecz obcy. Wspinali się w ciasnej klatce schodowej jak w na pół ciemnym szybie, bez przerwy, ufni, gdyż z samej góry, gdzie już nie można było zajść wyżej, dochodził ich migot, słaby, przelotnie chwiejny blask.

Wreszcie stanęli u celu, pod dachem, w świetle sześciu świec, które płonęły w rozmaitych lichtarzach na pokrytym wyblakłą kapą ołtarzową stoliku u szczytu schodów. Na drzwiach, wyglądających jak wejście do spiżarni, umocowana była szara tekturowa tabliczka, na której łacińskim alfabetem widniało czarną kredką wypisane imię Daniel. Zadzwonili.

Szerokogłowy, o uprzejmym spojrzeniu chłopak, w nowym, niebieskim ubraniu i w lśniących butach z cholewami, otworzył drzwi i świecą, którą trzymał w ręce, oświecał z ukosa mały, ciemny korytarz w nie tapetowanym, mansardowym pokoju, który poza drewnianym wieszakiem na płaszcze był

zupełnie pusty. Bez słowa, gestem, któremu towarzyszył bełkocący, gardłowy głos, prosił chłopak o zdjęcie okryć i kiedy nowelista z ogólnego współczucia zwrócił się doń z pytaniem, okazało się, że dziecko jest zupełnie nieme. Chłopak z światłem zaprowadził gości z powrotem przez korytarz do innych drzwi i wskazał im wejście. Nowelista ruszył ostatni. Miał na sobie surdut i rękawiczki i postanowił zachowywać się jak w kościele.

Chwiejna i migotliwa jasność, stworzona przez dwadzieścia czy dwadzieścia pięć palących się świec, panowała w niezbyt dużym pokoju, do którego weszli. Młoda dziewczyna z białym spadającym kołnierzem i mankietami u prostej sukienki, Maria Józefa, siostra Daniela, czysta i głupawa z wyglądu, stała tuż przy drzwiach i podawała wszystkim rękę. Nowelista znał ją. Spotkał ją na jakiejś literackiej herbatce. Siedziała prosto, z filiżanką w ręce, i jasnym, serdecznym głosem mówiła o swoim bracie. Uwielbiała Daniela.

Nowelista szukał go oczami.

— Nie ma go tu — rzekła Maria Józefa. — Jest nieobecny, nie wiem, gdzie przebywa. Ale duchem będzie między nami i będzie słuchał proklamacji zdanie po zdaniu, gdy będzie tu czytana.

— Kto będzie ją czytać? — zapytał nowelista stłumionym głosem, z szacunkiem. Czuł powagę chwili. Był człowiekiem życzliwym i w duszy skromnym, pełnym czci dla wszystkich zjawisk świata, gotowym uczyć się i uznawać, co było warte uznania.

— Uczeń mego brata — odpowiedziała Maria Józefa — który ma przyjechać z Szwajcarii. Jeszcze go nie ma. Zjawi się w odpowiedniej chwili.

Naprzeciw drzwi, stojący na stole i górną częścią ramy oparty o skośnie opadający sufit, widniał w blasku świec wielki, grubawymi kreskami kredy zrobiony rysunek, przedstawiający Napoleona, jak w niezgrabnej i despotycznej postawie grzeje przy kominie swe w kanonierskich butach

tkwiące nogi. Po prawej stronie od wejścia wznosiła się staroświecka szafa, na której wśród świec, palących się w srebrnych kilkuramiennych lichtarzach, pomalowana figura świętego ze wzniesionymi oczyma rozkładała ręce. Przed nim stał klęcznik i gdy się do niego zbliżało, widać było o prawą nogę świętego opartą amatorską fotografię, przedstawiającą mniej więcej trzydziestoletniego młodego człowieka z wysokim, bladym, w tył cofniętym czołem i ogoloną, kościstą, do drapieżnego ptaka podobną twarzą, o skupionym, uduchowionym wyrazie.

Nowelista przystanął na chwilę przed portretem Daniela, potem ośmielił się wejść dalej w głąb pokoju. Za wielkim okrągłym stołem, w którego żółto polerowanym blacie, w ramie wieńca laurowego wypalony był ten sam niosący miecz orzeł, który widniał na zaproszeniu, wznosiło się wśród niskich stołków surowe, wąskie, strome gotyckie krzesło, niby tron. Długa, po prostu zbita ława, okryta tanim materiałem, ciągnęła się wzdłuż obszernej, przez mur i dach utworzonej wnęki, w której tkwiło niskie okno. Okno było otwarte, prawdopodobnie dlatego, że przysadzisty piec kaflowy był przegrzany, i pozwalało widzieć kawałek błękitnego nieba, w którego głębokiej dali równomiernie rozstawione latarnie gazowe jako żółtawo świecące punkty gubiły się w coraz większych odstępach.

Ale naprzeciw okna pokój zwężał się w rodzaj alkowy, która była jaśniej oświetlona niż reszta mansardy i zdawała się na pół gabinetem, na pół kaplicą. W głębi znajdowała się cienkim, bladym materiałem okryta kanapa. Po prawej widać było zasłonięty stojak z książkami, gdzie u góry paliły się świece w kilkuramiennych lichtarzach i antycznego kształtu lampy olejne. Z lewej stał biało nakryty stół, na nim krucyfiks, siedmioramienny lichtarz, czerwonym winem napełniony puchar i na talerzu kawałek ciasta z rodzynkami. Z przodu alkowy zaś, obok górującego żelaznego kandelabra, wznosiła się na płaskim podium złocona gipsowa kolumna, której kapitel

okryty był ciemnoczerwonym, jedwabnym ołtarzowym obrusem. A na tym widniał stos zapisanego papieru in folio: proklamacje Daniela. Jasne, małymi empirowymi wieńcami zadrukowane tapety pokrywały ściany i skośne części sufitu; trupie maski, różańce, wielki zardzewiały miecz wisiały na ścianach; poza wielkim portretem Napoleona zdobiły pokój w różnym wykonaniu podobizny Lutra, Nietzschego, Moltkego, Aleksandra Szóstego, Robespierre'a i Savonaroli.

— To wszystko jest przeżyte — rzekła Maria Józefa starając się wyczytać odniesione wrażenie z pełnej szacunku, zamkniętej twarzy nowelisty. Ale tymczasem przybyli nowi goście, cisi i uroczyści, i zaczęto w poważnej postawie zajmować miejsca na ławkach i krzesłach. Siedzieli tam teraz, oprócz przedtem przybyłych, fantastyczny rysownik ze starczą twarzą dziecka, kulejąca dama, która zwykle kazała się przedstawiać jako „erotyczka", niezamężna młoda matka szlacheckiego pochodzenia, która została odepchnięta przez swą rodzinę, ale bez żadnych duchowych pretensji przyjmowana była w tych kołach jedynie na podstawie swego macierzyństwa, starsza pisarka i garbaty muzyk — ogółem około trzydziestu osób. Nowelista schował się w niszy okiennej, a Maria Józefa siedziała tuż przy drzwiach na krześle, z rękami splecionymi na kolanach. Tak czekali na ucznia z Szwajcarii, który w właściwej chwili miał być na miejscu.

Nagle przyszła jeszcze bogata dama, która z amatorstwa zwykła była uczęszczać na takie zebrania. Przybyła w swej wybitej jedwabiem karecie z miasta, ze swego domu ozdobionego gobelinami i odrzwiami z giallo antico, wspięła się na wszystkie piętra i stanęła w drzwiach, piękna, pachnąca, zbytkowna, w niebieskiej wełnianej sukni z żółtymi haftami, w paryskim kapeluszu na rudobrunatnych włosach, uśmiechając się tycjanowskimi oczami. Przyszła z ciekawości, z nudów, z lubowania się w przeciwieństwach, z dobrej woli do wszystkiego, co było trochę niezwykłe, z uprzejmej ekstrawagancji; przywitała się z siostrą Daniela i nowelistą, który by-

wał u niej w domu, i usiadła na ławce przy niszy okiennej, między erotomanką i filozofem o wyglądzie kangura, jak gdyby tak nakazywał ceremoniał.

— O mało się nie spóźniłam — rzekła pięknymi, ruchliwymi ustami do nowelisty, który siedział za nią. — Miałam gości na herbacie; przeciągnęło się.

Nowelista był bardzo przejęty i dziękował Bogu, że jest w wizytowym ubraniu. „Jakże jest piękna! — myślał. — Jest godna być matką tej córki."

— A panna Sonia? — spytał przez ramię. — Nie zabrała pani z sobą panny Soni?

Sonia była córką bogatej damy i w oczach nowelisty nieprawdopodobnym dziwem stworzenia, cudem wszechstronnej edukacji, wcielonym ideałem kultury. Dwukrotnie wyrzekł jej imię, gdyż wymawianie go sprawiało mu nieopisaną rozkosz.

— Sonia jest cierpiąca — rzekła bogata dama. — Tak, pomyśl pan, coś jej się zrobiło na nodze. O, nie, obrzęk, coś jak małe zapalenie czy wrzód. Przecięto. Może nie było to potrzebne, ale sama chciała.

— Sama chciała? — powtórzył nowelista natchnionym szeptem. — To na nią patrzy. Ale jakże, na miłość boską, można jej wyrazić współczucie?

— Przekażę je — rzekła bogata dama. A ponieważ milczał: — Wystarcza to panu?

— Nie, nie wystarcza mi — rzekł bardzo cicho, a ponieważ ceniła jego książki, odrzekła z uśmiechem:

— To niech pan jej pośle kwiatek.

— Dziękuję! — rzekł. — Dziękuję. Zrobię to. — I w duszy myślał: „Kwiatek? Wiązankę! Cały bukiet! Bez śniadania pojadę jutro rano dorożką do kwiaciarni!" I czuł, że coś go wiąże z życiem.

Wtem dał się słyszeć z zewnątrz lekki szmer, drzwi otwarły się i zamknęły krótko i zamaszyście. Przed gośćmi stanął w blasku świec niski, krępy młody człowiek w ciemnym mary-

narkowym ubraniu. Uczeń z Szwajcarii. Groźnym spojrzeniem powiódł po pokoju, szybkimi krokami podszedł do gipsowej kolumny przed alkową, stanął za nią na płytkim podium z wyrazem, jakby tam chciał zapuścić korzenie, chwycił na samej górze leżący arkusz rękopisu i natychmiast zaczął czytać.

Miał mniej więcej dwadzieścia osiem lat, krótką szyję i był brzydki. Krótko ostrzyżone włosy wrastały ostrym kątem dziwnie daleko w zmarszczone i już bez tego niskie czoło. Twarz bez zarostu, ponura i ordynarna, ukazywała nos buldoga, grube kości szczękowe, zapadłe policzki i obrzękłe, wysunięte wargi, które zdawały się jakby w bezsilnym gniewie tworzyć tylko ciężkie i niechętne słowa. Twarz ta była surowa, a jednak blada. Czytał dzikim i krzykliwym głosem, który zarazem drżał wewnętrznie, wahał się i słabł od astmy. Ręka, która trzymała zapisany arkusz, była szeroka i czerwona, a jednak drżała. Przedstawiał mieszaninę brutalności i słabości i to, co czytał, zestrajało się z tym w dziwny sposób.

Były to kazania, przypowieści, tezy, prawa, wizje, proroctwa i do rozkazów dziennych podobne wykrzyki, które w stylowej mieszaninie psałterza i apokalipsy następowały po sobie pstrym i nieskończonym szeregiem wojskowo-strategicznych jak i filozoficzno-krytycznych wyrażeń fachowych. Gorączkowe i strasznie podrażnione „ja" wybuchało w samotnej manii wielkości i groziło światu potopem gwałtownych słów. Christus imperator maximus miał na imię i werbował gotowe na śmierć wojska dla podbicia kuli ziemskiej, wydawał orędzia, stawiał nieubłagane warunki, wymagał czystości i ubóstwa i powtarzał z bezgranicznym oburzeniem, z rodzajem sprzecznej z naturą rozkoszy, nieustannie przykazanie bezwarunkowego posłuszeństwa. Buddę, Aleksandra, Napoleona i Jezusa nazywał swymi pokornymi poprzednikami, niegodnymi rozwiązać duchowemu cesarzowi rzemyka u obuwia.

Uczeń czytał przez godzinę; potem drżąc wypił z puchara haust czerwonego wina i sięgnął po nowe proklamacje. Pot perlił się na jego niskim czole, jego obrzękłe wargi drgały

i pomiędzy słowami wyrzucał nieustannie z krótkim prychaniem powietrze przez nos, wyczerpany rykiem. Samotne „ja" śpiewało, szalało i komenderowało. Gubił się wśród obrazów, tonął w wirze nielogiczności i wynurzał się nagle straszliwie w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Bluźnierstwa i hosanny — kadzidło i opar krwi mieszały się z sobą. W grzmiących bitwach świat został zdobyty i zbawiony.

Byłoby trudno określić wpływ proklamacyj Daniela na słuchaczy. Jedni z przechylonymi w tył głowami, z zagasłymi oczami patrzyli w sufit; inni, pochyleni nisko ku swym kolanom, zanurzali twarze w dłoniach. Oczy erotomanki mętniały dziwnie każdym razem, gdy zabrzmiało słowo „czystość", a filozof o wyglądzie kangura pisał od czasu do czasu coś niepewnego w powietrzu swym długim, krzywym palcem. Nowelista szukał od dłuższego czasu daremnie odpowiedniej pozycji dla bolącego grzbietu. O godzinie dziesiątej miał wizję bułki z szynką, ale przepłoszył ją mężnie.

Około wpół do jedenastej widoczne było, że uczeń trzymał w czerwonej, drżącej prawicy ostatni arkusz in folio. Kończył. — Żołnierze! — wołał u kresu swych sił odmawiającym posłuszeństwa, piorunującym głosem. — Oddaję wam na spustoszenie — ś w i a t! — Potem zszedł z podium, powiódł po wszystkich groźnym spojrzeniem i jak przyszedł, tak gwałtownie wyszedł drzwiami.

Słuchacze trwali jeszcze chwilę w nieruchomej pozycji. Potem, jak na komendę, wstawali i wychodzili niezwłocznie, ściskając z cichym słowem rękę Marii Józefie, która znów w swym białym, opadającym kołnierzu, cicha i czysta, stała u drzwi.

Niemy chłopak czekał zewnątrz. Świecił gościom w garderobie, pomagał im przy wkładaniu okryć i prowadził ich przez wąską klatkę schodową, na którą z najwyższej wysokości, z królestwa Daniela, padał ruchomy blask świecy, ku bramie, którą otworzył. Goście jeden po drugim wychodzili na pustą przedmiejską ulicę.

Kareta bogatej damy czekała przed domem. Widać było, jak stangret na koźle między dwiema jasnymi latarniami podnosił rękę z biczem do kapelusza. Nowelista odprowadził damę do drzwiczek powozu.

— Jak się pani czuje? — spytał.

— Niechętnie wyrażam zdanie w takich rzeczach — rzekła. — Może to naprawdę geniusz czy coś podobnego.

— Tak, cóż to jest geniusz? — rzekł zamyślony. — W tym Danielu istnieją wszystkie warunki: samotność, wolność, duchowa namiętność, wspaniała optyka, wiara w siebie, nawet bliskość zbrodni i szaleństwa. Czego brak? Może człowieczeństwa? Trochę uczucia, tęsknoty, miłości? Ale to jest zupełnie zaimprowizowana hipoteza.

— Proszę pozdrowić Sonię — dodał, gdy z siedzenia podała mu na pożegnanie rękę, i badał przy tym z napięciem jej minę, jak ona to przyjmie, że rzekł po prostu „Sonię", a nie „pannę Sonię" lub „córeczkę".

Ceniła jego książki, więc uśmiechnęła się z tolerancją.

— Przekażę jej to.

— Dziękuję! — rzekł i upojenie nadziei zmąciło mu głowę. Miał pewien stosunek do życia.

CIĘŻKIE GODZINY

1905 r.

Wstał od biurka, od swego małego, lichego sekretarzyka, wstał jak desperat i ze zwieszoną głową podszedł w przeciwległy kąt pokoju do pieca, który był wysoki i smukły jak słup. Przyłożył ręce do kafli, które już prawie zupełnie ostygły, gdyż północ dawno minęła; i nie otrzymawszy małego dobrodziejstwa, którego się spodziewał, wsparł się o niego plecami, kaszląc owinął się połami szlafroka, z którego wyłogów zwisał zniszczony praniem koronkowy żabot, i sapał z trudem przez nos, aby zdobyć trochę powietrza; gdyż miał katar jak zwykle.

Był to osobliwy i niesamowity katar, który go prawie nigdy nie opuszczał. Powieki były zaognione, a brzegi nozdrzy zupełnie obolałe; w głowie zaś i członkach odczuwał ten katar jak ciężkie, bolesne otumanienie. Albo też całemu temu osłabieniu i tej ociężałości winne było przeklęte zamknięcie w pokoju, na które lekarz od tygodnia znowu go skazał? Bóg wie, czy dobrze zrobił. Wieczny katar i kurcze w piersi i brzuchu czyniły to może koniecznym, a niepogoda wisiała nad Jeną od tygodni, od całych tygodni, to prawda, ohydna, wstrętna niepogoda, którą czuło się we wszystkich nerwach, ohydna, ponura i zimna, a wiatr grudniowy wył w rurze komina, okropnie i rozpaczliwie huczał jak nocą na stepie, wśród burzy i obłędu, w nieuleczalnej zgryzocie ducha. Ale nie było dobre to ciasne więzienie, niedobre dla myśli i dla rytmu krwi, z którego płynęły.

Sześciokątny pokój, goły, jałowy i niewygodny, z pobielonym sufitem, pod którym unosił się dym tytoniu, z ukośnie kratkowaną tapetą, na której wisiały w owalnych ramach sylwetki, i z pięcioma cienkonogimi meblami, tonął w świetle dwóch świec płonących u górnego brzegu rękopisu na sekretarzyku. Czerwone firanki zwisały z karniszów okiennych, raczej chorągiewki z symetrycznie upiętego perkalu, ale były czerwone ciepłą, jaskrawą czerwienią; a on lubił je i nie chciał się nigdy z nimi rozstać, gdyż wnosiły coś zbytkownego i rozkosznego w niedorzecznie wstrzemięźliwe ubóstwo jego pokoju.

Stał przy piecu i patrzył z szybkim i boleśnie wytężonym mruganiem ku dziełu, od którego uciekł, od tego ciężaru, tej zmory, tej udręki sumienia, od tego morza, które miał wypić, od tego strasznego zadania, które było jego dumą i nędzą, jego rajem i potępieniem. Wlokło się to, kulało, przystawało — już znowu, już znowu! Winna była pogoda i jego katar, i jego znużenie. Czy też dzieło? Sama praca? Która była nieszczęśliwie i w rozpaczy poczęta?

Wstał, aby zdobyć trochę dystansu, gdyż często przestrzenne oddalenie się od rękopisu sprawiało, że zyskiwał perspektywę, mógł zdobyć szersze spojrzenie na przedmiot i coś zdecydować. Tak, zdarzały się wypadki, że uczucie ulgi, gdy odwrócił się od miejsca zmagań, dawało podnietę. A była to podnieta mniej szkodliwa niż likier lub mocna czarna kawa. — Mała filiżanka stała na stoliku. A gdyby mu pomogła pokonać przeszkodę? Nie, nie, już dość! Nie tylko lekarz, ale i ktoś inny, daleko poważniejszy, odradzał mu to przezornie, ktoś inny, tam w Weimarze, kogo kochał z tęskną wrogością. Ten był mądry. Ten umiał żyć, tworzyć; nie poniewierał sobą; był pełen względów dla siebie.

W domu panował spokój. Słychać było tylko wiatr, który dął ulicą zamkową, i deszcz, który trzepał w szyby. Wszyscy spali, właściciel domu i jego rodzina, Lotta i dzieci. A on stał przy ostygłym piecu i spoglądał z udręką na dzieło, w które

chorobliwy niedosyt nie pozwalał mu wierzyć. Biała jego szyja sterczała z halsztuka, a między połami szlafroka widać było wykrzywione do wewnątrz nogi. Rude włosy, odgarnięte z wysokiego, delikatnego czoła, odsłaniały naznaczone bladymi żyłami zatoki skroni i zakrywały uszy cienkimi lokami. U nasady wielkiego, zakrzywionego nosa, który bezpośrednio przechodził w białawy koniuszek, gęste brwi, ciemniejsze niż włosy głowy, stykały się z sobą, co nadawało spojrzeniu głęboko osadzonych, zaczerwienionych oczu coś tragicznego. Zmuszony oddychać ustami, otwierał cienkie wargi, a piegowate policzki, wybladłe w pokojowym powietrzu, były zwiędłe i zapadnięte.

Nie, nie udało się i wszystko było daremne! Armia! Trzeba było pokazać armię! Armia była podstawą wszystkiego! Skoro nie można jej było unaocznić — czyż można sobie wyobrazić, ile ogromnej sztuki potrzeba, aby ją narzucić wyobraźni? I bohater nie był bohaterem, był pospolity i zimny! Plan był fałszywy i język był fałszywy, było to oschłe, pozbawione polotu wypracowanie historyczne, rozwlekłe, jałowe i stracone dla sceny!

Dobrze, więc koniec. Klęska. Nieudane przedsięwzięcie. Bankructwo. Chciał o tym napisać Körnerowi, dobremu Körnerowi, który weń wierzył, który z dziwnym zaufaniem podziwiał jego geniusz. Przyjaciel ten szydziłby, błagał, piorunował; przypomniałby mu Carlosa, który też powstał z powątpiewania i męki, i zmian i w końcu po wszystkich udrękach okazał się czymś doskonałym, pełnym chwały czynem. Ale wtedy było inaczej. Wtedy był jeszcze człowiekiem, który umiał uchwycić rzecz szczęśliwą ręką i przerobić ją w zwycięstwo. Skrupuły i walki? O tak. I był chory, jeszcze bardziej chory niż teraz, biedak, zbieg pokłócony ze światem, uciśniony, nędzarz w swym ludzkim poczuciu. Ale był młody, całkiem młody jeszcze! Każdym razem duch jego, choćby najgłębiej ugięty, prostował się sprężyście i po godzinach strapienia następowały godziny wiary i wewnętrznego tryumfu. Te już nie

nadchodziły, nadchodziły z trudem. Jedną noc płomiennego natchnienia i gdy widziało się w genialnie namiętnym blasku, co by się mogło stać, gdyby się można zawsze cieszyć taką łaską, trzeba było płacić tygodniem ciemności i bezwładu. Był zmęczony, miał dopiero trzydzieści siedem lat i już u kresu. Wiara już zamarła, ta wiara w przyszłość, która w nędzy była mu gwiazdą. I tak było, oto rozpaczliwa prawda: lata biedy i nicości, które uważał za lata cierpienia i próby, były właściwie latami bogactwa i płodności, teraz zaś, gdy zaświtało trochę szczęścia, gdy z korsarstwa ducha wszedł w prawne i obywatelskie stosunki, zdobył urząd i zaszczyty, posiadał żonę i dzieci, teraz był wyczerpany i skończony. Zawieść i zwątpić, oto, co pozostało.

Jęczał, przyciskał ręce do oczu i krążył po pokoju, jakby był szczuty. To, co właśnie pomyślał, było tak straszne, że nie mógł ustać na miejscu, gdzie go ta myśl naszła. Usiadł na krześle pod ścianą, zwiesił załamane ręce między kolanami i wpatrywał się ponuro w podłogę.

Sumienie... Jak głośno krzyczało jego sumienie! Grzeszył, grzeszył przeciwko sobie samemu przez te wszystkie lata, przeciwko delikatnemu instrumentowi swego ciała. Wybryki jego młodzieńczej fantazji, bezsenne noce, dni w tytoniowym dymie izby, podniecenie ducha i niepamięć o potrzebach ciała, środki odurzające, którymi pobudzał się do pracy — to mściło, to mściło się teraz!

A jeśli się mściło, to będzie urągał bogom, którzy zsyłają winę, a potem wymierzają karę. Żył, jak żyć musiał, nie miał czasu być mądrym, nie miał czasu być rozważnym. Tu, w tym miejscu piersi, gdy oddychał, kaszlał, ziewał, zawsze w tym samym miejscu czuł ów ból, to małe, diabelskie, kłujące, wiercące ostrzeżenie, które nie milkło, odkąd przed pięciu laty w Erfurcie nabawił się tego kataru z gorączką, tej piersiowej choroby; cóż ona mówiła? Naprawdę, wiedział zbyt dobrze, co wróżyła — niech lekarz gada, co może i chce. Nie miał czasu oszczędzać się rozumnie, gospodarować sobą obyczajnie. To,

co chciał zrobić, musi zrobić zaraz, dziś jeszcze, prędko. Obyczajność? Ale jakże się to działo wreszcie, że właśnie grzech, oddanie się temu, co szkodliwe i niszczące, zdawało mu się moralniejsze niż wielka mądrość i chłodna wstrzemięźliwość? Nie ona, nie pogardy godna sztuka czystego sumienia była obyczajnością, lecz walka i bieda, namiętność i cierpienie!

Cierpienie... Jakże to słowo poszerzało mu piersi! Wyprostował się, skrzyżował ramiona; i spojrzenie jego spod rudawych, ściągniętych brwi rozbłysło piękną skargą. Nie było się jeszcze nędzarzem, zupełnym nędzarzem, dopóki można było nadać nędzy swej dumne i szlachetne imię. Jednego trzeba: odwagi nadawania swemu życiu wielkich i pięknych imion! Nie upatrywać cierpienia swego w pokojowym powietrzu i zatwardzeniu! Być dość zdrowym, aby być patetycznym, móc nie widzieć, nie czuć spraw ciała! Tylko w tym być naiwnym, choćby poza tym wszystkowiedzącym! Móc wierzyć, wierzyć w cierpienie... Ależ wierzył przecie w cierpienie, tak głęboko, tak serdecznie, że coś, co w cierpieniu się działo, wskutek tej wiary nie mogło być ani bezpożyteczne, ani złe.

Spojrzenie jego przeniosło się na rękopis i ręce jego splotły się jeszcze mocniej na piersiach. A sam talent — czyż nie był cierpieniem? I jeśli t a m t o, nieszczęsne dzieło, sprawiało mu cierpienie, czyż to nie było w porządku i niemal już dobrym znakiem? Nigdy jeszcze źródło nie tryskało samo i nieufność jego zbudziłaby się dopiero wówczas, gdyby tryskało. Tryska tylko partaczom i dyletantom, łatwo zadowolonym i nieświadomym, którzy nie żyją pod uciskiem i rygorem talentu. Bo talent, panowie i panie, tam daleko, w parterze, talent nie jest czymś łatwym, igraszką, nie jest po prostu umiejętnością. W istocie jest p o t r z e b ą, krytyczną wiedzą o ideale, nienasyceniem, które sobie swą umiejętność nie bez udręki dopiero stwarza i wzmaga. I dla największych, dla nienasyconych, jest ich talent najostrzejszym biczem. — Nie skarżyć się! Nie pysznić się! Skromnie, cierpliwie myśleć o tym, co się stworzyło. I choćby ani jeden dzień w tygod-

niu, ani godzina w życiu nie była wolna od cierpienia, cóż z tego? Ciężary i osiągnięcia, wymagania, przykrości, mozoły lekceważyć, mieć z a n i c — oto, co czyniło wielkim!

Wstał, wyciągnął tabakierkę i zażył chciwie niuch, potem założył ręce na plecy i chodził tak gwałtownie po pokoju, że płomienie świec chwiały się w powiewie. — Wielkość! Niezwykłość! Zdobycie świata i imię nieśmiertelne! Cóż znaczyło wszelkie szczęście ludzi wiecznie nieznanych wobec tego celu? Być znanym — znanym i kochanym przez ludy ziemi! Plećcie o egoizmie ambicji, wy, którzy nic nie wiecie o słodyczy tego snu i tęsknoty! Ambitne jest wszystko, co niezwykłe, o ile cierpi. Patrzcież sami, mówi ono, o wy, bez posłannictwa, o ileż lżej wam na ziemi! A ambicja mówi: czyż cierpienie ma być darem? Musi uczynić mnie wielkim!

Nozdrza jego były rozdęte, jego wzrok groził i błądził dokoła. Prawą rękę wsunął gwałtownie i głęboko pod klapę szlafroka, gdy lewa, zwinięta w pięść, zwisła. Gwałtowny rumieniec oblał jego chude policzki, niby płomień, który buchnął z ogniska jego egoizmu artysty, owej namiętności dla swego „ja" żarzącej się wiecznie w jego głębi. Znał dobrze tajemne upojenie tej miłości. Czasem wystarczyło mu spojrzeć na własną rękę, aby napełniła go natchniona czułość dla samego siebie, w której służbę postanowił oddać wszystko, co dane mu było w rynsztunku talentu i sztuki. Wolno mu było to zrobić, nie było w tym nic nieszlachetnego. Gdyż głębiej jeszcze niż ten egoizm żyła świadomość, że przy tym wszystkim spala się jednak ofiarnie i niesamolubnie, w służbie czegoś wzniosłego, wprawdzie bez zasługi, lecz z konieczności. I to była jego zazdrość: by większym od niego nie stał się nikt, kto by nie cierpiał też głębiej niż on dla tej wzniosłości.

Nikt! — Przystanął z dłonią nad oczami, na pół zwrócony piersią w bok, ruchem wymijającej ucieczki. Ale czuł już kolec tej nieuniknionej myśli, myśli o nim, o tamtym, zdrowym, radośnie czynnym, zmysłowym, bosko bezwiednym, o t a m t y m, w Weimarze, którego kochał tęskną wrogo-

ścią... I znów, jak zawsze, w głębokim niepokoju, w pośpiechu i zapale, czuł, jak poczyna się w nim praca, która postępowała za tą myślą: utwierdzić i odgraniczyć własną osobowość i artyzm wobec tamtego. — Czyż on był większy? W czym? Dlaczego? Czyż zwycięstwo jego byłoby krwawiącym „na przekór"? Czy klęska jego byłaby tragicznym widowiskiem? Bogiem może — bohaterem nie był. Ale łatwiej było być bogiem niż bohaterem! — łatwiej... Tamtemu było łatwiej! Rozdzielać mądrą i szczęśliwą ręką świadomość i twórczość to mogło czynić pogodnym i beztroskim, i bujnie płodnym. Ale jeśli twórczość była boska, to świadomość była bohaterstwem, a jednym i drugim, bogiem i bohaterem, był ten, który świadomie tworzył.

Żądza ciężaru... Czy kto przeczuwał, ile rygoru i przezwyciężenia siebie kosztowało go jedno zdanie, surowa myśl? Gdyż ostatecznie był nieświadomy i mało uczony, surowy, egzaltowany marzyciel. Trudniej było napisać list Juliusa niż stworzyć najlepszą scenę — i czy nie przeto zdawało się tamto wyższe? — Od pierwszego rytmicznego popędu wewnętrznego pomysłu bez tworzywa, materii, możliwości wylania — aż do myśli, obrazu, słowa, wiersza: jakaż walka! Jakaż droga męki! Cudem tęsknoty były jego dzieła, tęsknoty do formy, kształtu, ograniczenia, ucieleśnienia, tęsknoty ku jasnemu światu tamtego, który bezpośrednio, boskimi ustami nazywał po imieniu rzeczy pod słońcem.

A jednak i owemu na przekór: kto był artystą, poetą równym jemu, jemu samemu? Kto tworzył jak on, z niczego, z własnej piersi? Czyż nie rodziło się to jako muzyka, jako czysty prawzór bytu w jego duszy, na długo przedtem, zanim znalazło sobie przenośnię i pożyczyło szaty ze świata zjawisk? Historia, filozofia, namiętność: środki i pozory, nic więcej, dla czegoś, co niewiele ma z nimi wspólnego, co miało swą ojczyznę w głębiach orfickich. Słowa, pojęcia: tylko klawisze, w które uderzał jego artyzm, aby rozdzwonić tajemną melodię. — Czy wiedziano o tym? Ci poczciwi ludzie chwalili go za siłę prze-

konania, z jaką uderzał w ten lub ów klawisz. I jego ulubione słowo, jego ostateczny patos, wielki dzwon, którym nawoływał do najwyższych świąt ducha, przynęciło wielu. — Wolność... Zaprawdę, mniej i więcej rozumiał przez to niż tamci, kiedy krzyczeli z radości. Wolność — co to znaczyło? Chyba nie trochę obywatelskiej godności wobec książęcych tronów? Czy pojmujecie, co duch waży się rozumieć przez to słowo? Wolność od czego? Od czegoż ostatecznie? Może nawet i od szczęścia, od ludzkiego szczęścia, tego jedwabnego pęta, tego miękkiego i miłego obowiązku.

Od szczęścia... Jego wargi drżały; zdawało się, jakby spojrzenie jego zwracało się w głąb, i powoli ukrył twarz w dłoniach. — Był w sąsiednim pokoju. Niebieskawe światło spływało z ampli, a firanka w kwiatki zakrywała cichymi fałdami okno. Stał przy łóżku, pochylił się nad ukochaną głową na poduszce... Czarny lok wił się na policzku perłowej zda się bieli, a dziecięce wargi były otwarte we śnie... „Moja żono! Najdroższa! Poszłaś za moją tęsknotą i stanęłaś przy mnie, aby być moim szczęściem? Jesteś nim, nie mów! I śpij! Nie podnoś teraz tych słodkich, długi cień rzucających rzęs, aby spojrzeć na mnie tak głęboko, tak mrocznie, jak czynisz czasem, jakbyś pytała i szukała mnie! Przysięgam na Boga, kocham cię bardzo. Tylko czasami nie mogę odnaleźć mego uczucia, bo często jestem bardzo zmęczony cierpieniem i walką z owym zadaniem, które stawia mi moje »ja«. I nie mogę być zanadto twój, nie mogę być nazbyt szczęśliwy z tobą, gwoli temu, co jest mym posłannictwem..."

Pocałował ją, oderwał się od lubego ciepła jej snu, rozejrzał się i wrócił. Dzwon przypomniał mu, ile nocy już upłynęło, ale zdało się jednocześnie, jakby zaznaczał dobrotliwie koniec ciężkiej godziny. Odetchnął, zaciął usta, podszedł i ujął pióro. — Nie mędrkować! Był za głęboki, by wolno mu było mędrkować! Nie zstępować do chaosu, przynajmniej się tam nie zatrzymywać! Lecz z chaosu, który jest pełnią, dźwignąć do światła, co jest gotowe i dojrzałe, aby uzyskać formę. Nie

mędrkować! Pracować! Ograniczać, wyłączać, kształtować, kończyć!

I skończone zostało dzieło cierpienia. Może nie było dobre, ale było skończone. I gdy było skończone, okazało się, że było też dobre. A z jego duszy, z muzyki i idei, wyrosły nowe dzieła, dźwięczne i lśniące twory, które w świętej formie pozwalały cudownie przeczuwać nieskończoną ojczyznę, jak w muszli szumi morze, z którego ją wyłowiono.

KATASTROFA KOLEJOWA

1907 r.

Opowiedzieć coś? Ależ nic nie wiem. Dobrze, więc coś opowiem.

Pewnego razu, będzie już dwa lata temu, uczestniczyłem w katastrofie kolejowej — niektóre szczegóły stoją mi jasno przed oczyma.

Nie są to szczegóły pierwszorzędne, żadna harmonika z „ciałami nie do rozpoznania" i tak dalej, wcale nie. Ale była to jednak prawdziwa katastrofa kolejowa z wszelkimi dodatkami, i poza tym w porze nocnej. Nie każdy tego doświadczył, dlatego uraczę was tym.

Jechałem wtedy z Drezna, zaproszony przez miłośników literatury. Więc podróż artystyczno-wirtuozowska, jakie od czasu do czasu chętnie podejmuję. Człowiek reprezentuje, występuje, pokazuje się wykrzykującemu tłumowi; nie na darmo jest się poddanym Wilhelma II. Także Drezno jest przecież piękne (zwłaszcza Zwinger), a potem chciałem na tydzień lub dwa pojechać do „Białego Jelenia", aby się trochę poleczyć i, jeśli przy pomocy „aplikacji" natchnienie mi dopisze, także popracować. W tym celu włożyłem naprzód do kufra mój rękopis wraz w z materiałem notatkowym, pokaźny zwój w brązowym papierze do pakowania, obwiązany mocnym szpagatem w bawarskich barwach.

Lubię podróżować z komfortem, zwłaszcza gdy mi go opłacają. Jechałem więc wagonem sypialnym, dzień przedtem zapewniłem sobie przedział pierwszej klasy i byłem bezpieczny. Mimo to miałem gorączkę, jak zawsze w takich wypadkach,

gdy wyjazd pozostaje przygodą, i nigdy nie otrzaskam się ze sprawami podróży. Wiem doskonale, że pociąg nocny do Drezna odjeżdża zwyczajnie co wieczór z głównego dworca w Monachium i jest co rano w Dreźnie. Ale jeśli sam nim jadę i mój ważny los związuję z jego losem, to jest to przecież wielka sprawa. Nie mogę się wtedy pozbyć myśli, że jedzie on jedynie dzisiaj i dla mnie, i ten niedorzeczny pomysł powoduje ciche, głębokie zdenerwowanie, które ustaje nieprędzej, aż wszystkie kłopoty wyjazdowe, pakowanie kufra, jazdę obciążoną dorożką na dworzec, przyjazd na miejsce, nadanie bagażu, mam już za sobą i wiem, że jestem ostatecznie ulokowany i bezpieczny. Wtedy oczywiście następuje błogie odprężenie, myśl zwraca się ku nowym rzeczom, wielka obczyzna otwiera się tam, za łukami szklanego sklepienia, i radosne oczekiwanie owłada umysłem.

Tak było też wtedy. Nagrodziłem hojnie niosącego mój pakunek, tak że zdjął czapkę i życzył mi szczęśliwej podróży, i stałem paląc wieczorne cygaro przy oknie w korytarzu wagonu sypialnego, przyglądając się ruchowi na peronie. Słychać było syk i turkot, pośpiech, pożegnania i śpiewne wołania sprzedawców gazet i chłodzących napojów, a ponad wszystkim płonęły wielkie elektryczne księżyce w mgle październikowego wieczoru. Dwaj rośli mężczyźni ciągnęli ręczny wóz z wielkimi pakunkami wzdłuż pociągu ku bagażowemu wozowi. Poznałem po pewnych szczególnych znakach mój własny kufer. Oto leżał, jeden wśród wielu, a na jego dnie spoczywał drogocenny zwój. „Nie ma obawy — myślałem — jest w dobrych rękach! Spójrz na tego konduktora ze skórzanym pasem, z potężnym wąsem wachmistrza i surowo czujnym spojrzeniem. Patrz, jak wrzasnął na tę starą kobietę w wyszarzałej czarnej mantyli, bo o mały włos nie wsiadła do drugiej klasy. To jest państwo, nasz ojciec, autorytet i bezpieczeństwo. Nie obcuje się z nim chętnie, jest surowy, jest szorstki, jest nawet gburowaty, ale można polegać na nim, a kufer jest bezpieczny jak na łonie Abrahama."

Jakiś pan spaceruje po peronie, w getrach i żółtej jesionce, prowadząc psa na smyczy. Nigdy nie widziałem ładniejszego pieska. Jest to krępy buldog, lśniący, muskularny, z czarnymi plamami i tak wytresowany i zabawny, jak pieski, które widzi się niekiedy w cyrku i które rozweselają publiczność, gdy z całych sił swego małego ciałka pędzą dokoła areny. Pies ma na karku srebrną obrożę, a smycz jego spleciona jest z kolorowej skóry. Ale wszystko to nie może dziwić wobec jego pana, pana w getrach, który z pewnością jest arcyszlacheckiego pochodzenia. Ma monokl w oku, co nadaje mu sprytniejszą minę nie wykrzywiając jej, a wąsy jego są butnie nastroszone, przez co kąty ust jak i broda nabierają pogardliwego i energicznego wyrazu. Zwraca się z pytaniem do marsowego konduktora i prosty ten człowiek, który dokładnie czuje, z kim ma do czynienia, odpowiada mu z ręką przy czapce. Więc pan przechadza się dalej, zadowolony z efektu swej osoby. Przechadza się pewny w swych getrach, z twarzą zimną, surowo mierzy okiem ludzi i rzeczy. Nie zna gorączki kolejowej, widać to po nim jasno; coś takiego jak wyjazd nie jest dla niego przygodą. Czuje się w życiu jak u siebie, bez niepokoju wobec jego urządzeń i potęg, on sam należy do tych potęg, słowem: pan. Nie mogę się go napatrzyć do syta.

Gdy uznał, że już czas, wsiadł (konduktor właśnie odwrócił się plecami). Przechodzi korytarzem poza mną i choć mnie potrącił, nie mówi: „Pardon". Co za pan! Ale to nic wobec tego, co następuje. Pan, nie drgnąwszy nawet, zabiera swego psa z sobą do przedziału sypialnego! Jest to niewątpliwie wzbronione. Jakżebym ja śmiał zabrać psa do wagonu sypialnego! Ale on czyni to mocą swego pańskiego prawa w życiu i zamyka za sobą drzwi.

Gwizdek, lokomotywa odpowiada, pociąg łagodnie rusza. Postałem jeszcze chwilę przy oknie, widziałem pozostałych kiwających ręką ludzi, żelazny most, bujające i wędrujące światła... Potem cofnąłem się w głąb wozu.

Wagon sypialny nie był zbyt zapełniony; przedział obok

mojego był pusty i nie był przygotowany do spania, więc postanowiłem rozgościć się w nim dla godziny spokojnego czytania. Poszedłem po książkę i zagospodarowałem się. Sofa pokryta była jedwabistym, łososiowej barwy materiałem, na składanym stole stała popielniczka, gaz palił się jasno. Paląc czytałem.

Konduktor wozu sypialnego wchodzi służbowo, prosi o bilet i podaję go jego czarniawym rękom. Mówi grzecznie, ale w sposób czysto urzędowy, oszczędza sobie życzenia „dobrej nocy" człowieka dla człowieka i wychodzi, aby zapukać do przyległego przedziału. Ale winien był tego zaniechać, gdyż tam przebywał pan w getrach, i czy to dlatego, że pan nie chciał zdradzić się ze swym pieskiem, czy też, że już się położył, słowem, strasznie się rozgniewał, że ktoś pozwolił sobie go niepokoić, i pomimo łoskotu pociągu usłyszałem przez cienką ścianę bezpośredni i żywiołowy wybuch jego złości. — Cóż to?! — krzyczał. — Daj mi pokój, małpi chwoście! — Użył wyrazu „małpi chwoście" — był to wyraz pański, wyraz jeździecki i kawaleryjski, podnoszący na duchu słuchacza. Ale konduktor wagonu sypialnego wdał się w układy, gdyż musiał naprawdę mieć bilet pana, a ponieważ wyszedłem na korytarz, aby śledzić wszystko dokładnie, więc widziałem też, jak drzwi pana krótkim pchnięciem otworzyły się trochę i bilet frunął konduktorowi w twarz, gwałtownie i mocno, wprost w twarz. Chwycił go w obie ręce i choć rogiem zeszytu dostał w oko, tak że zaszło łzami, zsunął nogi i podziękował z ręką przy czapce. Wstrząśnięty wróciłem do książki.

Rozważam, co by mi przeszkadzało wypalić jeszcze jedno cygaro, i uznaję, że nie ma nic takiego. Więc palę jeszcze jedno wśród łoskotu i czytania i czuję się dobrze i pełen myśli. Czas mija, jest dziesiąta, pół do jedenastej lub później, pasażerowie wagonu sypialnego udali się wszyscy na spoczynek, w końcu postanawiam uczynić to samo.

Więc wstaję i idę do mego przedziału. Prawdziwa zbytkowna sypialenka z wytłaczanymi skórzanymi tapetami, z wieszad-

łami na rzeczy i z niklowaną miednicą. Pościel śnieżna przygotowana, kołdra zapraszająco odgarnięta. „O wielka nowości! — myślę. — Człowiek kładzie się do tego łóżka jak w domu, trzęsie się trochę przez noc i skutek jest ten, że znajduje się rano w Dreźnie". Zdjąłem ręczną walizkę z siatki, aby się przebrać. Podniesionymi rękami trzymam ją nad głową.

W tej chwili zachodzi wypadek kolejowy. Pamiętam jak dziś.

Nastąpił wstrząs — ale „wstrząs" to mało. Był to wstrząs, który natychmiast zaznaczył się bezwarunkowo złośliwie, ohydnie trzeszczący wstrząs i tak gwałtowny, że torba ręczna nie wiem dokąd, wyleciała mi z ręki, a ja sam zostałem boleśnie rzucony ramieniem o ścianę. Przy tym nie było czasu do oprzytomnienia. Ale potem zaczął wóz miotać się straszliwie i podczas tego miotania ustąpił na chwilę strach. Wóz może miotać się przy zwrotnicach, na ostrych krzywiznach, to wiadomo. Ale to miotało tak, że nie było można ustać, tylko leciało się od ściany do ściany, czekając, że wóz się przewróci. Myślałem coś bardzo prostego, ale myślałem to z wielkim skupieniem i stanowczością. Myślałem: „To niedobrze, to bardzo niedobrze, to w każdym razie niedobrze". Dosłownie. Poza tym myślałem: „Stać! Stać! Stać!" — Bo wiedziałem, że jeśli pociąg stanie, będzie daleko lepiej. I oto, na mój cichy i gorący rozkaz, pociąg stanął.

Do tej chwili śmiertelne milczenie panowało w wagonie sypialnym. Teraz wybuchnął strach. Przeraźliwe krzyki kobiece mieszały się z głuchymi głosami przestrachu mężczyzn. Obok siebie słyszę wołanie: — Na pomoc! — i niewątpliwie jest to głos, który przedtem użył słowa „małpi chwoście", głos pana w getrach, jego zmieniony strachem głos. — Na pomoc! — woła i w chwili, gdy wychodzę na korytarz, gdzie zbiegli się pasażerowie, wypada on w jedwabnej pidżamie z swego przedziału i stoi z błędnymi oczami. — Wielki Boże! — mówi — wszechmocny Boże! — I aby się zupełnie ukorzyć i w ten sposób może odwrócić od siebie zagładę, mówi

jeszcze w zgorzkniałym tonie: — Boże drogi... — Ale nagle przypomina sobie coś innego i ucieka się do samopomocy. Rzuca się ku ściennej szafce, w której na wszelki wypadek znajduje się siekiera i piłka, tłucze pięścią szybę, ale ponieważ nie może zaraz dostać się do nich, pozostawia skrzynkę w spokoju, toruje sobie dzikimi szturchańcami drogę przez zgromadzonych pasażerów, tak że półnagie kobiety znowu wrzeszczą, i wyskakuje na dwór.

Było to dziełem chwili. Poczułem dopiero teraz strach: pewne osłabienie w grzbiecie, przejściową niezdolność przełykania. Wszyscy oblegali czarnorękiego urzędnika wagonu sypialnego, który z czerwonymi oczami zjawił się również, kobiety z gołymi ramionami i plecami załamywały dłonie.

Było to wykolejenie, tłumaczył ten człowiek, wykoleiliśmy się. Co nie było trafne, jak się później okazało. Ale patrzcie, człowiek ten stał się w tych warunkach rozmowny, porzucił swą urzędową rzeczowość, wielkie zdarzenia rozwiązały mu język i mówił poufale o swojej żonie. — Powiedziałem jeszcze do mojej żony: „Żono — powiadam — czuję, jakby się dziś miało coś stać". No, i czy może nie stało się coś? — Tak, wszyscy przyznali mu słuszność. Dym, gęsty dym kłębił się w wagonie, nie wiadomo skąd, więc woleliśmy wszyscy wynieść się w ciemną noc.

Możliwe to było tylko za pomocą bardzo wysokiego skoku z platformy na nasyp kolejowy, gdyż nie było peronu i poza tym nasz wagon stał widocznie krzywo, pochylony w przeciwną stronę. Ale damy, które szybko zakryły swą nagość, zeskakiwały desperacko i wnet staliśmy wszyscy pomiędzy szynami.

Było prawie ciemno, ale widać było, że poza nami wagonom prawie nic nie brakowało, choć stały skośnie. Ale z przodu — piętnaście czy dwadzieścia kroków przed nami! Nie darmo uderzenie tak strasznie zatrzeszczało. Tam była pustynia szczątków — widać było jej brzegi, gdy się kto zbliżył, i błądziły po nich małe latarki konduktorów.

Przychodziły stamtąd wiadomości, zdenerwowani ludzie przynosili meldunki o sytuacji. Znajdowaliśmy się tuż przy małej stacyjce, niedaleko Regensburga, i wskutek uszkodzenia zwrotnicy nasz pociąg pośpieszny wpadł na fałszywy tor i w pełnym biegu wjechał z tyłu na stojący tam pociąg towarowy, wyrzucił go ze stacji, zmiażdżył jego tylną część i sam mocno ucierpiał. Wielka pośpieszna lokomotywa firmy Maffei w Monachium była zniszczona, rozbita. Cena siedemdziesiąt tysięcy marek. A w przednich wagonach, które leżały prawie na boku, ławki częściowo były wsunięte w siebie. Nie, straty w ludziach, Bogu dzięki, nie było, nie można się skarżyć. Mówiono o jakiejś starej kobiecie, którą „wyciągnięto", ale nikt jej nie widział. W każdym razie poprzewracało ludzi na kupę, dzieci leżały pogrzebane pod pakunkami, przerażenie było wielkie. Wagon bagażowy był zdruzgotany. Co jest z wagonem bagażowym? Jest zdruzgotany.

Stałem...

Urzędnik biegnie bez czapki wzdłuż wagonu; jest to zawiadowca stacji, dziko i płaczliwie wydaje rozkazy pasażerom, by utrzymać ich w karności i z torów posłać do wagonów. Ale nikt na niego nie zważa, gdyż jest bez czapki i opanowania. Politowania godny człowiek! On ponosi z pewnością odpowiedzialność. Może kariera jego skończyła się, życie zrujnowane. Nie byłoby rzeczą taktowną spytać go o bagaż.

Nadchodzi inny urzędnik, k u l e j e i poznaję go po wachmistrzowskim wąsie. Jest to konduktor, szorstko-czujny konduktor z dzisiejszego wieczora, państwo, nasz ojciec. Kuleje zgarbiony, z jedną ręką opartą o kolano, i nie troszczy się o nic poza tym swoim kolanem. — Ach, ach! — mówi. — Ach! — No, no, co się stało? — Ach, mój panie, ustrząglem tam przecież, przygniotło mi przecież piersi, wydostałem się przez dach, ach, ach! — To „wydostanie się przez dach" miało posmak sprawozdania dziennikarskiego, ten człowiek nie używał z pewnością z reguły słowa „wydostać się", przeżywał nie tyle swe nieszczęście, ile raczej sprawozdanie ze swego nie-

szczęścia, ale cóż mi z tego? Nie był w stanie udzielić mi wiadomości o mym rękopisie. I spytałem o bagaż młodego człowieka, który raźny, ważny i podniecony wracał z pustyni szczątków.

— Ba, mój panie, nikt nie wie, jak tam wygląda! — Jego ton znaczył dla mnie, że powinienem się cieszyć, iż wyszedłem z całymi członkami. — Tam wszystko leży pomieszane. Damskie buciki... — rzekł z dzikim gestem zniszczenia i zmarszczył nos. — Roboty porządkowe muszą to wykazać. Damskie buciki...

Stałem. Stałem sobie samotnie wśród nocy na szynach i badałem swe serce. Ma się uprzątnąć mój rękopis. Więc zniszczony, potargany, zmiażdżony prawdopodobnie. Mój ul, moja kunsztowna pajęczyna, moja przemyślna nora lisia, moja duma i mój mozół, moja najlepsza część. Cóż zrobię, jeśli tak się ma sprawa? Nie mam kopii tego, co już istniało, co było już spojone i sklecone, już żyło i dźwięczało — nie mówiąc już o moich notatkach i studiach, o moim zebranym, zdobytym, podsłuchanym, wyłudzonym zapasie materiału. Cóż więc poczną? Badałem się dokładnie i poznałem, że zacznę od początku. Tak, ze zwierzęcą cierpliwością, z zaciętością jakiegoś nisko stojącego stworzonka, któremu zburzono przedziwne, skomplikowane dzieło jego przemyślności i pilności, zacznę po chwili pomieszania i bezradności całość na nowo i może tym razem pójdzie to łatwiej...

Ale tymczasem przybyła straż pożarna z pochodniami, które rzucały czerwone światło na pustynię szczątków, i gdy podszedłem naprzód, by spojrzeć na wagon bagażowy, pokazało się, że był niemal cały i że kufrom nic się nie stało. Rzeczy i towary, które tam leżały rozrzucone, pochodziły z pociągu towarowego, niezliczona ilość kłębków szpagatu, morze kłębków szpagatu, które szeroko pokrywały ziemię.

Wtedy ulżyło mi i wmieszałem się między ludzi, którzy stali i gawędzili, i przyjaźnili się z okazji swego nieszczęścia, i blagowali, i przechwalali się. Tyle było pewne, że kierownik

pociągu dzielnie się spisał i zapobiegł wielkiemu nieszczęściu, pociągając w ostatniej chwili za hamulec bezpieczeństwa. Inaczej, mówiono, zrobiłaby się niechybnie ogólna harmonia, i pociąg byłby z pewnością spadł z bardzo wysokiej szkarpy po lewej. Godzien pochwały kierownik pociągu! Nie pokazywał się, nikt go nie widział. Ale sława jego rozprzestrzeniała się wzdłuż całego pociągu i my wszyscy chwaliliśmy go w jego nieobecności. — Ten człowiek — rzekł jakiś pan wskazując wyciągniętą ręką gdzieś w noc — ten człowiek uratował nam życie. — I wszyscy przytaknęli.

Ale nasz pociąg stał na torze niewłaściwym i trzeba było go cofnąć, aby jaki inny nie najechał go z tyłu, więc ludzie ze straży pożarnej ustawili się ze smolnymi pochodniami przy ostatnim wozie i również podniecony młody człowiek, który tak bardzo zaniepokoił mnie swymi damskimi bucikami, pochwycił pochodnię i wywijał nią sygnalizując, choć nigdzie nie było widać żadnego pociągu.

I stopniowo, stopniowo coś jakby porządek zapanowało dokoła i państwo, nasz ojciec, odzyskało znów postawę i szacunek. Telegrafowano i poczyniono wszystkie kroki, pociąg pomocniczy z Regensburga dymiąc wjechał ostrożnie na stację, a na miejscu katastrofy ustawiono lampy gazowe z reflektorami. My, pasażerowie, zostaliśmy wysiedleni i kazano nam w domku stacyjnym czekać wysłania w dalszą drogę. Obładowani ręcznymi pakunkami, po części z zawiązanymi głowami, ciągnęliśmy wśród szpaleru ciekawych tubylców do małej poczekalni, gdzie wtłoczyliśmy się, jak się dało. I znowu po godzinie upchaliśmy się na chybił trafił w specjalnym pociągu.

Miałem bilet pierwszej klasy (gdyż opłacono mi podróż), ale to nic mi nie pomogło, bo każdy wolał pierwszą klasę i te przedziały były jeszcze pełniejsze niż tamte. Jednak gdym znalazł sobie skromne miejsce, kogoż to spostrzegam na wskos ode mnie wciśniętego w kącik? Pana w getrach, z kawaleryjskimi wyrazami, mojego bohatera. Nie ma pieska przy sobie, odebrano mu go, piesek siedzi, wbrew wszelkim pańskim pra-

wom, w ciemnym więzieniu za lokomotywą i wyje. Pan ma też żółty bilet, który mu nie pomaga, i mruczy, próbuje buntować się przeciw komunizmowi, przeciw wielkiemu wyrównaniu przed majestatem nieszczęścia. Ale jakiś człowiek odpowiada mu poczciwym głosem: — Bądź pan kontent, że siedzisz! — I kwaśno uśmiechnięty poddaje się pan szalonej sytuacji.

Któż to wchodzi oparty na dwóch strażakach? Mała staruszka, babunia w zniszczonej mantylce, ta sama, która w Monachium o mały włos byłaby wsiadła do drugiej klasy. — Czy to pierwsza klasa? — pyta ciągle. — Czy to naprawdę pierwsza klasa? — I gdy ją upewniono i zrobiono jej miejsce, siada z cichym — Bóg zapłać! — na pluszowej poduszce, jak gdyby dopiero teraz została uratowana.

W Hof była godzina piąta i jasno. Tam zjadłem śniadanie i tam zabrał mnie pośpieszny, który mnie i moje manatki dowiózł do Drezna z trzygodzinnym opóźnieniem.

Tak, to była katastrofa kolejowa, którą przeżyłem. Raz musiało się to stać przecie. I chociaż logicy protestują, sądzę, że mam poważne szanse, iż tak prędko nie spotka mnie znów coś podobnego.

ŚMIERĆ W WENECJI

1911 r.

Gustaw Aschenbach lub von Aschenbach, jak od pięćdziesiątej rocznicy urodzin urzędowo brzmiało jego nazwisko, wybrał się sam w pewne letnie popołudnie roku 19.., który pokazywał naszemu kontynentowi przez całe miesiące tak niebezpiecznie groźne oblicze, na dłuższą przechadzkę ze swego mieszkania przy ulicy Księcia Regenta w Monachium. Przemęczony trudną i niebezpieczną pracą przedpołudniowych godzin, wymagającą właśnie teraz ostrożności, oględności, przenikliwości i skrupulatnej woli, literat nie mógł i po południu wstrzymać działania twórczego mechanizmu swego umysłu, owego „motus animi continuus", w którym Cicero upatrywał istotę wymowy, i nie znalazł ulgi w drzemce, która przy rosnącym zużywaniu się jego sił była mu raz na dzień tak potrzebna. Więc zaraz po herbacie wyruszył za miasto, w nadziei że powietrze i ruch postawią go na nogi i pomogą mu użytecznie spędzić wieczór.

Był początek maja i po mokrych, zimnych tygodniach nastała złudna pełnia lata. Ogród Angielski, choć dopiero co okryty delikatną zielenią, był duszny jak w sierpniu i w pobliżu miasta pełen powozów i spacerowiczów. U Aumeistra, dokąd wiodły go coraz cichsze ścieżki, Aschenbach przyglądał się przez chwilę ożywionej popularnej piwiarni ogrodowej, przy której stało kilka dorożek i ekwipażów, stamtąd o zachodzie słońca wracał drogą poza parkiem przez otwarte pole i ponieważ czuł się zmęczony, a znad Föhring nadciągała bu-

rza, czekał przy północnym cmentarzu na tramwaj, który go miał zawieźć prosto do miasta.

Przypadkiem na przystanku i w jego okolicy nie było nikogo. Ani na brukowanej ulicy Ungerera, której samotnie lśniące szyny ciągnęły się do Schwabing, ani na szosie do Föhring nie było widać żadnego wozu; za parkanami zakładu kamieniarskiego, gdzie wystawione na sprzedaż krzyże, tablice pamiątkowe i pomniki tworzyły drugi, nie zamieszkały cmentarz, było cicho i bizantyjski budynek przeciwległej cerkwi stał milczący w odblasku odchodzącego dnia. Jej front, ozdobiony greckimi krzyżami i hieratycznymi wizerunkami, ukazywał nad nimi w złote litery symetrycznie ujęte, wybrane napisy, przyszłego życia dotyczące przysłowia, jak na przykład: „Wchodzę do przybytku Pana" albo: „Światło wiekuiste niechaj im świeci". I czekający znalazł na kilka minut poważną rozrywkę w odczytywaniu formuł, pozwalając duchowemu oku błądzić w przeświturającej z nich mistyce, gdy wracając z urojeń, w portyku, ponad dwoma apokaliptycznymi zwierzętami strzegącymi zewnętrznych schodów, spostrzegł mężczyznę, którego niezupełnie zwykły widok nadał myślom jego całkiem inny kierunek.

Czy mężczyzna ten wyszedł z wnętrza hali przez brązowe drzwi, czy też niepostrzeżenie dostał się tam z zewnątrz, jest rzeczą niepewną. Aschenbach, nie zagłębiając się w to zbytnio, przychylał się do pierwszej możliwości. Średniego wzrostu, chudy, bez zarostu, uderzająco tęponosy, należał ten człowiek do typu rudowłosych i posiadał ich mleczną i piegowatą cerę. Widocznie nie był tubylcem; przynajmniej szeroki, o prostych skrzydłach kapelusz z łyka, okrywający głowę, nadawał jego osobie wygląd cudzoziemca przybyłego z daleka. Co prawda miał, jak miejscowi, plecak przytroczony do barków, żółtawe, jak się zdaje lodenowe, ubranie z paskiem, szary kaptur od deszczu na lewej ręce, przyciśniętej do brzucha, a w prawej okuty kij, który ukośnie wparł w ziemię i na którego czekanie, skrzyżowawszy nogi, opierał się biodrem.

Z podniesioną głową, tak że na chudej jego szyi, sterczącej z luźnej koszuli sportowej, silnie występowało gołe adamowe jabłko, patrzył badawczo w dal bezbarwnymi, rudorzęsymi oczami, między którymi, dość dziwnie przystając do jego krótkiego, zadartego nosa, zaznaczały się dwie pionowe, energiczne fałdy. Może przyczyniało się do tego wrażenia wywyższone i wywyższające miejsce, na którym stał — ale postawa jego miała w sobie coś władczo dalekowidzącego, śmiałego lub nawet dzikiego; bo, czy to dlatego że oślepiony blaskiem wykrzywiał się do niskiego słońca, czy też zachodziło tu stałe zniekształcenie fizjonomii, wargi jego zdawały się zbyt krótkie, nie osłaniały zębów, które, obnażone aż do dziąseł, sterczały białe i długie.

Być może, że Aschenbach podczas swego na wpół roztargnionego, na wpół inkwizytorskiego lustrowania cudzoziemca był zbyt bezceremonialny, gdyż nagle spostrzegł, że tamten spojrzał nań także, i to tak wojowniczo, tak wprost w oczy, z tak jawną decyzją doprowadzenia do ostateczności i zmuszenia tamtego do spuszczenia wzroku, że Aschenbach, boleśnie dotknięty, odwrócił się i począł iść wzdłuż parkanów z postanowieniem niezważania na tego człowieka. W następnej minucie zapomniał o nim. Ale czy to coś z wędrowca w postaci cudzoziemca podziałało na jego wyobraźnię, czy grał tu rolę jakiś inny wpływ fizyczny lub duchowy, dość iż uświadomił sobie, że coś rozpiera mu piersi, jakiś nieuchwytny niepokój, młodzieńcza tęsknota za dalą, uczucie tak żywe, tak nowe albo też tak już niezwyczajne i zapomniane, że z rękami założonymi w tył i ze wzrokiem utkwionym w ziemię przystanął nieruchomo, by zbadać istotę i sens tego wrażenia.

Była to chęć do podróży, nic więcej, ale przyszła jak atak, urastała w namiętność i halucynację. Pragnienie jego stało się wizją, wyobraźnia, nie uspokojona jeszcze po godzinach pracy, tworzyła sobie wzór dla wszystkich cudów i straszliwości różnorodnych krajów, które starał się sobie naraz przedstawić: widział krajobraz, tropikalną okolicę bagnistą

pod pokrytym gęstymi oparami niebem, wilgotną, bujną i potworną, rodzaj dziewiczej prapuszczy, pełnej wysep, mokradeł i szlam niosących żył wodnych; widział, jak z jurnych gąszczy paproci, jak z podłoża tłustej, napęczniałej, awanturniczo kwitnącej roślinności sterczały w pobliżu i w dali włochate pnie palm, widział, jak dziwacznie niekształtne drzewa zanurzają korzenie swoje przez powietrze w ziemię, w znieruchomiałe, zielone cienie odbijające fale, gdzie wśród pływających kwiatów, mlecznie białych i wielkich jak misy, ptaki dziwnego rodzaju, o krótkich szyjach i niekształtnych dziobach, stojąc w płytkich wodach spoglądały nieruchomo w bok; widział między sękatymi trzcinami bambusowych kęp lśniące świeczki czyhającego tygrysa — i czuł, że serce bije mu z przerażenia i zagadkowego pożądania. Potem widzenie znikło i potrząsnąwszy głową podjął Aschenbach znowu swoją wędrówkę wzdłuż parkanów nagrobkowej wytwórni.

Przynajmniej odkąd mógł dowolnie korzystać z przywileju włóczenia się po świecie, uważał podróże tylko za środek higieniczny, którego używał od czasu do czasu, wbrew skłonności i ochocie. Zbyt zajęty zadaniami, które wkładało nań jego „ja" i europejska dusza, zbyt obarczony zobowiązaniami tworzenia, nie bardzo chętny rozrywkom, aby być miłośnikiem wielobarwnego świata zewnętrznego, zadowalał się zupełnie pojęciem o świecie, jakie zdobyć może każdy człowiek na ziemi, nie ruszając się daleko ze swego kąta; nigdy też nie zaznał pokusy opuszczenia Europy. Odkąd zaś życie jego zaczęło się skłaniać ku zachodowi, odkąd jego lęk artysty, że nie skończy — owa troska, że zegar ustanie, zanim on dokona swego i całkowicie ukaże siebie samego — nie dał się już zepchnąć na bok jako zwykłe dziwactwo, zewnętrzne życie jego ograniczyło się prawie wyłącznie do pięknego miasta rodzinnego i do prostej siedziby wiejskiej, którą sobie urządził w górach i gdzie spędzał dżdżyste lata.

Zarazem też to, co go tak późno i nagle opadło, zostało natychmiast zahamowane i sprostowane przez rozum i od młoda

stosowaną samodyscyplinę. Miał zamiar dzieło, dla którego żył, doprowadzić do pewnego punktu, zanim osiądzie na wsi, i myśl o włóczędze po świecie, która by na miesiące uniemożliwiła mu pracę, zdawała się zbyt pusta i przeciwna jego planom, nie można jej było brać w rachubę. A jednak wiedział zbyt dobrze, z jakiego powodu pokusa powstała tak niespodzianie. Chęcią ucieczki, musiał wyznać sobie, była ta tęsknota za dalą i nowością, to pragnienie wyzwolenia się, zrzucenia ciężaru i zapomnienia, oderwania się od dzieła, od codziennego miejsca skostniałej, zimnej i namiętnej służby. Wprawdzie kochał ją i niemal kochał też już denerwującą, co dzień się odnawiającą walkę między swą wytrwałą i dumną, tak często doświadczaną wolą i tym rosnącym znużeniem, o którym nikt nie powinien był wiedzieć i którego nie wolno było dziełu zdradzić żadną oznaką niemocy i zmęczenia. Ale zdawało się rzeczą rozumną nie napinać zbyt łuku i tak żywo wybuchającej potrzeby samolubnie nie tłumić. Myślał o swej pracy, myślał o miejscu, w którym też dzisiaj, jak i wczoraj, musiał ją porzucić i które nie chciało się poddać ani cierpliwemu obrobieniu, ani załatwieniu od ręki. Badał je na nowo, próbował przełamać przeszkodę lub ją usunąć i z dreszczem wstrętu zaniechał natarcia. Nie nastręczała się tu żadna nadzwyczajna trudność, lecz paraliżowały go skrupuły niechęci, która okazała się nie dającą się już zadowolić wybrednością. Wybredność, co prawda, wydawała mu się już jako młodzieńcowi istotą i najgłębszą naturą talentu i gwoli niej powściągnął i oziębił uczucie, wiedział bowiem, że skłonny jest zadowolić się jakimś wesołym trafem lub połowiczną doskonałością. Mściłoż się więc teraz ujarzmione uczucie opuszczając go, wzbraniając się nadal wznosić i uskrzydlać jego sztukę i odbierając mu całą rozkosz, cały zachwyt, jaki daje forma i wyraz? Nie aby tworzył złe rzeczy; to przynajmniej było przywilejem jego lat, że każdej chwili czuł się spokojnie pewny swego mistrzostwa. Ale on sam, kiedy naród go czcił, nie cieszył się z tego i zdawało mu się, że dziełu jego brak owej cechy

ognistego humoru, który będąc wytworem radości bardziej niż jakakolwiek wewnętrzna treść, jakaś poważniejsza zaleta, stanowił radość delektującego się jego dziełem świata. Bał się lata na wsi, spędzonego samotnie w małym domu z kucharką, która mu gotowała, i ze służącym, który mu podawał do stołu; bał się dobrze znanych obrazów wierzchołków i ścian górskich, które znów będą świadkami jego niezadowolonej powolności. Więc trzeba było jakiejś wstawki, trochę improwizowania, próżniactwa, wiatru z daleka, dopływu nowej krwi, aby lato stało się znośne i płodne. Więc podróż — dobrze. Nie bardzo daleko, nie gdzieś aż do tygrysów. Jedna noc w sypialnym wagonie i sjesta dwu-, trzytygodniowa w jakiejś uczęszczanej miejscowości na przemiłym południu...

Tak myślał, gdy hałaśliwy tramwaj elektryczny zbliżał się do ulicy Ungerera. Wsiadając postanowił, że wieczór ten poświęci studiowaniu mapy i rozkładu jazdy. Na platformie przypomniał sobie, by rozejrzeć się za człowiekiem w kapeluszu z łyka, towarzyszem tego bogatego w następstwa wieczoru. Nie wiadomo, gdzie się podział, bo nie było go ani na poprzednim stanowisku, ani na przystanku, ani w wagonie.

Autor jasnej i potężnej epopei prozą o życiu Fryderyka Pruskiego; cierpliwy artysta, który z długotrwałą pilnością tkał bogaty w figury, gromadzący w cieniu idei różne losy ludzkie dywan powieściowy pod tytułem „Maja"; twórca owej mocnej powieści, która nosi nagłówek „Nędznik" i ukazuje całej wdzięcznej młodzieży możność moralnej decyzji poza najgłębszym poznaniem; twórca wreszcie (i to określa krótko dzieła okresu jego dojrzałości) namiętnej rozprawy o „Duchu i sztuce", której porządkująca siła i antytetyczna wymowa skłoniły poważnych sędziów do postawienia jej bezpośrednio obok rozprawy Schillera o naiwnej i sentymentalnej poezji — Gustaw Aschenbach więc urodził się w L..., po-

wiatowym mieście prowincji śląskiej, jako syn wyższego urzędnika sądowego. Przodkami jego byli oficerowie, sędziowie, funkcjonariusze administracji, mężowie, którzy w służbie króla, państwa wiedli swój surowy, przystojnie skąpy żywot. Bogatsze życie duchowe ucieleśniło się raz wśród nich w postaci kaznodziei; żywszej, bardziej zmysłowej krwi zastrzyknęła rodzinie w poprzednim pokoleniu matka pisarza, córka czeskiego kapelmistrza. Od niej pochodziły cechy obcej rasy w jego powierzchowności. Połączenie służbowo trzeźwej sumienności z ciemniejszymi, ognistszymi popędami pozwoliło powstać artyście, i to osobliwemu artyście.

Ponieważ cała jego istota dążyła do sławy, okazywał się, jeśli nie przedwcześnie dojrzałym, to jednak, dzięki stanowczości i dobitnie zaakcentowanej osobowości, wcześnie dojrzałym i przysposobionym do publicznego występu. Już w gimnazjum zdobył sobie nazwisko. W dziesięć lat później nauczył się reprezentowania zza biurka, zawiadywania swą sławą, pisania listów, które musiały być krótkie (bo zasypywano mnóstwem wymagań człowieka sławnego i godnego zaufania), dobrotliwe i pełne znaczenia. Jako człowiek czterdziestoletni, zmęczony kłopotami i zmiennymi kolejami właściwej pracy, miał co dzień do załatwienia pocztę opatrzoną markami wszystkich krajów.

Daleki zarówno banalności jak ekscentryczności, talent jego stworzony był do zdobycia zarazem zaufania szerokiej publiczności i pełnej podziwu i wymagań sympatii wybrednych. Więc już jako młodzieniec, od którego zewsząd oczekiwano dzieł, i to nadzwyczajnych, nie znał nigdy próżniactwa, nigdy beztroskiego niedbalstwa młodości. Gdy w trzydziestym piątym roku życia zachorował w Wiedniu, pewien bystry obserwator wyraził się o nim w towarzystwie: „Oto Aschenbach żył od dawna tylko tak — i mówca zacisnął palce lewej ręki w pięść — nigdy tak" — i swobodnie zwiesił otwartą rękę z poręczy fotela. To było trafne; a męstwo jego postawy moralnej polegało na tym, że z natury bynajmniej nie był silny

i do stałego napięcia raczej tylko powołany, a właśnie nie urodzony.

Troskliwość lekarzy zabroniła chłopcu uczęszczania do szkoły i skazała go na naukę domową. Wyrósł samotnie, bez kolegów, a jednak wcześnie musiał poznać, że należy do pokolenia, w którym rzadkością był nie talent, ale fizyczna podstawa, umożliwiająca talentowi pełny rozwój — do pokolenia, które zwykło wcześnie wydawać to, co najlepsze, i w którym zdolność rzadko dochodzi do lat. Ale ulubionym słowem jego było „przetrwać" — w swej powieści o Fryderyku widział właśnie apoteozę tego rozkazodawczego słowa, które wydawało mu się kwintesencją cierpiąco-czynnej cnoty. Pragnął też gorąco zestarzeć się, gdyż od dawna był zdania, że prawdziwie wielkim, wszechstronnym, prawdziwie wartościowym można nazwać tylko ten artyzm, któremu dane było na wszystkich stopniach człowieczeństwa być charakterystycznie płodnym.

Ponieważ więc chciał zadania, którymi obdarzył go jego talent, nieść na wątłych barkach i zajść daleko, potrzebował bardzo rygoru — a rygor był przecie na szczęście rodzinnym dziedzictwem ze strony ojca. Mając lat czterdzieści, pięćdziesiąt, w wieku, kiedy inni marnotrawią, roją, wykonanie wielkich planów odkładają spokojnie, zaczynał wcześnie dzień polewaniem piersi i pleców zimną wodą, zapalał kilka wysokich świec woskowych w srebrnych lichtarzach w głowach manuskryptu, składając siły, które zebrał we śnie, przez dwie lub trzy żarliwe i sumienne godziny ranne sztuce w ofierze. Było rzeczą wybaczalną, ba, oznaczało nawet właściwie zwycięstwo jego moralności, gdy nieświadomi sprawy uważali świat Mai lub epiczne dłużyzny, w których rozwijało się bohaterskie życie Fryderyka, za wytwór skupionej siły i długiego oddechu, podczas gdy narosły one wysoko warstwami w małych porcjach dziennych z setek pojedynczych inspiracyj i tylko dlatego były tak zupełnie i w każdym punkcie doskonałe, że twórca ich z wytrwałością woli i uporem, podobnym

do tego, jaki zdobył jego ojczystą prowincję, lata całe wytrzymał pod ciśnieniem jednego i tego samego dzieła i na właściwe wykonanie obracał wyłącznie swoje najsilniejsze i najwartościowsze godziny.

Aby wybitny twór ducha mógł z miejsca wywrzeć szeroki i głęboki wpływ, musi istnieć tajemne powinowactwo, ba, zgodność między osobistym losem twórcy i powszechnym losem współczesnego pokolenia. Ludzie nie wiedzą, czemu jakiemuś dziełu sztuki gotują sławę. Dalecy znawstwa, zdają się znajdować w nim sto zalet, by usprawiedliwić tak wielkie nim zainteresowanie; ale właściwym powodem ich uznania jest imponderabile, sympatia. Aschenbach wyraził to raz bezpośrednio w mało widocznym miejscu, że prawie wszelka wielkość, jaka istnieje, powstała niejako „na przekór", doszła do skutku wbrew trosce i udręce, biedzie, opuszczeniu, słabości ciała, występkowi, namiętności i tysiącom przeszkód. Ale było to więcej niż spostrzeżenie, było to doświadczenie, stało się wprost formułą jego życia i sławy, kluczem do jego dzieła — więc jak się dziwić, że taki był też moralny charakter, zewnętrzny gest jego osobliwych figur?

O tym nowym, w różnorakich indywidualnych postaciach wracającym typie bohatera, któremu ten pisarz dawał pierwszeństwo, już dawno pisał pewien rozsądny analityk, że jest on koncepcją „intelektualnej, młodocianej męskości, która w dumnym wstydzie zacina zęby i stoi spokojnie, podczas gdy miecze i oszczepy przeszywają jej ciało". To było piękne, inteligentne i dokładne mimo piętna pozornej bierności. Gdyż stałość wobec losu, pogoda w udręce, nie oznacza tylko cierpliwości; jest ona czynnym osiągnięciem, pozytywnym tryumfem i postać Sebastiana jest najpiękniejszym symbolem, jeżeli nie sztuki w ogóle, to jednak z pewnością sztuki, o której mowa. Spojrzawszy w ten powieściowy świat widziało się: wytworne samoopanowanie, które aż do ostatniej chwili zakrywa przed oczami świata wewnętrzną pustkę, biologiczny

upadek; żółtą, zmysłowo ukrzywdzoną brzydotę, która potrafi swój rosnący żar rozniecić w czysty płomień, ba, wznieść się do panowania w królestwie piękna; bladą omdlałość, która czerpie moc z płonących głębi ducha, aby cały krnąbrny lud do stóp krzyża, do s w y c h stóp rzucić; wdzięczną postawę w pustej, surowej służbie formy; fałszywe, niebezpieczne życie, szybko wyczerpującą nerwy tęsknotę i sztukę urodzonego oszusta. Biorąc pod uwagę cały ten los i wiele tym podobnych rzeczy, można było wątpić, czy istnieje w ogóle heroizm inny niż heroizm słabości. Ale któryż heroizm byłby w każdym razie bardziej na czasie niż heroizm słabości? Gustaw Aschenbach był poetą wszystkich tych, którzy pracują u kresu wyczerpania, zbytnio obarczonych, już wycieńczonych, jeszcze trzymających się prosto, wszystkich tych moralistów tworzenia, którzy, wątłej budowy, ubodzy w środki, przez entuzjazm woli i mądre szafowanie zdobywają przynajmniej na krótki czas efekty wielkości. Jest ich wielu, są bohaterami wieku. I oni wszyscy odnaleźli siebie w jego dziele, byli mu wdzięczni, głosili jego imię.

Był młody i stał się szorstki z czasem, i ulegając złym radom potykał się publicznie, popełniał błędy, narażał się, grzeszył przeciw taktowi i rozsądkowi słowem i czynem. Ale zdobył godność, ku której, jak mówił, każdy wielki talent ma w sobie wrodzony pociąg i bodziec, ba, rzec można, że cały jego rozwój był świadomym i upartym, wszystkie hamulce zwątpienia i ironii zostawiającym za sobą wznoszeniem się do godności.

Żywa, intelektualnie nie obowiązująca uchwytność dzieła sztuki zachwyca masy mieszczańskie, ale namiętną, bezwzględną młodzież fascynuje tylko problemowość, a Aschenbach był problemowy, był bezwzględny, jak tylko młodzieniec być może. Hołdował duchowi, rabunkowo gospodarował poznaniem, zmełł ziarno siewne, wydał tajemnice, podał w podejrzenie talent, zdradził sztukę — tak, podczas gdy jego utwory ufnych odbiorców bawiły, ożywiały, on, młodociany

artysta, czarował dwudziestolatków swym cynizmem w stosunku do wątpliwej istoty sztuki, samego artyzmu.

Ale zdaje się, że szlachetny i dzielny duch względem niczego nie tępieje szybciej i gruntowniej niż względem ostrego i gorzkiego uroku poznania; i jest rzeczą pewną, że smętna, najsumienniejsza gruntowność młodzieńca jest płytkością w porównaniu z głęboką decyzją męża, który stał się mistrzem, aby zaprzeczyć wiedzy, odrzucić ją, odejść od niej z podniesioną głową, o ile zdolna jest w najmniejszej mierze sparaliżować, zniechęcić, poniżyć wolę, czyn, uczucie, nawet namiętność. Jakże inaczej można by tłumaczyć sławną opowieść o „Nędzniku" niż jako wybuch wstrętu do nieprzyzwoitego psychologizmu czasu, wcielonego w postać owego miękkiego i głupiego półłotra, który podstępnie wabi los, rzucając z niemocy, z występności, z etycznej bezsiły żonę swą w ramiona gołowąsa, i sądzi, że wolno mu dla głębi popełniać niegodziwości. Potęga słowa, z jaką odrzucał to, co nikczemne, zapowiadała odwrót od wszelkiego moralnego powątpiewania, od wszelkiej sympatii dla przepaści, od wyrzeczenia się rozlazłej zasady litości, że wszystko zrozumieć to wszystko przebaczyć, i to, co się tu przygotowywało, ba, już dokonało, to był ów „cud odrodzonej nieśmiałości", o której później trochę, w pewnym dialogu autora, była wyraźnie, nie bez tajemniczego zaakcentowania, mowa. Dziwne związki! Czy był to duchowy skutek tego „odrodzenia", tej nowej powagi i surowości, że w tym samym czasie zauważono prawie nadmierne spotężnienie jego zmysłu piękna, ową szlachetną czystość, prostotę i umiar formy, które odtąd nadawały jego tworom tak namacalne, tak zamierzone piętno mistrzostwa i klasycyzmu? Ale moralna stanowczość poza wiedzą, poza analitycznym i hamującym poznaniem — czyż nie oznaczała znowu uproszczenia, moralnego zacieśnienia świata i duszy, a więc wzmocnienia w kierunku tego, co złe, zabronione, moralnie niedopuszczalne? I czyż forma nie ma dwojakiego oblicza? Czy nie jest jednocześnie moralna i niemoral-

na — moralna jako wynik i wyraz dyscypliny, niemoralna zaś i nawet amoralna, o ile z natury zawiera w sobie moralną obojętność, ba, stara się ugiąć moralność pod swe dumne, nieograniczone berło?

Jakkolwiek bądź, rozwój to los; i jakżeby rozwój, któremu towarzyszy zainteresowanie, masowe zaufanie szerokiej publiczności, nie miał przebiegać inaczej niż ów, który dokonywa się bez blasku i bez zobowiązań sławy? Tylko wieczna cyganeria uważa to za nudne i skłonna jest szydzić, jeśli wielki talent wyrasta z libertyńskiego manekina, przyzwyczaja się poznawać pełną wyrazu godność ducha i przybiera dworskie obyczaje samotności, która była pełna bezradnych, samotnych cierpień i walk i doprowadziła do potęgi i szacunku wśród ludzi. Ileż gry, uporu, rozkoszy jest zresztą w samokształtowaniu talentu! Coś urzędowo-wychowawczego weszło z czasem do utworów Gustawa Aschenbacha, styl jego wyzbył się w późniejszych latach bezpośredniej śmiałości, subtelnych i nowych odcieni, zmieniał się we wzorową pewność, w ogładzoną tradycyjność, zachowawczość, formalność, nawet formalistyczność i, podobnie jak to według podania czynił Ludwik XIV, tak też starzejący się Aschenbach usuwał ze swego języka każde pospolite słowo. Wtedy stało się, że władze oświatowe zamieściły wybrane stronice jego pism w podręcznikach szkolnych. Było mu to miłe i nie uchylił się, gdy jeden z książąt niemieckich, który właśnie zasiadł na tronie, przyznał twórcy „Fryderyka" w pięćdziesiątą rocznicę urodzin osobiste szlachectwo.

Po kilku latach niepokoju, kilku próbach zamieszkania tu i ówdzie, wybrał dość wcześnie Monachium na trwały pobyt i żył tam w mieszczańskim poszanowaniu, jakie wielkiemu duchowi w wyjątkowych wypadkach przypada w udziale. Małżeństwo, które jeszcze w młodym wieku zawarł z młodą dziewczyną z uczonej rodziny, rozwiązała po krótkim pożyciu śmierć. Pozostała mu córka, już zamężna. Syna nie miał nigdy.

Gustaw von Aschenbach był brunetem prawie średniego

wzrostu, o twarzy gładko ogolonej. Głowa jego zdawała się nieco za duża w stosunku do prawie drobnej postaci. W tył zaczesane włosy, nieco przerzedzone na ciemieniu, na skroniach gęste i silnie przyprószone siwizną, otaczały wysokie, zmarszczone i jakby okryte bliznami czoło. Sprzęgło złotych, nieoprawnych okularów wcinało się ostro w nasadę wąskiego, szlachetnie zakrzywionego nosa. Usta miał duże, czasem obwisłe, czasem nagle wąskie i zaciśnięte, policzki chude i poorane, kształtną brodę miękko rozciętą. Snadź ważne losy przeszły nad tą przeważnie na bok boleśnie przechyloną głową i sztuka właśnie przekształciła tę fizjonomię, co bywa zazwyczaj dziełem twardego, ruchliwego życia. Za tym czołem urodziły się błyskotliwe repliki rozmowy Woltera z królem o wojnie; te oczy, znużone i głęboko patrzące przez szkła, widziały krwawe inferno lazaretów czasu Wojny Siedmioletniej. Także osobiście biorąc jest sztuka wyższym życiem. Uszczęśliwia głębiej, trawi szybciej. Ryje w twarzy poety ślady imaginacyjnych i duchowych przygód i nawet przy klasztornej ciszy zewnętrznego bytowania wytwarza z czasem takie wydelikacenie, wysubtelnienie, znużenie i ciekawość nerwów, jakich nie zdoła wywołać życie pełne namiętnych nadużyć i rozkoszy.

Różne sprawy towarzyskiej i literackiej natury zatrzymały w Monachium chętnego do podróży jeszcze z dwa tygodnie po owej przechadzce. Polecił w końcu doprowadzić swój domek wiejski do porządku w ciągu czterech tygodni i pojechał pewnego dnia pod koniec maja nocnym pociągiem do Triestu, gdzie zabawił tylko dwadzieścia cztery godziny, a nazajutrz rano udał się statkiem do Poli.

Szukał czegoś egzotycznego i osobliwego, dokądby jednak można się szybko dostać, więc zamieszkał na pewnej od kilku lat sławnej wyspie Adriatyku, niedaleko brzegów Istrii, z ludnością odzianą w barwne łachmany i mówiącą językiem

o obcym i dziwnym brzmieniu. Malowniczo poszarpane skały spoglądały na otwarte morze. Tylko deszcz i duszne powietrze, mieszczańskie, ściśle austriackie towarzystwo hotelowe i brak spokojnej, bliższej łączności z morzem, której użycza tylko łagodna, piaszczysta plaża, odbierały mu humor, nie pozwalały uzyskać pewności, że wybrał właściwe miejsce; jakiś ciąg wewnętrzny, nie wiedział jeszcze dokąd, niepokoił go; więc studiował połączenia okrętowe, rozglądał się badawczo dokoła i nagle a zarazem najoczywiściej stanął mu przed oczyma cel. Jeśli się chciało w ciągu jednej nocy wynaleźć coś nieprawdopodobnego, bajecznie niezrównanego, dokądże było jechać? Ależ to jasne. Cóż miał tu robić? Pomylił się. Tam chciał się dostać. Niezwłocznie wymówił błędnie obrane locum. W półtora tygodnia po przybyciu na wyspę szybka łódź motorowa wiozła jego i jego bagaż w mgliste rano poprzez wodę z powrotem do portu wojennego, gdzie wysiadł na ląd tylko po to, aby przez pomost drewniany wejść na wilgotny pokład okrętu, który był już pod parą, gotów do jazdy do Wenecji.

Był to leciwy statek włoskiej narodowości, przestarzały, zardzewiały, posępny. W jaskini sztucznie oświetlonej kajuty, dokąd z nieuprzejmą grzecznością skierował Aschenbacha, zaraz po wejściu na statek, garbaty i brudny marynarz, siedział za stołem, z czapką na bakier i resztką papierosa w kącie ust, mężczyzna z kozią brodą, o wyglądzie staroświeckiego dyrektora cyrku; małpio zwinnymi ruchami fachowca zapisywał personalia podróżnych i wydawał im bilety jazdy.

— Do Wenecji! — powtórzył życzenie Aschenbacha wyciągając rękę i zanurzając pióro w mazi krzywo stojącego kałamarza. — Do Wenecji, pierwsza klasa! Do usług szanownego pana.

I wypisał wielkie kulasy, zasypał niebieskim piaskiem z puszki, który strzepnął do glinianej miseczki, złożył papier żółtymi, kościstymi palcami i zaczął pisać na nowo.

— Szczęśliwie obrany cel podróży! — gadał podczas te-

go. — Ach, Wenecja! Wspaniałe miasto! Miasto nieodpartego czaru dla człowieka wykształconego, z powodu historii jak i obecnych uroków. — Gładka szybkość jego ruchów i pusta gadanina, którą im wtórował, miały coś ogłuszającego i zbijającego z tropu, jak gdyby bał się, że podróżny może zachwiać się w swej decyzji jazdy do Wenecji. Zainkasował szybko pieniądze i ze zręcznością krupiera rzucił resztę na brudne sukno stołu. — Przyjemnej zabawy, szanowny panie! — rzekł z aktorskim ukłonem. — Mam zaszczyt służyć panom! — wołał jednocześnie z podniesionymi ramionami, udając, jakby był w pełnym toku zajęcia, choć nie było nikogo więcej, kto by potrzebował jeszcze usług. Aschenbach wrócił na pokład.

Z ręką opartą na parapecie, spoglądał na próżniaczy lud, który wałęsał się po wybrzeżu oczekując odjazdu statku, i na pasażerów pokładu. Jadący drugą klasą, mężczyźni i kobiety, siedzieli w kucki z przodu pokładu na skrzyniach i tobołkach. Towarzystwo pierwszego pokładu stanowiła grupa młodych ludzi, zdaje się niższych urzędników handlowych z Poli, którzy w podnieconych humorach wybierali się na wycieczkę do Włoch. Robili wiele hałasu dokoła siebie i swego przedsięwzięcia, gadali, śmieli się, upajali własnymi gestami i przegięci przez poręcz wykrzykiwali cięte słówka do swych kolegów, którzy z tekami pod pachą szli w interesach ulicą portową, grożąc wycieczkowiczom laseczkami. Jeden z nich, w jasnożółtym, wedle ostatniej mody skrojonym letnim ubraniu, w czerwonym krawacie i śmiało odgiętej panamie, górował nad wszystkimi skrzeczącym głosem i humorem. Ale gdy Aschenbach przypatrzył mu się dokładniej, przekonał się niemal z przerażeniem, że był to młodzieniec fałszywy. Był stary, nie ulegało wątpliwości. Zmarszczki otaczały jego oczy i usta. Matowy karmin policzków był szminką, brunatne włosy pod barwną wstążką otoczonym kapeluszem były peruką; jego szyja zwiędła i żylasta, podkręcony wąsik i muszka pod dolną wargą ufarbowane; jego żółte i kompletne

uzębienie, które pokazywał w uśmiechu, było tanią namiastką, a ręce z sygnetami na obu wskazujących palcach rękami starca. Pod przykrym wrażeniem patrzył Aschenbach na niego i jego zabawę z przyjaciółmi. Czyż nie wiedzieli, nie zauważyli, że jest stary, że niesłusznie nosi ich eleganckie i pstre ubranie, że niesłusznie udaje jednego z nich? Po prostu z nawyku, zdaje się, znosili go w swym kole, traktowali jak rówieśnika, odwzajemniali bez niechęci jego przekorne kuksańce. Jakże to się działo? Aschenbach przykrył czoło dłonią i zamknął oczy, które go paliły, bo spał za mało. Miał wrażenie, jakby wszystko to nie było zupełnie zwyczajne, jakby działo się dokoła niego jakieś senne udziwnienie, jakieś osobliwe zniekształcenie świata, które można by chyba powstrzymać, gdyby osłonił trochę oczy i na świeżo spojrzał dokoła. W tej chwili jednak doznał wrażenia, że płynie, i podnosząc oczy z niedorzecznym przestrachem spostrzegł, że ciężki i ponury kadłub okrętu oddala się powoli od murowanego nabrzeża. Wśród ociężałego manewrowania rozszerzał się cal po calu brudny pas lśniącej wody między brzegiem i ścianą statku, aż wreszcie parowiec zwrócił dziób ku otwartemu morzu. Aschenbach przeszedł na prawą stronę pokładu, gdzie garbus rozłożył mu leżak, a steward w poplamionym fraku spytał go, co rozkaże.

Niebo było szare, wiatr wilgotny. Port i wyspy zostały w tyle i szybko gubił się w mglistym widnokręgu wszelki ląd. Płaty węglowego kopcia, napęczniałe wilgocią, spadały na wymyty pokład, który nie chciał wyschnąć. Już po godzinie rozpięto żaglowy dach, bo zaczęło padać.

Owinięty płaszczem, z książką na kolanach, spoczywał podróżny i godziny upływały niepostrzeżenie. Deszcz ustał; usunięto płócienny dach. Horyzont zaokrąglił się całkowicie. Pod mętną kopułą nieba rozciągała się dokoła niezmierna szyba pustego morza. Ale w próżnej, jednolitej przestrzeni brak wewnętrznemu zmysłowi także miary czasu i drzemiemy w niewymierności. Podobne do cieni osobliwe postacie, stary

fircyk, brodaty kozioł z wnętrza statku, snuły się z niejasnymi gestami, z mętnymi, sennymi słowami w umyśle spoczywającego, który zasnął.

Około południa zmuszono go do śniadania w podobnej do korytarza jadalni, do której prowadziły drzwi kajut i gdzie u końca stołu, na którego naczelnym miejscu jadł on, handlowcy, wraz ze starym, od dziesiątej godziny popijali z wesołym kapitanem. Posiłek był nędzny i skończył się szybko. Aschenbacha ciągnęło na powietrze, by spojrzeć na niebo: czy też nie rozjaśnia się nad Wenecją.

Myślał, że tak stać się musi, bo miasto zawsze witało go w pełnym blasku. Ale niebo i morze było mętne, ołowiane, chwilami mżył deszcz i Aschenbach pogodził się z tym, że drogą wodną dociera do innej Wenecji niż ta, którą znajdował dawniej, zbliżając się do niej lądem. Stał przy przednim maszcie, wpatrzony w dal, oczekując lądu. Myślał o smętnie entuzjastycznym poecie, któremu niegdyś wynurzyły się z tych fal kopuły i dzwonnice jego snu, powtórzył po cichu strzępy z czci, szczęścia i smutku zrodzonych wtedy pieśni i łatwo wzruszony wcielonym już w kształt wrażeniem, badał swe poważne i znużone serce, czy może spotkać jeszcze próżnującego wędrowca nowe natchnienie i niepokój, przygoda uczucia.

Wtedy wynurzył się z prawej płaski brzeg, łodzie rybackie ożywiły morze, ukazała się wyspa z zakładem kąpielowym, parowiec opłynął ją z lewej, powolnym ruchem prześliznął się przez wąski port nazwany jej imieniem i zatrzymał się na lagunie, naprzeciw pstrych i nędznych domów, gdzie trzeba było czekać na barkę służby sanitarnej.

Minęła godzina, zanim się zjawiła. Przyjechało się i nie przyjechało; nikomu się nie śpieszyło, a jednak wszystkich gnała niecierpliwość. Młodzi ludzie z Poli, patriotycznie pobudzeni zapewne też przez sygnały trąbek wojskowych, dochodzące z okolicy ogrodów publicznych poprzez wodę, wyszli na pokład i podochoceni przez asti wznosili toasty na

cześć ćwiczących się bersalierów. Ale przykro było patrzeć, do jakiego stanu doprowadziło wystrojonego starca fałszywe kumanie się z młodzieżą. Jego stary mózg nie mógł jak dzielni młodzieńcy dotrzymywać placu winu; był żałośnie pijany. Z ogłupiałym wzrokiem, z papierosem w drżących palcach, chwiał się, utrzymując z trudem równowagę, naprzód i w tył. Ponieważ stawiając pierwszy krok byłby runął, nie miał odwagi ruszyć się z miejsca, jednak okazywał politowania godny humor chwytając każdego, kto się doń zbliżył, za guzik, ględził, mrugał, chichotał, podnosił swój upierścieniony, pomarszczony wskazujący palec w niedorzecznym przekomarzaniu się i w obrzydliwie dwuznaczny sposób oblizywał końcem języka kąciki ust. Aschenbach przypatrywał mu się z posępnie ściągniętymi brwiami i opanowało go uczucie zakłopotania, jak gdyby świat znów okazywał lekką i nie dającą się zahamować skłonność do dziwnej, karykaturalnej deformacji; co prawda, oddać się uczuciu temu nie pozwoliły mu okoliczności, gdyż łoskot maszyny zaczął się na nowo i statek podjął tak blisko celu przerwaną jazdę przez kanał San Marco.

Więc ujrzał znowu to zdumiewające wybrzeże, ową olśniewającą kompozycję fantastycznych budowli, które republika ukazywała pełnym uszanowania spojrzeniom zbliżających się żeglarzy: lekką wspaniałość Pałacu i Most Westchnień, kolumny z lwem i świętym na brzegu, przepysznie występujący bok bajecznej świątyni, widok na wieżę i Zegar Olbrzymów; i przyglądając się myślał, że przybyć do Wenecji lądem, na dworzec kolejowy, znaczy wejść do pałacu przez tylne drzwi i że nie inaczej, tylko okrętem, jak on teraz, przez pełne morze, należy zajechać do najnieprawdopodobniejszego z miast.

Maszyna stanęła, podpłynęły tłumnie gondole, spuszczono zwodzony pomost, urzędnicy celni weszli na pokład i załatwiali swoje czynności; lądowanie mogło się zacząć. Aschenbach dał do zrozumienia, że życzy sobie gondoli, która by zawiozła jego i jego bagaż do przystani owych małych parowców, które kursują między miastem i Lido; gdyż zamierzał

wynająć mieszkanie nad morzem. Aprobują jego życzenie, podają je krzykiem w dół ku wodzie, gdzie gondolierzy kłócą się w swej gwarze. Nie może jeszcze zejść, przeszkadza mu jego kufer, który właśnie z trudem spuszczają i wloką po ruchomym pomoście. Przez kilka minut nie może ujść natarczywości ohydnego starca, którego pijaństwo pobudza niejasno, by obcemu oddać honory pożegnalne.

— Życzymy szczęśliwego pobytu — bąka stary szurgając nogami. — Polecamy się łaskawej pamięci! Au revoir, excusez i bonjour, ekscelencjo! — Ślini się, zamyka oczy, oblizuje kąty ust i farbowana muszka pod jego starczą wargą jeży się. — Uszanowanie — bełkoce z końcami palców przy ustach — uszanowanie kochaneczce, najmilszemu, najśliczniejszemu ulubieniu!... — I nagle fałszywe zęby spadają mu z górnej szczęki na dolną wargę. Aschenbach zdołał uciec. — Kochaneczce, ślicznej kochaneczce — słyszy za plecami w gruchających, pustych i urywanych tonach, gdy trzymając się poręczy schodzi z pomostu.

Któż nie musiał pokonywać przelotnego dreszczu, tajemnego strachu i niepokoju, gdy po długiej niebytności miał wsiąść do weneckiej gondoli? Osobliwa ta łódź, zachowana w niezmienionym kształcie z zamierzchłych czasów i niesamowicie czarna, jak bywają tylko trumny — przypomina nieme i zbrodnicze przygody wśród pluskającej nocy, przypomina bardziej jeszcze samą śmierć, mary, posępny obrzęd i ostatnią, milczącą podróż. I czy kto zauważył, że siedzenie w takiej barce, ten trumienno-czarny, czarno wyścielany fotel, jest najmiększym, najrozkoszniejszym, najbardziej usypiającym siedzeniem na świecie? Aschenbach zauważył to, gdy usiadł u stóp gondoliera, naprzeciw swych pakunków leżących schludnie u dziobu. Wioślarze kłócili się wciąż jeszcze, surowi, niezrozumiali, z groźnymi gestami. Ale osobliwa cisza wodnego miasta zdawała się łagodnie przyjmować, odcieleśniać ich słowa, rozpraszać je po falach. Było ciepło tu w porcie. Lekko owiany tchnieniem sirocca, na podatnym żywiole zagłębiony w po-

duszkach, zamknął podróżny oczy lubujące się równie niezwykłym jak słodkim rozleniwieniem. „Jazda będzie krótka — myślał — niechby trwała wiecznie!" W cichym kołysaniu czuł, że uchodzi tłokowi, pomieszanym głosom.

Jak cicho, coraz ciszej stawało się dokoła niego! Nie było nic słychać prócz plusku wiosła, prócz pustego uderzenia fali o dziób barki, który, stromy, czarny i u szczytu zbrojny jakby halabardą, sterczał nad wodą, i prócz czegoś trzeciego jeszcze, gwarzenia, mruczenia — szeptu gondoliera, który przez zęby, urywanie, słowami tłumionymi pracą ramion, mówił do samego siebie. Aschenbach spojrzał dokoła i z lekkim zdziwieniem zauważył, że laguna rozszerzyła się i jazda brała kierunek na otwarte morze. Zdawało się przeto, że nie powinien nazbyt spoczywać, lecz uważać trochę, by spełniono jego wolę.

— Więc do przystani parowców! — rzekł, na pół odwracając się wstecz. Mruczenie ustało. Nie było odpowiedzi.

— Więc do przystani parowców! — powtórzył odwracając się zupełnie i podnosząc wzrok na gondoliera, który stojąc za nim na pokładzie sterczał pod szarym niebem. Był to mężczyzna o niemiłej, ba, brutalnej fizjonomii, w marynarskim granatowym ubraniu, przepasanym żółtą szarfą i w bezkształtnym słomkowym, na bakier włożonym kapeluszu, którego plecionka zaczęła się strzępić. Rysy twarzy, kręty wąs pod krótkim, zadartym nosem nie świadczyły o jego włoskim pochodzeniu. Choć był raczej szczupłej budowy ciała, tak że można było go uważać za niezbyt zdatnego do jego zawodu, władał bardzo energicznie wiosłem, nalegając na nie całym ciałem za każdym uderzeniem. Kilka razy podniósł z wysiłku wargi odsłaniając białe zęby. Ściągnąwszy rude brwi spoglądał ponad gościem odpowiadając pewnym, niemal grobowym głosem:

— Pan jedzie na Lido.

Aschenbach odparł:

— Tak jest. Ale wziąłem gondolę tylko po to, by mnie przewiozła na San Marco. Chcę pojechać vaporettem.

— Nie może pan pojechać vaporettem.

— I czemuż to?

— Bo vaporetto nie przewozi pakunków.

To było słuszne; Aschenbach przypomniał sobie. Milczał. Ale szorstkie, aroganckie, niepraktykowane tu wobec cudzoziemca zachowanie było nie do zniesienia. Rzekł:

— To moja rzecz. Może chcę oddać bagaż na przechowanie. Proszę zawrócić.

Cisza. Wiosło pluskało, woda uderzała gładko o dziób. I gadanie i mruczenie zaczęły się znowu; gondolier mówił przez zęby do siebie.

Co było robić? Sam na wodzie z dziwnie upartym, niesamowicie stanowczym człowiekiem, nie widział podróżny sposobu postawienia na swoim. Jakżeby miękko mógł spoczywać, gdyby się nie obawiał! Czyż nie pragnął, aby jazda trwała długo, aby mogła trwać zawsze? Najmądrzej było pozostawić rzeczy ich biegowi, a co najważniejsze, tak było najprzyjemniej. Czar gnuśności zdawał się wypływać z siedzenia, z tego czarno wyścielanego fotela, kołysanego tak łagodnie od uderzeń wiosła tego samowładnego gondoliera za jego plecami. Myśl, że wpadł w ręce zbrodniarza, przemknęła sennie przez mózg Aschenbacha nie mogąc wywołać chęci do czynnej obrony. Przykra była możliwość, że wszystko jest ukartowane dla prostego wyłudzenia pieniędzy. Coś jak poczucie obowiązku czy dumy, przypomnienie niejako, że trzeba temu zapobiec, zdołało go raz jeszcze poderwać. Spytał:

— Ile pan żąda za jazdę?

I nie patrząc nań, gondolier rzekł:

— Pan zapłaci.

Pewne było, co na to należało odpowiedzieć. Aschenbach rzekł:

— Nic nie zapłacę, zupełnie nic, jeśli mnie zawieziecie tam, gdzie nie chcę.

— Pan chce na Lido.

— Ale nie z wami.

— Wiozę pana dobrze.

„To prawda — pomyślał Aschenbach i uczuł zmęczenie. — To prawda, wieziesz mnie dobrze. Nawet jeśli godząc na moją gotówkę poślesz mnie uderzeniem wiosła z tyłu do domostwa Hadesa, wiozłeś mnie dobrze."

Jednak nic takiego nie zaszło. Znalazło się nawet towarzystwo, łódź z muzykalnymi włóczęgami, mężczyznami i kobietami, którzy śpiewali przy gitarach i mandolinach, jadąc natrętnie burta przy burcie, napełniając nadwodną ciszę swą chciwą zysku, obcą poezją. Aschenbach rzucił pieniądze w nastawiony kapelusz. Po czym zamilkli i odjechali. I znów dał się słyszeć szept gondoliera, który z przerwami, od czasu do czasu, mówił do siebie.

Tak dojechali, kołysani falą po parowcu zdążającym do miasta. Dwaj urzędnicy municypalni, z rękami założonymi do tyłu, z twarzami zwróconymi ku lagunie, chodzili po wybrzeżu tam i z powrotem. Aschenbach opuścił przy kładce gondolę, podpierany przez starca, który na każdym miejscu lądowania w Wenecji czeka ze swym hakiem; a ponieważ brak mu było drobnych, przeszedł do leżącego naprzeciw pomostu hotelu, by zmienić pieniądze i wynagrodzić gondoliera wedle swego uznania. W hallu czynią zadość jego życzeniu; wraca, znajduje swój bagaż w wózku na wybrzeżu; gondola i gondolier zniknęli.

— Ulotnił się — mówi starzec z hakiem. — Zły człowiek, człowiek bez koncesji, szanowny panie. Jest to jedyny gondolier, który nie posiada koncesji. Tamci telefonowali tu. Widział, że czekają na niego. Więc się ulotnił.

Aschenbach wzruszył ramionami.

— Pan przyjechał za darmo — rzekł stary i nadstawił kapelusz. Aschenbach wrzucił pieniądz. Polecił, by bagaż odstawiono do Hotelu Kąpielowego, i poszedł za wózkiem aleją, biało kwitnącą aleją, która, między tawernami, bazarami, pensjonatami z obu stron, prowadzi przez wyspę ku wybrzeżu.

Wszedł do rozległego hotelu od tyłu, od ogrodowego tarasu,

i udał się przez wielki hall do sieni, do zarządu. Ponieważ zapowiedział swe przybycie, przyjęto go z usłużną uprzejmością. Zarządzający, niski, cichy, przymilnie grzeczny człowiek z czarnym wąsem, w skrojonym z francuska surducie, zawiózł go windą na drugie piętro i wskazał mu numer, miły, sprzętami z drzewa wiśniowego umeblowany pokój, który ozdobiono silnie pachnącymi kwiatami i którego wysokie okna wychodziły na pełne morze. Podszedł do jednego z nich, gdy zarządzający wyszedł, i kiedy wniesiono za nim bagaż i umieszczono go w pokoju, patrzył na bezludną, jak zwykle w południe, plażę i bezsłoneczne morze, które w porze odpływu spokojnie i miarowo wysyłało na brzeg niskie, podłużne fale.

Spostrzeżenia i spotkania niemego samotnika są zarazem mglistsze i natarczywsze niż człowieka towarzyskiego, jego myśli są ciężkie, dziwniejsze i mają nalot smutku. Obrazy i obserwacje, z którymi można by się załatwić jednym spojrzeniem, jednym uśmiechem, jedną wymianą zdań, zajmują go ponad miarę, pogłębiają się w milczeniu, stają się pełne znaczenia, przeżycie, przygoda, uczucie, samotność rodzą oryginalność, śmiałe i dziwne piękno, poemat. Samotność jednak rodzi też to, co opaczne, nieproporcjonalne, niedorzeczne i niedozwolone.

Więc zjawiska podróży w tę stronę — straszny stary elegant ze swym bredzeniem o kochaneczce, wyklęty, swej zapłaty pozbawiony gondolier — niepokoiły jeszcze teraz umysł podróżnego. Nie sprawiając trudności rozumowi, nie nastręczając właściwie materiału do rozmyślania, były jednak zjawiska te bardzo odrębne z natury, jak mu się zdało, i niepokoiły właśnie przez tę sprzeczność. Tymczasem powitał oczyma morze i poczuł z radością, że ma Wenecję w tak bliskim dosięgu. Odwrócił się wreszcie, obmył twarz, wydał pokojówce kilka poleceń tyczących uzupełnienia jego wygód i zjechał na dół z zielono ubranym szwajcarem, który obsługiwał windę.

Wypił herbatę na tarasie od strony morza, zszedł potem na dół i odbył dłuższy spacer wzdłuż promenady ku hotelowi

„Excelsior". Gdy wrócił, zdawało mu się, że czas już przebrać się do kolacji. Czynił to powoli i dokładnie swoim zwyczajem, gdyż przywykł był przy toalecie pracować; mimo to znalazł się trochę za wcześnie w hallu, gdzie zebrało się sporo gości hotelowych, obcych sobie i udających wzajemną obojętność, ale wspólnie oczekujących posiłku. Wziął ze stołu gazetę, usiadł w skórzanym fotelu i obserwował towarzystwo, które w sposób przyjemny różniło się od sosjety jego pierwszego pobytu.

Otworzył się szeroki, wiele rzeczy cierpliwie obejmujący horyzont. Mieszały się stłumione głosy światowych języków. Ogólnie przyjęty strój wieczorowy, uniform dobrego wychowania, skupiał różne zewnętrznie odmiany ludzkie w przyzwoitą całość. Widać było suchą i długą minę Amerykanina, wielogłową rodzinę rosyjską, angielskie damy, niemieckie dzieci z francuskimi bonami. Składnik słowiański zdawał się przeważać. Tuż w pobliżu mówiono po polsku.

Była to grupa na pół i ledwo dorosłych pod opieką wychowawczyni czy damy do towarzystwa, zebrana dokoła trzcinowego stolika. Trzy dziewczynki, lat piętnastu do siedemnastu, jak się zdawało, i długowłosy chłopak, może czternastoletni. Ze zdumieniem zauważył Aschenbach, że chłopak jest skończenie piękny. Twarz jego zamknięta, blada i pełna wdzięku, otoczona włosami barwy miodu, z prostolinijnym nosem, miłymi ustami, z wyrazem uroczej i boskiej powagi, przypominała rzeźby greckie z najszlachetniejszej epoki i przy czystej doskonałości formy posiadała tak niepowtarzalnie osobisty czar, że widz miał wrażenie, iż ani w naturze, ani w plastycznych sztukach nie spotkał nic równie szczęśliwie udałego. Następnie uderzał jawnie głęboki kontrast między zasadami pedagogicznymi, wedle których rodzeństwo zdawało się być ubrane i w ogóle wychowywane. Odzienie trzech dziewcząt, z których najstarsza mogła uchodzić za dorosłą, było aż karykaturalnie surowe i niewinne. Szarawe, niemal klasztorne suknie, przydługie, proste i umyślnie niezgrabnego kroju, z bia-

łym szerokim kołnierzem jako jedyną jasną plamą, gasiły i niweczyły wszelki urok postaci. Gładkie i mocno do głowy przylepione włosy nadawały twarzom nic nie mówiącą pustkę mniszek. Niewątpliwie rządziła tu matka i nie pomyślała nawet o tym, aby i do chłopca zastosować pedagogiczną surowość, która zdawała się jej wskazana w stosunku do dziewcząt. Miękkość i tkliwość określały widocznie jego istnienie. Bano się tknąć nożyczkami jego pięknych włosów. Jak u „Chłopca wydobywającego cierń" wiły się po czole, nad uszami i niżej ku karkowi. Angielski strój marynarski, którego bufiaste rękawy zwężały się ku dołowi i ściśle obejmowały delikatne przeguby jego dziecinnych jeszcze, ale wąskich rąk, nadawał swymi sznurami, kokardami i haftami coś delikatnego i wybrednego wątłej postaci. Siedział półprofilem do obserwatora, z jedną nogą w lakierowanym trzewiku w przód wysuniętą, jednym łokciem oparty o poręcz trzcinowego fotela, z policzkiem przytulonym do zwiniętej dłoni, w postawie układnej gnuśności i bez służalczej niemal sztywności, do której zdawały się przyzwyczajone siostry. Czy był cierpiący? Gdyż skóra jego twarzy odbijała bielą kości słoniowej od złocistego mroku obramiających włosów. Albo był po prostu rozpieszczonym jedynakiem, otoczonym stronniczą i kapryśną miłością? Aschenbach był skłonny tak sądzić. Prawie każdej artystycznej naturze wrodzona jest bujna i zdradziecka skłonność uznawania stwarzającej piękno niesprawiedliwości i niesienia współczucia i hołdu artystycznemu wyróżnieniu.

Kelner obchodził dokoła i oznajmiał po angielsku, że obiad podany. Stopniowo towarzystwo gubiło się za szklanymi drzwiami sali jadalnej. Maruderzy z westybulu i z wind przechodzili mimo. W sali zaczęto podawać, ale młodzi Polacy trwali jeszcze przy swym trzcinowym stole i Aschenbach, schowany wygodnie w głębokim fotelu i wpatrzony w piękno, czekał z nimi.

Guwernantka, niska, korpulentna półdama o czerwonej twarzy, dała wreszcie znak do powstania. Z wysoko podniesio-

nymi brwiami odsunęła w tył krzesło i skłoniła się, gdy wysoka pani w szarobiałej sukni, bogato ozdobiona perłami, weszła do hallu. Postawa tej kobiety była chłodna i powściągliwa, układ jej upudrowanych włosów jak i krój jej sukni nacechowane ową prostotą, która decyduje o smaku wszędzie tam, gdzie pobożność uchodzi za składnik dostojności. Mogła być żoną wysokiego niemieckiego urzędnika. Coś fantastycznie zbytkownego nadawały jej wyglądowi jedynie klejnoty, które naprawdę były bezcenne i składały się z kolczyków i potrójnego, bardzo długiego sznura wielkich jak czereśnie, łagodnie lśniących pereł.

Rodzeństwo powstało natychmiast. Skłonili się całując rękę matki, która z powściągliwym uśmiechem swej wypielęgnowanej, lecz nieco zmęczonej twarzy o szpiczastym nosie zwróciła ponad ich głowami kilka francuskich słów do wychowawczyni. Potem ruszyła ku szklanym drzwiom. Dzieci poszły za nią. Dziewczęta w kolejności wieku, za nimi guwernantka, wreszcie chłopiec. Z jakiegoś powodu odwrócił się, zanim przestąpił próg, i ponieważ już nikogo nie było w hallu, jego przedziwne, szare jak zmierzch oczy spotkały się z oczami Aschenbacha, który, z gazetą na kolanach, pogrążony w kontemplacji, ścigał wzrokiem gromadkę.

To, co ujrzał, nie było z pewnością w szczegółach osobliwe. Dzieci nie siadły przed matką do stołu, czekały na nią, przywitały ją z czcią i przy wejściu do sali przestrzegały przyjętych form. Ale wszystko to odbywało się tak dokładnie, z takim akcentowaniem karności, obowiązku i szacunku dla siebie, że Aschenbach czuł się dziwnie wzruszony. Zwlekał jeszcze chwil kilka, potem przeszedł również do sali jadalnej i kazał sobie wskazać swój stolik, który, jak stwierdził z przelotnym uczuciem żalu, znajdował się bardzo daleko od polskiej rodziny.

Znużony, a jednak duchowo podniecony, zabawiał się podczas nudnego obiadu abstrakcyjnymi, ba, transcendentalnymi sprawami, rozmyślał o tajemniczym związku, jaki musi za-

chodzić między prawidłowością a indywidualnością, aby powstała ludzka piękność, przeszedł stąd do ogólnych problemów formy i sztuki i stwierdził na końcu, że jego myśli i odkrycia podobne były do pozornie szczęśliwych sugestii snu, które po otrzeźwieniu okazują się puste i bez wartości. Po obiedzie palił, siedział, przechadzał się w pachnącym wieczorną porą parku, poszedł wcześnie spać i spędził noc w długim i spokojnym, ale ożywionym rozmaitymi rojeniami śnie.

Nazajutrz pogoda nie zapowiadała się pomyślniej. Wiatr wiał od lądu. Pod szarym niebem morze leżało w głuchym spokoju, jakby zmarszczone, z bezbarwnym horyzontem i tak daleko cofnięte, że odsłoniło kilka szeregów długich ławic wydm piaskowych. Gdy Aschenbach otworzył okno, zdało mu się, że czuje zgniły zapach laguny.

Opadł go smutek. Już w tej chwili myślał o odjeździe. Raz przed laty, po pogodnych tygodniach wiosennych, nawiedziła go taka aura i tak szkodliwie zaciążyła na jego samopoczuciu, że musiał opuścić Wenecję jak zbieg. Czyż nie opadła go znów febryczna niechęć z owych czasów, ucisk w skroniach, ciążenie powiek? Jeszcze raz zmienić miejsce pobytu byłoby trudno; ale jeśli wiatr się nie zmieni, to nie pozostanie tu za nic. Dla pewności nie rozpakował się całkowicie. O dziewiątej zjadł śniadanie w przeznaczonym na to pokoju bufetowym między hallem i jadalnym.

W pokoju tym panowała uroczysta cisza, która należy do ambicji wielkich hoteli. Usługujący kelnerzy chodzili na palcach. Szczękanie przyborów do herbaty, szeptem wypowiedziane słowo to wszystko, co można było słyszeć. W kącie, na wskos od drzwi i o dwa stoliki dalej, zauważył Aschenbach polskie dziewczęta z wychowawczynią. Bardzo wyprostowane, z popielatymi włosami świeżo przygładzonymi, z zaczerwienionymi oczami, w sztywnych, niebieskich lnianych sukniach z małymi, białymi, opadającymi kołnierzami i mankietami, siedziały i podawały sobie szklane naczynie z konfiturami. Skończyły niemal śniadanie. Chłopca nie było.

Aschenbach uśmiechnął się. „Tak, mały Feaku! — pomyślał. — Zdaje się, że korzystasz z przywileju wysypiania się do woli." I nagle rozweselony, zacytował wiersz:

Często zmieniane ozdoby i ciepłe kąpiele, i spokój.

Zjadł śniadanie bez pośpiechu, wziął z ręki portiera, który zdjąwszy czapkę z galonami wszedł do sali, wysłaną za nim pocztę i paląc papierosa otworzył kilka listów. Toteż doczekał się wejścia śpiocha, którego czekano w sali jadalnej.

Wszedł szklanymi drzwiami i kroczył wśród ciszy przez pokój ku stołowi sióstr. Chód jego w pozycji górnej części ciała jak też w ruchach kolan, w stawianiu biało obutej stopy, był pełen niezwykłego wdzięku, bardzo lekki, zarazem delikatny i dumny, i upiększony jeszcze przez dziecinną wstydliwość, z jaką chłopak, dwukrotnie po drodze zwracając wzrok ku sali, podniósł i spuścił oczy. Uśmiechając się, mówiąc coś półgłosem w swym miękkim, niewyraźnym języku, siadł na swym miejscu i teraz właśnie, gdy zwrócił się wyraźnym profilem ku patrzącemu, ten zdumiał się znowu, ba, przestraszył się na widok prawdziwie boskiej piękności tego człowieczego dziecka. Chłopak miał dziś na sobie lekkie ubranie z płótna w białe i niebieskie paski, czerwoną, jedwabną kokardę na piersi i stojący, prosty, biały kołnierz na szyi. Na tym kołnierzu zaś, który niezbyt elegancko zestrajał się z charakterem ubrania, spoczywał kwiat głowy o niezrównanym uroku — głowa Erosa z żółtawym błyskiem paryjskiego marmuru, z cienkimi i poważnymi brwiami, ze skroniami i uszyma pokrytymi pierścieniami ciemnych i miękkich włosów.

„Dobrze, dobrze! — pomyślał Aschenbach z owym śmiałym uznaniem fachowca, z jakim artyści zwykle wyrażają swój podziw i zachwyt wobec arcydzieła. I dalej myślał: — Naprawdę, gdyby nie oczekiwało mnie morze i plaża, zostałbym tu, dopóki ty tu jesteś!" Ale wyszedł wśród ukłonów perso-

nelu przez hall, wielki taras, wprost przez deskami wykładany chodnik do zamkniętej plaży gości hotelowych. Bosemu starcowi w płóciennych spodniach, marynarskiej bluzie i słomkowym kapeluszu, zajętemu tam jako kąpielowy, kazał pokazać sobie wynajętą kabinę, polecił stół i fotel wystawić na z desek zbitą platformę i rozłożył się na leżaku, który przeciągnął bliżej ku morzu, na woskowożółty piasek.

Plaża, ten widok kultury rozkoszującej się w zmysłowej beztrosce na brzegu żywiołu, bawiła i radowała go jak zawsze. Szare, płytkie morze ożywiło się brodzącymi dziećmi, pływakami, pstrymi postaciami, które z rękami podłożonymi pod głowę leżały na ławicach piaskowych. Inni wiosłowali w małych, czerwono i niebiesko lakierowanych łodziach bez kilu i wywracali się ze śmiechem. Przed wydłużonym rzędem budek, na których platformach siedziano jak na małych werandach, panował pełen zabawy ruch lub leniwy spoczynek, odwiedziny i pogawędki, wytworna ranna elegancja i nagość, która zażywała zuchwale wygodnej miejscowej swobody. Z przodu, na mokrym i twardym piasku, przechadzali się pojedynczo goście w białych płaszczach kąpielowych, w obszernych strojach plażowych o mocnych barwach. Kunsztowny zamek z piasku po prawej, zbudowany przez dzieci, otoczony był małymi chorągiewkami w kolorach wszystkich krajów. Sprzedawcy muszli, obarzanków i owoców rozkładali klęcząc swój towar. Po lewej, przed jedną z budek, które stały prostopadle do innych i do morza i z tej strony stanowiły zakończenie plaży, obozowała jakaś rosyjska rodzina: mężczyźni z brodami i wielkimi zębami, tłuste i leniwe kobiety, jakaś bałtycka panna, która siedząc przy sztalugach wśród okrzyków rozpaczy malowała morze, dwoje dobrotliwych, brzydkich dzieci, stara sługa w chustce na głowie, z czule poddańczymi manierami niewolnicy. Rozkoszując się z wdzięcznością bytowali tam, wywoływali nieznużenie imiona niegrzecznie harcujących dzieci, długo żartowali za pomocą nielicznych włoskich słów ze starcem, od którego kupowali słodycze, całowali

się wzajemnie w policzki nie dbając o obserwatorów ich ludzkiej gromady.

„Więc zostanę — myślał Aschenbach. — Gdzieżby było lepiej?" I z rękoma złożonymi na kolanach błądził w dalekościach morza oczami, których spojrzenie ślizgało się, rozpływało, ginęło w monotonnym oparze pustynnego przestworu. Kochał morze z głębokich powodów: z żądzy spoczynku ciężko pracującego artysty, który przed wymagającą wielokształtnością zjawisk pragnie się ukryć na łonie prostoty, ogromu; z zakazanej, właśnie jego zadaniu przeciwnej i dlatego też kuszącej skłonności do chaosu, bezmiaru, wieczności, do nicości. Szukanie spoczynku w doskonałości jest tęsknotą tego, który zabiega o nią, a czyż nicość nie jest formą doskonałości? Gdy jednak tak głęboko pogrążał się w pustce, nagle horyzontalną linię plaży przecięła postać ludzka i kiedy wycofał swe spojrzenie z bezgranicza i skupił je, wtedy nadchodząc z lewej piękny chłopiec przeszedł przed nim po piasku. Był boso, gotów do brodzenia, z smukłymi nogami obnażonymi powyżej kolan, ale tak lekki i dumny, jakby był zupełnie przyzwyczajony do chodzenia bez obuwia, i oglądał się na w poprzek stojące budki. Ledwo jednak spostrzegł rosyjską rodzinę, która tam przebywała w zadowolonej zgodzie, gdy chmura gniewnej pogardy okryła jego twarz. Czoło jego sposępniało, usta podniosły się, wargi przekrzywiły się gorzko na jedną stronę wypaczając policzek i brwi zmarszczyły się tak głęboko, że pod ich naciskiem oczy się wgłębiły i zaciemnione gniewem błysnęły nienawiścią. Spojrzał ku ziemi, obejrzał się jeszcze raz groźnie i, wzruszywszy gwałtownie ramionami gestem pogardy, pozostawił wrogów za sobą.

Coś jak czułość i przestrach, coś jak szacunek i zawstydzenie sprawiło, że Aschenbach odwrócił się, jak gdyby nic nie widział; gdyż poważnemu przypadkowemu obserwatorowi namiętności nie godzi się robić ze swych spostrzeżeń użytku choćby dla siebie samego. Był jednak rozbawiony i wstrząśnięty zarazem, to jest: uszczęśliwiony. Ten dziecin-

ny fanatyzm, zwrócony przeciw najdobroduszniejszemu obrazowi życia, wnosił boską niewyrażalność w ludzkie stosunki, czynił drogocenny twór natury, który służył tylko dla rozkoszy oczu, godnym głębszego współczucia i nadawał postaci wyrostka, wyróżniającej się już i tak pięknością, podkład, który pozwalał brać go poważnie ponad jego wiek.

Jeszcze odwrócony, słuchał Aschenbach głosu chłopca, czystego, nieco słabego głosu, którym z daleka już przesyłał pozdrowienie zajętym zamkami z piasku towarzyszom zabawy. Odpowiedziano mu wywołując kilkakrotnie jego imię czy spieszczenie imienia i Aschenbach nasłuchiwał z pewnym zaciekawieniem, nie mogąc nic dokładniej pochwycić prócz dwóch melodyjnych zgłosek, coś jakby „Adgio" lub częściej „Adgiu", z wołająco wydłużonym „u" na końcu. Radował go ten dźwięk, uważał, że miłe brzmienie jego odpowiada przedmiotowi, powtarzał je po cichu i zadowolony wrócił do swych listów i papierów.

Z małą teczką podróżną na kolanach zaczął wiecznym piórem załatwiać korespondencję. Ale po kwadransie uznał, że szkoda zaniedbywać najrozkoszniejszą, jaką znał, sytuację i marnować ją dla obojętnej czynności. Odrzucił tekę, wrócił do morza; i niedługo, nęcony głosami młodzieży przy budowie zamków z piasku, odwrócił wygodnie na poręczy leżaka głowę w prawo, aby zobaczyć, co porabia wspaniały Adgio.

Za pierwszym spojrzeniem znalazł go, czerwonej kokardy na piersi nie można było nie zauważyć. Zajęty z innymi przerzucaniem starej deski jako mostu przez wilgotną fosę zamku z piasku, dawał wskazówki do tej roboty wołając i kiwając głową. Było z nim około dziesięciu towarzyszy, chłopców i dziewcząt w jego wieku i młodszych, którzy w języku polskim i francuskim oraz w narzeczach bałkańskich gadali jedno przez drugie. Ale jego imię słychać było najczęściej. Widocznie lubiono go, wyrywano sobie, podziwiano. Jeden zwłaszcza, Polak jak on, rosły chłopak, którego wołano jakby „Jasiu", z czarnymi, wypomadowanymi włosami, w płócien-

nym ubraniu z paskiem, zdawał się być jego najbliższym wasalem i przyjacielem. Gdy tym razem robota około zamku była skończona, poszli obejmując się ramionami wzdłuż plaży i ten, którego wołano „Jasiu", pocałował pięknego.

Aschenbach miał ochotę pogrozić mu palcem. „Tobie jednak radzę, Kritobulosie — myślał z uśmiechem — wyjedź na rok w podróż. Bo najmniej tyle potrzeba ci do wyzdrowienia". Potem jadł na śniadanie wielkie, dojrzałe poziomki, które nabył od przekupnia. Zrobiło się bardzo ciepło, choć słońce nie mogło przebić omglonego nieba. Lenistwo pętało ducha, choć zmysły używały bezgranicznej i oszołamiającej rozkoszy ciszy morskiej. Odgadnięcie, zbadanie, co to za imię brzmiało jak gdyby „Adgio", zdawało się poważnemu człowiekowi stosownym, całkowicie absorbującym zadaniem i zajęciem. I z pomocą kilku polskich wspomnień ustalił, że miało to być „Tadzio", skrót „Tadeusza", brzmiący w wołaczu „Tadziu".

Tadzio kąpał się. Aschenbach, który stracił go z oczu, odnalazł jego głowę, jego ramię, którym wiosłował daleko na morzu, bo morze było płaskie jak okiem sięgnąć. Ale już niepokojono się o niego, już wołały go głosy kobiece z budek, wykrzykiwały znów to imię, które unosiło się nad plażą jak hasło i w swoich miękkich spółgłoskach, w swoim przewlekłym „u" na końcu miało zarazem coś słodkiego i dzikiego: „Tadziu! Tadziu!" Zawrócił, biegł przez fale, ubijając nogami oporną wodę na pianę, z głową w tył podaną; warto było widzieć, jak pełna życia postać, młodzieńczo powabna i niedojrzała, z ociekającymi lokami i piękna jak delikatny bóg, nadchodząc z głębin nieba i morza wynurzała się i uciekała z żywiołu: widok ten nasuwał mityczne obrazy, był jak zwiastowanie poetów o pierwotnych czasach, o początku formy i narodzinach bogów. Aschenbach słuchał z zamkniętymi oczami dźwięczącego w jego wnętrzu śpiewu i znowu myślał, że jest mu dobrze i że tu zostanie.

Potem, odpoczywając po kąpieli, leżał Tadzio na piasku,

owinięty w białe prześcieradło, przeciągnięte pod jego prawym barkiem, opierając głowę na gołym ramieniu; i nawet gdy Aschenbach nań nie patrzył, tylko przerzucał kartki swej książki, nie zapominał ani na chwilę, że chłopak tam leży i że trzeba tylko lekko odwrócić głowę na prawo, by zobaczyć ten podziwu godny obraz. Zdawało mu się niemal, że siedzi tu, aby chronić spoczywającego — zajęty własnymi sprawami, a jednak przy tym w ustawicznej czujności względem szlachetnego tworu ludzkiego tam, z prawej strony, niedaleko od niego. I poruszała go i napełniała mu serce ojcowska czułość, oddana tkliwość tego, który ofiarnie w duchu tworzy piękno, wobec tego, który piękność posiada.

Po południu opuścił plażę, wrócił do hotelu i kazał się zawieźć windą na górę. W pokoju swym zabawił dłużej przed lustrem i przyglądał się swym siwym włosom, znużonej i ostrej twarzy. W tej chwili myślał o swej sławie i o tym, że wielu na ulicach go znało i patrzyło nań z szacunkiem dla jego niewątpliwie trafnych i wdziękiem uwieńczonych słów — wywoływał wszystkie zewnętrzne tryumfy swego talentu, jakie mu przyszły na myśl, i przypomniał sobie nawet swoje szlachectwo. Potem zszedł do sali na lunch i jadł przy swoim stoliku. Gdy po skończonym posiłku wszedł do windy, młody ludek, który również wracał z jadalni, tłoczył się za nim do ruchomej klatki i Tadzio wszedł także. Stał tuż przy Aschenbachu, pierwszy raz tak blisko, że ten widział i poznał go nie jak z odległego obrazu, lecz dokładnie, z ludzkimi szczegółami. Ktoś przemówił do chłopca i ten, odpowiedziawszy z nieopisanie miłym uśmiechem, natychmiast cofając się wyszedł na pierwszym piętrze ze spuszczonymi oczami. „Piękność zawstydza" — pomyślał Aschenbach i zastanowił się głęboko, czemu. Zauważył jednak, że zęby Tadzia nie były w pocieszającym stanie: trochę spiczaste i blade, bez zdrowego połysku, dziwnie przezroczyste i kruche, jak u niedokrwistych. „Jest bardzo delikatny, jest chorowity — pomyślał Aschenbach. — Prawdopodobnie niedługo pożyje." I nie chciał zdać

sobie sprawy z uczucia zadowolenia i uspokojenia, jakie towarzyszyło tej myśli.

Spędził dwie godziny w swym pokoju i po południu pojechał vaporettem przez zgnilizną pachnące laguny do Wenecji. Wysiadł przy San Marco, wypił herbatę na placu i odbył potem, wedle tutejszego rozkładu dnia, przechadzkę po ulicach. Spacer ten jednak sprowadził zupełną zmianę w jego nastroju, w jego postanowieniach.

Wstrętnie parno było na ulicach; powietrze było tak gęste, że zapachy płynące z mieszkań, sklepów, jadłodajni, wyziewy oliwy, chmury perfum i tym podobne tworzyły nieruchome, nie rozpraszające się warstwy. Dym z papierosa wisiał w jednym miejscu, ustępując powoli. Ruch tłumu w ciasnocie przeszkadzał tylko przechadzającemu się, zamiast go bawić. Im dłużej szedł, tym przykrzej owładał nim ohydny stan, który wywołać może powietrze morskie razem z sirocco i który jest zarazem podnieceniem i słabością. Oblał go gęsty pot. Oczy odmówiły posłuszeństwa, czuł ucisk w piersiach i gorączkę, krew tętniła w głowie. Uciekł z natłoczonych ulic handlowych przez most ku uliczkom ubogich. Tam opadli go żebracy i przykre wyziewy kanałów tamowały oddech. Na cichym placu, jednym z owych zapomnianych, czarownych miejsc, które znajdują się w sercu Wenecji, spoczywając na brzegu studni otarł czoło i zrozumiał, że musi wyjechać.

Po raz drugi i teraz ostatecznie okazało się, że miasto to przy tej pogodzie jest dlań w najwyższym stopniu szkodliwe. Uparte siedzenie tu zdawało się nierozsądne, widoki na zmianę pogody były zupełnie niepewne. Trzeba było szybkiej decyzji. Już teraz wracać do domu nie było wskazane. Ani mieszkanie letnie, ani zimowe nie było przysposobione do przyjęcia go. Ale nie tylko tu znajdowało się morze i plaża, istniały i gdzie indziej bez tego szkodliwego dodatku laguny i jej febrycznych wyziewów. Przypomniał sobie małe kąpielisko morskie w pobliżu Triestu, które mu zachwalano. Czemużby nie tam? I to bez zwłoki, aby ponowna zmiana miejsca pobytu

się opłaciła. Był zdecydowany i wstał. Na najbliższym postoju gondol wziął łódź i kazał się wieźć na San Marco przez posępny labirynt kanałów, pod wytwornymi marmurowymi balkonami z lwami po obu stronach, dokoła oślizłych węgłów, mimo żałobnych fasad pałaców, które w falującej wodzie odzwierciedlały wielkie szyldy firm. Z trudem tam dotarł, gdyż gondolier, który był na usługach fabryk koronek i szkła, starał się wszędzie wysadzać go dla zwiedzania i zakupów i gdy dziwaczna jazda przez Wenecję zaczynała wywierać swój czar, handlowy ten okpiświat, duch kupiecki upadłej królowej, przykro trzeźwił zmysły.

Wróciwszy do hotelu, oznajmił jeszcze przed obiadem w biurze, że z powodu nieprzewidzianych okoliczności musi jutro rano wyjechać. Wyrażano żal, pokwitowano jego rachunek. Zjadł obiad i spędził ciepły wieczór, czytając dzienniki w bujającym fotelu na tylnym tarasie. Zanim udał się na spoczynek, spakował się zupełnie do wyjazdu.

Nie spał dobrze, bo niepokoiła go czekająca wyprawa. Gdy rano otworzył okna, niebo było pochmurne, ale powietrze zdawało się chłodniejsze — i zaczął już żałować. Czy wymówienie nie było przedwczesne, czy nie było błędem, skutkiem chorobliwego, nienormalnego stanu? Gdyby się był trochę wstrzymał, nie zniechęcając się spróbował przystosować się do weneckiego powietrza i poczekał na zmianę pogody, to zamiast śpieszyć się na łeb na szyję miałby przedpołudnie na plaży jak wczoraj. Za późno. Teraz musiał wyjechać, chcieć tego, czego chciał wczoraj. Ubrał się i o ósmej zjechał na śniadanie do parterowych sal.

Pokój bufetowy był, gdy wszedł, pusty. Poszczególni goście wchodzili, gdy siedział czekając na to, co zamówił. Z filiżanką przy ustach patrzył na polskie dziewczęta pojawiające się u boku towarzyszki: surowe i wypoczęte, kroczyły ku swemu stolikowi w kącie pod oknem. Niebawem ukazał się portier z czapką w ręce, oznajmiając czas. Automobil stoi gotów, aby jego i innych podróżnych zawieźć do hotelu „Excelsior", skąd

motorówka zabierze ich przez prywatny kanał na dworzec. Czas nagli. Aschenbach uznał, że tak nie jest. Do odjazdu pociągu pozostała przeszło godzina. Gniewał się na zwyczaj hotelowy wypędzania podróżnych przedwcześnie z domu i oświadczył portierowi, że chce w spokoju spożyć śniadanie. Człowiek ten wycofał się powoli, aby zjawić się znów po pięciu minutach. Niesposób, by wóz dłużej czekał. W takim razie niech jedzie i zabierze jego kufer, odparł Aschenbach podrażniony. On sam we właściwym czasie pojedzie publicznym parowcem i prosi, by troskę o wyjazd pozostawiono jemu samemu. Portier skłonił się. Aschenbach, kontent, że pozbył się natrętnych uwag, skończył przekąskę bez pośpiechu, kazał nawet kelnerowi podać sobie gazetę. Czasu zostało już niewiele, gdy wreszcie wstał. Zdarzyło się, że w tejże chwili przez szklane drzwi wszedł Tadzio.

Idąc ku stołowi swoich, przeciął drogę odchodzącemu, spuścił przed siwym, wysokoczołym panem skromnie oczy, by je w swój miły sposób miękko i otwarcie podnieść ku niemu, i przeszedł. „Żegnaj, Tadziu! — pomyślał Aschenbach. — Widziałem cię krótko." I wymawiając wbrew zwyczajowi swą myśl szeptem, poruszając wargami, dodał: — Bądź błogosławiony! — Potem zebrał się do wyjazdu, rozdał napiwki i żegnany przez małego, cichego zarządcę w francuskim surducie, opuścił hotel piechotą, jak przyszedł, aby poprzedzając niosącego ręczną walizę sługę udać się biało kwitnącą aleją przez wyspę do przystani parowców. Doszedł, zajął miejsce — i to, co nastąpiło, było smutną pielgrzymką przez wszystkie głębiny żalu.

Była to znana droga przez lagunę, mimo San Marco, ku Wielkiemu Kanałowi. Aschenbach siedział na okrągłej ławce przy dziobie, z ręką wspartą o poręcz, ocieniając dłonią oczy. Publiczne ogrody pozostały w tyle, Piazzetta otwarła się raz jeszcze w książęcym powabie i znikła, ukazała się wielka amfilada pałaców i gdy kanał skręcił, zjawił się wspaniale rozpięty, marmurowy łuk Rialta. Podróżny patrzył i serce miał

rozdarte. Atmosferę miasta, ten lekko zgniły zapach morza i bagna, od którego tak śpiesznie uciekał, wdychał teraz głębokimi, tkliwie bolesnymi haustami. Byłoż możliwe, że nie wiedział, że nie zastanowił się, jak bardzo serce jego lgnęło do tego wszystkiego? To, co dziś rano było cichym ubolewaniem, lekkim powątpiewaniem o słuszności swego postępowania, stało się teraz zgryzotą, rzeczywistą boleścią, niedolą duchową tak gorzką, że kilkakrotnie napędzała mu łzy do oczu, i o której powiadał sobie, że nie mógł jej żadną miarą przewidzieć. To, co odczuwał jako tak trudne do zniesienia, niekiedy zgoła nie do wytrzymania, to po prostu myśl, że nie ma nigdy już ujrzeć Wenecji, że jest to pożegnanie na zawsze. Bo kiedy okazało się po raz drugi, że miasto przyprawia go o chorobę, że musi je po raz drugi na gwałt opuścić, musiał je odtąd uważać za niemożliwe dla niego i zakazane miejsce pobytu, któremu nie sprostał i które znów odwiedzić byłoby niedorzecznością. Tak, czuł, że jeśli teraz wyjedzie, wstyd i upór przeszkodzą mu zobaczyć kiedykolwiek ukochane miasto, przed którym już dwa razy cieleśnie kapitulował, i ta walka między duchowym umiłowaniem a wytrzymałością cielesną wydała się naraz starzejącemu się tak ciężka i ważna, a fizyczna klęska tak haniebna, tak za wszelką cenę niedopuszczalna, że nie mógł pojąć uległości, z jaką wczoraj bez poważnej walki postanowił ją uznać.

Tymczasem parowiec zbliża się do dworca i ból oraz bezradność urastają w zamęt. Wyjazd wydaje się udręczonemu niemożliwością, odwrót niemniejszą. Tak zupełnie rozdwojony wchodzi na stację. Jest bardzo późno, nie ma chwili do stracenia, jeśli chce zdążyć na pociąg. Chce tego i nie chce. Ale czas nagli, popędza go; podróżny śpieszy, by kupić bilet, i ogląda się w zgiełku hali za urzędnikiem Towarzystwa Hotelowego. Człowiek ten znajduje się i oznajmia, że kufer już nadany. Już nadany? Tak, do usług — do Como. Do Como? I z szybkiej wymiany słów, po gniewnych pytaniach i zakłopotanych odpowiedziach okazuje się, że kufer już w biurze

transportowym hotelu „Excelsior", wraz z innymi, cudzymi bagażami, wysłany został w zupełnie fałszywym kierunku.

Aschenbach z trudem zachował minę, jedyną, która w tych okolicznościach była zrozumiała. Awanturnicza radość, nieprawdopodobna wesołość wstrząsnęły niemal spazmatycznie jego wnętrzem. Urzędnik pognał z miejsca, by, o ile to możliwe, zatrzymać jeszcze kufer, i wrócił, jak należało było oczekiwać, z niczym. Wtedy Aschenbach oświadczył, że bez kufra nie pojedzie, tylko wróci i zdecydowany jest czekać na odesłanie bagażu w Hotelu Kąpielowym. Czy motorówka Towarzystwa jest przy dworcu? Urzędnik zapewnił, że czeka u wejścia. Skłonił we włoskiej gwarze kasjera do przyjęcia z powrotem wykupionego biletu, przysiągł, że zadepeszuje się, że niczego się nie omieszka i nie zaniedba, by odzyskać wkrótce kufer, i — stała się rzecz dziwna, że podróżny w dwadzieścia minut po przybyciu na dworzec znów wracał Wielkim Kanałem na Lido.

Dziwnie nieprawdopodobna, zawstydzająca, komicznie baśniowa przygoda: miejsca, które dopiero co pożegnało się na zawsze w najgłębszym smutku, przez zmianę i chytrość losu oglądać znowu w tej samej godzinie! Z pianą u dzioba, lawirując z zabawną zręcznością wśród gondol i parowców, mknęła mała, chyża łódź do swego celu, podczas gdy jedyny jej pasażer pod maską gniewnej rezygnacji krył lękliwie swawolne wzruszenie zbiegłego chłopca. Wciąż jeszcze, od czasu do czasu, piersią jego wstrząsał śmiech z powodu tego nieszczęścia, które, jak mówił sobie, nie mogło milej nawiedzić urodzonego w czepku. Trzeba było udzielać wyjaśnień, znieść zdumione miny — potem, tak mówił sobie, wszystko było znów dobrze, uniknęło się nieszczęścia, naprawiło ciężki błąd i wszystko, co, zdawało się, pozostawił za sobą, otworzyło się przed nim znowu, należało znowu do niego, dopokąd zechce... Czy zresztą łudziła go szybka jazda, czy też rzeczywiście wiało już od morza?

Fale biły o betonowe ściany wąskiego kanału, który przez

wyspę wiedzie do hotelu „Excelsior". Czekał tam na wracającego autobus i zawiózł go nad marszczącym się morzem prostą drogą do Hotelu Kąpielowego. Mały, wąsaty zarządca w ogoniastym surducie zszedł dla powitania zewnętrznymi schodami.

Z cichą przymilnością wyraził ubolewanie z powodu zaszłego zdarzenia, nazwał je zresztą przykrym dla niego i dla instytucji, zaaprobował jednak z przekonaniem decyzję Aschenbacha czekania tu na kufer. Oczywiście pokój jego został wynajęty, inny jednak, niegorszy, jest do natychmiastowego rozporządzenia.

— Pas de chance, monsieur — rzekł szwajcar-windziarz z uśmiechem, gdy sunęli w górę.

I tak został zbieg zakwaterowany w pokoju zupełnie podobnym z położenia i urządzenia do poprzedniego.

Zmęczony, ogłuszony wirem tego dziwnego przedpołudnia, usiadł, rozłożywszy zawartość swej torby podróżnej, w fotelu przy oknie. Morze przybierało bladozielony odcień, powietrze zdawało się lżejsze i czystsze, plaża ze swymi budkami i łodziami barwniejsza, choć niebo było jeszcze szare.

Aschenbach patrzył na świat, z rękami na kolanach, zadowolony, że znów jest tutaj, kiwając z niezadowoleniem głową z powodu swej chwiejności, nieświadomości własnych pragnień. Siedział tak godzinę, odpoczywając i bezmyślnie marząc. Około południa ujrzał Tadzia, który w płóciennym ubraniu w paski, z czerwoną kokardą, minąwszy barierę, chodnikiem z desek wracał do hotelu. Aschenbach poznał go z swej wyżyny natychmiast, zanim właściwie ujął go okiem, i chciał coś pomyśleć, jakby: „Patrz, Tadziu, więc jesteś i ty znowu!" Ale w tej samej chwili uczuł, że niedbałe pozdrowienie przed prawdą jego serca pada i milknie — uczuł poryw swej krwi, radość, ból swej duszy i poznał, że to z powodu Tadzia pożegnanie było tak trudne.

Siedział zupełnie spokojnie, zupełnie niewidoczny na swym wysokim miejscu, i spoglądał w siebie. Jego rysy obudziły się, brwi się podniosły, uważny, ciekawie przemyślny

uśmiech ożywił usta. Potem podniósł głowę i obiema rękami, zwisającymi bezwładnie przez poręcze fotela, zakreślił powoli okrężny, unoszący ruch, z naprzód zwróconymi dłońmi, jakby zaznaczał otwarcie i rozpostarcie ramion. Był to powitalny, spokojnie przyjmujący gest.

Teraz dzień po dniu nagi bóg o gorących licach kierował płomienną kwadrygę przez przestworza niebios i jego płowe loki trzepotały jednocześnie w porywistym wietrze wschodnim. Białawo-jedwabisty połysk powlekał dale leniwo falującego morza. Piasek palił. Pod srebrzyście drgającym błękitem eteru rozpięte były rdzawe zasłony z żaglowego płótna przed budkami plażowymi i na ostro ograniczonej plamie cienia, który rzucały, spędzało się przedpołudniowe godziny. Ale rozkoszny był i wieczór, gdy rośliny parku pachniały balsamicznie, gwiazdy w górze wiodły swe tany i pomruk nocnego morza dochodził cicho kusząc duszę. Taki wieczór niósł z sobą zapowiedź nowego słonecznego dnia, swobodnego wczasu, urozmaiconego niezliczonymi, gęsto nanizanymi możliwościami miłego przypadku.

Gość, którego zatrzymało tu tak poręczne nieszczęście, był bardzo daleki od tego, by w odzyskaniu swej własności widzieć powód do ponownego wyjazdu. Musiał przez dwa dni znosić pewne braki i przy posiłkach w wielkiej sali jadalnej zjawiać się w podróżnym ubraniu. Potem, gdy zabłąkany kufer ustawiono wreszcie znów w jego pokoju, rozpakował się gruntownie i zapełnił swoimi rzeczami szafę, komodę, zdecydowany na nieograniczony na razie pobyt, kontent, że spędza godziny plaży w jedwabnym ubraniu, a przy obiedzie zjawia się u swego stolika w odpowiednim ubraniu wieczorowym.

Przyjemna jednostajność tego bytowania wciągnęła go już w swój czar, miękka i jasna łagodność tego życia urzekła go. Istotnie, cóż za miejscowość, która uroki wygodnego życia ką-

pielowego na południowej plaży łączy z usłużnym pobliżem dziwnie cudnego miasta! Aschenbach nie był żądny użycia. Ilekroć i gdziekolwiek chodziło o świętowanie, o spokojne wywczasy, o obracanie dni na zabawę, niepokój i niechęć zapędzały go — zwłaszcza w latach młodszych — do szczytnego trudu, do świętej, trzeźwej służby jego dnia powszedniego. Tylko ta miejscowość urzekała go, wyprzęgała jego wolę, czyniła go szczęśliwym. Czasami przed południem, pod cienistą zasłoną swej budki, błądząc spojrzeniem po błękicie południowego morza lub też w ciepłą noc, oparty o poduszki gondoli, która wiozła go z Placu Marka, gdzie dłużej zabawił, pod gwieździstym niebem do domu na Lido — a pstre światła, topniejące dźwięki serenady pozostawały poza nim — przypominał sobie swą siedzibę wiejską w górach, miejsce swoich letnich zapasów, gdzie chmury ciągnęły nisko przez ogród, straszliwe burze gasiły wieczorem światło w domu i kruki, które żywił, chwiały się na wierzchołkach świerków. Wtedy czuł się dobrze, jakby zabłądził na pola elizejskie, na krańce ziemi, gdzie dane jest ludziom najłatwiejsze życie, gdzie nie ma śniegu i zimy ani burzy i ulewnych deszczów, lecz zawiewa zawsze tylko łagodnie chłodne tchnienie oceanu i dnie upływają w błogosławionym spokoju, bez trudu, bez walki, zawsze poświęcone tylko słońcu i jego świętom.

Często, niemal ciągle, widywał Aschenbach Tadzia; ograniczona przestrzeń, każdemu wyznaczony porządek dzienny sprawiły, że piękny chłopiec przez cały dzień, z przerwami, znajdował się w jego pobliżu. Widział, spotykał go wszędzie: w dolnych salach hotelu, na orzeźwiających przejażdżkach wodą do miasta i z powrotem, wśród przepychu Placu i często jeszcze tu i ówdzie, jeśli przypadek zdarzył. Głównie jednak z najszczęśliwszą regularnością przed południem na plaży nastręczało się mnóstwo sposobności podziwiania i studiowania uroczego zjawiska. Ta właśnie nieodstępność szczęścia, ta co dzień regularnie powtarzająca się łaska okoliczności napełniała go zadowoleniem i radością życia, czyniła mu ten pobyt

tak drogim i pozwalała tak nieprzerwanie do jednego dnia słonecznego dodawać drugi.

Wstawał wcześnie, jak to czynił zazwyczaj przy natarczywej gorączce pracy, i był przed innymi na plaży, gdy słońce jeszcze było łagodne i morze, oślepiająco białe, pogrążone było w porannych snach. Pozdrawiał uprzejmie dozorcę przy barierce, pozdrawiał też poufale bosego starca z siwą brodą, który mu przysposabiał miejsce, rozpinał brunatną zasłonę, wystawiał sprzęty z budki na platformę, i siadał. Wtedy miał przed sobą trzy lub cztery godziny, kiedy słońce wzbijało się w górę nabierając straszliwej mocy, kiedy morze coraz bardziej pogłębiało swój błękit i kiedy mógł patrzeć na Tadzia.

Widział, jak nadchodził z lewej strony brzegiem morza, widział go z tyłu zjawiającego się między budkami albo też przekonywał się nagle i nie bez radosnego strachu, że nie zauważył jego nadejścia, że chłopiec już tu był, już w biało-niebieskim stroju kąpielowym, który był teraz na plaży jedynym jego ubraniem, podjął znów swoje zabawy w słońcu i piasku, to miłe, błahe, próżniaczo zmienne życie, które było igraszką i ruchem, to wałęsanie się, brodzenie, grzebanie, bieganie, obozowanie i pływanie pod okiem i wśród nawoływań kobiet z platformy, które wykrzykiwały falsetem jego imię „Tadziu! Tadziu!" i do których w pośpiesznej grze ruchów przybiegał, aby im opowiedzieć, co mu się przytrafiło, pokazać im, co znalazł, co złapał: muszle, koniki morskie, meduzy i bokiem biegające raczki. Aschenbach nie rozumiał ani słowa z tego, co Tadzio mówił, i choćby to było coś najzwyklejszego, miało niewyraźny, miły dźwięk dla jego ucha. Podnosił obcą mowę chłopca na wyżynę muzyki, nadmierne słońce oblewało go rozrzutnym blaskiem i wspaniała perspektywa morza była dla tego zjawiska podkładem i tłem.

Niebawem obserwator znał każdą linię i pozę tego wzniosłego, tak swobodnie ukazującego się ciała, pozdrawiał radośnie każde znane piękno na nowo i nie znajdował kresu dla podziwu i czułej rozkoszy zmysłów. Wzywano chłopca, by

przywitał się z gościem, który składał uszanowanie paniom przy budce: przybiegał, pędził mokry z morza, odrzucał loki i kiedy podawał rękę stojąc na jednej nodze, gdy druga stopa wspierała się na końcach palców, czynił uroczy ruch i zwrot ciałem, pełen wdzięcznego napięcia, zawstydzony z uprzejmości, przymilny z szlachetnego obowiązku. Leżał wyciągnięty, z prześcieradłem dokoła piersi, z delikatnie rzeźbionym ramieniem opartym na piasku, z brodą w dłoni; ten, na którego wołano „Jasiu", siedział w kucki obok niego i bawił go i nie było nic bardziej uroczego jak uśmiech oczu i ust, z jakim uprzywilejowany patrzył na maluczkiego i usłużnego. Stał na skraju morza sam, z dala od swoich, tuż obok Aschenbacha, wyprostowany, z rękoma splecionymi na karku, kołysząc się powoli w kostkach, zapatrzony marząco w błękit, gdy drobne nadbiegające fale kąpały palce jego stóp. Jego włosy barwy miodu przylegały w pierścieniach do skroni i karku, słońce oświecało puch górnej części grzbietu, a delikatny rysunek żeber, harmonijna budowa klatki piersiowej zaznaczały się pod obcisłym okryciem tułowia, pachy były jeszcze gładkie jak u posągu, zagłębienia pod kolanami lśniły i ich błękitne żyłkowanie sprawiało, że ciało chłopca zdawało się utworzone z jaśniejszego materiału. Jakaż dyscyplina, jakaż precyzja myśli wyrażała się w tym wyciągniętym, młodzieńczo doskonałym ciele! Czy jednak surowa i czysta wola, która, tajemnie czynna, zdołała wydać na światło ten boski posąg, nie była jemu, artyście, znana i swojska? Czyż nie działała ona i w nim, kiedy pełen trzeźwej namiętności z marmurowej masy języka wyzwalał smukłą formę, którą oglądał w duchu i którą przedstawiał ludziom jako posąg i zwierciadło duchowego piękna?

Posąg i zwierciadło! Oczy jego ogarniały szlachetną postać tam, na skraju błękitu, i w rozmarzonym zachwycie zdawał się ujmować tym spojrzeniem samo piękno, formę myśli bożej, jedyną i czystą doskonałość, która żyje w duchu i której ludzki wizerunek i podobieństwo odtworzono tu w pełnym lekkości wdzięku dla uwielbiania. To było upojenie; i nieopatrznie, ba,

zachłannie witał je starzejący się artysta. Duch jego wił się, umysł zaczął się chwiać, pamięć wyrzucała z siebie prastare, przekazane jego młodości i aż dotąd nigdy jeszcze własnym ogniem nie ożywione myśli. Czyż nie było napisane, że słońce odwraca naszą uwagę od rzeczy intelektualnych do zmysłowych? Ogłusza ono i urzeka, powiadano, rozum i pamięć do tego stopnia, że dusza z rozkoszy zapomina o właściwym swym stanie i ze zdumionym podziwem czepia się najpiękniejszego pod słońcem przedmiotu: ba, tylko z pomocą ciała może potem wzbić się jeszcze do wyższej kontemplacji. Amor czyni zaiste podobnie jak matematycy, którzy niepojętnym dzieciom pokazują namacalne obrazy czystych form: tak też i Bóg, aby unaocznić nam to, co duchowe, posługuje się chętnie kształtem i barwą ludzkiej młodości, którą jako narzędzie pamięci zdobi wszelkim odblaskiem piękności i na której widok zapalamy się potem cierpieniem i nadzieją.

Tak myślał rozentuzjazmowany; tak potrafił czuć. I z szumu morza i blasku słońca powstawał uroczy obraz. Był to stary platan w pobliżu muru Aten, było owo święte, cieniste, wonią kwiatów tchnące miejsce, które zdobiły święte posągi i pobożne dary ku czci nimf i Acheloosa. Przeczysty strumień spadał u stóp rozłożystego drzewa na gładki żwir, koniki polne grały. Ale na lekko pochyłej murawie, tak że leżąc można było mieć wzniesioną głowę, spoczywało dwóch ukrytych tu przed spieką dnia: starszy i młodszy, jeden brzydki, drugi piękny, mędrzec przy ukochanym. I wśród uprzejmości i dowcipnie zalotnych żartów pouczał Sokrates Fajdrosa o tęsknocie i cnocie. Mówił mu o gorącym przestrachu, którego doznaje czujący, gdy oko jego ujrzy odbicie wiecznego piękna; mówił o żądzach człowieka niegodnego i złego, który nie umie myśleć o pięknie, gdy widzi jego obraz, i nie jest zdolny do czci; mówił o świętym lęku, który opada szlachetnego, gdy zjawi mu się bogom podobne oblicze, doskonałe ciało, jak wtedy drży i traci zmysły i ledwo waży się spojrzeć, i czci tego, który posiada piękno, ba, złożyłby mu ofiarę jak posągowi, gdyby

się nie obawiał, że wyda się ludziom szaleńcem. Gdyż piękno, mój Fajdrosie, tylko ono jest godne miłości i widzialne zarazem; jest ono, pomnij! jedyną formą ducha, którą zmysłowo pojąć, zmysłowo znieść możemy. Bo cóż by się z nami stało, gdyby tak boskość, gdyby rozsądek i cnota, i prawda chciały się objawić zmysłowo? Czyż nie zginęlibyśmy, nie spalili się od miłości, jak niegdyś Semele przed Dzeusem? Więc piękno jest drogą czującego do ducha — tylko drogą, tylko środkiem, mały Fajdrosie... I potem rzekł rzecz najsubtelniejszą ten chytry zalotnik: że kochający jest istotą bardziej boską niż kochany, bo w nim nie ma boga, w tamtym zaś jest — tę najdelikatniejszą, najbardziej może szyderczą myśl, jaką kiedykolwiek pomyślano i z której bierze się cała przebiegłość i najtajniejsza rozkosz tęsknoty.

Szczęściem pisarza jest myśl, która cała staje się uczuciem, jest uczucie, które całe staje się myślą. Taka to pulsująca myśl, takie to dokładne rozeznanie nawiedzały wtedy i były posłuszne samotnikowi: to jest, że natura drży z rozkoszy, gdy duch w hołdzie oddaje pokłon pięknu. Zapragnął nagle pisać. Wprawdzie Eros kocha podobno próżnowanie i jest tylko dla niego stworzony. Ale w tym punkcie kryzysu wzruszenie nawiedzonego nastawione było na tworzenie. Powód był niemal obojętny. Zagadnienie, pobudka do wygłoszenia swego wyznania co do pewnego wielkiego i palącego problematu kultury i smaku wniknęła w dziedzinę duchową i zajęła podróżnika. Przedmiot był mu bliski, był jego przeżyciem. Chęć przedstawienia go w blasku słowa stała się nagle nieodparta. Miał zamiar pracować w obecności Tadzia, pisząc wziąć za wzór budowę chłopca, styl swój poddać rytmowi linij jego ciała, które zdawało mu się boskie, i jego piękność unieść w duchowość, jak niegdyś orzeł uniósł w eter trojańskiego pasterza. Nigdy nie odczuwał słodziej rozkoszy słowa, nigdy nie był tak świadomy, że przemawia Eros, jak podczas niebezpiecznie rozkosznych godzin, kiedy siedząc przy swym surowym stole pod cieniem namiotu, w obliczu bożyszcza, z mu-

zyką jego głosu w uszach, wedle piękności Tadzia układał swą rozprawkę, te półtorej strony wytwornej prozy, której czystość, szlachetność i lotne uczuciowe napięcie niebawem miały budzić podziw ludzi. Jest rzeczą niewątpliwie dobrą, że świat zna tylko piękne dzieło, nie zaś jego pobudki, okoliczności jego powstania; gdyż znajomość źródeł, z których spłynął na artystę pomysł, wprawiłaby go w kłopot, odstraszyłaby go i przez to unicestwiła działanie tego, co doskonałe. Osobliwe godziny! Osobliwie denerwujący trud! Dziwnie zapładniające obcowanie ducha z ciałem! Gdy Aschenbach schował swą pracę i ruszył z plaży, czuł się wyczerpany, ba, rozstrojony, i miał wrażenie, jakby sumienie jego, jak po rozpuście, podnosiło skargę.

Zdarzyło się nazajutrz, że mając wyjść z hotelu ujrzał ze schodów zewnętrznych, jak Tadzio, w drodze ku morzu — i to sam — zbliżał się właśnie do bariery. Naszła go chętka, prosta myśl, by skorzystać ze sposobności i z tym, który bezwiednie przyprawiał go o niepokój i wzruszenie, zawrzeć przelotną, wesołą znajomość, przemówić doń, uradować się jego odpowiedzią, jego uśmiechem. Piękny chłopak wlókł się powoli, można go było łatwo doścignąć i Aschenbach przyśpieszył kroku. Dopędza go na drewnianym chodniku, chce położyć mu rękę na głowie, na ramieniu i ma na końcu języka jakieś słowo, jakiś uprzejmy francuski frazes: wtem czuje, że serce jego, może i z powodu zbyt szybkiego chodu, wali jak młot, że ledwo dysząc będzie mógł mówić tylko z trudem, z drżeniem; ociąga się, boi się nagle, że za długo już idzie tuż za pięknym chłopcem, lęka się, że tamten zwróci na to uwagę, że obejrzy się z pytającym spojrzeniem, jeszcze raz przyśpiesza kroku, zwalnia, rezygnuje, wyrzeka się swego zamiaru i zwolna przechodzi mimo.

„Za późno! — pomyślał w tej chwili. — Za późno!" Jednak czyż było za późno? Ten krok, który omieszkał uczynić, doprowadziłby prawdopodobnie do czegoś dobrego, lekkiego i wesołego, do zbawiennego otrzeźwienia. Któż odgadnie istotę

i sedno artyzmu! Któż pojmie to stopienie instynktów dyscypliny i rozkiełzania, w których on spoczywa! Gdyż nie umieć chcieć zbawczego otrzeźwienia jest rozkiełzaniem. Aschenbach nie był już usposobiony do samokrytyki, smak, duchowy nastrój jego lat, szacunek dla siebie, dojrzałość i późna prostota nie czyniły go skłonnym do analizowania i rozstrzygania, czy zamiaru swego nie dokonał z powodu sumienia, czy z powodu niedołęstwa i słabości. Był zmieszany, bał się, aby ktoś, choćby tylko dozorca plaży, nie zauważył jego biegu, jego klęski, bał się bardzo śmieszności. Zresztą żartował sam w duszy ze swego komiczno-świątobliwego lęku. „Przerażony — myślał — przerażony jak kogut, który w bitwie opuszcza trwożnie skrzydła. To zaprawdę Bóg na widok ukochanego łamie naszą odwagę i nasz dumny umysł tak całkiem przygniata do ziemi..." Grał, marzył i był za wielkoduszny, aby się bać uczucia.

Już nie czuwał nad upływem wolnego czasu, który sobie sam wyznaczył; myśl o powrocie do domu nie postała w nim nawet. Zaopatrzył się w dostateczną ilość pieniędzy. Troska jego dotyczyła jedynie odjazdu polskiej rodziny; lecz dyskretnie wywiedział się u fryzjera hotelowego, że państwo ci przybyli tu niedługo przed jego przyjazdem. Słońce opaliło mu twarz i ręce, pobudzające słone powietrze poprawiło jego samopoczucie i, jak dawniej każde pokrzepienie, którego użyczyły mu sen, pożywienie i natura, natychmiast zwykł był spożytkować dla dzieła, tak teraz wszystko, czym posilało go codziennie słońce, odpoczynek i oddech morza, z wielkodusznym brakiem ekonomii marnował w upojeniu i uczuciu.

Miał sen lekki; rozkosznie jednostajne dnie przedzielone były krótkimi nocami pełnymi szczęśliwego niepokoju. Wprawdzie wracał do siebie wcześnie, gdyż o dziewiątej; kiedy Tadzio znikał z widowni, dzień zdawał mu się skończony. Ale o pierwszym świcie budził go delikatny a przenikliwy lęk, serce jego przypominało sobie swą przygodę, nie mógł wytrzymać już wśród poduszek, wstawał i lekko otulony przed

dreszczem poranka siadał przy otwartym oknie oczekując wschodu słońca. Cudowne zdarzenie napełniało jego uświęconą snem duszę nabożeństwem. Niebo, ziemia i morze tonęły jeszcze w widmowo szklistej bladości świtu; znikająca gwiazda pływała jeszcze w bezistotnej pustce. Ale zjawił się powiew, uskrzydlona wieść z niedosiężonych siedzib, że Eos wstała od boku małżonka, i ukazała się owa pierwsza różowość najodleglejszych dali nieba i morza, którą zapowiada się uzmysłowić Stworzenie. Bogini zbliżała się, uwodzicielka młodzieńców, która porwała Klejtosa, Kefalosa i na przekór wszystkim olimpijczykom cieszyła się miłością pięknego Oriona. Posiew róż zaczął się na krańcu świata, niewymownie urocze błyski i rozkwity, dziecięce chmury, przejaśnione, prześwietlone, unosiły się podobne usłużnym amorkom w różowej, błękitnej woni, purpura padała na morze, które wałami zdawało się przelewać ją naprzód, złote oszczepy strzelały z dołu ku wyżynie nieba, blask zmienił się w pożar, bezgłośnie, z boską samowolą, przewalał się ogień i żar, i buchające płomienie ku górze i porywistymi kopytami wspinały się wzwyż święte brata rumaki na okręg ziemi. Oświetlony wspaniałością boga, siedział samotnie czuwający, zamknął oczy, pozwalając glorii całować swe powieki. Dawne uczucia, wczesne rozkoszne udręki serca, które zamarły w surowej służbie jego życia i teraz wracały tak osobliwie zmienione — poznawał ze zmieszanym, zdziwionym uśmiechem. Dumał, marzył, wargi jego układały się powoli w imię i uśmiechając się wciąż jeszcze w górę zwróconym obliczem, z rękami splecionymi na kolanach, zdrzemnął się w fotelu raz jeszcze.

Ale dzień, który zaczął się tak płomiennie i uroczyście, był cały dziwnie podniosły i mitycznie zmieniony. Skąd przybyło i pochodziło to tchnienie, które naraz tak łagodnie i wieloznacznie, podobne wyższemu podszeptowi, owiewało skronie i uszy? Białe, pierzate chmurki widniały w rozpostartych smugach na niebie, podobne pasącym się owcom bogów. Podniósł się silniejszy wiatr i rumaki Posejdona mknęły, zarówno

jak byki należące do Modrokędziernego, które pędząc z rykiem schylały rogi. Wśród skalnego żwiru dalszego brzegu jednak podskakiwały fale jak hasające kozy. Świątecznie odmieniony świat, pełen panicznego życia, zamykał oczarowanego i serce jego śniło tkliwe bajki. Niejednokrotnie, gdy za Wenecją zapadało słońce, siedział na ławce w parku, aby przyglądać się Tadziowi, który w białym ubraniu z kolorowym paskiem na wywalcowanym żwirowym placu bawił się piłką, i patrzącemu zdawało się, że jest to Hiakintos, który musiał umrzeć, gdyż kochali go dwaj bogowie. Ba, odczuwał bolesną zazdrość Zefira względem współzawodnika, który zapomniał o wyroczni, o łuku i kitarze, aby zawsze bawić się z pięknym chłopcem; widział dysk, kierowany okrutną zawiścią, godzący w uroczą głowę, przyjął, blednąc także, złamane ciało i kwiat wzrosły ze słodkiej krwi nosił napis jego nieskończonej skargi...

Nie ma nic osobliwszego, drażliwszego niż stosunek ludzi, którzy znają się tylko oczyma, którzy co dzień, ba, co godzina się spotykają, obserwują się i przy tym przez przymus zwyczaju czy własne widzimisię zmuszeni są zachowywać obojętną obcość bez pozdrowienia i słowa. Unosi się między nimi niepokój i przewrażliwiona ciekawość, histeria niezaspokojonej, nienaturalnie tłumionej potrzeby poznania się i kontaktu, a również rodzaj sztywnego szacunku. Gdyż człowiek kocha i szanuje człowieka, dopóki nie może go osądzić, i tęsknota jest wynikiem niedostatecznej znajomości.

Jakiś stosunek i znajomość musiały się koniecznie zawiązać między Aschenbachem i młodym Tadziem i z przejmującą radością mógł starszy stwierdzić, że zainteresowanie i uwaga nie pozostały zupełnie nie odwzajemnione. Cóż na przykład skłaniało pięknego chłopca, gdy rano zjawiał się na plaży, aby nie kroczył nigdy już ścieżką po deskach poza budkami, lecz tylko drogą przed nimi, szedł wolno do budki swoich przez piasek, obok miejsca Aschenbacha i czasem niepotrzebnie tuż mimo niego, ocierając się niemal o jego stół, jego krze-

sło? Czy pociąg, fascynacja silnego uczucia działały tu na jego delikatny i bezmyślny przedmiot? Aschenbach czekał co dzień na wyjście Tadzia i czasem, gdy się pojawiał, udawał, jakby był zajęty, i pozwalał pięknemu chłopcu przejść na pozór niepostrzeżenie. Niekiedy jednak podnosił wzrok i spojrzenia ich spotykały się. Byli obaj głęboko poważni, gdy się to działo. W wyrazistej i pełnej godności minie starszego nic nie zdradzało wzruszenia; ale oczy Tadzia wyrażały badanie, pełne namysłu pytanie, w chodzie jego widziało się ociągliwość, spoglądał ku ziemi, podnosił znów mile oczy i kiedy przeszedł, coś w postawie jego mówiło, że gdyby nie wstrzymywało go dobre wychowanie, byłby się obejrzał.

Raz jednak, pewnego wieczoru, stało się inaczej. Polskiego rodzeństwa wraz z guwernantką zabrakło przy obiedzie w wielkiej sali, co Aschenbach zauważył ze smutkiem. Gdy wstano od stołu, przechadzał się, bardzo zaniepokojony ich nieobecnością, u stóp hotelowego tarasu, w wieczorowym ubraniu i słomkowym kapeluszu, gdy nagle ujrzał wynurzające się w świetle łukowych lamp podobne do zakonnic siostry z wychowawczynią i cztery kroki za nimi Tadzia. Widocznie szli z przystani parowców, zjadłszy obiad z jakiegoś powodu w mieście. Na wodzie było już zapewne chłodno; Tadzio miał na sobie granatową marynarską bluzę ze złotymi guzikami, a na głowie odpowiednią czapkę. Słońce i morskie powietrze nie opaliły go, cera jego pozostała żółtawo-marmurowa jak przedtem, lecz wydawał się dziś bledszy niż zwykle, czy to z powodu chłodu, czy wskutek księżycowego światła lamp. Jego symetryczne brwi rysowały się ostrzej, oczy były głęboko ciemne. Był piękniejszy niż można wypowiedzieć i Aschenbach czuł, jak już nieraz, z boleścią, że słowo może zmysłowe piękno tylko sławić, nie może go oddać.

Nie oczekiwał drogiego zjawiska, przyszło niespodzianie, nie miał czasu nadać swej twarzy spokoju powagi. Radość, zaskoczenie, podziw malowały się na niej wyraźnie, gdy wzrok jego napotkał tego, którego brak odczuwał, i w tej

sekundzie zdarzyło się, że Tadzio się uśmiechnął: uśmiechał się do niego wymownie, poufale, uroczo i otwarcie, wargami, które dopiero w uśmiechu powoli się rozwarły. Był to uśmiech Narcyza pochylającego się nad zwierciadłem wody, ów głęboki, oczarowany, bierny uśmiech, z którym ku odbiciu własnej piękności wyciąga ramiona, troszeczkę skrzywiony uśmiech, skrzywiony beznadziejnością pragnienia, by ucałować wdzięczne wargi swego cienia, zalotny, ciekawy i lekko udręczony, uwodzący i uwiedziony.

Ten, który otrzymał ten uśmiech, uszedł z nim jakby z fatalnym darem. Był tak bardzo wstrząśnięty, że zmuszony był unikać światła tarasu, ogródka przed domem i szybkim krokiem szukał cienia w parku za willą. Wyrwały mu się osobliwe, oburzone i tkliwe upomnienia: „Nie wolno ci się tak uśmiechać! Posłuchaj, tak nie wolno się do nikogo uśmiechać!" Rzucił się na ławkę, wdychał odchodząc od zmysłów nocną woń roślin. I podany w tył, z opuszczonymi ramionami, pokonany i wstrząsany dreszczem, szeptał stałą formułę tęsknoty — niemożliwą tu, niedorzeczną, niegodziwą, śmieszną, a jednak świętą, czcigodną jeszcze i tutaj: „Kocham cię!"

W czwartym tygodniu swego pobytu na Lido poczynił Gustaw von Aschenbach kilka spostrzeżeń dotyczących świata zewnętrznego. Po pierwsze zdawało mu się, jakoby z biegiem sezonu frekwencja jego hotelu raczej malała niż rosła, a zwłaszcza jakoby język niemiecki dokoła niego wygasał i milkł, tak że przy stole i na plaży ucho jego słyszało wreszcie tylko obce dźwięki. Potem pewnego dnia pochwycił u fryzjera, którego teraz częściej nawiedzał, w rozmowie słowo, które go zdziwiło. Człowiek ten wspomniał o niemieckiej rodzinie, która właśnie po krótkim pobycie wyjechała, i dodał gawędząc pochlebczo:

— Pan zostanie, szanowny panie; pan się nie boi choroby.

Aschenbach spojrzał nań.

— Choroby? — powtórzył.

Gaduła zamilkł, udał zajętego, puścił pytanie mimo uszu. Zapytany natarczywiej, oświadczył, że o niczym nie wie, i z zakłopotaną swadą starał się zmienić temat.

Było to w południe. Po południu pojechał Aschenbach podczas ciszy morskiej i ciężkiego upału do Wenecji, gdyż gnała go mania jeżdżenia za polskim rodzeństwem, które widział, jak z wychowawczynią wyruszyło ku przystani parowców. Nie znalazł bożyszcza na San Marco. Ale przy herbacie, siedząc przy żelaznym okrągłym stoliku po cienistej stronie Placu, zwietrzył nagle w powietrzu osobliwy aromat, który, jak mu się teraz zdawało, już od szeregu dni uderzał jego powonienie nie dochodząc do jego świadomości — słodkawy zapach oficyn, który przypominał nędzę, rany i podejrzaną czystość. Badał i poznał go po namyśle, skończył przekąskę i opuścił Plac od strony przeciwległej świątyni. W tłoku wzmocnił się zapach. Na rogach ulic widniały drukowane obwieszczenia, które z powodu pewnych schorzeń systemu gastrycznego, będących przy tej pogodzie na porządku dziennym, po ojcowsku ostrzegały ludność przed spożywaniem ostryg i muszli, jako też przed wodą kanałów. Upiększający charakter obwieszczeń był wyraźny. Gromadki ludności stały milcząc na mostach i placach, i cudzoziemiec stał wietrząc i rozmyślając pośród nich.

Właściciela sklepu, który wśród sznurów korali i fałszywych klejnotów ametystowych opierał się o drzwi swego kramu, prosił o wyjaśnienie mu fatalnego zapachu. Człowiek ten zmierzył go sennym wzrokiem i przebudził się nagle.

— Środek zapobiegawczy! — rzekł gestykulując. — Rozporządzenie policji, które trzeba pochwalić. Ta pogoda przygnębia, sirocco nie sprzyja zdrowiu. Słowem, rozumie pan, może przesadna ostrożność...

Aschenbach podziękował mu i poszedł dalej. Także na parowcu, którym wracał na Lido, czuł teraz zapach dezynfekcyjnego środka.

Wróciwszy do hotelu udał się natychmiast do hallu i przy stole z gazetami przejrzał pisma. W obcojęzycznych nie znalazł nic. Krajowe podawały wiadomości, przytaczały niepewne cyfry, drukowały urzędowe zaprzeczenia i powątpiewały o ich prawdziwości.

Tak wyjaśnił się ubytek niemieckiego i austriackiego elementu. Przynależni do innych narodowości nie wiedzieli widocznie nic, nie przeczuwali nic, nie byli jeszcze zaniepokojeni. „Należy milczeć! — myślał Aschenbach poruszony, rzucając gazety na stół. — Milczeć o tym!" Lecz jednocześnie napełniło się jego serce zadowoleniem z powodu przygody, w którą miał popaść świat zewnętrzny. Gdyż namiętności, jak i występkowi, nie odpowiada zapewniony ład i dobrobyt dnia codziennego i wszelkie rozluźnienie mieszczańskiego ustroju i wszelkie zamieszanie, i skłócenie świata musi być jej miłe, gdyż może przy tym niejasno spodziewać się swojej korzyści. Więc Aschenbach czuł skryte zadowolenie z maskowanych przez zwierzchność wypadków w brudnych uliczkach Wenecji, tej niedobrej tajemnicy miasta, która łączyła się z jego własną tajemnicą i na której zachowaniu i jemu tak bardzo zależało. Gdyż zakochany lękał się tylko tego, że Tadzio mógłby odjechać, i przekonywał się nie bez przerażenia, że nie umiałby już żyć, gdyby się to stało.

Nie dość mu już było zawdzięczać bliskość i widok pięknego chłopca porządkowi dnia i szczęściu; chodził w ślad za nim, czatował na niego. W niedzielę, na przykład, Polacy nie zjawiali się nigdy na plaży, zgadywał, że chodzili na mszę do San Marco, śpieszył tam i wchodząc z żaru placu w złoty zmierzch świątyni znajdował poszukiwanego schylonego nabożnie na klęczniku. Wtedy stawał w tyle na popękanej mozaice posadzki, wśród klęczącego, mruczącego, żegnającego się krzyżem ludu, i bujny przepych wschodniej świątyni ciążył przytłaczająco na jego zmysłach. Przed nim poruszał się, gestykulował i śpiewał przybrany w ciężki ornat kapłan, wzbijało się kadzidło, przysłaniało mgłą bezsilne płomyki świec

na ołtarzu i z mdło-słodkim zapachem ofiarnym zdawał się skrycie łączyć zapach inny: wyziew chorego miasta. Ale poprzez zapach i migotanie widział Aschenbach, jak tam, z przodu, piękny chłopiec odwrócił głowę, szukał go i dojrzał.

Gdy potem tłum wypłynął przez otwarte portale na lśniący, od gołębi rojący się plac, ukrył się oszołomiony w przedsieni, zaszył się, stanął na czatach. Widział, jak Polacy opuścili świątynię, jak rodzeństwo w sposób ceremonialny żegnało się z matką, która zmierzając do domu skierowała się ku Piazzetcie; stwierdził, że piękny chłopiec, klasztorne siostry i guwernantka wyszli prawą stroną przez bramę wieży z zegarem na Mercerię i kiedy puścił ich nieco przodem, szedł w ich ślad towarzysząc im ukradkiem w wycieczce po Wenecji. Musiał przystawać, kiedy się zatrzymywali, musiał umykać do garkuchni i na dziedzińce, aby przepuścić powracających; tracił ich, szukał zgorączkowany i wyczerpany po mostach i brudnych ślepych uliczkach i znosił minuty śmiertelnej udręki, gdy ujrzał ich nagle, idących wprost na niego w ciasnych przejściach, gdzie trudno ich było wyminąć. Nie można wszakże powiedzieć, że cierpiał. Głowa i serce były upojone i kroki jego szły za wskazówkami demona, dla którego rozkoszą jest rozum i godność ludzką deptać nogami.

Potem Tadzio ze swoimi wsiadał gdzieś do gondoli i Aschenbach, którego, gdy się sadowili, zasłaniał jakiś występ muru lub studnia, czynił po ich odbiciu od brzega to samo. Mówił szybko, stłumionym głosem, gdy obiecując hojny napiwek kazał wioślarzowi niepostrzeżenie jechać w pewnym odstępie za ową gondolą, która właśnie skręcała tam na rogu; i pot go zlewał, gdy człowiek ten z łobuzerską gotowością stręczyciela zapewniał go tym samym tonem, że będzie obsłużony, sumiennie obsłużony.

Tak mknął kołysząc się, oparty na miękkich czarnych poduszkach, za tamtą czarną, wzniesioną dziobem barką, z któ-

rej śladem wiązała go namiętność. Chwilami znikała mu i wtedy odczuwał troskę i niepokój. Ale przewoźnik jego, jakby był dobrze obyty z takimi zadaniami, umiał zawsze przez chytre zabiegi, przez szybkie zakosy i skróty przywieść mu przed oczy to, czego pragnął. Powietrze było ciche i wonne, słońce prażyło poprzez opar, który nadawał niebu barwę łupku. Woda chlupotała o drzewo i kamień. Okrzyk gondoliera, na pół ostrzeżenie, na pół pozdrowienie, otrzymywał z dala, z ciszy labiryntu, wedle osobliwej umowy odpowiedź. Z małych, wysoko położonych ogrodów zwisały ze zbutwiałych murów okiście kwiatów pachnące migdałami. Arabskie obramienia okien odbijały się w mętnej wodzie. Marmurowe stopnie kościoła schodziły do wody; przykucnięty na nich żebrak, zapewniający o swej nędzy, nadstawiał kapelusz i pokazywał białka oczu, jak gdyby był ślepy; sprzedawca starożytności ze swojej spelunki zapraszał przejeżdżającego płaszczącymi się ruchami do zatrzymania się, w nadziei że go oszuka. To była Wenecja, przymilna i podejrzana piękność, to miasto pół-bajka, pół-łapka na cudzoziemców, w którego zgniłym powietrzu hulaszczo wybujała kiedyś sztuka i które muzykom poddawało kołyszące i zalotnie usypiające dźwięki. Szukający przygody czuł, jakby oko jego piło podobną rozkosz, jakby ucho jego kusiły takie melodie; przypomniał sobie, że miasto jest chore i ukrywa to z żądzy zysku, i szpiegował niepohamowanie mknącą przed nim gondolę.

Pomyleniec nie znał i nie chciał już nic innego, tylko ścigać nieprzerwanie przedmiot, który go zapalał, marzyć o nim, gdy był nieobecny, i zwyczajem kochających darzyć sam jego cień tkliwymi słowami. Samotność, obczyzna i szczęście późnego i głębokiego odurzenia ośmielały i namawiały go do wybaczania sobie najdziwniejszych rzeczy bez obawy i rumieńca, co też się stało, gdy późnym wieczorem, wróciwszy z Wenecji, zatrzymał się na pierwszym piętrze hotelu przy drzwiach pięknego chłopca, oparł czoło w całkowitym upojeniu o zawiasy drzwi i nie mógł się długo stamtąd oderwać narażając się na

to, że może być przydybany i pochwycony w tak obłąkanym położeniu.

Jednak nie brak było chwil przerwy i połowicznego opamiętania. Jakimi drogami! Jak każdy człowiek, któremu naturalne zasługi wpajają arystokratyczne zainteresowanie swym pochodzeniem, przywykł przy osiągnięciach i powodzeniach swego życia pamiętać o przodkach, upewniać się w duchu co do ich zgody, zadowolenia i koniecznego szacunku. Myślał o nich też teraz i tutaj; uwikłany w tak niedopuszczalną przygodę, pogrążony w tak egzotycznych wybrykach uczucia, pamiętał o statecznej surowości, przystojnej męskości ich życia i uśmiechał się melancholijnie. Cóż by oni powiedzieli? Ale, co prawda, cóż by powiedzieli o całym jego życiu, które od ich życia odbiegło aż do zwyrodnienia, o tym życiu w pętach sztuki, o którym on sam w sensie obywatelskich pojęć przodków wypowiedział tak młodzieńczo-szydercze przekonania i które w gruncie rzeczy tak podobne było do ich życia! I on też służył, i on był żołnierzem i wojownikiem jak niejeden z nich — gdyż sztuka była wojną, wycieńczającą walką, do której dziś niedługo się było zdatnym. Życie przezwyciężania siebie i nieulękłości, cierpkie, stanowcze i wstrzemięźliwe życie, z którego uczynił symbol delikatnego i współczesnego heroizmu — mógł nazwać męskim, mógł nazwać dzielnym i zdawało mu się, że Eros, który nim owładnął, mógł takiemu życiu w jakiś sposób szczególnie sprzyjać i być mu życzliwy. Czyż nie cieszył się u najwaleczniejszych ludów najwyższą czcią, ba, czyż nie twierdzono, że dzięki waleczności słynął w ich miastach? Liczni bohaterowie wojenni praczasów chętnie znosili jego jarzmo, gdyż nic nie było poniżeniem, co bóg zarządził, i czyny, które ganiono jako objawy tchórzostwa, gdy dokonane były dla innych celów — padanie do nóg, przysięgi, żarliwe prośby i niewolniczość, nie przynosiły kochającemu wstydu, lecz zbierał on raczej za nie pochwały.

Tak myślał omamiony, tak poszukiwał oparcia, by ustrzec

swą godność. Ale zarazem zwracał ustawicznie czujną i uporczywą uwagę na nieczyste zdarzenia w łonie Wenecji, na ową przygodę świata zewnętrznego, która spływała się niejasno z przygodą jego serca i żywiła jego namiętność nieokreślonymi, bezprawnymi nadziejami. Zawziąwszy się, aby się dowiedzieć czegoś nowego i pewnego o stanie i postępie zarazy, wertował w kawiarniach miejskich krajowe pisma, gdy ze stołu w czytelni hotelowej znikły od dni kilku. Twierdzenia i zaprzeczenia luzowały się w nich nawzajem. Liczba zachorzeń i wypadków śmiertelnych miała wynosić dwadzieścia, czterdzieści, ba, sto i więcej i wnet potem każde wystąpienie zarazy, jeśli nie spotkało się z natychmiastowym zaprzeczeniem, ograniczano do zupełnie odosobnionych, z zewnątrz zawleczonych wypadków. Ostrzegawcze uwagi, protesty przeciw niebezpiecznej grze włoskich władz były rozsiane, pewności nie można było uzyskać.

Jednak samotnik uświadamiał sobie osobliwe prawo do uczestniczenia w tajemnicy i, choć wyłączony, znajdował dziwaczne zadowolenie w zadawaniu wiedzącym podstępnych pytań i w zmuszaniu do wyraźnego kłamstwa tych, co byli obowiązani milczeć. Pewnego dnia przy śniadaniu w wielkiej sali jadalnej wezwał do odpowiedzi kierownika zakładu, owego niskiego, cicho wchodzącego w francuskim surducie człowieka, który kłaniając się i dozorując poruszał się między jedzącymi i zatrzymał się także przy stole Aschenbacha dla wymiany kilku słów.

— Dlaczego właściwie — zapytał gość mimochodem, w niedbałym tonie — dlaczego, u licha, dezynfekuje się od pewnego czasu Wenecję?

— Chodzi z pewnością — rzekł skryty człowiek — o zarządzenie policji, by obowiązkowo i zawczasu zapobiec wszystkim niesprzyjającym lub szkodzącym publicznemu zdrowiu warunkom, które może wytworzyć długa i wyjątkowo ciepła pogoda.

— Policja godna jest pochwały — odrzekł Aschenbach; i po

wymianie kilku meteorologicznych spostrzeżeń pożegnał go zarządca.

Tegoż jeszcze dnia wieczorem, po obiedzie, zdarzyło się, że garstka śpiewaków ulicznych z miasta produkowała się we frontowym ogrodzie hotelu. Stali, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, przy żelaznym maszcie lampy łukowej i wznosili swe biało oświetlone twarze ku wielkiej terasie, gdzie kuracjusze przy kawie i chłodzących napojach raczyli słuchać ludowego programu. Personel hotelowy, liftboye, kelnerzy i funkcjonariusze zarządu ukazywali się nasłuchując w drzwiach hallu. Rosyjska rodzina, gorliwa i dokładna w używaniu, kazała sobie ustawić trzcinowe krzesła w ogrodzie, aby być bliżej wykonawców, i siedziała tam, wdzięczna, półkolem. Za państwem, w podobnym do turbanu zawoju, stała ich stara niewolnica.

Mandolina, gitara, harmonika i rzępolące skrzypce pracowały w rękach żebraczych wirtuozów. Instrumentalne produkcje przeplatały numery śpiewne, gdy młodsza z kobiet, o ostrym, piskliwym głosie, zespalała się z słodkim falsetem tenora w pożądliwy duet miłosny. Ale właściwym talentem i głową stowarzyszenia okazywał się niedwuznacznie drugi z mężczyzn, właściciel gitary, z charakteru baryton-buffo, niemal bez głosu, ale obdarzony mimicznym talentem i godną uwagi siłą komiczną. Często, z wielkim instrumentem na ramieniu, odłączał się od grupy tamtych i posuwał się gestykulując przed rampę, gdzie jego sowizdrzalstwa nagradzano zachęcającym śmiechem. Zwłaszcza Rosjanie, na swym parterze, byli zachwyceni tak wielką południową ruchliwością i ośmielali go poklaskiem i okrzykami do coraz zuchwalszych i pewniejszych kawałów.

Aschenbach siedział przy balustradzie i ochładzał chwilami wargi mieszaniną grenadyny z wodą sodową, skrzącej się przed nim w szklance rubinową czerwienią. Nerwy jego chłonęły chciwie rzępolące dźwięki, wulgarne i tęskne melodie, gdyż namiętność paraliżuje wybredny smak i lubuje się z całą

powagą urokami, które trzeźwość przyjmowałaby humorystycznie lub odtrąciłaby niechętnie. Rysy jego pod wpływem skoków kuglarza znieruchomiały i skurczyły się w już bolesny uśmiech. Siedział bezczynnie, podczas gdy wewnętrzna uwaga jego napięta była do ostateczności; gdyż sześć kroków od niego stał Tadzio oparty o kamienną balustradę.

Stał tam w białym ubraniu z paskiem, które wkładał niekiedy do głównego posiłku, z nieodpartym, wrodzonym wdziękiem, z lewym ramieniem na parapecie, ze skrzyżowanymi nogami, z prawą ręką na biodrze, i z wyrazem, który nie był uśmiechem, lecz odległą ciekawością, grzeczną uprzejmością, spoglądał na ulicznych śpiewaków. Niekiedy prostował się i wypinając pierś pięknym ruchem obu ramion ściągał w dół biały kitel pod skórzanym paskiem. Ale czasem też, co starzejący się spostrzegał z tryumfem, z zawrotem głowy jak i z przerażeniem, odwracał ociągliwie i powoli albo też szybko i nagle, jakby chodziło o zaskoczenie, głowę przez lewe ramię ku miejscu swego wielbiciela. Nie napotykał jego oczu, gdyż haniebna obawa zmuszała zbłąkanego do trwożnego trzymania spojrzeń na wodzy. W głębi tarasu siedziały kobiety, które strzegły Tadzia, i doszło do tego, że zakochany musiał się bać, by nie wpaść w oczy i nie ściągnąć na siebie podejrzenia. Ba, z pewnego rodzaju drętwieniem miał kilkakrotnie sposobność zauważyć na plaży, w hallu hotelowym i na Piazza San Marco, że odwoływano Tadzia z jego pobliża, starając się go trzymać z dala od niego; i musiał stąd doznać strasznej obrazy, z powodu której duma jego wiła się w nieznanych udrękach i którą odrzucić wahało się jego sumienie.

Tymczasem gitarzysta przy własnym akompaniamencie rozpoczął solo kilkuzwrotkową, właśnie kwitnącą w Italii piosnkę brukową, w której refren wpadało każdym razem jego towarzystwo śpiewem i wszystkimi instrumentami i którą on śpiewał w sposób plastyczno-dramatyczny. Smukłej budowy, na twarzy chudy i zmizerowany, odosobniony od swoich, w nędznym filcowym kapeluszu na tyle głowy, tak że kosmyk

rudych włosów wyzierał spod ronda, stał w postawie bezczelnej brawury na żwirze i rzucał przy brzęku strun w dosadnym recitativo swoje żarty ku terasie, podczas gdy z aktorskiego wysiłku żyły nabrzmiewały mu na czole. Zdawał się nie pochodzić z Wenecji, był raczej z rasy neapolitańskich komików, na pół sutener, na pół komediant, brutalny i zuchwały, niebezpieczny i zabawny. Piosnka jego, o słowach po prostu głupich, nabierała w jego ustach, przez mimikę, ruchy ciała, sposób aluzyjnego mrugania i sprośnego igrania językiem w kątach ust, czegoś dwuznacznego, niejasno gorszącego. Z białego kołnierza sportowej koszuli, którą zresztą nosił do miejskiego ubrania, wyrastała chuda szyja z uderzająco wielkim i wywołującym wrażenie nagości jabłkiem adamowym. Jego blada, tęponosa twarz, pozbawiona zarostu, z której rysów trudno było wnioskować o jego latach, zdała się zorana grymasami i występkami i dziwnie do szyderczego uśmiechu jego ust pasowały obie bruzdy rysujące się przekornie, władczo, niemal dziko między jego rudawymi brwiami. Co jednak właściwie zwróciło nań głęboką czujność samotnika, to spostrzeżenie, że podejrzana figura zdawała się wnosić z sobą własną podejrzaną atmosferę. Każdym razem bowiem, kiedy znowu zaczynał się refren, podejmował śpiewak wśród błazeństw i powitalnego kiwania ręką groteskowy marsz dokoła, który go wiódł bezpośrednio przed miejsce Aschenbacha, i każdym razem, gdy to się działo, zawiewał od jego ubrania, od jego ciała silny zapach karbolu ku terasie.

Po skończonym kuplecie zaczął zbierać pieniądze. Podszedł naprzód do Rosjan, którzy okazali pełną gotowości hojność, i potem ruszył po schodach na górę. O ile zuchwale zachowywał się podczas swego popisu, o tyle pokornym okazywał się tu na górze. Płaszcząc się przemykał między stolikami i uśmiech złośliwej służalczości obnażał jego silne zęby, podczas gdy wciąż jeszcze dwie zmarszczki widniały groźnie między jego rudymi brwiami. Przyglądano się dziwnemu, zbierającemu na życie osobnikowi z ciekawością i niejaką odrazą, wrzucano

wypielęgnowanymi palcami pieniądze do jego kapelusza i strzeżono się, by go nie dotknąć. Zniesienie fizycznego dystansu między komediantem i przyzwoitymi ludźmi stwarza, choćby przyjemność była wielka, zawsze pewne zakłopotanie. On czuł je i starał się usprawiedliwić płaszczeniem. Zbliżył się do Aschenbacha z zapachem, nad którym nikt dokoła nie zdawał się zastanawiać.

— Posłuchaj — rzekł Aschenbach stłumionym głosem, niemal machinalnie. — Dezynfekują Wenecję. Czemu?

Żartowniś rzekł zachrypłym głosem:

— Na zarządzenie policji! To jest przepis, szanowny panie, przy takim upale i podczas sirocca. Sirocco przytłacza. Nie służy zdrowiu... — Mówił jakby zdziwiony, że można zadawać takie pytania, i demonstrował płaską dłonią, jak bardzo sirocco przytłacza.

— Więc nie ma żadnej choroby w Wenecji? — spytał Aschenbach bardzo cicho przez zęby.

Muskularne rysy błazna przeszły w grymas komicznej bezradności.

— Choroby? Ależ jakiej choroby? Czy może sirocco jest chorobą? Czy może nasza policja jest chorobą? Pan raczy żartować! Choroba! Czemużby nie! Zapobiegawczy środek, rozumie pan przecie! Policyjne rozporządzenie przeciw działaniu przygnębiającej pogody... — Gestykulował.

— Dobrze — rzekł Aschenbach znów krótko i cicho i wrzucił szybko do kapelusza nieodpowiednio duży pieniądz. Potem oczami dał znak człowiekowi, by odszedł. Posłuchał go szczerząc zęby wśród ukłonów. Ale nie doszedł jeszcze do schodów, gdy dwóch funkcjonariuszów hotelowych rzuciło się nań i z twarzami tuż przy jego twarzy wzięło go szepcząc w krzyżowe śledztwo. Wzruszał ramionami, zaklinał się, przysięgał, że milczał; widać to było. Wyzwolony, wrócił znów do ogrodu i po krótkiej naradzie ze swoimi pod łukowymi lampami wystąpił raz jeszcze z pożegnalną pieśnią.

Samotnik nie przypominał sobie, by słyszał kiedykolwiek

tę pieśń; była to zuchwała brukowa śpiewka w niezrozumiałym dialekcie, z refrenem śmiechu, w który banda regularnie wpadała pełnym głosem. Milkły przy tym zarówno słowa, jak i akompaniament instrumentów i nie pozostawało nic prócz jakoś rytmicznie uporządkowanego, ale bardzo naturalnie traktowanego śmiechu, który szczególnie solista umiał z wielkim talentem obdarzać łudzącą żywotnością. Przy znów przywróconym artystycznym dystansie między sobą i państwem odnalazł swą całą bezczelność i sztuczny śmiech jego, bezwstydnie przesyłany ku terasie, był śmiechem szyderczym. Już pod koniec artykułowanej części strofy zdawał się walczyć z nieznośną łaskotką. Łkał, zachłystywał się, przyciskał ręką usta, ściągał ramiona i w danej chwili wybuchał, wył i pękał od niepohamowanego śmiechu z taką prawdą, że śmiech działał zaraźliwie i udzielał się słuchaczom, że także na terasie zapanowała bezprzedmiotowa i tylko sobą żyjąca wesołość. To jednak zdawało się podwajać swawolność śpiewaka. Zginał kolana, bił się po udach, brał się za boki, omal nie pękał, już się nie śmiał, krzyczał; wskazywał palcem do góry, jak gdyby nie było nic komiczniejszego niż śmiejące się tam towarzystwo, i w końcu śmieli się wszyscy w ogrodzie i na terasie, aż do kelnerów, liftboyów i służby w drzwiach.

Aschenbach nie spoczywał już w fotelu, siedział wyprostowany, jakby gotów do obrony lub ucieczki. Ale śmiech, zawiewający w górę zapach szpitalny i bliskość pięknego chłopca splotły się wokół niego w senny czar, który w sposób nierozerwalny i nieodparty opętał jego głowę, jego zmysły. W ogólnym poruszeniu i roztargnieniu poważył się spojrzeć na Tadzia i, kiedy to czynił, zauważył, że piękny chłopak, odwzajemniając jego spojrzenie, był równie poważny, zupełnie tak, jakby stosował zachowanie i minę do sposobu bycia tamtego i jakby ogólny nastrój nie miał nań wpływu, ponieważ tamten mu się nie poddawał. To dziecinne i zależne naśladownictwo miało w sobie coś tak rozbrajającego i podbijającego, że siwowłosy z trudem powstrzymywał się od

ukrycia twarzy w dłoniach. Zdawało mu się również, jakby przypadkowe wyprostowanie i zaczerpnięcie oddechu przez Tadzia oznaczało westchnienie, duszność w piersiach. „Jest słabowity, prawdopodobnie nie pożyje długo" — pomyślał znów z tą rzeczowością, do której dochodzą czasem w sposób dziwny emancypujące się odurzenie i tęsknota; i czysta troska wraz z wybujałym uczuciem satysfakcji napełniła jego serce.

Wenecjanie tymczasem skończyli i wychodzili. Towarzyszyły im oklaski i przewodnik ich nie omieszkał jeszcze odejścia swego ozdobić żartami. Jego ukłony i szurganie nogą, jego całusy posyłane rękami wywoływały śmiech, więc podwajał je. Gdy jego gromadka była już na dworze, udawał, jakby cofając się boleśnie uderzył plecami o maszt lampy, i niby kurcząc się z boleści przemknął się ku bramie. Tam wreszcie zrzucił nagle maskę komicznego pechowca, wyprostował się, ba, wystrzelił elastycznie w górę, pokazał bezczelnie gościom na terasie język i wsiąkł w ciemność. Towarzystwo kuracjuszy rozeszło się. Tadzia dawno już nie było przy balustradzie. Ale samotnik siedział jeszcze długo, ku zdziwieniu kelnerów, nad resztą grenadyny przy swoim stoliku. Noc zapadła, czas upływał. W domu jego rodziców, przed wielu laty, była klepsydra — ujrzał nagle znów kruchy i poważny sprzęcik, jak gdyby stał przed nim. Bezgłośnie, delikatnie spływał rudy piasek przez szklany przesmyk i kiedy w górnym naczyńku miał się ku końcowi, tworzył się tam mały, rwisty wir.

Już nazajutrz po południu uczynił uparty człowiek, dla wystawienia świata zewnętrznego na próbę, krok, tym razem z wszelkim możliwym powodzeniem. Wszedł mianowicie z placu Świętego Marka do znajdującego się tam biura podróży i zmieniwszy w kasie pewną ilość pieniędzy zwrócił się z miną nieufnego cudzoziemca do obsługującego go urzędnika z swym fatalnym zapytaniem. Był to Brytyjczyk w wełnianym ubraniu, jeszcze młody, z przedziałem na środku głowy, z blisko siebie osadzonymi oczyma i z ową stateczną lojalnoś-

cią w zachowaniu, która na łobuzersko-ruchliwym południu wydaje się tak obca, tak dziwna. Zaczął:

— Nie ma powodu do obawy, sir. Zarządzenie bez poważniejszego znaczenia. Takie nakazy wydaje się często, by zapobiec szkodliwym dla zdrowia skutkom upału i sirocca... — Ale wznosząc niebieskie oczy, spotkał wzrok cudzoziemca, znużone i nieco smutne spojrzenie, które z lekką pogardą zwrócone było na jego usta. Wtedy Anglik zaczerwienił się: — To jest — ciągnął półgłosem i z pewnym poruszeniem — urzędowe oświadczenie, przy którym obstawać uważają tu za stosowne. Powiem panu, że jeszcze coś innego kryje się za tym. — I potem wyznał w swym rzetelnym i wygodnym języku całą prawdę.

Od kilku już lat indyjska cholera okazywała skłonność do szerzenia się i wędrowania. Wylęgła z ciepłych bagien gangesowej delty, wyzionięta z cuchnącym oddechem owej bujnej i bezużytecznej, przez ludzi omijanej pradziewiczej, wyspiarskiej puszczy, w której bambusowych gąszczach czyha tygrys, zaraza szalała w całym Hindustanie stale i z niezwykłą mocą, przeszła na wschód do Chin, na zachód do Afganistanu i Persji i postępując szlakami karawan przeniosła swe okropności do Astrachania, ba, nawet aż do Moskwy. Lecz kiedy Europa drżała, że upiór może wtargnąć stamtąd drogą lądową, wynurzył się on, zawleczony morzem przez kupców syryjskich, niemal równocześnie w kilku śródziemnomorskich portach, podniósł głowę w Tulonie i Maladze, zrzucił swą maskę w Palermo i Neapolu i nie chciał już, zda się, ustąpić z całej Kalabrii i Apulii. Północna część półwyspu została oszczędzona. Jednakże w połowie maja tego roku w Wenecji znaleziono jednego i tego samego dnia straszliwe wibriony w wyniszczonych i sczerniałych trupach chłopca okrętowego i zieleniarki. Wypadki te zatajono. Ale po tygodniu było ich dziesięć, było dwadzieścia, trzydzieści, i to w różnych dzielnicach. Pewien człowiek z prowincji austriackiej, który dla przyjemności zatrzymał się na

kilka dni w Wenecji, zmarł po powrocie do miasta rodzinnego wśród niedwuznacznych objawów i w ten sposób pierwsze pogłoski o pladze w mieście lagun dostały się do niemieckich dzienników. Zwierzchność Wenecji kazała odpowiedzieć, że stan zdrowotny nigdy nie był lepszy, i przedsięwzięła konieczne kroki zapobiegawcze. Ale prawdopodobnie środki żywności, jarzyny, mięso i mleko, były zakażone, gdyż mimo zaprzeczania i tuszowania śmierć grasowała w wąskich uliczkach, a przedwczesne upały letnie, które ogrzewały wodę kanałów, sprzyjały szczególnie szerzeniu się jej. Ba, zdawało się, jakby siły zarazy okrzepły, jakby upartość i płodność jej zarodków podwoiła się. Wypadki wyzdrowienia były rzadkie; osiemdziesięciu na stu zaatakowanych marło, i to w sposób okropny, gdyż choroba występowała z dziką gwałtownością i przybierała często ową niebezpieczną formę, którą zwano „suchą". W tych wypadkach organizm nie mógł nawet wydalić wydzielających się z krwionośnych naczyń ogromnych ilości wody. W przeciągu kilku godzin chory usychał i dusił się od stężałej jak smoła krwi wśród kurczów i chrapliwych skarg. Dobrze, jeżeli, co zdarzało się czasem, atak następował po lekkich nudnościach w postaci głębokiego omdlenia, z którego chory już się nie budził lub niemal nie wracał do przytomności. Z początkiem czerwca zapełniły się cichaczem izolacyjne baraki Ospedale Civico, w obu sierocińcach zaczęło brakować miejsca i groźnie ożywiony ruch zapanował między nabrzeżem Nowych Fundamentów i San Michele, wyspą cmentarną. Ale obawa przed ogólnymi szkodami, wzgląd na niedawno otwartą wystawę obrazów w ogrodach publicznych, na ogromne straty, które w razie paniki i zdyskredytowania groziły hotelom, sklepom, całemu różnorakiemu przemysłowi turystycznemu, okazały się w mieście potężniejsze niż miłość prawdy i szacunek dla międzynarodowych umów; zdołały one skłonić władze do uporczywego kontynuowania polityki przemilczania i zaprzeczania. Kierownik urzędu sanitarnego Wenecji, człowiek zasłużony, ustąpił z oburzeniem ze swego sta-

nowiska, natychmiast zastąpiony przez bardziej uległą osobistość. Lud wiedział o tym; i korupcja zwierzchników wraz z panującą niepewnością, stanem wyjątkowym, w jaki wprawiła miasto czyhająca śmierć, wywołały pewną demoralizację w niższych warstwach, ośmielenie bojących się światła, aspołecznych popędów, które ujawniły się w nieumiarkowaniu, bezwstydzie i rosnącej zbrodniczości. Wbrew zwyczajom spostrzegano wieczorem wielu pijanych; złośliwy motłoch, mówiono, czyni nocą ulice niepewnymi: zdarzały się napady rabunkowe, a nawet morderstwa, gdyż dwukrotnie już okazało się, że osoby, które rzekomo padły ofiarą zarazy, zostały przez własnych krewnych za pomocą trucizny sprzątnięte ze świata. I zawodowe hultajstwo przybrało dotkliwe i wybujałe formy, które tu były nieznane, zadomowione jedynie na Południu i na Wschodzie.

O sprawach tych mówił Anglik w sposób świadczący o znajomości rzeczy.

— Dobrze by pan zrobił — zakończył — wyjeżdżając natychmiast. Najpóźniej za kilka dni zarządzoną będzie przerwa w komunikacji.

— Dziękuję panu — rzekł Aschenbach i opuścił biuro.

Na placu panowała bezsłoneczna parność. Nieświadomi niczego cudzoziemcy siedzieli przed kawiarniami lub stali, zupełnie pokryci gołębiami, przed kościołem, przyglądając się, jak ptaki, rojąc się i bijąc skrzydłami, spychały się wzajemnie, dziobiąc w zagłębieniu dłoni podawane ziarna kukurydzy. W gorączkowym podnieceniu, w tryumfalnym posiadaniu prawdy, przy tym z wstrętnym posmakiem w ustach i fantastyczną zgrozą w sercu, kroczył samotnik po płytach wspaniałego dziedzińca tam i z powrotem. Ważył w myśli oczyszczający go i przystojny czyn. Mógł dziś wieczór po obiedzie zbliżyć się do strojnej perłami damy i powiedzieć jej, co już dokładnie planował: „Pozwoli pani, madame, nieznajomemu służyć jej radą, ostrzeżeniem, które egoizm przed panią ukrywa. Niech pani odjedzie natychmiast z Tadziem i córkami!

W Wenecji panuje zaraza!" Mógłby wtedy narzędziu szyderczego bóstwa na pożegnanie położyć rękę na głowie, odwrócić się i uciec temu bagnu. Ale czuł jednocześnie, że jest nieskończenie daleki od tego, by poważnie myśleć o takim kroku. Poprowadziłby go z powrotem, oddałby go znów samemu sobie; ale kto odchodzi od zmysłów, najbardziej się boi wrócić do siebie. Przypomniał sobie biały budynek ozdobiony lśniącymi o wieczorze napisami, w których przeświturającej mistyce gubiło się oko jego duszy; potem ową dziwną postać wędrowca, która w starzejącym się zbudziła młodzieńczą tęsknotę do dali i do obczyzny; i myśl o powrocie do domu, o rozsądku, trzeźwości, mozole i mistrzostwie mierziła go do tego stopnia, że skrzywiona twarz jego wyrażała fizyczne mdłości. — Trzeba milczeć! — szeptał gwałtownie i: — Będę milczał! — Świadomość jego współwiedzy, jego współwiny oszołamiała go, jak małe ilości wina oszołamiają znużony mózg. Obraz nawiedzonego plagą i opuszczonego miasta, unoszący się mętnie przed oczyma jego duszy, rozpalił w nim nadzieje nieuchwytne, przekraczające granice rozumu, nadzieje o przeogromnej słodyczy. Czym było jego tkliwe szczęście, o którym przedtem marzył chwilę, w porównaniu z tymi oczekiwaniami? Cóż warta dlań była jeszcze sztuka i cnota wobec korzyści chaosu? Milczał i został.

Tej nocy miał straszliwy sen — jeśli jako sen można określić cielesno-duchowe przeżycie, które zdarzyło mu się wprawdzie w najgłębszym uśpieniu, w najzupełniejszej niezależności i przytomności zmysłów, lecz bez poczucia, że poza zdarzeniami porusza się i jest obecny w przestrzeni; widownią ich była raczej sama jego dusza i wdzierały się one z zewnątrz, gwałcąc jego opór, głęboki, duchowy opór, przechodziły i zostawiały za sobą jego istnienie, zostawiały kulturę jego życia spustoszoną, zniszczoną.

Zaczęło się od niepokoju, od niepokoju i pożądania, i ciekawości, co z tego wyniknie. Była noc i zmysły jego nasłuchiwały; bo z daleka zbliżał się zgiełk, wrzawa, mieszanina hała-

sów: szczęk, łoskot, głuchy grzmot, przeraźliwy wrzask radości i wyraźne wycie przewlekłej głoski „u" — wszystko przeplecione, zagłuszone groźną słodyczą głęboko gruchającej, haniebnie uporczywej gry fletu, która w bezwstydnie natrętny sposób czarowała wnętrzności. Ale on znał słowa, ciemne, lecz nazywające to, co nadchodziło: „O b c y b ó g!" Zapłonął dymiący żar; wtedy poznał górski kraj, podobny do tego, który otaczał jego letni dom. I w potarganym świetle, z zalesionej wyżyny, między pniami a omszałymi gruzami skał toczyli się i spadali wirując w dół: ludzie, zwierzęta, tłum, szalejąca zgraja — i zaleli zbocze ciałami, płomieniami, rozgardiaszem i zataczającym się kręgiem tanecznym. Kobiety, potykające się o za długie odzienie ze skór, które zwisały im z przepasek, potrząsały brzękającymi bębenkami nad swymi z jękiem odrzucanymi w tył głowami, wywijały płonącymi pochodniami i gołymi sztyletami, trzymały syczące węże uchwycone w połowie ciała lub krzycząc niosły w obu rękach swe piersi. Mężczyźni z rogami na czole, włochaci, przepasani skórami, zginali karki i podnosili ramiona i uda, bili w spiżowe naczynia i walili wściekle w bębny, podczas gdy gładcy chłopcy owiniętymi listowiem laskami bodli kozły, trzymając się ich rogów i dając się z okrzykami radości wlec ich skokom. I upojeni wyli wydając z siebie miękkie spółgłoski i kończąc przeciągłym „u" słodko i dziko jednocześnie, w sposób niepodobny do żadnego krzyku: tu rozbrzmiał, wyrzucony w powietrze, jak ryk jeleni, a tam oddawano go wielogłośnie w wyuzdanym tryumfie, podżegano się nim nawzajem do tańca i wyrzucania członków i nie dawano mu nigdy zamilknąć. Ale wszystko przenikał i opanowywał głęboki, wabiący ton fletu. Czyż i jego, przeżywającego to z oporem, nie wabił flet z bezwstydną wytrwałością do zabawy i bezmiaru skrajnej ofiary? Wielka była jego odraza, wielka jego trwoga, rzetelna jego wola, by aż do końca chronić siebie przeciw obcemu, nieprzyjacielowi spokojnego i godnego ducha. Ale wrzawa, wycie, zwielokrotnione przez huczącą skałę, rosło,

brało górę, nabrzmiewało porywającym obłędem. Zapachy dręczyły zmysły, gryzący odór kozłów, wyziewy dyszących ciał i woń jakby gnijących wód, poza tym inna jeszcze, znana: woń ran i panującej choroby. W takt uderzeń bębna dygotało jego serce, wirował mózg, porwała go wściekłość, zaślepienie, ogłuszająca rozkosz i dusza jego zapragnęła przyłączyć się do orszaku boga. Odsłonięto i podniesiono olbrzymi, sprośny symbol zrobiony z drzewa, wtedy zawyli jeszcze rozpustniej hasło. Z pianą na ustach szaleli, drażnili siebie lubieżnymi ruchami i zalotnymi rękami, śmiejąc się i jęcząc kłuli sobie nawzajem ciała ostrymi tyrsami i zlizywali krew z członków. Ale z nimi, w nich, był teraz on, śniący i należący do obcego boga. Ba, oni byli nim samym, gdy rozdzierając i mordując rzucali się na zwierzęta i połykali dymiące strzępy, gdy na zmierzwionym mchu zaczęła się szalona orgia na ofiarę bogom. I dusza jego kosztowała nierządu i rozpasania zatraty.

Opętaniec zbudził się ze snu tego zdenerwowany, roztrzęsiony, bezsilny w mocy demona. Nie bał się już obserwujących spojrzeń ludzi; nie dbał o to, czy narażał się na ich podejrzenia. Zresztą uciekali, wyjeżdżali; liczne budki na plaży opustoszały, w sali jadalnej widniały wielkie luki, a na ulicach rzadko widywało się cudzoziemca. Prawda, widać, wyszła na jaw, paniki mimo silnej solidarności zainteresowanych nie dało się stłumić dłużej. Ale pani w perłowym naszyjniku pozostawała ze swoimi, czy to dlatego, że pogłoski nie docierały do niej, czy też że była za dumna i nieustraszona, by im ustąpić: Tadzio został i tamtemu, w jego oczarowaniu, zdawało się czasami, że ucieczka i śmierć wyparła całe niepokojące życie dokoła i pozostał on sam z pięknym chłopcem na wyspie — ba, gdy przed południem nad morzem jego wzrok spoczywał ciężko, nieodpowiedzialnie, nieprzytomnie na pożądanym, gdy o zmierzchu szedł bezecnie w jego ślad ulicami, w których tajemniczo snuła się ohydna śmierć, wtedy potworność zdawała się pełną nadziei, a prawo obyczajowe niczym.

Jak byle kochanek pragnął podobać się i doznawał gorzkie-

go niepokoju, że może to być niemożliwe. Przydawał do swego ubrania odmładzające drobiazgi, wkładał szlachetne kamienie i używał perfum, poświęcał kilka razy na dzień wiele czasu swej toalecie i przychodził do stołu wystrojony, podniecony, pełen napięcia. W obliczu słodkiej młodości, która go oczarowała, czuł wstręt do swego starzejącego się ciała; widok własnych siwych włosów, ostrych rysów twarzy przejmował go wstydem i beznadziejnością. Czuł potrzebę cielesnego krzepienia i odświeżania się, odwiedzał często hotelowego fryzjera.

Siedząc rozparty w fotelu, w płaszczu fryzjerskim, pod pielęgnującymi rękami gaduły, przyglądał się udręczonymi oczyma swemu odbiciu w lustrze.

— Siwe — rzekł krzywiąc się.

— Trochę — odrzekł fryzjer. — Mianowicie z winy małego zaniedbania, obojętności w sprawach zewnętrznych, która jest zrozumiała u wybitnych osób, której jednak bezwarunkowo nie można pochwalić, i to tym mniej, że właśnie dla tych osób przesądy co do tego, co naturalne czy sztuczne, nie są stosowne. Gdyby surowość moralna pewnych ludzi względem sztuki kosmetycznej w sposób logiczny odnosiła się i do ich zębów, to budziliby niemało zgorszenia. Ostatecznie mamy tyle lat, do ilu poczuwa się nasz duch, nasze serce, i siwe włosy oznaczają może większą nieprawdę, niżby oznaczać mogła tak pogardzona poprawka. W pańskim wypadku ma się prawo do naturalnej barwy włosów. Pozwoli mi szanowny pan przywrócić po prostu ich kolor?

— Jak to? — spytał Aschenbach.

Wtedy wymowny fryzjer zmył gościowi głowę dwojaką wodą, jasną i ciemną, i stały się czarne jak w młodości. Ułożył je żelazkiem w miękkie fale, cofnął się i badał uczesaną głowę.

— Należałoby tylko jeszcze — rzekł — odświeżyć trochę cerę.

I jak ktoś, kto nie może skończyć, nie może się zadowolić, przechodził z ciągle na nowo ożywianą aktywnością od jed-

nej czynności do drugiej. Aschenbach, spoczywając wygodnie, niezdolny się bronić, raczej z pełnym nadziei wzruszeniem z powodu tego, co się działo, widział w lustrze, jak jego brwi sklepiają się wyraziściej i równomierniej, jak krój jego oczu wydłuża się, ich blask wzmaga się przez lekkie podmalowanie powieki, widział, jak poniżej, gdzie cera miała wygląd brunatnej skóry, zjawia się lekko nałożony, delikatny karmin, jak dopiero co jeszcze bezkrwiste wargi nabierają malinowej barwy, bruzdy policzków, ust, zmarszczki oczu znikają pod kremem i tchnieniem młodości — ujrzał z biciem serca kwitnącego młodzieńca. Fryzjer poczuł w końcu zadowolenie, gdy zwyczajem takich ludzi podziękował ze skrzeczącą uprzejmością temu, którego obsłużył.

— Nieznaczna pomoc — rzekł wykańczając ostatecznie jego fizjonomię. — Teraz może szanowny pan zakochać się spokojnie.

Oczarowany pan odszedł, szczęśliwy jak we śnie, zmieszany i strwożony. Miał czerwony krawat, słomkowy kapelusz o szerokich skrzydłach, otoczony pstrą wstążką.

Zerwała się ciepła wichura; padał rzadki, skąpy deszcz; ale powietrze było wilgotne, parne, pełne wyziewów zgnilizny. Trzepot, plusk i szum wpadały w ucho i gorączkującemu pod szminką zdawało się, że wietrzne złe duchy wyprawiają harce w przestworzu, potworne ptactwo morza, które rozrzuca ucztę skazańca, rozdziobuje ją i plugawi kałem. Gdyż duchota odbierała chęć do jedzenia i nasuwało się wyobrażenie, że potrawy zatrute są zarazkami.

Po śladach pięknego chłopca zapuścił się Aschenbach pewnego popołudnia w wewnętrzną plątaninę chorego miasta. Tracąc orientację, gdyż uliczki, małe kanały, mosty i place labiryntu były zbyt do siebie podobne, niepewny już i stron świata, baczył jedynie, aby nie stracić z oczu tęsknie ściganego obrazu, i zmuszony do haniebnej ostrożności, tuląc się do murów, szukając zasłony za plecami przed nim idących nie uświadamiał sobie od dawna znużenia i wyczerpania, któ-

rymi uczucie i ustawiczne napięcie przejęło jego ciało, jego ducha. Tadzio szedł za swoimi, puszczał zazwyczaj guwernantkę i podobne do zakonnic siostry w ciasnocie przodem i wlokąc się pojedynkiem odwracał chwilami głowę, by poprzez ramię upewnić się spojrzeniem swych dziwnych, jak zmierzch szarych oczu, czy postępuje za nim jego wielbiciel. Widział i nie zdradzał go. Oszołomiony tym odkryciem, nęcony przez te oczy, wleczony na błazeńskim pasku namiętności, przekradał się za nim kochanek z swą nieprzystojną nadzieją — i ostatecznie stracił ich jednak z oczu. Polacy przekroczyli krótki, sklepiony most, łuk zakrył ich prześladowcy i kiedy znalazł się na górze, przekonał się, że ich już nie ma. Szukał ich w trzech kierunkach, wprost i z obu stron wzdłuż wąskiego i brudnego wybrzeża, daremnie. Zdenerwowanie, osłabienie zmusiły go wreszcie zaniechać poszukiwania.

Głowa jego płonęła, ciało pokryło się lepkim potem, kark drżał, dręczyło go nieznośne pragnienie, oglądał się za jakim bądź chwilowym pokrzepieniem. Przed sklepikiem z jarzynami kupił trochę owoców, poziomek, przejrzałych i miękkich, pojadał idąc. Mały placyk, opuszczony, niesamowicie mroczny, otworzył się przed nim; poznał go, tutaj to przed kilku tygodniami powziął nieudany plan ucieczki. Na stopniu studni pośrodku placu osunął się i oparł głowę o kamienną cembrowinę. Było cicho, trawa rosła między brukiem, odpadki leżały dokoła. Między zwietrzałymi murami nierównej wysokości domów dokoła znajdował się jeden podobny do pałacu, z ostrołukowymi oknami, za którymi mieszkała pustka, i z balkonikami o lwich głowach. Na parterze innego znajdowała się apteka. Ciepłe powiewy przynosiły chwilami zapach karbolu.

Siedział tam, mistrz, wsławiony artysta, autor „Nędznika", który w tak wzorowo czystej formie wyrzekł się cyganerii i mętnej głębi, odmówił sympatii bezdni i odrzucił nikczemność, ten, który wzniósł się na szczyty, przezwyciężył swą wiedzę i wyrósł z wszelkiej ironii, przyzwyczaił się do zobo-

wiązań, jakie nań nakładało zaufanie mas, on, którego sława była urzędowa, nazwisko uszlachcone, na którego stylu mieli się kształcić chłopcy — siedział tam z zamkniętymi powiekami, tylko chwilami wymykało się spod nich, szybko ukrywając się znowu, szydercze i stropione spojrzenie i obwisłe wargi, kosmetycznie uwydatnione, kształtowały pojedyncze słowa z tego, co wydobywał jego na wpół drzemiący mózg z osobliwej sennej logiki.

— Gdyż piękno, pamiętaj, Fajdrosie, tylko piękno jest boskie i widzialne zarazem i w ten sposób jest więc drogą zmysłowości, jest, mały Fajdrosie, drogą artysty do ducha. Ale czy wierzysz, mój drogi, że może pozyskać kiedyś mądrość i prawdziwą godność męską ten, dla którego droga do duchowości prowadzi przez zmysły? Lub czy sądzisz raczej (pozostawiam ci to do rozstrzygnięcia), że jest to niebezpiecznie miła droga, zaiste droga błędu i grzechu, która musi wieść na manowce? Gdyż trzeba ci wiedzieć, że my, poeci, nie możemy iść drogą piękna, żeby nie przyłączył się Eros i nie narzucił się na przewodnika; ba, choćbyśmy byli nawet bohaterami na swój sposób i dzielnymi wojownikami, to jesteśmy jak kobiety, gdyż namiętność jest naszym wywyższeniem i naszą tęsknotą musi pozostać miłość — to jest nasza rozkosz i nasza hańba. Widzisz więc teraz, że my, poeci, nie możemy być mądrzy ani godni? Że z konieczności schodzimy na manowce, z konieczności musimy być rozpustnikami i awanturnikami uczucia? Mistrzostwo naszego stylu to kłamstwo i błazeństwo, nasza sława i godność to krotochwila, zaufanie tłumu do nas w najwyższym stopniu jest śmieszne, wychowywanie ludu i młodzieży przez sztukę jest zuchwałym i karygodnym przedsięwzięciem. Bo jakżeby miał być zdatny na wychowawcę ten, który ma niepoprawny i naturalny pociąg do przepaści? Moglibyśmy się oczywiście jej zaprzeć i zyskać godność, ale jakkolwiekbyśmy się obrócili, nęci nas ona. Więc wyrzekamy się zgubnego poznania, gdyż poznanie, Fajdrosie, nie ma żadnej godności i surowości; jest wiedzące, rozumiejące, wyba-

czające bez postawy i formy; ma sympatię do przepaści, jest przepaścią. Więc odrzucamy je stanowczo i odtąd dążenie nasze ma na celu jedynie piękno, to znaczy prostotę, wielkość i nową surowość, drugą naturalność i formę. Ale forma i naturalność, Fajdrosie, prowadzą do upojenia i pożądania, prowadzą szlachetnego może człowieka do strasznej zbrodni uczucia, którą jego własna, piękna surowość odrzuca jako haniebną, prowadzą do przepaści, i one prowadzą do przepaści. Nas, poetów, powiadam, prowadzą one tam, gdyż nie jesteśmy zdolni do wzlotów, tylko do wyskoków. A teraz odchodzę, Fajdrosie, ty zostań tu; i dopiero gdy mnie już nie będziesz widział, odejdź i ty.

Kilka dni później, czując się cierpiącym, opuścił Gustaw Aschenbach Hotel Kąpielowy o późniejszej niż zwykle godzinie. Musiał walczyć z pewnymi, tylko na pół fizycznymi napadami zawrotów głowy, którym towarzyszył gwałtownie rosnący lęk, uczucie bezwyjściowości i beznadziejności, co do którego nie było rzeczą jasną, czy odnosi się do świata zewnętrznego, czy do jego własnego istnienia. W hallu zauważył wielkie mnóstwo gotowych bagaży, zapytał portiera, kto wyjeżdża, i usłyszał w odpowiedzi polskie nazwisko szlacheckie, którego dowiedział się potajemnie. Przyjął to bez zmiany w rysach zapadniętej twarzy, z owym kurczowym podniesieniem głowy, z jakim mimochodem przyjmuje się do wiadomości coś, na czym nie zależy, i spytał jeszcze: — Kiedy? — Odpowiedziano mu: — Po lunchu. — Skinął głową i poszedł nad morze.

Było tam niegościnnie. Po szerokiej, płaskiej wodzie, która dzieliła plażę od pierwszej podłużnej ławicy piasku, biegły zmarszczki fal. Jesienność, coś przeżytego zdawało się zalegać tak niegdyś barwnie ożywione, teraz opuszczone prawie kąpielisko, którego piasku nie utrzymywano już w czystości. Aparat fotograficzny, zdawało się, bezpański, stał na swym

trójnogim statywie na brzegu morza i czarne sukno rozpostarte nad nim trzepotało klaszcząc w chłodniejszym wietrze.

Tadzio z dwoma czy trzema towarzyszami zabawy, jacy mu pozostali, kręcił się na prawo od budki swoich bliskich i Aschenbach, z pledem na kolanach, spoczywając na leżaku mniej więcej w połowie między morzem i szeregiem budek plażowych, przyglądał mu się raz jeszcze. Zabawa bez nadzoru, gdyż panie musiały być zajęte przygotowaniami do podróży, zdawała się nieprawidłowa i zwyrodniała. Ów dryblas w ubraniu z paskiem, z czarnym, napomadowanym włosem, na którego wołali „Jasiu", podrażniony i oślepiony rzuconym w twarz piaskiem, zmusił słabszego od siebie Tadzia do zapasów, które wnet skończyły się upadkiem pięknego chłopca. Ale, jak gdyby w godzinie pożegnania służebne uczucie poślednejszego zmieniło się w okrutną dzikość i starało się wziąć odwet za długie niewolnictwo, zwycięzca i wtedy jeszcze nie poniechał pokonanego, lecz klęcząc na jego grzbiecie wciskał tak uporczywie twarz jego w piasek, że Tadziowi, już i tak wyczerpanemu walką, groziło uduszenie. Jego usiłowania, by strząsnąć z siebie ciężar, były kurczowe, ustawały na chwilę zupełnie i powtarzały się jeszcze tylko jako drgawki. Aschenbach, przerażony, chciał skoczyć na ratunek, gdy gwałtownik wreszcie wypuścił ofiarę. Tadzio, bardzo blady, podniósł się na pół i siedział, wsparty na jednym ramieniu, przez kilka minut nieruchomo, z rozczochranymi włosami i ciemniejącymi oczyma. Potem wstał zupełnie i oddalił się powoli. Wołano go, zrazu wesoło, potem z niepokojem i prośbą, nie słyszał. Czarny, którego natychmiast musiał przejąć żal z powodu wybryku, dopędził go i zdawał się przepraszać. Wzruszenie ramion odprawiło go. Tadzio poszedł na skos do wody. Był boso i miał na sobie lniane ubranie w paski z czerwoną kokardą.

Na brzegu stanął z pochyloną głową, rysując końcem stopy figury w piasku, po czym wszedł do wody, która w najgłębszym miejscu nie sięgała mu do kolan, przemierzył ją posu-

wając się leniwo i dobrnął do ławy piasku. Tam postał chwilę z twarzą zwróconą w dal, potem zaczął się posuwać w lewo długim i wąskim pasem obnażonego gruntu. Oddzielony od lądu szeroką wodą, oddzielony od towarzyszy dumnym kaprysem, kroczył odosobnioną, oderwaną zjawą hen, w morzu, w wietrze, na tle mglistego bezgranicza. Znowu przystanął zapatrzony przed siebie. I nagle, pod wpływem wspomnienia, impulsu, odwrócił się górną częścią ciała, z ręką na biodrze, pięknym odchyleniem od swej zasadniczej postawy i spojrzał przez tamę ku brzegowi. Patrzący tam siedział, jak niegdyś, gdy po raz pierwszy od owego progu odwzajemniony, ten jak zmierzch szary wzrok spotkał się z jego spojrzeniem. Głowa jego na poręczy leżaka towarzyszyła powoli ruchowi kroczącego w dali; teraz podniosła się, niejako na spotkanie spojrzenia, i opadła na pierś, tak że oczy jego patrzyły z dołu, podczas gdy twarz przybrała znużony, do wewnątrz zwrócony wyraz głębokiej drzemki. Jemu zdawało się jednak, jak gdyby blady psychagog tam, daleko, uśmiechał się doń, kiwał nań; jak gdyby odrywając rękę od biodra wskazywał w dal, lecąc przodem w pełną obietnic niezmierzoność. I, jak to często czynił, chciał powstać, by iść za nim.

Minęło parę minut, nim opadłemu na bok w leżaku pośpieszono z pomocą. Przeniesiono go do jego pokoju. I jeszcze tego samego dnia poruszony świat z respektem przyjął wiadomość o jego śmierci.

PAN I PIES

1918 r.

SKRĘCA ZZA WĘGŁA

Gdy piękna pora roku czyni zaszczyt swemu mianu, a świegot ptaków obudzi mnie wcześnie, albowiem ukończyłem dzień powszedni o właściwej porze, wychodzę chętnie jeszcze przed pierwszym śniadaniem, bez kapelusza, do alei przed domem lub na dalsze planty, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i, zanim zabiorę się do pracy, zaznać radości wczesnego poranka. Na schodach wiodących do bramy wydaję dwudźwiękowy gwizd, ton główny i kwartę, tak jak zaczyna się melodia drugiej części „Niedokończonej Symfonii" Schuberta, sygnał, który mógłby uchodzić za przekład dwuzgłoskowego imienia na dźwięk. W tej samej chwili, gdy zmierzam do furty ogrodowej, dochodzi z dali zrazu ledwo słyszalne, lecz zbliżające się szybko i coraz wyraźniejsze delikatne dzwonienie, jakie powstaje, gdy marka policyjna uderza o metalowe okucie obroży; i gdy się odwrócę, widzę, jak Bauszan skręca w pełnym biegu zza tylnego węgła domu i wali wprost na mnie, jakby chciał mnie przewrócić. Z wysiłkiem zwiesza nieco dolną wargę, tak że ukazują się dwa czy trzy zęby przednie, bielejąc wspaniale we wczesnym słońcu.

Biegnie z swej budy, która znajduje się pod podłogą werandy stojącej na słupach i w której, po urozmaiconej nocy, leżał w krótkiej drzemce porannej, zanim ożywił go w całej pełni mój dwuzgłoskowy gwizd. Buda zaopatrzona jest w grube firanki i wysłana słomą, wskutek czego jakieś źdźbło słomy znajdzie się zawsze w zjeżonej zresztą od leżenia sierści

Bauszana, a nawet między palcami nóg: widok ten przypomina mi każdym razem starego hrabię Moora, którego widziałem na pewnym bardzo skrupulatnie obmyślonym przedstawieniu, jak wychodził z wieży głodowej ze źdźbłem słomy między dwoma trykotowymi palcami swych biednych stóp. Mimo woli ustawiam się bokiem do nadbiegającego, w postawie obronnej, gdyż pozorny jego zamiar uderzenia mnie między nogi i obalenia na ziemię ma nieomylną moc ułudy. W ostatniej jednak chwili, tuż przed karambolem, umie zahamować i skręcić, co świadczy zarówno o jego cielesnym, jak i duchowym opanowaniu; i teraz, nie wydając z siebie głosu — gdyż rzadko czyni użytek z swego donośnego i wyrazistego organu — zaczyna wykonywać dokoła mnie taniec powitalny, złożony z dreptania, nadmiernego merdania, które nie ogranicza się do przeznaczonego na ten cel narzędzia, jakim jest ogon, lecz wciąga w grę całą tylną część ciała aż po żebra, w połączeniu ze ściąganiem kadłuba w pierścienie oraz strzelistymi, sprężystymi skokami powietrznymi i skręcaniem się dokoła własnej osi; wyczyny te jednak stara się ukryć przed mymi oczyma, przenosząc ich widownię, gdziekolwiek się zwrócę, na przeciwległą stronę. Wszelako w chwili gdy schylam się i wyciągam rękę, pies jednym skokiem staje nagle przy mnie, przyciskając łopatkę do mojej goleni, i stoi jak posąg; stoi skośnie oparty o mnie, z łapami wrytymi w ziemię, z pyskiem zwróconym ku mej twarzy, tak że patrzy na wspak, z dołu w oczy, i kiedy wśród pieszczotliwych słów klepię go po łopatce, nieruchomość jego tchnie tym samym skupieniem i namiętnością co poprzedni szał.

Jest to krótkowłosy niemiecki wyżeł — jeśli nie brać określenia tego zbyt ściśle i dokładnie, tylko cum grano salis; gdyż prawidłowym i wzorowym wyżłem Bauszan nie jest. Jak na takiego jest może trochę za mały; jest stanowczo — zaznaczam to — mniejszy od legawca; poza tym i jego przednie nogi nie są zupełnie proste, raczej nieco na zewnątrz wygięte, co również nie odpowiada całkowicie idealnemu wzo-

rowi czystej hodowli. Lekka skłonność do workowatego sfałdowania skóry na szyi, zwanego „łałokiem", co nadaje tak pełen godności wygląd, zdobi go w sposób niezwykły; ale zapewne i tę cechę uznają nieubłagani hodowcy za wadę, gdyż wyżeł, jak słyszę, powinien mieć gładko opiętą skórę na szyi. Maść Bauszana jest bardzo piękna. Sierść rdzawobrunatna i czarno pręgowana. Ale jest też i dużo bieli, która na piersi, łapach i brzuchu stanowczo bierze górę, krępy zaś nos wygląda jak zanurzony w czerni. Na szerokim ciemieniu, jako też na chłodnych płatach uszu czerń z brunatną rdzą układa się w piękny, aksamitny wzór, jedną zaś z najmilszych w jego postaci rzeczą jest czub, kępka czy cypel, w który skręca się biały włos na jego piersi i sterczy jak kolec na starych pancerzach. Zresztą i dowolny nieco przepych barw jego sierści może uchodzić za „niedopuszczalny" w oczach tego, kto prawom gatunku daje pierwszeństwo przed zaletami osobistymi, gdyż klasyczny wyżeł powinien być możliwie jednobarwny lub ozdobiony odmiennymi plamami barwnymi, ale nie pręgowany. Najbardziej jednak sprzeciwia się jakiemuś pedantycznie schematycznemu sklasyfikowaniu Bauszana pewnego rodzaju wiszące owłosienie w kątach warg i pod spodem pyska, owłosienie, które nie bez pozoru słuszności można by nazwać wąsem i bródką i które na pierwszy rzut oka, z daleka czy z bliższa, przypominałoby pinczera.

Wszystko jedno, wyżeł czy pinczer, cóż to w każdym razie za piękne i dobre stworzenie ten Bauszan, gdy opiera się mocno o moje kolano i spogląda ku mnie z pełnym skupienia oddaniem! Zwłaszcza oko jest piękne, łagodne i mądre, choć może trochę szklane. Tęczówka jest rdzawa, barwy sierści; wszelako tworzy ona właściwie tylko wąski pierścień wskutek nadmiernej szerokości czarno lśniącej źrenicy, z drugiej zaś strony barwa jej przechodzi w białko oczne, w którym się rozpływa. Wyraz jego głowy, wyraz rozumnej poczciwości, świadczy o męskości jego strony moralnej,

której to męskości cielesna jego budowa jest fizycznym powtórzeniem: potężna klatka piersiowa, pod której gładką i giętko przylegającą skórą silnie rysują się żebra, wąskie biodra, nerwowo żyłkowane nogi, szorstkie i kształtne stopy, wszystko to świadczy o dzielnej i męskiej cnocie, świadczy o chłopsko-myśliwskiej krwi, ba, myśliwy i ślednik przeważa jeszcze potężniej w budowie Bauszana; jest to prawdziwy wyżeł, jeśli chcecie wiedzieć, aczkolwiek istnienia swego nie zawdzięcza z pewnością żadnej zadzierającej nosa hodowli; i taki jest zapewne sens bardzo zresztą zawiłych i logicznie nie powiązanych słów, które zwracam do niego klepiąc go po łopatce.

Pies stoi i patrzy, słucha akcentu mego głosu, przenika go oznakami stanowczej pochwały swego istnienia, które jest powodem mej przemowy. I nagle, wyciągając głowę oraz otwierając i zamykając szybko wargi, wykonywa pyskiem kłapnięcie w stronę mej twarzy, jakby chciał odgryźć mi nos; pantomina ta jest widocznie odpowiedzią na mą przemowę i muszę zawsze odskoczyć z śmiechem w tył, o czym Bauszan wie też już z góry. Jest to rodzaj całusa w powietrzu, na pół pieszczota, na pół przekomarka, manewr, który był mu właściwy od maleńkości i którego nie zauważyłem u żadnego z jego poprzedników. Zresztą usprawiedliwia się natychmiast machaniem ogona, krótkimi ukłonami i wesoło zakłopotaną miną, że pozwolił sobie na tę śmiałość. Po czym wychodzimy przez furtę ogrodu.

Otacza nas jakby szum morza, gdyż dom mój leży bezpośrednio nad rzeką szybko płynącą i pieniącą się po płaskich tarasach; oddziela go od niej tylko topolowa aleja, okratowany, młodymi klonami obsadzony pas trawnika i podwyższona droga, którą obrzeżają potężne osiki, olbrzymy, poruszające się dziwacznie jak wierzby i z początkiem czerwca swą białą, zapłodnioną wełną zaśnieżające całą okolicę. W górze rzeki, w kierunku miasta, saperzy ćwiczą się w budowaniu pontonowego mostu. Stąpania ich ciężkich butów po deskach

i krzyki zwierzchników dochodzą aż tutaj. Ale z przeciwnego brzegu dolatuje hałas przemysłowego zapału, gdyż kawał drogi od domu, ku dołowi rzeki, znajduje się fabryka parowozów z rozszerzonym, stosownie do wymagań czasu, okręgiem działania, gdzie wysokie okna warsztatów o każdej porze nocy płoną w ciemności. Nowe i pięknie lakierowane lokomotywy przebiegają na próbę tam i z powrotem; gwizdek parowy rozbrzmiewa niekiedy wyjącym falsetem, głuchy łomot nieokreślonego pochodzenia wstrząsa czasami powietrzem i z kilku wysokich kominów bucha dym, który za sprawą pomyślnego wiatru leci nad tamtobrzeżne lasy, lecz w ogóle z trudem przedostaje się przez rzekę. Tak to w przedmiejsko-półwiejskim odosobnieniu tej okolicy mieszają się głosy natury zatopionej w sobie z głosami ludzkiej działalności, a nad wszystkim unosi się jasnooka świeżość porannej godziny.

Kiedy tak wychodzę, może być wpół do ósmej w sensie prawa, w rzeczywistości więc wpół do siódmej. Idę, z rękoma na plecach, w delikatnym świetle słonecznym, w dół alei paskowanej długimi cieniami topól, nie widzę stąd rzeki, ale słyszę jej szeroki, równomierny tok i drzewa szumią łagodnie, przenikliwie, ćwierkania, pogwizdy, świegoty i łkające tryle ptaków napełniają powietrze, pod wilgotnym błękitem nieba leci od wschodu samolot, sztywny mechaniczny ptak, z wzbierającym i głuchnącym dudnieniem płynie nad lądami i rzekami swą niezależną drogą i Bauszan raduje me oczy pięknymi, wydłużonymi skokami przez niskie ogrodzenie pasm trawnika. Skacze istotnie dlatego, że wie, iż sprawia mi to przyjemność; gdyż niejednokrotnie nawoływaniem i klepaniem w ogrodzenie zachęcałem go do tego i chwaliłem, gdy uczynił memu życzeniu zadość; także i teraz podbiega po każdym niemal susie, abym mu powiedział, że jest dzielnym i zgrabnym skoczkiem, po czym skacze jeszcze ku mej twarzy i obronną mą dłoń zanieczyszcza wilgocią swego pyska. Z drugiej strony oddaje się tym ćwiczeniom jako gimnastycznej

rannej toalecie; gdyż gimnastycznymi ruchami wygładza swą zjeżoną sierść i gubi owe szpecące ją źdźbła słomy starego Moora.

Miło jest kroczyć tak o poranku, z odmłodzonymi zmysłami, z duszą oczyszczoną w zbawczej kąpieli i długim letejskim upojeniu nocy. Z mocną ufnością patrzysz w czekający cię dzień, ale zwlekasz błogo z rozpoczęciem go, będąc panem nadzwyczajnej, nie zajętej, nie obciążonej niczym przerwy między snem i dniem, przerwy, która stała ci się nagrodą za obyczajne sprawowanie. Uszczęśliwia cię złudzenie stałego, prostego, nie rozproszonego, kontemplacyjnie w siebie zwróconego życia, złudzenie należenia zupełnie do siebie; gdyż człowiek skłonny jest chwilowy swój stan — czy jest on pogodny, czy chaotyczny, spokojny, czy namiętny — uważać za prawdziwy i trwały stan swego życia i zwłaszcza każde szczęśliwe ex tempore czynić natychmiast w swej fantazji piękną regułą i niezłomnym zwyczajem, choć właściwie jest przecie skazany żyć bez przygotowania i pod względem moralnym z dnia na dzień. Tak też i teraz, wchłaniając powietrze poranne, wierzysz też w swoją wolność i cnotę, kiedy powinieneś wiedzieć i wiesz też w gruncie rzeczy, że świat trzyma w pogotowiu swe sieci, aby cię w nie uwikłać, i że prawdopodobnie już jutro znów będziesz leżał do dziewiątej w łóżku, bo położyłeś się wczoraj o drugiej, zgorączkowany, zawiany, namiętnie rozbawiony... Niech będzie. Dzisiaj jesteś panem trzeźwości i wczesnej pory, prawdziwym panem myśliwca, który właśnie znów przeskakuje ogrodzenie z radości, że dziś chcesz, zdaje się, żyć z nim, a nie z tamtym światem.

Kroczymy aleją jakie pięć minut, aż do punktu, gdzie przestaje ona być aleją i podąża dalej z biegiem rzeki jako dzika pustynia żwiru. Porzucamy rzekę i ruszamy szeroko zakreślonym i, jak wszystkie aleje, opatrzonym w jezdnię, ale nie zabudowanym gościńcem, który wiedzie na prawo, między nisko położonymi parcelami w lesie, ku zboczu ograniczającemu od wschodu naszą nadbrzeżną okolicę, widownię życiową

Bauszana. Przekraczamy drogę inną, która biegnie otwarcie między lasem i polem równie przyszłościowego charakteru, a dalej, w kierunku przystanku tramwajowego, zabudowana jest zwarcie domami czynszowymi; opadająca droga żwirowa prowadzi nas ku pięknie rozplanowanemu łanowi; wygląda on na ogród uzdrowiskowy, ale jest bezludny jak cała o tej porze miejscowość, z ławkami przy drogach sklepionych, rozszerzających się w kilku miejscach w ronda, czyste place dla dzieci i obszerne trawniki; na nich w parkowych grupach stoją stare, kształtne drzewa, wiązy, buki, lipy i srebrzyste wierzby z nisko sięgającymi konarami, tak że nad murawą widać tylko mały kawałek pnia. Cieszą mnie staranne plantacje, po których nie mógłbym przechadzać się spokojniej, gdyby należały do mnie. O niczym nie zapomniano. Żwirowe ścieżki opadają okolnym, łagodnym stokiem, a posiadają nawet cementowe krawężniki. A wśród całej tej zieleni istnieją głębokie, pełne wdzięku perspektywy z architekturą — w najdalszym planie — jednej z will, które przezierają z obu stron.

Tu przechadzam się chwilę, Bauszan zaś w odśrodkowym przechyleniu ciała, upojony szczęściem równej przestrzeni, napełnia trawniki śpiesznymi zygzakami galopów lub też szczekotem, w którym oburzenie łączy się z przyjemnością, ściga małego ptaszka, fruwającego mu ustawicznie — z trwogi czy przekory — przed samym pyskiem. Ponieważ jednak siadam na ławce, więc i on zjawia się na miejscu i siada na mej stopie. Gdyż prawem życia jego jest, że biega tylko wtedy, gdy ja sam jestem w ruchu, skoro jednak usiądę, zachowuje też spokój. Nie ma w tym żadnej jawnej konieczności; ale Bauszan trzyma się tego mocno.

Jest rzeczą osobliwą, miłą i śmieszną, czuć go, jak siedzi mi na stopie, przenikając ją febrycznym ciepłem ciała. Wesołość i sympatia napełniają mą pierś, jak niemal zawsze w jego towarzystwie i na jego widok. Ma bardzo chłopski sposób siedzenia, z łopatkami wykręconymi na zewnątrz, przy

nierównomiernie do wewnątrz zwróconych łapach. Postać jego wydaje się w tej postawie mniejsza i niezgrabniejsza, niż jest w rzeczywistości, i biały czubek na jego piersi wysuwa się z komicznym efektem. Ale głowa, z godnością w karku osadzona, nagradza hojnie brak pięknej postawy dzięki wysokiej inteligencji, która się w niej przebija... Jest tak cicho, że obaj siedzimy cicho. Szum rzeki dochodzi bardzo stłumiony. Toteż drobne, tajemne poruszenia dokoła nabierają wagi i zaostrzają zmysły: krótki szelest jaszczurki, głos ptaka, życie kreta pod ziemią. Uszy Bauszana podnoszą się, o ile na to pozwala muskulatura obwisłych słuchów. Przechyla głowę, by wybystrzyć słuch. A skrzydła jego wilgotno-czarnego nosa znajdują się w nieustannym, wrażliwie wietrzącym ruchu.

Potem kładzie się, zachowując jednak styczność z mą stopą. Leży profilem do mnie, w prastarej, pełnej umiaru, zwierzęcoboskiej postawie sfinksa, z podniesioną głową i piersią, z czworgiem ud przy sobie, z łapami wyciągniętymi równolegle. Ponieważ rozgrzał się, otwiera pysk, przez co skupiona mądrość jego miny rozpływa się w bestialstwie, oczy zwężają się mrugając; a spomiędzy białych, jędrnych kłów zwisa długi, różowy język.

JAK NABYLIŚMY BAUSZANA

Powabnie krępa, czarnooka panna, która z pomocą swej tęgo dorastającej i również czarnookiej córki prowadzi w pobliżu Tölz gospodarstwo górskie, pośredniczyła w zapoznaniu nas z Bauszanem i nabyciu go. Było temu dwa lata, pies miał wtedy pół roku. Anastazja — tak było na imię gospodyni — wiedziała zapewne, że musieliśmy kazać zastrzelić naszego Percy, szkockiego owczarka i arystokratę, nieszkodliwie chorego na umyśle, gdyż w podeszłym wieku nawiedzony był bolesną i szpecącą chorobą skórną, więc, że od roku pozbawieni jesteśmy stróża. Toteż zawiadomiła nas z swej góry telefo-

nicznie, że pies, jakiego nam właśnie potrzeba, znajduje się u niej na utrzymaniu i w komisie i można go każdej chwili obejrzeć.

Ponieważ dzieci nalegały, a ciekawość starszych nie pozostawała zgoła w tyle, więc już następnego dnia po południu wybraliśmy się na wzgórze Anastazji i zastaliśmy dzierżawczynię w obszernej kuchni, pełnej ciepłych i pożywnych wyziewów; z obnażonymi do łokci ramionami, w sukni rozpiętej u szyi, z zaczerwienioną i wilgotną twarzą, gotowała kolację dla swych pensjonarzy, w czym pomagała jej córka krzątając się z pełną spokoju pilnością. Przywitano nas uprzejmie; pochwalono, żeśmy nie odkładali sposobności na święty nigdy i zaraz znaleźli do niej drogę. A gdyśmy rozglądali się badawczo, Rózia, córka, poprowadziła nas do kuchennego stołu, gdzie wsparłszy ręce o kolana, zwróciła pod spód kilka pieszczotliwie zachęcających słów. Tam bowiem, przywiązane zniszczonym sznurem do nogi stołowej, stało stworzenie, którego nie dostrzegliśmy dotąd w migocącym półcieniu izby, na którego jednak widok nikt nie mógł się powstrzymać od żałosnego śmiechu.

Stał na wysokich, koślawych nogach, z ogonem między tylnymi udami, skupiając wszystkie cztery nogi kulił się i drżał. Mógł drżeć ze strachu, ale miało się raczej wrażenie, że powodem tego jest brak strawy posilnej, gdyż stworzenie to przedstawiało tylko szkielecik, klatkę piersiową z kręgosłupem, obciągnięty kostropatą sierścią i podparty w czterech miejscach. Uszy położył po sobie, który to układ mięśniowy gasi przecie natychmiast w psiej fizjonomii każdy blask rozumnej wesołości i w jego zresztą zupełnie jeszcze dziecinnej twarzy osiągał też najzupełniej to wrażenie, tak dalece, że nie wyrażało się w niej nic, prócz głupoty i nędzy, jako też serdecznej prośby o pobłażanie; a w końcu i to, co dziś jeszcze można było nazwać wąsami i bródką, było wówczas stosunkowo daleko wydatniejsze i ogólnemu obrazowi jego postaci nadawało odcień kwaskowatego smaku.

Wszyscy schylili się, by zwrócić doń słowo przynęty i pociechy. Anastazja zaś od paleniska dorzucała do litośnych okrzyków radości dzieci objaśnienia co do osoby pupila. Na razie wabi się Luks i pochodzi od najlepszych rodziców. Matkę znała Anastazja sama, o ojcu słyszała tylko opinię. Luks był rodem z pewnego gospodarstwa w Huglfing i tylko wskutek pewnych okolicznosci właściciele pragną oddać go za tani pieniądz, więc przynieśli go do niej ze względu na licznych gości w tym domu. Przyjechali wózkiem, a Luks biegł odważnie między tylnymi kołami, całe dwadzieścia kilometrów. Zaraz przeznaczyła go dla nas, jako że szukamy przecie dobrego psa, i była pewna, że zdecydujemy się. Jeśli go weźmiemy, wszyscy wyjdą na tym dobrze. My znajdziemy w nim z pewnością źródło wielu uciech, on przestanie być sam na świecie, bo znajdzie sobie miły kącik, ona zaś, Anastazja, będzie mogła myśleć o nim spokojnie. Nie powinniśmy tylko uprzedzać się doń z powodu miny, jaką ma teraz. Jest wszak stropiony i pozbawiony pewności siebie z powodu obcego otoczenia. Ale już w najkrótszym czasie pokaże się, że pochodzi od wybitnie dobrych rodziców.

— Tak, ale widać nie bardzo pasowali do siebie.

Owszem; o tyle, o ile oboje byli wspaniałymi okazami. Tkwią w nim najlepsze zalety, za to ręczy ona, panna Anastazja. Jest też nierozpieszczony i umiarkowany w potrzebach, a to dzisiaj rzecz ważna: dotąd żył w ogóle tylko obierzynami kartofli. Powinniśmy go zabrać naprzód do domu, na próbę i bez zobowiązania. Jeśli przekonamy się, że nie mamy doń serca, ona przyjmie psa z powrotem i zwróci niewielką cenę kupna. Mówi to śmiało i nie lęka się, jeśli zechcemy wziąć ją za słowo. Bo o ile zna nas i jego — więc obie strony — jest przekonana, że polubimy się i nie pomyślimy nawet o tym, aby się rozłączyć.

Mówiła jeszcze dużo w tym sensie, spokojnie, płynnie i przyjemnie, krzątając się koło paleniska, z którego niekiedy buchały przed nią czarodziejsko płomienie. Wreszcie pode-

szła nawet sama i oburącz otworzyła mordkę Luksa, aby pokazać nam jego piękne zęby i z jakowychś powodów też jego różowe, żłóbkowane podniebienie. Na pytanie, zadane zawodowo, czy przechodził już nosaciznę, oświadczyła z lekkim zniecierpliwieniem, że nie umie dać odpowiedzi. Co się zaś tyczy wielkości, jakiej dosięgnie, odparła przytomnie, że będzie wzrostu naszego zmarłego Percy. Było jeszcze dużo gadania, wiele ciepłej namowy ze strony Anastazji, która znajdowała poparcie w prośbach dzieci, wiele na pół przejednanej bezradności ze strony naszej; wreszcie poprosiliśmy o krótki czas do namysłu, czego nam chętnie użyczono, i zeszliśmy zamyśleni w dolinę, badając i przerzucając odniesione wrażenia.

Czworonożna nędza spod stołu oczarowała oczywiście dzieci, my, dorośli, zaś udawaliśmy daremnie, że uśmiechamy się z powodu ich niewybredności i braku sądu: i my czuliśmy kolec w sercu i widzieliśmy, że trudno nam będzie usunąć z pamięci obraz owego biednego Luksa. Co się z nim stanie, jeśli nim wzgardzimy? W czyje dostanie się ręce? W wyobraźni naszej wstawała mistyczna, straszna postać: rakarz, od którego ohydnej ingerencji uratowaliśmy naszego Percy dzięki kilku rycerskim kulom rusznikarza i honorowej mogiłce na skraju ogrodu. Jeśli chcieliśmy pozostawić Luksa niepewnemu i może straszliwemu losowi, nie powinniśmy byli zawierać z nim znajomości i badać jego dziecinnej twarzy z wąsami i brodą; skoro dowiedzieliśmy się o jego istnieniu, spadła na nas, zda się, odpowiedzialność, której moglibyśmy się zaprzeć tylko z trudem i gwałtem. — Toteż już trzeciego dnia wspinaliśmy się znowu na owo łagodne przedgórze Alp. Nie to, żebyśmy postanowili nabyć stworzenie. Ale widzieliśmy, że tak, jak sprawa stoi, nie będzie innego wyjścia.

Tym razem Anastazja z córką siedziały przy stole kuchennym naprzeciw siebie i popijały kawę. Pomiędzy nimi, koło stołu, siedział tak zwany tymczasowo Luks, siedział już zupełnie tak samo, jak zwykł siadywać dzisiaj, z wykręconymi po

chłopsku łopatkami, z łapami zwróconymi do wewnątrz, a za zniszczoną obrożą skórzaną tkwił bukiecik kwiatów polnych, co stanowczo przyczyniało się do uświątecznienia jego postaci i nadawało mu minę niedzielnie zawadiackiego parobczaka lub wiejskiego weselnika. Młodsza z panien, sama w strojnym gorsecie ludowym, przyozdobiła go tak na drogę do nowego domu, jak mówiła. A matka i córka zapewniały, że niczego nie były tak pewne, jak naszego powrotu dla zabrania Luksa, i to właśnie dzisiaj.

Toteż zaraz u wstępu wszelka dalsza debata okazała się niemożliwą i skończoną. Anastazja podziękowała swym miłym sposobem za pieniądze, któreśmy jej wręczyli; cena kupna wynosiła dziesięć marek. Rzecz jasna, że wyznaczała ją raczej w interesie naszym niż swoim własnym lub ekonomostwa: a to dlatego, by nadać biednemu Luksowi w naszych oczach wartość pozytywną i cyfrowo dostępną. Rozumieliśmy to i chętnie zapłaciliśmy żądaną sumę. Luksa odwiązano od nogi stołowej, wręczono mi koniec postronka i najserdeczniejsze życzenia i wróżby towarzyszyły nam, gdyśmy przekraczali kuchenny próg panny Anastazji.

Godzinny powrót nasz do domu z nowym domownikiem nie był pochodem tryumfalnym, zwłaszcza że nasz weselnik wnet stracił w drodze swój bukiecik. W oczach napotykanych ludzi czytaliśmy nie tylko wesołość, ale i szydercze lekceważenie, do czego było coraz więcej sposobności, gdy wypadło przechodzić przez miasteczko, i to w całej długości. Na domiar pokazało się, że Luks, prawdopodobnie od dawna, chorował na rozwolnienie, co zmuszało nas do częstego przystawania na oczach mieszczan. Osłanialiśmy wtedy kołem jego wewnętrzną niedolę, zapytując się, czy nie są to już złe objawy nosacizny: próżna troska, jak nauczyła nas przyszłość, gdyż wykazała w ogóle, że mieliśmy do czynienia z naturą czystą i zdrową, która aż do tej chwili ukazała się rdzennie odporną przeciw zarazom i choróbskom.

Przybywszy do domu, kazaliśmy stawić się służącym, by

zaznajomiły się z przyrostem rodziny oraz wyraziły swe skromne o nim zdanie. Widać było, jak gotowały się do podziwu; gdy jednak ujrzały psa i zobaczyły nasze chwiejne miny, roześmiały się grubo i odwróciły się doń plecami z obronnym ruchem ręki. Umocnieni przez to w wątpliwości, czy znajdziemy w nich zrozumienie dla niskiej przez życzliwość ceny, jakiej zażądała Anastazja, powiedzieliśmy im, że pies nic nie kosztuje, i poprowadzili Luksa na werandę, aby mu ofiarować powitalną ucztę, złożoną z pożywnych odpadków.

Nieśmiałość kazała mu pogardzić wszystkim. Obwąchiwał wprawdzie kęsy, do których go zapraszano, stał jednak trwożnie przed nimi, nie mogąc zdobyć się na wiarę, że skórka z sera i kurze łapy mogą być przeznaczone dla niego. Natomiast nie wzgardził wypchanym trawą morską workiem, który dla wygody jego przygotowano w sieni, i spoczywał tam podciągnąwszy łapy pod siebie, gdy wewnątrz pokoju naradzano się nad ostatecznym ustaleniem imienia, które miał nosić w przyszłości.

Również następnego dnia pies wzbraniał się jeść, potem nastąpił okres, w ciągu którego połykał bez miary i różnicy wszystko, co dostało się w zasięg jego pyska, aż wreszcie doszedł w sprawach pożywienia do spokojnej reguły i badawczej godności. Zaznaczony tu jest w grubym zarysie proces jego oswajania się i obywatelskiego utwierdzenia. Nie będę starał się o zbyt wierne odmalowanie tego procesu. Doznał on przerwy z powodu przejściowego zniknięcia Bauszana: dzieci wyprowadziły go do ogrodu, uwolniły z linki, by użyczyć mu swobody ruchu, on zaś korzystając z chwili nieuwagi wymknął się przez niski otwór pod furtką. Zniknięcie jego wywołało zamęt i smutek, przynajmniej w sferze państwa, gdyż służące nie robiły sobie wiele ze straty darowanego psa lub też w ogóle nie chciały tego uznać za stratę. Telefon gwałtował między nami i gospodarstwem Anastazji, gdzie spodziewaliśmy się go zastać. Daremnie; nie pokazał się tam; i minęły trzy dni, zanim panna Anastazja doniosła nam, że otrzymała

z Huglfing wiadomość, iż Luks zjawił się przed półtora godziną w ojczystym ekonomostwie. Tak jest, bawił tam, idealizm jego instynktu zaciągnął go z powrotem w świat obierzyn i kazał mu znowu odbyć, samotnymi marszami dziennymi, dwadzieścia kilometrów drogi, które odwalił niegdyś między kołami. Więc dawni właściciele jego musieli znów zaprząc swój wózek, aby oddać go do rąk Anastazji, i po upływie dalszych dwóch dni wybraliśmy się znowu, aby odebrać zbłąkańca; znaleźliśmy go, jak dawniej, uwiązanego do nogi stołowej, skudłanego i zmachanego, obryzganego błotem gościńców. Doprawdy, kiedy nas ujrzał, dawał znaki, że nas poznaje i cieszy się! Ale czemu nas w takim razie opuścił?

Nadszedł czas, gdy widać było, że wybił sobie ekonomostwo z głowy, ale i u nas nie bardzo jeszcze zapuścił korzenie, tak że był w duszy swojej bezpański i podobny do liścia miotanego wiatrem. Wtedy trzeba było na przechadzce uważać nań pilnie, gdy miał ochotę zerwać wątłą nić sympatii między nami i zgubić się w lasach, gdzie z pewnością, przy samodzielnie włóczęgowskim trybie życia, byłby doszedł do stanu swych dzikich praojców. Troskliwość nasza ocaliła go od tego ciemnego losu, trzymała go mocno na wysokim stopniu obyczajowym, zdobytym przez jego ród w ciągu tysiącleci u boku człowieka; następnie stanowcza zmiana miejsca, przesiedlenie się z miasta na przedmieście, przyczyniła się nagle do tego, że musiał wyłącznie oprzeć się na nas i nieodwołalnie związać się z naszym domem.

KILKA WIADOMOŚCI O TRYBIE ŻYCIA I CHARAKTERZE BAUSZANA

Pewien człowiek w dolinie Izary rzekł mi, że tego rodzaju psy mogą się uprzykrzyć, gdyż chcą być zawsze przy panu. W ten sposób zostałem ostrzeżony, by od początku nie brać zbyt osobiście niewzruszonej wierności, którą Bauszan rze-

czywiście zaczął wkrótce okazywać, co ułatwiło mi hamować ją i, o ile to było potrzebne, oganiać się od niej. Chodzi tu o z dawna odziedziczony, patriarchalny psi instynkt, który każe mu, przynajmniej w jego odważniejszych, swobodę miłujących rodzajach, widzieć i czcić w mężczyźnie, głowie domu i rodziny, bezwzględnie pana, obrońcę ogniska domowego, rozkazodawcę, znajdować swą godność życiową w osobliwym do niego stosunku uniżonej, niewolniczej przyjaźni i zachowywać względem reszty domowników daleko większą niezawisłość. W tym też duchu przylgnął Bauszan do mnie niemal od pierwszego dnia, nie spuszczał z osoby mej swych wiernych oczu, jakby pytając o rozkazy, których wolałem nie udzielać, gdyż okazało się wkrótce, że co do posłuszeństwa nie był Bauszan niczym osobliwym i szedł za mą piętą w tym widocznym przekonaniu, że nierozłączność jego ze mną tkwi w świętej naturze rzeczy. Rozumiało się samo przez się, że w kole rodzinnym zajmował miejsce u moich stóp i niczyich innych. Tak samo rozumiało się, że jeśli w drodze odłączyłem się od gromadki, aby pójść własną drogą, przyłączał się do mnie i szedł za mym krokiem. Obstawał też przy mym towarzystwie, kiedy pracowałem, i zastawszy drzwi do ogrodu zamknięte, wskakiwał nagłym, przerażającym wprost susem przez otwarte okno, wnosząc dużo żwiru do pokoju i z głębokim westchnieniem rzucał się pod biurko.

Istnieje jednak baczność tak czujna wobec żywych stworzeń, że przeszkadza nawet obecność psa, jeśli idzie o to, aby być samotnym; poza tym Bauszan przeszkadzał mi w dotykalny sposób. Stawał przy moim krześle, kiwał ogonem, pożerał mnie spojrzeniem i dreptał wyzywająco. Najmniejszy ruch odwzajemnienia wywoływał ten skutek, że pies wspinał się przednimi łapami na poręcz krzesła, tulił się do mej piersi, rozśmieszał mnie swymi pocałunkami w powietrzu, potem przechodził do badania blatu biurka, snadź w przypuszczeniu, że musi się tam znajdować coś do jedzenia, skoro pochylam się nad nim tak osobliwie, i szerokimi, włochatymi łapami

myśliwca zamazywał świeże pismo. Wezwany ostro do spokoju, kładł się znowu i zasypiał. Ale gdy tylko usnął, zaczynał śnić, przy czym wszystkimi czterema łapami niby biegł, wydając jednocześnie wysoki i głuchy szczekot, jakby pochodzący z brzucha i z innego świata. Że podniecało mnie to i odrywało uwagę, dziwić się nie można, gdyż po pierwsze było to niesamowite, poza tym wzruszało i obarczało me sumienie. To życie senne było jawnie tylko sztucznym namiastkiem rzeczywistej gonitwy i polowania, surogatem, który stwarzała sobie natura, gdyż szczęście ruchu na wolnym powietrzu nie było we współżyciu ze mną jego udziałem w tej mierze, jak tego wymagała jego krew i zmysły. Dotykało mnie to; ponieważ jednak nie było innej rady, więc wyższe sprawy kazały mi pozbyć się tych zaniepokojeń, przy czym sam zwracałem sobie uwagę, że w niepogodę wnosi do pokoju wiele brudu, a nadto rozdziera pazurami dywany.

Toteż pobyt w pokoju i współżycie ze mną, dopóki przebywałem w domu, zostały mu zabronione zasadniczo, choć z dopuszczeniem wyjątków; on zaś zrozumiał zakaz natychmiast i przystosował się do tego dziwactwa, jako że taka była właśnie niezbadana wola pana i władcy. Oddalenie ode mnie, które często, a zwłaszcza w zimie, trwa dużą część dnia, jest tylko oddaleniem, a nie jakąś rzeczywistą rozłąką i brakiem związku. Nie ma go przy mnie z mego rozkazu, ale jest to właśnie tylko spełnienie mego rozkazu, negatywne przebywanie ze mną, a o samodzielnym życiu Bauszana, które by wiódł beze mnie w ciągu tych godzin, nie może być mowy. Widzę przez szklane drzwi mego pokoju, jak na małej ogrodowej łączce przed domem uczestniczy w wujkowaty, niezgrabnie pocieszny sposób w zabawach dzieci. Od czasu do czasu podchodzi wytrwale do drzwi, nie mogąc dojrzeć mnie przez tiulowe firanki węszy u szpary, aby upewnić się co do mej obecności, i zwrócony grzbietem do drzwi, siedzi stróżując na schodach. Widzę go też od biurka, jak w zadumanym, bezcelowym kłusie biegnie na podwyższonej drodze między sta-

rymi osikami; lecz takie promenady są tylko mdłą rozrywką, bez dumy, szczęścia i życia, i jest rzeczą zgoła nie do pomyślenia, by Bauszan oddał się na własną rękę jakimś wspaniałym uciechom gończym, choć nikt by mu tego nie bronił, a obecność moja, jak się okaże, nie byłaby też bezwzględnie konieczna.

Życie zaczyna się dlań, kiedy wychodzę — ach, a i wtedy często nie zaczyna się jeszcze! Gdyż kiedy opuszczam dom, zachodzi pytanie, czy zwrócę się na prawo, aleją w dół, tam gdzie idzie się w pole i w samotność naszych terenów myśliwskich, czy też na lewo, ku stacji tramwajowej, by pojechać do miasta — i tylko w pierwszym wypadku towarzyszenie mi ma dla Bauszana sens. Zrazu przyłączał się do mnie, ilekroć obrałem drogę w świat, spostrzegał ze zdumieniem łomocący wóz i tłumiąc gwałtem strach wskakiwał za mną ślepym i wiernym susem na platformę, pomiędzy ludzi. Ale burza publicznego oburzenia zmiatała go znowu w dół, więc decydował się biec galopem obok huczącego wehikułu, tak niepodobnego do wózka, między którego kołami kłusował swego czasu. Dotrzymywał uczciwie kroku, dopóki się dało, a siła płuc nie zawodziła go tak łatwo. Ale syna ekonomówki wprawiał miejski ruch w pomieszanie, pies wpadał przechodniom pod nogi, obce psy opadały go z boku, nie znany mu nigdy jeszcze zamęt dzikich woni drażnił i odurzał zmysły, narożniki, przesiąknięte esencjami starych przygód, przykuwały go nieodparcie, pozostawał w tyle, dościgał wprawdzie znów pojazd, ale to nie był ten, za którym dążył, tylko do tamtego zupełnie podobny; Bauszan puszczał się na ślepo w fałszywym kierunku, zapędzał się coraz głębiej w szaloną obczyznę i dopiero po dwóch dniach, wychudzony i kulejący, odnajdywał się w pokoju dalekiego domu nad rzeką, dokąd tymczasem i pan jego wrócił, miał rozum powrócić.

Zdarzyło się to dwa lub trzy razy; potem Bauszan zrezygnował i przestał ostatecznie towarzyszyć mi na lewo. Gdy wyjdę za drzwi, poznaje natychmiast, co mam na myśli, teren my-

śliwski czy świat. Zrywa się z rogóżki, na której pod ochronnym łukiem drzwi czeka mego wyjścia. Podskakuje i w tejże samej chwili wie, dokąd zmierzam: zdradza mu to moje ubranie, laska, którą mam w ręce, zapewne też mina i postawa, spojrzenie, które omija go w chłodnym roztargnieniu lub też zwraca się ku niemu z zachętą. Rozumie to. Jeśli wyjście jest pewne, rzuca się na łeb ze schodów i kręcąc się młyńcem, tańczy w niemym zachwycie przede mną w kierunku furty; jeśli nadzieja znika, kuli się, kładzie uszy po sobie, traci minę, rozpada się niemal w popiół i nędzę i w oczach jego zjawia się wyraz trwożnej grzeczności, jaką w oczach ludzi i zwierząt wywołuje nieszczęście.

Czasem nie może uwierzyć — co przecie widzi i wie — że tym razem wszystko przepadło i nie ma mowy o gonitwach. Żądza jego była zbyt silna, Bauszan przeczy oznakom, nie chce widzieć miejskiej laski, mieszczańskiego przystroju mej osoby. Przeciska się ze mną przez furtę, wiruje dokoła swej osi, próbuje pociągnąć mnie na prawo, puszczając się galopem w tym kierunku i odwracając ku mnie głowę, i stara się nie widzieć fatalnej odmowy, którą przeciwstawiam jego wysiłkom. Gdy istotnie idę na lewo, wraca, towarzyszy mi wzdłuż płotu frontowego ogrodu, sapiąc z głębi piersi i wydając drobne, zmieszane, wysokie dźwięki, które powstają z jego nadmiernego naprężenia wewnętrznego, i zaczyna skakać tam i sam przez ogrodzenie przyległych publicznych plantacji, choć ogrodzenie jest wysokie, a on stęka w powietrzu z trwogi, by nie zrobić sobie co złego. Skacze gwoli pewnego rodzaju rozpaczliwej, gardzącej faktami dziarskości, jako też, by mnie przekupić, zjednać sobie swą dzielnością. Gdyż wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu nie jest jeszcze rzeczą wyłączoną, że przy końcu plantacji porzucę jednak drogę miejską, jeszcze raz skręcę na lewo i krótką drogą okolną, obok skrzynki na listy, jeśli mam załatwić pocztę, poprowadzę go jednak w pole. To zdarza się, ale zdarza się rzadko, a gdy i ta nadzieja rozwiała się, Bauszan siada zmęczony i pozwala mi odejść.

I siedzi tak, w swej po chłopsku niezgrabnej postawie, na środku ulicy, i patrzy za mną poprzez całą aleję. Gdy odwrócę głowę ku niemu, podnosi uszy, ale nie idzie za mną, nie pójdzie, choćbym wołał i gwizdał, wie, że byłoby to bezcelowe. Widzę go jeszcze od wylotu alei, jak siedzi niby mały, ciemny, niezgrabny punkcik na środku ulicy, i czuję kolec w sercu; wsiadam do tramwaju z wyrzutami sumienia. Czekał tak bardzo, a wiadomo, jaką torturą może być czekanie! Życie jego jest czekaniem — na najbliższą przechadzkę w pole i czekanie to zaczyna się, kiedy odpoczął po ostatnim. Także i w nocy czeka, gdyż sen jego rozkłada się na dwadzieścia cztery godziny obiegu słonecznego; i niejedna godzinka drzemki na murawie ogrodu, gdzie słońce ogrzewa mu sierść, lub za firankami budy musi mu skracać puste okresy dnia. Toteż spoczynek jego nocny jest przerywany i niejednolity, często coś ganiа go w ciemności po podwórzu i ogrodzie, więc rzuca się to tu, to ówdzie i czeka. Czeka na regularny powrót dozorcy z latarnią i długokrokiemu jego obchodowi wtóruje wbrew własnemu przekonaniu złowróżbnym szczekaniem; czeka, aż niebo zblednie, aż zapieje kogut gdzieś w dalekim ogrodzie, na obudzenie się wiatru porannego w drzewach i na otwarcie drzwi od kuchni, by mógł się tam wśliznąć i zagrzać przy piecu.

Ale sądzę, że tortura nudy nocnej jest łagodna w porównaniu z męką, którą Bauszan znosi w jasny dzień, zwłaszcza przy pięknej pogodzie, czy to zimą, czy latem, gdy słońce wabi w pole, we wszystkich mięśniach drży żądza silnego ruchu, a pan, bez którego porządna wyprawa jest niemożliwa, wciąż jeszcze nie chce opuścić swego miejsca za szklanymi drzwiami. Ruchliwe, drobne ciało Bauszana, w którym życie pulsuje tak szybko i gorączkowo, jest na wskroś i aż zanadto wypoczęte, o śnie nie ma już co i myśleć. Przychodzi na taras przed moje drzwi, z westchnieniem z głębi piersi rzuca się na żwir i kładzie głowę na łapach, patrząc z dołu w niebo wzrokiem męczennika. Trwa to ledwo kilka sekund, po czym ma dość

tej pozycji, uważa ją za niemożliwą. Może zrobić jeszcze co innego. Może zejść po schodach i podnieść nogę przy jednym z piramidalnych krzewów tui, które stoją po bokach grzęd różanych — przy tym z prawej strony, co dzięki nawykowi Bauszana marnieje rokrocznie wskutek przepalenia i musi ulec zmianie. Schodzi więc i robi to, do czego nie zmusza go prawdziwa potrzeba, co jednak mimochodem może służyć mu do rozrywki. Stoi długo, mimo zupełnej niewydajności swego zajęcia, na trzech nogach, tak długo, aż czwarta zaczyna drżeć w powietrzu i Bauszan musi podskoczyć, aby nie utracić równowagi. Potem znów stoi na czworakach i czuje się nie lepiej niż przedtem. Tępo spogląda w gałęzie grupy jesionów, przez które z ćwierkaniem przemykają dwa ptaki, patrzy za pierzastymi, jak śmigają w dal z szybkością strzały, i odwraca się, zdając się wzruszać ramionami z powodu tak dziecinnej płochości. Przeciąga się i wypręża, jakby się chciał rozedrzeć, i gwoli dokładności rozkłada to przedsięwzięcie na dwie fazy; naciąga naprzód przednią część ciała, podnosząc tylną do góry, po czym wypręża tylną, wydłużając wstecz zadnie nogi; i za każdym razem rozdziawia paszczę w bydlęcym ziewaniu. Potem i to się skończyło, czynność nie da się rozwinąć i przeciągnąwszy się dopiero co wedle wszelkich reguł, nie podobna tego na razie znów robić. Więc Bauszan stoi i patrzy smętnie w ziemię. Potem zaczyna powoli i badawczo kręcić się dokoła siebie, jakby się chciał położyć i nie wie tylko, w jaki sposób. Ale zmienia zamiar i lezie gnuśnym krokiem na środek trawnika, gdzie nagłym, niemal dzikim ruchem rzuca się na grzbiet, by w żywym tarzaniu się na zżętej murawie wytrzeć się i ochłodzić. Musi to być połączone z uczuciem silnej rozkoszy, gdy tarzając się ściąga kurczowo łapy i w zawrotnym szale podrażnienia i zadowolenia gryzie powietrze na wszystkie strony. Tym namiętniej wypija jałowy puchar rozkoszy do dna, gdyż wie, że puchar ten nie ma żadnej treści, że nie można tarzać się tak dłużej niż dziesięć sekund i że nie następuje potem to słodkie znużenie, które

zdobywa się wesołym wysiłkiem, tylko otrzeźwienie i podwójna czczość, którą płaci się odurzenie, ogłuszającą rozpustę. Leży przez chwilę z przewróconymi oczyma, jak nieżywy, na boku. Potem wstaje, aby się otrząsnąć. Otrząsa się, jak tylko on to potrafi, bez obawy o wstrząs mózgu, otrząsa się, że aż klaszcze i klekocze, aż uszy biją go pod brodę i wargi odlatują od białośnieżnych kłów. A potem? Potem stoi na trawniku bez ruchu, w sztywnym zapomnieniu o świecie, nie wiedząc w końcu już zupełnie, co robić. W tych okolicznościach chwyta się ostateczności. Wchodzi na taras, zbliża się do drzwi szklanych i z odrzuconymi w tył uszyma, z istną miną żebraka, wyciąga z wahaniem jedną łapę i drapie w drzwi — tylko raz i bardzo słabo, ale ta łagodnie i niepewnie podniesiona łapa, to delikatne i jednorazowe drapanie, na które się zdobył, bo nie umiał sobie inaczej poradzić, wzruszają mnie potężnie, więc wstaję, aby mu otworzyć, aby go wpuścić, choć wiem, że to nie może prowadzić do niczego dobrego; gdyż natychmiast zaczyna skakać i tańczyć dla zachęty do męskich wyczynów, marszczy dywan w sto fałdów, czyni w pokoju zamieszanie i spokój mój przepadł.

Ale proszę teraz osądzić, czy na widok takiego czekania łatwo mi odjechać tramwajem i pozostawić go jako smutny punkcik hen, w głębi topolowej alei! W lecie, gdy dzień jest długi, nieszczęście nie jest ostatecznie tak wielkie, bo wtedy istnieją jeszcze widoki, że przynajmniej przechadzka wieczorna wywabi mnie w pole, tak że Bauszan, choć po ciężkim oczekiwaniu, jednak wyjdzie jeszcze na swoje i jeśli będzie miał szczęście, będzie mógł pogonić za zającem. Ale w zimie, kiedy odjadę w południe, wszystko jest na ten dzień skończone i Bauszan musi na dwadzieścia cztery godziny pożegnać się z wszelką nadzieją. Gdyż wówczas, w porze mego drugiego wyjścia, jest już dawno ciemno i tereny myśliwskie pogrążone są w niedostępnych mrokach, muszę zwracać swe kroki w sztucznie oświetlone okolice, w górę rzeki, przez ulice i miejskie plantacje, a to nie jest nic dla natury i prostych

zmysłów Bauszana; z początku szedł wprawdzie za mną, ale wkrótce dał pokój i zostawał w domu. Nie tylko dlatego, że brakowało mu widnej swobody uganiania, lecz półmrok czynił go strachliwym; bał się szalenie człowieka i krzaka, na widok powiewającej peleryny policjanta uskakiwał z wyciem na bok i z odwagą przerażenia wpadał na również śmiertelnie przestraszonego stróża porządku, który doznanemu wstrząsowi dawał upust w potoku grubych i groźnych obelg pod adresem moim i Bauszana; i wiele innych nieprzyjemności spotykało nas, gdy towarzyszył mi po nocy. Co do policjanta pragnę zresztą napomknąć, że są trzy rodzaje ludzi, do których Bauszan czuje zdecydowany wstręt: policjanci, zakonnicy i kominiarze. Nie znosi i napada z wściekłym szczekaniem, gdy przechodzą mimo domu lub gdziekolwiek pokażą mu się na oczy.

Poza tym zima jest porą roku, kiedy świat najśmielej nastaje na naszą wolność i cnotę, nie pozwala nam na równomiernie skupione istnienie, istnienie w odosobnieniu i cichej zadumie, toteż miasto ściąga mnie do siebie często i po raz drugi, jeszcze raz, wieczorem, towarzystwo domaga się swych praw i dopiero późno o północy ostatni tramwaj wysadza mnie na przedostatnim przystanku albo jeszcze później, gdy już w ogóle od dawna nie ma czym jechać, wracam pieszo, roztargniony, rozmarzony winem, z cygarem w ustach, bez śladu naturalnego znużenia i przejęty fałszywą beztroską w stosunku do wszystkiego. Wtedy to zdarza się, że na spotkanie moje wychodzi domatorstwo, moje właściwe i ciche życie, przyjmuje i wita mnie nie tylko bez wyrzutów i gniewu, lecz z wielką radością, wprowadzając mnie znów do siebie — a czyni to wszystko w postaci Bauszana. W zupełnej ciemności, przy szumie rzeki, skręcam w topolową aleję i po kilku krokach czuję dokoła siebie taniec i wywijanie ogonem — z początku nie wiem przez kilka minut, co się dzieje. — Bauszan? — pytam w ciemność... Wtedy taniec i wywijanie urasta do ostatecznych granic, zmienia się w pląs derwisza i szaleń-

stwo wśród trwającej wciąż ciszy i w chwili, gdy przystaję, mam uczciwe, choć mokre i brudne łapy u klap płaszcza na piersi i czuję przed swą twarzą mlaskot i prychanie, tak że muszę podać się w tył, klepiąc chudą, również od śniegu czy deszczu mokrą łopatkę... Tak, poczciwiec wyszedł po mnie do tramwaju; znając moje nawyki, jak zawsze, wybrał się, gdy mu się wydała po temu pora, i oczekiwał mnie na stacji — czekał może długo w śniegu i deszczu i jego radość z mego ostatecznego powrotu nie ma w sobie nic z urazy z powodu mej okrutnej niewierności, chociaż dziś zaniedbałem go zupełnie, a cała jego nadzieja i oczekiwanie były daremne. Klepiąc, chwalę go bardzo i chwalę w drodze powrotnej. Mówię mu, że pięknie postąpił, i daję wiążące obietnice co do dnia jutrzejszego, zapewniam go (to znaczy, nie tak jego, jak siebie), że jutro w południe pójdziemy z pewnością i bez względu na pogodę razem na polowanie, i wśród takich postanowień rozwiewa się mój nastrój światowy, powaga i trzeźwość wracają do duszy, a z wyobrażeniem terenów myśliwskich i samotności wiąże się myśl o obowiązkach wyższych, tajemnych i cudownych.

Ale pragnę dodać do charakterystyki Bauszana dalsze cechy, tak aby wystąpił przed oczyma życzliwego czytelnika w możliwej do osiągnięcia żywości. Może uczynię najzręczniej, jeśli dla porównania scharakteryzuję nieboszczyka Percy, gdyż trudno w zakresie jednego gatunku przedstawić sobie wybitniejsze przeciwieństwo niż to, jakie istniało między tymi dwiema naturami. Zasadniczo trzeba stwierdzić, że Bauszan cieszy się całkowitym zdrowiem duchowym, natomiast Percy, co już wspomniałem i co u psów szlachetnej rasy często się zdarza, był przez całe swe życie błaznem, wariatem, wzorem przesadnej do niemożliwości hodowli. Wspomniałem o tym przy innej sposobności. Czymś biegunowo różnym jest ludowa prostota Bauszana, objawiającą się na przykład przy wychodzeniu lub powitaniu; w chwilach tych oznaki jego wzruszeń mieszczą się w zakresie zrozumiałości i zdrowej

serdeczności, nie tykając nawet granic histerii, które zachowanie Percy przekraczało przy takich sposobnościach często w sposób oburzający.

Nie wyczerpuje to jednak całego przeciwieństwa tych dwóch stworzeń; w rzeczywistości jest ono bardziej zawiłe i złożone. Gdyż Bauszan jest wprawdzie surowy jak istota z ludu, ale również jak ona wrażliwy na ból; natomiast szlachecki jego poprzednik łączył z większą delikatnością i zdolnością cierpienia nieporównanie silniejszą i dumniejszą duszę i mimo całego wariactwa przewyższał chłopka o wiele samokarnością. Nie w znaczeniu jakiegoś arystokratycznego twierdzenia naukowego, tylko jedynie gwoli prawdzie życiowej, zaznaczam tę mieszaninę przeciwieństw: surowości i miękkości, delikatności i stałości. Bauszan na przykład potrafi najzimniejsze noce zimowe spędzać na dworze, to znaczy na słomie, za grubymi zasłonami swej budy. Słabość pęcherza nie pozwala mu przebywać siedem godzin bez przerwy w zamkniętym domu, aby nie zawinić; więc trzeba, chcąc nie chcąc, zamykać przed nim drzwi nawet w nieprzyjaznych porach roku, ufając jego potężnemu zdrowiu. Bo jeśli nawet kiedy po niezwykle lodowato-mglistej nocy zjawi się nie tylko z bajecznie oszronionymi wąsami i brodą, lecz i trochę zaziębiony, z jednozgłoskowym, urywanym psim kaszlem, po kilku godzinach przezwycięża podrażnienie nie ponosząc żadnej szkody. Któż by się był ważył narażać jedwabistego Percy na srogość takiej nocy? Z drugiej strony boi się Bauszan każdego, nawet najmniejszego bólu i odpowiada nań wprost nikczemnością, która musiałaby budzić wstręt, gdyby właśnie nie rozbrajała przez swą naiwną ludowość i nie budziła wesołości. Co chwila, kiedy poluje w zaroślach, słyszę jego głośne kwiki, bo drasnął go cierń lub smagnęła sprężysta gałąź; a jeśli w skoku przez ogrodzenie otrze sobie trochę brzuch lub wytknie nogę, wydaje wówczas wrzask antycznego bohatera, kusztyka na trzech nogach i skomli nieutulony w płaczu, tym bardziej zresztą przejmującym, im litośniej się doń prze-

mawia, choć za kwadrans znów będzie gonił i skakał jak przedtem.

Co innego z Percevalem. Tamten zaciskał zęby. Harapa bał się jak Bauszan i, niestety, wąchał go częściej niż ten; gdyż po pierwsze byłem młodszy i bardziej porywczy za jego życia, a poza tym jego brak rozsądku przybierał czasem piętno zbrodniczości i złości, które po prostu wołały o karę i nadto drażniły. Kiedy więc, doprowadzony do ostateczności, zdejmowałem korbacz ze ściany, on, skulony, właził wprawdzie pod stół lub ławkę, ale ani jeden głos bólu nie wyszedł z jego warg, gdy świsnął cios jeden i drugi; co najwyżej stęknięcie, jeśli raz zapiekł go nazbyt — natomiast kum Bauszan kwiczy i wrzeszczy już z ordynarnego tchórzostwa, gdy tylko podniosę ramię. Krótko, brak poczucia honoru, brak surowości wobec siebie. Zresztą sprawowanie jego nie daje prawie powodu do karnych wystąpień, zwłaszcza że dawno oduczyłem się żądać od niego wyczynów, które sprzeciwiają się jego naturze i których wymaganie mogłoby doprowadzić do starcia.

Sztuczek, na przykład, nie wymagam od niego; byłoby to daremne. Nie jest uczonym dziwem jarmarcznym czy arcyzabawnym służalcem; jurny myśliwczyk, żaden profesor. Zaznaczyłem już, że skoczek z niego wyborny. Jeśli trzeba, bierze każdą przeszkodę; gdy jest za wysoka, by pokonać ją swobodnym skokiem, to wdrapuje się na nią z rozbiegu i opuszcza się z drugiej strony, dość że ją bierze. Ale przeszkoda musi być przeszkodą rzeczywistą, to znaczy taką, pod którą nie można przebiec lub prześliznąć się: inaczej Bauszan uzna skakanie przez nią za wariactwo. Mur, rów, krata, niedziurawy parkan, oto są takie przeszkody. Poprzeczny drąg, podstawiona laska n i e s ą nimi, więc też nie można przez nie skakać nie popadając w błazeńską sprzeczność z sobą i rzeczami. Bauszan nie chce tego czynić. Wzbrania się. Próbuj skłonić go do skoku przez taką nierzeczywistą przeszkodę; z wściekłości nie pozostanie ci wreszcie nic innego, jak chwy-

cić psa za kołnierz i przeraźliwie kwiczącego przerzucić na drugą stronę, po czym przybiera minę, jakby to celowi życzeń twych stało się zadość, i święci to zdarzenie tańcami i natchnionym szczekaniem. Pochlebiaj mu, bij go — stoisz wobec rozumowego oporu przeciw czystej sztuce, którego nie przełamiesz żadną miarą. Nie jest nieuczynny, ceni sobie zadowolenie pana, przesadza zamknięty płot na moje życzenie lub rozkaz, nie tylko z własnego popędu, i podbiega radośnie po pochwałę za to lub podziękę. Przez drąg, przez laskę nie przeskoczy, tylko podbiegnie, choćbyś go zabił. Stokrotnie prosi o przebaczenie, o wzgląd, o litość, gdyż boi się przecie bólu, boi się go aż do tchórzostwa; ale żaden strach i żaden ból nie zdołają go zmusić do czynu, który pod względem fizycznym byłby dlań tylko dziecinną igraszką, a do niej brak mu widocznie duchowych danych. Wymagać ich od niego nie znaczy postawić go wobec pytania, czy chce skakać, czy nie; to pytanie jest z góry rozstrzygnięte, a rozkaz znaczy po prostu: baty. Gdyż żądać od niego tego, co niezrozumiałe, a przez tę niezrozumiałość i niewykonalne, znaczy w jego oczach szukać tylko pozoru do waśni, do zakłócenia przyjaźni i do batów, i jest już tym samym początkiem tego wszystkiego. Takie jest, o ile widzę, zapatrywanie Bauszana i wątpię, czy może tu być mowa o zatwardziałości. Zatwardziałość da się w końcu złamać, pragnie nawet być złamana, ale on przypieczętowałby swój opór przeciw sztuce absolutnej śmiercią.

Przedziwna dusza! Tak bliska przyjaźnią, a jednak tak obca, tak odmienna w pewnych punktach, że słowo nasze okazuje się niezdolne do zrozumienia jego logiki. Jak się ma sprawa, na przykład, ze straszliwymi dla uczestników jak i widzów denerwującymi okolicznościami, wśród których odbywa się spotkanie, zapoznanie się lub tylko powzięcie wiadomości o sobie psów? Sto razy w wyprawach swych z Bauszanem byłem świadkiem takiego spotkania; powiem lepiej: musiałem być z ściśniętym sercem jego świadkiem i każdym razem, na przeciąg trwania sceny, jego znane zresztą zachowanie stało

się dla mnie nieprzejrzyste — nie podobna mi było wniknąć współczująco w uczucia, prawa, obyczaje rodowe, będące podstawą tego zachowania. Istotnie, spotkanie dwóch obcych sobie psów na wolnym powietrzu należy do najprzykrzejszych, najciekawszych i najfatalniejszych z wszystkich możliwych procesów; owiane jest demonicznością i osobliwością. Panuje tu mus, dla którego nie ma dokładniejszych nazw; nie mogą się minąć, jest to straszne zakłopotanie.

Nie mówię o wypadku, że jedna ze stron zamknięta jest w obejściu, za parkanem lub płotem — i wtedy nie można zrozumieć, jak jest obojgu na sercu, ale sprawa jest stosunkowo mniej drastyczna. Wietrzą się wzajemnie z niedosiężnej dali i nagle Bauszan, jakby szukając opieki, zbliża się do mnie, wydając skomlenie, które mówi o nie dającej się określić, żadnym słowem wyrazić męce i udręce duszy, gdy jednocześnie pies obcy, zamknięty, zanosi się wściekłym szczekaniem, które chce mieć pozór energicznej, oznajmiającej czujności, chwilami jednak niepostrzeżenie przechodzi w tony podobne wygłosom Bauszana, w tęskne, płaczliwie zazdrosne, biadające skomlenie. Zbliżamy się do miejscowości, mijamy ją. Obcy pies oczekiwał nas za płotem, stoi tam, lżąc i opłakując swą bezsilność, wspina się dziko na parkan i przybiera minę — o ile na serio, nikt nie wie — jakby miał niechybnie rozszarpać w kawały Bauszana, gdyby mógł tylko dostać się do niego. Mimo to Bauszan, który mógłby przecie zostać przy mym boku i przejść mimo, podchodzi do płotu; musi, uczyniłby to nawet wbrew memu słowu; jego trzymanie się z daleka obraziłoby wewnętrzne prawa, ugruntowane głębiej i bardziej niezłomne niż mój zakaz. Podchodzi więc i wykonywa przede wszystkim z pokorną i cicho zamkniętą miną ową czynność ofiarną, przez którą, jak mu wiadomo, da się zawsze osiągnąć pewne uspokojenie i przejściowe przejednanie tamtego, dopóki mianowicie tamten na innym miejscu czyni to samo, choć wśród cichych obelg i łkań. Potem oba zaczynają dziką gonitwę wzdłuż płotu, jeden z tej, drugi z tamtej

strony, niemo i zawsze tuż obok siebie. Zawracają jednocześnie na końcu obejścia i szaleją raz jeszcze. Ale nagle, w środku, stają jak wryte, już nie bokiem do płotu, lecz prostopadle do niego, i zbliżają przezeń swe nosy. Tak stoją długą chwilę, by podjąć znów osobliwą, bezowocną gonitwę, ramię przy ramieniu, z dwóch stron parkanu. Wreszcie mój korzysta z wolności i oddala się. Straszna chwila dla zamkniętego! Nie może tego znieść, widzi bezprzykładną nikczemność w tym, że tamtemu mogło przyjść choćby na myśl odejść sobie po prostu; szaleje, pieni się z wściekłości, zachowuje się jak wariat, galopuje sam po całym obejściu, grozi, że przeskoczy przez płot, by zadławić niewiernego, i ściga go najbardziej prostackimi obelgami. Bauszan słyszy to wszystko i jest tym bardzo boleśnie dotknięty, o czym świadczy jego cicha, stropiona mina; ale nie ogląda się za siebie i drałuje cicho naprzód, gdy straszliwe klątwy za nami przechodzą stopniowo znów w skomlenie i milkną powoli.

Taka mniej więcej odgrywa się scena, gdy jedna strona znajduje się w zamknięciu. Atoli niebezpieczeństwo dochodzi do szczytu, gdy spotkanie odbywa się w różnych warunkach i oba znajdują się na wolnej stopie; niemiło to opisywać; jest to najbardziej przygnębiająca, najdrażliwsza, najkrytyczniejsza sprawa na świecie. Bauszan, który dopiero co jeszcze skakał beztrosko, podchodzi do mnie, ciśnie się po prostu do mych nóg z owym płynącym z głębi duszy skomleniem, o którym nie można powiedzieć, jakie wyraża uczucie, które jednak poznaję natychmiast i z którego wnoszę o zbliżaniu się obcego psa. Muszę bystro wytężyć oczy i istotnie, oto nadchodzi i widać już z daleka po ociągliwych i napiętych ruchach, że i on spostrzegł tamtego. Mój własny niepokój nie ustępuje ich nieśmiałości; zdarzenie to jest dla mnie zgoła niepożądane. — Idź precz! — mówię do Bauszana. — Czemu przy mojej nodze? Czy nie moglibyście załatwić swej sprawy w pewnej odległości? — I staram się przepędzić go laską; bo jeśli dojdzie do gryzienia, co bez względu na to, czy widzę

do tego powód, czy go nie widzę, nie jest zgoła nieprawdopodobne, to odbędzie się ono u mych stóp i doznam najniemilszego wrażenia. — Idź precz! — mówię cicho. Ale Bauszan nie odchodzi, trzyma się mnie mocno, niespokojny, i tylko na chwilę odchodzi pod drzewo, by złożyć ofiarę, gdy obcy, jak widzę, z tyłu czyni to samo. Teraz zbliżyły się na dwadzieścia kroków, naprężenie jest straszne. Obcy położył się na brzuchu, przykucnął jak tygrys, z wyciągniętą w przód głową i w postawie zbója na czatach czeka zbliżenia się Bauszana, widocznie, aby w danej chwili skoczyć mu do gardła. Ale to się nie dzieje i Bauszan, zda się, też nie oczekiwał tego; w każdym razie idzie, choć strasznie ociągliwie i z ciężkim sercem, wprost na czatownika, uczyniłby to i musiałby to uczynić nawet wtedy, gdybym skręcił w boczną ścieżkę i pozostawił go samego wszystkim trudnościom położenia. Mimo grozy spotkania o ustąpieniu, o ucieczce nie ma co myśleć. Idzie oczarowany, przykuty jest do tamtego, oba przykute są do siebie w sposób drażliwy i ciemny i nie śmieją temu zaprzeczyć. Zbliżyliśmy się teraz na dwa kroki.

Tamten wstaje cicho, jakby nigdy nie przybierał miny tygrysa w dżungli, i stoi teraz tak samo jak Bauszan; zmyte, nędzne i głęboko zakłopotane stoją oba psy i nie mogą się minąć. Chciałyby snadź, odwracają głowy, zezują smutnie na bok, wspólne poczucie winy zda się ciężyć na nich. W napięciu, z chmurną ostrożnością suną i pełzną ku sobie i obok siebie, bok przy boku, obwąchując sobie wzajem tajemnicę płodzenia. Zaczynają przy tym mruczeć, więc cichym głosem wołam Bauszana po imieniu i ostrzegam go, gdyż jest to chwila, w której się rozstrzygnie, czy dojdzie do gryzienia, czy też minie mnie ten wstrząs. Zaczęło się gryzienie, nie wiadomo jak, a jeszcze mniej, dlaczego; nagle oba tworzą tylko jeden kłąb i szalony wir, z którego wyrywają się straszne, gardłowe dźwięki drapieżnych bestyj. Wtedy muszę interweniować laską, by zapobiec nieszczęściu, muszę też nieraz chwycić Bauszana za obrożę lub skórę na karku, aby go prze-

mocą podnieść do góry, gdy tamten zajadle wisi na nim, i nałykać się jeszcze wiele innych strachów, które przez dłuższy czas przechadzki czuję w kościach. Ale zdarza się też, że po przygotowaniach i ceremoniach wszystko kończy się jak najlepiej i spełza na niczym. W każdym razie trudno jest ruszyć z miejsca: nawet jeśli się nie pogryzły, łączy ich jednak zbyt silny węzeł wewnętrzny. Już zdają się rozchodzić, nie trwają już przy boku, lecz stoją niemal w prostej linii, ten zwrócony tu, drugi tam, nie widzą się, nie odwracają nawet głowy wstecz, zezują tylko, ile można, gałkami ślepiów za siebie. Jednak, choć dzieli ich już przestrzeń, nie popuszcza silny, smutny węzeł i żaden z nich nie wie, czy nastała już chwila dozwolonego oswobodzenia, oba chciałyby już odejść, tylko żaden nie śmie wyrwać się przez jakiś niepokój sumienia. Aż nareszcie czar mija, węzeł pęka i Bauszan skacze, wyzwolony, z ulgą serca, jakby mu na nowo darowano życie.

Mówię o tych rzeczach, aby zaznaczyć, jak obco i osobliwie przedstawia się czasem istota tak bliskiego przyjaciela; wtedy robi mi się nieswojo i mroczno; patrzę na to kiwając głową i orientuję się tylko przeczuciem. Poza tym jednak znam jego duszę tak dobrze, z pogodną sympatią rozumiem wszystkie jej objawy, grę jego min, jego całe zachowanie. Jakże znam, by przytoczyć jaki bądź przykład, pewne piskliwe ziewanie, które zjawia się, gdy jakaś wycieczka rozczarowała go przez to, że była za krótka i pod względem sportowym jałowa: kiedy zacząłem dzień późno, dopiero przed samym obiadem wyszedłem z Bauszanem w pole i zaraz znów wracam. Wtedy idzie obok mnie i ziewa. Jest to ziewanie bezwstydne, nieuprzejme, rozdziawione, bydlęce ziewanie, któremu towarzyszy piskliwy ton gardłowy i obrażający wyraz znudzenia. „Ładnego mam pana — mówi pies. — Późno w nocy przyprowadziłem go od mostu, a dzisiaj siedzi za szklanymi drzwiami i każe czekać na siebie u wyjścia, że można by zdechnąć z nudów; i kiedy wreszcie wyjdzie, to po to, aby znów wrócić,

zanim się powącha zwierzyny. A hi! Ładny pan. Nie pan! Huncwot!"

To właśnie wyraża ziewanie Bauszana z taką wyrazistością, że niesposób tego nie rozumieć. Przyznaję też, że ma słuszność i że zawiniłem względem niego; więc wyciągam rękę, by na pociechę poklepać go po łopatce lub pogłaskać po głowie. Ale on dziękuje za pieszczoty tak ceremonialne, nie przyjmuje ich, ziewa raz jeszcze, możliwie jeszcze nieuprzejmiej, i unika ręki, choć z natury, w przeciwieństwie do Percy, a w zgodzie z swą ludową wrażliwością na ból, jest wielkim amatorem delikatnych pieszczot. Zwłaszcza lubi, jeśli go drapać w gardło, i ma śmiesznie energiczny sposób skierowywania ręki, krótkimi poruszeniami głowy, na to właśnie miejsce. Że jednak teraz nie chce o czułościach nic wiedzieć, to pochodzi, poza rozczarowaniem, stąd, iż w stanie ruchu, to jest, gdy ja znajduję się w ruchu, nie przemawiają doń i nie obchodzą go. Pies znajduje się wtedy w zbyt męskim nastroju ducha, by lubować się nimi, co zmienia się jednak natychmiast, kiedy usiądę. Wtedy z uprzejmości jest serdecznie wrażliwy, a sposób jego odwzajemniania cechuje niezgrabnie marzycielskie natręctwo.

Kiedy czytam książkę, siedząc na krześle w kącie ogrodu przy murze albo na trawie, oparty plecami o ulubione drzewo, chętnie przerywam umysłowe zajęcie, aby pomówić trochę i pobawić się z Bauszanem. O czym z nim mówię? Przeważnie wymawiam jego nazwisko, dźwięk, który spomiędzy wszystkich najbardziej go obchodzi, gdyż oznacza jego samego, i który przeto na całą jego istotę działa elektryzująco. Pobudzam i rozpalam jego poczucie jaźni, zapewniając go z rozmaitym akcentem i każąc mu rozważać, że nazywa się Bauszan i jest nim; i kiedy czynię to przez pewien czas, wprawiam go w prawdziwy zachwyt, w pewnego rodzaju upojenie tożsamością, tak że zaczyna kręcić się dokoła siebie i z dumnej cieśni swej piersi szczeka głośno i radośnie ku niebu. Albo bawimy się tak, że uderzam go w nos, on zaś łapie moją rękę

jak muchę. To rozśmiesza nas obu — tak, Bauszan śmieje się także i to jest najdziwniejszy i najbardziej przejmujący widok na świecie. Wzruszony jestem widząc, jak· pod wpływem zaczepki drżą kąciki jego ust i jego zwierzęco chude wargi, jak w czarniawej minie stworzenia zjawia się fizjonomiczny wyraz ludzkiego śmiechu lub choćby mętny, niezaradny i melancholijny jego odblask i znowu znika, by ustąpić miejsca oznakom strachu i zakłopotania, i znów się wydobywa...

Ale urywam tu, nie chcąc gubić się dalej w szczegółach. Prócz tego niepokoi mnie objętość, jaką wbrew memu zamiarowi przybrać może ten pobieżny opis. Pragnę teraz pokrótce przedstawić bohatera mego w jego świetności i w jego żywiole, w owym położeniu życiowym, w którym jest najbardziej sobą i które uwydatnia najbardziej jego wszystkie zalety, to jest na polowaniu. Przedtem jednak muszę dokładniej zaznajomić czytelnika z widownią tych uciech, z naszym terenem myśliwskim, moim krajobrazem nad rzeką; gdyż ma on ścisły związek z osobą Bauszana, jest mi osobliwie miły, znany i ważny, co w konsekwencji i bez dalszych nowelistycznych racji musi być uznane za dostateczny tytuł do jego opisu.

W KNIEI

W ogrodach naszej małej, szeroko rozplanowanej kolonii odcinają się wszędzie ostro od delikatnych, nowych plantacyj stare olbrzymy drzewne, przewyższające dachy, i występują niedwuznacznie jako oryginalne zalesienie i praludność tej okolicy. Są dumą i ozdobą tej młodej jeszcze osady; oszczędzono je starannie i zachowano, o ile się dało, w całości, gdzie zaś przy wymierzaniu i ogradzaniu parcel doszło do konfliktu z jednym z olbrzymów, to znaczy, gdzie okazało się, że taki srebrzysto-omszały dostojnik stoi właśnie na linii demarkacyjnej, tam płot opisuje małe półkole dokoła niego, aby go włączyć do ogrodu, albo też w betonie muru pozostawiono

uprzejmą lukę, w której starzec sterczy obecnie, na pół prywatnie, na pół publicznie, z obciążonymi śniegiem konarami lub w ozdobie swego drobnego, późno puszczającego listowia.

Gdyż są to okazy jesionu, drzewa, jak mało które, lubiącego wilgoć, i to charakteryzuje osobliwość gruntu naszej okolicy. Niedawne to czasy, kiedy przemysł ludzki skarczował ją i uczynił zdatną do zamieszkania, piętnaście lat temu. Przedtem było tu dzikie bagno, siedlisko komarów, gdzie wierzby, karłowate topole i tym podobne pokrzywione drzewska przeglądały się w gnijących stawach. Okolica bowiem jest namuliskiem; kilka metrów pod ziemią znajduje się warstwa nieprzepuszczalna, więc grunt był od niepamiętnych czasów moczarowaty i we wszystkich wgłębieniach stała woda. Osuszono go obniżając zwierciadło rzeki; nie znam się na inżynierii, ale w zasadzie chodziło o tę sztukę, dzięki której woda, nie mogąc wsiąknąć, musiała odpłynąć, tak że teraz na wielu miejscach podziemne potoki wpadają do rzeki i grunt mógł nabrać stałości, przynajmniej po większej części; gdyż jeśli kto zna miejscowość tak jak ja i Bauszan, ten wie, że idąc w dół rzeki znajdzie się w gęstwinie niejedną sitowiem obrosłą kotlinkę, która przypomina swój stan pierwotny, ukryte miejsca, gdzie wilgotnemu chłodowi nie zaszkodzi najgorętszy dzień letni i gdzie w takie dnie chętnie oddycha się przez kilka minut.

W ogóle okolica ta zachowała ciekawą swą osobliwość, przez którą różni się już na pierwszy rzut oka od brzegów wód górskich, ukazujących zresztą zazwyczaj lasy szpilkowe i omszałe łąki — zachowała, powtarzam, pieszczotliwą swą osobliwość, nawet gdy nabyło ją towarzystwo parcelacyjne, i wszędzie, nawet poza ogrodami, oryginalna jej prawegetacja przeważa nad wprowadzoną i zaszczepioną. W alejach i publicznych plantacjach chowa się dziki kasztan, szybko rosnący klon, nawet buki i różne krzewy ozdobne; ale wszystko to nie jest oryginalne, wszystko sadzone, tak samo jak włoska topola, która sterczy rzędami w swej bezpłodnej męs-

kości. Wymieniłem jesion jako drzewo tubylcze — jest on bardzo rozpowszechniony, znajdujemy go w każdym okresie wieku, jako stuletniego olbrzyma i miękką latorośl, która masami, jak chwast, wyrasta ze żwiru; i on to, wraz z srebrną i drżącą topolą, brzozą, wierzbą, jako drzewem i krzewem, nadaje charakterystyczne piętno krajobrazowi. Są to jednak wszystko drzewa małolistne i małolistność, drobność listowia, przy olbrzymich często wymiarach kształtów drzewnych, stanowi też wpadającą natychmiast w oko cechę okolicy. Wyjątek stanowi wiąz, który w wielu miejscach rozpościera pod słońce swój duży liść, jakby piłką w ząbki wycinany i na powierzchni lepkolśniący, poza tym wielkie mnóstwo roślin pnących, które wszędzie wśród drzewostanu oplatają młodsze pnie, mieszając z ich liśćmi swe własne. Smukła postać olchy skupia się w miejscach zagłębionych w małe gaiki. Lipę jednak spotyka się bardzo rzadko, dębu nie ma wcale ani sosny. Widnieją one jednak w kilku miejscach na wschodnim stoku, granicy naszej dziedziny, gdzie z innym rodzajem gruntu zaczyna się inna, zwykła zresztą, roślinność. Czarno odcinają się tam sosny na tle nieba, spoglądając strażniczo na naszą dolinę.

Od stoku do rzeki nie ma więcej nad pięćset metrów, wyliczyłem to krokami. Być może, że w dół rzeki pas brzeżny rozszerza się nieco w wachlarz — różnica w każdym razie nie jest wielka i rzecz dziwna, jak bogatą rozmaitość krajobrazową przedstawia wąska okolica nawet i wtedy, gdy z dowolnej przestrzeni wzdłuż rzeki, w kierunku jej biegu, czynimy z Bauszanem tak umiarkowany użytek, gdyż wyprawy nasze trwają rzadko dwie godziny, licząc drogę tam i z powrotem. Wszelako rozmaitość widoków, możność kombinowania coraz nowych przechadzek, przeto też nieuprzykrzanie sobie krajobrazu i nieuświadomienie jego ciasnoty, mimo ustawicznej z nim styczności, polega na tym, że rozpada się on na trzy różne regiony czy strefy, które można przemierzać pojedynczo lub też łączyć razem skośnymi ścieżkami: istnieje strefa rzeki

z jej bezpośrednim wybrzeżem z jednej strony, strefa stoku z drugiej strony i strefa lasu pośrodku.

Największą część szerokości zajmuje strefa lasu czy parku, gaju wierzbowego czy zarośli nadrzecznej — szukam dla tego dziwnego szmatu ziemi nazwy trafniejszej i dokładniejszej niż słowo las i nie znajduję jednak, jak mi się zdaje, stosownej. O lesie w zwykłym tego słowa znaczeniu, o takim salonie z mszystościółkowym podszyciem i pniami równej niemal grubości, nie ma zgoła mowy. Drzewa naszego rewiru są najrozmaitszego wieku i najrozmaitszej objętości; są między nimi olbrzymie praojce rodu wierzb i topoli, zwłaszcza wzdłuż rzeki, ale też i wewnątrz zagajnika; potem są inne, już dorosłe, mogące liczyć dziesięć do piętnastu lat, i wreszcie legion cienkich pieńków, dzikie, naturalnego siewu szkółki młodych dębów, brzóz i olch, które jednak mimo to nie robią wrażenia chudości, gdyż, jak już wspomniałem, obrastają je grubo pnącze, które na ogół tworzą obraz niemal podzwrotnikowej bujności; atoli podejrzewam je, że hamują wzrost swych gospodarzy, gdyż w ciągu lat, odkąd tu żyję, nie widzę, aby te pieńki nazbyt zgrubiały.

Drzewa przedstawiają nieliczne, blisko spokrewnione gatunki. Olcha należy do rodziny brzóz, topola nie jest ostatecznie niczym innym jak wierzbą. I można by stwierdzić podobieństwo ich wszystkich do zasadniczego typu tej ostatniej, wiadomo bowiem leśnikom, że ród drzew bardzo lubi przystosowywać się do charakteru okolicy, naśladować każdorazowo panujący styl linii i kształtu. Tutaj panuje fantastyczna, wiedźmowo-koślawa linia wierzby, tej wiernej towarzyszki i mieszkanki płynących jak i stojących wód, z gałęźmi wyciągniętymi jak krzywe paluchy, jak miotły, a inne starają się jawnie naśladować jej wygląd. Srebrna topola wykrzywia się zupełnie w jej guście; od niej zaś trudno często odróżnić brzozę, która pod wpływem ducha miejscowości lubuje się w osobliwych skrzywieniach, co nie znaczy, aby to miłe drzewo nie występowało też tu i ówdzie, nawet licznie, w nie-

zwykle kształtnych, a przy korzystnym oświetleniu popołudniowym w czarujących oczy okazach. Okolica zna je jako srebrną łodyżkę z kilku rzadkimi, w czub spiętrzonymi liśćmi; jako wysmukłą, zgrabną dziewicę o strzelistym kredowym pniu, zwieszającą w sposób wdzięczny i tęskny warkocze swego listowia; jednocześnie zaś w iście słoniowatej grubości, z pniem, którego człowiek nie obejmie ramionami i którego kora nie wykazuje prawie śladu gładkiej bieli, spodem zaś jest szorstkim, czarnym jak węgiel, popękanym drzewskiem.

Co do gruntu, nie ma on z gruntem leśnym żadnego podobieństwa. Jest żwirowaty, gliniasty, nawet piaszczysty i nie należałoby uważać go za urodzajny. Mimo to w granicach swych jest on żyzny aż do zbytku. Rośnie na nim wybujała trawa, która często przybiera postać suchą, ostrokanciastą, jak na wydmach, w zimie zaś pokrywa ziemię niby stratowane siano, często przechodzi wprost w sitowie, gdzie indziej jednak kołysze się wśród sękatych korzeni drzew miękka, gruba, soczysta, zmieszana z cykutą, pokrzywą, podbiałem i przeróżnym pełzającym zielskiem, z wybujałym ostem, miękkimi jeszcze pędami drzew, tworząc wygodną kryjówkę dla bażantów i innych kur leśnych. Nad tą obfitością i gęstwą pnie się w szerokolistnych wieńcach po drzewach dzikie wino, spiralny dziki chmiel i jeszcze w zimie łodygi ich oplatają pnie niby twardy, nierozerwalny drut.

Nie jest to las ani park, tylko ni mniej, ni więcej ogród zaczarowany. Będę bronił tego słowa, choć w gruncie rzeczy idzie o skąpą, ograniczoną i do kalectwa chylącą się naturę, którą można wyczerpać i określić kilkoma prostymi botanicznymi nazwami. Grunt jest falisty, podnosi się i opada ciągle, co wytwarza piękną zwartość krajobrazu, nieprzejrzaność nawet z boków; ba, gdyby poręba ciągnęła się na lewo i prawo milami lub tak daleko, jak ciągnie się na długość, zamiast mierzyć z obu stron od środka tylko sto kilkadziesiąt kroków, to nie można by czuć się bardziej skrytym, utajonym, odosobnionym. Tylko równomierny szum od zachodu przypomina uchu

przyjazną bliskość rzeki, której nie widać... Są tu wądoły pełne bzu, kocierpki, jaśminu i czeremchy, tak że w parne dni czerwcowe pierś ledwie pomieścić może wonie. Istnieją też wklęsłości, proste jamy żwirne, których zbocza i dno porasta kilka pędów wierzbowych i trochę suchej szałwii.

Wszystko to nie przestaje działać na mnie w sposób przedziwny, choć od wielu lat stało się dla mnie chlebem codziennym. To mnóstwo jesionów, podobnych do olbrzymich paproci, te pnącze i oczerety, ta wilgoć i suchość nastrajają mnie jakoś fantastycznie i aby wyrazić całe me wrażenie: zdaje się, jakby człowiek znajdował się wśród krajobrazu innej epoki geologicznej lub też w krainie podmorskiej, jakby chodził po dnie wód, i wyobrażenie to ma coś wspólnego z rzeczywistością: gdyż woda stała tu niegdyś w wielu miejscach, zwłaszcza w owych zagłębieniach, które teraz jako czworokątne kotliny, porosłe zasianymi przez naturę dzikimi szkółkami jesionów, służą owcom za pastwiska, a jedna taka kotlinka leży tuż za mym domem.

Puszcza pocięta jest wszerz i wzdłuż dróżkami, po części smugami stratowanej trawy lub też żwirowymi ścieżkami, które widocznie nie zostały założone, tylko wydeptane, choć nikt nie mógłby powiedzieć, kto je wydeptał. Gdyż niezmiernie rzadko spotykamy na nich z Bauszanem człowieka i towarzysz mój staje na jego widok stropiony, wydając głuchy szczekot, który bardzo dokładnie wyraża też moją własną postawę uczuciową wobec tego zdarzenia. Nawet w piękne, letnie popołudnie niedzielne, gdy mnóstwo spacerowiczów z miasta wylewa się w naszą okolicę (gdyż zawsze jest tu o kilka stopni chłodniej niż gdzie indziej), możemy snuć się po tych drogach niemal bez przeszkód, gdyż ludzie nie znają ich, a pociąga ich potężnie przede wszystkim woda, rzeka, na której najniższym nadbrzeżu gęsty tłum ludzki faluje tam i sam, o ile nie uniemożliwia tego powódź. Co najwyżej spotkać można obozującą w gęstwinie parę miłosną, która spogląda na nas z swego gniazda zuchwałymi i nieśmiałymi oczy-

ma zwierzów, jakby chciała spytać przekornie, czy może nie podoba się nam jej obecność i ustronne zachowanie, czemu przeczymy milcząco, skręcając na bok: Bauszan z obojętnością, z jaką przyjmuje wszystko, co nie zalatuje zapachem zwierzyny, ja zaś z miną niemą, bez wyrazu, która może mówić wszystko, a nie zdradza ani cienia pochwały czy nagany.

Ścieżki te jednak nie są jedynymi środkami komunikacji w mym parku. Są tam u l i c e, dokładnie mówiąc, zamiary, które kiedyś były ulicami lub kiedyś nimi być miały, albo też, jeśli Bóg da, naprawdę jeszcze kiedyś będą... Rzecz ma się tak: jeszcze dobry kawał za zabudowaną częścią okolicy, małą kolonią will, widać ślady torującej drogę siekiery i sangwinicznej przedsiębiorczości. Myślano o przyszłości, robiono śmiałe plany. Spółka handlowa, która przed dziesięciu czy piętnastu laty wzięła ten szmat ziemi w swe ręce, miała inne, to jest wspanialsze, co do niej (i co do siebie samej) zamiary, niż później wypadło; osiedle nie miało ograniczać się do garstki will, które dziś tutaj stoją. Istniało mnóstwo parcel, na przestrzeni całego kilometra wzdłuż rzeki, wszystko było — i jest jeszcze dzisiaj — gotowe do przyjęcia nabywców i miłośników domatorskiego trybu życia. Szeroki rozmach cechował posiedzenia rady owej spółki. Nie poprzestawano na umacnianiu brzegów, na wybudowaniu dostępnego pobrzeża czy ogrodowych plantacjach. Ręka kultury sięgnęła nawet w gęstwinę, zaczęto karczować, żwirować, łączyć dzikie zarośla ulicami wzdłuż i w poprzek — pięknie pomyślanymi, wspaniałymi ulicami lub projektami na nie, z grubym żwirem, z zaznaczeniem jezdni i szerokich miejskich chodników, po których jednak teraz nie przechadzają się obywatele poza Bauszanem i mną: pierwszy na dobrej i wytrwałej skórze swych czterech podeszew, ja w butach, podbitych z powodu żwiru gwoździami. Gdyż nie ma na razie will, które wedle obliczeń i zamiarów spółki winny by od dawna błyszczeć na nich uprzejmie, choć ja przecie dałem tak dobry przykład i zbudowałem sobie dom w tej okolicy. Nie ma ich, powiadam,

od dziesięciu czy piętnastu lat i nie dziw, że jakiś niemiły nastrój owiał te okolice, a w łonie spółki zagnieździła się niechęć do dalszych wydatków i wykończenia szeroko zakreślonego dzieła.

A jednak rzecz doszła już tak daleko, że te ulice bez mieszkańców posiadają już swoje uregulowane nazwy, jak w jakiejś miejskiej lub zamiejskiej dzielnicy; pragnąłbym jednak wiedzieć, co za marzycielski czy retrospektywnie myślący pięknoduch-spekulant nadał im je. Jest tu ulica Gellerta, ulica Opitza, ulica Flemminga, ulica Bürgera, a nawet ulica Adalberta Stiftera, po której z dziwną sympatią i nabożeństwem przechadzam się w swych podbitych gwoździami butach. U wejścia do nich, jak to bywa zwykle na nieszczelnie zabudowanych ulicach podmiejskich, które nie mają narożnika, umieszczone są słupy, a na nich umocowane tabliczki: niebieskie, wedle tutejszego zwyczaju, emaliowane tabliczki z białymi literami. Ale tabliczki te nie są w najlepszym stanie, zbyt długo już oznaczają nazwiskami szkice ulic, przy których nikt nie chce mieszkać, i one to w nienajmniejszym stopniu są oznaką przykrego nastroju, klapy i zatamowanego rozwoju. Sterczą zaniedbane; nikt nie dba o ich zachowanie, o ich odnowienie, a słońce i deszcze dały im się dobrze we znaki. Emalia odprysnęła w kilku miejscach, białe litery zjadła rdza, tak że zamiast napisów zieją z nich tylko brunatne plamy i luki z brzydko ząbkowanymi brzegami, przerywają obrazy nazwisk i utrudniają często ich odczytanie. Kiedym się tu sprowadził i zapoznawał się z okolicą, jedna zwłaszcza tablica zmuszała mnie do mozolnego łamania sobie głowy. Była to tablica wyjątkowo długa, a słowo „ulica" utrzymane było w całości; z właściwego jednak imienia, które, jak rzekłem, było bardzo długie, znakomita większość liter pozostała ślepa i zżarta rdzą: brązowe luki pozwalały wnioskować o ich ilości; rozpoznać jednak było można tylko połowę S na początku, jakieś e w środku i znowuż e na końcu. Było tego za mało dla mej bystrości, uważałem, że jest to równanie o zbyt wielu

niewiadomych. Stałem długo z rękami na plecach, wpatrzony w długą tablicę, i studiowałem. Potem z Bauszanem ruszyłem dalej chodnikiem. Ale kiedy wyobrażałem sobie, że myślę o czymś innym, coś po kryjomu pracowało we mnie dalej, duch mój szukał zniszczonego nazwiska i nagle strzeliło mi do głowy — stanąłem i przestraszyłem się: zawróciłem szybko, stanąłem znów przed tablicą, porównywałem i próbowałem. Tak, pasowało i zgadzało się. Ulica, którą szedłem, była ulicą Shakespeare'a.

Tabliczki odpowiadają ściśle ulicom, a ulice tabliczkom: są rozmarzone i dziwnie podupadłe. Biegną przez gąszcz, w którym zostały wycięte, ale gąszcz nie spoczywa, nie pozwala, aby ulice trwały dziesiątki lat nietknięte, aż zjawią się osadnicy; czyni wszystko, aby się z e w r z e ć, gdyż to, co tu rośnie, nie boi się żwiru, przyjmuje się na nim, toteż na jezdni, jak i na chodnikach, bujają sobie purpurogłowe osty, niebieska szałwia, srebrzysta wierzbina i zieleń młodych jesionów; nie ma wątpliwości: ulice parkowe o poetycznych nazwach zapuszczają się chwastem, gęstwina wchłania je znowu i bez względu na to, czy się będziemy tym martwić, czy radować, za dalsze lat dziesięć po ulicach Opitza i Flemminga nie będzie można chodzić, gdyż prawdopodobnie znikną, jakby ich nigdy nie było. Oczywiście na razie nie ma powodu do skargi, gdyż z punktu widzenia malarskiego i romantycznego nie ma z pewnością na całym świecie ulic piękniejszych niż te w swym obecnym stanie. I nic przyjemniejszego, jak włóczyć się wśród zaniedbanego i niegotowego parku, o ile ma się na nogach mocne buciska, aby nie bać się żwiru, nie ma nic milszego, jak patrzeć ponad urozmaiconą gęstwinę podszycia na drobnolistną, miękką, wilgocią stonowaną porębę, która obramienia i zamyka perspektywy. Jest to poręba, jaką malował przed trzystu laty ów lotaryński pejzażysta. Ale cóż mówię: j a k ą malował. Malował tę właśnie! Był tutaj, znał okolicę, studiował ją niewątpliwie; i gdyby marzycielski akcjonariusz, który nazywał ulice parku, nie był się tak surowo ograniczył do li-

teratury, to jedna z zardzewiałych tabliczek powinna by nosić nazwisko Claude Lorraine'a.

Opisałem rejon średniego zagaja. Ale i strefa wschodniego stoku posiada dla mnie i dla Bauszana uroki nie do pogardzenia z powodów, które później wyłuszczę. Można by ją też nazwać strefą potoku, gdyż on nadaje jej piętno sielskiego pejzażu i tworzy, wraz z kontemplacyjnością swych niezapominajkowych gruntów, z tej strony odpowiednik wielkiej rzeki z tamtej strony, rzeki, której szum przy wiejącym przeważnie wietrze zachodnim dochodzi aż tutaj. Tam, gdzie pierwsza z sztucznych przecznic, biegnąca między pastewnymi kotlinami i leśnymi parcelami na kształt grobli ku stokowi, kończy się nad rzeką, prowadzi na lewo w niżej leżącą okolicę droga, która w zimie służy młodzieży za tor saneczkowy. Tam, gdzie się droga wyrównywa, potok zaczyna swój bieg i po jego brzegach, z lewej czy z prawej strony, co znów może być urozmaiceniem, pan i pies lubią się przechadzać wzdłuż rozmaicie ukształtowanego stoku. Po lewej roztaczają się drzewami otoczone łąki. Widać tam wiejskie gospodarstwo ogrodowe, pokazujące tyły swych zabudowań; owce skubiąc koniczynę pasą się pilnowane przez małą, niezupełnie mądrą dziewczynkę w czerwonej sukience: w rozkazodawczej wściekłości opiera ona ciągle ręce o kolana i z całych sił krzyczy niemile brzmiącym głosem, straszliwie jednak boi się przy tym wielkiego barana, któremu wełna nadaje pozór majestatycznej grubości i który nie słucha żadnego zakazu i robi, co mu się żywnie podoba. Najokropniej krzyczy dziecko wtedy, gdy pojawienie się Bauszana wywołuje panikę wśród owiec, a dzieje się to regularnie, wbrew zamiarom i chęciom Bauszana, któremu owce są w głębi duszy raczej obojętne i który zupełnie nie zwraca na nie uwagi, a nawet przez akcentowane niedostrzeganie i pogardliwą ostrożność stara się zapobiegać wybuchowi szaleństwa. Gdyż, choć dla mego powonienia pachną mocno (zresztą w sposób nieprzykry), nie wydają jednak woni dzikiej zwierzyny, toteż Bauszan nie ma najmniejszego powodu ścigać

ich. Mimo to wystarczy jeden ruch z jego strony, a nawet proste pojawienie się, by naraz cała trzoda, która dopiero co, becząc spokojnie dziecięcymi i męskimi głosy, pasła się w rozproszeniu, rzuciła się nagle zbitą masą, grzbiet przy grzbiecie, w bok, gdy poza nimi nierozumne dziecko, nisko skulone, krzyczy, aż gardło mu pęka i oczy wyłażą z głowy. Bauszan jednak patrzy na mnie niemal, jakby mówił: sam powiedz, czy jestem winien i czy dałem jaki powód.

Raz jednak stało się coś przeciwnego, co robiło jeszcze przykrzejsze, w każdym razie dziwniejsze wrażenie niż panika. Jedna z owiec, zwykły okaz swego rodzaju, średniej wielkości i przeciętnej owczej twarzy, zresztą z wąskim, w górę wykrzywionym pyskiem, który zdawał się uśmiechać i nadawał stworzeniu wyraz złośliwej niemal głupoty, zadurzyła się, jakby zakochała w Bauszanie i przyłączyła się doń. Poszła po prostu za nim, opuściła trzodę i uśmiechając się cicho, z przesadną głupotą, towarzyszyła Bauszanowi wszędzie, dokądkolwiek się zwrócił. Pies opuścił drogę, owca za nim; on zaczął biec, ona również puściła się cwałem; on stanął, ona to samo tuż za nim, uśmiechając się tajemniczo. Niezadowolenie i zakłopotanie malowały się na twarzy Bauszana i rzeczywiście położenie jego było do najwyższego stopnia niesmaczne, nie miało najzupełniej sensu, zdawało się tak głupie, że ani mnie, ani jemu nie zdarzyło się nigdy nic podobnego. Owca oddalała się coraz bardziej od swej bazy, ale to zdawało się nic ją nie obchodzić, szła coraz dalej za rozgniewanym Bauszanem, zdecydowana widocznie nie rozłączać się z nim zupełnie, tylko trzymać się go, dopóki się da. Bauszan trzymał się mnie cicho, mniej z obawy, do której nie było zgoła powodu, niż ze wstydu, że znajduje się w tak niehonorowej sytuacji. Wreszcie, jakby miał tego dość, stanął, odwrócił głowę i warknął groźnie. Owca beknęła, aż się rozległo, jak kiedy człowiek zaśmieje się bardzo złośliwie, co biednego Bauszana przeraziło tak, że uciekł z podwiniętym ogonem, a owca w śmiesznych podskokach za nim.

Odeszliśmy już daleko od trzody, a tymczasem szalona dziewczynka krzyczała, jakby miała pęknąć, nie tylko pochylając się ku kolanom, lecz podnosząc je w krzyku na przemian aż do twarzy, tak że z daleka przedstawiała widok pokracznego szaleństwa. Po czym nadbiegła podkasana dziewka, czy to zwabiona krzykiem, czy też dziwacznym zdarzeniem. Biegła dzierżąc w jednej ręce widły, drugą przytrzymując nie umocowane piersi, które nazbyt chwiały się w biegu, doścignęła nas bez tchu i starała się owcę, która szła znów krokiem, bo czynił to i Bauszan, odpędzić widłami w należytym kierunku, co się jej jednak nie udawało. Wprawdzie owca uskakiwała przed widłami na bok, ale zakosem znajdowała się znów przy Bauszanie i żadna moc nie mogła jej odeń oderwać. Wtedy poznałem, że jedno tylko pomoże, i zawróciłem. Wracaliśmy wszyscy, Bauszan za mną, za nim owca, a za owcą dziewka z widłami, dziewczynka zaś w czerwonej sukience krzyczała ku nam, kuląc się i tupiąc nogami. Nie dość jednak na tym, że wróciliśmy do trzody, musieliśmy całą drogę przebyć do końca. Musieliśmy zajść do fermy i do owczarni, której szerokie drzwi na kółkach dziewka rozsunęła przed nami. Weszliśmy do środka i gdyśmy wszyscy tam stali, musieliśmy obaj znów wymknąć się zręcznie i zamknąć oszukanej owcy drzwi przed nosem, tak że była uwięziona. Dopiero wtedy mogliśmy z Bauszanem, wśród dziękczynień dziewki, podjąć przerwaną przechadzkę, podczas której jednak Bauszan aż do końca był markotny i upokorzony.

Tyle o owcach. Z budynkami gospodarczymi łączy się z lewej strony rozległa kolonia ogródków działkowych, która swymi letnimi, podobnymi do kapliczek domkami i licznymi płotkami sprawia wrażenie cmentarne. Kolonia ogrodzona jest też jako całość, przez furtę wejścia mają tam dostęp tylko przynależni ogrodnicy i często widuję też jegomościa z gołymi ramionami, który okopuje swój dziewięciostopowy warzywnik, tak iż ma się wrażenie, jakby kopał swój własny grób. Potem ciągną się znów otwarte, kretowiskami okryte

łąki, które sięgają po skraj średniego rejonu leśnego i w których prócz kretów gnieżdżą się też liczne myszy polne, co zaznaczam ze względu na Bauszana i jego różne żyłki myśliwskie.

Z drugiej, to jest z prawej strony płynie potok i ciągnie się zbocze w rozmaitej, jak rzekłem, postaci. Zrazu posiada posępny, bezsłoneczny charakter i porośnięte jest sosnami. Potem staje się kopalnią piasku, która odbija ciepło promienie słoneczne, potem kopalnią żwiru, wreszcie zwaliskiem cegieł, jakby w górze zburzono dom i zsypano tu po prostu bezwartościowe szczątki, tak że potok napotyka chwilowo na trudności w biegu. Ale daje sobie z nimi radę, wody jego zatrzymują się nieco i przelewają się zabarwione czerwono miałem palonej gliny, barwiąc też trawę, którą skrapiają. Potem jednak płyną tym czystsze i pogodniejsze, migocąc tu i ówdzie słońcem na powierzchni.

Lubię bardzo potok jak wszystkie wody, od morza do kałuży sitowiem porosłej, i kiedy latem wśród gór ucho me usłyszy z daleka tajemny plusk i szum strumienia, to idę długo, jeśli trzeba, za płynnym dźwiękiem, by odkryć jego łożysko, spojrzeć w twarz skrycie rozmownemu synowi wyżyn i zawrzeć z nim znajomość. Piękne są potoki, które spływają z głośnym hukiem wśród jodeł, przez strome progi skalne, tworzą zielone, lodowate kipiele i białą pianą spadają prostopadle na następny próg. Ale patrzę z przyjemnością i miłością również na strumienie równin, zarówno te płytkie, co ledwo pokrywają toczony, srebrzysto-śliski żwir swego koryta, czy też głębokie jak małe rzeki, które w pełni i w sile toczą się pod opieką nisko z obu stron zwieszonych brzóz, mając w środku prąd szybszy niż po bokach. Któż wśród wędrówek nie szedł za biegiem wód, jeśli tylko miał wolność wyboru? Siła przyciągania, jaką wywiera woda na człowieka, jest naturalna i sympatycznego rodzaju. Człowiek jest dzieckiem wody, w dziewięciu dziesiątych składa się z niej nasze ciało i w pewnym stadium naszego rozwoju przed urodzeniem

posiadamy skrzela. Co do siebie wyznaję chętnie, że patrzenie na wodę, w każdej formie i postaci, jest dla mnie najbezpośredniejszym, najgłębszym rodzajem rozkoszowania się naturą, ba, sądzę, że tylko to patrzenie pozwala mi naprawdę pogrążyć się w sobie, naprawdę zapomnieć o sobie, stopić własną ograniczoną istotę z powszechnością. Patrzenie to, nawet na śpiące lub grzmiąco-szturmujące morze, zdolne jest wprawić mnie w stan tak głębokiego, organicznego rozmarzenia, tak dalekiej nieobecności, że tracę wszelkie poczucie czasu i nuda staje się pojęciem nijakim, gdyż w takim zjednoczeniu i towarzystwie godziny upływają mi jak minuty. Ale również przechylony przez poręcz kładki, wiodącej przez potok, mógłbym stać bez końca, zapatrzony w toki, wiry i prądy, nie czując trwogi lub zniecierpliwienia z powodu innego toku dokoła mnie i we mnie, szybkiej ucieczki czasu. Ta sympatia z naturą wody czyni mi dlatego drogim i cennym ten wąski szmat ziemi, który zamieszkuję, że z dwóch stron oblany jest wodą.

Potok tutejszy jest jednym z prostych i serdecznych potoków, nie ma w nim nic nadzwyczajnego, cechuje go uprzejma przeciętność. Naiwnie przeźroczy jak szkło, bez fałszu i obłudy, ani myśli mętem udawać głębinę, jest płytki i jasny i pokazuje niewinnie na swym dnie, w zielonym szlamie, wyrzucone garnki blaszane i zewłok sznurowanego trzewika. Zresztą jest dość głęboki, by służyć za mieszkanie ładnym, srebrzystoszarym i niezwykle chybkim rybkom, które za naszym zbliżeniem uciekają w szerokich zygzakach. W kilku miejscach rozlewa się na kształt stawów, porastając na brzegach pięknymi wierzbami, z których jedną szczególnie podziwiam mimochodem. Rośnie ona na stoku, więc w pewnym oddaleniu od wody. Ale jedna gałąź pręży się stamtąd tęsknie ku potokowi, dokazując istotnie tyle, że nurt wody zwilża lekko srebrzyste listowie jej kończyny. A ona rozkoszuje się tym zetknięciem.

Miło jest przechadzać się tam w powiewie ciepłego letniego

wiatru. Jeśli jest gorąco, Bauszan wchodzi do potoku, aby ochłodzić sobie brzuch; gdyż górnej części ciała dobrowolnie nie zanurzy. Położywszy uszy po sobie, stoi i z pobożną miną płucze się w wodzie. Potem podchodzi do mnie, aby się otrzepać, co jego zdaniem odbyć się musi w bezpośrednim moim pobliżu, choć wobec gwałtowności tych otrząsów obryzguje mnie ulewa wody i szlamu. Nic nie pomaga, że bronię się słowem i kijem. Nie da się ograniczyć w tym, co wydaje mu się prawidłowe i niezbędne.

Przechodzimy do strefy rzeki, która widnieje przed nami, zielona i biało-pienista. W gruncie rzeczy jest to tylko wielki potok, płynący od gór, ale jego nieustanny szum, który mniej lub więcej stłumionym głosem roznosi się po okolicy, tu jednak w całej pełni wnika do uszu, może w całości zastąpić święty rozgwar morza, o ile mieć go nie można. Łączy się z tym nieustanny pokrzyk niezliczonych mew, które w jesieni, w zimie i nawet jeszcze na wiosnę z głodnym skrzeczeniem okrążają ujścia rur odpływowych, szukając tam pożywienia, zanim pora roku pozwoli im bytować nad górnymi jeziorami, podobnie jak dzikie i półdzikie kaczki, które również tutaj, w pobliżu miasta, chłodne i zimne spędzają miesiące, kołyszą się na falach, dają się unosić wirującemu, chybotliwemu spadowi, w ostatniej chwili porywają się z progu i osiadają znów wyżej na rzece...

Rejon wybrzeża dzieli się na następujące człony i stopnie: na skraju zagaja roztacza się szeroka płaszczyzna żwiru, jako dalszy ciąg kilkakroć wymienianej alei topolowej, na przestrzeni jakiegoś kilometra w dół rzeki, to znaczy do domu przewoźnika; o domu tym, za którym gąszcz zbliża się do rzeki, będzie jeszcze mowa. Wspomnieliśmy już o pustyni żwiru: jest to główna i najważniejsza z dalekobieżnych, sztucznych ulic, zaprojektowana wspaniale przez spółkę, jako krajobrazowo najpiękniejsza esplanada dla eleganckich pojazdów; tam właśnie wytworni panowie na koniach mieli podjeżdżać do drzwiczek połyskliwie lakierowanych landar

i z uśmiechniętymi, wygodnie rozpartymi damami zamieniać kilka dowcipnych słów. Koło domu przewoźnika duża, skrzywiona, upadkiem grożąca tablica poucza, jaki miał być bezpośredni cel i chwilowy kres korsa powozów, gdyż wielkie litery głoszą, iż plac ten jest do sprzedania dla urządzenia na nim kawiarni parkowej i wytwornego zakładu restauracyjnego... Tak, jest do sprzedania i pozostaje nadal. Gdyż zamiast kawiarni ze stolikami, latającymi kelnerami i siorbającymi gośćmi sterczy wciąż jeszcze krzywa tablica, beznadziejnie kłoniąca się do upadku propozycja bez popytu, a korso jest tylko pustynią grubego żwiru, wierzbiny i niebieskiej szałwii, pustynią tak gęsto zachwaszczoną juk ulica Opitza i Flemminga.

Obok esplanady, bliżej rzeki, biegnie wąska i również mocno zachwaszczona żwirowa grobla z trawiastymi szkarpami; stoją na niej słupy telegraficzne. Korzystam z niej jednak chętnie podczas przechadzek, przede wszystkim dla rozmaitości, po wtóre dlatego, że choć utrudnia chodzenie, pozwala nie brudzić się, gdy ścieżka gliniasta na dole jest w czas słotny nie do użycia. Ścieżka ta, właściwa promenada, która godzinami ciągnie się wzdłuż rzeki, przechodząc wreszcie w dzikie ścieżki nadbrzeżne, obsadzona jest od strony wody młodymi drzewkami, klonem i brzozą, od strony lądu zaś stoją potężni pramieszkańcy okolicy, wierzby, osiki i srebrne topole olbrzymich rozmiarów. Zbocze jej spada stromo i głęboko ku łożysku rzeki. Wiklina i beton w dolnej części zabezpieczają ją przeciw powodzi, która raz czy dwa razy do roku, w czasie tajania śniegu w górach lub długotrwałych deszczów, dociera aż do niej. Tu i ówdzie widać drewniane szczeble, na pół drabiny, na pół schody, po których można zejść wygodnie do właściwego łożyska: jest to przeważnie suche, prawie sześć metrów szerokie zapasowe łożysko wielkiego potoku górskiego, który zachowuje się zupełnie na wzór małych i najmniejszych członków swej rodziny, to jest czasami, stosownie do opadów w wyższych okolicach swego biegu, przedstawia tylko zielony ściek z ledwo zalanymi skałami,

gdzie wysokonogie mewy zdają się stać na wodzie; w innych okolicznościach zaś przybiera po prostu niebezpieczny charakter, wzbiera w rzekę, napełnia swe szerokie koryto strasznym hukiem, wirując unosi kosze, krzaki, zdechłe koty, okazując skłonność do wylewów i gwałtów. Również łożysko zapasowe umocnione jest przeciw powodzi równolegle skośnymi plecionkami z wierzbiny. Porasta wszędzie ostrą trawą, głuchym owsikiem i wszędzie obecną, ozdobną rośliną okolicy, suchą niebieską szałwią; łożysko jest dostępne dzięki temu, że pas wybrzeża z równych kamieni biegnie samym skrajem fal i stwarza mi dalszą, najmilszą możliwość urozmaicania przechadzek. Wprawdzie marsz po niepodatnych kamieniach nie należy do najwygodniejszych; ale w pełni nagradza za to swoiste pobliże wody, zresztą można niekiedy iść obok nabrzeża p i a s k i e m: tak, między żwirem i ostrą trawą jest piasek, zmieszany trochę z gliną, nie tak nieskazitelnie czysty jak piasek morski, lecz jednak piasek napływowy; więc można przechadzać się bez końca skrajem wody, nie brak szumu ani krzyku mew, ani owej czas i przestrzeń pochłaniającej jednostajności, która użycza pewnego rodzaju ogłuszającej rozrywki. Wszędzie szemrzą płaskie katarakty i w połowie drogi do domu przewoźnika miesza się z tym szum wodospadu, którym kanał skośnym ujściem wpada do rzeki. Tułów wodospadu jest sklepiony, lśniący, szklany jak ciało ryby i wrze u dołu nieustannie.

Pięknie tu jest, gdy niebo błękitne, a prom ozdobiony chorągiewką na cześć pogody lub z innego świętalnego powodu. Jest więcej łodzi w tym miejscu, lecz prom przymocowano do liny drucianej, która z inną, grubszą liną drucianą, rozpiętą przez rzekę, połączona jest w ten sposób, że biegnie po niej na krążku. Sam prąd pędzi prom, ster w ręku przewoźnika dokonywa reszty. Przewoźnik z żoną i dzieckiem mieszka w domu, który z ogródkiem i kurnikiem leży nieco za górną ścieżką i jest z pewnością mieszkaniem urzędowym i bezpłatnym. Jest to rodzaj willi karlich rozmiarów, zbudowanej

kapryśnie i lekko z małymi wykuszami i stryszkami, mieszczącej, jak się zdaje, dwie izby na dole, a dwie na górze. Chętnie przesiaduję na ławce przed ogródkiem, tuż przy górnej ścieżce, Bauszan waruje u mych nóg. Kury przewoźnika chodzą dokoła mnie, wyrzucając za każdym krokiem głowy, kogut najczęściej wzlatuje na poręcz ławki, zwiesza w dół zielone, bersalierskie pióra swego ogona i siedzi tak obok mnie, lustrując mnie bystro z boku swym czerwonym okiem. Przyglądam się ruchowi przewozowemu, którego nie można nazwać gwałtownym ani ożywionym, gdyż odbywa się on w długich przerwach. Tym chętniej widzę, gdy od czasu do czasu zjawi się mężczyzna lub kobieta z koszem i żądają, by przewieziono ich przez rzekę; gdyż poezja „przeprawy" pociąga nadal człowieka jak za najdawniejszych czasów, choć czynność ta, jak tutaj, odbywa się w formach nowocześnie postępowych. Drewniane, podwójne schody, dla przybywających i odjeżdżających, prowadzą zboczem w dół ku łożysku rzeki i w górę ku ścieżkom i z obu stron przy każdym z wejść umieszczony jest guzik elektryczny. Na drugim brzegu zjawia się człowiek, stoi cicho i spogląda przez wodę. Nie woła już, jak niegdyś, przez dłoń zwiniętą w trąbkę. Podchodzi do guzika, wyciąga rękę i przyciska. W willi przewoźnika rozbrzmiewa przeraźliwy dzwonek: to znaczy „holuj"; nawet i tak zawsze jeszcze poetycznie. Potem przybysz stoi, czeka i wygląda. I niemal w tej samej chwili, gdy rozlega się dzwonek, wychodzi przewoźnik z swego urzędowego domku, jak gdyby stał za drzwiami lub siedział na krześle, czekając tylko na znak — wychodzi, a w krokach jego jest coś takiego, jakby w sposób mechaniczny został bezpośrednio przez naciśnięcie dzwonka wprawiony w ruch, jak kiedy w strzelnicach strzela się w drzwi domku; jeśli trafisz, drzwi otwierają się i wychodzi z nich figura, jakaś pasterka lub szyldwach. Nie śpiesząc się i kołysząc miarowo rękami, schodzi przewoźnik przez ogródek, przez ścieżkę i stopnie drewniane do rzeki, uruchamia prom i dzierży ster, gdy krążek mknie po biegnącej w po-

przek linie, i przeprawia łódź na drugą stronę. Na drugiej stronie zabiera przybysza, który, przebywszy rzekę, z tej strony, na ścieżce, wręcza mu niklowy pieniądz, wbiega wesoło po schodach i zwraca się na prawo lub lewo. Czasami, kiedy słabość lub pilne zajęcia domowe wstrzymują przewoźnika, wychodzi jego żona lub nawet dziecko i przewozi przybysza; umieją to równie dobrze i ja umiałbym także. Urząd przewoźnika jest łatwy i nie wymaga szczególnych zdolności lub przygotowań. Może mówić o szczęściu i pomyślnym losie, mogąc prebendę tę nazywać swoją i zamieszkiwać karlą willę. Każdy głupiec mógłby go doskonale zastąpić, o czym on wie zapewne i zachowuje się skromnie i wdzięcznie. Wracając mówi mi, siedzącemu na ławce między psem i kogutem, „Szczęść Boże" i widać, że nie chce robić sobie wrogów.

Woń dziegciu, wiatr znad wody i głuchy plusk o drzewo łodzi. Czegóż chcieć więcej? Czasem nachodzi mnie inne swojskie wspomnienie: woda śpi głęboko, pachnie nieco zgnilizną — to laguny, to Wenecja. Ale potem znów burzy się fala, deszcz leje bez końca; w płaszczu gumowym, z zalaną twarzą, pruję na górnej ścieżce twardy wiatr zachodni, który w alei odrywa młode topole od ich palów i pozwala zrozumieć, dlaczego drzewa rosną tu skośno i mają jednostronnie rozwiniętą koronę; Bauszan zaś często przystaje w drodze, by się otrzepać, aż bryzga na wszystkie strony. Rzeka nie jest już tym, czym była. Wezbrana, ciemnożółta, toczy się z wyrazem katastrofalnym. Dzika fala kołysze się, prze i śpieszy, brudnymi wodami zapełnia całe zapasowe łożysko aż do brzegu szkarpy, ba, tryska nad obetonowanie, nad zabezpieczające zarośla wierzbowe, tak że błogosławi się zabiegliwą przezorność. Rzecz niesamowita: w tym stanie rzeka staje się c i c h a, cichsza niż zazwyczaj, niemal bezgłośna. Nie ma wartkich zazwyczaj spadków, jest na to zbyt wezbrana; ale miejsca te poznać po tym, że fale tworzą tam głębsze doliny i wznoszą się wyżej niż gdzie indziej i że grzebienie ich przewalają się w tył, nie zaś w przód, jak grzebienie kipieli.

Wodospad nie gra już w ogóle żadnej roli; tułów jego jest płaski i nędzny, szum u jego stóp prawie unicestwiony przez wysoki stan wody. Co zaś do Bauszana, to zdumienie jego z powodu takiej zmiany rzeczy nie zna granic. Nie wychodzi w ogóle z podziwu, nie pojmuje, że sucha przestrzeń, po której zwykle kłusuje i gania, dziś znikła przykryta wodą; przestraszony ucieka na szkarpę przed wysokim przyborem fali, ogląda się za mną machając ogonem, spogląda znów na wodę, z zakłopotaniem otwiera krzywo pysk i znów go zamyka wtykając jęzor w kąty; ta mimika robi zarówno ludzkie jak zwierzęce wrażenie, jako środek wyrazu może mało subtelna i nieokrzesana, lecz zupełnie zrozumiała; na taką samą, wobec fatalnego stanu rzeczy, mógłby się zdobyć prosty, nędznie urodzony człowiek, drapiąc się jednocześnie jeszcze za uchem.

Zająwszy się bliżej i strefą rzeki, opisałem całą okolicę i, o ile widzę, uczyniłem wszystko, aby ją unaocznić. Podoba mi się ona bardzo w opisie, ale w naturze podoba mi się jeszcze bardziej. Jest w tej sferze dokładniejsza i bardziej urozmaicona, jak i sam Bauszan jest w rzeczywistości cieplejszy, żywszy i weselszy niż jego magiczne odbicie. Kocham ten krajobraz i jestem mu wdzięczny, dlatego go opisałem. Jest on mym parkiem i moją samotnością; myśli moje i sny są zmieszane i zrośnięte z jego obrazami, jak listowie jego pnączy z jego drzewami. Patrzyłem nań w różnych porach dnia i roku: w jesieni, gdy chemiczna woń więdnących liści napełnia powietrze, kiedy okwita wełną mnóstwo krzewiastych ostów, kiedy wielkie buki „parku zdrojowego" zaścielają łąkę dokoła siebie rdzawym kobiercem liści, a ociekające złotem popołudnia przechodzą w teatralno-romantyczne odwieczerze z pływającym po niebie sierpem księżyca, z mleczną szeżogą unoszącą się nad ziemią i z zorzą płonącą poprzez czarne sylwety drzew... W jesieni więc, jako też i zimie, kiedy śnieg pokrywa miękko i wygładza żwir, tak że można kroczyć po nim w kaloszach, kiedy rzeka mknie czerniąc się wśród bladych, mro-

zem spętanych brzegów, a krzyk setek mew napełnia powietrze od rana do wieczora. Ale najswobodniej i najzażylej obcuje się z nim jednak w czasie łagodnych miesięcy, kiedy nie trzeba żadnych przygotowań, by szybko, między dwiema przelotnymi ulewami, wyjść na kwadransik, mimochodem odgiąć sprzed twarzy gałąź kaliny i rzucić tylko okiem na wędrujące fale. Może byli w domu goście, którzy już wyszli, człowiek zmęczony rozmową pozostał wśród czterech ścian, gdzie unosi się jeszcze w powietrzu tchnienie obcości. Wtedy dobrze jest, tak jak się stoi, wyjść, powłóczyć się po ulicy Gellerta czy Stiftera, aby odetchnąć i wypocząć. Spojrzy się w niebo, potem w głąb pięknych i miękkich zarośli, nerwy uspokajają się, powaga i cisza wstępuje znów do duszy.

Ale Bauszan zawsze jest przy tym. Nie mógł przeszkodzić wtargnięciu świata do domu, protestował strasznym głosem i przeciwstawiał mu się, ale wszystko było na nic, więc usunął się na bok. Teraz jest rad, że znowu jestem z nim w rewirze. Z odrzuconymi niedbale w tył płatami uszu, biegnąc ogólnym psim zwyczajem na skos, tak że nogi tylne nie poruszają się wprost za przednimi, tylko nieco bokiem, cwałuje po żwirze przede mną. I nagle widzę, jak go przejęło całego, a sztywnie podniesiony kikut ogona zaczyna gwałtownie merdać. Głowa rzuca się w przód i w tył, ciało wypręża się i wydłuża, pies skacze tam i sam i nagle sadzi, z nosem ciągle przy ziemi, w określonym kierunku. To ślad. Jest na tropie zająca.

POLOWANIE

Okolica obfituje w łowną zwierzynę i polujemy na nią: Bauszan poluje, a ja się przyglądam. W ten sposób polujemy na zające, kuropatwy, myszy polne, krety, kaczki i mewy. Ale nie stronimy też od wielkich łowów, polujemy też na bażanty, a nawet na sarnę, jeśli ta czasem w zimie zabłądzi do kniei. Denerwujący to wtedy widok, gdy wysokonogie, lekko zbu-

dowane zwierzę, żółciejąc na tle śniegu, kołysząc wysoko białym talerzem, ucieka przed małym, dobywającym wszystkich sił Bauszanem: śledzę tę scenę z największym zaciekawieniem i naprężeniem. Nie, aby coś z tego miało wyniknąć; nigdy się to nie stało i nie stanie się. Ale brak namacalnych wyników ani nie umniejsza ochoty i namiętności Bauszana, ani nie uszczupla w najmniejszym stopniu mej własnej przyjemności. Uprawiamy łowy dla łowów, łowy jako takie, nie dla łupów, dla korzyści, i Bauszan jest, jak rzekłem, stroną czynną. Nie oczekuje po mnie niczego prócz moralnej pomocy, gdyż innego sposobu współdziałania, bystrzejszego i bardziej rzeczowego, w uprawianiu tej rzeczy nie zna z osobistego i bezpośredniego doświadczenia. Podkreślam te słowa: „osobisty" i „bezpośredni"; albowiem jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że jego przodkowie, przynajmniej o ile należeli do linii wyżłów, znali prawdziwe polowanie, i nieraz zapytywałem się, czy wspomnienie to mogło dotrzeć aż do niego i zbudzić się dzięki przypadkowemu impulsowi. Na jego stopniu życie jednostki oddziela się z pewnością powierzchowniej od życia gatunku niż w naszym wypadku, narodziny i śmierć stanowią mniej dogłębne zachwianie istnienia, może tradycje krwi zachowują się nienaruszalniej, tak że pozorną tylko sprzecznością byłaby mowa o wrodzonych doświadczeniach, o nieświadomych wspomnieniach, które, wywołane, mogłyby zbałamucić stworzenie co do jego osobistych doświadczeń, przejąć je względem nich niezadowoleniem. Rozmyślałem raz o tym z pewnym niepokojem; ale równie prędko wybiłem sobie znów tę myśl z głowy, jak Bauszan widocznie wybił sobie z głowy brutalne zdarzenie, którego był świadkiem i które dało mi powód do tych rozważań.

Wychodzę z nim zwykle na polowanie w południe, o wpół do dwunastej lub dwunastej, niekiedy, zwłaszcza w ciepłe dnie letnie, w późne popołudnie, około szóstej lub później, albo też dzieje się to o tej porze już po raz drugi; w każdym razie stan mój jest wtedy zupełnie inny niż podczas naszego pierwszego,

beztroskiego spaceru rano. Dziewiczość i świeżość owej godziny minęła dawno, przechodziłem tymczasem zmartwienia i walki, pokonywałem trudności, że aż trzeszczało, mocowałem się z tym i owym, zmuszony jednocześnie utrzymywać w myśli dalekie i wielostronne związki i z całą przytomnością umysłu przenikać ostateczne ich rozgałęzienia. Toteż mam głowę zmęczoną. Wtedy polowanie z Bauszanem rozrywa mnie i rozpogadza, budzi we mnie siły życiowe i przywraca równowagę na resztę dnia, w którym jeszcze zrobić trzeba niejedno. Z wdzięczności opiszę je.

Oczywiście nie ma mowy o tym, byśmy co dzień brali na cel jeden z wymienionych gatunków zwierzyny i wychodzili tylko na zające lub kaczki. Raczej polujemy na wszystko razem, co nam się właśnie nawinie — omal nie powiedziałem: pod lufę; i nie musimy chodzić daleko, by natknąć się na zwierzynę; polowanie może zacząć się dosłownie zaraz za furtą ogrodową, gdyż myszy polnych i kretów jest już na łące za domem mnóstwo. Te futronośce nie są, ściśle biorąc, zwierzyną; ale ich tajemniczo-ryjący charakter, zwłaszcza chytra zwinność myszy, które nie są ślepe jak ich grzebiący kuzyn i zmyślnie harcują nieraz na powierzchni ziemi, wszelako, gdy zbliża się niebezpieczeństwo, czmychają do czarnej jamy, tak że nie można rozróżnić nóg i ich ruchu — wszystko to, bądź co bądź, działa potężnie na popęd prześladowczy psa i poza tym właśnie one są zwierzyną, która niekiedy staje się jego łupem: mysz polna, kret, to k ą s e k nie do pogardzenia w tak chudych czasach jak obecne, kiedy Bauszan w misce swej przy budzie znajduje często tylko trochę jałowej juchy jęczmiennej.

Toteż ledwo uszedłem, podpierając się laską, kilka kroków w topolowej alei i ledwo Bauszan, by rozpocząć wycieczkę, wyszalał się trochę, kiedy widzę go już, jak z prawej strony wyprawia najdziwniejsze koziołki. Już ogarnęła go namiętność myśliwska, Bauszan nie słyszy i nie widzi już nic poza drażniąco kryjomym harcowaniem żywych stworzeń dokoła

niego: z wytężoną uwagą, machając ogonem, podnosząc wysoko nogi, skrada się w trawie, przystaje w połowie kroku, zawieszając to przednią, to tylną nogę w powietrzu, zaostrzając pysk, patrzy skosem z góry na dół, przy czym płaty sztywnie podniesionych uszu spadają po obu stronach oczu, potem skacze, dotykając nieraz obiema przednimi łapami ziemi i spogląda stropiony tam, gdzie właśnie dopiero coś było, a gdzie teraz nic nie ma. Potem zaczyna grzebać. Mam wielką ochotę pójść za nim i czekać wyniku; ale w ten sposób nie ruszylibyśmy z miejsca, całą na ten dzień nagromadzoną ochotę myśliwską wyczerpałby na tej łące. Więc idę dalej, nie troszcząc się o to, żeby mnie dogonił, choć długo jeszcze stoi na miejscu, nie widząc, dokąd się zwróciłem: czuje mój ślad nie mniej niż trop zwierzyny, z głową między przednimi łapami wietrzy go utraciwszy mnie z oczu, już słyszę dźwięk jego marki policyjnej, jego silny galop za mymi plecami: przemyka obok mnie jak strzała i zawraca, by machając ogonem zameldować swą obecność.

Ale dalej w zagaju lub na łąkach w strefie potoku zatrzymuję się jednak niekiedy i przyglądam mu się, jak grzebie w poszukiwaniu myszy, nawet kiedy jest późno i kiedy, przypatrując się, tracę czas przeznaczony na przechadzkę. Jego namiętna praca wprost przykuwa, jego głęboka gorliwość zaraża, nie mogę powstrzymać się, by mu nie życzyć z serca powodzenia i chciałbym bardzo być jego świadkiem. Z zewnątrz nie było może nic poznać po miejscu, w którym grzebie; pewno było to omszałe, korzeniami drzew przeplecione wzniesienie u stóp brzozy. Ale on usłyszał, zwietrzył, a może nawet jeszcze zobaczył tam umykającą zwierzynę; jest pewny, że siedzi ona pod ziemią w swym chodniku czy gnieździe, chodzi tylko o to, by dotrzeć do niej, więc grzebie z całych sił, z bezwzględnym, zapamiętałym oddaniem, nie wściekle, ale ze sportowo-rzeczową namiętnością; wspaniały to widok. Jego małe, pręgowane ciało, pod którego gładką skórą rysują się żebra, grają mięśnie, jest w środku przełamane; tył z kikutem

ogona, poruszającego się nieustannie w najszybszym tempie, sterczy stromo do góry, głowa między przednimi łapami tkwi w wygrzebanej już, skośnie wgłębiającej się jamie i Bauszan, z odwróconym w bok wzrokiem, wyrywa, jak może najszybciej, coraz więcej ziemi stalowymi pazurami, tak że grudy, kamyki, strzępy trawy i cząstki korzeni lecą aż pod skrzydła mego kapelusza. Chwilami rozbrzmiewa w ciszy jego prychanie, gdy po dłuższym wdzieraniu się ryje pyskiem grunt, oblegając węchem mądre, ciche, trwożne tam w dole stworzenie. Głuchy to dźwięk: Bauszan wchłania gwałtownie oddech, aby tylko szybko opróżnić i znów rozszerzyć płuca i zwęszyć znów delikatną, ostrą, choć jeszcze daleką i skrytą woń mysią. Co tam czuje zwierzątko słysząc to głuche prychanie? To jego rzecz lub rzecz Pana Boga, który stworzył Bauszana wrogiem i prześladowcą myszy polnych, zresztą trwoga jest też przecie wzmocnionym poczuciem życia; myszka nudziłaby się prawdopodobnie, gdyby nie było Bauszana; i po cóż istniałaby w takim razie jej perłowooka roztropność i zwinna sztuka górnicza, dzięki której warunki walki wyrównują się hojnie, tak że sukces napastnika pozostaje zawsze wielce nieprawdopodobny? Słowem, nie mam litości dla myszy, duchowo stoję po Bauszana stronie i często nie mogę wytrzymać w roli widza: gdy staje w drodze mocno osadzony kamień lub twardy korzeń, ingeruję laską i wiercąc, podważając, pomagam usunąć przeszkodę. Wtedy Bauszan, w trakcie pracy, obrzuca mnie szybkim, gorączkowym spojrzeniem porozumienia. Pełnymi szczękami wgryza się w twardą, poprzerastałą ziemię, odrywa skiby, ciska je na bok, parska znów głucho w głąb i podniecony ruchem wprawia znów pazury we wściekły ruch...

W większości wypadków cały ten trud jest daremny. Z uwalanym ziemią pyskiem, zabrudzony aż po łopatki, obwąchuje Bauszan raz jeszcze powierzchownie miejsce i porzuca je dralując dalej.

— Nic nie było, Bauszanie — mówię, gdy patrzy na mnie. —

Nic nie było — powtarzam, kiwając gwoli zrozumiałości głową, podnoszę brwi i ramiona.

Ale nie trzeba wcale pocieszać go, niepowodzenie nie przytłacza go ani na chwilę. Polowanie jest polowaniem, pieczeń nie ma znaczenia, a przecie wysiłek był wspaniały, myśli Bauszan, o ile w ogóle wspomina jeszcze dopiero co tak potężnie forsowaną przygodę, bo już nęcą go nowe przedsięwzięcia, do których, zaiste, nigdy nie brak sposobności we wszystkich trzech strefach.

Ale zdarza się też, że pochwyci myszkę i dzieje się to nie bez wstrząsu dla mnie, gdyż kiedy ją złowi, pożera bez miłosierdzia żywcem z futrem i kośćmi. Może nieszczęsne stworzenie było nieopatrzne i wybrało sobie zbyt miękkie, źle ubezpieczone, łatwe do odkopania miejsce na gniazdo; może chodnik podziemny nie sięgał dość głęboko i zwierzątko nie zdołało w przestrachu poprowadzić go szybko niżej, straciło głowę i przycupnęło tylko kilka cali pod powierzchnią, gdy na głos straszliwego prychania perłowe oczki z przerażeniem wyłaziły mu z głowy. Dość, że żelazne pazury dobywają mysz na wierzch, wyrzucają w górę na okrutne światło dzienne. Stracona myszko! Słusznie bałaś się tak i dobrze, że wielki, usprawiedliwiony strach pozbawił cię już prawdopodobnie na poły przytomności, gdyż oto zmieniasz się w miazgę. Chwycił ją za ogon, dwa czy trzy razy grzmotnął nią o ziemię; słychać cichutkie piśnięcie, które zdołała wydać opuszczona przez Boga myszka, i Bauszan chwyta ją w pysk między białe zęby. Zaparty na szeroko rozstawionych przednich łapach, stoi z pochylonym karkiem i żując wyciąga w przód głowę, chwytając niejako wciąż na nowo kąsek i podrzucając go w pysku. Kostki trzeszczą, kawałek futra zwisa jeszcze chwilę z kąta paszczy, on łapie go i stało się; Bauszan zaczyna rodzaj radosnego, zwycięskiego tańca dokoła mnie; nie ruszam się z miejsca, oparty na lasce, jak stałem podczas całej sceny.

— A ty drabie! — mówię doń w pełnym zgrozy uznaniu, kiwając głową. — Ładny z ciebie morderca i kanibal!

Na te słowa pies zaczyna tańczyć jeszcze żwawiej i brakuje tylko, by się głośno roześmiał. Więc idę dalej swą drogą, czując lekki ziąb w członkach z powodu tego, co widziałem, a jednak trochę rozweselony w duchu brutalnym humorem życia. Wszystko jest w naturalnym porządku, upośledzona na instynkcie myszka staje się właśnie papką. Ale rad jestem bardziej, jeśli w takim wypadku przyrodzonego rozsądku rzeczy nie pomagałem laską, tylko ograniczyłem się do roli obserwatora.

To straszne, gdy nagle bażant wyfrunie z gęstwiny, gdzie spał lub czuwał w nadziei, że nikt go nie odkryje, i gdzie cuch Bauszana spłoszył go po krótkim szczekaniu. Łopocząc i trzepocząc porywa się z trwożnie oburzonym krzykiem i gdakaniem wielki, rdzawoczerwony, długopióry ptak i chroni się, opuszczając z wyżyny swój kał w zarośla, z głupowatą nieprzytomnością kury, na drzewo, gdzie nie przestaje biadać, gdy Bauszan oparty o pień drzewa szczeka gwałtownie. Dalej, dalej! mówi ten szczekot. Leć dalej, głupi przedmiocie mej ochoty, bym cię mógł gonić! I kurak nie może oprzeć się potężnemu głosowi, z szumem zrywa się znów z gałęzi i w ciężkim locie przebija się przez wierzchołki, wciąż skrzecząc i skarżąc się, gdy Bauszan ściga go ostro na równej ziemi, w męskim milczeniu.

Na tym polega jego rozkosz; niczego więcej nie chce i nie umie. Bo i cóż by się stało, gdyby schwytał ptaka? Nic. Widziałem, jak miał w pazurach jednego, który może pogrążony był w głębokim śnie, tak że ociężałe skrzydła nie mogły podnieść się na czas z ziemi: Bauszan stał wtedy nad nim, zakłopotany zwycięzca, i nie wiedział, co począć z fantem. Z wyprężonym jednym skrzydłem, z odrzuconą szyją, leżał bażant w trawie, krzycząc bez przerwy, że zdawało się, jakby ktoś w krzakach mordował staruszkę. Przybiegłem, by zapobiec czemuś okropnemu. Ale przekonałem się szybko, że nie ma się czego obawiać; jawna bezradność Bauszana, mina na pół ciekawa, na pół pełna wstrętu, z jaką spode łba patrzył na

swego jeńca, upewniła mnie o tym. Babski wrzask u jego stóp musiał podziałać mu na nerwy, cała sprawa zgotowała mu więcej zakłopotania niż tryumfu. Czy poskubał trochę ptaka dla honoru, czy ze wstydu? Widziałem, zda mi się, że wargami, bez użycia zębów, wyrwał mu z szaty kilka piór i cisnął je na bok, gniewnie odrzucając głowę. Potem odstąpił od łupu i uwolnił go, nie przez szlachetność, lecz dlatego, że sprawa go nudziła, nie zdawała się mieć już nic wspólnego z wesołym polowaniem. Nigdy nie widziałem bardziej zdumionego ptaka! Widocznie pożegnał się z życiem i zdawało się na razie, jakby nie umiał już zrobić zeń użytku: jak martwy leżał przez chwilę w trawie. Potem zatoczył się kawałek na ziemi, pofrunął na drzewo, zdało się, że spadnie, ocknął się i ciężko wlokąc za sobą pióra odleciał. Nie krzyczał już, stulił dziób. Leciał niemo nad parkiem, nad rzeką, nad lasem z drugiej strony, hen, hen, jak można najdalej, i z pewnością nie powrócił nigdy.

Ale dużo jest takich jak on w naszym rewirze i Bauszan ściga je przystojnie i przyzwoicie. Myszożerstwo pozostaje jedynym jego morderstwem i nawet ono wydaje się czymś zbędnie-ubocznym; węszyć, płoszyć, gonić, ścigać — oto szlachetny cel dla siebie; tak powiedziałby każdy, kto obserwował go przy tej świetnej zabawie. Jak pięknym się staje, jak idealnym, jak doskonałym! Tak to chłopski, niezgrabny góralczyk staje się doskonałością i wzorem, łowcą kozic wśród skał. Wszystko, co w Bauszanie szlachetne, rzetelne, najlepsze, wydostaje się na zewnątrz i dochodzi do rozwoju w tych godzinach; dlatego tak tęskni do nich i cierpi, gdy miną one bezużytecznie. To nie pinczer, to legawiec, to wyżeł czystej krwi i wysoka radość z powodu samego siebie przemawia z każdej wojennej, męsko-pierwotnej postawy, jaką przybiera w ustawicznej zmianie. Mało jest rzeczy, które by mi tak pokrzepiały spojrzenie, jak jego widok, gdy w sprężynowym kłusie sadzi przez zarośla i potem staje jak przykuty, z jedną nogą zgrabnie wzniesioną i zgiętą do wewnątrz, rozumny, uważny, znaczny w prześlicznym napięciu wszystkich swych

zalet! Chwilami piszczy. Noga uwięzła mu w jakichś cierniach i krzyknął głośno. Ale i to jest naturą, radującą odwagą pięknej prostoty, godność opuszcza go tylko przelotnie i już po chwili wraca zupełnie wspaniałość psiej postawy.

Przyglądam mu się i przypomina mi się pewien okres, kiedy utracił całą swą dumę i szlachetność i spadł znów dosłownie do cielesnego i duchowego stanu, w jakim ukazał się nam po raz pierwszy w kuchni nimfy górskiej, i z którego wzniósł się mozolnie do wiary w siebie i świat. Nie wiem, co mu się stało, krew ciekła mu z pyska czy z nosa, czy z szyi, sam nie wiem do dziś dnia; gdzie tylko się znalazł, zostawiał krwawe ślady, na trawie rewiru, na słomie legowiska, na podłodze pokoju, do którego wszedł, choć nie ujawniał żadnego zranienia na zewnątrz. Pysk jego wyglądał często jakby posmarowany czerwoną farbą olejną. Kichał i bryzgała z niego krew, w którą wstępował łapą, tak że gdzie tylko stanął, pozostawiał ceglaste odciski swych palców. Staranne badania nie doprowadziły do żadnego wyniku, tym samym wzmogły zaniepokojenie. Czy był gruźlikiem? Czy też był obarczony jakąś nieznaną chorobą, do której skłonny jest jego gatunek? Gdy to niesamowite i nieczyste zjawisko nie ustępowało przez kilka dni, postanowiliśmy oddać go do kliniki weterynaryjnej.

Następnego dnia, około południa, włożył mu pan uprzejmie i stanowczo, lecz przemocą, kaganiec, ową skórzaną, kratowaną maskę, której Bauszan bał się, jak mało czego, i której starał się nieustannie pozbyć potrząsaniem głowy i ruchami łap; potem wziął go na smycz i tak wprzęgniętego poprowadził na lewo aleją, potem przez park miejski i miejską ulicę ku zabudowaniom uniwersytetu, którego bramę i podwórze przekroczyliśmy. Znaleźliśmy się w poczekalni, gdzie pod ścianami siedziało kilka osób, z których każda trzymała na smyczy psa; psy różnej wielkości i rasy patrzyły na siebie smętnie poprzez skórzane przyłbice. Była tam babuleńka z apoplektycznym mopsem, lokaj w liberii z wysokim, białym jak kwiat chartem rosyjskim, który od czasu do czasu kaszlał w wytwor-

nie skrzeczący sposób, jakiś wieśniak z jamnikiem, który z pewnością miał zasięgnąć porady ortopedycznej, gdyż wszystkie nogi jego były fałszywie osadzone, powykrzywiane i powykręcane, oraz kilka innych. Znikający i znów zjawiający się służący zakładowy wpuszczał je kolejno do przyległego pokoju ordynacyjnego, którego drzwi otwarły się w końcu dla mnie i dla Bauszana.

Profesor, mężczyzna w sile wieku, w białym płaszczu operacyjnym, w złotych okularach, o kędzierzawych włosach i tak uczonej, uprzejmej łagodności, że bez namysłu powierzyłbym mu w każdej potrzebie zdrowotnej siebie samego i wszystkich swoich, uśmiechał się podczas mego wykładu po ojcowsku do siedzącego przed nim i ze swojej strony spoglądającego nań ufnie klienta.

— Oczy ma ładne — rzekł nie wspominając o bródce i oświadczył gotowość natychmiastowego zbadania. Z pomocą służącego Bauszan, ze zdumienia nie stawiając oporu, rozciągnięty został na stole i warto było widzieć, jak lekarz przyłożył mu czarną słuchawkę i sumiennie osłuchiwał pręgowanego samca, zupełnie jak to niejednokrotnie w życiu działo się ze mną. Badał szybko bijące psie serce, badał jego organiczne życie wewnętrzne z różnych punktów. Potem ze słuchawką pod pachą zbadał obu rękoma oczy Bauszana, nos, jamę ustną, po czym wydał tymczasowy wyrok. Pies jest trochę nerwowy i anemiczny, rzekł, poza tym jednak w dobrym stanie. Pochodzenie krwawienia jest niepewne. Może to być epistaksis lub hematemesis. Może na razie najtrafniej będzie określić to jako hemaptysę. Wskazana jest staranna obserwacja zwierzęcia. Należy go zostawić na miejscu i zgłosić się poń znowu za tydzień.

Tak pouczony, podziękowałem i na pożegnanie poklepałem Bauszana po łopatce. Widziałem jeszcze, jak pomocnik prowadził nowoprzyjętego pacjenta przez podwórze do budynku w głębi i jak Bauszan z wyrazem zmieszania i lęku oglądał się za mną. A przecie powinien był czuć się pogłaskany, jak

i ja sam się czułem tym, że profesor uznał go za nerwowego i anemicznego. Nie śpiewano mu wszak nad kołyską, że tak go określą i że w ogóle będą go brać kiedyś poważnie i uczenie.

Ale teraz przechadzki me stały się tym, czym są nie solone potrawy dla podniebienia; sprawiały mi mało przyjemności. Gdy wychodziłem, nie wybuchała cicha burza radości, nie było dokoła mnie dumnych harców myśliwskich. Park zdawał się pusty, nudziłem się. Nie omieszkałem w czasie obserwacji zasięgać telefonicznie wiadomości. Odpowiedź udzielona przez podrzędną figurę brzmiała, że pacjent znajduje się w odpowiednim stanie, w stanie, którego bliższe cechy pomijano z niewiadomych powodów. Gdy minął tydzień od dnia, w którym umieściłem Bauszana w zakładzie, udałem się tam znowu.

Kierując się wedle obficie przytwierdzonych tablic z napisami i wskazujących rąk, dotarłem prostą drogą, bez błądzeń, do drzwi klinicznego oddziału, goszczącego Bauszana, nie zapukałem wedle umieszczonego na drzwiach przykazu i wszedłem. Średniej wielkości pokój, który mnie otaczał, robił wrażenie menażerii dzikich zwierząt, taka też panowała w nim atmosfera; tylko że zapach drapieżców mieszał się z różnymi medycznymi wyziewami w sposób ckliwy i mdły. Dokoła stały klatki, wszystkie niemal zamieszkałe. Głęboki szczekot doszedł mnie z jednej z nich, przy której otwartych drzwiczkach jakiś człowiek, widocznie dozorca, manipulował grabiami i łopatą. Nie przerywając swej pracy, poprzestał na oddaniu mi ukłonu, pozostawiając mnie zresztą na razie mym wrażeniom.

Na pierwszy rzut oka dokoła, jeszcze przy otwartych drzwiach, poznałem Bauszana i podszedłem doń. Leżał za prętami swej klatki na podściółce, którą stanowiła garbówka lub coś podobnego i która osobliwą swą woń łączyła z zapachem ciał zwierzęcych oraz karbolu czy lizoformu. Leżał tam jak lampart, ale bardzo znużony, bardzo apatyczny i zniechęcony

lampart: przestraszyłem się markotną obojętnością, z jaką przyjął moje wejście. Słabo stuknął dwa czy trzy razy ogonem w podłogę i dopiero gdym doń przemówił, podniósł głowę z łap, ale tylko po to, by ją znowu opuścić i mrugać smętnie na bok. W głębi klatki stała miska gliniana z wodą do jego rozporządzenia. Z zewnątrz przymocowana była do prętów rozpięta w ramach, częściowo drukowana, częściowo pisana tabela, która pod stwierdzeniem imienia, rasy, rodzaju i wieku Bauszana podawała krzywą gorączki. „Wyżeł-bastard — przeczytałem tam — imieniem Bauszan. Samiec. Dwa lata. Oddany tego i tego dnia i miesiąca roku — do obserwacji z powodu tajemniczych krwawień." Po czym następowała krzywa ciepłoty, piórem kreślona, o małych zresztą wahaniach, obok cyfrowych zapisek co do częstości pulsu Bauszana. Mierzono go więc, jak widziałem, i liczono puls ze strony lekarskiej — pod tym względem nie brakło niczego. Ale stan jego duchowy martwił mnie.

— Czy to pański? — spytał dozorca, który tymczasem zbliżył się do mnie z narzędziami w ręce. Na sobie miał rodzaj ogrodniczego fartucha. Był to człowiek krępy, pyzaty i rumiany, z piwnymi, nieco krwią nabiegłymi oczami, których wierny i wilgotny wzrok robił uderzająco psie wrażenie.

Potwierdziłem jego pytanie, powołałem się na otrzymane polecenie, by zjawić się dzisiaj, na rozmowy telefoniczne i oświadczyłem, iż przychodzę dowiedzieć się, co słychać. Człowiek rzucił okiem na tabelę. Tak, pies cierpi na tajemne krwawienia — rzekł — a z tym jest zawsze długa i zawiła historia, zwłaszcza jeśli nie wiadomo, skąd się biorą.

— Więc wciąż jeszcze nie wiadomo?

— Tak, nie wiadomo jeszcze dokładnie. Ale pies znajduje się tu przecie dla obserwacji i obserwuje się go.

— A krwawienia trwają wciąż jeszcze?

— Tak, powtarzają się jeszcze czasem.

— I obserwuje się je wtedy?

— Tak, bardzo dokładnie.

— A czy ma gorączkę? — pytam starając się zorientować w tabeli na klatce.

— Nie, gorączki nie ma. Pies ma normalną ciepłotę i puls, prawie dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę, to jest prawidłowo, mniej być nie powinno, gdyby było mniej, trzeba by go obserwować jeszcze dokładniej. W ogóle pies mimo tajemnych krwawień trzyma się dobrze. Wprawdzie z początku wył okrągłe dwadzieścia cztery godziny, ale potem przywykł. Jeść oczywiście nie chce dużo; ale brak mu też ruchu, zresztą chodzi o to, ile jadł przedtem.

— Co mu się daje?

— Polewkę — mówi człowiek. — Ale, jak powiedziałem, nie zjada dużo.

— Robi wrażenie przygnębionego — rzekłem z udaną przedmiotowością.

— A tak, robi, ale to nic nie znaczy. Boć ostatecznie niewesoła dla psa rzecz tak leżeć i być obserwowanym. Wszystkie są mniej lub więcej przygnębione, to znaczy, te łagodne; niektóry staje się złośliwy i gryzie. Ale tego o tym tu powiedzieć nie można. Jest łagodny, nie będzie gryzł, choćby nawet obserwowano go do końca życia.

Przyznałem słuszność dozorcy, ale uczyniłem to z troską i oburzeniem w sercu.

— Na jak długo — spytałem — oblicza się jeszcze w przybliżeniu pobyt Bauszana tutaj?

Człowiek spojrzał znów na tabelę.

— Potrzeba jeszcze — rzekł — tygodnia, powiedział pan profesor. Po tygodniu można przyjść i zapytać; wtedy będzie razem dwa tygodnie i wtedy będzie można dać pewną odpowiedź co do psa i leczenia jego tajemnych krwawień.

Wyszedłem, spróbowawszy raz jeszcze krzepkim słowem obudzić siły życiowe w Bauszanie. Odejście moje poruszyło go równie mało jak wejście. Pogarda i gorzka beznadziejność zdawały się go przytłaczać. „Ponieważ byłeś zdolny — zdawała się mówić jego postawa — oddać mnie do tej klatki, nie

spodziewam się niczego po tobie." I czyż nie musiał stracić orientacji i zwątpić o rozumie i sprawiedliwości? Cóż przewinił, że go to spotkało i że nie tylko pozwoliłem na to, lecz sam dopomogłem do tego? Miałem dobre i godne co do niego zamiary. Krwawił i choć sam niewiele robił sobie z tego, to jednak ja uważałem za wskazane, by odpowiednia nauka zajęła się nim, jako psem znajdującym się w dobrych warunkach, i doczekałem się tego, że uznała go ona za nieco nerwowego i anemicznego, jak hrabskie dziecko. I teraz tak się to dla niego skończyło! Jak wytłumaczyć mu, że wyświadczało mu się zaszczyt i wzgląd, zamykając go w klatce jak jaguara, odbierając mu powietrze, słońce i swobodny ruch, by zamiast tego dzień w dzień udręczać go termometrem?

Tak pytałem się, wracając do domu; i jeśli dotąd tylko brak mi było Bauszana, teraz przyłączyła się do tego uczucia troska o niego, o jego zdrowie duchowe, i sam się oskarżałem w niepewności. Czy do oddania go do uniwersytetu nie skłoniła mnie aby jedynie próżność i samolubna pycha? Czy może nadto grało tu rolę tajemne życzenie, by pozbyć się go na jakiś czas, pewna ciekawość i chętka uwolnienia się od jego gorliwego dozoru i przekonania się, jak to będzie, gdy w chłodnym spokoju duszy będę mógł zwracać się na lewo lub prawo, nie budząc przez to w ożywionym świecie zewnętrznym żadnych uczuć, czy to radości, czy gorzkiego rozczarowania? Istotnie, od czasu internowania Bauszana czułem pewną dawno już nie doznawaną wewnętrzną niezależność. Nikt nie naprzykrzał mi się przez drzwi szklane widokiem swej tortury czekania. Nikt nie zjawiał się z nieśmiało podniesioną łapą, by wstrząsać mą pierś śmiechem politowania i skłonić do natychmiastowego powstania. Nikogo nie bolała głowa, czy idę do parku, czy zostaję w pokoju. To było wygodne, uspokajało i miało urok nowości. Ponieważ jednak brakło zwykłego bodźca, więc przestałem niemal chadzać na spacer. Zdrowie moje cierpiało na tym; i znajdując się w stanie uderzająco podobnym do stanu Bauszana w klatce, zrobiłem moralne

spostrzeżenie, że pęta współczucia były korzystniejsze dla mego pobytu niż egoistyczna wolność, której mi się zachciało.

Minął i drugi tydzień i w oznaczony dzień znalazłem się znów razem z pyzatym dozorcą przed klatką Bauszana. Mieszkaniec jej leżał na boku, leżał niedbale wyciągnięty na ściółce, która brudziła mu sierść; głowę miał w tył odrzuconą, tak że szklanymi i tępymi oczami patrzył wstecz na wapienną ścianę swego więzienia. Nie ruszał się. Było ledwo widać, że oddychał. Tylko niekiedy jego klatka piersiowa, która zaznaczała każde żebro, sklepiła się w westchnieniu, wydawanym z cichym, rozdzierającym serce przydźwiękiem strun głosowych. Nogi Bauszana, zdawało się, stały się za długie, łapy bezkształtnie duże, co miało przyczynę w jego strasznym wychudzeniu. Sierść jego była paskudna, zmięta i, jak wspomniałem, zanieczyszczona tarzaniem się w zmełtej korze. Nie zwracał na mnie uwagi, jak nie chciał, zda się, zwracać jej w ogóle nigdy już na nic.

— Tak całkiem — rzekł dozorca — krwawienia nie znikły; zdarzają się wciąż jeszcze od czasu do czasu. Skąd pochodzą, jeszcze nie ustalono, w każdym razie są nieszkodliwe. — Mógłbym, twierdził, jeśli zechcę, pozostawić psa jeszcze do dalszej obserwacji, by być zupełnie pewnym, lub mógłbym go też zabrać do domu, gdzie choroba z czasem sama zniknie.

Wtedy wyciągnąłem plecioną smycz z kieszeni — wziąłem ją z sobą — i oświadczyłem, że zabieram Bauszana do domu. Dozorca uznał to za rozsądne. Otworzył kratę i zaczęliśmy obaj wołać Bauszana po imieniu, na przemian i jednocześnie, ale nie chciał wyjść, tylko patrzył nieruchomo ponad siebie w ścianę wapienną. Wszelako nie bronił się też, gdy wsadziłem rękę do klatki i wyciągnąłem go za obrożę. Zeskoczył w dół na łapy i stał z podwiniętym ogonem, z położonymi po sobie uszami, obraz nędzy i rozpaczy. Zabrałem go, wręczyłem dozorcy napiwek i opuściłem oddział, by we frontowym budynku zakładu wyrównać dług, który, wobec zasadniczej taryfy siedemdziesięciu fenigów za dzień, łącznie z honorarium

lekarskim za pierwszą wizytę wynosił dwanaście marek pięćdziesiąt. Potem poprowadziłem Bauszana do domu, spowity słodkawo-zwierzęcą atmosferą kliniczną, którą towarzysz mój zabrał w swojej sierści.

Był złamany na ciele i duszy. Zwierzęta są bardziej niepohamowane i pierwotniejsze, a więc w cielesnym wyrazie swych stanów duchowych poniekąd bardziej ludzkie niż my; powiedzenia, które wśród nas żyją już tylko w moralnej przenośni, w odniesieniu do nich jeszcze — i jest to w każdym razie coś rozweselającego dla oka — nie straciły swego świeżego, dosłownego znaczenia i nie nabrały charakteru metafory. Bauszan „opuścił — jak to mówią — głowę", to znaczy: czynił to rzeczywiście i naocznie, czynił to jak zmęczona szkapa dorożkarska, która z wrzodami na nogach, z drgającą od czasu do czasu skórą, stoi na swym przystanku, jak gdyby cetnarowy ciężar ciągnął ku ziemi jej biedny, rojący się od much nos. Było tak, jak rzekłem: te dwa uniwersyteckie tygodnie doprowadziły go do stanu, w jakim odebrałem go niegdyś w górach; był tylko cieniem samego siebie, powiedziałbym, gdyby to nie było obrazą cienia wesołego, dumnego Bauszana. Zapach szpitalny, który przyniósł z sobą, znikł wprawdzie niemal doszczętnie pod mydłem kilkakrotnej kąpieli w balii; ale jeśli dla nas, ludzi, kąpiel może posiadać duchowy wpływ symbolicznej czynności, to dla Bauszana cielesne oczyszczenie nie mogło wcale oznaczać podniesienia ducha. Już pierwszego dnia wziąłem go z sobą do rewiru, ale on z głupawo wywieszonym językiem wlókł się za mą nogą, a bażanty cieszyły się stale czasem ochronnym. W domu leżał jeszcze całymi dniami, tak jak ostatnio w klatce, i patrzył szklanym wzrokiem ponad siebie, wewnętrznie zwiotczały, bez zdrowej niecierpliwości, nie przynaglając mnie do wyjścia, tak że raczej ja musiałem iść po niego i spędzać go z legowiska u wejścia do budy. Nawet dziki i niewybredny sposób, w jaki pochłaniał pożywienie, przypominał jego chamską przeszłość. Potem jednak miło było patrzeć, jak znowu odnajdywał sie-

bie, jak przywitania jego odzyskiwały stopniowo dawną serdeczno-żartobliwą gwałtowność, jak zamiast kusztykać markotnie nadbiegł po raz pierwszy jak burza na mój gwizd ranny, by położyć mi przednie łapy na piersi i kłapnąć zębami w kierunku mej twarzy; jak w polu wróciła mu dumna radość fizycznego istnienia, jak oczom mym ukazywały się znowu owe śmiałe i wdzięczne pozy wystawania, owe strome skoki ze ściągniętymi łapami ku jakiemuś stworzeniu w wysokiej trawie... Zapominał. Brzydkie i dla pojęcia Bauszana tak niedorzeczne zdarzenie zapadło w przeszłość, właściwie nie rozwiązane, nie zniesione przez wyjaśniające porozumienie, które było niemożliwe, ale czas pokrywał je, jak to dzieje się niekiedy i wśród ludzi, i żyliśmy dalej ponad nim, gdy rzecz nie wypowiedziana cofała się coraz głębiej w przeszłość... Przez kilka tygodni zdarzało się jeszcze, w coraz dłuższych odstępach czasu, że Bauszan miał zaczerwieniony nos; potem zjawisko to znikło, przestało istnieć, więc było też rzeczą zgoła obojętną, czy chodziło o epistaksis, czy o hematemesis...

Otóż wbrew memu zamiarowi opowiedziałem i o klinice! Czytelnik wybaczy tę obszerną dygresję i wróci ze mną do parku ku przyjemnościom myśliwskim, któreśmy sobie przerwali. Czy znacie płaczliwe wycie, z jakim pies, zbierając wszystkie siły, zaczyna ścigać zająca, i na które składa się wściekłość i rozkosz, tęsknota i ekstatyczna rozpacz? Ileż razy słyszałem je z piersi Bauszana! To namiętność głosi się po okolicy, zamierzona, wyszukana i w upojeniu przeżywana namiętność, i każdym razem, gdy dziki jej krzyk z daleka doleci do mego ucha, przerażam się na wesoło; dreszcz przebiega wszystkie me członki; rad, że Bauszan odbije sobie dziś wszystko, śpieszę naprzód lub w bok, by o ile możności objąć okiem zasięg pogoni, i kiedy ta mija mnie z szumem, stoję przykuty i napięty, choć nijaki wynik przygody jest z góry pewny, i przyglądam się z nerwowym uśmiechem na twarzy.

Ten pospolity czy lękliwy szarak! Kładąc uszy po sobie,

z głową zadartą, gna ratując życie i długimi susami czmycha przed z głębi wyjącym Bauszanem, wyrzucając w górę tylne skoki i białożółty zad. A przecież powinien w głębi swej trwożliwej, nawykłej do ucieczki duszy wiedzieć, że nie ma poważnego niebezpieczeństwa i że ujdzie cały, jak każdy z jego braci i sióstr, a jak i on sam, w tym samym wypadku, uchodził już niejednokrotnie. Nigdy w życiu nie schwytał Bauszan żadnego z nich i nie schwyta, to więcej niż pewne. Psów gromada, mówi przysłowie, to śmierć dla zająca; jeden mu nie poradzi, choćby przewyższał nawet Bauszana wytrwałą szybkością. Gdyż zając umie „kluczyć", czego oczywiście Bauszan nie umie; to rozstrzyga o wszystkim. Jest to niechybna broń i zdolność tego urodzonego uciekiniera, dający się w każdej chwili zastosować wybieg, który kryje w duszy, aby go użyć w rozstrzygającej, a dla Bauszana pełnej nadziei chwili, i Bauszan wychodzi na dudka.

Oto biegną skośnie zagajem, przecinają przede mną ścieżkę i mkną ku rzece, zając niemo, z swym dziedzicznym fortelem w zapasie, Bauszan wyjąc w wysokich, żałosnych, falsetowych tonach. „Nie wyj — myślę. — Trwonisz przez to siły, siły płuc, siły oddechu, które powinieneś oszczędzać i szanować, aby go dostać!" A myślę tak, gdyż jestem wewnętrznie zainteresowany w sprawie, gdyż stoję po stronie Bauszana, gdyż namiętność jego ogarnia i mnie, tak że gorąco życzę mu zwycięstwa, choćby miał nawet w moich oczach rozszarpać zająca na kawałki. Jak on pędzi! Piękną i rozkoszną jest rzeczą widzieć stworzenie w ostatecznym napięciu wszystkich swych sił. Goni lepiej niż zając, mięśnie jego są silniejsze, odstęp między nimi zmniejszył się znacznie, zanim zniknęły mi z oczu. I ja śpieszę także, na przełaj, w lewo przez park ku brzegowi i w sam czas zjawiam się na żwirowej ścieżce, by ujrzeć, jak pogoń nadciąga z prawej strony, pełna nadziei, denerwująca pogoń, gdyż Bauszan dopędza już niemal zająca, zamilkł, gna z zaciśniętymi zębami, bezpośrednia bliskość zwierzęcia roznamiętnia go do ostateczności i — „no, jeszcze

jeden sus, Bauszanie!" myślę i chciałbym zawołać: „mierzysz dobrze i ostrożnie, baczność na klucz!" Ale oto jest i klucz, jest nieszczęście. Ostatni skok dokonany, lecz w tej samej chwili zając daje susa, krótko, lekko prztyknął w bok pod kątem prostym do kierunku biegu, Bauszan mknie jak strzała mimo jego zadka, mknie prosto, wyjąc bezsilny, hamując, aż żwir i kurz wzbija się do góry, i zanim zatrzymał się w ruchu, zanim zawrócił i znów puścił się w nowym kierunku, zanim, powiadam, dokonał tego wśród męki duchowej i żałosnego wycia, zając zyskał już znaczny odskok w kierunku zagaja, ba, znikł nawet prześladowcy z oczu; gdyż ten podczas swego rozpaczliwego hamowania nie mógł widzieć, dokąd tamten się zwrócił.

— Na próżno wszystko, pięknie, ale daremnie — myślę, gdy dzika pogoń oddala się w przeciwnym kierunku przez park. — Powinno by być więcej psów, pięć albo sześć, cała sfora. Inne musiałyby zajść go z flanki, odciąć mu z przodu drogę, osadzić go i capnąć za kark... I rozdrażnione me oko widzi łaję ogarów zwanych posokowcami, które z wywieszonymi jęzorami dopadają koncentrycznie zająca.

Myślę i marzę tak przez namiętność myśliwską, gdyż co zawinił mi zając, abym mu życzył tak przerażającego końca? Wprawdzie Bauszan jest mi bliższy i wszystko jest w porządku, jeśli z nim współczuję i jeśli towarzyszą mu moje życzenia; ale zając jest też żywym stworzeniem i okpił mego łowcę nie ze złości, lecz z usilnej żądzy, by jeszcze przez jakiś czas ogryzać miękkie pędy drzew i płodzić sobie podobnych. „Co innego — myślę mimo to dalej — co innego, gdyby to tutaj — i przyglądam się lasce w mej ręce — gdyby to tutaj nie było nieużytecznym, poczciwym kijem, lecz rzeczą poważniejszej konstrukcji, błyskawicznym, dalekonośnym przyrządem, którym mógłbym pomóc dzielnemu Bauszanowi i zatrzymać zająca tak, by zrobiwszy salto mortale został na miejscu. Wtedy nie zachodziłaby w ogóle potrzeba innych psów i Bauszan zrobiłby swoje, gdyby tylko dostał zająca.

Ale rzecz się ma tak, że przeciwnie, właśnie Bauszan, który chce odbić przeklęty „klucz", przekopyrtnie się czasem, co zresztą w pewnych wypadkach robi i zając; ale dla niego jest to drobnostka, coś łatwego i stosownego, nie związanego z pewnością z jakimś uczuciem nędzy, gdy dla Bauszana jest to ciężkim wstrząśnieniem, przy którym może kiedyś łatwo skręcić kark.

Często gonitwa taka kończy się już po kilku minutach, mianowicie jeśli zającowi po krótkim szczwaniu uda się przykucnąć i skryć się w poszyciu albo też zbić z tropu myśliwca kluczami i fortelami, tak że ten, niepewny, stropiony, ciska się tam i sam, gdy ja, w swej żądzy krwi, daremnie wołam za nim i staram się laską wskazać mu kierunek, w którym w mych oczach zając dał drapaka. Często jednak jazgot niesie się daleko i szeroko po okolicy, tak że żarliwe ujadanie Bauszana rozbrzmiewa jak róg myśliwski, na przemian to bliższe, to dalsze, gdy ja cicho, w oczekiwaniu jego powrotu, idę swą drogą. I, mój Boże, w jakimże stanie wraca wreszcie do mnie! Piana cieknie mu z pyska, boki zapadłe, żebra pracują, długi jęzor zwisa z rozdziawionej nad miarę paszczy, która wykrzywia mu upojeniem wilgotne, skośne, mongolskie oczy, i oddech jego sapie jak maszyna parowa.

— Połóż się, Bauszan, i wypocznij, inaczej dostaniesz paraliżu płuc! — mówię do niego i zatrzymuję się, by dać mu czas do wytchnienia. Boję się o niego zwłaszcza w zimie, podczas mrozu, gdy dysząc wciąga w rozgrzane płuca lodowate powietrze i bucha białą parą oraz połyka całe garście śniegu, by ugasić pragnienie. Kiedy jednak leży, patrzy na mnie błędnie i od czasu do czasu łyka ślinę, nie mogę powstrzymać się, aby nie poszydzić zeń trochę z powodu niezmiennej daremności psiego wysiłku.

— Gdzież zając, Bauszanie? — pytam. — Więc nie przyniesiesz mi zajączka?

A on bije ogonem o ziemię, przycisza na chwilę, gdy mówię, gwałtowny miech swych boków i połyka w zakłopotaniu

ślinę, gdyż nie wie, że moje szyderstwo ma tylko na celu ukryć przed nim i przed sobą samym uczucie wstydu i nieczystego sumienia, gdyż z mojej strony nie poparłem go w tej sprawie i nie „zatrzymałem" zająca, co prawdziwy pan powinien by uczynić. Nie wie o tym i dlatego mogę szydzić i udawać, jakby on był wszystkiemu winien.

Podczas polowań zdarzają się dziwne przypadki. Nie zapomnę, jak pewnego razu zając wpadł mi w ramiona... Było to nad rzeką, na wąskiej, gliniastej ścieżce. Bauszan gonił, szedłem z zagaja do strefy brzegu, przedzierałem się przez osty żwirowej grobli i zeskakiwałem z trawiastej szkarpy na drogę w chwili, gdy zając, mając za sobą Bauszana w odległości piętnastu kroków, sadził w długich susach od strony domku przewoźnika, do którego zwrócony byłem twarzą, i szedł wprost na mnie. Pierwszym mym po myśliwsku wrogim odruchem było skorzystać ze sposobności, zastąpić zającowi drogę i wpędzić go o ile możności w paszczę jazgoczącego boleśnie prześladowcy. Więc stanąłem jak wryty bez ruchu i, owładnięty pasją, ważyłem skrycie w ręce laskę, gdy zając zbliżał się coraz bardziej. Wiedziałem, że ma zły wzrok, tylko słuch i powonienie ostrzegają go przed niebezpieczeństwem. Mógł mnie uważać za sterczące drzewo i pragnąłem gorąco, by popełnił tę straszną pomyłkę, z której możliwych następstw nie zdawałem sobie jasno sprawy, którą jednak pragnąłem wyzyskać. Czy w jakiejś chwili podlegał tej pomyłce, jest rzeczą niepewną. Sądzę, że zauważył mnie w ogóle dopiero w ostatniej chwili i to, co uczynił, było tak nieoczekiwane, że pomieszało w mgnieniu oka wszystkie me plany i wywołało w mym umyśle wstrząs nagłej zmiany. Czy oszalał z śmiertelnego strachu? Dość, że wskoczył na mnie jak piesek, wbiegł przednimi łapami na mój płaszcz, mierząc głową w me łono, w łono strasznego myśliwca! Z podniesionymi ramionami, z przechylonym w tył ciałem, stałem spoglądając na zająca, który spoglądał znów na mnie. Trwało to tylko sekundę czy też część sekundy, ale tak było. Widziałem go z tak dziwną do-

kładnością, jego długie słuchy, z których jeden sterczał prosto do góry, a drugi zwisał w dół, jego wielkie, jasne, wypukłe oczy, szczerbatą wargę, biel jego piersi i małych łap, czułem lub zda się, że czułem drżenie jego zgonionego serca; było rzeczą dziwną widzieć go tak dokładnie i mieć przy sobie tak blisko małego demona miejscowości, wewnętrzne bijące serce okolicy, to wiecznie pierzchające stworzenie, które widziałem zawsze tylko na krótko, jak dawało śmiesznie drapaka, i które teraz w najwyższej potrzebie i braku wyjścia tuliło się do mnie i niejako obejmowało me kolana; kolana człowieka, nie tego, jak mi się zdało, który był panem Bauszana, lecz kolana tego, który był też panem zajęcy i jego panem, tak samo jak Bauszanowym. Trwało to, powtarzam, tylko sekundę, po czym zając oderwał się ode mnie, znów stanął na nierównych nogach i wskoczył na szkarpę z lewej, a zamiast niego znalazł się przy mnie Bauszan z wszystkimi swymi falsetami, które z jego przybyciem zostały ostro przerwane. Gdyż wymierzony i obmyślony cios laski z ręki zającowego pana sprawił, że Bauszan kwicząc stoczył się z przelotnie sparaliżowanym biodrem ze stoku po prawej, na który kulejąc znów wspiąć się musiał, zanim z wielkim opóźnieniem mógł znów podjąć pościg niewidocznego zająca.

W końcu bywają jeszcze polowania na ptactwo wodne, którym też pragnę poświęcić kilka wierszy. Mogą odbywać się tylko w zimie i chłodną wiosną, zanim ptaki przeniosą się z pobliża miasta, które jest im tylko ucieczką w ostatniej potrzebie i zapomogą żołądka, na jeziora. Te łowy są mniej denerwujące niż szczwanie zająca, mają jednak również swoje powaby dla myśliwca i psa lub raczej dla myśliwca i jego pana: dla tego ostatniego pod względem krajobrazowym, gdyż łączy się z tym poufała bliskość żywej wody; poza tym i dlatego, że obserwacja bytowania tych pływaków i latawców i niejako wydobywanie się przez to z własnej formy istnienia jest bardzo miłą zabawą i rozrywką.

Usposobienie kaczek jest łagodniejsze, bardziej mieszczań-

skie, wygodniejsze niż mew. Zdają się prawie zawsze syte i mało udręczone troskami o żywność, prawdopodobnie dlatego, że to, czego im trzeba, istnieje stale i stół ich jest zawsze nakryty. Gdyż, jak widzę, żrą niemal wszystko: robaki, ślimaki, owady albo po prostu trochę szlamu i mają wtedy dużo czasu, by siedzieć na kamieniach przybrzeżnych w słońcu, z dziobem wsuniętym wygodnie pod skrzydło uciąć sobie drzemkę, napuścić tłuszczem pióra, które tak jakby wcale nie miały styczności z wodą, spływającą raczej perłowymi kroplami z ich powierzchni; albo też dla samej przyjemności pływają po ruchomych falach, podnosząc kuper do góry, kręcąc się, wiercąc, i z samozadowoleniem wzruszają ramionami.

Natomiast w charakterze mew jest coś dzikszego, zachrypniętego, odludnego, smutnie jednostajnego; owiewa je twardy nastrój biedującego zbójectwa, gdy cały niemal dzień skrzecząc krzyżują się stadami w skośnym locie nad wodospadem i owym miejscem, gdzie brunatne odpływy z ujść szerokich rur wlewają się do rzeki. Gdyż rzucanie się na ryby, w którym ćwiczą się niektóre, jest bardzo niewystarczające do zaspokojenia ich masowego głodu i często muszą zadowalać się wstrętnymi odpadkami, wyrywając je w locie z dopływów i unosząc w krzywych dziobach na stronę. Nie lubią brzegu. Ale przy niskim stanie wody stoją i siedzą gęsto na sterczących z rzeki skałach, które okrywają białym tłumem, tak jak bielą się rojnie skały i wyspy mórz północnych od mnóstwa gnieżdżących się edredonek; i wspaniały jest widok, jak wszystkie naraz zrywają się skrzecząc i wzbijają w powietrze, gdy Bauszan zagrozi im z brzegu szczekaniem poprzez dzielącą je wodę. Mogłyby czuć się pewne; nie ma poważnego niebezpieczeństwa. Gdyż nie mówiąc już o wrodzonym mu wodowstręcie, strzeże się Bauszan rozumnie i słusznie prądu rzeki, któremu by nie sprostały nigdy jego siły i który porwałby go Bóg wie jak daleko, prawdopodobnie do Dunaju; dotarłby tam jednak w niezwykle szpetnym stanie, którego przykłady mieliśmy przed oczyma w postaci wzdętych trupów kocich, płynących

ku owym dalom. Nigdy nie wchodzi do rzeki dalej, jak po pierwsze zwilżone kamienie nadbrzeżne, choć rozkoszna wściekłość myśliwska drży w jego członkach i Bauszan przybiera minę, jakby miał właśnie zamiar rzucić się do rzeki i spełnić go w najbliższej chwili; wszelako można liczyć na jego rozsądek czuwający pod namiętnością i wszystko skończy się na zapędzie, na ostatecznym przygotowaniu do czynu, czystych pogróżkach, których chyba w ogóle nie dyktowała namiętność i które obliczone były tylko na przestraszenie pletwonogów, stworzeń o znaczniejszej zimnokrwistości.

Mewy zdradzają zbyt wielkie ubóstwo umysłu i serca, by szydzić z przygotowań Bauszana. Bauszan nie może dostać się do nich, ale śle ku nim poprzez wodę szczekanie, huczący pogłos, dochodzący do nich i stający się też czymś materialnym, szturmem, który nimi wstrząsa i któremu długo oprzeć się nie mogą. Starają się wprawdzie nie ruszać z miejsca, ale niepokój wkrada się w ich rojowisko, kręcą głowami, ta i owa trzepoce na wszelki wypadek skrzydłami i nagle porywa się z szumem w powietrze cała masa mew, podobna białej chmurze, kracząc gorzko i złowieszczo; Bauszan zaś skacze po kamieniach tam i sam, aby je rozproszyć i wprawić w ruch; gdyż właśnie o ruch mu chodzi, ażeby nie siedziały, lecz latały w górę i w dół rzeki, ażeby mógł je gonić.

Wali wybrzeżem, gna z daleka wzdłuż rzeki, gdyż wszędzie siedzą kaczki z dziobem pod skrzydłami i wszędzie, dokąd się zapędzi, polatują przed nim, tak że w samej rzeczy wygląda to jak zamiatanie i wzbijanie w powietrze całego nadbrzeżnego pasa; szybują i opadają ciężko na wodę, która bezpiecznie kołysze je i obraca, albo też lecą z wyciągniętą w przód szyją; tymczasem Bauszan, mknąc brzegiem, porównywa chwalebnie siłę swych nóg z mocą ich skrzydeł.

Jest zachwycony i wdzięczny, jeśli tylko lecą, jeśli dają mu sposobność do wspaniałych wyścigów wzdłuż rzeki, one zaś znają, zda się, jego życzenie i przy sposobności wyciągają z tego korzyść. Widziałem kaczkę-kokosz z pisklętami, było

to wiosną, na rzece nie było już ptaków; tylko ta kaczka pozostała u nas z pisklętami, które jeszcze nie mogły ciągnąć; więc pilnowała ich w szlamiastym bajorze, które po ostatniej powodzi napełniało wgłębienie suchego koryta rzeki. Tam zastał je Bauszan, obserwowałem tę scenę z górnej drogi. Skoczył w kałużę, ciskał się w niej z szczekaniem, wśród dzikich wykrętasów i rozpędził do cna kaczą rodzinę. Rozumie się, że żadnemu z jej członków nie uczynił nic złego, ale nastraszył ją niezmiernie, tak że pisklęta, bijąc kikutami skrzydeł, rozproszyły się na wszystkie strony; wszelako stara wezbrała heroizmem macierzyństwa, który ślepo i zuchwale rzuca się w celu ochrony piskląt na najsilniejszego nieprzyjaciela i szaleńczą, przekraczającą pozornie naturalne granice odwagą umie stropić go i zapędzić w kozi róg. Z najeżonymi piórami, z okropnie rozdartym dziobem, podfruwała coraz Bauszanowi w oczy, napierała nań bohatersko co chwila sycząc i rzeczywiście dokazywała swą karykaturalną bezwzględnością tego, że nieprzyjaciel, stropiony, cofnął się, acz nie mogła zmusić go poważnie i ostatecznie do odwrotu, gdyż Bauszan szczekając nacierał ciągle. Wtedy kaczka zmieniła postępowanie i ponieważ bohaterstwo okazało się niepraktyczne, wybrała rozsądek. Prawdopodobnie znała Bauszana, znała z dawniejszych czasów jego słabostki i dziecinne życzenia. Porzuciła swe małe, uczyniła to p o z o r n i e, uciekła się do chytrości, podfrunęła, poleciała nad rzekę „ścigana" przez Bauszana, ścigana, jak się jemu zdawało, choć, przeciwnie, prowadziła go, i to na błazeńskim postronku jego namiętności, leciała z prądem, potem pod prąd, coraz dalej i dalej, gdy Bauszan ścigał się z nią i pognał w górę rzeki tak daleko od bajora z pisklętami, że straciłem kaczkę i psa z oczu. Później głuptas znalazł się znowu przy mnie, zziajany, bez tchu. Ale oblegana kałuża, gdyśmy ją znów mijali, była pusta...

Tak czyniła kaczka-matka i Bauszan był jej za to wdzięczny. Ale nienawidzi kaczek, które w burżujskim spokoju ducha nie chcą mu służyć za zwierzynę, które po prostu, gdy on

nadbiega pędem, puszczają się z nadbrzeżnych kamieni na wodę i z pogardliwą pewnością siebie kołyszą mu się przed nosem, nie wzruszone potężnym szczekaniem, nie wprowadzone w błąd, jak nerwowe mewy, mimiką jego zapędów. Tak tedy stoimy, Bauszan i ja, obok siebie na kamieniach, a dwa kroki przed nami kołysze się zuchwale pewna siebie, z dziobem kokieteryjnie przyciśniętym do piersi kaczka na falach, szturmowana wściekłym głosem Bauszana, jednak nie wzruszona tym w swym rozsądku i swej trzeźwości. Wiosłuje pod prąd, tak że trwa niemal na miejscu; ale jednak coś niecoś cofa się w kierunku prądu, a z boku o metr od niej znajduje się próg wodny, jedna z pięknych, pienistych katarakt, ku której zwraca sterczący z pychą kuper. Bauszan szczeka zapierając przednie łapy o kamienie, a ja w duszy szczekam z nim razem; gdyż nie mogę obronić się od wewnętrznej wspólnoty z jego uczuciem nienawiści do kaczek i ich bezczelnego rozsądku i życzę im źle. „Uważaj przynajmniej na nasze szczekanie — myślę — a nie na kataraktę, byś niepostrzeżenie nie znalazła się w wirze i nie wpadła w naszych oczach w sytuację haniebną i niebezpieczną." Ale i ta gniewna nadzieja nie spełnia się, gdyż właśnie w chwili, gdy znalazła się na brzegu wodospadu, podfruwa kaczka trochę do góry, leci kilkanaście metrów przeciw prądowi i, bezwstydna, siada znowu.

Nie mogę myśleć o tym, z jaką wściekłością patrzymy obaj w takich wypadkach na kaczki, by nie stanęła mi w pamięci przygoda, którą chcę pod koniec opowiedzieć. Związana była z pewnym dla mnie i mego towarzysza zadośćuczynieniem, miała jednak też swą stronę przykrą, niemiłą i bałamutną, ba, wywołała przelotny chłód w stosunku między Bauszanem i mną i gdybym umiał ją przewidzieć, byłbym z chęcią omijał miejsce, w którym nas oczekiwała.

Było to daleko w kierunku biegu rzeki, za domem przewoźnika, tam gdzie gąszcz nadbrzeżny zbliża się do wyższej drogi nad rzeką, którą szliśmy z Bauszanem, biegnącym trochę przede mną skośnym, nieglaźnym kłusem. Szczuł zająca albo, jeśli

chcecie, pozwolił się szczuć jemu, spłoszył trzy czy cztery bażanty i szedł właśnie trochę obok mnie, by nie zaniedbywać zupełnie i pana. Stadko kaczek z wyciągniętymi szyjami leciało klinem nad rzeką, bardzo wysoko i bliżej przeciwnego brzegu, tak że zwierzyna dla nas nie wchodziła zgoła w rachubę. Leciały z nami, w naszym kierunku, nie zwracając na nas uwagi, nawet nie dostrzegając nas i również z nas to jeden, to drugi rzucał na nie od czasu do czasu okiem umyślnie obojętnym.

Wtem zdarzyło się, że na przeciwnym, podobnie jak nasz bardzo stromym brzegu wynurzył się z zarośli człowiek i skoro tylko wystąpił na widownię, przybrał pozycję, która nas obu, zarówno Bauszana jak i mnie, skłoniła do powstrzymania kroku i zajęcia badawczej postawy. Był to dość okazały mężczyzna, nieco surowej powierzchowności, z obwisłym wąsem, w owijaczach na nogach, w lodenowym kapeluszu na bakier, w bufiastych spodniach, które mogły być zrobione z pewnego rodzaju twardego aksamitu, zwanego manczesterem, i w odpowiedniej kurtce, na której widniały rozmaite pasy i rzemienie, gdyż miał na grzbiecie plecak, a na ramieniu strzelbę. Ledwo zjawił się na widowni, zdjął broń, przyłożył kolbę do policzka i zwrócił skośno lufę ku niebu. Jedną nogę w owijaczu wysunął naprzód, w dłoni zwróconej ku górze lewicy spoczywała lufa, łokieć lewy zgiął nieco ku dołowi, prawy, którego dłoń leżała na kurku, odchylił mocno w bok i celującą twarz skośnie i śmiało wystawił na światło niebieskie. Coś stanowczo operowego było w postaci mężczyzny, sterczącej nad żwirowiskiem brzegu, wśród powietrznej scenerii zarośli, rzeki i nieba. Wszelako nasza pełna szacunku i przenikliwa obserwacja nie mogła trwać długo, gdy huknął krótki strzał, na który czekałem z napięciem, więc na którego głos drgnąłem; jednocześnie błysnął blady w świetle dziennym ogieniek, za nim ukazała się chmurka dymu i kiedy mężczyzna uczynił operowy krok naprzód, z piersią i twarzą wyrzuconą w niebo, ze strzelbą w prawej garści, tam w górze,

dokąd patrzył i dokąd patrzyliśmy i my, odegrała się scena krótkiego, pierzchliwego zamieszania: stado rozleciało się, powstał dziki trzepot, jak kiedy wiatr strzeli w luźne żagle, nastąpiła próba ślizgowego lotu i, nagle zmieniona w rzecz, spadła ugodzona kaczka, szybko jak kamień, w pobliżu drugiego brzegu na powierzchnię wody.

Była to tylko pierwsza część akcji. Ale muszę tu przerwać jej opis, aby żywe spojrzenie mej pamięci zwrócić na Bauszana. Nastręczają się ukute zwroty dla określenia jego zachowania, obiegowe monety, uchodzące w wielkich wypadkach; mógłbym powiedzieć, że był jakby rażony piorunem. Ale nie przypada mi to do smaku, więc nie uczynię tego. Wielkie, zużyte słowa nie nadają się bardzo do wyrażenia rzeczy niezwykłych; uczynić to można raczej wzbijając małe słowa do góry i podnosząc je do szczytu ich istnienia. Powiem tylko tyle, że Bauszan, na odgłos strzału wraz z towarzyszącymi mu okolicznościami i zjawiskami następczymi, z d z i w i ł się, a było to zdziwienie, które jest mu w ogóle właściwe wobec uderzających przypadków i mnie u niego znane, lecz co prawda wzmożone do nieskończoności. Było to zdziwienie, które ciskało jego ciałem w tył, w lewo i w prawo, zdziwienie, które mu przy odskoku ściągało łeb na pierś, a przy doskoku wyrywało go prawie z barków, zdziwienie, które zdawało się krzyczeć zeń: „Co? Co? Co to takiego? Stać, do stu diabłów! J a k t o s i ę s t a ł o?" W miarę jak rozpraszało się zdumienie, wchłaniał z pewnego rodzaju złością rzeczy wzrokiem i słuchem w siebie i oto zastawał je już tam, były tam jakimś sposobem dawno już obecne, choć wydawały się niesłychanymi nowościami. Ba, gdy rwało go tak, że susami kręcił się w lewo, w prawo i dokoła siebie, miał wrażenie, jakby nagle oglądał się za sobą samym i pytał: „Czym jestem? Kim jestem? Czyż to ja?" W chwili gdy kaczka spadła na wodę, dał Bauszan susa naprzód ku krawędzi szkarpy, jakby chciał skoczyć do koryta rzeki i rzucić się do wody. Ale przypomniał sobie

prąd, wstrzymał swój zapęd, zawstydził się i oddał się znów patrzeniu.

Obserwowałem go z niepokojem. Gdy kaczka spadła, doszedłem do przekonania, że widziałem już dosyć, i zaproponowałem ruszyć dalej. Ale on usiadł na tylnych łapach, z wysoko nastawionymi uszyma i wzrokiem utkwionym w przeciwległy brzeg; a kiedy rzekłem: — Idziemy, Bauszan? — zwrócił tylko na mgnienie oka głowę w mą stronę, jak ktoś, co mówi nie bez szorstkości: „Proszę mi nie przeszkadzać!" — i patrzył dalej. Więc poprzestałem na tym, skrzyżowałem nogi, oparłem się na lasce i przyglądałem się również, co się dzieje.

Więc kaczka, jedna z tych kaczek, które często z bezczelną pewnością siebie kołysały się przed naszym nosem, płynęła po wodzie niby szczątek okrętu, nie wiadomo gdzie przód, gdzie tył. Rzeka jest tu spokojniejsza, spadek jej nie tak rwący jak trochę wyżej. Mimo to prąd porwał natychmiast kaczkę, zakręcił nią dokoła i uniósł i jeśli strzelcowi nie chodziło o samo trafienie i zabijanie, lecz miał też na oku cel praktyczny, to powinien był się śpieszyć. Uczynił to też nie tracąc chwili czasu; wszystko odegrało się z największą szybkością. Gdy tylko kaczka spadła, rzucił się w dół ze szkarpy, skacząc, potykając się, niemal padając. Trzymał przy tym strzelbę w wyciągniętej ręce przed sobą i czynił wrażenie niezwykle operowe i romantyczne, gdy, niby zbójca lub śmiały przemytnik z melodramatu, zeskakiwał po dekoracyjnie efektownym usypisku. Z wyrachowania trzymał się nieco skośnie na lewo, gdyż kaczka płynęła przed nim i chodziło mu o to, aby ją złapać. I rzeczywiście udało mu się, wychyliwszy się daleko i zamoczywszy nogi, zatrzymać ją wyciągniętą kolbą i chwycić; ostrożnie, wśród wielkich trudności, wyholował ją kolbą wśród kamieni i wyciągnął na ląd.

Dzieło zostało dokonane i mężczyzna odetchnął. Położył strzelbę na brzegu, zdjął plecak, schował zdobycz, zasznurował znów torbę i z miłym ładunkiem, oparty na strzelbie jak na

lasce, zaczął znów spokojnie wspinać się na usypisko ku zaroślom.

„No, ma pieczeń na jutro — pomyślałem z uznaniem i niechęcią. — Chodź, Bauszan, idziemy, nic się już nie stanie."

Ale Bauszan, powstawszy i okręciwszy się dokoła siebie, usiadł znowu i patrzył za strzelcem, choć ten ustąpił już z widowni i znikł wśród zarośli. Ani mi się śniło wołać go po raz drugi. Wiedział, gdzie mieszkamy, i jeśli tak mu się podobało, mógł siedzieć tam jeszcze dłużej i gapić się, chociaż wszystko się skończyło i nie było już nic do zobaczenia. Droga do domu była długa i co do mnie, zabierałem się, by ją odwalić. Wtedy ruszył za mną.

Przez całą tę przykrą drogę trzymał się mnie nie polując. Nie biegł skosem przede mną, jak to było jego zwyczajem, gdy właśnie nie miał ochoty szukać i węszyć, lecz szedł nieco za mną, krok za krokiem, i, jak zdołałem zauważyć, krzywił nos, gdy się przypadkiem nań obejrzałem. To mogło jeszcze ujść i daleko mi było do tego, by wpadać z tego powodu w gniew; przeciwnie, miałem ochotę roześmiać się i wzruszyć ramionami. Ale on co trzydzieści czy pięćdziesiąt kroków z i e w a ł i to mnie rozgoryczało. Było to bezwstydne, rozdziawione, grubiańsko znudzone ziewanie, któremu towarzyszył piszczący ton gardłowy i które mówiło wyraźnie: „Ładny pan! Żaden pan! Gałgan!" I jeśli obraźliwy ten ton zawsze robił na mnie wrażenie, to tym razem omal nie zburzył do gruntu naszej przyjaźni.

— Idź — mówię. — Idź precz! Wynoś̀że się do swego pana ze strzelbą i zostań sobie przy nim, widocznie nie posiada psa, może przydasz mu się przy jego wyczynach. Wprawdzie ma na sobie tylko manczester i nie jest panem, ale w twoich oczach może nim być, panem dla ciebie; przeto radzę ci szczerze przejść do niego, gdyż już cię zaniepokoił i dodał nową pchłę do twoich własnych. (Tak się daleko posunąłem.) Czy może się wykazać kartą myśliwską, o to go pytać nie będziemy, być może, że będziecie mieli nieprzyjemności, gdy

pewnego dnia przyłapią was na takim ładnym zajęciu; ale to wasza rzecz, a ja radzę, jak rzekłem, najszczerzej. O, ty strzelcze! Czy przyniosłeś mi kiedy do kuchni jednego z tych licznych zajęcy, które pozwoliłem ci ścigać? Nie moja wina, jeśli nie umiesz zrobić klucza i nosem, jak wariat, ryjesz żwir w chwili, gdy należałoby okazać zgrabność! Albo bażanta, który byłby nie mniej pożądany w tych skąpych czasach? A teraz ziewasz! Odejdź, powtarzam. Idź do twego pana w owijaczach i przekonaj się, czy on będzie cię drapał w szyję albo będzie umiał doprowadzić cię do śmiechu; moim zdaniem on sam nie umie się nawet śmiać, chyba bardzo surowo! Jeśli myślisz, że on podda cię naukowej obserwacji, gdy przyjdzie ci do głowy tajemnie krwawić, albo że jako jego pies uznany zostaniesz za nerwowego i anemicznego, to idź sobie do niego, ale być może, że łudziłeś się co do miary szacunku, jakim darzyć cię będzie tego rodzaju pan! Istnieją rzeczy i różnice, dla których tacy uzbrojeni ludzie posiadają dużo zrozumienia: naturalne zasługi lub wady (aby aluzję mą wyraźniejszą uczynić); przebiegłe zagadnienia drzewa genealogicznego i wywodu szlachectwa (aby uniknąć już wszelkich nieporozumień); zagadnienia, nad którymi nie każdy z delikatnym humanitaryzmem przechodzi do porządku; i jeśli przy pierwszej różnicy zdań ten zbrojny pan uczyni ci zarzut z twej bródki i obrzuci cię niemile brzmiącymi przezwiskami, wtedy pomyśl o mnie i mych obecnych słowach...

Tak zjadliwie mówiłem w drodze do domu do wlokącego się za mną Bauszana i choć mówiłem tylko wewnętrznie, nie wygłaszając swych słów, by nie wydawać się egzaltowanym, jestem jednak przekonany, że rozumiał dokładnie, co miałem na myśli, i w każdym razie nadążał za główną linią jej toku. Słowem, poróżnienie było dogłębne i doszedłszy do domu zatrzasnąłem umyślnie tuż za sobą furtkę ogrodową, tak że nie mógł przemknąć się ze mną i musiał z rozbiegiem skoczyć na drugą stronę. Nie oglądając się wcale, wszedłem do domu

i słyszałem jeszcze, że kwiczał, gdyż przełażąc uderzył się w brzuch, nad czym ironicznie wzruszyłem ramionami.

Ale to było już dawno, przeszło pół roku temu, i stało się w tym względzie to samo, co z wypadkiem klinicznym: czas i zapomnienie pokryły to wszystko, a nad ich namułem, który jest gruntem wszelkiego życia, żyjemy dalej. Choć jeszcze przez kilka dni wydawał się zadumany, cieszy się Bauszan od dawna znów w całej pełni polowaniem na myszy, bażanty, zające i ptactwo i gdy wrócimy do domu, zaczyna już, na zapas, czekać na następny raz. Przy bramie domu zwracam się wtedy raz jeszcze ku niemu i na ten znak w dwóch susach po schodach przyskakuje ku mnie i przednimi łapami opiera się na drzwiach wyprostowany, bym mógł na pożegnanie poklepać go po łopatce.

— Jutro znowu, Bauszanie — powiadam — o ile nie będę musiał iść w świat.

I potem wchodzę śpiesznie, by zrzucić buty z gwoździami, gdyż zupa już na stole.

NIEŁAD I WCZESNA UDRĘKA

1926 r.

Jako danie główne podano tylko jarzynę, kotlety z włoskiej kapusty, po czym ukazała się jeszcze legumina, sporządzona z trącącego migdałami i mydłem proszku budyniowego, który kupuje się w sklepie, i kiedy młodociany służący Ksawery w bluzie w paski, z której wyrósł, w białych wełnianych rękawiczkach i żółtych sandałach podał ją, „dorośli" przypominają ojcu delikatnie, że mają dziś gości.

„Dorośli" — to osiemnastoletnia, ciemnooka Ingryda, urocza dziewczyna, która czeka matury i zda ją zapewne, choćby dlatego, że potrafiła nauczycielom i dyrektorowi zawrócić głowę i zdobyć sobie ich bezwzględną pobłażliwość; nie zamierza jednak skorzystać z dyplomu, tylko licząc na swój miły uśmiech, przyjemny głos i wybitny, bardzo zabawny talent parodystyczny, marzy o teatrze — i jasnowłosy siedemnastoletni Bert, który za nic w świecie nie chce kończyć szkoły, tylko pragnie jak najprędzej rzucić się w wir życia i zostać albo tancerzem, albo recytatorem w kabarecie czy nawet kelnerem, ale to już bezwarunkowo „w Kairze" — w którym to celu przedsięwziął nawet raz, o piątej rano, szybko udaremnioną próbę ucieczki. Jest stanowczo podobny do Ksawerego Kleinsgütla, służącego-rówmolatka: nie, aby miał wygląd pospolity — z rysów podobny jest nawet uderzająco do ojca, profesora Corneliusa — lecz raczej dzięki pewnemu zbliżeniu z innej strony lub też wskutek wzajemnego dopasowania się w tym, w czym daleko idące ujedno-

stajnienie ubrania i ogólnej postawy gra główną rolę. Obaj mają włosy gęste, bardzo długie, niestarannie w środku przedzielone i obaj przeto odrzucają je w tył tym samym ruchem głowy. Gdy który z nich wychodzi furtką ogrodową, przy każdej pogodzie z gołą głową, w wiatrówce przepasanej z czystej kokieterii rzemykiem, i pochylony nieco naprzód, z głową przegiętą na ramię, rwie z miejsca lub dosiada roweru — Ksawery używa samowolnie rowerów państwa, również damskich, a w osobliwie beztroskim humorze nawet profesorskiego — wtedy doktor Cornelius z okna swojej sypialni nie może mimo najlepszych chęci rozróżnić, kogo ma przed sobą, służącego czy syna. Uważa, że obaj podobni są do młodych „mużyków", i obaj są namiętnymi palaczami, aczkolwiek Bert nie rozporządza środkami, by palić tak dużo jak Ksawery, który doszedł do trzydziestu dziennie papierosów pewnego gatunku, nazwanego imieniem sławnej diwy kinowej. „Dorośli" nazywają rodziców „staruszkami" — nie poza ich plecyma, lecz przemawiając tak do nich wprost i z całym przywiązaniem, choć Cornelius ma dopiero lat czterdzieści siedem, a żona jego jest jeszcze o osiem lat młodsza.

— Czcigodny starcze! — mówią — kochana staruszko!

Rodzice zaś profesora, którzy w jego mieście rodzinnym wiodą zahukany i nieśmiały żywot starych ludzi, zwą się w ich ustach „praszczurami". Co się tyczy „małych", Lorci i Gryzonia, którzy z „siną Anną", nazwaną tak dla siności policzków, jadają na górze, to za przykładem matki mówią ojcu po imieniu, nazywając go Ablem. Brzmi to w niezwykłej swej poufałości niesłychanie śmiesznie, zwłaszcza w słodkim pyszczku pięcioletniej Eleonory, która wygląda zupełnie jak pani Cornelius na swych dziecinnych portretach i którą ojciec kocha ponad wszystko.

— Staruszku — mówi z wdziękiem Ingryda kładąc dużą, lecz piękną dłoń na ręce ojca, który wedle mieszczańskiej, lecz nie sprzecznej z naturą tradycji prezyduje przy stole rodzinnym i po którego lewicy zajmuje miejsce ona, na wprost

matki — zacny przodku, pozwól jak najdelikatniej przypomnieć sobie, bo z pewnością zapomniałeś. Otóż dziś po południu ma się odbyć nasza skromna zabawa, gęsie hopki z sałatką śledziową, więc trzymaj się krzepko i nie załamuj się, o dziewiątej będzie po wszystkim.

— Ach tak? — rzekł Cornelius i twarz mu się wydłużyła. — Dobrze, dobrze — dodaje kiwając głową, by okazać, że pogodził się z losem. — Myślałem tylko... czy to już dzisiaj? Tak, czwartek. Jak ten czas leci! Kiedyż przyjdą?

— Zjawią się zapewne o wpół do piątej — odpowiada Ingryda, której w obcowaniu z ojcem brat daje pierwszeństwo. — Na piętrze, dopóki będziesz spał, nic prawie nie słychać, a od siódmej do ósmej odbywasz przechadzkę. Jeśli chcesz, możesz nawet czmychnąć przez taras.

— Ech! — mówi Cornelius w znaczeniu: „Przesadzasz!" Ale Bert odzywa się jednak:

— Jest to jedyny wieczór w tygodniu, kiedy Wania nie gra. Każdego innego dnia musiałby wyjść o wpół do siódmej. A to byłoby bolesne dla wszystkich uczestników.

„Wania" to Iwan Herzl, sławny młody amant teatru państwowego, serdecznie zaprzyjaźniony z Bertem i Ingrydą, którzy często bywają u niego na herbacie i odwiedzają go w garderobie. Jest on artystą nowej szkoły, który w osobliwych i, jak się profesorowi zdaje, niezwykle przesadnych i nienaturalnych pozach tanecznych hasa po scenie i krzyczy boleśnie. Profesorowi historii nie może to się podobać, jednak Bert uległ silnemu wpływowi Herzla, czerni sobie brzeg dolnej powieki, z powodu czego miał z ojcem kilka gwałtownych scen, i młodzieńczo nieczuły na cierpienia rodziców oświadcza, że weźmie sobie Herzla za wzór; nie tylko w razie obrania zawodu tancerza, lecz również jako kelner w Kairze zamyśla się poruszać tak samo jak on.

Cornelius, uniósłszy nieco brwi, kłoni się z lekka w stronę syna, zaznaczając ową lojalną skromność i opanowanie, jakie przystoją jego pokoleniu. Pantomina wolna jest od wyraźnej

ironii i ogólnikowa. Bert może odnieść ją zarówno do siebie jak i do talentu przyjaciela.

Pan domu zapytuje, kto jeszcze przyjdzie. Wymieniają mu kilka nazwisk, więcej lub mniej znanych, osób z kolonii will, z miasta, koleżanek Ingrydy z najwyższej klasy gimnazjum żeńskiego... Trzeba jeszcze zatelefonować, mówią. Trzeba jeszcze na przykład zatelefonować do Maksa, Maksa Hergesella, studenta inżynierii. Nazwisko to wymawia Ingryda w przeciągły i nosowy sposób, jaki jej zdaniem ma być manierą wszystkich Hergesellów i który parodiuje znakomicie, w sposób tak śmiesząco prawdopodobny, że rodzicom grozi udławienie się lichą leguminą. Bo i w tych czasach trzeba się śmiać, jeśli jest z czego.

Tymczasem w pracowni profesora odzywa się telefon, „dorośli" biegną, gdyż wiedzą, że to do nich. Po ostatniej podwyżce opłat wiele osób musiało wyrzec się telefonu, ale Corneliusów jeszcze stać było na to, podobnie jak mogli zatrzymać aż dotąd wybudowaną przed wojną willę, dzięki nienajgorzej do okoliczności dopasowanej milionowej pensji, którą pobiera pan domu jako profesor zwyczajny historii. Ich podmiejski dom jest elegancki i wygodny, choć nieco zaniedbany, na remont nie pozwala brak materiałów, szpecą go zaś żelazne piece z długimi rurami. Ale są to ramy życiowe dawnej górnej warstwy stanu średniego, w których bytuje się dziś w sposób jej nieodpowiedni, to jest ubogo i trudno, w znoszonych i nicowanych ubraniach. Dzieci nie zaznały niczego innego, dla nich jest to norma i reguła, są urodzonymi proletariuszami inteligencji. Kwestia ubrania mało je obchodzi. Pokolenie to wynalazło sobie kostium odpowiedni czasowi, kombinację biedy z harcerstwem, składającą się w lecie niemal tylko z płóciennej przepasanej bluzy i sandałów. Starym mieszczuchom jest trudniej.

„Dorośli" rozmawiają obok z przyjaciółmi, a serwety ich leżą na oparciach krzeseł. Dzwonią zaproszeni. Obiecują przyjść albo odmawiają, lub też pragną coś omówić i „do-

rośli" układają się z nimi w żargonie ich kółka, w gwarze pełnej osobliwych zwrotów i swawoli, z czego „staruszkowie" nie rozumieją ani słowa. I oni naradzają się tymczasem: czym przyjąć gości. W profesorze budzą się mieszczańskie ambicje. Pragnąłby, aby na kolację, po włoskiej sałatce i kanapkach z czarnego chleba, był tort, coś podobnego do tortu; ale pani Cornelius tłumaczy, że to byłoby za wiele, młodzi ludzie nie oczekują niczego, i dzieci, zasiadłszy znów do leguminy, przyznają jej rację.

Pani domu, której typ odziedziczyła przerastająca ją Ingryda, jest znękana i zmęczona wariackimi trudnościami w prowadzeniu gospodarstwa. Powinna by pojechać do wód, lecz chwiejny grunt pod stopami, ogólny zamęt, uniemożliwia to na razie. Myśli o jajach, które koniecznie dziś trzeba kupić, i mówi o nich, o jajach po sześć tysięcy marek, które tylko w ten dzień tygodnia wydaje w określonej ilości pewien sklep oddalony o kwadrans drogi i po których odbiór dzieci muszą przede wszystkim wybrać się zaraz po obiedzie. Danny, syn sąsiada, przyjdzie po nie i Ksawery w cywilnym ubraniu przyłączy się również do młodych państwa. Gdyż sklep wydaje tylko po pięć jaj tygodniowo na jedno gospodarstwo, toteż młodzi ludzie będą wchodzić do sklepu pojedynczo, kolejno i pod różnymi przybranymi nazwiskami, aby zdobyć w sumie dwadzieścia jaj dla willi Corneliusów; jest to cotygodniowa świetna zabawa dla wszystkich, łącznie z mużykiem Kleinsgütlem, zwłaszcza jednak dla Ingrydy i Berta, którzy niezwykle lubią mistyfikację i wprowadzanie innych w błąd, a czynią to na każdym kroku dla samej krotochwili, choćby nie chodziło o jaja. Czasem, w tramwaju na przykład, lubią udawać zupełnie kogo innego, prowadzą z sobą publicznie w narzeczu ludowym, którego poza tym wcale nie używają, długie fingowane rozmowy, takie sobie pospolite rozmowy, jakie prowadzą ludzie: najzwyklejsze bzdury o polityce, o cenach środków żywności i o ludziach, którzy nie istnieją, a cały wagon przysłuchuje się ich bezgranicznie wulgarnemu

pytlowaniu z sympatią, jednak z niejasnym podejrzeniem, że coś tu jest nie w porządku. Wtedy stają się coraz bezczelniejsi i zaczynają o nie istniejących ludziach opowiadać najohydniejsze historie. Ingryda potrafi wysokim, chwiejnym, ordynarnie świegotliwym głosem udawać, że jest panną sklepową i ma nieślubnego syna o skłonnościach sadystycznych, który niedawno na wsi tak skatował krowę, że chrześcijaninowi trudno było na to patrzeć. Słysząc, jak świegoce słowo „skatował", Bert omal nie parsknął śmiechem, wyraża jednak pełne grozy współczucie i wdaje się z nieszczęśliwą panną sklepową w długą, okropną, jednocześnie pełną zepsucia i głupią rozmowę o istocie chorobliwego okrucieństwa, aż jakiś starszy pan, siedzący naprzeciw z biletem jazdy między wskazującym palcem a sygnetem, uznaje, że przebrała się miarka, i zastrzega się publicznie przeciw temu, by tak młodzi ludzie omawiali wyczerpująco podobne temata (użył greckiej liczby mnogiej „temata"). Wobec czego Ingryda udaje, że rozpływa się we łzach, a Bert przybiera minę, jakby z największym wysiłkiem, lecz już nie na długo, tłumił i hamował szaloną wściekłość na starszego pana: zaciska pięści, zgrzyta zębami i drży na całym ciele tak, że stary pan, który miał najlepsze zamiary, opuszcza szybko wagon na najbliższej stacji.

Tak zabawiają się „dorośli". Telefon gra przy tym wybitną rolę; dzwonią do wszystkich: do śpiewaków operowych, mężów stanu i książąt kościoła, zgłaszają się jako panna sklepowa lub hrabiostwo Mannsteufel i z trudem dają się przekonać, że źle ich połączono. Pewnego razu opróżnili tacę z biletami wizytowymi składanymi rodzicom i karty te, nie bez zrozumienia dla półprawdopodobieństwa tej gmatwaniny, powrzucali do skrzynek na listy w całej dzielnicy, z czego powstało dużo skweresu, gdyż nagle Bóg wie kto, Bóg wie komu złożył jakoby wizytę.

Ksawery, już bez służbowych rękawiczek, tak że widać na palcu jego lewicy żółty, pleciony pierścionek, wchodzi, od-

rzucając włosy, do pokoju, aby sprzątnąć ze stołu, i kiedy profesor wypija swe cienkie piwo po osiem tysięcy marek butelka i zapala papierosa, słychać „małych", zbiegających po schodach. Przybywają, jak zwykle, przywitać się po obiedzie z rodzicami, wpadają do jadalni w walce z drzwiami, na których klamce oboje zawisają rączkami, i potykając się tupią szybkimi, niezgrabnymi nóżkami w czerwonych pantofelkach, na które zsunęły się sfałdowane skarpetki. Wśród krzyku, opowiadań i szczebiotu zmierza każde z nich po dywanie do zwykłego celu: Gryzoń do matki, której wdrapuje się na kolana, aby oznajmić, ile zjadł, i pokazać na dowód tego swój napęczniały brzuszek, Lorcia zaś do swego „Abla" — który jest cały jej, gdyż ona jest cała jego i czuje, chłonie z uśmiechem serdeczną i, jak wszelkie głębokie uczucie, nieco melancholijną tkliwość, którą on ją otacza, miłość, z jaką patrzy na nią i całuje jej delikatne rączki lub skronie, naznaczone tak subtelnie i wzruszająco błękitnymi żyłkami.

Dzieci wykazują uderzające podobieństwo do siebie, jednocześnie silne i nieokreślone, wzmożone jeszcze przez jednakie ubranie i uczesanie, ale i różnią się też wybitnie, a to w sensie męskości i kobiecości. Jest to mały Adam i mała Ewa, co zaznacza się wyraźnie, a ze strony Gryzonia nawet, zda się, zaznaczane jest świadomie i z pewnością siebie: już z budowy jest on bardziej krępy, przysadzisty, silniejszy, podkreśla jednak jeszcze swą męską godność postawą, miną i sposobem mówienia; zwiesza ramionka atletycznie, niby młody Amerykanin, z podniesionych nieco barków, ściągając podczas mowy usta w dół i starając się nadać głosowi swemu wydźwięk głęboki i poważny. Zresztą cała ta godność i męskość jest raczej zamierzona niż naprawdę zabezpieczona jego naturą; gdyż urodzony i hodowany w dzikich, burzliwych czasach, przyniósł na świat nierówny i wrażliwy system nerwowy, cierpi ciężko wśród niesnasek życia, skłonny jest do gniewu i tupania nogami, do rozpaczliwych i gorzkich wylewów łez dla byle drobnostki i jest już choćby dlatego pod

szczególną opieką matki. Ma ciemnopiwne, okrągłe oczy — które często nieco zezują, wskutek czego będzie musiał zacząć nosić niebawem korygujące okulary — długi nosek i małe usta. Nos i usta ma po ojcu, co zaznaczyło się wyraźnie, odkąd profesor wyrzekł się bródki w klin i chodzi gładko ogolony. (Brody nie dało się już naprawdę dłużej utrzymać; nawet człowiek historyczny czyni ostatecznie ustępstwa na rzecz obyczajów teraźniejszości). Wszelako profesor trzyma na kolanach córeczkę, swą Lorcię, małą Ewę, o tyle wdzięczniejszą, słodszą w wyrazie twarzy niż chłopak — i trzymając ż dala od niej papierosa pozwala jej majstrować delikatnymi rączkami koło okularów, których złożone z dwóch części szkła, przeznaczone do czytania i patrzenia w dal, co dzień budzą jej ciekawość.

W gruncie rzeczy profesor czuje, że serce żony wybrało wielkoduszniej niż on i że uciążliwa męskość Gryzonia jest trudniejsza niż zrównoważony wdzięk jego dziewczynki. Ale jest zdania, że sercu rozkazywać nie można, a serce jego należy do małej, odkąd istnieje, odkąd ujrzał ją po raz pierwszy. Ilekroć też trzyma ją w ramionach, przypomina sobie ten pierwszy raz: było to w jasnym pokoju kliniki położniczej, gdzie Lorcia przyszła na świat w dwanaście lat po swym dorosłym rodzeństwie. Zbliżył się i niemal w tej samej chwili, gdy przy uśmiechu matki podniósł ostrożnie zasłony lalczynego łóżeczka, które stało obok dużego, uczuł się przejęty i przykuty — niemal w tej samej sekundzie, gdy ujrzał mały cud. W pełni ukształtowany i jakby oblany światłością słodkiego umiaru, leżał w poduszkach, z rączkami już wówczas, jeno w daleko mniejszych rozmiarach, tak pięknymi jak teraz, z otwartymi oczyma, które były wtedy błękitne jak niebo i odbijały jasny dzień. Była to miłość od pierwszego wejrzenia i na zawsze, nieznane, nieoczekiwane i niespodziewane — o ile może być mowa o świadomości — uczucie, które owładnęło nim i które ze zdumieniem i radością zrozumiał natychmiast jako ostateczne.

Zresztą doktor Cornelius wie, że po dokładnym zbadaniu o zupełnej niespodzianości, nieprzewidzianości tego uczucia, a nawet o jego całkowitej mimowolności mówić nie można. Rozumie w gruncie rzeczy, że nie opadło go ono i nie związało się z jego życiem przypadkowo, lecz że był doń jednak przygotowany lub ściślej: był doń gotów; coś było w nim gotowe wytworzyć je w danej chwili, a tym czymś — dziwnie to wyznać — był jego charakter profesora historii. Ale doktor Cornelius nie wyznaje tego, tylko zdaje sobie czasem z tego sprawę z tajemnym uśmiechem. Wie, że profesorowie historii nie lubią tej historii, która się staje, lecz wolą tę, która się już stała, że nienawidzą obecnego przewrotu, gdyż odczuwają go jako bezprawny, bezładny i zuchwały, słowem jako „niehistoryczny", serce ich należy raczej do uporządkowanej, zbożnej i historycznej przeszłości. Gdyż nad przeszłością — tak sobie tłumaczy uczony przechadzając się przed kolacją nad rzeką — unosi się nastrój bezczasu i wieczności, a nastrój ten odpowiada bardziej nerwom profesora historii niż zuchwalstwo dnia dzisiejszego. Przeszłość jest uwieczniona, to znaczy martwa, a śmierć jest źródłem wszelkiej skromności i wszelkiego zmysłu zachowawczego. Doktor przyznaje to skrycie, gdy sam przechadza się w ciemności. To jego instynkt zachowawczy, jego zmysł „wieczności", ucieka od zuchwalstw czasu do miłości ku tej córeczce. Gdyż miłość ojcowska i dzieciątko przy piersi matczynej to rzeczy bezczasowe i wieczne, przeto bardzo święte i piękne. A jednak Cornelius rozumie w ciemności, że coś w tej jego miłości nie jest w zupełnym porządku — wyznaje to sobie teoretycznie, gwoli nauce. Miłość ta ma w sobie, jeśli chodzi o jej pochodzenie, coś tendencyjnego; tkwi w niej wrogość, opozycja przeciw dziejącej się historii na korzyść historii, która się stała, to jest śmierci. Tak, rzecz dość dziwna, ale prawdziwa, poniekąd prawdziwa. Jego gorąca miłość do tego kawałka życia, do potomstwa, ma coś wspólnego z śmiercią i to jest w pewnym znaczeniu niezupełnie pięknie i dobrze, choć wy-

rwanie sobie z serca tego najdroższego i najczystszego uczucia, gwoli takiej okolicznościowej naukowej refleksji, byłoby oczywiście najobłąkańszą ascezą.

Trzyma na kolanach córeczkę, która swe cienkie, różowe nóżki zwiesza z jego kolan, mówi do niej z podniesionymi brwiami, w tonie delikatnej, żartobliwej uniżoności i słucha z zachwytem słodkiego, wysokiego głosiku, którym ona mu odpowiada i nazywa go Ablem. Profesor zamienia przy tym wymowne spojrzenie z matką, która pieści Gryzonia i łagodnymi wyrzutami doprowadza go do rozumu i opamiętania, gdyż podrażniony życiem dostał dziś znowu napadu furii i zachowywał się jak wyjący derwisz. I ku „dorosłym" rzuca Cornelius czasem nieco nieufne spojrzenie, gdyż podejrzewa, że znane im są niektóre refleksje jego wieczornych przechadzek. Ale jeśli tak jest w istocie, nie dają tego poznać po sobie. Stojąc za krzesłami, z rękoma na oparciach, przyglądają się życzliwie, choć nie bez pewnej ironii, rodzicielskiemu szczęściu.

Dzieci mają na sobie grube, ceglaste, modnie wyszywane, kunsztowne ubranka, które swego czasu należały do Berta i Ingrydy i są zupełnie jednakowe, z tą tylko różnicą, że Gryzoniowi wystają spod bluzki krótkie spodenki. Mają też, wzorem paziów, jednakowo przystrzyżone włosy. Włosy Gryzonia są niejednolicie jasne, jeszcze w fazie powolnego ciemnienia, rosną niezgrabnie, najeżone, i wyglądają jak mała, śmieszna, źle nasadzona peruka. Natomiast włosy Lorci są kasztanowate, miękkie jak jedwab, lśniące i tak miłe jak cała jej osóbka. Zakrywają jej uszy, które, jak wiadomo, są różnej wielkości: jedno ma proporcję właściwą, drugie jednak jest trochę zwyrodniałe, stanowczo za duże. Ojciec wydobywa je niekiedy, by się temu gromko dziwować, jakby nigdy nie dostrzegł jeszcze tej małej usterki, co Lorcię jednocześnie zawstydza i bawi. Jej szeroko rozstawione oczy są złotobrunatne i mają słodki połysk, najczystsze, najukochańsze spojrzenie. Brwi nad oczami jasne. Nos jest jeszcze zgoła bezkształtny,

z dość grubymi nozdrzami, tak że dziurki są niemal okrągłe. Usta duże i pełne wyrazu, z pięknie zarysowaną, ruchliwą wargą górną. Kiedy się uśmiechnie i pokaże rzadkie ząbki (straciła dopiero jeden; pozwoliła ojcu wyrwać kiwający się siekacz przez chusteczkę, przy czym zbladła bardzo i drżała), wtedy robią się jej na policzkach dołki, które swoją charakterystyczną, przy całej dziecięcej miękkości nieco zbyt wklęsłą formę zawdzięczają temu, że dolna część jej twarzy jest wysunięta lekko naprzód. Na jednym policzku, tuż obok gładkiego pukla włosów, ma pieprzyk okryty puszkiem.

Ona sama jest na ogół mało zadowolona z swej powierzchowności — znak, że dba o nią. Orzeka ze smutkiem, że twarzyczka jej jest, niestety, brzydka, natomiast „figurka" wcale ładna. Lubi drobne, wyszukane, uczone wyrazy i łączy je razem, jak „raczej, oczywiście, ostatecznie". Samokrytyczne troski Gryzonia dotyczą raczej dziedziny moralnej. Skłonny jest do skruchy, z powodu swych napadów furii uważa się za wielkiego grzesznika i jest przekonany, że nie pójdzie do nieba, tylko do „piekła". Nie pomagają żadne pociechy, że Bóg jest pobłażliwy i patrzy na to przez palce: malec w zatwardziałym smutku potrząsa głową z źle nasadzoną peruką i uznaje swe wejście do królestwa niebieskiego za zgoła niemożliwe. Gdy jest zaziębiony, zdaje się cały pełen flegmy; rzęzi i chrypi od stóp do głów, gdy go tylko tknąć, i dostaje natychmiast wysokiej gorączki, tak że wciąż ciężko sapie. Toteż Anna od dzieci jest co do jego stanu fizycznego skłonna do pesymizmu i utrzymuje, że chłopca o tak „niezwykle gęstej krwi" może każdej chwili tknąć apopleksja. Raz zdawało się jej, że ta straszna chwila już nadeszła: kiedy mianowicie, za karę z powodu szalonego napadu wściekłości, postawiono Gryzonia do kąta twarzą do ściany — i twarz ta przy przypadkowym zbadaniu okazała się nabiegła sinością bardziej niż sina twarz Anny od dzieci. Ona też postawiła cały dom na nogi, oznajmiając, że zbyt gęsta krew chłopca sprowadziła jego ostatnią godzinę, i zły Gryzoń znalazł się

nagle ku swemu słusznemu zdziwieniu otoczony trwożliwą czułością, póki nie okazało się, że siność twarzy nie pochodzi z apopleksji, lecz z malowanej ściany dziecinnego pokoju, która swój indygowy kolor przeniosła na jego zalaną łzami twarz.

Anna od dzieci weszła również i z założonymi rękoma stanęła u drzwi: w białym fartuchu, z oleistą fryzurą, gęsimi oczyma i miną, w której malowała się surowa godność ograniczenia.

— Dzieci — oświadczyła dumna ze swej pielęgnacji i pouczania — rozwijają się cudownie.

Kazała wyrwać sobie niedawno siedemnaście ropiejących pieńków i wstawić odpowiedni garnitur żółtych zębów z ciemnoczerwonym kauczukowym podniebieniem, który teraz upiększa jej chłopską twarz. Umysłem Anny włada osobliwe wyobrażenie, że jej zęby stanowią przedmiot rozmowy szerokich kół, że niejako wróble ćwierkają o tym na dachu.

— Było dużo niepotrzebnego gadania — mówi surowo i mistycznie — dlatego że, jak wiadomo, kazałam wstawić sobie zęby.

W ogóle Anna lubi niejasne i niewyraźne, niezrozumiałe dla drugich gadki, jak na przykład o jakimś doktorze Ołowiaku, którego zna każde dziecko, i „w domu jest więcej takich — powiada — którzy się za niego podają". Można jedynie pominąć to ustępliwie milczeniem. Uczy dzieci pięknych wierszy, jak na przykład:

Pociągu, pociągu,
Lokomotywo.
Czy jedziesz, czy stoisz,
Gwiżdżesz se żywo.

Albo znów jadłospis na cały tydzień, pełen wyrzeczeń, stosownie do teraźniejszości, mimo to zadowolony z siebie; brzmi on:

Poniedziałek tydzień wszczyna,
Wtorek chudy biedaczyna,
W środę w środek trosk wpadamy,
W czwartek ogóreczek mamy,
W piątek rybka niewesoła,
W sobotę taniec w krąg stoła,
W niedzielę pieczeń wieprzowa
I sałatka bardzo zdrowa.

Lub taki czterowiersz o niepojętym i nieodgadnionym romantyzmie:

Otwórzcie bramę, otwórzcie bramę,
Hej, miejsca dla karocy,
Kto siedzi w tej karocy?
Pan jeden złotowłosy!

Albo wreszcie strasznie wesoła ballada o Marysi, która siedzi na kamieniu, na kamieniu, na kamieniu i czesze swe złote włosy, złote włosy, złote włosy. I o Rudolfie, który wyjął nóż, wyjął nóż, wyjął nóż, i który też skończył okropnie.

Lorcia wygłasza i śpiewa to uroczo ruchliwym swym pyszczkiem i słodkim głosem — daleko lepiej niż Gryzoń. Robi wszystko lepiej niż on, toteż Gryzoń podziwia ją szczerze i podporządkowuje się jej we wszystkim poza napadami buntu i awanturniczego szału. Lorcia często kształci go naukowo, objaśnia mu ptaki w książce z obrazkami, nazywa je po imieniu: chmurojad, gradojad, krukojad. Mały musi to powtarzać. Kształci go też medycznie, uczy chorób: zapalenia piersi, zapalenia krwi, zapalenia oddechu. Jeśli Gryzoń nie uważa i nie umie czegoś powtórzyć, stawia go do kąta. Raz dała mu nadto policzek, ale wstydziła się tego tak, że sama na dłuższy czas stanęła w kącie. Tak, zgadzają się z sobą, są jednym sercem i jedną duszą. Wszystko przeżywają wspólnie, wszystkie przygody. Wróciwszy do domu, opowiadają jeszcze z przejęciem i jakby jednymi ustami, że widzieli na gościńcu „krówki-muu i cielęcinę". Ze służbą z dołu, z Ksawerym i paniami

Hinterhöfer — siostrami niegdyś z mieszczańskiego stanu, które „au pair", jak to mówią, to jest za wikt i mieszkanie, sprawują urzędy kucharki i pokojówki — żyją na poufałej stopie, odczuwają, przynajmniej czasami, pewne pokrewieństwo stosunku tych niżej postawionych do państwa ze swym własnym stosunkiem do rodziców. Gdy dostaną burę, idą do kuchni i mówią:

— Nasi państwo gniewają się dzisiaj.

Jednakże przyjemniej jest bawić się z wyżej postawionymi, zwłaszcza z „Ablem", jeśli ten nie jest zmuszony czytać i pisać. Miewa on cudowniejsze pomysły niż Ksawery i panie. Dzieci bawią się „w czterech panów", którzy idą na przechadzkę. Wtedy „Abel" zgina kolana, tak że jest równie mały jak oni, i przechadza się z nimi, dłoń w dłoni, radość nigdy niesyta. Tak mogliby, w sumie — wraz ze zmalałym „Ablem" — w pięciu panów, przechadzać się cały dzień dokoła jadalni.

Dalej bywa niezwykle ciekawa zabawa w poduszki, polegająca na tym, że jedno z dzieci, przeważnie Lorcia, niby to nie widziana przez Abla, siada na krześle w jadalni i cicho jak mysz czeka jego przyjścia. Abel rozglądając się naokół, wśród zdań, które głośno i silnie wyrażają zaufanie do wygody jego krzesła, zbliża się i siada na Lorci.

— Jak to? — mówi. — Co to?

Poprawia się raz i drugi, nie słysząc skrytego chichotu, który rozlega się za jego plecami.

— Ktoś mi położył na krześle poduszkę? Cóż to za twarda, nierówna, pokrzywiona poduszka, na której siedzę tak niewygodnie?

I coraz bardziej kręci się na dziwnej poduszce, i sięga poza siebie w pełne zachwytu chichoty i kwiki, wreszcie odwraca się, po czym wielka scena odkrycia i rozpoznania zamyka dramat. Również i ta zabawa, mimo stokrotnych powtórzeń, nie traci nic z swych pełnych napięcia uroków.

Dziś takich uciech nie będzie. Niepokój bliskiej uroczys-

tości „dorosłych" unosi się już w powietrzu, przedtem zaś trzeba, rozdzieliwszy role, załatwić jeszcze zakupy. Lorcia zadeklamowała dopiero co „Pociągu, pociągu", a doktor Cornelius właśnie odkrył ku jej zawstydzeniu, że uszy jej są różnej wielkości, gdy Danny, syn sąsiada, wchodzi po Berta i Ingrydę; również i Ksawery zamienił swą liberię w paski na cywilną kurtkę, która nadała mu od razu wygląd nieco strojnisiowaty, choć zawsze jeszcze wesoły i sympatyczny. Więc mali wracają z Anną od dzieci do swego królestwa na piętrze, profesor zamyka się w gabinecie, by czytać, jak zwykle po obiedzie, zaś jego żona zwraca myśli i czyny ku kanapkom z anchois i włoskiej sałatce, które trzeba przygotować dla tańczących. Musi też, zanim zjawi się młodzież, pojechać rowerem z torbą na zakupy do miasta, aby garść pieniędzy, którą ma w ręku i której nie wolno narazić na dewaluację, zamienić na wiktuały.

Cornelius czyta rozparty w fotelu. Z cygarem w palcach czyta Macaulaya rzecz o powstaniu angielskiego długu państwowego w końcu siedemnastego wieku, po czym z jakiegoś francuskiego autora ustęp o rosnącym zadłużeniu Hiszpanii pod koniec szesnastego stulecia — jedno i drugie w związku z jutrzejszym rannym wykładem. Pragnie bowiem ówczesną zdumiewającą pomyślność gospodarczą Anglii porównać z fatalnymi skutkami, które wywołało sto lat przedtem zadłużenie się państwa w Hiszpanii, i rozebrać etyczne i psychologiczne przyczyny tej różnicy. Da mu to mianowicie sposobność przejścia od Anglii Wilhelma III, o którą właśnie chodzi, do wieku Filipa II i kontrreformacji, co jest jego ulubionym przedmiotem i o czym napisał sam wartościową książkę; temu często cytowanemu dziełu zawdzięcza też swą zwyczajną profesurę. Kończąc cygaro, które staje się trochę za mocne, niże w myśli kilka zabarwionych lekką melancholią zdań, które wygłosić chce jutro wobec studentów, o rzeczowo beznadziejnej walce powolnego Filipa z nowością, z tokiem historii, z rozsadzającymi państwo siłami indywiduum i wolności ger-

mańskiej, o tej osądzonej przez życie, a więc i przez Boga potępionej walce zastałej dostojności z siłami postępu i przekształcenia. Uznaje zdania za dobre i wygładza je jeszcze, ustawia książki na miejscu i udaje się na górę do sypialni, aby wierszowi dnia swego użyczyć, jak zwykle, średniówki, godzinki przy zamkniętych okiennicach i z zamkniętymi oczyma, której tak potrzebuje i która, jak mu się znów przypomina po naukowej dywersji, stać będzie pod znakiem domowo-świątecznego niepokoju. Uśmiecha się wobec lekkiego bicia serca, wywołanego przez to przypomnienie; w głowie mieszają mu się projekty frazesu o Filipie odzianym w czarny jedwab z myślą o baliku domowym dzieci i tak zasypia na pięć minut.

Kiedy tak leży i spoczywa, słyszy kilkakrotnie głos dzwonka u bramy, zatrzaskiwanie furtki ogrodowej i za każdym razem czuje sztych rozdrażnienia, oczekiwania i niepokoju na myśl, że to zjawili się młodzi ludzie i zapełniają już sień. Za każdym razem sam się uśmiecha z powodu sztychu, ale i ten uśmiech jest jeszcze wyrazem zdenerwowania, które zresztą zawiera naturalnie i szczyptę radości; któż bowiem nie cieszy się na myśl o zabawie. O wpół do piątej (jest już wieczór) wstaje i odświeża się przy umywalni. Miednica jest od roku zepsuta. Jest to miska obrotowa, pęknięta u nasady, której nie można naprawić, gdyż żaden rzemieślnik nie przyjdzie, a nowej się też nie kupi, gdyż żaden sklep nie może jej dostarczyć. Z konieczności więc zawieszona jest nad ściekiem na krawędziach marmurowej płyty i można ją opróżnić jedynie podnosząc obiema rękami i tak wylewając wodę. Cornelius, jak wiele razy dziennie, kiwa głową nad miednicą, po czym kończy toaletę, zresztą bardzo starannie, przeciera do czysta okulary patrząc pod światło lampy u powały i schodzi przez sień do jadalni.

Kiedy słyszy po drodze zlewające się razem głosy i puszczony już w ruch gramofon, twarz jego przybiera wyraz towarzysko-uprzejmy.

— Proszę nie przerywać sobie! — tak powie i przejdzie wprost do jadalni na herbatę. Zdanie to wydaje mu się w sam raz dostosowane do chwili: na zewnątrz pogodnie-dyskretne, jest dobrym szańcem dla niego samego.

Przedsień jasno oświetlona; w świeczniku płoną wszystkie lampki elektryczne z wyjątkiem jednej przepalonej. Na jednym z niższych stopni Cornelius przystaje i ogarnia okiem przedsień, która ładnie przedstawia się w świetle z kopią obrazu Marées'go nad ceglanym kominkiem, z boazerią, która zresztą jest z miękkiego drzewa, i czerwonym dywanem, na którym stoją goście z filiżankami herbaty i kanapkami z anchois w rękach. Świąteczna atmosfera, lekki wyziew sukien, włosów i oddechów stapiają się z sobą w sposób znamienny, budzą różne wspomnienia. Drzwi do szatni stoją otworem, gdyż gości wciąż przybywa.

Towarzystwo olśniewa w pierwszej chwili; profesor widzi tylko obraz ogólny. Nie zauważył, że Ingryda, w ciemnej sukni jedwabnej bez rękawów, z białą plisowaną narzutką, stoi z przyjaciółmi tuż przed nim u stóp schodów. Kiwa doń głową i uśmiecha się pięknymi zębami.

— Wypocząłeś? — pyta Ingryda cicho w cztery oczy. A kiedy poznał ją, bezzasadnie zdziwiony, ona zaznajamia go z przyjaciółmi.

— Pozwolisz, że przedstawię ci pana Zubera — mówi. — Panna Plaichinger.

Pan Zuber wygląda dość chudo, natomiast panna Plaichinger jak Germania, złotowłosa, tęga, luźno ubrana, z perkatym nosem i wysokim głosem osób otyłych, co się okazało, gdy odpowiedziała profesorowi na jego uprzejme pozdrowienie.

— Witam serdecznie — rzekł. — To pięknie, że pani o nas pamięta. Prawdopodobnie współabiturientka?

Pan Zuber jest towarzyszem Ingrydy z golf-klubu. Bierze udział w życiu gospodarczym, pracuje w browarze wuja i profesor żartuje z nim przez chwilę na temat cienkiego

piwa, udając, jakby przeceniał bezgranicznie wpływ młodego Zubera na jakość tego piwa.

— Ale proszę sobie nie przerywać! — rzekł zamierzając przejść do jadalni.

— Jesteś nareszcie, Maksie — mówi Ingryda. — Maksie, fujaro jedna, cóż tak człapiesz leniwie do zabawy i tańca!

Wszyscy „tykają" się i obcują z sobą w sposób zupełnie obcy starszym: o umiarze, wytworności obejścia, o salonie nie ma mowy.

Młody człowiek w miękkim gorsie i wąskim motylku smokingowym podchodzi z garderoby do schodów i kłania się: brunet, ale różowy, oczywiście starannie ogolony, ale z małym zarodem bokobrodów przy uszach, chłopak jak malowanie — nie śmieszny i płomienny pięknіś, jak Cygan-skrzypek, lecz przystojny w bardzo miły, przyzwoity i ujmujący sposób, z uprzejmymi czarnymi oczami i nawet smoking leży na nim jeszcze trochę niezgrabnie.

— No, no, Kornelio, nie besztaj. To ten głupi wykład — mówi; a Ingryda przedstawia go ojcu jako pana Hergesella.

A więc to jest pan Hergesell. Dobrze wychowany młodzieniec dziękuje panu domu za uprzejme zaproszenie.

— Zmarudziłem trochę — rzekł. — Akurat dziś dukwiłem do czwartej na wykładzie, potem musiałem być jeszcze w domu, żeby się przebrać.

Potem mówi o swych „gondolach", z którymi miał istną mękę w szatni.

— Przyniosłem je w worku — opowiada. — Nie uchodzi przecie, byśmy państwu ulicznymi butami tratowali dywan. Ale w roztargnieniu nie wziąłem łyżki do wzuwania i nie mogłem wleźć w buciory, cha, cha, proszę sobie pomyśleć, istna chryja! Nigdy w życiu nie miałem tak ciasnych chodaków. Numery wypadają rozmaicie, nie można brać ich w rachubę, zresztą to szelmostwo jest dziś tak twarde, to nie skóra, tylko żelazo! Zgniotłem sobie cały palec.

I pokazuje w zaufaniu zaczerwieniony palec, nazywając

to wszystko raz jeszcze chryją, i to ohydną. Istotnie, mówi tak, jak przedrzeźniała Ingryda: przez nos i dziwnie przeciągle, ale widocznie bez afektacji, tylko dlatego, że taki jest zwyczaj wszystkich Hergesellów.

Doktor Cornelius gani, że w szatni nie ma łyżki, i okazuje współczucie dla palca.

— A teraz nie przeszkadzam państwu — mówi. — Do widzenia. — I przechodzi przez sień do jadalni.

I tam są goście; stół jest rozsunięty, piją przy nim herbatę. Ale profesor zmierza prosto do zawieszonego haftami i własną lampą oświetlonego kąta, gdzie przy okrągłym stoliku pije zwykle herbatę. Zastaje tam żonę rozmawiającą z Bertem i dwoma innymi młodzieńcami. Jednym jest Herzl; Cornelius zna go i wita się z nim. Drugi nazywa się Möller, typ łazika, który widocznie nie posiada i nie chce posiadać cywilnego stroju odświętnego (w gruncie rzeczy takich strojów nie ma już), młody człowiek daleki od tego, aby grać „pana" (w gruncie rzeczy i tego już nie ma) — w przepasanej bluzie i krótkich spodniach, z gęstą czupryną, długą szyją i rogowymi okularami. Pracuje w banku, jak dowiaduje się profesor, jest jednak poza tym czymś w rodzaju amatora-folklorysty, zbieraczem i śpiewakiem pieśni ludowych wszystkich stref i języków. I dziś przyniósł na żądanie gitarę. Wisi ona jeszcze w ceratowym pokrowcu w szatni.

Aktor Herzl, człowiek szczupły i niski, ma jednak potężny zarost, co widać po napudrowanym wygoleniu. Oczy ogromne, płomienne i głęboko smutne; widać przy tym, że oprócz warstwy pudru nałożył i nieco różu: ten matowy karmazyn u góry policzków jest jawnie kosmetycznego pochodzenia. „Rzecz dziwna — myśli profesor. — Można by rzec: albo smutek, albo szminka. Obie te rzeczy razem tworzą przecie duchową sprzeczność. Jak człowiek smutny może się szminkować? Ale mamy tu snadź osobliwą, niezwykłą formę duchową artysty, która sprzeczność tę czyni możliwą, może

właśnie z niej się składa. Rzecz ciekawa i nie ma powodu być nieuprzejmym. Jest to prawowita forma, praforma."

— Może pan pozwoli cytryny, Herr Hofschauspieler!

Nie ma już teatrów dworskich, ale Herzl lubi ten tytuł, choć jest artystą rewolucyjnym. I to też sprzeczność wynikająca z jego formy duchowej. Słusznie profesor zakłada w nim tę sprzeczność i schlebia mu, poniekąd aby zrekompensować tajemną przykrość, wywołaną lekkim nalotem różu na policzkach Herzla.

— Najuprzejmiej dziękuję, szanowny panie profesorze! — mówi Herzl tak śpiesznie, że tylko znakomita technika wymowy nie pozwala potknąć się jego językowi. W ogóle zachowanie się jego w stosunku do gospodarzy, zwłaszcza do pana domu, jest pełne najwyższego szacunku, ba, niemal przesadnej i uniżonej dworności. Zdaje się, jakby miał nieczyste sumienie z powodu różu, który nałożyć był wewnętrznie zmuszony, ale którego sam ze stanowiska profesora nie pochwala, pragnąc przejednać go największą skromnością w stosunku do nie uszminkowanego świata.

Przy herbacie toczy się rozmowa o pieśniach ludowych Möllera, hiszpańskich i baskijskich, po czym schodzi na wznowienie Schillerowskiego „Don Carlosa" w Staatstheater, gdzie Herzl gra rolę tytułową. Mówi o swoim Carlosie.

— Mam nadzieję — powiada — że mój Carlos będzie z jednej bryły.

Omawia się krytycznie i resztę obsady, wartość inscenizacji, środowisko i profesor czuje, że wpływa znów na swoje wody, w Hiszpanię z czasów kontrreformacji, co sprawia mu niemal przykrość. Jest zgoła temu niewinny, nie uczynił nic, aby nadać taki zwrot rozmowie. Boi się, iż można by mniemać, że szukał sposobności do wykładu, dziwi się i milknie. Miło mu, że dzieci, Lorcia i Gryzoń, zbliżają się do stołu. Mają na sobie niebieskie aksamitne sukienki, szatę swoją odświętną, pragną więc aż do godziny snu uczestniczyć na swój sposób w zabawie dorosłych. Nieśmiało i ze zdzi-

wionymi oczami witają nieznajomych, muszą wyjawić swe imię i wiek. Pan Möller tylko patrzy na nie poważnie, lecz aktor Herzl okazuje się nimi zgoła oczarowany, uszczęśliwiony, zachwycony. Błogosławi je po prostu, podnosi oczy ku niebu i składa ręce przy ustach. Płynie mu to widocznie z serca, ale nawyk do warunków efektu teatralnego czyni słowa i gesty jego strasznie fałszywymi, poza tym zaś zdaje się, jakoby i to nabożeństwo do dzieci miało za cel jednać ludzi z różem jego policzków.

Goście wstali już od stołu, w przedsieni odbywają się tańce, malcy biegną tam, profesor zaś wraca do siebie.

— Wesołej zabawy! — mówi podając rękę panom Möllerowi i Herzlowi, którzy porwali się z miejsc. I przechodzi do swej pracowni, swego spokojnego królestwa, gdzie ściąga żaluzje, zapala lampę na biurku i siada do pracy.

Jest to praca, która da się chyba z biedą załatwić wśród tak niespokojnego otoczenia: kilka listów, kilka wyciągów. Cornelius jest oczywiście roztargniony. Odzywają się w nim drobne wrażenia, sztywne gondole pana Hergesella, wysoki głos w grubym ciele panny Plaichinger. Kiedy pisze lub wygodnie oparty w fotelu patrzy w próżnię, myśli jego wracają też do baskijskiego zbioru pieśni pana Möllera, do pokory i przesady pana Herzla, do „jego" Carlosa i dworu Filipa. „Z rozmowami — tak sobie myśli — rzecz ma się osobliwie. Są giętkie, nie kierowane idą za górującym tajemnie zainteresowaniem." Zda mu się, że nieraz już to zauważył. Od czasu do czasu nasłuchuje wcale zresztą niehałaśliwych odgłosów baliku domowego. Słychać tylko lekki gwar rozmowy, ani śladu suwania nóg. Gdyż nie posuwają się i nie wirują, tylko chodzą osobliwie po dywanie, który im nie przeszkadza, trzymając się też zupełnie inaczej niż za jego czasów, przy dźwiękach gramofonu. Profesor łowi te dźwięki, osobliwe pieśni nowego świata o jazzowej instrumentacji, pełnej perkusyjnych instrumentów, które aparat oddaje doskonale, i trzaskających kastanietów, które

jednak działają tylko jako instrument jazzowy, nie po hiszpańsku. Zgoła nie po hiszpańsku. I wraca znów do swych myśli zawodowych.

Po pół godzinie przypomina sobie, że byłoby uprzejmie z jego strony ofiarować bawiącym się pudełko papierosów. „Nie uchodzi — myśli — aby młodzi ludzie palili własne papierosy, choć im zapewne nie przyszło to nawet do głowy." Więc idzie do pustej jadalni, wyjmuje z szafki ściennej pudełko z zapasu nie najlepszych czy tych, które sam pali najchętniej, lecz trochę za długich i za cienkich, których pozbędzie się chętnie przy sposobności, gdyż ostatecznie są to młodzi ludzie. Idzie do przedsionka, podnosi z uśmiechem wysoko pudełko i stawia je na kominku, po czym natychmiast, rozejrzawszy się przelotnie, zmierza ku swojej pracowni.

Jest właśnie przerwa w tańcach, gramofon milczy. Goście rozmawiając stoją lub siedzą dokoła przedsionka, pod oknem przy stole z mapami, na krzesłach przy kominku. Na stopniach schodów przedsieni, z mocno uszkodzonym pluszowym chodnikiem, siedzi młodzież amfiteatralnie: między innymi pan Maks Hergesell z tęgą, cienkogłosą panną Plaichinger, która patrzy mu w oczy, gdy on mówi do niej półleżąc, oparty łokciem jednej ręki o następny stopień, drugą gestykulując w powietrzu. Główna przestrzeń przedsionka jest pusta; tylko na środku, pod samym świecznikiem, widać oboje małych w niebieskich sukienkach: objąwszy się niezgrabnie, kręcą się z przejęciem, cicho i powoli, dokoła siebie. Cornelius schyla się mimochodem i z dobrym słowem głaska je po włosach, co nie przeszkadza małym w ich poważnym zajęciu. Jednak stojąc już przy drzwiach, widzi, jak student inżynierii Hergesell, prawdopodobnie dlatego, że spostrzegł profesora, odbija się łokciem od stopnia, schodzi na dół i zabiera Lorcię z ramion brata, by zatańczyć z nią na hecę, bez muzyki. Czyni to niemal jak sam Cornelius, gdy idzie na spacer z „czterema pana-

mi", zgina nisko kolana starając się ją objąć jak dorosłą i robi z zawstydzoną Lorcią kilka kroków shimmy. Ci, co to widzą, bawią się doskonale. Stąd hasło do puszczenia znów w ruch gramofonu, rozpoczęcia znowu ogólnych tanów. Profesor, trzymając rękę na klamce, patrzy przez chwilę przytakując, śmieje się ramionami i wchodzi do swego pokoju. Jeszcze przez kilka minut twarz jego zachowuje mechanicznie uśmiech.

Przerzuca znów kartki książki w świetle lampy i pisze. Po chwili zauważa, że towarzystwo przeniosło się z przedsionka do salonu jego żony, łączącego się zarówno z przedsionkiem jak i z jego pokojem. Tam słychać teraz rozmowę, w którą wplatają się próbne dźwięki gitary. Więc pan Möller będzie śpiewał i już śpiewa. Przy dźwięcznych akordach gitary śpiewa młody urzędnik silnym basem pieśń w obcym języku — być może po szwedzku; profesor nie umie ustalić tego na pewno aż do finału, przyjętego gromkim oklaskiem. Portiera za drzwiami salonu tłumi głos. Gdy rozpoczyna się nowa pieśń, Cornelius przechodzi ostrożnie do salonu.

W salonie półmrok. Pali się tylko przysłonięta lampa stojąca, a obok niej siedzi na taborecie, z nogą założoną na nogę, pan Möller i uderza kciukiem o struny. Swobodne ugrupowanie publiczności świadczy, że każdy w ostatniej chwili umieścił się, gdzie mógł, gdyż dla tylu słuchaczy nie starczyło miejsc siedzących. Jedni stoją, lecz wielu, wśród nich i młode damy, siedzi po prostu na podłodze, na dywanie, objąwszy rękoma kolana lub wyciągnąwszy nogi przed siebie. Hergesell na przykład, choć w smokingu, siedzi na ziemi u stóp fortepianu, a obok niego panna Plaichinger. Są też i „małe": pani Cornelius, siedząca w fotelu naprzeciw śpiewaka, trzyma oboje na kolanach i barbarzyńca Gryzoń zaczyna w toku śpiewu mówić głośno, tak że trzeba go uciszać sykiem i kiwaniem palcem. Lorcia nigdy nie dopuściłaby się tego: zachowuje się dyskretnie i cicho na kolanach

matki. Profesor szuka jej spojrzenia, by skrycie kiwnąć dzieciątku głową; ale ona go nie widzi, choć zda się, nie zwraca uwagi na artystę. Oczy jej sięgają głębiej.

Möller śpiewa „Joli tambour":

— Sire, mon roi, donnez-moi votre fille —

Wszyscy zachwyceni.

— Bajecznie! — mówi Hergesell nosowym, osobliwym, rozpieszczonym niejako głosem wszystkich Hergesellów. Potem następuje jakaś pieśń niemiecka, do której sam Möller skomponował melodię i która spotyka się z burzą oklasków u młodzieży, śpiewanka dziadowska:

Babuleńka na odpust pomyka,
O jej, o jej!
Dziaduleńko w ślad za nią kusztyka,
O hej, o hej!

Istne gaudium nastało po wesołej pieśni dziadowskiej.

— Przebajecznie! — powiada znów Hergesell swoim zwyczajem.

Następuje jeszcze coś węgierskiego, jakaś modna piosenka, podana w zupełnie niezrozumiałym oryginale. Möller ma wielkie powodzenie. Również profesor klaszcze ostentacyjnie. Ta szczypta kultury i historyczno-retrospektywnego kunsztu wśród atmosfery shimmy rozgrzewa go. Podchodzi do Möllera, winszuje mu i rozmawia z nim o odśpiewanych utworach, o ich źródle, zbiorze pieśni z nutami, który Möller przyrzeka pożyczyć mu do przejrzenia. Cornelius jest dlań tym uprzejmiejszy, że obyczajem ojców porównywa zdolności i przymioty obcego młodzieńca z danymi własnego syna i czuje przy tym niepokój, zazdrość i wstyd. „Więc to ten Möller — myśli — dzielny urzędnik bankowy. (Nie wie wcale, czy Möller jest w banku tak bardzo dzielny). I poza tym wykazał ten szczególny dar, do którego wyro-

bienia potrzeba było oczywiście energii i studiów. Natomiast mój biedny Bert nic nie wie i nic nie umie, i myśli tylko o tym, by udawać błazna, choć z pewnością i do tego nie ma talentu!" Chciałby być sprawiedliwy; mówi sobie na wszelki przypadek, że Bert jest poza tym miłym chłopcem, mającym może lepsze podstawy niż tryumfujący Möller; że może tkwi w nim poeta lub coś podobnego, że jego tanecznokelnerskie plany to raczej dziecinna, chwilowa pogoń za błędnym ognikiem. Ale zazdrosny pesymizm ojcowski bierze górę. Gdy Möller zaczął ponownie śpiewać, doktor Cornelius wrócił znów do siebie.

Z podzieloną uwagą pracuje, jak dotąd, do siódmej; przypomina sobie krótki, rzeczowy list, który mógłby doskonale teraz napisać — bo pisanie jest bardzo wielką rozrywką — i tak robi się wpół do ósmej. O wpół do dziewiątej ma być na kolację włoska sałatka, więc czas profesorowi wyjść, wrzucić listy i wśród zimowych ciemności zaczerpnąć odpowiedniej ilości powietrza i ruchu. W przedsionku od dawna znowu zaczęły się tańce; profesor musi przejść tamtędy, by dostać się do płaszcza i kaloszy, ale już się tym nie przejmuje: jest w oczach rozbawionej młodzieży uznanym już hospitantem, który nie potrzebuje się obawiać, że im przeszkodzi. Schowawszy papiery i włożywszy listy do kieszeni, wychodzi z pokoju i zatrzymuje się chwilę w hallu, widząc żonę siedzącą przy drzwiach w fotelu.

Pani domu przygląda się tańcom, chwilami odwiedzają ją „dorośli" i inni młodzi ludzie; Cornelius staje obok niej i przypatruje się również z uśmiechem zabawie, która widocznie doszła do szczytu napięcia. Jest jeszcze więcej widzów: sina Anna, zajmując sobą jak najmniej miejsca, stoi przy schodach, gdyż małe nie mogą nasycić się zabawą i musi uważać, by Gryzoń nie wiercił się za wiele i w ten sposób nie wzburzył niebezpiecznie swej zbyt gęstej krwi. Ale i sfery niższe pragną radować się taneczną ochotą „dorosłych": zarówno panie Hinterhöfer jak i Ksawery stoją w drzwiach do

kredensu i przyglądają się. Panna Walburga, starsza z dwu podupadłych sióstr i strona gotująca (by jej nie nazwać po prostu kucharką, czego nie lubi), typ dobrotliwie humorystyczny, patrzy ciemnymi oczyma przez grubo szlifowane, okrągłe okulary, których łęk nosowy, aby nie gniótł, owinięty jest szmatką, gdy panna Cecylia, młodsza, choć zgoła nie młoda, wyróżnia się miną niezwykle dumną, broniąc swej godności jako dawny członek stanu trzeciego. Panna Cecylia cierpi wielce z powodu upadku ze sfery małomieszczańskiej na poziom służby. Za nic nie chce nosić czepeczka czy innej odznaki zawodu pokojówki, a czarną godziną jest dla niej środowy wieczór, gdy Ksawery jest wolny i ona musi podawać do stołu. Podaje z odwróconą twarzą i skrzywionym nosem niby upadła królowa; męką i głęboką przykrością jest patrzeć na to poniżenie i „małe", biorąc raz przypadkiem udział w kolacji, rozpłakały się na jej widok głośno i jednocześnie. Ksawery nie zna takich cierpień. Usługuje nawet bardzo chętnie, czyni to z pewną zarówno wrodzoną jak i nabytą zręcznością, gdyż był zeń niegdyś piccolo. Zresztą jest skończonym nicponiem i wietrznikiem z dobrymi przymiotami, jak gotowi są w każdej chwili przyznać jego skromni państwo, ale mimo to niemożliwym wietrznikiem. Trzeba go brać, jaki jest, i nie żądać, aby krzak cierniowy urodził figę. Jest dzieckiem i owocem czasów rozkładu, prawdziwym przykładem swego pokolenia. Profesor nazywa go „aranżerem zabaw", gdyż przy niezwykłych, zabawnych okazjach wszystkiemu daje radę, okazuje się zręcznym i uczynnym. Ale że nie ma najmniejszego pojęcia o obowiązku, trudno go skłonić do spełniania nudnych codziennych powinności, jak nie można zmusić pewnych psów do skakania przez kij. Widocznie sprzeciwiałoby się to jego naturze, a to rozbraja i każe rezygnować. Dla czegoś określonego, niezwykłego i zabawnego gotów jest wstać z łóżka o każdej porze nocy. Nigdy jednak nie wstaje przed ósmą rano — nie robi tego, nie umie skakać przez kij, ale przez cały boży dzień głoszą się znaki jego roz-

przężonego istnienia, ustna harmonika, szorstki, lecz pełen uczucia głos, wesołe pogwizdy z sutereny kuchennej na cały dom, gdy dym jego papierosów napełnia kredens. Stojąc przygląda się pracy obu podupadłych sióstr. Rano, kiedy profesor spożywa śniadanie, odrywa na jego biurku kartę z kalendarza, poza tym nie tknie palcem pokoju. Doktor Cornelius niejednokrotnie przykazywał mu, aby dał pokój kalendarzowi, gdyż często zwykł zapędzać się i zrywać jeszcze następną kartkę, a przez to naraża na niebezpieczeństwo zakłócenia wszelkiego porządku. Ale czynność obrywania kartek podoba się Ksaweremu, toteż nie pozwoli jej sobie odebrać.

Poza tym jest przyjacielem dzieci, co należy do jego stron ujmujących. Bawi się najserdeczniej z malcami w ogrodzie, struga i kleci im zręcznie to i owo, ba, czyta im nawet grubymi wargami z ich książek, czego warto posłuchać. Kino lubi z całej duszy i kiedy z niego wraca, skłonny jest do smutku, tęsknoty i monologów. Poruszają go nieokreślone nadzieje, że kiedyś będzie osobiście należał do tego świata i znajdzie w nim szczęście. Opiera je na swej roztrzęsionej czuprynie, na fizycznej zręczności i hazardzie. Często włazi na jesion w ogrodzie, na wysokie, lecz chwiejne drzewo, wdrapuje się z gałęzi na gałąź, na sam szczyt wierzchołka, aż strach patrzeć. Tam, na górze, zapala papierosa, buja się tam i sam, tak że wysoki maszt chwieje się aż do korzeni, i wypatruje dyrektora kina, który mógłby nadejść i zaangażować go.

Gdyby zdjął swą bluzę w paski i włożył ubranie cywilne, mógłby po prostu uczestniczyć w tańcach; nie raziłby zbytnio. Przyjaciele „dorosłych" wyglądają rozmaicie; mieszczański strój wieczorowy zdobi kilku młodych osobników, ale nie przeważa: typy w rodzaju piosenkarza Möllera zdarzają się tu i ówdzie, tak po stronie młodzieży żeńskiej jak i męskiej. Profesor, który stojąc za krzesłem żony ogarnia okiem cały obraz, zna w przybliżeniu ze słyszenia społeczne warunki tej młodej generacji. Są to gimnazjalistki, studentki i uczen-

nice szkoły przemysłu artystycznego; po stronie męskiej czysto przygodne i tylko potrzebami chwili uwarunkowane egzystencje. Blady, jak tyka długi młodzieniec, z perłami w gorsie koszuli, syn dentysty, jest tylko spekulantem giełdowym i jako taki żyje, wedle tego, co profesor słyszał, niby Aladyn z lampą cudowną. Posiada auto, urządza dla kolegów szampańskie kolacje i lubi przy każdej sposobności obdarzać ich upominkami ze złota i perłowej macicy. I dzisiaj przyniósł dla młodych gospodarzy podarunki: złoty ołówek dla Berta, dla Ingrydy zaś parę olbrzymich kolczyków, istnych pierścieni barbarzyńskiej wielkości, których jednak, dzięki Bogu, nie trzeba uroczyście przewlekać przez zraziki uszu, gdyż przymocowuje się je tylko kleszczykami. „Dorośli" podchodzą do rodziców i pokazują im ze śmiechem podarki, a rodzice potrząsają w podziwie głowami, gdy Aladyn z daleka kłania się kilkakrotnie.

Młodzież tańczy gorliwie, o ile tańcem można nazwać to, co się tu z takim bezbrzeżnym spokojem odbywa. Posuwają się w osobliwym objęciu i w nowomodnej postawie, z wysuniętym podbrzuszem, podniesionymi ramionami, kołysząc się nieco w biodrach, i kroczą wedle niewyraźnego przepisu powoli po dywanie, nie nużąc się, gdyż w ten sposób znużyć się nie można. Nie widać wcale falujących piersi, rozpalonych policzków. Tu i ówdzie tańczą z sobą dwie dziewczyny, niekiedy nawet dwaj młodzieńcy i nie sprawia to im różnicy. Tak kroczą przy egzotycznych dźwiękach gramofonu, który opatrzono mocnymi igłami, aby brzmiał głośno wygrywając swoje shimmy, fokstroty i onestepy, owe double-fox, shimmy afrykańskie, java-dance i polkę-kreolkę — dzikie, perfumowane kawałki, już to tęskne, już to ćwiczebne, o obcym rytmie; monotonna zabawa murzyńska, upstrzona orkiestrowymi ozdóbkami, perkusyjnymi instrumentami, brzdąkaniem i trzaskiem.

— Co to za płyta? — pyta Cornelius sunącą z bladym spekulantem Ingrydę, po jakimś utworze, w miarę tęsknym

i rytmicznym, który dzięki pewnym szczegółom inwencji dość mu się podoba.

— „Książę von Pappenheim, pociesz się, piękna dziecino" — mówi córka, uśmiechając się miło pięknymi zębami.

Dym papierosów unosi się pod świecznikiem. Atmosfera towarzyska gęstnieje — ten oschle słodkawy, zgęstniały, denerwujący, różnorodny wyziew zabawy, dla wszystkich pełen wspomnień niedojrzałej męki serdecznej... zwłaszcza dla człowieka, który przeżył zbyt wrażliwą młodość. „Małe" są wciąż jeszcze w hallu; wolno im zostać aż do ósmej, skoro zabawa sprawia im tak wielką radość. Młodzież przywykła do ich uczestnictwa; przynależą tu poniekąd na swój sposób. Zresztą rozdzieliły się: Gryzoń w błękitnej aksamitnej sukience kręci się sam na środku dywanu, gdy Lorcia drobi śmiesznie za jakąś sunącą parą, starając się pochwycić tancerza za smoking. To Maks Hergesell z swoją damą, panną Plaichinger. Suną zgrabnie, miło patrzeć na nich. Trzeba przyznać, że z tych dziko nowoczesnych tańców mogłoby powstać coś bardzo miłego, gdyby zabrali się do nich właściwi ludzie. Młody Hergesell prowadzi doskonale, mamy wrażenie, że odnosi się swobodnie do reguł tańca. Jak wytwornie umie się cofać, kiedy jest miejsce! Ale nawet na miejscu, w tłoku, trzyma się z umiarem, wspomagany gibkością tancerki, rozwijającej zdumiewający wdzięk, jakim rozporządzają nieraz tęgie kobiety. Rozmawiają z twarzą przy twarzy, zdając się nie spostrzegać ścigającej ich Lorci. Inni zaśmiewają się z zawziętości dzieci, doktor Cornelius zaś, kiedy para go mija, stara się pochwycić swoje dzieciątko i przyciągnąć do siebie. Ale Lorcia wymyka mu się niemal zgnębiona i nie chce na razie nic wiedzieć o Ablu. Nie zna go, zapiera się rękami o pierś ojca i odwracając słodką twarzyczkę wyrywa mu się, nerwowa i niechętna, w pogoni za swoim kaprysem.

Profesor nie może stłumić bolesnego uczucia. W tej chwili nienawidzi zabawy, której składniki zakłóciły i odstręczyły

odeń serce ulubienicy. Miłość jego, nie pozbawiona tendencji, w korzeniach swych niezupełnie wolna od zarzutów, jest czuła. Cornelius uśmiecha się machinalnie, ale oczy jego spochmurniały i uwięzły w jakimś wzorze dywanu między stopami tańczących.

— Małe powinny by pójść spać — mówi do żony. Ale ona prosi jeszcze o kwadrans dla dzieci. Wszak obiecano im go, skoro im się tak rozgardiasz podoba. Profesor uśmiecha się znowu i potrząsa głową, trwa jeszcze chwilę na miejscu, po czym udaje się do szatni, pełnej płaszczów, chust, kapeluszy i kaloszy.

Z trudem wyszukuje wśród tego chaosu własne rzeczy i kiedy ociera chustką czoło, wchodzi do garderoby Maks Hergesell.

— Panie profesorze — mówi tonem wszystkich Hergesellów, kłaniając się młodzieńczo — czy pan wychodzi? Zupełnie głupia chryja z mymi gondolami, uciskają jak Karol Wielki. Okazuje się, że to paskudztwo jest po prostu na mnie za małe, nie mówiąc już o twardości. Uwiera mnie w paznokieć wielkiego palca — mówi stojąc na jednej nodze i trzymając drugą w obu rękach — że aż trudno to wysłowić. Postanowiłem z konieczności zmienić obuwie, spacerowe trzewiki będą musiały paść ofiarą... O, czy wolno mi pomóc?

— Ależ dziękuję! — mówi Cornelius. — Niechże pan da spokój! Proszę się raczej pozbyć swej udręki! Bardzo pan uprzejmy.

Albowiem Hergesell ukląkł i zapina mu klamry u śniegowców.

Profesor dziękuje, mile poruszony taką pełną szacunku i serdeczną usłużnością.

— Przyjemnej zabawy — życzy — gdy pan zmieni obuwie! Oczywiście, nie powinno się tańczyć w ciasnych trzewikach. Niech pan koniecznie zmieni. Do widzenia, muszę zaczerpnąć powietrza.

— Zaraz będę znów tańczył z Lorcią — woła Hergesell za

nim. — Gdy dorośnie, będzie z niej pierwszorzędna tanecznica. Ręczę!

— Tak pan sądzi? — odpowiada Cornelius z sieni. — Ha, jest pan fachowcem i championem. Byle pan dziś od tego pochylania nie nabawił się skrzywienia kręgosłupa!

Skinąwszy głową, wychodzi. „Miły chłopak — myśli opuszczając dom. — Słuchacz inżynierii, cel zdecydowany, wszystko w porządku. Przy tym tak przystojny i uprzejmy." I znowu bierze go zazdrość ojcowska na myśl o jego „biednym Bercie", ten niepokój, który pokazuje mu postać obcego młodzieńca w najróżowszym, egzystencję syna w najciemniejszym świetle. Tak zaczyna swą przechadzkę wieczorną.

Idzie aleją, przez most i za mostem kawałek w górę rzeki, wzdłuż pobrzeża, aż do następnego mostu. Jest wilgotno i chłodno, chwilami pada śnieg. Podniósł kołnierz, trzyma laskę na plecach, zahaczywszy rączką o bark, i od czasu do czasu przewietrza głęboko płuca zimowym powietrzem wieczoru. Jak zawsze podczas ruchu, myśli o naukowych swych sprawach, o wykładzie, o zdaniach, które wygłosi jutro o walce Filipa z przewrotem germańskim i które mają być przepojone sprawiedliwością i melancholią! „Zwłaszcza sprawiedliwością! — myśli. — Ona jest duchem nauki, zasadą poznania i światłem, w którym trzeba ukazywać młodzieży sprawy tego świata, zarówno gwoli duchowej karności jak i z powodów ludzko-osobistych: aby nie wywołać w nich zgorszenia i nie ranić wprost ich przekonań politycznych, które są dziś oczywiście tak strasznie biegunowo dalekie i sprzeczne, że istnieje dużo palnego materiału i łatwo można ściągnąć na siebie niezadowolenie jednej strony, a nawet wywołać skandal obstając przy czymś zbyt historycznie. Lecz obstawanie przy czymś — myśli profesor — jest też właśnie niehistoryczne; historyczna jest jedynie sprawiedliwość. Tylko, oczywiście, dobrze zważywszy, właśnie dlatego... Sprawiedliwość nie jest gorączką młodzieńczą, świeżą i naiwnie radosną w swej stanowczości, sprawiedliwość jest melan-

cholią. Ponieważ jednak z natury jest melancholią, toteż z natury i potajemnie sympatyzuje raczej z beznadziejną stroną i potęgą historii niż ze stroną świeżą, naiwną, radosną. Czyżby tedy była treścią tej sympatii i bez niej nie istniała wcale? Czyżby tedy nie było żadnej sprawiedliwości?" — zapytuje profesor sam siebie i tak pogrąża się w tej myśli, że przy najbliższym moście rzuca zupełnie bezwiednie swe listy do skrzynki i zawraca. Myśl, która go opanowała, podważa wiedzę, ale ona sama jest wiedzą, sprawą sumienia, psychologią i musi obowiązkowo być przyjmowana bez uprzedzeń, czy podważa, czy nie podważa... Wśród takich marzeń wraca doktor Cornelius do domu.

W bramie domu stoi Ksawery i zdaje się go wypatrywać.

— Panie profesorze — mówi grubymi wargami i odrzuca w tył włosy — proszę pójść zaraz do Lorci. A to ci dopiero!

— Co się stało? — pyta przestraszony Cornelius. — Czy chora?

— Chora to nie — odpowiada Ksawery. — Tylko wzięło ją i cięgiem płacze okrutnie z powodu tego pana, co z nią tańczył, tego we fraku, pana Hergesella. Nie chciała za nic w świecie wyjść z hallu i całą balię ślozów wybeksała. Ano, wzięło ją porządnie.

— Nonsens — mówi profesor wchodząc i zrzucając rzeczy w szatni. Już dalej bez słowa otwiera obite drzwi szklane do hallu i nie darząc spojrzeniem tanecznego grona zmierza wprost ku schodom. Przebiega je biorąc po dwa stopnie i przez hall górny i małą sień udaje się wprost do pokoju dziecinnego, wyprzedziwszy Ksawerego, który został przy drzwiach.

W pokoju dziecinnym jest jeszcze jasno. Barwny papierowy fryz z obrazkami biegnie dokoła ścian, dużą półkę zalegają bezładnie zabawki, koń do huśtania się z czerwono lakierowanymi nozdrzami wpiera kopyta w bieguny, na okrytej linoleum podłodze leży jeszcze trąbka, klocki i wagoniki kolejowe. Białe łóżeczka z siatką stoją niedaleko siebie: Lorcine

w rogu pokoju przy oknie, Gryzoniowe o kilka kroków dalej swobodnie wchodzi na pokój.

Gryzoń śpi. Jak zwykle, w obecności sinej Anny odmówił głośno pacierz i zapadł natychmiast w sen, w swój burzliwy, do czerwoności rozpalony, ogromnie mocny sen, z którego nie zbudziłby go nawet wystrzał armatni przy łóżku; jego zaciśnięte, na poduszkę wstecz rzucone pięści leżą po obu stronach głowy, obok rozburzonej gwałtownym snem, skudłanej i źle leżącej peruczki.

Łóżko Lorci otaczają kobiety: oprócz sinej Anny stoją przy poręczy panie Hinterhöfer i rozmawiają zarówno z nią i z sobą. Ustępują, kiedy podchodzi profesor, i wtedy widać Lorcię, która siedzi blada wśród małych poduszek i płacze, i łka tak gorzko, że doktor Cornelius nie pamięta, czy widział ją kiedy w takim stanie. Jej piękne rączki leżą przed nią na kołdrze, koszulka nocna, wąską koronką obszyta, ześliznęła się z wróblęco chudych ramion, a głowa, ta słodka główka, którą Cornelius tak kocha za to, że jak niezwykły kwiat tkwi na cienkiej łodydze szyjki, odrzucona jest skośnie w tył, tak iż płaczące oczy zwrócone są ku górze, w kąt między sufitem i ścianą; i jakby tam skryła się jej wielka, serdeczna żałość, Lorcia kiwa w tę stronę główką, która czy to umyślnie i celowo, czy też wstrząsana łkaniem chwieje się nieustannie; ruchliwe zaś usta, z zarysowaną jak łuk wargą górną, są półotwarte jak u małej Mater dolorosa i kiedy z oczu płyną strugi łez, mała wydaje monotonne jęki, skargi, które nie mają nic wspólnego z gniewnym a zbytecznym krzykiem niegrzecznych dzieci, lecz płyną z rzeczywistej potrzeby serca. Łzy te budzą nieznośną litość w profesorze, który nie może w ogóle patrzeć na Lorcię płaczącą, a cóż dopiero w ten sposób. Litość ta wyraża się w najostrzejszym zdenerwowaniu w stosunku do obu pań Hinterhöfer.

— Przy kolacji — powiada poruszony — znajdzie się z pewnością dużo roboty. Zdaje się, że całą troskę o nią pozostawiono pani profesorowej?

To trafia do czułego słuchu dawnych członkiń stanu średniego. Wychodzą głęboko urażone, jeszcze u drzwi ścigane szyderczą miną Ksawerego Kleinsgütla, który od razu i z miejsca urodził się w niskim stanie i którego ogromnie bawi zawsze upadek tych dam.

— Dziecino moja — mówi Cornelius ze ściśniętym gardłem, bierze cierpiącą Lorcię w ramiona, siada na krześle przy łóżeczku. — Cóż to mojej dziecinie?

Mała zwilża twarz jego swymi łzami.

— Ablu... Ablu... — jąka z łkaniem — czemu... Maks... nie... jest... moim bratem? Niech... Maks... będzie... moim bratem...

„Cóż za nieszczęście, cóż za straszne nieszczęście! Cóż to narobiły te tańce i ich ingrediencje!" — myśli Cornelius i patrzy bezradnie na siną Annę, która zaplotła ręce na fartuchu i stoi u stóp łóżeczka w pełnej godności tępocie.

— To dlatego — mówi Anna surowo i uczenie, z wciągniętą wargą dolną — że u dziecka popęd niewieści występuje niezwykle żywo.

— Proszę milczeć — odpowiada Cornelius udręczony. Rad jest jeszcze, że Lorcia nie odsuwa się odeń, że go nie odpycha, jak przedtem w hallu, lecz szukając pomocy tuli się do niego, powtarzając w kółko bez sensu i składu, że chce, by Maks był jej bratem, i jęcząc pragnie wrócić doń do hallu, aby z nią tańczył. Ale Maks tańczy przecie w hallu z panną Plaichinger, która jest dorosłą gidią i ma wszelkie doń prawa. Targanemu litością profesorowi nie wydała się Lorcia jeszcze nigdy tak malutka i wróblęca jak teraz, kiedy bezsilna, wstrząsana łkaniem, tuli się do niego i nie wie, co dzieje się z jej biedną duszyczką. Nie wie. Nie rozumie, że cierpi z powodu grubej, dorosłej, całkowicie uprawnionej panny Plaichinger, której wolno tańczyć w hallu z Maksem Hergesellem, gdy Lorci wolno to było raz tylko, półżartem, dla krotochwili, choć chowa w sercu nieporównanie więcej miłości. Z tego jednak nie można wcale robić panu Herge-

sellowi zarzutu, gdyż byłoby to w stosunku do niego szaleństwem. Zmartwienie Lorci jest bezprawne i beznadziejne, więc powinno by się ukrywać. Ponieważ jednak nie posiada rozumu, więc nie posiada też i hamulca i to stwarza wielką przykrość. Sina Anna i Ksawery nie robią sobie nic z tej przykrości, są zgoła na nią nieczuli, czy to z głupoty, czy z przyrodzonej oschłości. Ale ta przykrość rani ojcowskie serce profesora, rozdarte również przez zawstydzający strach przed bezprawną i beznadziejną namiętnością.

Nic nie pomaga, gdy profesor tłumaczy Lorci, że ma obok siebie rozkosznego braciszka w osobie potężnie śpiącego Gryzonia. Mała zerka tylko przez łzy pogardliwie na drugie łóżeczko i domaga się Maksa. Nic nie pomaga, że doktor obiecuje jej jutro dłuższą przechadzkę w towarzystkie pięciu panów i stara się jej przedstawić, jak świetnie będą się bawili w poduszki. Lorcia nie chce słyszeć o tym wszystkim ani też o tym, by położyć się i spać. Nie chce spać, chce siedzieć i cierpieć... Nagle oboje, Abel i Lorcia, słyszą, że dzieje się coś przedziwnego, krok za krokiem zbliża się coś do pokoju dziecinnego i ukazuje się, i budzi potężne wrażenie.

To sprawka Ksawerego — widać to natychmiast. Ksawery Kleinsgütl stał przez cały czas przy drzwiach, gdzie szydził z odprawionych dam. Ruszył się, przedsięwziął coś, poczynił kroki. Zszedł do hallu, pociągnął pana Hergesella za rękaw, przemówił doń grubymi wargami, zwrócił się doń z prośbą. Teraz przyszli obaj. Ksawery, zrobiwszy swoje, zostaje znów przy drzwiach; ale pan Maks Hergesell podbiegł przez pokój do łóżeczka Lorci, w smokingu, z małym, ciemnym zarodem bokobrodów i pięknymi czarnymi oczami — zbliża się w widocznym poczuciu swej roli szafarza, dawcy szczęścia, królewicza z bajki, rycerza z łabędziem, jak człowiek, co mówi: „Oto jestem. Skończyła się doszczętnie wszelka niedola!"

Cornelius jest niemal tak samo przejęty jak Lorcia.

— Popatrz no — mówi cicho — kto to przyszedł. Ależ to niezmiernie uprzejmie ze strony pana Hergesella.

To nie jest osobliwa uprzejmość z jego strony, mówi Hergesell. To zupełnie zrozumiałe, że chce zajrzeć raz jeszcze do swej danserki i powiedzieć jej dobranoc.

Zbliża się do kraty, za którą siedzi oniemiała Lorcia i uśmiecha się błogo przez łzy. Cichy, wysoki głos, półwestchnienie szczęścia wydobywa się jeszcze z jej ust, po czym mała spogląda w milczeniu na rycerza z łabędziem złotymi oczyma, które, choć spuchnięte i czerwone, są nieporównanie milsze niż oczy otyłej panny Plaichinger. Nie podnosi ramion, aby go objąć za szyję. Jej szczęście, jak jej boleść, jest pozbawione rozumu, ale ona nie czyni tego. Piękne, małe rączki leżą nieruchomo na kołdrze, gdy Maks Hergesell stoi oparty rękami o kratę jak o poręcz balkonu.

— „Aby nie trawiła w płaczu — mówi — na swym łożu pełnych zgryzot nocy!"

I zerka ku profesorowi, by zyskać pochwałę za swe wykształcenie.

— Cha, cha, cha, w tym wieku! „Pociesz się, piękna dziecino!" Dobraś. Będą z ciebie ludzie. Tylko zostań taka. Cha, cha, cha, w tym wieku! Czy będziesz teraz spała, mała Loreley, i przestaniesz płakać, kiedy przyszedłem?

Lorcia patrzy rozpromieniona. Jej wróblęce ramionko jest nagie; profesor naciąga na nie wąską koronkę. Przypomina mu się sentymentalna historia o umierającym dziecku, do którego sprowadzają klowna, oglądanego przez nie z zachwytem w cyrku. Przyszedł w kostiumie do dziecka w jego ostatniej godzinie, z haftowanymi srebrem motylami z przodu i z tyłu, i dziecko skonało szczęśliwe. Maks Hergesell nie ma na sobie haftów i Lorcia, dzięki Bogu, nie kona, tylko „wzięło ją porządnie"; poza tym jednak jest to naprawdę podobna historia i uczucia ożywiające profesora w stosunku do młodego człowieka, który stoi oparty i ględzi po głupiemu — raczej do ojca niż do dziecka, choć Lorcia tego nie spostrzega — są osobliwie splecione z wdzięczności, zakłopotania, nienawiści i podziwu.

— Dobranoc, moja mała Loreley! — mówi Hergesell i podaje jej rękę ponad kratą. Mała, piękna, biała rączka znika w dużej, silnej, czerwonej łapie. — Śpij dobrze — mówi. — Śnij słodko! Ale nie o mnie! Broń Boże! W tym wieku! Cha, cha, cha!

I kończy swą bajeczną wizytę, odprowadzony do drzwi przez Corneliusa.

— Ależ nie ma za co dziękować! Szkoda każdego słowa! — broni się dwornie i wielkodusznie, dochodząc do drzwi; i Ksawery przyłącza się doń, by zacząć podawać na dole włoską sałatkę.

Doktor Cornelius wraca do Lorci, która położyła się teraz policzkiem do małej poduszki.

— Ależ to było ładnie — mówi poprawiając na niej kołdrę, a ona kiwa główką i oddycha z poszlochem. Doktor siedzi jeszcze z kwadrans przy łóżeczku i widzi, jak mała zasypia za przykładem braciszka, który już o tyle wcześniej znalazł właściwą drogę. Jej jedwabiste, ciemne włosy nabierają pięknej i falistej linii, jak zwykle we śnie. Długie rzęsy głęboko ocieniają oczy, z których spłynęło tyle cierpienia; anielskie usta ze sklepioną, pięknie zarysowaną górną wargą otwarły się w słodkim zadowoleniu i tylko czasem jeszcze w powolnym jej oddechu drży spóźnione łkanie.

A rączki jej, białoróżowe, kwietniane rączki, z których jedna spoczywa na niebieskiej pikowanej kołdrze, a druga koło twarzy na poduszce! Serce doktora Corneliusa wzbiera tkliwością jak winem.

„Co za szczęście — myśli — że z każdym oddechem tego snu wpływa Leta do jej małej duszy; że noc dziecięca tworzy między jednym dniem i drugim głęboką i szeroką przepaść!" Jutro, to pewna, będzie młody Hergesell już tylko bladym cieniem, niezdolnym zakłócić jej serca, i mała będzie w bezpamiętnej radości z Ablem i Gryzoniem bawiła się z całym przejęciem w przechadzkę pięciu panów i w poduszkę.

Niebu dzięki za to!

MARIO I CZARODZIEJ

1930 r.

Wspomnienie z Torre di Venere ma niemiłą atmosferę. Gniew, rozdrażnienie, napięcie wisiały od początku w powietrzu i potem skończyły się wstrząsem z tym strasznym Cipollą, w którego osobie, zda się, wcielił się i groźnie skupił w sposób fatalny, i zresztą po ludzku pełen wrażeń, szczególnie złośliwy nastrój. Że przy końcu strachu (jak nam się później zdawało, z góry oznaczonym i z samej istoty rzeczy wypływającym) musiały być jeszcze obecne dzieci, było smutną i na nieporozumieniu polegającą niewłaściwością, zawinioną przez fałszywe mamidła osobliwego człowieka. Dzięki Bogu, nie rozumiały one, gdzie się skończyło widowisko i zaczęła katastrofa, i zostawiono je w szczęśliwym złudzeniu, że wszystko było teatrem.

Torre leży mniej więcej piętnaście kilometrów od Portoclemente, jednego z najulubieńszych letnisk nad Morzem Tyreńskim, miejsca eleganckiego i przepełnionego całymi miesiącami, z pstrą ulicą hoteli i bazarów nad morzem, z szeroką plażą pokrytą budkami, zdobnymi w chorągiewki zamkami, z brunatną ludnością i hałaśliwymi przedsiębiorstwami rozrywkowymi. Ponieważ plaża sąsiadująca z laskiem piniowym, na który z małej odległości spoglądają góry, na całym tym wybrzeżu zachowuje swój drobnopiaszczysty, przyjemny charakter, nie dziwota, że nieco dalej powstała już dawniej cichsza konkurencja. Torre di Venere, gdzie zresztą od dawna szuka się nadaremnie wieży, której zawdzięcza swą nazwę, jest jako osiedle cudzoziemców odsadką wielkiego sąsiednie-

go kąpieliska i było przez kilka lat idyllą dla nielicznych, ucieczką dla miłośników nie ucywilizowanych żywiołów. Jak jednak zwykło się dziać z takimi miejscami, spokój musiał od dawna usunąć się nieco dalej, wzdłuż brzegu, do Marina Petriera i Bóg wie dokąd; świat, jak wiadomo, szuka go i wygania, rzucając się nań w śmiesznej tęsknocie, w mniemaniu, że może go poślubić i żyć z nim razem; ba, gdy świat na jego miejscu założył już swój jarmark, zdolny jest myśleć, że spokój przebywa tam jeszcze. Toteż Torre, choć zawsze jeszcze cichsze i skromniejsze niż Portoclemente, cieszy się wielkim wzięciem u Włochów i cudzoziemców. Nie jeździ się już tyle co dawniej do światowego kąpieliska, choć pozostaje ono mimo to hałaśliwym, ludnym kąpieliskiem świata; jeździ się tuż obok, do Torre, jest to nawet wytworniej, a poza tym taniej, i siła przyciągająca tych zalet trwa dalej, choć same zalety już dawno nie istnieją. Torre posiada „Grand Hôtel"; powstały liczne pensjonaty eleganckie i skromniejsze, właściciele i odnajemcy will i lasków piniowych nad morzem nie są już wcale pewni spokoju; w lipcu i sierpniu obraz tamtejszy nie różni się już od widoku Portoclemente: roi się tam jazgotliwy, kłótliwy, rozradowany tłum gości kąpielowych, któremu szalenie upalne słońce łuszczy skórę z karków; jaskrawo pomalowane, płaskodenne łodzie, obsadzone dziećmi, których dźwięczne imiona, wywoływane przez dozorujące matki, ochrypłą troską napełniają powietrze, kołyszą się na lśniącym błękicie, a przekupnie ostryg, napojów, kwiatów, korali i cornetti al burro przekraczając ciała plażujących zachwalają swój towar równie zdartym, pełnym głosem Południa.

Tak wyglądała plaża Torre, gdyśmy przybyli — dość ładnie, ale byliśmy zdania, żeśmy przybyli za wcześnie. Była połowa sierpnia, jeszcze w pełnym rozkwicie włoskiego sezonu; nie jest to dla cudzoziemców właściwa chwila dla zaznajomienia się z urokami miejscowości. Cóż za tłok po południu w ogródkowych kawiarniach plażowej promenady, na przy-

kład w „Esquisito", gdzie siadywaliśmy czasami i gdzie usługiwał nam Mario, ten sam Mario, o którym niebawem opowiem! Trudno znaleźć stolik, a orkiestry, nie chcące nic wiedzieć jedna o drugiej, mieszają z sobą swe dźwięki. Zresztą co dzień po południu dopływa publiczność z Portoclemente; bo oczywiście jest Torre ulubionym celem wycieczek dla ruchliwych gości z tamtego uzdrowiska i dzięki tam i z powrotem pędzącym samochodom Fiata kępy wawrzynów i oleandrów na skraju gościńca ośnieżone są na cal białym kurzem, stanowiąc dziwny, lecz odstręczający widok.

Naprawdę, trzeba jechać do Torre di Venere we wrześniu, gdy kąpielisko wyzbywa się wielkiej publiczności, albo w maju, zanim ciepłota morza osiągnie stopień, który południowca zaprasza do wody. Także przed sezonem i po nim nie jest tam pusto, ale jest wtedy ciszej i mniej tubylczo. Pod cienistymi płachtami namiotów i w pensjonatowych jadalniach panuje język angielski, niemiecki, francuski, podczas gdy „Grand Hôtel", gdzie w braku prywatnych adresów zajęliśmy pokoje, jeszcze w sierpniu znajduje się tak dalece w rękach florenckiego i rzymskiego towarzystwa, że cudzoziemiec czuje się izolowany i chwilowo jak gość drugiego rzędu.

Doświadczyliśmy tego z przykrością w wieczór naszego przyjazdu, gdy zeszliśmy na obiad do jadalni i kazaliśmy sobie przez właściwego kelnera wskazać stół. Nie było można nic mieć przeciw temu stołowi, ale przykuł naszą uwagę obraz sąsiedniej, wychodzącej na morze oszklonej werandy, zajętej prawie tak samo jak sala, ale nie przepełnionej, gdzie na stolikach płonęły lampki z czerwonymi osłonami. Dzieci były zachwycone tą świetnością i wyraziliśmy po prostu naszą decyzję spożywania posiłków raczej na werandzie — wynik niewiedzy, jak się okazało, gdyż oznajmiono nam z nieco zakłopotaną uprzejmością, że przytulne to miejsce zastrzeżone jest dla „naszych gości", ai nostri clienti. Dla naszych klientów? Ależ byliśmy nimi. Nie byliśmy zgoła przelotnymi ptakami, jednodniówkami, lecz domownikami na

trzy, cztery tygodnie, pensjonariuszami. Nie chcieliśmy zresztą nalegać, by wyjaśniono nam różnicę między nam podobnymi a ową klientelą, której wolno było jadać przy czerwonych lampkach, i spożyliśmy pranzo przy ogólnie i rzeczowo oświetlonym stole w sali — zupełnie pospolitą wieczerzę, pozbawiony charakteru i smaku schemat hotelowy; uznaliśmy później kuchnię w „Pensione Eleonora", o dziesięć kroków dalej, za o wiele lepszą.

Tam bowiem przenieśliśmy się, zanim zagrzaliśmy miejsca w „Grand Hôtelu", już po trzech czy czterech dniach — nie z powodu werandy i jej lampek; dzieci, zaprzyjaźnione z kelnerami i gońcami, porwane morskim powietrzem, wybiły sobie bardzo szybko z głowy ową barwną przynętę. Ale z pewnymi klientami werandy lub raczej tylko z zarządem hotelu, który płaszczył się przed nimi, doszło natychmiast do jednego z tych konfliktów, które mogą nadać pobytowi od początku niemiłą cechę. Znajdowała się tam wysoka arystokracja rzymska, jakiś książę X z rodziną, a ponieważ pokoje tych państwa sąsiadowały z naszymi, księżna, wielka dama i zarazem przesadna matka, przestraszyła się resztek kokluszu, który dzieci nasze przeszły na krótko przedtem i którego słabe echa przerywały jeszcze niekiedy kamienny zresztą sen najmłodszego. Natura tej choroby jest mało znana, zabobon gra tu jeszcze dużą rolę, więc nie mieliśmy za złe naszej eleganckiej sąsiadce, że uległa szeroko rozpowszechnionemu mniemaniu, iż kokluszem można się zarazić przez słuch, i bała się po prostu dla swych dzieci złego przykładu. W kobiecym poczuciu swej powagi udała się do dyrekcji, która w osobie znanego zarządcy w długim surducie pośpieszyła oświadczyć nam z głębokim żalem, że w tych warunkach przeniesienie się nasze do sąsiedniego budynku hotelu jest niezbędną koniecznością. Daremnie zapewnialiśmy, że choroba dzieci jest w stadium ostatecznego zaniku, że należy uważać ją za przezwyciężoną, że nie przedstawia już żadnego niebezpieczeństwa dla otoczenia. Przyznano nam tylko tyle, że wypa-

dek przedstawiony będzie medycznemu forum i wezwany zostanie lekarz zakładowy — tylko on, nie zaś powołany przez nas — dla wyrażenia swej decyzji. Zgadzamy się na takie załatwienie sprawy w przekonaniu, że w ten sposób uspokoi się zarazem księżnę i uniknie kłopotliwej dla nas przeprowadzki. Przychodzi doktor i okazuje się lojalnym i szczerym sługą nauki. Bada małego, oświadcza, że choroba minęła, i zaprzecza wszelkiemu niebezpieczeństwu. Sądzimy już, że mamy prawo uważać rzecz za załatwioną: wtedy zarządca oświadcza, że i po oświadczeniu lekarza musimy opróżnić pokoje i zamieszkać w dépendance.

Ten bizantynizm oburzył nas. Nie podobna, by wiarołomna zaciętość, z jakąśmy się spotkali, pochodziła od księżny. Służalczy gospodarz nie ważył się pewnie nawet zapoznać jej z sądem doktora. W każdym razie oświadczyliśmy mu, że się wyprowadzamy, opuszczamy hotel w ogóle, i to natychmiast, i spakowaliśmy rzeczy. Mogliśmy to uczynić z lekkim sercem, bo już tymczasem z pensjonatem „Eleonora", którego miły, prywatny wygląd natychmiast wpadł nam w oczy, nawiązaliśmy mimochodem stosunki i w osobie jego właścicielki, signory Angiolieri, zawarliśmy bardzo sympatyczną znajomość. Pani Angiolieri, wytworna, czarnooka dama toskańskiego typu, chyba po trzydziestce, o matowej cerze barwy kości słoniowej, i jej małżonek, starannie ubrany, cichy i łysy, posiadali we Florencji większy pensjonat dla cudzoziemców i tylko latem i wczesną jesienią prowadzili filię w Torre di Venere. Przedtem jednak, przed swym zamążpójściem, była nasza nowa gospodyni domownicą, towarzyszką podróży, garderobianą, ba, przyjaciółką Eleonory Duse, i czas ten uważała widocznie za wielką, szczęśliwą epokę swego życia, o której podczas naszego pierwszego spotkania zaczęła natychmiast z ożywieniem opowiadać. Liczne fotografie wielkiej aktorki, opatrzone serdecznymi dedykacjami, jak też inne pamiątki dawnego współżycia zdobiły stolik i etażerki

salonu pani Angiolieri i choć jawne było, że kult interesującej przeszłości miał też powiększać nieco pociągającą siłę obecnego przedsiębiorstwa, słuchaliśmy jednak, oprowadzani po domu, z przyjemnością i sympatią jej opowiadań wygłaszanych urywanym i dźwięcznym narzeczem toskańskim o cierpieniach, dobroci, geniuszu serca i głębokiej delikatności jej zmarłej pani.

Tam więc kazaliśmy przenieść nasze rzeczy, ku wielkiemu żalowi na zacny włoski sposób lubiącego dzieci personelu „Grand Hôtelu"; zajęte przez nas mieszkanie było zaciszne i przyjemne, dostęp do morza wygodny, poprzez aleję młodych platanów, wiodącą na promenadę plażową; sala jadalna, gdzie madame Angiolieri podczas każdego obiadu własnoręcznie nalewała zupę, była chłodna i czysta, służba uważna i uprzejma, wikt doskonały, znaleźli się nawet wiedeńscy znajomi, z którymi po obiedzie gawędziło się przed domem i przez których zawierało się nowe znajomości, i tak wszystko mogło być dobrze — byliśmy z naszej zamiany zupełnie zadowoleni i niczego właściwie nie brakło do spokojnego bytowania.

Jednak nie było jakoś naprawdę przyjemnie. Może dręczył nas niejako niedorzeczny powód naszej przeprowadzki — co do mnie wyznaję, że z trudem przechodzę do porządku nad starciami z miejscową codziennością, nad naiwnym nadużyciem przemocy, niesprawiedliwości, podstępnej korupcji. Zajmują mnie za długo, wtrącają w podrażnione rozmyślania, które swą bezpłodność zawdzięczają temu, że zjawiska te rozumieją się aż nazbyt same przez się i są zupełnie naturalne. Przy tym nie czuliśmy się wcale poróżnieni z „Grand Hôtelem". Dzieci zachowały tam swoich przyjaciół jak przedtem, służący naprawiał im zabawki i kiedy niekiedy piliśmy herbatę w ogrodzie hotelu, nie unikając widoku księżny, która z jaskrawokolorowymi ustami, stąpając zgrabnie pewnym krokiem, zjawiała się, by rzucić okiem na swe powierzone Angielce pociechy, i nie domyślała się przy tym naszej nie-

bezpiecznej bliskości, gdyż skoro się ukazała, nie wolno było naszemu małemu nawet chrząknąć.

Czyż mam nadmienić, że był niezmierny upał? Upał wprost afrykański: terror słoneczny, skoro tylko przekroczyło się rąbek indygowo-sinego chłodu, nieubłagany, który te kilka kroków od plaży do jadalni, w samej tylko pidżamie, czynił przedsięwzięciem podejmowanym z westchnieniem. Czy to można wytrzymać? Wytrzymać przez długie tygodnie? Prawda, wszak to Południe, klasyczna pogoda, klimat rozkwitającej kultury ludzkości, słońce Homera i tam dalej. Ale po chwili nie mogę sobie dać rady, dochodzę do tego, że uważam go za niedorzeczność. Płonąca dzień w dzień pustka nieba staje się niebawem ciężarem, jaskrawość barw, niezmierna naiwność i niezmąconość światła wzbudza oczywiście podniosłe uczucia, użycza beztroski i pewnej niezależności od kaprysów i zmian pogody, ale choć zrazu nie zdajesz sobie z tego sprawy, nie zadowala ona głębszych, bardziej złożonych potrzeb duszy północnej, wyjaławia i napawa w końcu czymś jakby pogardą. Słusznie, bez tej głupiej historii z kokluszem nie odczułbym tak tego; byłem podrażniony, chciałem tak może czuć, więc chwyciłem się na pół świadomie gotowego motywu, aby uczucie przez to, jeśli nie stworzyć, to jednak ulegitymować i wzmocnić. Ale weźmy tu nawet w rachubę naszą złą wolę — co się tyczy morza, przedpołudnia spędzonego w delikatnym piasku wobec jego wiecznej wspaniałości, nie może być o czymś podobnym mowy; a jednak tak to było, że wbrew wszelkiemu doświadczeniu także na plaży nie czuliśmy się dobrze, szczęśliwie.

Za wcześnie, za wcześnie; była ona, jak się rzekło, jeszcze w rękach tubylczej klasy średniej, na pozór miłego rodzaju ludzi, co do tego również zgoda, było widać wśród młodzieży dużo krzepkości i zdrowego wdzięku, ale też nieodłącznie było dokoła dużo ludzkiej miernoty i mieszczańskiej tłuszczy, co, przyznacie, pod znakiem tej strefy nie jest powabniejsze

niż pod naszym niebem. Co za g ł o s y mają te kobiety! Czasem nie chce się wierzyć, że się jest w ojczyźnie śpiewaczego kunsztu Zachodu. „Fuggièro"! Mam ten okrzyk jeszcze dziś w uchu, bo słyszałem go przez dwadzieścia ranków ze sto razy tuż przy sobie, w ochrypłej wściekłości, ze strasznym akcentem, z ostro otwartym „è", wyrzucany z pewnego rodzaju zmechanizowaną rozpaczą: „Fuggièro! Rispondi al mèno!" Przy czym „sp" wymawiano z ludowa na niemiecki sposób jak „szp" — irytacja dodatkowa, jeśli i tak panuje zły humor. Krzyk ten odnosił się do ohydnego chłopaka z budzącą wstręt raną między łopatkami od spieki słonecznej; popisywał się on, ile mógł, niesfornością, krnąbrnością i złośliwością, która i mnie nie ominęła, poza tym zaś był wielkim tchórzem, gotowym oburzającą symulacją poruszyć całą plażę. Pewnego dnia mianowicie uszczypnął go w wodzie mały krąb w nogę i jęk antycznych bohaterów, który chłopiec wydał z tego drobnego powodu, wstrząsał do szpiku kości i robił wrażenie strasznej katastrofy. Widocznie sądził, że został śmiertelnie zraniony. Wylazłszy na ląd tarzał się w pozornie nieznośnych cierpieniach, ryczał „ach!" i „och!" i bijąc dokoła rękami i nogami odrzucał tragiczne zaklęcia matki i pociechę dalej stojących. Scena ta ściągnęła zewsząd wiele ludzi. Sprowadzono lekarza, tego samego, który tak trzeźwo osądził nasz koklusz, i znowu dał dowód swej naukowej prostolinijności. Z dobroduszną pociechą uznał wypadek za błahostkę i zalecił pacjentowi po prostu wrócić do kąpieli, by ochłodzić małą rankę. Zamiast tego jednak zabrano Fuggièra z plaży na zaimprowizowanych noszach, jakby spadł ze szczytu lub był topielcem, wśród wielkiego orszaku, a już następnego ranka, niby to nieumyślnie, burzył naszym dzieciom zamki z piasku. Słowem, okropność.

Przy tym dwunastolatek ten należał do głównych przedstawicieli powszechnego nastroju, który nieuchwytnie unosząc się w powietrzu chciał nam obrzydzić tak miły pobyt. W dziwny sposób zbywało atmosferze na niewinności, na

swobodzie; publiczność ta „szanowała się" — nie wiadomo było dobrze, w jakim znaczeniu i duchu, okazywała godność, zaznaczała wobec siebie i wobec obcych powagę i dumę, czujną ambicję. O co chodziło? Wnet jasne się stało, że tkwi w tym polityka, że wchodzi w grę nacjonalizm. Istotnie, roiło się na plaży od patriotycznych dzieci — nienaturalne i przygnębiające zjawisko. Wszak dzieci tworzą odrębny gatunek ludzi i społeczeństwa, można rzec własną małą nację; łatwo i pewnie odnajdują się w świecie na gruncie wspólnej formy życia, choć ich szczupły skarbiec słów należy do różnych języków. Również nasze bawiły się niebawem z tubylczymi, jak i innymi różnego pochodzenia. Widocznie jednak doznawały zagadkowych rozczarowań. Były zadrażnienia, kwestie ambicji, zbyt drażliwe, zbyt poważne, aby zasłużyć na tę nazwę, była kłótnia o flagi, spory o wyższość i pierwszeństwo; dorośli mieszali się do tego nie tyle łagodząc, co rozstrzygając i broniąc zasad, padały frazesy o wielkości i godności Italii, niemile psujące zabawę komunały; widzieliśmy dwoje naszych dzieci stropionych i bezradnych, jak wycofywały się, i z trudem usiłowaliśmy im jako tako wytłumaczyć stan rzeczy: ci ludzie, wyjaśnialiśmy im, przechodzą właśnie pewien stan, coś jakby chorobę, jeśli chcecie, nie bardzo przyjemną, ale zapewne konieczną.

Było naszą winą, którą przypisywaliśmy naszej gnuśności, że doszło do konfliktu z tym znanym nam przecie i rozumianym stanem — do jeszcze jednego konfliktu; zdawało się, że poprzednie nie były zgoła czystymi wytworami przypadku. Słowem, obraziliśmy publiczną moralność. Córeczka nasza, ośmiolatka, lecz sądząc z cielesnego rozwoju wyglądająca na młodszą o dobry rok, chuda jak szczygieł i która po dłuższej kąpieli, jak to dopuszczała ciepła temperatura, podjęła znów w mokrym kostiumie zabawę na lądzie, otrzymała pozwolenie, aby stężałe od przylepionego piasku odzienie jeszcze raz opłukać w morzu, by znów potem wdziać je i chronić od ponownego zbrudzenia. Naga biegnie do odległej

o kilka metrów wody, wyżyma swój trykot i wraca. Czyż mogliśmy przewidzieć falę szyderstwa, zgorszenia, protestu przeciw jej postępkowi, a więc naszemu postępkowi? Nie wygłaszam tu jakiejś rozprawy, ale w całym świecie stosunek do ciała i jego nagości zmienił się w ciągu ostatnich dziesięcioleci zasadniczo, a uczucie radykalnie. Są rzeczy, wobec których „nic się już sobie nie myśli", i do tych należy swoboda, której użyczyliśmy temu tak zgoła nie wyzywającemu ciału. Została ona jednak tutaj odczuta jako prowokacja. Patriotyczne dzieci wrzeszczały. Fuggièro zagwizdał na palcach. Dała się słyszeć wzburzona rozmowa wśród dorosłych w naszym pobliżu, nie wróżąca nic dobrego. Pan w miejskim fraku i w nie bardzo odpowiednim meloniku, zsuniętym na tył głowy, zapewnia swe oburzone damy, że gotów jest dać nauczkę; zbliża się do nas i pali nam kazanie, w którym cały patos radośnie zmysłowego Południa oddaje się w służbę surowej karności i obyczaju. Bezwstyd, jakiego dopuściliśmy się, jest tym bardziej godny potępienia, że równa się niewdzięcznemu nadużyciu gościnności. Obrażono występnie nie tylko literę i ducha przepisów kąpielowych, lecz także honor kraju i w obronie tego honoru, on, pan we fraku, postara się, by nasze uchybienie godności narodowej nie uszło płazem.

Robiliśmy, cośmy mogli, by wysłuchać przemowy poważnie kiwając głową. Sprzeciwić się rozgorączkowanemu człowiekowi znaczyłoby niewątpliwie to samo, co z jednego błędu popaść w inny. Mieliśmy to i owo na języku, na przykład, że nie wszystkie okoliczności pozwalają słowo gościnność zachować w jego najczystszym znaczeniu i że, mówiąc bez eufemizmu, nie jesteśmy właściwie gośćmi Italii, lecz signory Angiolieri, która właśnie przed kilku laty stanowisko powiernicy Duse zamieniła na zawód gospodyni. Mieliśmy też ochotę odpowiedzieć, że nie wiedzieliśmy, iż zaniedbanie moralne w tym pięknym kraju doszło do tego stopnia, aby taka reakcja pruderii i przeczulenia mogła okazać się zro-

zumiałą i konieczną. Ale ograniczyliśmy się do zapewnienia, że dalecy byliśmy od wszelkiej prowokacji i braku szacunku, i usprawiedliwiając się wskazaliśmy na młodociany wiek i cielesną znikomość małej delikwentki. Na próżno. Nasze zapewnienia odrzucono jako niewiarogodne, naszą obronę jako słabą i uznano za konieczną karę dla przykładu. Telefonicznie, jak sądzę, zawiadomiono władze, przedstawiciel ich zjawił się na plaży, nazwał wypadek bardzo poważnym, molto grave, i musieliśmy udać się z nim na plac, do municipio, gdzie wyższy urzędnik potwierdził tymczasowy wyrok „molto grave", rozwodził się w widocznie zwykłych tu dydaktycznych frazesach nad naszym postępkiem jak pan w meloniku i kazał nam zapłacić pięćdziesiąt lirów kary. Uznaliśmy, że przygoda warta jest tego dodatku do włoskiego budżetu, zapłaciliśmy i odeszli. Czy nie powinniśmy byli wyjechać?

Gdybyśmy to byli uczynili! Bylibyśmy wtedy uniknęli tego złowieszczego Cipolli; ale wiele złożyło się na to, aby odłożyć na razie zamiar zmiany miejsca pobytu. Pewien poeta rzekł, że w bolesnych stanach utrzymuje nas lenistwo — można by tę uwagę przytoczyć dla wyjaśnienia naszej wytrwałości. Również po takich wypadkach niechętnie ustępuje się natychmiast z pola; zwleka się z przyznaniem, że staliśmy się niemożliwi, zwłaszcza jeśli dowody sympatii z zewnątrz ośmielają przekorę. W willi „Eleonora" istniała jednomyślna opinia co do niesprawiedliwości naszego losu. Włoscy znajomi z jadalni byli zdania, że nie przyczynia to zgoła chluby krajowi, i postanowili pana we fraku pociągnąć do odpowiedzialności. Ale ten znikł z plaży wraz ze swoją grupą już następnego dnia — nie z powodu nas oczywiście, ale być może, że świadomość bliskiego odjazdu wpłynęła na wzmożenie jego energii, w każdym razie jego zniknięcie przyniosło nam ulgę. Aby już rzec wszystko: pozostaliśmy także dlatego, że pobyt ten stał się dla nas dziwny, a dziwność sama przez się oznacza wartość, niezależnie od

przyjemności i przykrości. Czyż należy ściągać żagle i wymijać przygodę, skoro nie obiecuje tylko pogody i zaufania? Czy należy odjeżdżać, skoro życie zapowiada się trochę niesamowicie, niezupełnie bezpiecznie lub trochę przykro i chorowicie?

Przecie nie, właśnie przy tej sposobności można się czegoś nauczyć. Pozostaliśmy więc i jako straszną nagrodę naszej słabości przeżyliśmy wstrząsające, złowieszcze, fatalne zjawisko Cipolli.

Że niemal w chwili urzędowego ukarania nas zaczął się okres posezonowy, o tym nie wspomniałem. Ów srogosz w sztywniaku, nasz oskarżyciel, nie był jedynym gościem, który teraz porzucał kąpielisko; nastąpił ogólny wyjazd, było widać wiele ręcznych wózków z pakunkami jadących na stację. Plaża odnacjonalizowała się, życie w Torre, w kawiarniach, na ścieżkach Pinety stało się zarazem intymniejsze i bardziej europejskie; zapewne moglibyśmy teraz jadać na oszklonej werandzie „Grand Hôtelu", ale zaniechaliśmy tego, czuliśmy się zupełnie dobrze u stołu signory Angiolieri — słowo „dobrze" należy rozumieć z odcieniem, jakiego udzielał mu demon miejscowy. Jednocześnie zaś z tą wdzięcznie odczuwaną zmianą zmieniła się i pogoda, stało się to niemal co do minuty w zgodzie z wakacyjnym kalendarzem wielkiej publiczności. Niebo zachmurzyło się, ale nie zrobiło się chłodniej, tylko pełny skwar, który panował osiemnaście dni od naszego przyjazdu (i długo już przedtem), ustąpił parnej duchocie sirocca i słabiuchny deszczyk skrapiał od czasu do czasu aksamitną widownię naszych przedpołudni. I to jeszcze: dwie trzecie naszego dla Torre przeznaczonego czasu już minęły; mgła, bezbarwne morze, w którego płytkiej wodzie pływały leniwe meduzy, stanowiły bądź co bądź nowość; byłoby głupstwem tęsknić za słońcem, które, gdy władało szaleńczo, wywoływało niejedno westchnienie.

W tym momencie Cipolla dał znać o sobie. Cavaliere Cipolla, jak go nazywały afisze, które pewnego dnia poprzybija-

no wszędzie, także w sali jadalnej pensjonatu „Eleonora" — wędrowny wirtuoz, sztukmistrz, forzatore, illusionista i prestidigitatore (tak się określał), który zamierzał wielce szanownej publiczności z Torre di Venere przedstawić kilka nadzwyczajnych fenomenów tajemniczego i zdumiewającego rodzaju. Czarodziej! Ogłoszenie wystarczało, by naszym małym zawrócić głowę. Nigdy jeszcze nie były świadkami takiego widowiska, ta podróż wakacyjna miała im przynieść nieznane wzruszenia. Natychmiast zaczęły nam kłaść w uszy, aby kupić bilety na wieczór kuglarza, i choć późna godzina rozpoczęcia imprezy, dziewiąta, od razu nas niepokoiła, zgodziliśmy się przypuszczając, że po krótkim zapoznaniu się ze skromnymi zapewne sztuczkami Cipolli pójdziemy do domu, że także dzieci nazajutrz będą mogły się wyspać, i nabyliśmy od samej signory Angiolieri, która miała do rozporządzenia kilka uprzywilejowanych miejsc dla swych gości, cztery bilety. Nie mogła ręczyć za solidność wyczynów tego męża i nie spodziewaliśmy się tego, ale my sami odczuwaliśmy pewną potrzebę rozrywki i natarczywa ciekawość dzieci okazała się pewnego rodzaju zarazą.

Lokalem, w którym cavaliere miał się zaprezentować, była sala, która w pełnym sezonie służyła do zmieniających się co tydzień przedstawień kinowych. Nie byliśmy tam nigdy. Dochodziło się tam mijając „palazzo", starą, przeznaczoną na sprzedaż budowlę w rodzaju zamku, główną ulicą miejscową, przy której znajdowała się apteka, fryzjer, najczęściej odwiedzane sklepy i która wiodła niejako od feudalizmu przez mieszczańskość do ludowości, gdyż biegła między ubogimi rybackimi mieszkaniami, przed których drzwiami stare kobiety łatały sieci; i tu, już w części ludowej, leżała „sala", właściwie marna, choć obszerna, z desek sklecona buda, której do bramy podobne wejścia ozdobione były z obu stron różnobarwnymi, jeden na drugi ponalepianymi afiszami. Więc w jakiś czas po obiedzie, oznaczonego dnia, powędrowaliśmy tam po ciemku, dzieci odświętnie ubrane, uszczęśli-

wione tak wyjątkowym zdarzeniem. Było parno jak od szeregu dni, czasem błyskało się i padał drobny deszcz. Szliśmy pod parasolami. Mieliśmy kwadrans drogi.

Przeszedłszy przez kontrolę, musieliśmy sami odszukać swe miejsca. Znaleźliśmy je w trzecim rzędzie z lewej strony i kiedyśmy usiedli, zauważyliśmy, że już i tak późną godzinę rozpoczęcia traktowano dość swobodnie: stopniowo zaczęła napływać publiczność, której zdaje się o to chodziło, żeby się spóźnić, i zajmowała parter, do którego, jako że lóż nie było, ograniczała się widownia. Opieszałość ta niepokoiła nas trochę. Już teraz znużenie zmieszane z gorączkowym oczekiwaniem barwiło dzieciom policzki. Tylko miejsca stojące w przejściach bocznych i z tyłu były już z naszym przyjściem szczelnie zapełnione. Stał tam z nagimi, na trykocie w paski skrzyżowanymi rękami różnorodny miejscowy żywioł męski z Torre di Venere, ludność rybacza, przedsiębiorczo spoglądający młodzi chłopcy; i gdy my godziliśmy się zupełnie z obecnością tubylczego ludu, który takim przedsięwzięciom użycza dopiero barwy i humoru, dzieci okazały się tym zachwycone. Gdyż miały wśród tych ludzi przyjaciół, znajomości, które zawarły na popołudniowych przechadzkach na najdalszej plaży. Często o godzinie, gdy słońce, znużone swą potężną pracą, tonęło w morzu złocąc rumieńcem napływającą pianę kipieli, spotykaliśmy wracając do domu grupy bosych rybaków, którzy rzędem wpierając się w ziemię i ciągnąc, wśród przeciągłych okrzyków zagarniali sieci i przeważnie skąpy połów frutti di mare zbierali w ociekające kosze, a dzieci przyglądały się im, paplały okruchami swej włoszczyzny, pomagały ciągnąć powróz, zawierały przyjaźnie. Teraz zamieniały ukłony ze sferą miejsc stojących, gdzie znajdował się Guiscardo i Antonio, znały imiona i wykrzykiwały je półgłosem, machając ręką i otrzymywały w odpowiedzi kiwnięcie głową, uśmiech bardzo zdrowych zębów. Patrzcie, jest i Mario z „Esquisito", Mario, który podaje nam czekoladę! I on chce zobaczyć czarodzieja i musiał wcześnie

przyjść, stoi prawie na przodzie, ale nie spostrzega nas, nie zwraca uwagi, to jest jego sposób, chociaż jest pikolakiem. Zatem kiwamy człowiekowi, który na plaży wynajmuje kajaki i który też stoi, zupełnie z tyłu.

Jest kwadrans po dziewiątej, jest pół do dziesiątej. Pojmujecie nasze zdenerwowanie. Kiedyż dzieci pójdą do łóżka? Błędem było przyprowadzać je tutaj, gdyż wymagać od nich, by przerwały zabawę, co ledwo się zaczęła, byłoby okrucieństwem. Z czasem parkiet zapełnił się porządnie; całe Torre było obecne, można powiedzieć: goście z „Grand Hôtelu", goście z willi „Eleonora" i innych pensjonatów, znane twarze z plaży. Słychać było język angielski i niemiecki. Było słychać francuski, którym porozumiewali się Rumuni z Włochami. Pani Angiolieri siedziała o dwa rzędy za nami u boku swego cichego i łysego małżonka, który dwoma palcami prawej ręki kręcił wąsa. Wszyscy przyszli późno, ale nikt za późno; Cipolla kazał na siebie czekać.

Kazał na siebie czekać, to chyba właściwe wyrażenie. Wzmagał napięcie przez ociąganie się z występem. Rozumiano tę manierę, ale nie bez granic. Około pół do dziesiątej zaczęła publiczność klaskać — uprzejmy sposób okazania swej umiarkowanej niecierpliwości, gdyż przynosi zarazem zachętę. Dzieciom sprawiało już przyjemność uczestnictwo w tym. Dzieci lubią bić brawo. Z ludowej sfery wołano energicznie: „Pronti!" i „Cominciamo!" I oto, jak się zwykle dzieje: rozpoczęcie, któremu tak długo coś stało na przeszkodzie, poszło łatwo. Rozległ się gong, na który z miejsc stojących odpowiedziało kilkugłosowe „Ach!", i rozchyliła się kurtyna. Odsłoniła podium, podobne ze swego urządzenia raczej do izby szkolnej niż do pola działania kuglarza, zwłaszcza dzięki czarnej tablicy stojącej na sztalugach z lewej strony na przodzie sceny. Poza tym był zwykły żółty wieszak, kilka krajowych, wyplatanych słomą stołków i dalej w głębi okrągły stolik, na którym stała karafka z wodą i szklanka,

a na osobnym stole znajdował się flakon z jasnożółtym płynem i likierowe kieliszki. Miało się jeszcze dwie minuty czasu, by zauważyć te przybory. Potem do nie przyciemnionej sali wszedł cavaliere Cipolla.

Wszedł owym szybkim krokiem, w którym wyraża się gotowość do usług dla publiczności i który budzi złudzenie, że wchodzący przebył w tym tempie już kawał drogi, by stanąć przed obliczem tłumu, choć przecie dopiero co stał w kulisach. Ubranie Cipolli wzmacniało fikcję przyjścia z daleka. Mężczyzna w trudnym do określenia wieku, lecz wcale już nie młody, z ostrą, zniszczoną twarzą, kłującymi oczami, zmarszczonymi, zaciśniętymi ustami, z małym, napomadowanym wąsikiem i tak zwaną muszką między dolną wargą i bródkiem, był ubrany z pewnego rodzaju wieczorowo-uliczną elegancją. Miał szeroką, czarną opończę bez rękawów, z aksamitnym kołnierzem i podszytą atłasem pelerynką; opończę tę, krępującą mu ramiona, zaciskał z przodu biało urękawicznionymi dłońmi, na szyi miał biały szal, na głowie wygięty, na bakier włożony cylinder. Może bardziej niż gdzie indziej żywotny jest jeszcze w Italii wiek osiemnasty, a wraz z nim typ szarlatana, jarmarcznego sowizdrzała, który był tak charakterystyczny dla tej epoki i który spotkać można jeszcze tylko w Italii w dobrze zachowanych egzemplarzach. Cipolla miał w swym ogólnym wyglądzie wiele z tego historycznego gatunku i wrażenie reklamiarskiego i fantastycznego błazeństwa, które należy do obrazu, budziło już to, że pretensjonalne ubranie, tu fałszywie obcisłe, tam fałszywie obwisłe, osobliwie na nim leżało lub właściwie wisiało: coś z figurą jego nie było w porządku, tak z przodu jak i z tyłu — potem stało się to wyraźniejsze. Ale muszę zaznaczyć, że o żartobliwości, o klownostwie w jego postawie, w jego minach, w jego sposobie bycia nie mogło być absolutnie mowy; raczej przemawiała zeń surowa powaga, zaprzeczenie wszelkiego humoru, przy sposobności chimeryczna duma, także pewnego rodzaju godność i zarozumiałość ka-

leki — co oczywiście nie przeszkadzało, że zachowanie jego wywołało w kilku miejscach sali śmiech.

Zachowanie to nie miało w sobie już nic usłużnego; szybkość wejścia okazała się tylko objawem energii i nie miała nic wspólnego z uniżonością. Stojąc przy rampie i ściągając niedbałym skubaniem rękawiczki, przy czym obnażał długie i żółtawe ręce, z których jedną zdobił sygnet ze sterczącym turkusem, przesuwał śledczo małe, surowe oczy z obwisłymi workami po sali, nie szybko, lecz zatrzymując tu i ówdzie wzrok na jakiejś twarzy z pełnym wyższości badaniem — zaciskając usta, nie mówiąc ani słowa. Zwinięte rękawiczki rzucił z równie zdumiewającą jak niedbałą zręcznością ze znacznej odległości wprost do szklanki na okrągłym stoliku, po czym wydobył, spoglądając niemo dokoła, z jakiejś wewnętrznej kieszeni paczkę papierosów z taniego gatunku monopolowych, jak widać było z opakowania, wyciągnął szpiczastymi palcami jeden z wiązki i zapalił go, nie patrząc nań, w mig funkcjonującą zapalniczką. Głęboko wchłonięty dym wypuścił z aroganckim grymasem szarym pasmem między wyszczerbionymi ostrymi zębami, wciągając, przy lekkim tupnięciu nogą, obie wargi.

Publiczność patrzyła nań tak ostro, jak on ją lustrował. U młodych ludzi na miejscach stojących widać było ściągnięte brwi i oczy świdrujące, szukające słabej strony, którą ten nazbyt siebie pewny odsłoni. Nie odsłaniał żadnej. Wydobycie i schowanie paczki papierosów i zapalniczki było kłopotliwe dzięki jego odzieniu; odgarnął przy tym swoją opończę i widać było, że pod łokciem na skórzanej pętli wisiała niestosownie szpicruta ze srebrną rączką w kształcie szponów. Zauważono dalej, że nie miał na sobie fraka, lecz zwykły surdut, a kiedy ten się rozchylił, ujrzano kilkobarwną, na poły przez kamizelkę zasłoniętą szarfę, która owijała pierś Cipolli i którą za nami siedzący widzowie w półgłośnej wymianie zdań uznali za odznaczenie cavaliera. Nie wchodzę w to bliżej, gdyż nie słyszałem nigdy, by z tytułem cavaliere

związane było tego rodzaju odznaczenie. Może szarfa ta była zwykłą blagą, jak i bezsłowna postawa kuglarza, który wciąż jeszcze nic nie robił, tylko niedbale i z powagą palił przed publicznością papierosa.

Śmiano się, jak rzekłem, i wesołość zapanowała niemal powszechna, gdy głos ze stojącego parteru wyraźnie i sucho rzekł:

— Buona sera!

Cipolla nastawił uszu.

— Kto to był? — spytał jakby zaczepnie. — Kto to powiedział? No? Naprzód taki śmiały, a teraz boi się? Paura, co? — Mówił trochę wysokim, trochę zachrypniętym, ale metalicznym głosem.

— To ja — rzekł wśród ciszy młody człowiek, który się uczuł wyzwany i dotknięty na honorze, piękny młodzieniec tuż obok nas, w bawełnianej koszuli, z marynarką przewieszoną przez ramię. Miał twarde, kędzierzawe włosy dziko podczesane, modną fryzurę obudzonej ojczyzny; szpeciła go ona, przypominał Afrykanina. — To ja. Była to rzecz pana, ale okazałem uprzejmość!

Wesołość ponowiła się. Młodzieniec nie zapomniał języka w gębie. — Ha sciolto lo scilinguagnolo — powiedział ktoś obok. Nauczka ludowa była ostatecznie na miejscu.

— A, brawo! — odpowiedział Cipolla. — Podobasz mi się, młodzieńcze. Czy uwierzysz, że cię od dawna widziałem. Tacy jak ty cieszą się moją szczególną sympatią, przydają mi się. Widocznie jesteś zuch. Robisz, co chcesz. Czy też już kiedy nie zrobiłeś tego, czego chciałeś? Albo nawet zrobiłeś to, czego nie chciałeś? Czego nie ty chciałeś? Słuchaj, przyjacielu, byłoby lepiej i wygodniej nie udawać zawsze zucha i nie ręczyć za oboje, za swoją wolę i czyn. Musi nastąpić podział pracy — sistema americano. Czy chcesz na przykład tej wyborowej i wielce szanownej publiczności pokazać język, i to język cały, aż do nasady?

— Nie — rzekł chłopak wrogo. — Nie chcę tego, świadczyłoby to o złym wychowaniu.

— Nie świadczyłoby o niczym — odrzekł Cipolla — gdyż tylko wykonałbyś to. Mam całkowity szacunek dla twego wychowania, ale, moim zdaniem, zrobisz, zanim doliczę do trzech, zwrot w prawo i pokażesz towarzystwu język, bardziej, niżbyś przypuszczał, że możesz go wystawić.

Spojrzał nań wciągając, zda się, kłujące swe oczy bardziej w orbity.

— Raz — rzekł świsnąwszy w powietrzu szpicrutą, którą zsunął z ręki.

Chłopak stanął frontem do publiczności i wywalił język z wysiłkiem na całą długość i widać było, że zrobił, co tylko mógł. Potem, z twarzą pozbawioną wyrazu, zajął poprzednią postawę.

— To ja — szydził Cipolla mrugając i wskazując ruchem głowy na chłopca. — To ja — przy czym zwrócił się, pozostawiając publiczność jej wrażeniu, do okrągłego stolika, nalał sobie kieliszek z flakonu, który widocznie zawierał koniak, i wychylił go sprawnie.

Dzieci śmiały się serdecznie. Z wymiany słów nie zrozumiały prawie nic. Bawiło je jednak w najwyższym stopniu, że między ciekawym człowiekiem na górze a kimś z publiczności działo się coś zabawnego, a ponieważ o programie zapowiedzianego wieczoru nie miały określonego pojęcia, były gotowe uważać ten początek za wyborny. Co do nas, zamieniliśmy spojrzenie i pamiętam, że mimo woli naśladowałem wargami świst, z jakim szpicruta Cipolli przecięła powietrze. Zresztą jasne było, że ludzie nie wiedzieli, co myśleć o tak niedorzecznym rozpoczęciu wieczoru kuglarza, i nie mieli pojęcia, co mogło Giovanotta, który przecie, żeby tak rzec, należał do nich, skłonić nagle, że zwrócił swą zuchwałość przeciw nim, publiczności. Uznano jego zachowanie za głupie, przestano się nim zajmować i skierowano

uwagę na sztukmistrza, który wracając od krzepiącego stolika w ten sposób mówił dalej:

— Panie i panowie — rzekł dychawiczno-metalicznym głosem. — Byliście właśnie świadkami mej wrażliwości na nauczkę, której mi, jak mu się zdawało, udzielił ten obiecujący młody lingwista („questo linguista di belle speranze" — śmiano się z tej gry słów). Mam ambicję, musicie się z tym pogodzić. Lubię, gdy mi kto mówi „dobry wieczór" tylko w sposób poważny i grzeczny — czynić tego w innej myśli nie ma powodu. Kto życzy mi dobrego wieczoru, życzy go i sobie, gdyż publiczność będzie miała dobry wieczór tylko w tym razie, jeśli ja go mieć będę, toteż ten ulubieniec dziewcząt z Torre di Venere (nie przestawał docinać chłopcu) uczynił bardzo dobrze, dając natychmiast dowód, że mam dziś dobry wieczór i mogę obejść się bez jego życzeń. Pozwolę sobie pochlubić się, że mam tylko dobre wieczory. Może znajdzie się wśród nich kiedyś jaki gorszy, ale rzadko. Zawód mój jest ciężki i zdrowie moje nienajlepsze; mam też pewną niedomogę cielesną, która uniemożliwiła mi wzięcie udziału w wojnie o wielkość naszej ojczyzny. Ale z pomocą sił duchowych i umysłowych daję sobie radę w życiu, to znaczy, robię, co mogę, i pochlebiam sobie, że pracą moją zyskałem sobie szanowną sympatię kulturalnej publiczności. Czołowa prasa umiała tę pracę ocenić, „Corriere della Sera" oddał mi tę sprawiedliwość, że nazwał mnie fenomenem, a w Rzymie miałem zaszczyt widzieć wśród widzów brata Duse pewnego wieczora, który tam urządziłem. Sądziłem, że małych nawyków, które wybaczono mi łaskawie w tak świetnym i dostojnym mieście, nie powinienem się umyślnie pozbywać w bądź co bądź mniej znacznej miejscowości jak Torre di Venere (śmiano się kosztem biednego, małego Torre) i ścierpieć, by osoby, zepsute, zdaje się, trochę przez płeć niewieścią, wytykały mi je.

Teraz znów musiał płacić chłopak, którego Cipolla nie-

zmordowanie prezentował w roli donnaiuola i wiejskiego zalotnika — przy czym stała drażliwość i animozja, z jaką powracał do niego, była uderzająco nieproporcjonalna do zapewnień o poczuciu swego znaczenia i światowych sukcesach, którymi się chlubił. Widocznie młodzieniec musiał służyć za temat zabawy, jakiego Cipolla zapewne co wieczór zwykł był szukać sobie i brać na cel. Ale z docinków jego wyzierała prawdziwa nienawiść, o której ludzkim sensie mówiło wyraźnie jedno spojrzenie na wygląd obu, choćby garbus nie napomykał nawet nieustannie o przypuszczalnym szczęściu pięknego młodzieńca do kobiet.

— Zanim więc zaczniemy naszą zabawę — dodał — pozwólcie, bym zrzucił płaszcz.

I podszedł do wieszadła, by go zdjąć.

— Parla benissimo — stwierdzono w naszym pobliżu. Ten człowiek nie zrobił jeszcze nic, ale samą jego gadaninę uznano za czyn, zaimponował nią. U południowców jest mowa składnikiem radości życia, któremu przypisuje się żywszą i bardziej towarzyską wartość niż na północy. Narodowy łącznik języka ojczystego cieszy się u tych narodów przykładnym szacunkiem i coś radośnie wzorowego ma ów zachwycający pietyzm, z jakim pielęgnuje się jego formy i prawidła głosowni. Mówi się z przyjemnością, słucha się z przyjemnością — i słucha się z osądem. Gdyż to, jak kto mówi, stanowi miarę jego osobistej rangi; niedbalstwo, partactwo budzą pogardę, elegancja i mistrzostwo zyskują ludzki szacunek, przeto też i szary człowiek, gdy chodzi mu o skutek, posługuje się wyszukanymi zwrotami i starannie je wygłasza. Więc przynajmniej w tym względzie Cipolla widocznie ujął sobie widzów, choć nie należał zgoła do typu ludzi, których Włoch, w osobliwym pomieszaniu moralnego i estetycznego sądu, uważa za „simpatico".

Odłożywszy jedwabny cylinder, szal i płaszcz, podszedł znów bliżej, prostując się w surducie, wyciągając wielkimi spinkami zapięte mankiety i obciągając oszukańczą szarfę.

Miał bardzo brzydkie włosy: góra czaszki była niemal łysa, tylko na ciemieniu biegło przedzielone i jakby przylepione, ze szczytu ku przodowi, wąskie pasmo pomadą uczernionych włosów, podczas gdy włosy na skroni, również poczernione, sczesane były z boku ku kątom oczu — fryzura niby staroświeckiego dyrektora cyrku, śmieszna, ale pasująca do zanikłego stylu osobistego i noszona z tak wielką pewnością siebie, że wrażliwość publiczności na jej komizm pozostała powściągliwa i niema. Mała „niedomoga cielesna", o której wspomniał zapobiegawczo, była teraz aż nazbyt widoczna, chociaż jeszcze wciąż niezupełnie wyraźna co do swej istoty: piersi były za wypukłe, jak zwykle w takich wypadkach, ale garb z tyłu zdawał się tkwić nie na zwykłym miejscu, między łopatkami, lecz niżej, jako rodzaj wypukłości w biodrach i siedzeniu, która wprawdzie nie przeszkadzała w chodzie, lecz czyniła go groteskowym i dziwnie rozkołysanym za każdym krokiem. Zresztą kalectwu ułamało niejako ostrze napomknienie o nim i cywilizowana delikatność wyraźnie zapanowała na jego widok na sali.

— Jestem do usług! — rzekł Cipolla. — Za zgodą obecnych zaczniemy swój program od kilku ćwiczeń arytmetycznych.

Arytmetyka? To nie wyglądało na czarodziejskie sztuki. Budziło się przypuszczenie, że człowiek ten żegluje pod fałszywą flagą; tylko, jaka była prawdziwa, pozostawało niejasne. Zaczynało mi się żal robić dzieci; ale na razie były po prostu szczęśliwe, że są obecne.

Zabawa w liczby, którą teraz Cipolla urządził, była zarówno prosta, jak przez swą pointę zdumiewająca. Zaczął od tego, że w górnym prawym kącie tablicy przymocował pluskiewką kartkę papieru i podniósłszy ją w górę napisał coś kredą na desce. Mówił przy tym nieustannie, nie skąpiąc słów i starając się ustrzec swój wykład od oschłości, przy czym okazał się obrotnym w języku i ani razu o gawędziarski pomysł nie zakłopotanym konferansjerem. Że natychmiast zaczął zasypywać przepaść między podium i widzami, za-

sklepioną już przez osobliwą utarczkę z młodym rybakiem, że więc zaprosił przedstawicieli publiczności na scenę i sam drewnianymi schodami zszedł na dół, aby osobiście poszukać kontaktu ze swymi gośćmi, należało do stylu jego pracy i podobało się dzieciom bardzo. Nie wiem, o ile fakt, że natychmiast znów popadł z poszczególnymi osobami w zwadę, leżał w jego manierach i jego systemie, choć był przy tym bardzo poważny i w złym humorze — publiczność, przynajmniej w swych ludowych składnikach, zdawała się w każdym razie być zdania, że to należy do rzeczy.

Mianowicie, kiedy coś napisał i to, co napisał, ukrył pod kartką papieru, wyraził życzenie, aby dwie osoby raczyły wejść na podium i pomóc w wykonaniu danego rachunku. Nie przedstawia to żadnych trudności, nawet mniej uzdolnieni w rachunkach dadzą temu radę. Jak zwykle, nikt się nie zgłosił, a Cipolla lękał się naprzykrzać wytworniejszej części publiczności. Trzymał się ludu i zwrócił się do dwóch gburowatych dryblasów na stojących miejscach w końcu sali, wezwał ich, ośmielił, uważał za rzecz naganną, że gapią się tylko bezczynnie i nie chcą okazać się uprzejmymi dla towarzystwa, i rozruszał ich istotnie. Ciężko kroczyli przez środkowe przejście ku przodowi, weszli po schodach i uśmiechając się głupkowato stanęli wśród okrzyków i braw swych kolegów przed stołem. Cipolla żartował jeszcze chwilę z nimi, chwalił bohaterską tężyznę ich cielsk, wielkość rąk, stworzonych wprost, by wyświadczyć zgromadzeniu żądaną przysługę, potem dał jednemu z nich kredę do ręki z poleceniem, by zapisywał po prostu liczby, które mu się poda. Ale człowiek ten oświadczył, że nie umie pisać. — Non so scrivere — rzekł grubym głosem, a towarzysz jego dodał: — Ja także nie.

Bóg wie, czy mówili prawdę, czy tylko chcieli zażartować z Cipolli. W każdym razie ten ostatni daleki był od tego, by podzielać wesołość, jaką zbudziło ich wyznanie. Był obrażony i przejęty wstrętem. Siedział w tej chwili z nogą za-

łożoną na nogę na jednym z plecionych krzeseł na środku sceny i palił znów papierosa z taniej paczki, który widać bardziej mu smakował, gdy podczas tupocącego marszu obu jołopów ku podium wypił drugi kieliszek koniaku. Znów wypuścił dym zza obnażonych zębów i kołysząc nogą patrzył z surowym wstrętem, jak człowiek, który przed pogardy godnym zjawiskiem zamyka się w sobie i swojej godności, mimo obu wesołych bezecników i ponad publicznością, w pustkę.

— Skandal — rzekł z chłodną zaciętością. — Wróćcie na swe miejsca! Każdy umie pisać w Italii, której wielkość wyklucza niewiedzę i ciemnotę. Jest kiepskim żartem obwiniać się głośno wobec tej międzynarodowej publiczności o brak, który poniża nie tylko nas samych, lecz także rząd i kraj wystawia na niesławę. Jeśliby Torre di Venere była istotnie ostatnim zakątkiem ojczyzny, dokąd schroniła się nieznajomość elementarnej wiedzy, to musiałbym żałować, żem odwiedził miejscowość, o której w każdym razie powinienem był wiedzieć, że co do znaczenia stoi daleko w tyle za Rzymem w tym i owym względzie...

W tej chwili przerwał mu chłopak z nubijską fryzurą i marynarką na ramieniu, którego zaczepność, jak widać było, przycichła tylko na chwilę i który z podniesioną głową narzucał się na rycerza ojczystego miasteczka.

— Dość! — rzekł głośno. — Dość tych żartów z Torre. Wszyscy jesteśmy tutejsi i nie ścierpimy, aby miasto wyszydzać przed cudzoziemcami. Także ci dwaj ludzie są naszymi przyjaciółmi. Jeśli nie są uczonymi, to są za to porządniejszymi chłopcami, niż może niejeden na sali, który chwali się Rzymem, choć go nie założył.

To było przecie doskonałe. Ten młody człowiek był naprawdę dowcipny. Bawiono się tym rodzajem dramatu, choć coraz bardziej opóźniał początek właściwego programu. Słuchanie sprzeczki jest zawsze interesujące. Wielu ludzi bawi to po prostu i z pewnego rodzaju złośliwą satysfakcją

cieszą się swą neutralnością; inni czują niepokój i wzruszenie; i rozumiem ich bardzo dobrze, choć miałem wówczas wrażenie, że wszystko to w pewnej mierze polega na umowie i że zarówno obaj gruboskórni analfabeci jak i Giovanotto w marynarce idą sztukmistrzowi poniekąd na rękę, by robić przedstawienie. Dzieci słuchały z całą przyjemnością. Nic nie rozumiały, ale akcenty zapierały im dech. To był więc czarodziejski wieczór, przynajmniej na sposób włoski. Uważały to za bardzo piękne.

Cipolla wstał i dwoma rozkołysanymi krokami podszedł do rampy.

— Patrzcie no! — rzekł z okrutną serdecznością. — Stary znajomy! Młodzieniec, który ma serce na języku! (Rzekł „sulla linguaccia", co znaczy obłożony język i wywołało wielką wesołość.) Idźcie, moi przyjaciele! — zwrócił się do obu jołopów. — Dość was, mam teraz do czynienia z tym zacnym człowiekiem, con questo torregiano di Venere, z tym dzwonnikiem Venery, który niewątpliwie spodziewa się słodkich podziękowań za swoją czujność...

— Ach, non scherzamo! Mówmy poważnie! — zawołał chłopak. Oczy jego błyszczały i uczynił naprawdę ruch, jakby chciał zrzucić marynarkę i przejść do bezpośredniej rozprawy.

Cipolla nie brał tego tragicznie. W przeciwieństwie do nas, którzy patrzyliśmy na siebie niepewnie, miał cavaliere do czynienia z krajanem, miał ojczysty grunt pod nogami. Pozostawał zimny, okazywał doskonałą wyższość. Uśmiechnięty ruch głowy w bok ku czupurnemu kogutowi, spojrzenie rzucone na publiczność wezwały ją na sympatyzującego świadka zawadiactwa, które zdradzał przeciwnik samym prostactwem form zachowania. A potem zdarzyło się znów coś dziwnego, co ową wyższość postawiło w niesamowitym świetle i wojownicze podniecenie, które szło ze sceny, w zawstydzający i niepojęty sposób obracało w śmieszność.

Cipolla zbliżył się jeszcze bardziej do chłopca, patrząc mu osobliwie w oczy. Zszedł nawet do połowy schodów, które

tam, na lewo od nas, prowadziły na widownię, tak że stał nieco wyżej od kłótnika. Szpicruta wisiała na jego ramieniu.

— Nie jesteś skłonny do żartów, mój synu — rzekł. — To zrozumiałe, bo każdy widzi, że nie jesteś zdrów. Już twój język, którego czystość pozostawia wiele do życzenia, wskazuje na ostry rozstrój systemu gastrycznego. Nie trzeba szukać wieczornych rozrywek czując się tak jak ty, i ty sam, wiem o tym, wahałeś się, czybyś nie postąpił lepiej, gdybyś położył się do łóżka i zrobił sobie kompres na brzuch. Lekkomyślnością było pić dziś po obiedzie tak dużo białego wina, które było bardzo kwaśne. Teraz masz kolkę, że omal skręcasz się z bólu. Nie krępuj się! Przynosi pewną ulgę, gdy ciało nagina się do kurczu jelit.

Gdy mówił to słowo za słowem, ze spokojną dobitnością i z pewnego rodzaju surowym współczuciem, zdawało się, że oczy jego, wpijając się w oczy chłopca, więdły i płonęły jednocześnie — były to bardzo osobliwe oczy i rozumiało się, że jego partner nie tylko z męskiej dumy nie mógł od nich oderwać swoich. Wnet też nie było w jego na brąz opalonej twarzy śladu buty. Patrzył na cavaliera z otwartymi ustami i otwarte te usta uśmiechały się błędnie i żałośnie.

— Skręć się! — powtórzył Cipolla. — Cóż ci pozostaje innego? Przy takiej kolce musisz się skręcać! Przecież nie będziesz opierał się naturalnym odruchom tylko dlatego, że ci się je zaleca.

Młody człowiek podniósł powoli przedramiona i kiedy przyciskając skrzyżował je nad brzuchem, ciało jego przegięło się, zwróciło się bokiem ku przodowi, coraz niżej i niżej, pochyliło się ze zsuniętymi stopami i do wewnątrz zwróconymi kolanami w dół, tak że w końcu kucnąwszy prawie na ziemi było obrazem bolesnego zwichnięcia. Cipolla pozostawił go kilka sekund w tej pozycji, potem przeciął krótko szpicrutą powietrze i pokuśtykał z powrotem ku okrągłemu stolikowi, gdzie łyknął koniaku.

— Il boit beaucoup — stwierdziła za nami jakaś dama.

Czy tylko to spostrzegła? Nie mogliśmy zdać sobie sprawy, jak dalece publiczność już się orientowała. Chłopak wyprostował się znowu, uśmiechając się trochę z zakłopotaniem, jakby nie wiedział dobrze, co się z nim stało. Śledzono tę scenę z napięciem i klaskano, gdy się skończyła, wołając zarazem „Brawo, Cipolla!" i „Brawo, Giovanotto!" Widocznie końca zatargu nie uważano za osobistą klęskę młodzieńca, lecz dodawano mu odwagi jak aktorowi, który swą żałosną rolę odegrał chwalebnie. Istotnie, sposób skręcania się od bólów brzucha był w najwyższym stopniu pełen wyrazu, w naoczności swej obliczony był zarazem dla galerii i, aby tak rzec, był aktorskim pokazem. Ale nie jestem pewien, o ile zachowanie się sali należało przypisać tylko ludzkiemu poczuciu taktu, w czym Południe góruje nad innymi, o ile zaś polegało na właściwym zrozumieniu sedna rzeczy.

Cavaliere, pokrzepiony, zapalił nowego papierosa. Można było znów zabrać się do arytmetycznej próby. Bez trudności znalazł się młody człowiek z tylnych rzędów, gotów zapisać na tablicy dyktowane cyfry. Znaliśmy go także; cała zabawa nabierała czegoś familiarnego przez to, że znało się tyle twarzy. Był to subiekt ze sklepu towarów kolonialnych i owoców przy głównej ulicy i często usługiwał nam uprzejmie. Władał kredą z kupiecką zręcznością, podczas gdy Cipolla, zszedłszy na widownię, kusztykał wśród publiczności krokami garbusa i zbierał liczby dwu-, trzy- i czterocyfrowe wedle wolnego wyboru, które wyjmował pytanym z ust, i rzucał je głośno młodemu kupcowi, zapisującemu jedną pod drugą. Przy tym wszystko, we wzajemnym porozumieniu, obliczone było na zabawę, żart, oratorską przesadę. Zdarzało się, że sztukmistrz trafiał na cudzoziemców, którzy nie mogli sobie dać rady z włoskimi nazwami liczb i mozolił się z nimi długo w wybitnie rycerski sposób, wśród grzecznej wesołości tubylców, których wprowadzał w zakłopotanie, zmuszając ich, aby tłumaczyli cyfry podawane po angielsku i francusku. Niektórzy wymieniali liczby, które oznaczały wielkie daty

z historii Włoch. Cipolla chwytał je natychmiast i idąc dalej nawiązywał do nich patriotyczne uwagi. Ktoś rzekł: — Zero! — i Cavaliere, głęboko obrażony, jak przy każdej próbie brania go na kawał, odparł poprzez ramię, że jest to mniej niż dwucyfrowa liczba, na co inny żartowniś zawołał: — Zero, zero! — i wywołał wesołość, której pewne może być wśród południowców każde napomknienie o sprawach naturalnych. Sam tylko cavaliere zachował odpychającą godność, choć on właśnie spowodował ową aluzję; jednak wzruszając ramionami podał i tę pozycję rachunkową pisarzowi do protokołu.

Gdy na tablicy znalazło się mniej więcej piętnaście liczb różnej długości, poprosił Cipolla o ogólną sumę. Zawołani rachmistrze mogli przed napisaniem zliczyć ją w głowie, ale wolno było posłużyć się ołówkiem i kieszonkowym notesem. Kiedy pracowano, Cipolla siedział na stołku koło tablicy i strojąc miny palił zadowolony z siebie, w pretensjonalnej posturze garbusa. Pięciocyfrowa suma była szybko gotowa. Ktoś podał ją do wiadomości, inny potwierdził, wynik trzeciego różnił się trochę, czwartego zgadzał się znów. Cipolla wstał, strzepnął trochę popiołu z surduta, podniósł kartkę papieru w górnym prawym kącie tablicy i pokazał to, co było na niej napisane. Widniała tam właściwa suma, bliska miliona. Napisał ją z góry.

Zdumienie i wielkie oklaski. Dzieci były oszołomione. Chciały wiedzieć, jak on to zrobił. Tłumaczyliśmy im, że jest to sztuczka, po prostu niezrozumiała, bo ten człowiek jest właśnie kuglarzem. Teraz dowiedziały się, co to znaczy wieczór sztukmistrza. Naprzód rybak dostał kurczów żołądkowych, a teraz pokazał się na tablicy gotowy wynik — to było wspaniałe i widzieliśmy z niepokojem, że mimo ich zgorączkowanych oczu i mimo że zegar wskazywał już pół do jedenastej, bardzo trudno będzie zabrać je stąd. Będą łzy. A jednak było jasne, że ten garbus nie czarował, przynajmniej nie w znaczeniu zręczności, i że to nie było dla dzieci. Również nie wiem, co właściwie myślała sobie publiczność;

ale co do „wolnego wyboru" przy oznaczaniu składników sumy była widocznie usposobiona bardzo sceptycznie; ten i ów z zapytanych mógł oczywiście odpowiedzieć sam z siebie, ale w ogóle było widać, że Cipolla wybrał sobie ludzi i że proces zmierzający do z góry zapisanego wyniku odbywał się pod wpływem jego woli — przy czym zawsze jeszcze należało podziwiać jego spryt, gdy tamto nie zasługiwało na podziw. Przy tym patriotyzm i drażliwa godność — krajanie cavaliera mogli się przy tym spokojnie czuć w swoim żywiole i mieć ochotę do żartów; na przybyszów mieszanina ta działała przygnębiająco.

Zresztą sam Cipolla dbał o to, by charakter jego sztuk każdemu trochę uświadomionemu wydawał się niewątpliwy, choć oczywiście nie padła żadna nazwa czy termin. Mówił o tym, bo mówił nieustannie, ale tylko w nieokreślonych, pretensjonalnych, reklamowych wyrazach. Kroczył jeszcze przez chwilę obraną eksperymentalną drogą, wikłał zrazu rachunki, łącząc z dodawaniem ćwiczenia z innych działań, i upraszczał je potem jak najbardziej, by pokazać, jak się to działo. Kazał po prostu „zgadywać" liczby, które przedtem napisał pod kartką papieru. Udawało się prawie zawsze. Ktoś wyznał, że chciał właściwie wymienić inną sumę; ponieważ jednak w tej samej chwili szpicruta cavaliera świsnęła w powietrzu, wyrwała mu się ta liczba, która się potem znalazła na tablicy. Cipolla zaśmiał się potrząsając ramionami. Udawał podziw dla przemyślności pytanych; ale te komplementy miały w sobie coś szyderczego i poniżającego, nie sądzę, by doświadczane osoby przyjmowały je z przyjemnością, choć uśmiechały się przy tym i chciały uznanie przypisać częściowo własnej zasłudze. Również nie miałem wrażenia, żeby publiczność lubiła kunszt mistrza. Czuć było pewną niechęć i nieprzyjaźń; ale nie mówiąc już o grzeczności, która potrafi takie uczucia trzymać w ryzach, zdolność Cipolli, jego surowa pewność nie omieszkały wywrzeć wrażenia i nawet szpicruta, jak sądzę, przyczyniła się do tego, że rewolta pozostała w podziemiu.

Od prób rachunkowych przeszedł do kart. Wyjął z kieszeni dwie talie i tyle jeszcze wiem, że zasadniczy i popisowy przykład eksperymentów, które pokazywał, był ten, że z jednej serii nie patrząc wybierał trzy karty, które ukrywał w wewnętrznej kieszeni surduta, i że potem wezwana osoba z podanej drugiej serii wyciągała te same trzy karty — nie zawsze zupełnie właściwe; zdarzało się, że zgadzały się tylko dwie, ale w większości wypadków tryumfował Cipolla, gdy pokazał swoje trzy karty i dziękował lekko za oklaski, którymi uznawano chcąc nie chcąc siły, jakie ujawniał. Młody pan w pierwszym rzędzie, na prawo od nas, z dumnymi rysami twarzy, Włoch, zgłosił się i oświadczył, że jest zdecydowany wybrać wedle swej własnej woli i oprzeć się świadomie jakiemukolwiek wpływowi. Jak Cipolla wyobraża sobie wynik w tych warunkach?

— Utrudni mi pan przez to — odrzekł Cipolla — moje zamiary. Opór pański nic w tym wypadku nie zmieni. Istnieje wolność i wola też istnieje; ale nie ma wolnej woli, bo wola, która kieruje się wolnością, trafia w próżnię. Wolno panu ciągnąć lub nie ciągnąć. Jeśli pan jednak wyciągnie, wyciągnie pan właściwie — tym pewniej, im oporniej stara się pan postąpić!

Trzeba było przyznać, że lepiej nie mógł dobrać słów, aby zamącić wodę i spowodować duchowy zamęt. Oporny ociągał się nerwowo, zanim sięgnął. Wyciągnął kartę i chciał natychmiast zobaczyć, czy znajduje się ona wśród ukrytych.

— Jak to? — zdziwił się Cipolla. — Czemu robić coś połowicznie? — Ponieważ jednak przekorny obstawał przy tej wstępnej próbie: — E servito — rzekł kuglarz z niezwykle lokajskim gestem i pokazał, sam nie patrząc, swój wachlarzowaty trójliść. Tkwiąca po lewej karta była tą, którą ów wyciągnął.

Szermierz wolności usiadł gniewny wśród oklasków sali. Jak dalece Cipolla wrodzone swe zdolności wspomagał sztuczkami i zręcznością, diabli to wiedzą. Przyjąwszy taką kom-

binację szczera ciekawość łączyła bądź co bądź wszystkich w rozkoszowaniu się fenomenalną zabawą i w uznaniu fachowej dzielności, której nikt nie przeczył. — Lavora bene! — Stwierdzenie to słyszeliśmy tu i ówdzie w naszym pobliżu i oznaczało ono zwycięstwo rzeczowej sprawiedliwości nad antypatią i cichym oburzeniem.

Przede wszystkim po swym ostatnim, częściowym, przez to jednak tym efektowniejszym sukcesie Cipolla pokrzepił się znowu koniakiem. W samej rzeczy „pił dużo" i przykro było na to patrzeć. Ale używał widocznie likieru i papierosa dla utrzymania i odnowienia swej sprężystości, której, jak to sam zaznaczył, pod wielu względami stawiano wielkie wymagania. Rzeczywiście, wyglądał chwilami źle, miał zapadnięte oczy i zwiędłe policzki. Kieliszek naprawiał to chwilowo i mowa jego, gdy wciągnięty dym wypuszczał szarym kłębem z płuc, płynęła żywo i arogancko. Wiem na pewno, że od sztuczek karcianych przeszedł do owego rodzaju gier towarzyskich, polegających na ponad- lub podświadomych zdolnościach natury ludzkiej, na intuicji lub „magnetycznym" oddziaływaniu, słowem na niskiej formie objawienia. Tylko intymniejszego porządku jego wyczynów już nie pamiętam. Nie będę też was zanudzał opisywaniem tych doświadczeń; każdy je zna, każdy w nich kiedyś uczestniczył, w tym odnajdywaniu ukrytych przedmiotów, w tym ślepym wykonywaniu skomplikowanych czynności, ku czemu wskazówka przechodzi niezbadaną drogą od organizmu do organizmu. Każdy też przy tym, potrząsając sceptycznie głową, poczynił drobne, ciekawo-wzgardliwe spostrzeżenia co do dwuznacznie nieczystego i nierozwikłanego charakteru okultyzmu, który ludzką naturę jego przedstawicieli skłania do kpiarskiego posługiwania się humbugiem i szachrajstwem, jednak przymieszka ta nie świadczy przeciw prawdziwości innych części wątpliwego amalgamatu. Powiadam tylko, że wszystkie proporcje wzmacniają się w sposób naturalny, wrażenie w każdym kierunku zyskuje na głębi, jeśli taki Cipolla jest kie-

rownikiem i głównym aktorem ciemnej gry. Siedział tyłem zwrócony do publiczności w głębi podium i palił, podczas gdy na sali umawiano się skrycie, co mu nakazać, z ręki do ręki przechodził przedmiot, który miał wydobyć z ukrycia i z którym miał zrobić to, co z góry ułożono. Typowe było już to gwałtowne rzucanie się naprzód, już to nasłuchujące i zatrzymujące się macanie przed sobą, chybianie i poprawianie się nagłym, niespodziewanym zwrotem, a wszystko to wykonywał trzymając za rękę świadomego przewodnika, który miał nakazane zachowywać posłuszną bierność ciała, ale myśli swe zwracać ku umówionemu przedmiotowi. Tak z odrzuconą w tył głową, z wyciągniętą naprzód ręką kroczył zygzakiem przez salę. Role zdawały się zamienione, prąd płynął w przeciwnym kierunku i sztukmistrz wskazywał na to wyraźnie, mówiąc bez przerwy. Bierną, odbiorczą, wykonawczą stroną, której wola była wyłączona i która spełniała niemą, unoszącą się w powietrzu wolę zbiorową, był teraz on, który tak długo wywierał wolę i rozkazywał; ale mówił z szacunkiem, że to na jedno wychodzi: zdolność, mówił, wyzbycia się samego siebie, stania się narzędziem, posłuszeństwo w najbezwzględniejszym i doskonałym sensie jest tylko odwrotną stroną owej innej woli chcenia i rozkazywania; jest to jedna i ta sama zdolność; rozkazywać i słuchać to tylko jedna zasada, nierozerwalna jedność; kto umie słuchać, umie też rozkazywać, i odwrotnie; jedna myśl jest nieodłączna od drugiej, jak nieodłączne są lud i wódz, ale czyn, skrajnie surowy, unicestwiający czyn, należy bądź co bądź do niego, do wodza i sprawcy, w którym wola staje się posłuszeństwem, posłuszeństwo wolą, którego osoba jest kolebką obojga i któremu przeto jest bardzo ciężko. Akcentował to mocno i często, że mu jest niezwykle ciężko, prawdopodobnie aby wytłumaczyć swą potrzebę pokrzepienia i częste sięganie po kieliszek.

Macał jasnowidczo dokoła, prowadzony i niesiony zbiorową tajemną wolą. Wyciągał wysadzaną kamieniami szpilkę z buta Angielki, gdzie ją ukryto, ociągliwy i popędzany za-

niósł ją do innej damy — była to pani Angiolieri — i wręczył ją jej na kolanach z przepisanymi i choć przybliżonymi, jednak nie dość dokładnymi słowy; gdyż były umówione po francusku. „Składam pani dar na znak mojej czci" — miał rzec, a nam się zdawało, jakby złośliwość tkwiła w tym twardym warunku; wyrażała się w tym sprzeczność między zainteresowaniem w udaniu się dziwu i życzeniem, aby pretensjonalny mąż poniósł klęskę. Ale bardzo ciekawe było, jak Cipolla, na kolanach przed madame Angiolieri, wśród próbnych przemówień walczył o poznanie tego, co mu polecono.

— Mam coś powiedzieć — wyznał — i czuję wyraźnie, co należy powiedzieć, jednak czuję zarazem, że byłoby to błędne, gdybym to wyrzekł. Niech pani za nic na świecie jakimś mimowolnym znakiem nie przyjdzie mi z pomocą! — zawołał, mimo lub dlatego że wątpliwe było właśnie to, czego się spodziewał... — Pensez très fort! — krzyknął nagle złą francuszczyzną i wyrzucił potem z siebie zalecone zdanie wprawdzie po włosku, ale tak, że końcowe i zasadnicze słowo wymówił nagle w siostrzanym języku, w którym prawdopodobnie nie bardzo był biegły, i zamiast „venerazione" powiedział „vénération" z niemożliwą nosówką na końcu — częściowy sukces, który po już dokonanych wyczynach, znalezieniu szpilki, podejściu do odbiorczyni i uklęknięciu, sprawił niemal większe wrażenie, niżby to uczyniło całkowite zwycięstwo, i wywołał oklaski podziwu.

Cipolla wstając otarł sobie pot z czoła. Rozumiecie, że dałem tylko przykład jego roboty opowiadając o szpilce — pozostało mi to szczególnie w pamięci. Ale zmieniał zasadniczą formę w różny sposób i przeplatał te próby, tak że wiele czasu upłynęło, improwizacjami pokrewnego rodzaju, w czym kontakt z publicznością pomagał mu na każdym kroku. Zwłaszcza z osoby naszej gospodyni zdawało się spływać nań natchnienie.

— Nie uchodzi mej uwagi, signora — rzekł do niej — że

coś jest w pani osobliwego i czcigodnego. Kto umie patrzeć, widzi dokoła pani uroczej skroni blask, który, jeśli się nie mylę, niegdyś był silniejszy niż dziś, zwolna blednący blask... Ani słowa! Proszę mi nie pomagać! U boku pani siedzi małżonek, prawda? — zwrócił się do cichego pana Angiolieri. — Pan jest mężem tej damy i szczęście pańskie jest doskonałe. Ale w to szczęście mieszają się wspomnienia... Książęce wspomnienia... Przeszłość, signora, gra w pani obecnym życiu, jak mi się zdaje, wybitną rolę. Znała pani jakiegoś króla... czy w minionych czasach nie spotkała pani na drodze swego życia jakiegoś króla?

— Nie — szepnęła rozdawczyni naszej obiadowej zupy i jej brunatnozłote oczy lśniły w szlachetnej bladości jej twarzy.

— Więc nie? Nie, nie król, mówiłem tylko niejako z grubsza i w przybliżeniu. Nie król ani książę — a jednak jakiś książę, król wyższego rodzaju królestwa. Był to wielki artysta, u którego boku pani niegdyś... Chce pani zaprzeczyć, a jednak nie może pani tego uczynić stanowczo, tylko połowicznie. A więc! Była to wielka, światowej sławy artystka, której przyjaźnią cieszyła się pani we wczesnej młodości i której święta pamięć ocienia i rozjaśnia całe pani życie... Nazwisko? Czyż trzeba pani wymienić nazwisko, którego sława złączyła się dawno ze sławą ojczyzny i z nią stała się nieśmiertelna? Eleonora Duse — zakończył cicho i uroczyście.

Drobna pani pokonana skinęła nieznacznie głową. Oklaski podobne były manifestacji narodowej. Każdy niemal w sali znał chlubną przeszłość pani Angiolieri, musiał więc uznać intuicję cavaliera, przede wszystkim goście z „Casa Eleonora". Chodziło tylko o to, ile on sam o tym wiedział, ile dowiedział się przy pierwszym fachowym wywiadzie po przybyciu do Torre... Ale nie mam powodu podejrzewać racjonalistycznie zdolności, które w naszych oczach stały się jego zgubą...

Przede wszystkim nastąpiła teraz przerwa i nasz rozkazo-

dawca wycofał się. Przyznaję, że bałem się tego punktu mego sprawozdania, niemal odkąd zacząłem opowiadać. Czytać myśli ludzi nie jest przeważnie trudno, a tu jest to bardzo łatwe. Niewątpliwie zapytacie mnie, czemuśmy ostatecznie nie wyszli — i muszę wam pozostać dłużny odpowiedzi. Nie rozumiem tego i nie umiem się faktycznie usprawiedliwić. Musiało być już wtedy po wpół do jedenastej, prawdopodobnie później. Dzieci spały. Ostatnia seria doświadczeń była dla nich zbyt nudna, więc łatwo było naturze wywalczyć swoje prawo. Spały na naszych kolanach, mała na moich, chłopczyk na matczynych. Było to z jednej strony uspokajające, potem jednak znów powodem do litości i napomnieniem, by położyć je do łóżka. Zapewniam, że chcieliśmy posłuchać tego wzruszającego napomnienia, chcieliśmy poważnie. Obudziliśmy biedactwa zapewniając, że najwyższy czas wracać do domu. Ale błagalny protest zaczął się od chwili ich oprzytomnienia, a wiecie, że niechęć dzieci do opuszczenia zabawy można tylko przełamać, nigdy wyperswadować. Cudnie jest u czarodzieja, skarżyły się, nie wiedzą, co jeszcze nastąpi, trzeba przynajmniej poczekać, od czego zacznie po przerwie, tymczasem prześpią się trochę, byle tylko nie do domu, nie do łóżka, kiedy tu odbywa się tak piękny wieczór!

Ustąpiliśmy, choć tylko, jak nam się zdawało, na moment, na chwilę jeszcze, na razie. To, żeśmy zostali, trudno usprawiedliwić, jak i wytłumaczyć. Czy sądziliśmy, że trzeba powiedzieć B, skoro się powiedziało A i w ogóle niepotrzebnie przyprowadziło tu dzieci? Uważam to za niedostateczne. Czy bawiliśmy się sami? Tak i nie, nasze uczucia względem cavaliere Cipolla były w najwyższym stopniu różnorakiej natury, ale takie były, jeśli się nie mylę, uczucia całej sali, a jednak nikt nie odchodził. Czy ulegliśmy fascynacji, która biła od tego w tak osobliwy sposób zarabiającego na chleb męża także poza programem, także między pokazami i paraliżowała nasze postanowienia? W taki sam sposób można to było wpisać na rachunek czystej ciekawości. Chciało się wie-

dzieć, jaki będzie dalszy ciąg wieczoru, który się tak zaczął, a zresztą odejściu Cipolli towarzyszyły zapowiedzi, które pozwalały sądzić, że worek jego nie został opróżniony i że należy oczekiwać stopniowania efektów.

Ale to nie to albo nie wszystko. Najwłaściwsze byłoby na pytanie, dlaczegośmy teraz nie wyszli, odpowiedzieć innym: dlaczegośmy przedtem nie wyjechali z Torre? Jest to moim zdaniem jedno i to samo pytanie i aby się wywinąć, mógłbym po prostu rzec, żem już na nie odpowiedział. Panowała tu właśnie ta sama dziwność i napięcie, ta sama przykrość, zmartwienie, przygnębienie jak w Torre w ogóle, ba, nawet bardziej, sala ta stanowiła punkt zborny wszystkich osobliwości, rzeczy podejrzanych i niebezpiecznych, którymi, zda się, naładowała nas atmosfera pobytu; ten mąż, którego powrotu oczekiwaliśmy, wydawał się nam uosobieniem tego wszystkiego; i ponieważ nie „wyjechaliśmy" w ogóle, byłoby nielogicznym uczynić to, że tak powiem, w szczególe. Przyjmijcie to jako stwierdzenie naszej osiadłości albo też nie! Nic lepszego nie umiem po prostu przytoczyć.

Nastała więc przerwa dziesięciu minut, z których zrobiło się prawie dwadzieścia. Dzieci, rozbudzone i zachwycone naszą ustępliwością, umiały je sobie przyjemnie zapełnić. Podjęły swe stosunki z ludową sferą, z Antoniem, z Guiscardem, z człowiekiem od kajaków. Wykrzykiwały do rybaków przez zwinięte dłonie życzenia, których nauczyły się od nas: — Jutro dużo rybek! Pełnych sieci! — Wołały do Maria, małego kelnera z „Esquisito": — Mario, una cioccolata e biscotti! — I tym razem uważał i odrzekł z uśmiechem: — Subito! — Mieliśmy powody zachować w pamięci ten uprzejmy i nieco roztargniony, melancholijny uśmiech.

Tak minęła pauza, zabrzmiał gong, rozgadana publiczność zebrała się, dzieci poprawiły się chciwie w swych krzesłach, z rękami na kolanach. Scena pozostała otwarta. Cipolla wszedł kuśtykając i rozpoczął natychmiast drugą serię swych pokazów, przygadując.

Pozwólcie mi się streścić: ten pewny siebie garbus był najsilniejszym hipnotyzerem, jakiego spotkałem w życiu. Jeśli co do natury swych pokazów sypał publiczności piaskiem w oczy i przedstawiał się jako sztukmistrz, to widocznie chodziło tu o to, aby obejść przepisy policyjne, które zasadniczo zabraniały używania tych sił w celach zarobkowych. Może formalne ukrywanie w takich razach jest praktykowane w kraju i urzędowo tolerowane lub tolerowane połowicznie. Tak czy inaczej, praktycznie kuglarz mało się krył od samego początku z prawdziwym charakterem swych wyczynów, a druga część jego programu opierała się zupełnie i wyłącznie na specjalnych doświadczeniach, na demonstracji pozbawiania i wywierania woli, choć nadawał temu inną nazwę. W przewlekłej serii komicznych, drażniących, zdumiewających prób, które jeszcze o północy były w pełnym toku, widziało się od niepozorności do potworności wszystko, czego ta naturalno-niesamowita dziedzina pod względem fenomenów dostarcza, i po groteskowych szczegółach patrzyło się na śmiejącą się, kiwającą głową, bijącą się w kolana, klaskającą publiczność, która wyraźnie znajdowała się pod wpływem surowej, pewnej siebie osobowości, chociaż, jak mi się przynajmniej zdawało, niechętnie nastrojoną wobec czegoś osobliwie hańbiącego, co tkwiło dla jednostki i dla wszystkich w tryumfach Cipolli.

Dwie rzeczy odgrywały główną rolę w tych tryumfach: pokrzepiający kieliszek i szpicruta z rączką w kształcie szponów. Pierwsze musiało służyć do podniecania w nim demonizmu, gdyż inaczej, zdawało się, groziłoby mu wyczerpanie, i to mogło zbudzić wyrozumiałość dla człowieka, gdyby nie to drugie, obrażający symbol jego władzy, ta świszcząca dyscyplina, pod którą zarozumiałość jego nas wszystkich trzymała i której współdziałanie nie pozwoliło powstać żadnemu miększemu uczuciu prócz zdziwionej i krnąbrnej uległości. Czy potrzebował go? Czy wymagał jeszcze naszego współczucia? Czy chciał mieć wszystko? Uderzyło mnie jedno jego

wyznanie, które pozwalało wnosić o takiej zazdrości. Uczynił je, gdy, u szczytu swych eksperymentów, pewnego młodego człowieka, który oddał mu się do rozporządzenia i poprzednio już okazał się szczególnie podatnym jego wpływom obiektem, przez passy i chuchanie doprowadził zupełnie do stanu katalepsji, do tego stopnia, że pogrążonego w głębokim śnie mógł nie tylko karkiem i stopami ułożyć na oparciach dwóch krzeseł, lecz także usiąść na nim tak, że sztywne ciało się nie ugięło. Widok tego potwora w surducie, siedzącego na zdrewniałej postaci, był nieprawdopodobny i wstrętny i publiczność, wyobrażająca sobie, że ofiara tej naukowej krotochwili musi cierpieć, wyraziła litość. — Poveretto! Biedak! — wołały dobroduszne głosy. — Poveretto! — szydził Cipolla zgorzkniały. — To pod fałszywym adresem, moi państwo! Sono io il poveretto! To ja wszystko cierpię. — Schowano nauczkę do kieszeni. Dobrze, może to on sam ponosi koszty zabawy i może wziął na siebie cierpienia, o których świadczył żałosny grymas Giovanotta. Ale pozór świadczył przeciw temu i nie jest się skłonnym nazywać poveretto kogoś, kto cierpi dla zbezczeszczenia drugiego.

Wybiegłem zbyt naprzód i zaniedbałem zupełnie kolejność wydarzeń. Głowę mam jeszcze dziś pełną wspomnień o cierpiętniczych czynach cavaliere, tylko nie umiem wyliczyć ich po porządku i nie o to chodzi. Tyle jednak wiem, że wielkie i trudne, które znalazły najwięcej uznania, słabsze na mnie zrobiły wrażenie niż pewne małe i pobieżne. Fenomen młodzieńca, służącego za ławkę do siedzenia, przyszedł mi właśnie na myśl tylko z powodu związanej z nim nauczki... Że jednak starsza dama, śpiąca na plecionym krześle, została przez Cipollę ukołysana złudzeniem, iż odbywa podróż do Indii, i w transie wzruszająco opowiadała o swych przygodach na lądzie i morzu, zajmowało mnie mniej i uważałem to za mniej szalone niż to, że po pauzie wysoki i barczysty pan o wojskowym wyglądzie nie mógł podnieść ramienia tylko dlatego, że garbus oznajmił mu, że nie będzie już mógł tego zro-

bić, i świsnął przy tym szpicrutą w powietrzu. Widzę wciąż jeszcze przed sobą twarz tego wąsatego, poważnego colonello, to uśmiechnięte zacięcie zębów w zapasach o swoją utraconą swobodę ruchów. Co za kłopotliwe zdarzenie! Zdawał się chcieć i nie móc; ale nie mógł tylko chcieć, nastąpiło tu owo paraliżujące wolność zwichnięcie woli, którą nasz poskromiciel z góry szyderczo zapowiedział rzymskiemu panu.

Jeszcze lepiej pamiętam wzruszającą i upiorną komikę w scenie z panią Angiolieri, której eteryczną nieodporność wobec jego mocy cavaliere wyśledził z pewnością już przy pierwszym śmiałym rozejrzeniu się po sali. Wyciągnął ją po prostu przez czyste zaczarowanie z jej krzesła i z jej rzędu za sobą i przy tym, dla podniesienia efektu, polecił panu Angiolieri zawołać swą żonę po imieniu, niejako aby ciężar jego istnienia i praw rzucić na szalę wagi i głosem małżonka obudzić w duszy towarzyszki wszystko, co mogło cnotę jej obronić przeciw złemu czarowi. Lecz jakże daremnie! Cipolla, w pewnej odległości od małżeńskiej pary, świsnął szpicrutą z tym skutkiem, że nasza gospodyni potężnie zadrżała i zwróciła doń twarz. — Sofronia! — zawołał pan Angiolieri już wtedy (nie wiedzieliśmy, że pani Angiolieri na imię Sofronia) i słusznie zaczął wołać, gdyż każdy widział, że grozi jej niebezpieczeństwo: twarz jego żony zwrócona była ku przeklętemu cavaliere. Ten, ze szpicrutą zawieszoną u przegubu, wszystkimi dziesięcioma długimi i żółtymi palcami zaczął wykonywać ruchy przyciągające i wabiące swą ofiarę i cofać się krok za krokiem. Wtedy pani Angiolieri w lśniącej bladości wstała ze swego miejsca, zwróciła się zupełnie w stronę zaklinacza i zaczęła posuwać się za nim. Upiorny i fatalny widok! Z lunatycznym wyrazem, ze sztywnymi ramiony, z pięknymi rękoma podniesionymi nieco w przegubach i jakby ze związanymi nogami zdawała się zwolna sunąć z ławki ku ciągnącemu uwodzicielowi... — Wołaj pan, wołaj pan przecie! — napomniał okrutnik. I pan Angiolieri wołał słabym głosem: — Sofronia! — Ach, zawołał jeszcze kilka ra-

zy, a ponieważ żona oddalała się odeń coraz bardziej, podniósł nawet do ust zwiniętą w trąbkę dłoń i drugą kiwnął kilka razy wołając. Ale bezsilnie przebrzmiał biedny głos miłości i obowiązku za plecami straconej i w lunatycznym pochodzie, zaczarowana i głucha, uchodziła pani Angiolieri środkowym przejściem ku kiwającemu palcem garbusowi, w drzwi wejściowe. Miało się zniewalające i zupełne wrażenie, że za władcą swym, gdyby tylko chciał, poszłaby na koniec świata.

— Accidente! — zawołał pan Angiolieri w rzeczywistym strachu i zerwał się z miejsca, gdy doszli do drzwi.

Ale w tej samej chwili cavaliere odrzucił niejako koronę zwycięstwa i przerwał.

— Dość, signora, dziękuję — i podał wracającej z obłoków do siebie z komediancką dwornością ramię, aby ją odprowadzić do pana Angiolieri. — Mój panie — pokłonił się temuż — oto pańska małżonka! Nietkniętą, wraz z mymi komplementami, oddaję ją w pańskie ręce. Strzeż pan wszystkimi siłami swej męskości skarbu, który jest tak całkowicie pański, i wzmacniaj pan swą czujność przekonaniem, że są moce silniejsze niż rozum i cnota i tylko wyjątkowo chodzące w parze z wielkodusznością wyrzeczenia.

Biednyż pan Angiolieri, cichy i łysy! Nie wyglądał na to, aby umiał ustrzec swe szczęście, choćby nawet od mocy mniej demonicznych niż te, które tu do strachu dodawały jeszcze szyderstwo. Poważny i nadęty wracał cavaliere na podium wśród oklasków, którym wymowność jego użyczała podwójnej pełni. Mianowicie przez to zwycięstwo, jeśli się nie mylę, wzrósł autorytet jego do tego stopnia, że mógł publiczności swej kazać tańczyć — tak, tańczyć. Trzeba to rozumieć dosłownie i przyniosło to z sobą pewne wynaturzenie, pewne z powodu późnej nocy rozstrojenie umysłów, upojne rozluźnienie krytycznych odporów, które tak długo opierały się działaniu nieprzyjemnego człowieka. Co prawda musiał twardo walczyć o całkowitość swej władzy, zwłasz-

cza z niechęcią młodego rzymskiego pana, którego moralny upór groził jego władzy niebezpiecznym jawnym przykładem. Jednak właśnie na ważności przykładu znał się cavaliere na tyle, by obrać miejsce najmniejszego oporu za punkt natarcia; zapoczątkował orgię taneczną przez owego słabowitego i do utraty ducha skłonnego młodzieńca, którego przedtem już zmienił w sztywny kij. Ten, ilekroć tylko mistrz dotknął go spojrzeniem, w dziwny sposób, jakby uderzył weń piorun, wyrzucał w tył górną część ciała i z rękami na szwach spodni wpadał w stan militarnego somnambulizmu, tak że z góry wpadała w oczy jego gotowość do wszelkiej niedorzeczności, jaką by mu nakazano. Również zdawało się, że znajdował upodobanie w poddaństwie i wyzbywaniu się własnej woli, gdyż ciągle ofiarowywał się jako obiekt doświadczalny i widocznie zasadzał swą ambicję na tym, by okazać się wzorowym przykładem szybkiej utraty świadomości i woli. Także teraz wstąpił na podium i wystarczyło świśnięcie szpicruty, aby na rozkaz cavaliere zaczął tam tańczyć „stepa", to znaczy w pewnego rodzaju przyjemnej ekstazie, z zamkniętymi oczami i z kołysaniem głowy, wyrzucać we wszystkich kierunkach swe chude członki.

Widocznie było to zabawne, i nie trwało długo, a znalazł naśladowców i dwie dalsze osoby, jeden licho, drugi dobrze ubrany młodzieniec, już po obu jego bokach wykonywały stepa. Wtedy to pan z Rzymu zgłosił się i spytał hardo, czy cavaliere podejmuje się nauczyć go tańczyć, chociaż on tego nie chce.

— Nawet jeśli pan tego nie chce! — odparł Cipolla w tonie dla mnie niezapomnianym. Mam to straszne „Anche se non vuole!" wciąż jeszcze w uszach. I wtedy zaczęła się walka. Cipolla, wychyliwszy kieliszek i zapaliwszy świeżego papierosa, postawił rzymianina gdzieś w środkowym przejściu, z twarzą zwróconą do drzwi wyjściowych, sam stanął w pewnym oddaleniu za nim i świsnął szpicrutą, rozkazując: — Balla! — Jego przeciwnik nie ruszył się. — Balla! — powtó-

rzył cavaliere stanowczo i przytknął palcami. Widać było, jak młodemu człowiekowi drgnęła szyja w kołnierzu, jak równocześnie jedna z rąk podniosła się w przegubie, jedna z pięt zwróciła się na zewnątrz. Te oznaki drżącej pokusy jednak, oznaki, które już to się wzmagały, już to znów uspokajały, trwały pewien czas. Nikt nie wątpił, że tu trzeba było pokonać z góry powzięte postanowienie zdecydowanego oporu, heroiczną przekorę; ten dzielny człowiek chciał uratować honor rodzaju ludzkiego, podrygiwał, ale nie tańczył, i eksperyment ten dłużył się tak, że cavaliere zmuszony był rozdzielać swą uwagę; kiedy niekiedy zwracał się ku scenie i tam pląsającym i świstał w ich kierunku szpicrutą, by ich utrzymać w karności, i zarazem, mówiąc poprzez ramię, pouczać publiczność, że ci wietrznicy nie będą potem czuli żadnego zmęczenia, choćby jak najdłużej tańczyli, bo właściwie nie oni to czynią, tylko on. Potem znów świdrujący wzrok utkwił w karku rzymianina, by zdobyć twierdzę woli sprzeciwiającą się jego władzy.

Widać było, że twierdza ta pod coraz ponawianymi ciosami i twardymi okrzykami chwieje się — patrzono na to z rzeczową sympatią, nie wolną od uczuciowych odcieni, od żalu i srogiego zadośćuczynienia. Jeśli dobrze rozumiałem to, co się działo, to pan ten ulegał negatywności swej pozycji bojowej. Prawdopodobnie nie można żyć duchowo niechceniem; niechcenie jakiejś rzeczy nie jest na dłuższy przeciąg czasu żadną treścią życiową; czegoś nie chcieć i w ogóle niczego już nie chcieć, a przecież czynić to, czego się od człowieka wymaga, to rzeczy może zbyt z sobą blisko sąsiadujące, by idea wolności nie musiała między nimi ponieść uszczerbku, i w tym kierunku zmierzały też namowy, które cavaliere wplatał między śmignięcia szpicrutą i rozkazy, mieszając wpływy, które były jego tajemnicą, z zawiłym psychologizowaniem.

— Balla! — rzekł. — Któż by się tak męczył? Czyż nazywasz wolnością to gwałcenie samego siebie? Una ballatina!

Przecież rwie cię we wszystkich członkach. Jakże błogo będzie przywrócić im wreszcie wolę! Ha, ty tańczysz już przecie! To już nie walka, to przyjemność!

Tak też było, drganie i rwanie w ciele opornego wzięło górę, podniósł ramiona, kolana, naraz wyzwoliły się wszystkie jego stawy, wyrzucał członki, tańczył i tak prowadził go cavaliere, podczas gdy ludzie klaskali, na podium, by połączyć go z tamtymi pajacami. Widać było teraz twarz pokonanego, ukazała się tam na górze. Uśmiechał się szeroko, z półotwartymi oczami, podczas gdy się „bawił". Było pewnego rodzaju pociechą widzieć, że widocznie było mu teraz lepiej niż w czasie jego dumy.

Można rzec, że jego „upadek" stanowił epokę. Wraz z nim przełamały się lody, Cipolla był u szczytu tryumfu; różdżka Cyrce, świszcząca szpicruta z rączką w kształcie szponów, panowała bez ograniczenia. Do chwili, którą pamiętam — a musiało już być grubo po północy — tańczyło na małej scence osiem czy dziesięć osób. Ale i na sali panował pewien ruch, a jakaś Anglosaksonka w cwikierze, z długimi zębami, o którą mistrz wcale się nie troszczył, wyszła ze swego rzędu, by w środkowym przejściu wykonać tarantelę. Tymczasem Cipolla siedział w niedbałej postawie na plecionym krześle po lewej stronie podium, połykał dym papierosa i wypuszczał go arogancko przez ohydne zęby. Kołysząc nogą i niekiedy potrząsając w uśmiechu ramionami, patrzył na rozprzężenie sali i wpółodwrócony śmigał od czasu do czasu szpicrutą w kierunku jednego z podrygujących, który chciał zaniechać zabawy. Dzieci były rozbudzone w tym czasie. Wspominam je ze wstydem. Niedobrze było tu być, najmniej dla nich, i to, żeśmy ich dotąd nie zabrali, umiem wytłumaczyć sobie pewnym zakażeniem przez ogólną bierność, która i nas opanowała o tej nocnej godzinie. Było już teraz wszystko jedno. Zresztą, na szczęście, nie zdawały sobie sprawy, jak podejrzana jest ta wieczorna zabawa. Niewinność ich zachwycała się ciągle na nowo niezwykłym pozwoleniem na

przyglądanie się takiemu widowisku, występowi czarodzieja. Przesypiały kwadransik na naszych kolanach, potem z czerwonymi policzkami i upojonymi oczyma śmiały się serdecznie ze skoków, do których pan tego wieczoru zmuszał ludzi. Nie myślały, że będzie tak wesoło, radośnie uczestniczyły niezgrabnymi rączkami w klaskaniu. Ale z uciechy poderwały się na swój sposób z krzeseł, gdy Cipolla kiwnął na ich przyjaciela Maria, na Maria z „Esquisito" — kiwał na niego dosłownie, trzymając rękę przed nosem i palec wskazujący na przemian prostując i zaginając w hak. Mario był posłuszny. Widzę go jeszcze, jak idzie po schodach do cavaliere, który nie przestawał w ów groteskowy sposób kiwać palcem. Przez chwilę ociągał się młody człowiek i to pamiętam dokładnie. Przez cały wieczór ze skrzyżowanymi ramionami lub z rękoma w kieszeniach marynarki stał oparty o drewniany słup, w bocznym przejściu, na lewo od nas, tam gdzie znajdował się Giovanotto z wojowniczą fryzurą, i przyglądał się, o ile widzieliśmy, pokazom, ale bez zbytniej wesołości i Bóg wie z jakim zrozumieniem. Że jeszcze na samym końcu został wezwany do współdziałania, to nie było dlań widocznie przyjemne. Jednak było aż zbyt zrozumiałe, że usłuchał skinienia. To leżało już w jego zawodzie; poza tym było duchową niemożliwością, by prosty chłopiec jak on miał odmówić posłuszeństwa skinieniu tak uwieńczonego powodzeniem męża, jakim był w tej chwili Cipolla. Rad nierad więc oderwał się od swego słupa, podziękował tym, którzy stojąc przed nim i dokoła, zrobili mu miejsce, i wszedł na podium z uśmiechem powątpiewania dokoła wydętych warg.

Wyobraźcie go sobie jako krępego dwudziestolatka z krótko ostrzyżonymi włosami, z niskim czołem i ciężkimi powiekami nad oczyma barwy nieokreślenie szarej z zielonymi i żółtymi odcieniami. Wiem to dokładnie, gdyż często z nim rozmawialiśmy. Górna część twarzy ze spłaszczonym nosem, na którym widniało siodło piegów, była cofnięta w stosunku do dolnej, zajętej przeważnie przez grube wargi, między

którymi, gdy mówił, widniały wilgotne zęby, i te obrzękłe wargi wraz z przykrytymi oczami nadawały jego fizjonomii wyraz prymitywnej melancholii, która właśnie była powodem, żeśmy od dawna coś czuli dla Maria. O brutalności wyrazu nie mogło być mowy; przeczyłaby temu choćby niezwykła wąskość i delikatność rąk, które szlachetnością uderzały nawet wśród południowców i których usługi przyjmowaliśmy chętnie.

Znaliśmy go jako człowieka, nie znając go osobiście, jeśli zechcecie mi zezwolić na to odróżnienie. Widywaliśmy go niemal codziennie i powzięliśmy pewną sympatię dla jego marzycielskiego, łatwo w duchową nieprzytomność wpadającego usposobienia, co naprawiał przechodząc szybko do osobliwej usłużności; był poważny, co najwyżej dzieci mogły go doprowadzić do uśmiechu, nie był mrukliwy, lecz nie przypodchlebiający się, nie zamierzał się przymilać, raczej rezygnował z przymilności, nie żywił zgoła nadziei, że może się podobać. Postać jego byłaby nam w każdym razie została w pamięci, jako jedno z niepozornych wspomnień z podróży, które się lepiej zachowuje niż niejedno ważne. Z bliższych szczegółów o nim jednak wiedzieliśmy tylko tyle, że ojciec jego był pisarczykiem w municipio, a matka praczką.

Biały kaftan, w jakim usługiwał, zdobił go bardziej niż wyblakły garnitur z cienkiego materiału w prążki, w którym teraz wchodził na podium, bez kołnierzyka, tylko z czerwoną chustką jedwabną, której końce zakrywał surdut. Podszedł do cavaliere, ale ten nie przestawał poruszać zakrzywionym palcem pod nosem, tak że Mario musiał podejść jeszcze bliżej, ku nogom despoty, do samego stołka, po czym Cipolla z rozstawionymi łokciami ujął go i nadał mu taką pozycję, że mogliśmy widzieć jego twarz. Lustrował go niedbale, władczo i wesoło, z góry na dół.

— Cóż to, ragazzo mio? — rzekł. — Tak późno zawieramy znajomość? Jednak możesz mi wierzyć, że ja od dawna zaznajomiłem się z tobą... Ależ tak, od dawna zwróciłem na

ciebie uwagę i przekonałem się o twoich znamienitych zaletach. Jakże bym mógł o tobie zapomnieć? Tyle zalet, wiesz... Powiedzże mi, jak się nazywasz. Chcę poznać twoje imię.

— Nazywam się Mario — odpowiedział młody człowiek cicho.

— Ach, Mario, bardzo dobrze. To częste imię. Rozpowszechnione imię. Starożytne imię, z tych, które podtrzymują heroiczne tradycje ojczyzny. Bravo. Salve! — I z krzywego barku wyciągnął ramię z otwartą dłonią w rzymskim pozdrowieniu skośnie w górę. Jeśli był trochę pijany, nie można się było dziwić; ale mówił jak przedtem, z bardzo dobitnym akcentem i płynnie, choć w tym czasie w zachowanie jego, jak i w intonację słów, wkradło się coś z sytości paszy i coś łobuzerskiego i swawolnego.

— A więc, drogi Mario — ciągnął dalej — to pięknie, że przyszedłeś dziś wieczór i nadto włożyłeś taką ładną chustkę, w której ci doskonale do twarzy i która niemało przysporzy ci powodzenia u dziewcząt, u uroczych dziewcząt w Torre di Venere.

Z miejsc stojących, mniej więcej tam, gdzie przed chwilą stał Mario, rozległ się śmiech — pochodził z ust Giovanotta z wojowniczą fryzurą, który stał tam z marynarką przez ramię i śmiał się gburowato i szyderczo: „cha, cha!"

Mario, jak sądzę, drgnął w ramionach. W każdym razie drgnął. Może właściwie zadygotał i wzruszenie ramionami było tylko połowicznym, dodatkowym tego pokryciem, przez które chciał pokazać, że tak chustka jak i płeć piękna są mu obojętne.

Cavaliero spojrzał przelotnie w dół.

— O tego tu nie dbamy — rzekł — jest on zazdrosny, prawdopodobnie o powodzenie twojej chustki u dziewcząt, może też dlatego, że tak tutaj rozmawiamy sobie po przyjacielsku ty i ja... Jeśli chce, przypomnę mu jego kolkę. To mnie nic nie kosztuje. Powiedz no mi, Mario: bawisz się dziś wie-

czór... A w dzień obsługujesz klientów w sklepie galanteryjnym...

— W kawiarni — poprawił młodzieniec.

— Raczej w kawiarni! Ano, Cipolla raz się pomylił. Jesteś cameriere, podczaszy, Ganimed — to mi się podoba, jeszcze jedno antyczne wspomnienie — salvietta! — I przy tym wyciągnął cavaliere ku uciesze publiczności na nowo ramię z pozdrowieniem.

Także Mario uśmiechnął się.

— Przedtem jednak — wtrącił prostując — sprzedawałem jakiś czas w Portoclemente w pewnym sklepie.

Było w jego uwadze coś z ludzkiego pragnienia, by dopomóc wróżbie, wydobyć z niej prawdę.

— A więc! A więc! W sklepie galanteryjnym!

— Były tam grzebienie i szczotki — odparł Mario wymijająco.

— Czyż nie mówiłem, że nie zawsze byłeś Ganimedem, nie zawsze usługiwałeś z serwetą? Nawet gdy się Cipolla pomyli, robi to w sposób budzący zaufanie. Powiedz, czy masz do mnie zaufanie?

Nieokreślony ruch.

— Połowiczna odpowiedź — stwierdził cavaliere. — Niewątpliwie z trudem zdobywa się twe zaufanie. Nawet mnie, widzę przecie, nie udaje się to łatwo. Spostrzegam w twojej twarzy rys skrytości, smutku, un tratto di malinconia... Powiedzże mi — i ujął z namową rękę Maria — czy masz zmartwienie?

— Nossignore! — odrzekł ten szybko i stanowczo.

— Masz zmartwienie — upierał się kuglarz, biorąc autorytatywnie górę nad jego stanowczością. — Czyż tego nie widzę? Chcesz to wmówić w Cipollę? Rozumie się samo przez się, że to dziewczęta, jedna dziewczyna. Masz zmartwienie miłosne.

Mario zaprzeczył żywo głową. Jednocześnie rozległ się znów koło nas brutalny śmiech Giovanotta.

Cavaliere nastawił uszu. Oczy jego błądziły w powietrzu, ale łowił uchem śmiech i śmignął, jak już raz czy dwa podczas swej rozmowy z Mariem, szpicrutą, na pół w tył zwrócony w kierunku swoich tancerzy, by żaden z nich nie osłabł w gorliwości. Przy tym jednak partner jego o mało mu się nie wymknął, gdyż nagłym ruchem odwrócił się od niego ku schodom. Miał zaczerwienione oczy. Cipolla przychwycił go w sam czas.

— Stać! — rzekł. — To pięknie. Chcesz zwiać, Ganimedzie, w najlepszej chwili lub tuż przed nią? Jeśli tu zostaniesz, przyrzekam ci śliczne rzeczy. Obiecuję ci, że przekonam cię o bezpodstawności twojego zmartwienia. Twoja dziewczyna, którą znasz i którą znają też inni, ta — jakże się ona nazywa? Poczekaj! Czytam to imię w twych oczach, mam je na końcu języka i ty także, widzę, jesteś gotów je wymówić...

— Silvestra! — zawołał z dołu Giovanotto.

Cavaliere ani drgnął.

— Czyż nie ma gadułów? — spytał nie patrząc na dół, raczej jakby w nieprzerwanej rozmowie z Mariem. — Czyż nie ma przede wszystkim niedyskretnych kogutów, które pieją czy trzeba, czy nie trzeba? Oto wyjmuje nam imię z ust, tobie i mnie, i myśli jeszcze, zarozumialec, że posiada szczególne prawo do niego! Dajmy mu pokój! Ale Silvestra, twoja Silvestra, przyznaj, to ci dziewczyna, co? Prawdziwy skarb! Serce zamiera, gdy się widzi, jak chodzi, oddycha, uśmiecha się, taka jest urocza. A jej krągłe ramiona, gdy pierze i przy tym odrzuca głowę w tył, i odgarnia włosy z czoła! Anioł z raju!

Mario wlepiał weń oczy z podaną w przód głową. Zdawał się zapominać o swym położeniu i o publiczności. Czerwone plamy dokoła oczu zwiększyły się i wyglądały jak malowane. Nigdy tego nie widziałem. Jego grube wargi były otwarte.

— I ten anioł martwi cię — ciągnął Cipolla — lub raczej ty martwisz się o niego... To różnica, mój drogi, poważna

różnica, wierzaj mi! Są w miłości nieporozumienia — można rzec, że nigdzie nie jest łatwiej o nieporozumienia jak tutaj. Myślisz, cóż wie Cipolla o miłości, on ze swą małą ułomnością? Mylisz się, on się zna na niej bardzo dobrze, zna się na niej w sposób szeroki i głęboki, warto słuchać go w jej sprawach! Ale dajmy pokój Cipolli, nie zajmujmy się nim i myślmy tylko o Silvestrze, o twej uroczej Silvestrze! Jak to? Miałażby dawać przed tobą pierwszeństwo jakiemuś piejącemu kogutowi, tak aby on się śmiał, a ty abyś płakał? Pierwszeństwo przed tobą, pełnym uczucia i sympatycznym chłopcem? To mało prawdopodobne, to niemożliwe, wiemy o tym lepiej, Cipolla i ona. Widzisz, jeśli postawię się na jej miejscu i wybieram między takim zasmolonym gburem, między taką soloną rybą i morską małżą a takim Mariem, rycerzem serwety, który porusza się między państwem, podaje zręcznie cudzoziemcom chłodzące napoje i kocha mnie prawdziwym, gorącym uczuciem — na honor, decyzja dla mego serca nie jest trudna, wiem, komu je mam darować, komu jedynie już od dawna darowałem je z rumieńcem. Czas już, byś to zobaczył i zrozumiał, mój wybrany! Czas, abyś mnie zobaczył i poznał, Mario, mój najdroższy... Powiedz, kto ja jestem?

Straszne było, jak oszust przymilał się, zalotnie wykręcał krzywe barki, tęsknie spoglądał oczyma z obwisłymi workami i w słodkawym uśmiechu pokazywał swe wyszczerbione zęby. Ach, ale cóż stało się z naszym Mariem podczas jego mamiących słów? Ciężko mi opowiedzieć, jak ciężko mi było na to patrzeć, gdyż było to zdradzenie najgłębszej treści duszy, wyjawienie nieśmiałej i obłędnie szczęśliwej namiętności. Splótł ręce przed ustami, barki jego wznosiły się i opadały w gwałtownym oddechu. Z pewnością nie wierzył z szczęścia własnym oczom i uszom i zapomniał właśnie tylko o jednym, by im naprawdę nie wierzyć. — Silvestro! — westchnął zwyciężony, z głębi piersi.

— Pocałuj mnie! — rzekł garbus. — Wierz mi, pozwalam!

Kocham cię! Pocałuj mnie tu! — i wskazał końcem wskazującego palca, z odsuniętą w bok ręką, ramieniem i małym palcem, swój policzek, tuż przy ustach.

I Mario schylił się i pocałował go.

Na sali zrobiło się zupełnie cicho. Chwila ta była groteskowa, potworna, pełna napięcia — chwila szczęśliwości Maria. W tym złośliwym momencie, w którym uczuciu narzucały się wszystkie związki szczęścia i złudzenia, odezwał się, nie zaraz na początku, lecz natychmiast po smutnym i błazeńskim złączeniu ust Maria z obrzydliwymi wargami, które podsunęły się jego czułości, śmiech Giovanotta z naszej lewej strony, który jedyny wyrwał się wśród oczekiwania, brutalny, złośliwie radosny, a jednak, musiałbym się chyba bardzo mylić, nie bez podłoża i odcienia litości nad tak wielkim uszczerbkiem marzenia, nie bez echa owego okrzyku „poveretto!", który czarodziej uznał przedtem za fałszywie skierowany i do którego sam zgłosił pretensje.

Ale też już równocześnie, kiedy rozlegał się jeszcze śmiech, całowany świsnął u dołu przy krześle szpicrutą i Mario drgnął i cofnął się. Stał i wytrzeszczał oczy, z przechylonym w tył ciałem, przyciskał dłonie do nadużytych warg, jedną na drugiej, potem kostkami obu uderzył się kilka razy w skronie i rzucił się w dół schodami, podczas gdy sala biła oklaski, a Cipolla, z rękami splecionymi na kolanach, potrząsał w śmiechu ramionami. Na dole, w całym pędzie, Mario miotał się z rozkraczonymi nogami, wyrzucił w górę ramię i dwie głucho grzmiące detonacje przerwały oklaski i śmiech.

Zapadła głęboka cisza. Nawet tancerze uspokoili się i wytrzeszczali w zdumieniu oczy. Cipolla zerwał się z krzesła. Stał z obronnie w bok wyciągniętymi ramionami, jakby chciał wołać: „Stać! Spokój! Wszyscy precz ode mnie! Co to?"; opadł w najbliższej chwili ze zwisłą na piersi głową z powrotem na krzesło i zaraz zsunął się bokiem na ziemię, gdzie pozostał bez ruchu, bezwładna wiązka odzienia i krzywych kości.

Zgiełk był bezgraniczny. Panie drżąc ukrywały twarze na piersiach towarzyszy. Wołano o lekarza, o policję. Szturmem zdobyto podium. Rzucano się w tłoku na Maria, aby go rozbroić, wyrwać mu małą, metalową, ledwo do pistoletu podobną maszynkę, która zwisała w jego ręce i której prawie nie istniejąca lufa zwróciła los w tak nieprzewidzianym i obcym kierunku. Zabraliśmy — nareszcie przecie — dzieci i pociągnęliśmy je mimo wkraczających karabinierów do wyjścia.

— Czy to już był koniec? — pytały dla pewności...

— Tak, to był koniec — przytaknęliśmy im. Straszliwy, w najwyższym stopniu fatalny koniec. I jednak wyzwalający koniec — nie mogłem i nie mogę czuć inaczej!

POSŁOWIE

Niniejszy tom nowel jest wyborem autoryzowanym przez Tomasza Manna. Pisarz, powiadomiony o zamiarze wydania zbioru jego opowiadań w języku polskim, przyjął tę propozycję z dużym zadowoleniem. W przedstawionym mu projekcie poczynił kilka drobnych zmian, które redakcja oczywiście w pełni uwzględniła. Niestety, książka ta stała się niejako pożegnaniem niemieckiego prozaika z polskimi czytelnikami, ostatnią edycją osobiście przez niego adresowaną do miłośników jego talentu w Polsce. W kilka miesięcy potem autor *Buddenbrooków* zmarł w Szwajcarii.

Książkę otwiera opowiadanie z roku 1896, zamyka nowela pochodząca z roku 1930. Obejmuje ona zatem nowelistyczny plon, i to niepełny, lat z górą trzydziestu. W ostatnim ćwierćwieczu swojego życia autor napisał już tylko trzy nowele: *Zamienione głowy* (1940), *Prawo* (1944) i *Oszukana* (1953). Utwory te ukażą się w polskim przekładzie w zbiorze zatytułowanym *Ostatnie nowele*.

Spośród opowiadań powstałych przed rokiem 1930 włączono do tego tomu wszystkie tak zwane nowele klasyczne, jak np. *Tristan*, *Tonio Kröger*, *Śmierć w Wenecji*, uznane powszechnie za arcydzieła niemieckiej prozy, i uzupełniono je kilkoma najcelniejszymi opowiadaniami w ten sposób, aby wybór dawał wyobrażenie o rozwoju kunsztu pisarskiego i poetyckiej myśli Tomasza Manna.

Nowele Tomasza Manna pulsują tą samą problematyką, którą oddycha cała jego proza. Związek pomiędzy niektórymi opowiadaniami i powieściami jest niekiedy wprost organiczny. I tak, *Tonio Kröger* tworzy jak gdyby post scriptum do *Buddenbrooków*, nowela *Prawo* uzupełnia tetralogię *Józef i jego bracia*, a *Czarodziejska góra* była wprost pomyślana jako parodystyczne rozwinięcie motywu *Śmierci w Wenecji*. Różnica zachodzi głównie w fabularnym ujęciu tematu. W nowelach, gdzie siłą rzeczy rozmach opisu redukuje się do minimum, gdzie akcja zmierza zazwyczaj do udramatyzowania jednego epizodu lub do roz-

winięcia pointy, ginie epickie tło, zanika olbrzymie rusztowanie realiów, cichnie dynamika społecznych procesów, możliwa do odtworzenia w rozległej powieści. Toteż w opowiadaniach Tomasza Manna zasadniczy problem jego twórczości przybiera najczęściej, choć nie zawsze, formę konfliktu psychologicznego. Przeżycia postaci, które zaludniają nowele twórcy *Doktora Faustusa*, łączą się jednak zawsze w sposób bardzo subtelny z dramatem naszej epoki. Historia Tonia Krögera to swoista odmiana losów najmłodszego potomka hanzeatyckiej rodziny Buddenbrooków. Obaj pochodzą z tego samego środowiska, obaj są mieszczanami, którzy uciekli w sferę sztuki, obaj przeżywają dylemat zagłady całej formacji społecznej i kulturalnej. Tylko że w noweli jesteśmy u stóp drzewa wyrwanego z gleby, a w powieści drzewo to otoczone jest gęstym lasem pogruchotanym przez burzę.

Świat roztaczający się w opowiadaniach Tomasza Manna pełen jest niepokoju i przesłonięty mrokiem towarzyszącym zamieraniu epoki, która przeżyła już swój bujny rozkwit i teraz chyli się nieodwołalnie ku upadkowi. Tomasz Mann jest cząstką tej epoki i zarazem diagnostą jej choroby, mieszczaninem w najlepszym tego słowa znaczeniu, a jednocześnie sędzią wyradzającego się mieszczaństwa. Formacji społecznej, z której wyrósł i z którą czuje się związany tysiącem węzłów, nie szczędzi najsurowszych słów prawdy, nie tai również jej wad i okrucieństwa. A przecież żegna ją z nieukrywanym żalem, gdyż w powodzi zła unosi ona także wspomnienia o przeszłości, o wielkiej erze humanizmu mieszczańskiego, która urzekła go geniuszem Schillera i Goethego, Balzaka i Flauberta, Tołstoja i Dostojewskiego. Problem upadku niemieckiej i europejskiej burżuazji, przy całej ironii snującej się poprzez opowiadania Manna, przybiera postać t r a g i c z n ą.

Bohaterowie Mannowskich nowel cierpią — każdy na swój sposób — i uginają się pod brzemieniem udręki, którą przynosi im czas. Są to z reguły ludzie nieszczęśliwi, odmienni od otoczenia, wyróżniający się jakąś „innością" w swoim środowisku. Ułomność fizyczna (pan Friedemann), intelekt, talent, geniusz, który udostępnia gorycz poznania lub artystycznego przeżycia (Tonio Kröger, Detlev Spinell z *Tristana*, Gustaw von Aschenbach ze *Śmierci w Wenecji*, Schiller z *Ciężkich godzin*), marzycielstwo (nieznajomy z Piazza San Marco w *Rozczarowaniu*), subtelność uczuć (baronowa Anna ze *Szczęścia*) skazuje ich na samotność. Są antytezą zdrowych, beztroskich i nieczułych mieszczan, przeciwieństwem naiwnych, harmonijnych natur, czują się jak gdyby wyklęci z życia, za którym tęsknią i uganiają się niby za nieuchwytnym fantomem. Reprezentują szlachetność serca lub myśli, mają dar poznawania prawdy ukrytej dla innych, płoną chęcią zbawienia świata (*U proroka*), pragną miłości i czują się pokrzywdzeni w świecie, który ich

lekceważy, a nawet nienawidzi. Ich żywot jest pasmem złudzeń i rozczarowań, poszukiwaniem drogi do codzienności, z którą nie mogą się pojednać. Większość z nich nie dociera do celu, ponosi porażkę: mały pan Friedemann odbiera sobie życie, nieznajomy z placu weneckiego ulega rozczarowaniu, Tonia odtrąca świat, który go pociąga, baronowa Anna znajduje zawodne szczęście, von Aschenbach ginie w zadżumionej Wenecji.

Jesteśmy zatem wśród ludzi o rozdartej duszy, których cechuje wciąż ten sam konflikt powtarzający się w coraz to innym wariancie. Podzielają oni rozterkę senatora Buddenbrooka pogrążonego w lekturze Schopenhauera, Hansa Castorpa szukającego zapomnienia na czarodziejskiej górze i Adriana Leverkühna, który zawiera pakt z diabłem w postaci impresaria muzycznego. Ten konflikt objawia się w nowelistyce Tomasza Manna najczęściej w antytezie artysta — mieszczanin, która jest głównym problemem *Tonia Krögera*, *Tristana* i *Śmierci w Wenecji*. W innych opowiadaniach miejsce artysty zajmuje moralizator, pragnący swoją ideą wyprowadzić świat z zamętu *(U proroka)*, młodzieniec z kupieckiej rodziny uwiedziony magią muzyki *(Pajac)* bądź nieszczęśliwy i brzydki pan Friedemann, któremu życie odmówiło radości. Aktorzy dramatu zmieniają się, konflikt pozostaje ten sam.

Tonio Kröger, Spinell i Aschenbach należą do dwóch światów, ale w żadnym z nich nie czują się dobrze. Są mieszczanami — przy czym pamiętać trzeba, że w tym wypadku pojęcie „mieszczaństwo" (Bürgertum) nie ma u Manna znaczenia ujemnego, lecz jest synonimem dawnych humanistycznych cnót obywatelskich — i artystami. Sztuka poróżniła ich z życiem, mieszczańskie otoczenie, w którym rządzi teraz prawo pieniądza i głupota, stało się im obce i odległe. Wszyscy trzej są pisarzami, ale pomiędzy ich twórczością a środowiskiem, z którego wyszli i do którego potajemnie tęsknią, istnieje nie dający się usunąć dysonans. Jako artyści i myśliciele, nie mogą się pogodzić ze społeczeństwem, w którym żyją; cierpią więc i tęsknią za utraconym spokojem ducha, zazdroszczą mieszczaninowi jego beztroski. W tym dylemacie tkwi przyczyna ich klęski. Aschenbach ginie w Wenecji, ale proces jego zagłady rozpoczął się o wiele wcześniej. Zanim powziął raptowną decyzję wyjazdu do Włoch, przekreślił w myślach to, co dotychczas napisał, co stworzył. Tonio Kröger nazywa siebie „artystą z nieczystym sumieniem", a o literaturze mówi, że „nie jest w ogóle powołaniem, tylko przekleństwem". Do końca pozostaje mieszczaninem, który „zbłądził w sztuce", lub artystą, który się nie wyzwolił od mieszczaństwa.

Dodajmy do tego, że kształt i rozwiązanie konfliktu w nowelach sprzed pierwszej wojny światowej noszą na sobie wyraźne piętno

schyłkowej myśli niemieckiej. Widać to przede wszystkim w *Tristanie* i w *Śmierci w Wenecji*. W pierwszym opowiadaniu pobrzmiewa echo pesymistycznej nauki Schopenhauera, który dopatrywał się w śmierci najdoskonalszego wcielenia życia, a w sztuce najidealniejszego wyrazu śmierci. Pani Kloeterjahn, od chwili gdy wkracza w sferę sztuki, którą w utworze reprezentuje Detlev Spinell, zostaje owiana jak gdyby tchnieniem śmierci. W noweli weneckiej słychać pogłos późnoromantycznego kultu śmierci, tak dobitnego w twórczości Wagnera. Od niego pochodzi również tytuł noweli o przygodzie Spinella i pani Kloeterjahn.

Konflikt artysta — mieszczanin kryje w sobie jeszcze inne zagadnienie. Przeciwstawiając artystę życiu, Tomasz Mann nie tai, że jego humanistyczna wizja „mieszczaństwa" nie ma w praktyce żadnego odpowiednika. Pan Kloeterjahn, uosabiający w *Tristanie* mieszczaństwo, jest krzykliwym i nieokrzesanym gburem, mąż baronowej Anny bawidamkiem i hulaką, Gerda von Rinnlingen *(Mały pan Friedemann)* okrutną i pustą mieszczką. Janek i Ingeborga, którzy urzekają Tonia, ukazują się nam w blasku swojej młodości i urody, ale nic nie wiemy o zaletach ich charakteru i myśli. W każdym razie trudno w tych wszystkich ludziach rozpoznać spadkobierców humanizmu mieszczańskiego, który ma tak chlubną kartę w historii klasycznej literatury i filozofii w Niemczech.

Antyteza ma więc, oprócz rysów tragicznych, i cechy ironii. W schyłkowym okresie mieszczańskiej kultury zacierają się granice konfliktu, antyteza przybiera często pozorny charakter. Proces rozkładu ogarnia sztukę, ale też — a raczej przede wszystkim — nie oszczędza społecznych form życia, obyczaju i moralności mieszczaństwa. „Mieszczaństwo", tak jak je pojmował autor *Buddenbrooków*, było więc tylko tęsknotą. Tomasz Mann marzył o nim, ale — jak pokazują już jego pierwsze nowele — z ironicznym uśmiechem, pełnym łagodnego sceptycyzmu. Nic tedy dziwnego, że próba pogodzenia dwóch sprzecznych żywiołów, sztuki i mieszczaństwa, kończyła się z reguły tragicznie dla artysty. Konflikt ten przejdzie jeszcze w późniejszej twórczości pisarza długą ewolucję. Po przelotnej sielance, która zapanuje w opowiadaniu *Pan i pies*, wybuchnie z nową siłą w *Czarodziejskiej górze* oraz w tetralogii biblijnej, *Józef i jego bracia*, i znajdzie swój finał w *Doktorze Faustusie*.

Dwie ostatnie nowele tego tomu, spokrewnione z poprzednimi tematyką, różnią się od nich tym, że problem psychologiczny splata się tutaj ze społecznym i politycznym. Powstały one w okresie Republiki Weimarskiej, kiedy autor powrócił do polityki i zaczął wiele uwagi poświęcać rozwojowi demokratycznej myśli w Niemczech i w Europie. *Nieład i wczesna udręka* ma więc konkretny „miąższ" epicki, obrazu-

jący niepokój czasów inflacji. Autor opisuje niedostatek wkradający się do domu profesora Corneliusa i groźne skutki dewaluacji pieniądza, które dały się we znaki monachijskiemu mieszczaństwu powojennej doby. Powszechny zamęt uczuć, który ogarnia również córeczkę profesora, stwarza przegrodę między generacjami i nie omija statecznego Corneliusa. Pogrążony w studiowaniu czasów Ludwika II historyk szuka w dziejach siedemnastowiecznej Hiszpanii praw rozwoju społecznego, które dają postępowi prymat nad wstecznymi formami życia.

Nad nowelą *Mario i czarodziej* unosi się już groźne tchnienie faszyzmu. Tutaj jesteśmy we Włoszech Mussoliniego, a konfliktowi między hipnotyzerem Cipollą a zebraną na seansie publicznością, wśród której widzimy autora z jego rodziną, towarzyszą wyraźne motywy polityczne. Nad służalczością zarządu hotelowego, obłudnym purytanizmem faszystowskich kuracjuszy z Rzymu i szpiegostwem miejscowych władz góruje postać Cipolli, pokracznego brzydala, który upaja się alkoholem, poczuciem władzy nad ludźmi i świstem szpicruty. Sukces kreatury, apelującej do patriotycznych uczuć słuchaczy, traktującej ludzi jak bydło, uznającej jedynie zasadę rozkazu i bezwzględnego posłuszeństwa, polega na dławieniu cudzej woli. A tam, gdzie znika swoboda decyzji, ginie wolność i człowieczeństwo staje się pośmiewiskiem.

Jesteśmy więc znowu w sferze zamętu uczuć, konfliktu między myślą a ciałem, ale tym razem problem ma charakter wyraźnie polityczny. Urok hipnotyzera rozprasza dopiero kula z pistoletu Maria, która przynosi zebranym ulgę. Chłopak z ludu gwałtem niweczy potęgę szarlatana, któremu nie potrafił się oprzeć, mimo wysiłku, wytworny kuracjusz z Rzymu. Okrucieństwa nie można zatem zwalczyć samą niechęcią, trzeba mu przeciwstawić własną wolę, która przechodzi w czyn.

Nowela *Mario i czarodziej*, napisana na trzy lata przed zagarnięciem władzy przez Hitlera, pokazała klęskę bezprawia. Następne polityczne opowiadanie Tomasza Manna powstało po czternastu latach, w roku 1944, w czasie załamania się ofensywy wojennej faszyzmu. Zwiastowało ono zwycięstwo rozumu i moralnego ładu. Jego tytuł brzmi *Prawo*.

Roman Karst

SPIS RZECZY

ROZCZAROWANIE 5
MAŁY PAN FRIEDEMANN 15
PAJAC 43
TRISTAN 77
TONIO KRÖGER 123
SZCZĘŚCIE 187
U PROROKA 203
CIĘŻKIE GODZINY 215
KATASTROFA KOLEJOWA 227
ŚMIERĆ W WENECJI 239
PAN I PIES 317
NIEŁAD I WCZESNA UDRĘKA 403
MARIO I CZARODZIEJ 443
POSŁOWIE 497

Redaktor: Teresa Rządkowska
Redaktor techniczny: Witold Bobiński
Korektor: Zofia Dąbrowska

S. W. „Czytelnik". Warszawa 1956. Wydanie I
Nakład 20. 230 egz. Objętość: ark. wyd. 25,25; ark. druk. 31,5.
Papier druk. m/gł., 86×122, kl. III 70 g z P.W.P.W. w Warszawie.
Oddano do składania 20.IV.56. Podpisano do druku 15.IX.56. Druk
ukończono w październiku 1956 r. Zakłady Graficzne „Dom Słowa
Polskiego" w Warszawie. Zam. nr 2524/A. B-23. Cena 24,50 zł.